



ONLY & IVORY

MINDEE ARNETT



ONLY & IVORY

MINDEE ARNETT

Przełożyła Paulina Braiter



Tytuł oryginału: *Onyx&Ivory*

Copyright © 2018 by Mindee Arnett
All rights reserved.

Jacket art: Santi Zoraidez
Jacket design by David Curtis
Mapa: Maxime Plasse

Redakcja: Urszula Przasnek
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka
Skład: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-800-4

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
snapchat:jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Część pierwsza. Córka zdrajcy

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

Część druga. Zbłąkany Książę

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

Część trzecia. Powstanie

32

33

34

35

36

37

38

Podziękowania



Dla Lori M. Lee, przyjaciółki i mistrzyni

CZEŚĆ PIERWSZA

CÓRKA ZDRAJCY

1

KATE

Tu, na zewnątrz, ciemność oznaczała śmierć.

Kate Brighton jeszcze mocniej popędziła wyczerpanego wierzchowca, a tymczasem nad krainę Rime skradała się noc. Wałach już i tak z trudem utrzymywał tempo, a jego głośny oddech przecinał powietrze niczym świst bata. Szyję i łopatki pokrywały mu płaty białej piany. Nie mogli się jednak zatrzymać i nie mogli zwolnić; musieli dotrzeć do miasta, zanim zamkną bramy.

Jak daleko jeszcze, zastanawiała się po raz setny Kate. Wciąż nie widziała Farholdu – droga okrążała podstawę wzgórza zbyt wysokiego, by dostrzec cokolwiek za nim. Cienie wokół wydłużały się i ciemniały, wiecznopłaczki, których łany porastały zbocza, zamykały już płatki, a księżyc okolony srebrnym pierścieniem wyglądał na wschodzie zza łańcucha wzgórz niczym czujne oko na posiniaczonym obliczu nieba.

– No dalej, Pip – wyszeptała Kate.

Jadąc, unosiła się w strzemionach; czuła, że mięśnie nóg palą ją z wysiłku. Chciała jednak odciążyć nieco koński grzbiet, tyle że po godzinach spędzonych w siodle miała wrażenie, że mięśnie jej gniją.

Smukłe uszy Pipa zastrzygły na dźwięk jej głosu, ale nie przyspieszył; nie był już w stanie poruszać się szybciej. I to nie tylko z powodu zmęczenia. Nawet bez magii Kate wyczuwała ból konia, ilekroć pochylał szyję czy uderzał o ziemię przednią lewą nogą. Kiedy sięgnęła po swe zdolności, ból ogarnął ją jak jej własny, ostre pulsowanie wznoszące się od podstawy kopyta. Początkowe drobne pęknięcie rozszerzyło się i pogłębiło.

Nagły strach ścisnął jej serce. Jeśli kość pęknie... Przegnała tę myśl, nim zdążyła zapuścić korzenie i urosnąć.

Znacznie trudniej jednak było uwolnić się od wyrzutów sumienia. Gdyby tylko zostali nieco dłużej w wieży pocztowej, gdzie spędzili poprzednią noc w drodze powrotnej z Mararedu, miasta leżącego ponad pięćdziesiąt mil na wschód.

Z pewnością zjawiłby się inny kurier pocztowy, by im pomóc. Królewscy

doręczyciele z Rime ściśle przestrzegali zasad regulujących poszukiwania jeźdźców, którzy nie wrócili z przewożoną pocztą. Większość zaginionych uznawano za zabitych przez nocne gadźce, grasujące zaraz po zachodzie słońca. Stwory te władały nocą i pożerały każdego człowieka czy konia, jakiego zdołały znaleźć. Jediną ochronę zapewniały ufortyfikowane miasta i wieże pocztowe, bądź też bariery z kamieni strażniczych magistów.

Nie wyczuła jednak rany i Pip opuścił wieżę zdrowy, choć lekko zmęczony po całym dniu jazdy. A potem, w połowie drogi do Farholdu – bum! W jednej chwili zdrowe kopyto ogarnął ogień. Kate natychmiast zeskoczyła z siodła i owinęła nogę konia bandażem, jaki miała w jukach. Chętnie by tam została w obawie przed dalszymi obrażeniami, ale musieli jechać dalej. Zwolniła zatem, by nie pogorszyć sytuacji, to jednak także okazało się błędem, za który płacili teraz, zmuszając się do piekielnego wyścigu z nadciągającą ciemnością. Gdyby miała moc zatrzymania znikającego słońca... Ale tylko Caro potrafiłby to zrobić, a wątpiła, czy bóg niebios jej słucha.

– Już prawie jesteśmy – szepnęła, starając się przekazać wierzchowcowi dobrą informację. Choć dar pozwalał jej dotykać umysłów zwierząt, a nawet wpływać na ich zachowanie, niełatwo było sprawić, by ją zrozumiały. Konie nie myślą słowami i ideami, lecz uczuciami i obrazami, a to bardzo trudny język.

Mimo wszystko jednak po paru sekundach wyczuła u Pipa coś jakby ulgę, stąpał nieco lżej, odrobinę wyżej unosił łeb. I wtedy droga zaczęła się wznosić i koń z galopa przeszedł w stępa. Kate oparła się pokusie, by go popędzić. Pip musiał złapać oddech, a dzień jeszcze nie minął, choć na niebie pozostała już tylko różowa łuna. Farhold musi być blisko, powtarzała sobie z nadzieją. Od ponad godziny pędzili pośród wzgórz wyznaczających wschodnią granicę miasta, lecz dopiero drugi raz jechała tą trasą i nie miała pewności. Szlak do Mararedu, z długimi odcinkami wymagającymi męczącego tempa, zwykle był zarezerwowany dla weteranów, a Kate dopiero przez trzy lata pracowała w Farholdzie jako kurier pocztowy.

Instynkt jej jednak nie mylił. Gdy w końcu dotarli na szczyt wzgórza, natychmiast ujrzała wznoszące się niecałą milę dalej wyniosłe kamienne mury twierdzy. W gęstniejącej ciemności kamienie strażnicze osadzone w specjalnych otworach na szczycie muru jaśniały niczym gwiazdy. Magia zamknięta wewnątrz każdego kamienia służyła tylko jednemu celowi:

odpędzaniu stad nocnych gadźców. Nikt nie wiedział, gdzie i jak wydostają się one spod ziemi, ale zawsze pojawiały się o zmierzchu i krążyły aż do świtu.

Kate przebiegła wzrokiem pola rozciągające się po obu stronach drogi, zaczynające się u podstawy wzgórza i ciągnące aż do miasta. Zielone łąny kukurydzy, sięgające Pipowi do kolan, kołysały się w powiewach lekkiego wiatru, cicho szemrząc. Kate modliła się, by istotnie był to wiatr. W słabym świetle grube łądygi dawały dość osłony, by zwiadowcy nocnych gadźców mogli zapuścić się daleko do przodu bez obaw, że słońce ich spali. Mniejsze, bardziej nieśmiałe gadźce, zawsze zjawiały się pierwsze, szukając ofiary. Jeden, zbrojny w zęby ostre niczym noże i szpony jak brzytwy, mógł bez większego wysiłku powalić konia. Gadźce znacznie różniły się między sobą rozmiarami: niektóre były małe jak świnię, inne osiągały wielkość koni. A wszystkie były śmiertelnie niebezpieczne.

Na razie droga wydawała się pusta, toteż Kate pozwoliła Pipowi zwolnić podczas zjazdu ze wzgórza. Napór na kopyto nie pozwalał na przyspieszenie. Każdy krok przeszywał palącą błyskawicą zarówno konia, jak i jeźdźca. Kate bardzo pragnęła uwolnić się od bólu, od którego kręciło jej się w głowie, ale nie śmiała. Tylko dzieląc go z Pipem mogła sprawić, by pokonał ostatni odcinek drogi. Jej wierzchowiec miał wielkie serce, lecz nawet najsilniejszy duch nie zdołał wiecznie nieść zranionego ciała.

Kate, z nerwami napiętymi jak postronki, nie spuszczała oka z pól, nerwowo reagując na każdy ruch łądyg. Sięgnęła po łuk przypięty z tyłu do siodła i położyła go w poprzek kolan. W kołczanie na plecach miała dwanaście strzał, połowę ze zwykłymi stalowymi grotami, połowę z grotami zaklętymi magią magistów, tą samą, jaką kryła się w kamieniach strażniczych. Niełatwo jest jednak przebić skórę nocnego gadźca – tylko magiczne strzały mogły dokonać tego z daleka. Kule także, ale ponieważ każdy pistolet wystrzeliwał tylko jedną, w starciu ze stadem nie nadawały się do niczego.

Pozostałe gadźce dopadłyby strzelca, nim ten zdążyłby przeładować broń.

Wbiła pięty w boki Pipa, prosząc, by przyspieszył. Koń parsknął, w proteście zarzucając łbem, i mocno zagryzł wędzidło. Nie winiła go, w tym tempie łatwiej znosił ból. Przez sekundę zastanawiała się nawet, czy nie pozwolić mu go utrzymać, wówczas jednak do jej uszu dotarły dwa dźwięki. Pierwszym było uderzenie wieczornego dzwonu z Farholdu wzywającego do

zamknięcia bram, drugim charakterystyczny wrzask nocnego gadźca, dobiegający gdzieś zza ich pleców. Oba zadziały identycznie – Kate wbiła pięty w boki Pipa, posyłając mu wizję atakującego gadźca. Tym razem koń zrozumiał ją i puścił się galopem.

Obrócona w siodle Kate dostrzegła parę jasnych, lśniących oczu wyglądających spomiędzy łodyg tuż za nimi. Zwiadowca rzucił się w pościg, zachodząc ich od lewej, ale wciąż pozostawał ukryty wśród kukurydzy. Na razie.

Z walącym sercem Kate chwyciła strzałę, nałożyła i wypuściła, wszystko zaledwie w sekundę. Chybiła, lecz nie miało to znaczenia – zwiadowców łatwo spłoszyć i ten także się wycofał.

Ale pojawią się inni. Zawsze byli inni.

Znów się odwróciła. Wiatr zawodził jej w uszach jeszcze głośniejsze niż dzwon. Przed sobą ujrzała zaprzęgi wołów powoli ciągnące zamykające się skrzydła bramy.

– Zaczekajcie! – krzyknęła. – Czekać!

Kiedy brama już się zamknie, nie otworzą jej aż do świtu – z pewnością nie dla jednej kurierki. Istniała inna droga do miasta, przez ukryte magiczne drzwi, ale tylko czary magów mogły je odnaleźć i otworzyć. Ona władała magią dzikunów, nielegalną i tajemną, nadającą się wyłącznie do wpływania na zwierzęta.

Jeśli nawet nadzorcy wołów ją usłyszeli, to nie zareagowali. Spięta wodze Pipa, koń jednak z każdą sekundą tracił siły, a ból w przedniej nodze rozlewał się coraz dalej. Za plecami ponownie usłyszała szelest kukurydzy, głośniejszy niż wcześniej. W dali reszta stada zaczęła wyć, zbliżając się ku ofierze. Kate wypatrzyła strażników z Farholdu czekających na szczycie muru ze strzałami gotowymi do odpędzenia bestii, gdyby dotarły do bramy przed jej zamknięciem.

No dalej, Pip. Zaciskając zęby, Kate zamknęła oczy i zanurzyła się głębiej w umysł konia, aż w końcu znalazła samo jego jądro, istotę. Można ją znaleźć u wszystkich zwierząt – ognistą jasność niczym płomyk świecy, który widziała i wyczuwała jedynie okiem umysłu i magią otwierającą to oko. Teraz znalazła jasność i oplotła ją swoją magią, osłaniając konia przed bólem. Przejęła go sama i jęknęła głośno. Udało się: koń wystrzelił naprzód, wydłużając krok.

W chwilę później przemknęli przez wąską szczelinę między skrzydłami

bramy i znaleźli się bezpiecznie w Farholdzie. Wrota trzasnęły głucho, zamykając ich w środku. Kate z trudem oparła się pokusie, by uwolnić umysł konia, bała się, że w szoku coś mu się stanie. Powoli wypuściła wodze i zatrzymała Pipa, potem zsunęła się z siodła i stopniowo wycofała magię. Wałach natychmiast zaczął dygotać, z trudem utrzymując się na trzech zdrowych nogach.

Nie zważając na zaciekawione spojrzenia strażników, Kate poprowadziła konia powolnym, chwiejnym krokiem. Dom pocztowy stał niedaleko wschodniej bramy, ale dla biednego Pipa wydawał się odległy o całe mile. Teraz, gdy wycofała się z jego umysłu, musiał w pełni znosić ból, nie mogła jednak ryzykować podtrzymania więzi. W Farholdzie, podobnie jak w każdym innym mieście Rime, mieszkali magiści, którzy zawsze mieli przy sobie zaklęte kamienie pozwalające wykrywać magię dzikunów. Gdyby zorientowali się, co potrafi, czekałyby ją uwięzienie i egzekucja; tego obawiała się z powodów ważniejszych niż te oczywiste. Poza tym wiedziała, że niedługo nie będzie już mogła używać magii, bo zapadała noc.

Magia dzikunów działała tylko za dnia; podobnie jak płatki wiecznopłaczków, na noc zamykała się wewnątrz niej i pozostawała uśpiona do świtu.

Mimo wszystko jednak Kate starała się ulżyć wierzchowcowi. Zatrzymała go, ściągnęła siodło i torbę pocztową i zarzuciła je sobie na ramię. Starła się szukać pociechy w świadomości, że przynajmniej dotarli do miasta, chociaż nie mogła powstrzymać piekących pod powiekami łez. To ona to zrobiła. Zniszczyła zdrowie konia, by ocalić własne życie.

Nim dotarli do domu pocztowego, okolony pierścieniem księżyc wzniósł się wysoko, zalewając brukowane ulice srebrzystym blaskiem. Irri, bogini, która co noc obracała lśniący glob, pracowała ciężko. Kate wolałaby ciemność, choćby po to, by ukryć własną winę. Żelazna brama stajni okazała się zamknięta i zaryglowana od wewnątrz. Kate zaczęła krzyczeć, by ją wpuścili, gdy drzwi głównego domu otworzyły się i wyszedł młody mężczyzna.

– Spóźniłaś się, zdrajczyni Kate – rzucił drwiącym, jowialnym tonem Cord Allgood.

Kate puściła jego słowa mimo uszu. Zbyt często używał tego przydomku, by miała się nim przejmować tak jak kiedyś. Jego wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

– Myśleliśmy, że zginęłaś, zaczęliśmy nawet przyjmować zakłady. Przez

ciebie straciłem całkiem sporo walenów.

Zaciskając zęby Kate poprawiła worek pocztowy na ramieniu. Dlaczego spośród wszystkich ludzi przebywających w domu akurat on musiał ją powitać? *Bogowie mnie nienawidzą.*

– Otwórz bramę, Pip okulał.

Cord obejrzał konia, przekrzywiając głowę tak, że jego jasne loki zalotnie podskakiwały. Zamiast zwykłego munduru pocztowego miał na sobie zieloną tunikę, bryczesy i wysokie, czarne buty. Na widok tego eleganckiego stroju Kate pożałowała własnego nieporządnego przyodziewku. Szybko przyglądała przód poplamionej tuniki i odgarnęła z twarzy kruczoczarne włosy, które wymknęły się z ciasno zaplecionego rano warkocza.

– Ten koń nie jest kulawy – oznajmił w końcu Cord, kończąc oględziny. – Praktycznie już nie żyje.

– Otwórz bramę. – Kate zacisnęła dłonie trzymające wodze.

– Jakim cudem doprowadziłaś go do takiego stanu? – Cord, przekrzywił głowę w drugą stronę i jego loki znów idiotycznie podskoczyły. – Zjechałaś na nim w przepaść? Przysięgłbym, że uczą nas tego nie robić.

Kate otworzyła już usta, chcąc wezwać kogoś innego, powstrzymała się jednak, bo Cord wycofał się, a chwilę później ujrzała go po drugiej stronie bramy, którą szeroko otworzył.

– No, chodź, Pip, jeszcze tylko kawałeczek. – Kate pociągnęła wodze.

– Biedactwo. – Mężczyzna klepnął w zad wałacha, który wzdrygnął się mocno. – Ale tak to się dzieje, gdy musisz nosić zdrajczynię. – Szyderczym gestem musnął palcem brodę. – Jak dokładnie brzmi przysięga kurierów pocztowych, zdrajczyni Kate? Ta część, że nade wszystko mamy chronić konie?

Kate szła naprzód, wysoko unosząc głowę i zaciskając wargi, lecz z każdym słyszonym słowem krew wrzała w niej coraz mocniej. Miała powody nienawidzić Corda Allgooda, to on bowiem jako pierwszy odkrył, kim jest naprawdę – Kate Brighton z Norgardu. Córką Hale’a Brightona, człowieka, który próbował zabić króla Rime.

Po tym, jak ojca stracono za jego zbrodnie, przybyła do Farholdu w nadziei, że zdoła uciec przed swą przeszłością i zacznie nowe życie pod nowym nazwiskiem. Przez pierwszych dziesięć miesięcy nawet jej się to udawało, potem jednak Cord ujrzał przedstawiającą ją ilustrację w „Gazecie Królewskiej”, nowym miesięczniku publikowanym przez dwór królewski

i rozsyłanym do wszystkich miast-państw tworzących królestwo Rime. Towarzysząca obrazkowi historia wspominała o pierwszej rocznicy zamachu Hale'a Brightona na króla. Po paru dniach od ukazania się gazety anonimowa kurierka Kate Miller znów stała się Kate Brighton. Miała szczęście, że nie wyrzucono jej ze służby.

– Z drugiej strony, zdrajczynie Kate – Cord doścignął ją szybko – gdybyś dotrzymała przysięgi, zniszczyłabyś sobie reputację. – Przystanął marszcząc czoło. – Wiesz, zawsze się zastanawiałem, dlaczego twój ojciec to zrobił. W żadnej historii o tym nie wspominają. Wiesz, czemu tak postąpił?

Kate zignorowała jego pytanie, a także identyczne, dźwięczące w jej umyśle. Nie, nie wiedziała. I nigdy się nie dowie.

Martwi nie ujawniają niczego, tak przynajmniej mawiają kapłani. Dostrzegłszy niedaleko chłopaka stajennego, wezwała go gestem.

– Sprowadź mistrza Lewisa.

Chłopak już miał zaprotestować, ale zmienił zdanie na widok potykającego się Pipa, z trudem utrzymującego równowagę na trzech nogach. Pomknął do kwatery pocztmistrza, a tymczasem Kate szła dalej, prowadząc konia w stronę wschodniej stajni.

Cord ruszył za nią, szykując się do kolejnej złośliwej uwagi, ale ktoś z drugiej strony dziedzińca zawołał go po imieniu.

Odkrzyknął w odpowiedzi, potem odwrócił się do Kate.

– Cóż, znikam, zdrajczynie Kate. Powodzenia w ratowaniu martwego konia.

– Zamknij się. – Kate w końcu straciła panowanie nad sobą. – Nie jest jeszcze martwy.

Cord zaśmiał się triumfalnie.

– Zaproponowałbym ci zakład, ale ustawiona gra to żadna zabawa. – Mrugnął, po czym odmaszerował rozkołysanym krokiem.

Mam nadzieję, że zadławisz się własną śliną, Cordzie Allgoodzie, pomyślała, patrząc za nim.

Nim zdołała wprowadzić Pipa do środka, zjawił się mistrz. Drobny i chudy jak gałąź diakon Lewis wyglądał na dość sprawnego, by mimo wieku wciąż wyprzedzić każdego swego kuriera. Krótko przycięte czarne włosy oprószone siwizną okalały kanciastą twarz o ogorzalej, brązowej skórze. Nawet za dnia wyglądał groźnie, w tej chwili jednak Kate ledwie zdołała zmusić się, by na niego spojrzeć. Zwyczajnie obawiała się osądu. Raz po raz gładziła przód tuniki, starając się ją oczyścić, zapewnić sobie osłonę, jaką daje porządny

wygląd.

Początkowo oglądał konia z odległości paru kroków, pozdrowiwszy Kate zaledwie krótkim spojrzeniem, potem podszedł naprzód i przesunął dłonią po zranionej nodze Pipa. Wałach odskoczył, protestując.

Diakon z westchnieniem wypuścił nogę i wyprostował się.

– Wezwę uzdrowiciela – oznajmił, lecz powątpiewający ton jego głosu uderzył Kate niczym cios pięścią w brzuch.

* * *

– Być może zdołam naprawić kość – rzekł magista nieco później. – Ale wątpię, by kiedykolwiek nadawał się jeszcze do pracy.

Podniósł się z kucków i przyglądał zieloną szatę, strój swego zakonu. Magiczny kamień, za pomocą którego zdiagnozował obrażenia konia, wciąż był przywiązany do pęciny Pipa kawałkiem skóry i jaśniał jaskrawą czerwienią, pulsując niczym serce.

Kate wbiła wzrok w zieloną szatę, zirytowana tym, że nie może odczytać wyrazu twarzy ukrytej pod maską.

Nienawidziła go za rzeczowy, spokojny ton głosu. Wszyscy magiści nosili maski, a ich kształt i rozmiar zależał od rangi. Ta zasłaniała całą twarz, co oznaczało, że mają do czynienia z mistrzem, najlepszym w zakonie – i najbardziej kosztownym.

– Ile? – spytał diakon z miną równie beznamiętną jak ta magisty. Tylko to, jak pocierał palcami cztery blizny na lewym przedramieniu, zdradzało troskę. Blizny sięgały tak głęboko, że mięsień pod nimi wyglądał jak stale skręcony w skurczu; niewielu jeźdźców przeżyło nocny atak gadźca, diakon jednak podczas długich lat służby pocztowej doświadczył ich dwukrotnie.

– Siedemdziesiąt valenów – oznajmił magista.

Kate poczuła, jak ściska jej się żołądek. Niemal tyle samo kosztowałby zakup nowego konia. Wiedziała, co powie diakon.

Zapominając o swej pozycji, dotknęła jego ręki.

– Proszę, mistrzu Lewisie, pozwól mi zapłacić. Jeśli zatrzymasz moje zarobki za ten i następny miesiąc, to może...

Diakon odtrącił jej dłoń i uniósł rękę, nakazując milczenie. Odwrócił się do zielonej szaty.

– Dziękuję za twoje usługi. Rezygnujemy z dalszego leczenia.

Zielony przytaknął, potem pochylił się, by odwiązać ramię na zranionej nodze Pipa. Magiczny kamień zgasł natychmiast.

Po odejściu magisty Kate odwróciła się gwałtownie do diakona, niezdolna dłużej się powstrzymać.

– Proszę, rozważ to jeszcze, mistrzu. Proszę, zrobię wszystko, zrezygnuję z miesięcznych zarobków, przyjmę dodatkowe kursy za darmo, przez następny rok będę sprzątać w stajniach. Wszystko. Proszę, mistrzu Lewisie.

Diakon odwrócił się do Kate i po raz pierwszy spojrzął jej prosto w oczy.

– Przykro mi, Kate, ale nie mogę na to pozwolić.

– Ależ panie... – Oczy zapiekły ją od łez. Poczwała, jak płoną jej policzki. Jeśli nie przestanie mówić, nie zdoła dłużej powstrzymać płaczu. – To dobry koń i to ja zawiniłam. Nie chciałam...

– Zamilcz, nie ma tu miejsca na podobne niemądre słowa. – Diakon złożył ręce, znów gładząc palcami blizny. – Wiem, że to twój ulubieniec, ale Pip to koń roboczy, wart tyle co jego nogi. Gdyby był kłaczem, sytuacja wyglądałaby inaczej, ale okulały wałach jest więcej wart martwy niż żywy.

– Ale panie, z czasem znów mógłby odzyskać zdrowie. Jest jeszcze młody. Jeśli pozwolisz mi go kupić, to może...

– Powiedziałem „nie” i nie zmienię zdania. – Diakon przygwoździł ją spojrzeniem ciemnych oczu tak ostrym, że czuła, jak tnie. – Za co byś go wykarmiła? Gdzie chciałabyś go trzymać? Tu nie może zostać i nie mów mi, że płacimy ci tak hojnie, że stać cię na marnotrawstwo. Nie, nie pozwolę ci poświęcać się bez sensu.

Kate wzdrygała się z każdym kolejnym słowem, każdą brutalną prawdą. Miał rację. Nie stać jej na utrzymanie konia i część jej umysłu doceniała nawet to, jak praktycznie rozumował. Ratowanie okulałego konia jest gorzej niż bezsensowne to marnotrawstwo przestrzeni, przejaw ogromnego egoizmu w mieście i tak przepełnionym przez ludzi i zwierzęta. Nie było w nim miejsca na nic, co nie służy konkretnemu celowi. Kapłani i kapłanki zachęcali nawet starszych i chorych, by oddawali życie w ofierze bogom. Lecz reszta jej dotknęła samej esencji Pipa, pieściła magią jego duszę, i ta część nie mogła znieść myśli, że miałby umrzeć. Fragment jej duszy umrze wraz z nim.

Nie mogła jednak wyjaśnić tego diakonowi, nie w sposób, który by zrozumiał i zaakceptował. Choć diakon zawsze traktował ją sprawiedliwie, nawet gdy dowiedział się, kim jest naprawdę, nie zniósłby w domu

pocztowym magii dzikunów. Dzikuni byli banitami podległymi inkwizycji.

Skuliła więc ramiona i pokonana przełknęła ślinę.

– Tak, panie.

Sięgnęła po wodze Pipa. To ona się nim opiekowała, odpowiadała za niego, a teraz musiała zaprowadzić go do rzeźni.

Nigdy wcześniej nie zabierała tam konia i gdy rozwiązywała sznur, palce jej drżały.

Diakon odebrał jej wodze, jego twarz złagodniała.

– Wracaj do domu, Kate. Ja tego dopilnuję.

Spojrzała, rozdarta pomiędzy tym, co powinna, i tym, co chciała zrobić. W końcu jednak nie mogła odrzucić tak życzliwej pomocy. Ucieczka od obowiązku okazała się zbyt nęcająca, zbyt łatwa do wybrania.

Odwróciła się do Pipa i pogładziła dłonią gładką szyję, żałując, że nie może jeszcze raz dotknąć umysłu konia, obdarzyć go spokojem, na który zasłużył. Pochylił się ku niej, tuląc pysk do jej brzucha. Jeszcze moment gładziła go po nosie, szepcząc słowa pożegnania do aksamitnego ucha. Potem odwróciła się i odeszła.

Z każdym krokiem kilkumilowego marszu do wynajętego pokoju coraz bardziej przygniatał ją wstyd i żal. Drwiny Corda wciąż dźwięczały jej w głowie, stawały się coraz cięższe. Miał rację – jako kurierka poczty przysięgła sprowadzić Pipa bezpiecznie do domu, strzec jego życia na równi z własnym. Dziś jednak złamała tę przysięgę, zdradziła go tak, jak ojciec zdradził władcę.

Czyżbym stała się własnym ojcem? Czy łamanie przysięg miała we krwi? Tak bardzo go przypominała, odziedziczyła po nim nawet magię. Hale Brighton był naczelnym koniuszym arcykróla, którą to pozycję osiągnął wykorzystując swój tajny, zakazany dar. Był też przyjacielem i wasalem władcy, a jednak próbował go zabić. Kate nie wiedziała dlaczego, ale nie mogła zaprzeczać winie ojca. Tak jak nie da się zaprzeczyć mojej. Córka zdrajcy. Zdrajczyni Kate.

Raz jeszcze zasłużyła sobie na to miano.

2

KATE

Ranek nadszedł zbyt szybko, jak zawsze, gdy noc umknęła znad świata niczym złodziej lękający się odkrycia. Słoneczne palce zaczęły napierać na powieki Kate, która przekręciła się na bok poza ich zasięg. Tu było przyjemniej, chłodniej, choć łóżko nadal było twarde i niewygodne – nie jak te, w których kiedyś sypiała. Wspomnienia udające sny – puchowych materaców owiniętych w jedwabne prześcieradła i długich, rozkosznych poranków spędzonych na drzemce tylko po to, by obudził ją zapach lukrowanych słodkich bułeczek – zaczęły z powrotem ściągać ją w otchłań snu.

I wtedy w głowie pojawiło się nowsze wspomnienie – Pipa i ostatniej, katastrofalnej nocy. Kate jęknęła, powracając do rzeczywistości. Zmusiła się do otwarcia oczu o rzęsach posklejanych zaschniętymi łzami. Znów ogarnęła ją chęć do płaczu, odepchnięta jednak nagłym ukłuciem niepokoju.

Słońce za wąskim oknem świeciło zbyt jasno, zbyt wysoko było na niebie. Od wschodu minęła ponad godzina, ale dzwon o świcie się nie odezwał! Tego była pewna. Nigdy jeszcze nie przespaa głośnego gongu zwiastującego otwarcie bram.

W panice wygramoliła się z łóżka dokładnie w chwili, gdy drzwi się otwały i do środka wmaszerowała jej współlokatorka. Za nią ciągnęła się smuga słabego, słodkawego smrodu wina z berberysu.

– Jeszcze w łóżku? – Jasne brwi Signe uniosły się, niemal znikając pośród złocistych włosów. Ziewając, wskazała nieposłane łóżko Kate. – Co się stało?

Na sobie miała kamizelę bez rękawów i bryczesy, jedno i drugie wymięte i poplamione po tym, co zatrzymało ją całą noc poza domem.

– Nie wiem.

Kate schyliła się i podniosła ubranie, które rzuciła w nocy na podłogę. Jego stan – zwykle składała je starannie i odkładała na bok – świadczył wyraźnie, jak bardzo była wstrząśnięta. Krzywiąc się na widok plam pokrywających tunikę pocztową – ten, kto wymyślił, że jasny błękit i konie

świetnie do siebie pasują, zasłużył na to, by go włóczyć i poćwiartować – naciągnęła ją na koszulę.

– Która godzina?

– Prawie ósma. – Signe weszła do środka i klapnęła na łóżko przy drzwiach. W pokoju nie było zbyt dużo miejsca, a dwie wąskie prycze stanowiły jedyne siedziska. – Jeśli się pospieszysz, powinnaś zdążyć na apel.

Signe też była kurierką, obie więc znały konsekwencje spóźnienia. Tyle że Signe miała akurat wolne.

– Bogowie, oby. – Kate założyła resztę uniformu, na który składały się czarne bryczesy i narzutka. Żałowała, że nie ma dość czasu, by przeczesać włosy i zmyć brud z twarzy.

– Nie słyszałaś? – W głosie Signe zabrzmiała ostrzejsza nuta. – W mieście jest jeden z królewskich.

– Co? – Dłonie Kate zamarły w trakcie zapinania pasa na tunice.

Signe pokiwała głową, a potem uniosła nogę, by wyciągnąć nóż wsunięty za cholewkę buta i zaczęła podrzucać nóż na dłoni.

– Nie wiem kto, ale na pewno ktoś ważny.

– Bez dwóch zdań – odrzekła Kate zdyszana. Członek rodziny królewskiej w mieście. Jeden z Thormanów, ale kto?

Szybko przegnała tę myśl: ktokolwiek to był, jej to już nie dotyczyło. Porzuciła tamto życie

– To wyjaśnia sytuację. Kiedy w mieście jest ktoś z królewskiego rodu, nie dzwonią o świcie.

– Nie?

Signe przekrzywiła głowę niczym ptak. Wbijając wzrok w Kate, nie przestając jednak żonglować nożem i łapiąc go z roztargnieniem. Mimo że przyjaźniły się od dwóch lat, Kate nie miała pojęcia, gdzie Signe się tego nauczyła. Pochodziła z wysp Esh i nigdy nie opowiadała o swoim tamtejszym życiu ani o tym, co sprowadziło ją do Rime. Kate często podejrzewała, że pracowała tam w cyrku albo była złodziejką.

– Gdybym wiedziała – podjęła Signe – wróciłabym szybciej, by cię obudzić. Dlaczego nie dzwonią?

Kate skrzywiła się.

– Bo królewscy nie lubią, kiedy tak wcześnie zakłóca się im sen.

Nie do końca odpowiadało to prawdzie, ale nie miała czasu wyjaśniać politycznych niuansów. Choć w Esh także mieli królów, nikt nie zamykał

bram miast, wszystkie wyspy były wolne od nocnych gadźców, nękających Rime po zachodzie słońca.

Dlaczego w ogóle stamtąd wyjechałaś? – chciała spytać. Znowu zaatakowało ją wspomnienie Pipa. Gdyby konia wychowano w Esh, nadal by żył.

Ukryła żal głęboko w sercu i skierowała się do drzwi.

– Muszę iść.

– Zaczekaj! – rzuciła Signe. – Przyniosłam ci prezent.

Kate odwróciła się odruchowo, niezdolna oprzeć się zaraźliwemu entuzjazmowi przyjaciółki. Na widok trzymanego przez Signe przedmiotu zachłysnęła się głośno. Był to srebrny łańcuch z licznymi małymi kolorowymi kamykami, osadzonymi między ogniwkami. Magiczne kamienie jaśniały lekko, rzucony na nie czar wciąż był silny i świeży.

– Pas księżycowy?

Signe wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Przysięgam, że ci go znajdę. Weź i naucz się cieszyć życiem. Tak jak ja.

Wbrew instynktowi Kate przyjęła pas księżycowy. Sama myśl o tym, w jakim celu go stworzono, sprawiła, że wnętrzości ścisnęły się jej, jakby przełknęła słoje pełne robaków. To nieprzyzwoite, by niezamężna kobieta miała taki pas, a co dopiero go używała.

– Um, dzięki Signe, ale już i tak dostatecznie się nim cieszę. – Spróbowała oddać jej pas. Signe dźgnęła w jej stronę palcem niczym nożem.

– Nieustanna praca to nie zabawa.

– Dla mnie owszem. – Kate nade wszystko uwielbiała konną jazdę i, pomijając zeszłą noc, kochała pracę kurierki. – Poza tym – dodała – wiesz, że go nie potrzebuję.

Usta Signe wygięły się w wymownym uśmiechu.

– Owszem, zatem musisz wybrać sobie teraz miłego chłopca do igraszek i stworzyć tę potrzebę.

Nie zważając na rumieniec ogarniający szyję, Kate wcisnęła pas księżycowy do jedynej zewnętrznej kieszeni spódniczki, by na pewno nikt go nie zobaczył. Założy go – albo nie – już w domu pocztowym.

– Muszę iść.

Signe pchnęła ją do drzwi.

– Owszem i niech sprzyja ci szczęście Aslarów.

Z zaciętą miną Kate uniosła spódnicę i przebiegła wąskim korytarzem do

jeszcze węższych schodów. Jeśli spóźni się na apel, zostanie przesunięta ze swego zwykłego szlaku przez innego jeźdźcę na mniej lukratywny bądź trudniejszy. To drugie to ostatnia rzecz, jakiej chciała, zwłaszcza po tragedii z Pipem.

Idąc po schodach, czuła tłuszcz wiszący ciężko w powietrzu niczym dym; pokrywał też ściany i poręcz. Wiedziała, że nim dotrze na dół, ona także pokryje się tłustą warstewką. Wytłuszczona twarz i włosy to nieunikniony efekt wynajmowania pokoju „Pod Laską i Kielichem”. Podobnie jak smród gotowanego mięsa i dojrzałej cebuli (którego nie cierpiała), którym jej ubranie nasiąkło niemal równie mocno jak wszechobecną wonią koni (którą z kolei uwielbiała).

Wraz z Signe wołałyby zamieszkać w domu pocztowym, ale nie mieli tam miejsc dla kobiet jeźdźców, tylko dla mężczyzn, a tych było zdecydowanie więcej.

Skręciwszy w prawo do kuchni, Kate przemknęła pomiędzy kucharzem i służącą, biegnąc do bocznego wyjścia.

Kucharz krzyknął, że nie powinno jej tu być, ale Kate zatrzepotała tylko rzęsami i uśmiechnęła się, po czym wypadła na dwór. Skręciła w lewo w alejce. Przy każdym kroku błoto spod jej butów bryzgało na rąbek spódnicy. Wkrótce dotarła do ulicy Piekarskiej.

– Niech to piekła pochłoną – wymamrotała, widząc tłum na ulicy.

Piekarska, zwykle nieco tylko zatłoczona, tego dnia wyglądała jak sieć rybacka po dobrym połowie – pełna była kręcących się, gawędzących ludzi, napierających na siebie. Były tam kobiety w kolorowych sukniach zdobionych koronką, z długimi, szerokimi rękawami, i mężczyźni w tunikach z jedwabiu bądź aksamitu i butach lśniących od pasty. U pasów i wokół szyi błyskały klejnoty, niektóre lśniące magią mającą podkreślać urodę właściciela bądź ukrywać jej skazy, inne jedynie iskrzące się w słońcu. Kate wściekle zacmokała językiem. Skąd takie eleganckie stroje na pospolitym targowisku?

Jeden z ludzi, na oko kupiec, miał szarfę zrobioną z truchła małego nocnego gadźca. Gadzia głowa zwisała mu przez ramię, zębatą paszczę przyczepiono do łuskowego ogona. Ciało opasywało mężczyznę w poprzek piersi i pleców.

W oczodołach osadzono lśniące czarne kamyki, tak że zwierzę wydawało się żywe. Kate stłumiła śmiech na myśl o absurdalności tego, że ktoś

podobny nosi takie trofeum. Nikt nie uwierzyłby, że ten otyły, siwobrody mężczyzna zdołał sam zabić gadźca.

Zacząła przeciskać się przez tłum, rozpychając się łokciami i bez żadnych względów deptając po palcach. To wina członka rodziny królewskiej, uświadomiła sobie nagle. Bo i czemu ludzie tak bardzo by się stroili, jeśli nie w nadziei zaimponowania temu z Thormanów, który akurat tu przybył? Nie żeby miał ich zobaczyć: z jej doświadczenia wynikało, że szlachta wolała jeść późne śniadanie wśród cichych wygod pałacu bądź wytwornego dworu, dość wspaniałego, by ich ugościć.

Czując narastające zdenerwowanie, Kate nie zdołała przegnać z twarzy rumieńca. Część ludzi na widok błękitnej tuniki ozdobionej na lewej piersi wizerunkiem srebrnego konia w galopie odstępowała na bok, ale większość nie. Uniform kuriera budził szacunek tylko wtedy, kiedy jego właściciel dosiadał konia i dźwigał pełną torbę – jej zawartość uważano za zbyt ważną, by ją zatrzymywać, kryło się w niej bowiem wszystko, począwszy od osobistych listów, poprzez gazety, aż po dekrety królewskie.

Po obu stronach ulicy ciągnęły się kramy i budki, niektóre zakryte daszkami, inne przechylone pod dziwnym kątem, ale wszystkie wystawiające smakowite towary, takie jak słodkie bułeczki, rogaliki z kremem dyniowym czy placuszki hojnie wysmarowane masłem i miodem. Zapach drożdży i cukru wypełnił nozdrza Kate, która nagle poczuła, jak ściska jej się żołądek. Zeszłego wieczoru była zbyt poruszona, by cokolwiek zjeść, i teraz obudził się w niej głód, choć nie miała czasu go zaspokoić.

Gdy dotarła do końca ulicy Piekarskiej i skręciła w Miedzianą, zaczęła w duchu przeklinać królewskiego, który spowodował takie zamieszanie. Nic nie ściągało tłumy równie szybko, jak okazja do pogapienia się na jednego z Thormanów, zwłaszcza tu, w Farholdzie, gdzie rzadko się zapuszczali. Miała ochotę krzyknąć, że wszyscy zachowują się głupio, że marnują tylko czas – swój i jej.

Ale kiedy dotarła do skrzyżowania z Główną, uświadomiła sobie, że być może to ona jest głupia. Rząd strażników miejskich stojących na baczność przegradzał drogę przed nią, w dali usłyszała dźwięk trąbek ogłaszających zbliżanie się królewskiego orszaku.

Do diabła z nimi, pomyślała, wyobrażając sobie wszystkich członków rodziny Thormanów. No, nie wszystkich. Był jeden, o którym wolała nie myśleć, jeden, którego istnienie ignorowała.

Rozejrzała się szybko, rozważając możliwe wyjścia. Niemal każdy w tłumie górował nad nią, a wszyscy parli naprzód, usiłując zająć jak najlepsze miejsce przy skrzyżowaniu. Gdyby tylko w jakiś sposób zdołała się przekraść przez Główną! W tym akurat niski wzrost mógł się okazać pomocny. Zanurkowała pod ręką drepczącej przed nią kobiety, potem zaczęła przepychać się naprzód, aż w końcu dotarła do strażników. Stali tam, zwróceni do niej plecami, okryci płaszczami barwy tak ciemnej zieleni, że wydawały się niemal czarne. Kate nie zdołała spojrzeć zza nich, by ustalić, jak daleko znajduje się orszak, ale nie miało to znaczenia. Nie zamierzała się spóźnić, zwłaszcza po wczorajszym wieczorze. Odetchnąwszy głęboko, śmignęła między strażnikami na pustą ulicę.

– Stój! – krzyknął ktoś, ona jednak biegła dalej, licząc, że szybkość i drobna postura uchronią ją przed schwyтaniem.

I znów się pomyliła. Jeden ze strażników, nieważne, czy zmotywowany zbliżaniem się członka rodu królewskiego, czy po prostu dzięki szczęściu zesłanemu przez bogów, zdołał złapać ją za koniec warkocza. Nagłe szarpnięcie pozbawiło Kate równowagi i wylądowała na zadku, czując falę bólu przebiegającego po kręgosłupie i szyi. Gwałtownie kłapnęła zębami, przygryzając dolną wargę, a usta wypełnił jej żelazny smak krwi.

– Podnieście ją! – huknął jeden z mężczyzn. – Książę Corwin prawie tu jest.

Dźwięk tego imienia uderzył Kate niczym bykowiec. Dźwignęła się niezgrabnie, gotowa gryźć i drapać, byle tylko się uwolnić. Była zdolna do wszystkiego, żeby uciec, nim dotrze tu orszak.

Ale strażnik nadal trzymał ją za czarny warkocz, na wszelki wypadek owinąwszy go wokół palców.

– Coś ty sobie myślała? – Szarpnął po raz drugi. – W dodatku kurierka poczty. Powinnaś wiedzieć lepiej.

– Puść mnie. – Kate wyciągnęła szyję, bezskutecznie próbując się uwolnić.

– Złóżcie z ulicy! – huknął drugi strażnik. – Już tu są.

Kate przestała walczyć i pozwoliła odciągnąć się na bok, dwaj strażnicy wystąpili naprzód, zasłaniając ją.

– Proszę, puśćcie mnie. – Nienawidziła się za błagalny ton głosu, ale rozpaczliwie pragnęła uciec. – Nie chciałam sprawić kłopotu, spóźnię się i...

– Bądź cicho. – Kolejne szarpnięcie warkocza, tym razem tak mocne, że aż krzyknęła.

Natychmiast przełknęła ów dźwięk, lecz ze ściśniętym sercem pojęła, że jest za późno. Orszak już tu dotarł. Książę jak zawsze jechał pierwszy, a po jego bokach tuzin konnych – niektórzy odziani w liberię gubernatora Farholdu, inni w norgardzką, ojczystego miasta rodziny królewskiej. Ojczystego miasta Kate.

Nie, już nie.

Spuściła wzrok, wbijając spojrzenie w bojowego rumaka księcia, wysokiego gniadosza z białym paskiem na pysku. Na jego widok poczuła nagły ból w piersi. Tego konia spłodził Tancerz Cieni, ulubiony ogier jej ojca. Wszędzie by go poznała. Odwracając wzrok, powtarzała sobie, że wszystko będzie dobrze, gdy tylko przejadą.

Metaliczny stukot stalowych podków na bruku umilkł nagle i Kate znów nie chciała patrzeć. *Dobrzy bogowie, sprawcie, bym stała się mała. Słodka Farrah, bogini nocy i cieni, uczyn mnie niewidzialną.*

– Co to za zamieszanie? – Głos był znajomy, należał do gubernatora Prewitta, najpotężniejszego człowieka w Farholdzie. – Ty tam, wystąp naprzód i wytłumacz się!

Kate zebrała się w sobie, gdy strażnik wypchnął ją z cienia na skrzyżowanie i brukowaną ulicę.

– Proszę o wybaczenie, mości gubernatorze. – Pokłonił się nisko, kolejnym bolesnym szarpnięciem warkocza zmuszając Kate, by uczyniła to samo. – Ta kurierka poczty próbowała przebić się przez nasz szereg.

– A tak, kurierzy zawsze bardzo się spieszą – przemówił inny głos; ten także brzmiał znajomo. Był niższy, bardziej dojrzały, niż kiedy słyszała go po raz ostatni, ale natychmiast go rozpoznała.

Książę Corwin. Dźwięk ów poruszył w niej dawno pogrzebane emocje – gniew doprawiony goryczą i coś jeszcze, czego nie zamierzała nazywać.

– Z pewnością jednak – podjął książę – nie stała się żadna szkoda...

Spojrzenie w górę było błędem, ale Kate nie mogła się powstrzymać.

Corwin patrzył na nią. Ze zdumienia otworzył usta, jego oczy zrobiły się okrągłe.

Kate nie odrywała od niego wzroku. Jej serce stało się odrębną istotą żyjącą wewnątrz niej, szarpało się i dygotało. Tak wiele rzeczy pragnęła powiedzieć. *Pozwoliłeś, żeby mój ojciec umarł. Zniszczyłeś mi życie.*

Złamałeś mi serce.

To ostatnie natychmiast zagłuszyła. Ta myśl do niej nie należała, już nie.

– Zna pan tę dziewczynę, Wasza Wysokość? – spytał gubernator Prewitt.

Książę nie odpowiedział. Jego jasnobłękitne oczy barwy zimowego nieba wciąż wpatrywały się w nią, a szczęka poruszała się w przód i w tył, gdy analizował, co widzi. Na tę myśl Kate zrobiło się niedobrze – brudna tunika, umazana błotem spódnica, potargane włosy. Setki razy wyobrażała sobie tę scenę, dzień, gdy ich drogi znów się skrzyżują, ale zawsze wyglądała wówczas idealnie, roztaczając wokół aurę życiowego powodzenia, zwycięstwa nad trudnościami, które między innymi i on na nią zesłał. Tymczasem wyglądała niewiele lepiej od żebraczki przesiadującej w rynsztoku.

Dopiero po chwili zorientowała się, że ma zakrwawioną wargę, i otarła ją szybko. Całkowicie straciwszy pewność siebie, odwróciła wzrok, za bardzo się denerwowała. Spojrzała na napierający tłum, każdy chciał się jej przyjrzeć. Wychwyciła szmer, gdy ktoś ją rozpoznał.

Zdrajczyni Kate... Zdrajczyni Kate...

– Wasza Wysokość? – naciskał gubernator Prewitt. – Czy zna pan tę młodą niewiastę?

Kate znów zerknęła na Corwina. Przystojny jak zawsze – nadal miał ciemnoblonde włosy i opaloną twarz, wykutą chyba przez bogów, bo każdy rys i kąt zaplanowany był tak, by pasował do pozostałych, od mocnych kości policzkowych po kanciastą szczękę. Wszystko prócz nosa, bardziej skrzywionego, niż zapamiętała, i wąskiej, białej blizny przecinającej podbródek. Źródło owych obrażeń skrywała tajemnica, której nikt nie rozwiązał. Gazety z Norgardu przezwały go Zbłąkanym Księciem, ponieważ kiedyś zniknął na niemal dwa lata. Wrócił parę miesięcy temu, ale ludzie wciąż wysnuwali szalone teorie co do tego, gdzie się podziewał i co robił. Ku irytacji Kate, z bliznami wyglądał jeszcze lepiej.

Niech go piekła pochłona.

– Nie – odparł w końcu Corwin. – Nie znam jej.

Słowa te były niczym policzek i Kate natychmiast wbiła wzrok w konia. Nagle ogarnęła ją pokusa: jedno lekkie pchnięcie magią i mogła przekazać koniowi nieopanowane pragnienie, by zrzucił jeźdźca. Kiepska zemsta, ale lepsza niż żadna.

– Ale też nie zamierzam przeszkadzać jej w pracy – dodał Corwin. – Puśćcie ją.

– Jak sobie życzysz. – Gubernator skinął głową strażnikowi trzymającemu

Kate, który w końcu wypuścił jej warkocz. Skłoniła się szybko i odwróciła się, gotowa do biegu.

– Zaczekaj chwilę, jeźdźcy – zawołał nowy głos. – Coś upuściłaś.

Wbrew sobie Kate zatrzymała się i obejrzała. Mężczyzna jechał obok Corwina na innym koniu jej ojca, a na jego ramieniu przycupnął tresowany sokół, którego łebek skrywał czarny kapturek. Kate nie poznała szlachcica o czarnych włosach i ogorzalej twarzy; na tunice z miękkiej, gładkiej wełny zafarbowanej na czerwono i obszytej złotem nie widniały żadne insygnia. Z rozbawioną twarzą wskazywał coś leżącego na ziemi przed końmi.

Wzrok Kate powędrował ku przedmiotowi lśniącaemu na bruku. Pas księżycowy. Dotknęła kieszeni spódnicy w nadziei, że to pomyłka, ale poczuła tylko tkaninę. Jej szyję ogarnął pałacy rumieniec pełnący w górę.

– To twoje? – spytał szlachcic.

Zatrzymała się, żeby podnieść pas i niezgrabnie schować go do kieszeni. Do jej uszu dotarły szepty zebranych, zarumieniła się jeszcze mocniej. Starając się ich zignorować wyprostowała ramiona i uniosła głowę.

Nie miała się czego wstydzic. Nie była już dziewczyną, która musi przejmować się reputacją. Co z tego, jeśli ma jakiegoś „chłopca igraszkę”, jak to nazwała Signe. Co z tego, że może szuka fizycznej pociechy i rozkoszy. Jest tym, kim jest. Kate Brighton. Kurierką pocztową.

Jestem zdrajczynią Kate, pomyślała i choć raz poczuła, że czerpie siłę z tego miana.

– Dziękuję, mój panie. – Poczuła ulgę, uświadomiwszy sobie, jak mocno zabrzmiał jej głos. Znów się skłoniła.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej. Ku jej irytacji był równie przystojny jak książę, a w jego lewym uchu lśnił magiczny kamień. Zastanawiała się, co skrywa jego czar.

– Bardzo proszę – odparł. – I powodzenia we wszystkich twoich przedsięwzięciach: zarówno tych zawodowych, jak i prywatnych.

Kilka osób z tłumu ryknęło śmiechem na tę aluzję, sokół na ramieniu mężczyzny poruszył się nerwowo. Kate zaryzykowała szybkie zerknięcie na Corwina; nie potrafiła nic odczytać z jego twarzy, ale jego oczy płonęły zimnym ogniem.

I znów zapragnęła użyć swojej magii. Mogłaby spłoszyć wszystkie ich konie, zamienić tę bandę szlachty w stado głupców usiłujących utrzymać się w siodłach. Nikt by się nie zorientował, w końcu konie płoszą się co i rusz

z najdziwniejszych powodów.

I wtedy zauważyła mistrza magistę jadącego na tyłach orszaku; jego twarz przesłaniała pełna biała maska. Niebieskie szaty wskazywały, że należy do zakonu obronnego, jednego z najpotężniejszych i najniebezpieczniejszych. Podobnie jak wszyscy magiści ze wszelkich zakonów – niebieskiego, zielonego, brązowego, czerwonego, białego i złotego – nosił przy sobie maczugę o głowicy wysadzanej magicznymi kamieniami. Wśród nich był też jeden, który rozbłyskiwał w obecności magii dzikunów.

Strach ostudził jej gniew tak szybko, jak zimna woda rozżarzoną stal. *Nigdy nie korzystaj z tego daru, kiedy ktoś cię widzi, malutka*, usłyszała w głowie słowa ojca tak wyraźnie, jakby stał obok niej. Nie mogła uwierzyć, jak niewiele brakowało, by złamała tę zasadę. A gdyby to uczyniła, ten i tak koszmarny dzień okazałby się znacznie gorszy.

W tym momencie, jakby odpowiadając jej myślom, odezwał się donośny dzwon oznaczający godzinę ósmą. A więc spóźniła się. Jeszcze raz pozwoliła sobie zerknąć z niechęcią na księcia, a potem odwróciła się i odeszła, czując, jakby coś wewnątrz niej pękło.

Owszem, ten ranek stanowczo nastał zbyt wcześnie. Żałowała, że w ogóle nadszedł.

3

CORWIN

Książę Corwin westchnął z ulgą, gdy wraz z eskortą bez dalszych incydentów dotarł do południowej bramy Farholdu. Po obu stronach bramy, unosząc ku sobie skrzydła tak, że tworzyły łuk, przez który wjeżdżali goście, przycupnęły dwa masywne posągi sów, symboli Farrah, bogini patronki miasta. Mury tego odległego miasta należały do najbardziej imponujących w całym Rime, były wysokie na pięćdziesiąt stóp, grube na dziesięć, dodatkowo wzmocniono żelazem.

Jeszcze bardziej imponująca była liczba otworów na kamienie strażnicze. Dzieliły je od siebie zaledwie cztery stopy.

Ojcowie założyciele Farholdu bardzo poważnie podchodzili do ochrony miasta przed nocnymi gadźcami – *choć też trochę optymistycznie*, dodał w myślach Corwin. Zagłębień było dosyć, ale jedynie w co trzecim tkwił obecnie aktywny kamień strażniczy. Owe zaklęte klejnoty jaśniały z różną mocą – niektóre lśniły niczym księżyc w pełni, inne ledwie widocznie w promieniach porannego słońca. Zastanawiał się, czy miasto było kiedyś dość bogate, by w każdym otworze osadzić aktywny kamień. To dopiero byłby widok, całe miejsce rozświetlone magią.

Żałował, że nie może tego zobaczyć. Potrzebował czegoś, co pozwoliłoby przegnać zalewające umysł wspomnienia.

Kate Brighton była tu, w Farholdzie, i świadomość tego sprawiła, że spał się cały. Nigdy nawet nie śnił, że jeszcze kiedyś ją zobaczy, nieważne, ile razy jego myśli wędrowały ku niej przez ostatnie trzy lata, ile razy zastanawiał się, gdzie jest i jak sobie radzi.

Czy ona w ogóle o mnie myślała?

Wyglądało na to, że w końcu uzyskał odpowiedź na przynajmniej kilka pytań.

Zdrajczyni Kate, tak ją nazywali. Poczul w piersi straszliwy ucisk żalu i wyrzutów sumienia. Była tak piękna, jak ją zapamiętał – kruczoczarne włosy, złocista skóra muśnięta słońcem i wielkie, jakże wielkie oczy barwy bursztynu. Ale starsza. Dojrzała. Kiedy ostatni raz ją widział, miała zaledwie

szesnaście lat, a on sam właśnie skończył siedemnaście. *Teraz ma dziewiętnaście i jest kobietą.* Przypomniawszy sobie pełną życia dziewczynę, zawsze skora do śmiechu i mówiącą bez ogródek co myśli, obdarzoną temperamentem nagłej letniej burzy. Teraz sprawiała wrażenie zmęczonej i twardej, niczym skóra gotowana tak długo, aż straci wszelką miękkość.

Bez wątpienia lata te nie były dla niej łaskawe. Kiedyś roztaczała się przed nią świetlana przyszłość. Urodziła się w szlacheckiej rodzinie, choć pomniejszej, nie obdarzonej tytułem, jedynie ziemią. Dzięki pozycji ojca, koniuszego arcykróla, ród cieszył się szacunkiem i bogactwem. Aż do dnia, gdy Hale Brighton próbował zamordować ojca Corwina. Teraz perspektywy Kate ograniczyły się jedynie do następnego kursu. Przynajmniej kurierka poczty to szanowany zawód, choć niebezpieczny.

A może te lata nie były dla niej wcale takie ciężkie? Przypomniawszy sobie pas księżycowy. To kosztowna ozdoba, może prezent od bogatego kochanka albo nawet męża? Natychmiast poczuł ukłucie zazdrości, ale raz na zawsze przegnał te myśli. *Kate Brighton to już nie moja sprawa.*

Skupił uwagę na pięknym, pogodnym ranku. Teraz, gdy znaleźli się za miastem, lekki wietrzyk łagodził upał. Wokół panowała błogosławiona cisza, hałaśliwi trębacze zostali przy bramie. Ze wszystkich irytujących rzeczy, jakie przyszło mu znosić podczas objazdu pokojowego, do którego zmusił go starszy brat, trąby były najgorsze. Rozbrzmiewały tak przeszywająco głośno i pretensjonalnie, że na samą myśl o nich czuł mdłości. A jednak musiał je znosić, wszędzie, dokąd się udał, czekali na niego trębacze gotowi ogłosić wszem i wobec obecność księcia. *Mam szczęście, że nie anonsują też moich wizyt w wygodce.*

Wszystko to było takie absurdalne. Ci ludzie patrzyli na niego jak na kogoś ważnego, kto mógłby odmienić ich życie, a to przecież była nieprawda. Jego brat Edwin był księciem mogącym to zrobić. Z czasem pogodzą się z tym faktem tak jak on sam.

Po obu stronach głównego gościńca z Farholdu ciągnęły się gospodarstwa. Po lewej proste, solidne płoty wyznaczały poszczególne pola, zagrody dla bydła, owiec bądź kóz. Zwierzęta pasły się za dnia, a przed zmierzchem pasterze zaganiali je do obór i komórek w mieście. Następnego ranka znów tu powracały. Po prawej stronie, na starannie oddzielonych półkach rosły soja, kukurydza, pszenica, a nawet bawełna.

Corwin widział te pola, gdy przybył do Farholdu, ale że już zmierzchało,

bardziej skupiał się na dotarciu do miasta przed zapadnięciem zmroku, niż na oglądaniu okolicy. Większość miast-państw z Rime polegała na jednym podstawowym towarze. W Andreas był to węgiel, w Aldervale drewno. Jego własne miasto, stolica Norgard, specjalizowało się w zwierzętach – głównie koniach przeznaczonych dla wojska.

Teraz odwrócił się do gubernatora Prewitta.

– Zawsze słyszałem pogłoski, że Farhold jest całkowicie samowystarczalny. Teraz rozumiem, jak to jest możliwe.

Prewitt uśmiechnął się, co sprawiło, że jego i tak krągła twarz wydała się jeszcze szersza. Płaski, oklapły nos między rumianymi policzkami.

– W istocie, Wasza Wysokość. Sami produkujemy mięso, zboża, ubrania. Kilka mil na zachód, u stóp Gór Popielnych, mamy nawet odkrywzkową kopalnię rudy żelaza.

– Imponujące.

Przez sekundę Corwin chciał nawet dodać, że chętnie ją zobaczy, ale zmienił zdanie. Gubernator z pewnością natychmiast zorganizowałby wycieczkę, a to oznaczałoby kolejny dzień w Farholdzie. Miasto wyglądało wprawdzie interesująco, ale był tu już dość długo, a musiał odwiedzić jeszcze trzy zachodnie prowincje, nim wreszcie zakończy długą wyprawę i wróci do domu. Zmęczyło go powolne tempo i nieustanne oficjałki. Choćby teraz, najchętniej popuściłby wodze Tancerza Burzy i dotknął piętami boków rumaka.

Zupełnie jakby wyraził to pragnienie na głos, jego przyjaciel Dallin Thorne pochylił się w siodle.

Może poprosimy pocziwego gubernatora, by pozwolił nam pojechać przodem? – wyszeptał mu do ucha. – Taki otwarty gościniec aż się prosi o wyścigi.

Corwin odpowiedział uśmiechem. Przez moment faktycznie miał wielką ochotę się zabawić, ale potem przypomniał sobie, że wśród strażników z pewnością znajdują się szpiedzy brata, z zapalem donoszący Edwinowi o każdym jego błędnym posunięciu. A doszło już do kilku, choćby w Eetmark, gdzie podczas pożegnalnego bankietu wypił nieco za dużo wina i nazwał najwyższego kanclerza nic niewartym osłem. Mniejsza, że była to prawda – jak inaczej nazwać człowieka, który uznał, że zamiast odbudować spalony sierociniec, wzniesie w jego miejsce nową świątynię Eetolyn?

Z pewnością każda bogini godna oddawania czci bardziej ceniłaby sobie

opiekę nad dziećmi niż nową świątynię. Ale też seksualne rytuały praktykowane przez kapłanki Eetolyn bez wątpienia przekonały mężczyznę. *To wciąż nic niewarty osioł*, pomyślał Corwin, mimo wszystko jednak nie chciał dawać bratu dodatkowych pretekstów do wygłoszenia mu kazania po powrocie.

– Albo też – Dal konspiracyjnie zniżył głos – może wolisz zaczekać i urządzić sobie wyścig z tą ładniutką kurierką z miasta? Tą, której ponoć nie znasz?

Palce Corwina zacisnęły się na wodzach, gdy znów ujrzał w myślach twarz Kate. Dal zamokał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Wiesz chyba, że nikt ci nie uwierzył? Po prostu zbyt dobrze pamiętali o twojej pozycji, aby wytknąć ci tak oczywiste kłamstwo. – Teraz przemawiał swobodniej, bo ich norgardzkie rumaki wyprzedziły towarzyszy, dosiadających mniej rasowych koni o krótszych nogach. Mrugnął porozumiewawczo. – Ale nieważne, wcześniej czy później wyciągnę z ciebie prawdę, wierz mi.

Corwin wywrócił oczami.

– Nie wątpię.

Po wygnaniu Kate Dal stał się jego najbliższym przyjacielem. Ale Kate znał przecież znacznie dłużej. Z początku łączyła ich dziecięca przyjaźń, wzniesiona na fundamentach rywalizacji, tego kto umie szybciej jeździć, lepiej walczyć. Później przyjaźń ta przerodziła się w coś znacznie ważniejszego – były więc skradzione pocałunki i sekretne dotknięcia. A potem jej ojciec omal nie zabił jego ojca i to na zawsze zmieniło wszystko między nimi.

Zakończył wszystko między nimi.

– I myślę, że spodoba mi się ta historia – dodał Dal, unosząc do ramienia prawą dłoń w rękawicy i zachęcając Lir, by na nią wskoczyła. Zdjął kapturek z głowy sokolicy, a potem wyciągnął rękę, wypuszczając troczki. Ptak wyprysnął w powietrze, Dal przez chwilę obserwował go, potem znów skupił wzrok na Corwinie. – Może i była nico brudna, ale nadal całkiem miła dla oka. I te usta, wprost stworzone do pocałunków.

Corwin ukrył irytację za zasłoną suchego kaszlu.

– Lepiej, żebyś nie rozmyślał za wiele o ustach tej dziewczyny. Odniosłem wrażenie, że nie zachwyciła jej nasza obecność. A może nie zauważyłeś tego?

– Ja? Oczywiście, że nie. W odróżnieniu od ciebie ja jej nie znam. – Dal zawiesił głos, gładząc dłonią szczecinę na brodzie, kiepsko maskującą zbyt idealny odcień skóry po lewej stronie twarzy, gdzie tkwiący w uchu kamień magiczny ukrywał blizny. – A zatem zaznajomiłeś się już z tymi ustami, to dobre wieści. Można odnieść wrażenie, że dziewczyna lubi takie rozrywki, zważywszy obecność pasa...

– Nie. – Corwin posłał przyjacielowi ostre spojrzenie. – Nie zaznajomiłem się i nie interesują mnie jej rozrywki.

– Ach tak, ewidentnie. – Dal znów mrugnął, bez wątpienia zachwycony, że w końcu udało mu się poruszyć Corwina.

Niełatwo było sprowokować podobną reakcję ale nie byłby sobą, gdyby nie spróbował. Corwin kochał go za to, ale i nienawidził. Wiedział, że bez niego spędziłby zbyt wiele czasu pogrążony we własnych myślach. Tylko Dal potrafił nieco złagodzić jego szorstkość.

– Przypomnij mi, po co w ogóle zabierałem cię w tę podróż? – Przekrzywił głowę.

– To instynkt samozachowawczy. – Dal przyłożył dłoń do serca. – Beze mnie umarłbyś z nudów.

– Jeśli dobrze pamiętam, to ty błagałeś, bym pozwolił ci pojechać ze mną. Mówiłeś coś o rozrywkach i przygodach.

Dal żartobliwie skłonił się w siodle.

– Jeśli Wasza Wysokość woli tę wersję prawdy.

Corwin pokręcił głową i wstrzymał Tancerza Burzy. Po chwili znów zrównał się z Prewitem.

– Jak szybko dotrzemy do rezydencji Gregorów, mój lordzie gubernatorze?

– Oceniam, że za jakiś kwadrans. – Prewitt zmarszczył brwi. – Wasza Wysokość, jesteś pewien, że nie chcesz posłać jeźdźca, by zaanonsował twoje przybycie? Pojawienie się bez zapowiedzi to wielka niegrzeczność.

– Przyznaję, że tak – odparł Corwin. Najchętniej w ogóle by tam nie jechał, ale to pragnienie odkrycia, dlaczego Marcus Gregor, były gubernator Farholdu, jeden z największych popleczników ich ojca, nagle zdecydował się wycofać z życia publicznego, sprawiło, że Corwin umieścił Farhold w planie objazdu pokojowego. Tą wyprawą Corwin miał wynagrodzić problemy, jakie wywołał znikając na kilka ostatnich lat. Karą za to były niekończące się obowiązki, których jednak uniknął podczas długiej podróży. *Obowiązki takie jak próby przyglądzenia nastroszonych piórek nadętych staruchów, zbyt*

dumnych, by poskarżyć się bezpośrednio arcykrólowi.

Z drugiej strony wolał nie myśleć, jak by go ukarano, gdyby kiedykolwiek wyszła na jaw prawda o tym, gdzie był.

Instynktownie jego wzrok powędrował ku karwaszowi okalającemu prawy przegub i skrywającemu tatuaż.

Corwin zmusił się do uniesienia wzroku. Westchnął.

– Ponieważ jednak lord Gregor odmówił spotkania ze mną, obawiam się, że jedynym wyjściem jest złożenie mu niezapowiedzianej wizyty.

Prewitt odchrząknął.

– Tak, oczywiście, ale jako że Gregor bez wątpienia ma swoje powody, by się wycofać, nie oczekiwałbym ciepłego powitania.

Corwin istotnie się go nie spodziewał. W całym Rime wiara w arcykróla bardzo osłabła. Orwin Thormane nigdy w pełni nie doszedł do siebie po próbie zabójstwa, a rana, którą odniósł z ręki Hale'a, nie goiła się, ropiała i gniła, pozbawiając zdrowia zarówno jego ciało, jak i umysł.

Dal ściągnął wodze konia i dołączył do nich.

– Nie pojmuję, jak ktokolwiek mógłby poważyc się na taki brak szacunku wobec rodziny królewskiej.

– To dlatego, że urodziłeś się w czasach arcykrólów, mój lordzie Thorne, i że pochodzisz ze wschodu. – Prewitt roześmiał się i śmiech ów zabrzmiał zaskakująco przyjemnie i niewinnie. Był z rodzaju tych, do których pragnie się dołączyć. – Tu, w Farholdzie, sprawy mają się inaczej. Przed Sevańską Inwazją nie przywykliśmy do kłaniania się królowi.

Dal zmarszczył brwi.

– Ale Inwazja miała miejsce pięćdziesiąt lat temu i odtąd władą nami arcykról.

Prewitt znów się roześmiał.

– Z pewnością komuś tak młodemu wydaje się, że to okropnie długo, ale pamiętaj, że zanim miasta zjednoczyły się pod rządami arcykróla, przez ponad tysiąc lat rządziłyśmy się sami. To bardzo długo i nikt o tym nie zapomniał.

– Och, pamiętam lekcje historii – odparł cierpko Dal. – Tysiąc lat wojen i rozlewu krwi, dlatego miasta tak niechętnie służą arcykrólowi.

Corwin posłał Dalowi wymowne spojrzenie. Miał już powyżej uszu tego tematu. Od tygodni słuchał, że na wschodzie jest niespokojnie, że w miastach dochodzi do protestów przeciwko rządóm arcykróla, kupcy strajkują

z powodu podatków, a zagrożenie Powstaniem jest coraz większe. Miał ochotę zatkać uszy i zacząć nucić pod nosem, byle tylko zyskać chwilę spokoju.

Prewitt wzruszył ramionami z ugodową miną.

– Nie, żebyśmy nie doceniali nowych porządków. Arcykról Orwin to godny władca, każdego dnia czerpiemy zyski ze zjednoczenia z innymi miastami. Choćby most nad Redrush, który kazał wznieść.

Corwin zauważył, jak zręcznie Prewitt zmienił temat. Oto cecha wytrawnego polityka. Edwin bardzo by go szanował, zwłaszcza że to brat, a nie ich ojciec, zlecił budowę mostu. W dzisiejszych czasach Orwin rządził już tylko formalnie.

– Tak, most to cud inżynierii i wspaniałe osiągnięcie. – Prewitt pokiwał głową; mimo wietrzyku na czubku jego głowy perlił się pot. – Bardzo ułatwia wszystkim podróżnym dotarcie do Andreas. Teraz nie musimy już polegać na niepewnych przeprawach promowych.

I zasili królewskie kufry sporą sumką, kiedy Edwin nałoży już myto, dodał w myślach Corwin. Zastanawiał się, co powie Prewitt, kiedy się o tym dowie.

– Przypuszczam, że najbardziej spodoba się kurierom pocztowym – wtrącił Dal i kilka razy poruszył brwiami, wymownie patrząc na Corwina. – Zgodzi się pan, Wasza Wysokość?

– Bez wątplenia – odrzekł Corwin, ignorując zawartą w słowach aluzję.

Skręcili z głównego gościńca w węższą dróżkę wiodącą przez zagajnik. Drzewa rosły tu dość gęsto, można by go nazwać nawet lasem. Dziwna woń unosząca się w powietrzu poruszyła pamięć Corwina; próbował ustalić jej źródło, ale nie potrafił, za bardzo tłumił ją słodki zapach wiecznopłaczków. Dziesiątki barwnych kwiatów wyrastały wszędzie, gdzie tylko do ziemi dotarły promienie słońca. Mimo to coś w tej niewyraźnej woni wzbudziło w nim niepokój.

Kiedy parę minut później wyłonili się spomiędzy drzew, jego niepokój zamienił się w grozę. Przed nimi pośrodku rozległej polany wznosił się dwór Gregora. Z wysokiego na trzy piętra i dwakroć szerszego domu pozostała jedynie wypalona skorupa, z kilku gontów wznosiły się smugi dymu.

Pożar, pomyślał Corwin, w końcu kojarząc zapamiętany zapach. *I spalone ciała.* W żołądku wezbrały mu mdłości, zaczął oddychać płytko, żeby je powstrzymać. Przez sekundę znów był szesnastolatkiem, wokół rozbrzmiewały przerażone krzyki, a ogień szalał na centralnym norgardzkim

rynku. Słyszał krzyki matki nakazujące mu, by wspiął się na dach, by ratował...

Nie, nie chcę o tym teraz myśleć. Odepchnął wspomnienie. Gubernatorowi Prewittowi opadła szczęka, jego policzki drżały.

– Co tu się stało?

– Śmierć i zniszczenie. – Dal głośno wypuścił powietrze.

– Ale kto? I jak?

Corwin oderwał wzrok od ruin domu, badając otaczający go mur. Włoski na karku zjeżyły mu się, gdy odkrył, że osadzone w nim kamienie strażnicze roztrzaskano na kawałki. To nie był przypadkowy pożar, ten dom zaatakowano. Choć mur miał jakieś piętnaście stóp wysokości, nie zdołał powstrzymać nocnych gadźców. Tylko kamienie strażnicze mogły tego dokonać, ale ktoś z rozmysłem je porozbijał. Corwin przesunął wzrokiem po zniszczeniach i odkrył, że coś rozwaliło też bramę.

Kilku ludzi jadących wraz z nimi wymieniło spojrzenia i szepty:

– Czy to nocne gadźce?

– Niemożliwe, wiesz chyba, że nie zieją ogniem.

– Kiedyś ziały.

– To przesąd.

– Musieli to zrobić dzikuni.

Powstanie. Corwin poczuł narastające napięcie.

Gubernator Prewitt uciszył orszak jednym skinieniem dłoni.

– Wy czterej sprawdźcie otoczenie domu, reszta do środka, zbadajcie wszystko. Musimy się dowiedzieć, czy ktokolwiek przeżył.

Corwin poważnie w to wątpił, dom wydawał się dosłownie wypatroszony, każda widoczna powierzchnia zwęglona, okna wybite. Dzikuni to było jedyne rozsądne wytłumaczenie. Przez kilka ostatnich miesięcy najwyższa rada otrzymała dziesiątki meldunków o tak zwanym Powstaniu i atakach w całym Rime.

Ale zwykle były to tylko drobne potyczki, napady na karawany czy na członków Ligi Magów. Nigdy nie słyszał o uderzeniu w tak wielki neutralny cel jak ta rezydencja. Przeciwnie, z tego, co rozumiał, Powstanie stanowiło jedynie ogólną ideę, tu i ówdzie podchwytywaną przez dzikunów żyjących w lęku przed odkryciem ich przez inkwizycję, a nie prawdziwy ruch podziemny. Nawet ich symbol – lew w aureoli wschodzącego słońca, malowany na ścianach i wycinany na pniach drzew – różnił się od siebie

mocno w zależności od miasta.

Widząc dziurę w ziemi parę stóp dalej, Corwin skierował ku niej Tancerza Burzy. Koń stąpał nerwowo, gdy jeździec starał się podprowadzić go na tyle blisko, by zajrzeć do środka. Po sekundzie zrozumiał wahanie zwierzęcia – dziura okazała się tak głęboka, że nie sięgnął okiem dna.

– To musiało być Powstanie. – Dal zatrzymał się obok niego, w jego głosie dźwięczała nuta niechętnego podziwu. Zupełnie jakby starożytne opowieści ożyły: dzikuni, którzy potrafili zsyłać deszcz ognia, wzywać wichurę i błyskawice, a nawet rozedrzeć ziemię. W niektórych historiach twierdzono, że podczas Wojny Trzech, o ponad dwieście lat konfliktu poprzedzającego Sevańską Inwazję, dzikuni wybili w ziemi dziury tak głębokie, że pierwsze nocne gadźce zdołały wydostać się nimi z samych trzech piekieł.

– Po co Powstanie miałoby atakować Gregorów? – spytał Corwin.

– By urazić arcykróla – rzekł lekko Prewitt. – Lord Marcus jest największym zwolennikiem pańskiego ojca na zachodzie.

Był, poprawił w myślach Corwin, Był, nie jest.

Zawrócił Tancerza Burzy, kierując go ku otwartym wrotom rezydencji. Przeczesał wzrokiem przypalone drewno, szukając znaku słonecznego lwa w którejkolwiek jego wersji, ale nic nie znalazł.

– Um, Wasza Wysokość – zagadnął gubernator Prewitt – czy nie lepiej, żebyś został tutaj, póki nie upewnimy się, że jest bezpiecznie?

Corwin dobył miecza, uniósł go tak, by stał błysnęła w słońcu; miał też pistolet, ale jeśli chciał kierować koniem, mógł używać na raz tylko jednej broni. Poza tym pistolet miał w sobie samotną kulę, miecza można było użyć wielokrotnie.

Jego puklerz zwisał z boku, gotowy, by w razie konieczności po niego sięgnąć.

– Może – odparł. – Ale nie zamierzam.

– Ale Wasza Wysokość, nie masz zbroi ani...

Corwin ruszył naprzód, nie zważając na protesty gubernatora. Jeśli za atak odpowiadali dzikuni, miał obowiązek zarówno osobisty, jak i publiczny, by sprowadzić ich przed oblicze sprawiedliwości. Znów ujrzał w myślach twarz matki, strach odcisnięty na jej czole w chwili, gdy ogarnął ją tłum, tratując w szalonej, panicznej ucieczce przed ogniem ogniem rozpalonym przez dzikuna zdecydowanego zranić jak najwięcej osób. A działo się to, zanim jeszcze zaczęli organizować się w Powstanie. Nie, Corwin nie zamierzał

czekać beczynn timer.

Dal natychmiast do niego dołączył.

– Dzięki bogom, myślałem już, że skonom tu z ciekawości.

On także dobył miecza. Choć na jego twarzy rysował się chłopięcy zapał, to broń dzierzył pewną ręką mężczyzny, który wie, jak jej używać. I wiedział aż za dobrze, obaj wiedzieli – ta umiejętność połączyła ich podczas przygód z dala od Rime.

Gdy przejechali przez bramę na dziedziniec, smród znacząco się nasilił. Corwin zamrugał powiekami, oczy go paliły, i zaczął oddychać przez usta, starając się nie myśleć o swądzie palonego ciała. Tancerz Burzy parsknął w proteście, rozszerzając chrapy. Dziedziniec zaścielały trupy, rozrzucone tu i tam jak zbezczeszczone posągi. Nie udało się ich policzyć, kilka spłonęło razem, bliscy tulili się do siebie aż do końca. Corwin nie mógł zrozumieć, czemu tak wielu zajęło się ogniem. Budynek wzniesiono głównie z kamienia, z pewnością zdążyliby uciec, nim pożar się rozszerzył. I wtedy przyszło mu do głowy wyjaśnienie – to musiało być dzieło dzikuńskiej magii.

Corwin i Dal skręcili w prawo, reszta thormańskich strażników podążyła za nimi, zaś ludzie Prewitta skierowali się w lewo. Dal przyglądał się mijanym trupom, Corwin jednak patrzył w górę i przed siebie, skupiając wzrok głównie na uszach wierzchowca. Jeśli gdzieś czaiło się niebezpieczeństwo, Tancerz wyczuje je pierwszy. Rumak niepokoił się, wyginał szyję i grzbiet i parskał przy każdym kroku.

Okrążyli pierwszy narożnik domu i przekonali się, że zniszczenia ciągną się dalej. Na ziemi leżały kolejne zwłoki, wszystkie spalone nie do poznania. W dali ujrzeli zwisające resztki drugiej bramy, z której trzy czwarte zniknęły.

Napastnicy musieli więc otoczyć cały dom.

Słyszając hałas za bramą Corwin zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza i skierował konia w tamtą stronę. Za ogrodzeniem wypatrywał płonące ognisko, obok niego klęczał człowiek. Gdy tylko ich dostrzegł, zerwał się z ziemi i umknął.

– Stój! – Corwin wbił pięty w boki Tancerza i skierował go za uciekającym, który zniknął na wąskiej ścieżce wiodącej przez las.

Ścigając go, książę rozglądał się wśród drzew i wypatrywał innych wrogów. Ocierał się kolanami o pnie drzew i krzaki, gałęzie chwytaly go za włosy niczym palce. Mimo to Tancerz z łatwością doganiał mężczyznę. Już prawie go dopadli, kiedy ścieżka otworzyła się, wychodząc na polanę.

Dotarłszy do mężczyzny, Corwin pochylił się w siodle i chwycił go za tył tuniki. Uwolnił stopę ze strzemięcia i powalił nieznajomego. Tancerz zatrzymał się natychmiast, tak jak go wyszkolono. Corwin szybko zeskoczył i przyłożył miecz do leżącego twarzą do ziemi na trawie człowieka.

– Obróć się powoli i spójrz na mnie.

Tamten posłuchał, przekręcając się niezgrabnie na grzbiet. Corwin nie opuszczał broni, przygważdżając go wzrokiem do czasu, aż dołączyli do niego Dal i pozostali jeźdźcy. Kącikiem oka dostrzegł, że Dal chwytając wodze Tancerza Burzy i podprowadza go bliżej.

– Kim jesteś?

Nieznajomy pokręcił głową, równie łąsą jak głowa gubernatora Prewitta. Jego twarz pokrywały dziobate blizny i brud, tunikę miał umazaną krwią i sadzą. Prawy rozerwany rękaw odsłaniał muskularne przedramię, okolone błękitnym tatuażem.

Corwin przysunął miecz do gardła tamtego.

– Nie spytam ponownie: kim jesteś i co tu robisz?

W odpowiedzi mężczyzna otworzył usta, dobył się jednak z nich tylko bełkotliwy dźwięk. W miejscu języka ziała czerwona dziura.

– Co się tu dzieje, do trzech piekieł? – spytał Dal, dołączając do Corwina. Ten cofnął się o krok, robiąc miejsce leżącemu mężczyźnie.

– Wstań.

Nieznajomy posłuchał, dygocząc ze strachu. Corwin zmarszczył brwi, zaskoczony głębią jego przerażenia. Z pewnością wiedział, że gdyby chciał go zabić, już by to zrobił.

– Uważaj, Corwinie! – krzyknął Dal, chwytając tamtego, który sięgnął do kieszeni po broń. Jego ręka wysunęła się pusta, otoczona chmurką dymu. Przez sekundę Corwin sądził, że tamten przyzywa ogień, potem jednak przekonał się, że to magia zupełnie innego rodzaju – nie wiedział jakiego, ale odskoczył wystraszony.

Dym zamienił się w dwie długie, czarne, przypominające węże macki. Wsunęły się do ust mężczyzny, znikając w jego gardle. Na jego twarzy i rękach wystąpiły czarne linie, podążające wzdłuż żył, rozległ się krzyk. Żyły napęczniały i pękły, rozbryzgując się na ciele czerwienią zmieszana z czernią sadzy. Krzyki mężczyzny gwałtownie ucichły i runął na ziemię martwy.

Zasłaniając usta, Corwin odwrócił się od niego. Ludzie dookoła zadrżeli

z jękiem, kilku z nich zaczęło się krztusić.

Przynajmniej jeden zwymiotował.

Gubernator Prewitt i pozostali dołączyli do nich.

– Co się tu stało?

Prewitt zsiadł z konia z głośnym łoskotem lądując na trawie. Podał wodze jednemu ze strażników, potem zbliżył się do ciała. Corwin opisał szybko, co się wydarzyło, strażnicy wokół czynili ochronne gesty.

Po kilku sekundach Prewitt uniósł głowę.

– Ten człowiek pochodził z Andreas – oznajmił.

Corwin odetchnął głęboko, by się uspokoić, i z wysiłkiem przyjrzał się zwłokom.

– Skąd wiesz?

– Ten tatuaż. – Prewitt wskazał błękitny rysunek okalający przedramię mężczyzny, ledwie widoczny na zniszczonej skórze. – To znak górnika, wszyscy ludzie pracujący w kopalniach Andreas taki noszą. Tusz świeci w ciemności, dzięki temu łatwiej znaleźć ciała, jeśli dojdzie do wypadku.

Stojący obok Dal zmarszczył nos.

– To dość nieprzyjemne. – Uniósł wiszący na szyi gwizdek z kamieniem magicznym i dmuchnął w niego. Gwizdek nie wydał żadnego dźwięku, przynajmniej takiego, który słyszeliby ludzie, lecz gdzieś w górze Lir zaskwirzyła donośnie w odpowiedzi na milczące wezwanie.

– Ale co to za magia, ten dym? – naciskał Corwin. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Sądziłem, że dzikuni potrafią tylko manipulować żywiołami... ogniem, ziemią, powietrzem i wodą.

– I czasami duchem – dodał Prewitt. – Tak przynajmniej twierdzą najstarsze opowieści.

– Od stuleci nie widziano żadnego dzikuna z mocami ducha. – Dal wyciągnął rękę, pozwalając wylądować sokolicy.

– Zgadza się, lordzie Thorne. – Prewitt pokiwał głową. – Nie widziano.

Corwin rozważył implikacje tego słowa. To prawda, dzikuni żyli w ukryciu. Wytępienie całej ich rasy stanowiło było jednym z głównych celów istnienia Ligi Magów i przez ostatnie trzy lata, od chwili powołania inkwizycji i utworzenia złotego zakonu, szło im to coraz lepiej. Wcześniej dzikunów skazywano na śmierć tylko wtedy, kiedy odkryto, że władają dziką magią. Teraz Liga aktywnie ich wyszukiwała, w każdym mieście i osadzie w Rime obowiązywał królewski dekret pozwalający złotym szatom badać

obywateli, niezależnie od wieku. Czy to możliwe, że ci z talentem ducha po prostu cały czas unikali wykrycia? Nie wiedział, ale w przypadku magii takiej, jaką dopiero co oglądał, przypuszczał, że wszystko jest możliwe. Znał co najmniej tuzin ludzi, którzy oddaliby prawą rękę, byle tylko zdobyć podobną broń.

– Lordzie gubernatorze! – krzyknął jeden ze strażników, wpadając na polanę, by do nich dołączyć. – W ognisku, które rozpałił ten człowiek, leżał trup nocnego gadźca!

Corwin, Prewitt i Dal podążyli za nim. Corwin wbił wzrok w zwęglone szczątki. Strażnik miał rację – wśród nich leżało też truchło gadźca. Nie potrafił jednak tego zrozumieć. Gadźce nie mogły tego zrobić, jak zatem znalazły się tutaj? Nocne gadźce pożerały truchła współbraci, po co więc je palić? Zupełnie jakby próbował rozwiązać łamigłówkę o zniekształconych kawałkach.

– Co mamy robić, Wasza Wysokość? – spytał gubernator Prewitt.

Corwin milczał, czuł się nieco skrępowany tym pytaniem i odpowiedzialnością, która spadła na jego barki. Wreszcie odezwał się:

– Przypuszczam, że powinniśmy zabrać zwłoki górnika do Farholdu i dać je do zbadania magistom. Może wiedzą coś więcej na temat magii, która go zabiła. Musimy też dokładnie przeszukać dom i teren wokół.

Prewitt przytaknął.

– Czy zatem przedłużysz swój pobyt w Farholdzie?

Corwin rozważył to pytanie. Jego niepokorne myśli znów powędrowały ku Kate. Gdyby został, być może znów by się na nią natknął. Jeśli starczyłoby mu śmiałości, mógłby nawet sam to zorganizować.

Ale ta droga wiodła tylko ku bólowi i złamanemu sercu.

– Nie – rzekł. – Nie przedłużę pobytu. Skoro człowiek ten przybył z Andreas, to jeszcze jeden powód, bym kontynuował objazd. – *No i pamiętajmy, że lord Nevan z Andreas to jeden z największych przeciwników mojego ojca*, dodał w myślach. – Miałem odwiedzić je jako następne, wyruszymy jutro.

– Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość – odrzekł Prewitt – lecz biorąc pod uwagę, że atak ten mógł być skierowany przeciwko arcykrólowi, z pewnością ktoś z twego orszaku powinien zostać, by dowiedzieć się, co odkryją magiści.

– Ja zostanę – wtrącił Dal, nim Corwin zdołał odpowiedzieć. Corwin

posłał przyjacielowi podejrzliwe spojrzenie, tamten jednak wzruszył ramionami. – To nie powinno potrwać długo. Z łatwością was dogonię.

Corwin oparł się pokusie, by wywrócić oczami. Doskonale rozumiał kierujące Dalem motywy – opóźniając wyjazd, mógł uniknąć powolnego tempa jazdy, które musieli utrzymywać, by nie wyprzedzić królewskiej karawany. *Sam powinienem się był zgłosić.*

Westchnął głośno.

– Jesteś pewny, lordzie Thorne?

– Zupełnie pewny. – Kąciki ust Dala uniosły się w lekkim uśmiechu. – To da mi czas, bym dokładniej zwiedził to urocze miasto. Bardzo chcę też odwiedzić dom poczty.

Corwin odwrócił wzrok, by ukryć grymas irytacji. Dal mógł sobie robić, co chce z Kate.

To nie moja sprawa.

Choć bardzo tego żałował.

4

KATE

Nim Kate dotarła do domu poczty, apel już się zakończył. Gdy przekroczyła próg budynku biurowego przylegającego do głównej stajni, pozostali jeźdźcy wychodzili właśnie z sali spotkań, ich buty ciężko tupały na drewnianej podłodze.

Przez sekundę spróbowała schować się w jednym z pomieszczeń służbowych, ale, jak zwykle ostatnio w jej życiu, z tym także się spóźniła.

– Znów spóźniona, zdrajczynie Kate! – zawołał znajomy głos.

Zebrała się w sobie, gotowa na powtórkę z wczorajszego dręczenia. Widziała, jak Cord skręca ku niej. *Tym razem mnie nie sprowokuje*, poprzysięgła w duchu.

Zatrzymał się przed nią, zagradzając drogę. Przesunął dźwigane na biodrze siodło na drugie, by je odciążyć. Jako jedyny jeździec nosił je ze sobą, większość wołała przechowywać je w siodlarni, wygodnie umieszczonej w stajni. Ale nie Cord. Jego siodło było zbyt cenne, by powierzać je komukolwiek innemu – tak przynajmniej twierdził. I istotnie, sporo kosztowało. Zrobione było na zamówienie z najlepszej cielęcej skóry, miało mosiężne mocowania i złote nici. Takie siodła produkowano wyłącznie dla szlachty. Kate dobrze je znała – to kiedyś należało do jej ojca.

Widok siodła w ramionach Corda jak zawsze przywołał głęboko skrywane emocje, tyle że tym razem, po spotkaniu z księciem Corwinem, zdecydowanie mocniejsze. Zupełnie jakby tego dnia przeszłość zdecydowała się ją prześladować.

Siodło było jedną z nielicznych rzeczy ojca, jakie pozwolono jej zatrzymać po egzekucji. Oddała je poczcie, żeby pokryć opłatę za termin. Było warte trzy razy więcej, ale nie miała nic innego. Okrutnym zrzędzeniem losu, pecha i polityki pocztowej teraz należało do Corda. Zmusiła się, by oderwać od niego wzrok i spojrzeć mu w twarz płonącymi oczami.

– Co cię tym razem zatrzymało? – spytał Cord. – Wyglądasz, jakbyś tarzała się w rynsztoku. – Uśmiechnął się, a potem skrzywił. – Błę, co zrobiłaś? Nocowałaś w rzeźni z Pipem?

Kate zacisnęła dłoń w pięść. Tak bardzo chciała go uderzyć.

– Zresztą nieważne – rzucił, po czym dodał drwiąco przepraszającym tonem: – Ale powinnaś wiedzieć, że... niestety... straciłaś swój kurs. – Uśmiechnął się, nie pozostawiając cienia wątpliwości, komu to zawdzięcza.

Kate chciała go wyminąć, przepychając się między innymi jeźdźcami, ale Cord złapał ją wolną ręką. Wyrwała mu się natychmiast.

– Nie dotykaj mnie.

Uśmiech na jego twarzy zmienił się w szyderczy grymas.

– Wierz mi, nie interesuje mnie dotykanie ciebie. Zresztą kogo by to interesowało? Zdrada może być zaraźliwa.

Nie odpowiadaj, nie – och, na ognie piekielne.

Posłała mu zimny uśmiech.

– Cóż, to dla mnie świetna nowina. Teraz nie będę musiała się martwić, że zarażę się od ciebie głupotą. Parsknął.

– Czyli jestem głupi? Przynajmniej umiem zjawić się na czas.

– O tak. – Kate wywróciła oczami. – Bo to takie trudne, gdy mieszkasz w domu pocztowym. Po prostu wyłazisz z łóżka i jesteś na miejscu.

Oczy Corda zwięzły się.

– Przecież możesz nocować z chłopakami. Jak mówiłem, taka zdrajczyni nie musi się obawiać niechcianych zalotów.

Kate poczuła, że do oczu napływają jej zdradzieckie łzy, emocje znów ją pokonały. W myślach ponownie ujrzała twarz Corwina, który patrzył na nią jak na obcą osobę, na kogoś nieznanego i niezasługującego na uwagę. Kogoś nieważnego.

Ale kiedyś była ważna. Kiedyś. Kiedyś jej pragnął.

Odepchnęła od siebie te myśli, powstrzymując łzy siłą woli wykutą przez lata trudów.

– Jakby jakakolwiek dziewczyna była przy tobie bezpieczna. Wystarczy jedno spojrzenie i...

– Kate Brighton!

Wzdrygnęła się i odwróciła. W drzwiach sali spotkań stał Diakon Lewis przyglądający jej się z miną tak niezadowoloną, że w sekundę przegnał resztki gniewu.

– Musimy zamienić słowo – oznajmił, cofając się do środka.

Kate przełknęła ślinę i podążyła za nim.

– Miłej jazdy do Andreas, zdrajczyni Kate! – zawołał za jej plecami Cord.

– Mam nadzieję, że pójdzie ci lepiej niż biednej Elizie.

Na tę nowinę poczuła w sercu nagłą grozę. Wiedziała, że straci swój kurs, ale nie miała pojęcia, że przypadnie jej szlak do Andreas. Po tym, jak Eliza Caine kilka tygodni temu nie wróciła, diakon zabronił kurierkom wypraw na tę trasę.

Nikt nie wiedział tak naprawdę, co się stało, tyle tylko, że nocne gadźce pożarły ją i jej konia. Podczas poszukiwań znaleziono tylko resztki siodła, torbę pocztową i strzępy ubrania. Większość sądziła, że zawiniły problemy z przewoźnikami w Redrush. Odkąd arcykról Orwin zlecił budowę mostu, przewoźnicy ze wszystkich sił starali się przeszkadzać jeźdźcom, często zmuszali ich do czekania aż do zmierzchu, nim pozwolili na przeprawę. Zwłaszcza kobietom. Przewoźnicy z Redrush uważali siebie przede wszystkim za Andrean i większość wierzyła, że kobiety nie mają czego szukać w fachu wymagającym jazdy konnej, noszenia broni i bryczesów pod spódnicą.

Diakon czekał w głębi sali obok postumentu. Za nim, na wielkiej tablicy, widniały szczegóły kursów tego tygodnia, Kate przebiegła ją wzrokiem. Szybko odnalazła własne nazwisko obok trasy do Andreas otoczone charakterystycznymi smugami. Zerknęła na szlak do Aldervale – ten, na który powinna wyruszyć – i zupełnie nie zdziwiła się, widząc tam nazwisko Corda. Nie był najstarszym z jeźdźców, ale zbierał najwięcej punktów honorowych, dzięki czemu mógł pierwszy zażądać zmiany. Oczywiście to, jak Cord, syn naczelnego pocztmistrza, zarabiał owe punkty, to już zupełnie inna kwestia.

Zatrzymała się kilka stóp od diakona i niechętnie spojrzała mu w oczy. Nadal patrzył na nią z niezadowoleniem, gładząc palcami blizny.

– Ile razy ci powtarzałem, żebyś nie wdawała się w sprzeczki z Cordem ani innymi jeźdźcami?

– Setki. – Oparła się pokusie przestąpienia z nogi na nogę. – Przepraszam, już wcześniej byłam w kiepskim nastroju, a on świetnie umie mnie sprowokować.

Diakon pokręcił głową.

– To mnie nie obchodzi. Wiesz, że jesteś od niego lepsza. Musisz przestać dawać się prowokować. Jeśli poskarży się na ciebie ojcu, nie zdołam cię ocalić.

Kate prychnęła.

– Nie ma szans. Za bardzo lubi się nade mną znęcać, żeby mnie wywalić. Diakon z westchnieniem skrzyżował ręce na piersi.

– Możliwe, że masz rację. – Zerknął przelotnie na tablicę. – Przynajmniej kurs do Andreas nie będzie tak trudny, jak się spodziewasz.

– Czemuż to? – Uniosła jedną brew.

– Rada pocztowa postanowiła wydłużyć go o dodatkowy dzień. To zrekompensuje ci opóźnienie z powodu kłopotów z przewoźnikami.

Kate zagryzła wargę, starannie rozważając odpowiedź. Nade wszystko nie chciała okazać mu braku szacunku.

– To świetnie, jeśli chodzi o przewoźników, ale nie pomoże nam unikać nocnych gadźców. Słońce przecież zachodzi o tej samej porze.

– Z tym też mogę ci pomóc. – Diakon skierował się do biurka stojącego w kącie sali, gdzie najczęściej pracował.

W pobliżu miał prywatny gabinet, ale nie cierpiał ciasnych pomieszczeń, a ta sala była dość duża, by wygodnie pomieścić trzydzieści osób. Kate podejrzewała jednak, że diakon, gdyby mógł, najchętniej pracowałby na dziedzińcu, pod gołym niebem. To ich łączyło.

Otworzył najniższą szufladę i wyciągnął z niej trzy kamienie strażnicze wielkości pięści, jarzące się świeżą magią.

Położył je na zasłanym pergaminami i mapami blacie. Następnie ze środkowej szuflady wyjął duży klucz i podał go jej.

– Ten klucz otwiera wieżę pocztową pół mili na wschód od przeprawy w Redrush. Znasz ją?

Kate, marszcząc brwi, przyjęła klucz.

– Jasne, ale od lat stoi zamknięta. W ogóle nadaje się do użytku?

– Powinna. Kazałem Hendersonowi, żeby przyjrzał się jej w drodze powrotnej z ostatniego kursu do Andreas. W studni wciąż jest woda, a mury są mocne. Te kamienie wystarczą, by cię ochronić nocą, jeśli będzie trzeba. Przed wyjazdem trafią do twojej torby. Wyruszasz w południe.

– Dziękuję. – Kate starała się przelać w te słowa jak najwięcej wdzięczności.

Kamienie strażnicze i klucz do wieży to były pierwsze miłe aspekty tego dnia, a wyjazd w południe dawał dość czasu, by mogła się umyć i zajrzeć do przyjaciela, Bonnera. Zawsze to robiła po powrocie z kursu.

– Bardzo proszę, ale nie jestem tak szczodry, jak można by sądzić. Chcę, żebyś dziś rano obejrzała konie. – Diakon znów pomasaował blizny na

przedramieniu, Kate zastanawiała się, czy kiedyś zupełnie ich nie zetrze.

Skinęła głową, choć nie zachwyciła jej ta prośba. Inspekcje nie należały do jej zadań, ale diakon już wcześniej odkrył, że Kate Brighton odziedziczyła po ojcu zdolność doskonałej oceny zwierząt. Zazwyczaj potrafiła stwierdzić, który koń może okuleć czy w jakiś sposób wpłynąć na kurs. *Ale nie zawsze*, pomyślała, przypominając sobie Pipa.

Istniało także pewne ryzyko. Nie sądziła, by diakon podejrzewał prawdę – że jest dzikunką umiejącą porozumiewać się z końmi ale musiała zachować ostrożność. Gdyby okazała się zbyt przenikliwa i wykryła problem, na który nie wskazywały żadne objawy fizyczne, diakon albo ktoś inny mógłby się domyślić. Ktoś taki jak Cord pewnie był zbyt głupi, by zrozumieć, co naprawdę oznacza tak świetna ocena, ale nie magiści. Nieczęsto odwiedzali dom pocztowy, nie miała jednak pojęcia, jak blisko muszą się znaleźć, by ich kamienie wykryły dzikuńską magię. Nie zamierzała tego sprawdzać.

– Nie prosiłbym – dodał diakon – ale ostatnio rada pocztowa przygląda nam się uważnie. To przez śmierć Elizy to wszystko.

Kate znów zagryzła wargę.

– Na pewno chce pan, żebym to zrobiła? Nie zauważyłam rany Pipa, a potem było już za późno.

– Nikt nie jest doskonały, Kate. Nie wątpię, że gdyby Pip zdradzał jakiegokolwiek objawy, dostrzegłabyś je. – Wiara pocztmistrza sprawiła, że Kate poczuła się odrobinę lepiej. Wcisnęła klucz do kieszeni, gdzie z brzękiem uderzył o pas księżycowy.

Przywołała na twarz uśmiech.

– Załatwię to od razu.

Później tego ranka opuściła swój pokój „Pod Laską i Kielichem”, tym razem wymyta i ubrana w świeżą tunikę, bryczesy i spódnicę. Na wyraźne żądanie Signe założyła nawet pas księżycowy.

– Nie bądź taką cnotką, Kate – naciskała przyjaciółka. – Nawet jeśli nie masz nikogo do zabawy, przynajmniej powstrzyma to comiesięczne krwawienia. Jak można odmówić takiego daru?

Kate nie mogła. Przynajmniej pas tkwił bezpiecznie ukryty pod ubraniem i tym razem nie wypadnie jej już z kieszeni. Mimo to jego ciężar wokół talii sprawiał, że idąc przez miasto, czuła się niezręcznie, była pewna, że każda mijana osoba wie, że go nosi. Zdawała sobie sprawę, że to niemądre – teraz, kiedy nie należała już do szlachty, jej cnota nie miała żadnego znaczenia –

ale niełatwo odrzucić wpajaną w dzieciństwie moralność.

Toma Bonnera zastała w kuźni na tyłach warsztatu kowalskiego ojca. Twarz miał czerwoną od ognia i błyszczącą od potu. Zdjął tunikę, pozostając tylko w spodniach i cienkiej koszuli z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi potężne ręce.

Na jej widok jego chłopięcą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Wątpiłem już, czy się zjawisz.

Kate ściągnęła z ramienia juki i położyła na najbliższym krześle.

– A czy kiedyś się nie zjawiłam? – spytała z szerokim uśmiechem.

Prychnął.

– Więcej razy niż bym chciał.

– Nie wszyscy możemy być tak doskonali i punktualni jak ty, Tomie Bonnerze.

– Wiem i wielka szkoda. Gdyby wszyscy mnie przypominali, świat byłby lepszym miejscem.

Kate wcale w to nie wątpiła.

– Ale nie mogę zostać długo.

– To też wiem. – Żelaznymi cęgami wyjął z pieca podkowę, nad którą pracował i wrzucił rozgrzany metal do pobliskiego koryta. Zarówno woda, jak i metal zaprotestowały przeciwko kontaktowi donośnym syczeniem.

Bonner odłożył szczypcę, okrążył palenisko i podszedł do Kate. Choć byli w tym samym wieku, niemal co do dnia, górował nad nią o półtorej stopy i co najmniej dwa razy przewyższał szerokością. Chwycił ją w objęcia, wyciskając powietrze z płuc.

Kate zachichotała i poklepała go po plecach.

– Widzieliśmy się zaledwie cztery dni temu. – Uścisnął ją mocniej. – Ja też tęskniłam, ale zaraz zemdleję.

– Taka krucha. – Wypuścił ją z westchnieniem. Potem wyprostował się na pełną wysokość i popatrzył na nią z góry zielonymi jak mech oczami. Kasztanowe włosy wiązał w krótki kucyk na karku. Był przystojny jak niedźwiedź – zwalisty i groźny, ale jednocześnie kusząco łagodny. – Dlatego właśnie martwię się, że pewnego dnia nie wrócisz.

Kate dźgnęła go palcem w pierś – zupełnie jakby uderzyła o litą skałę.

– Wcale nie jestem krucha, a ty najlepiej ze wszystkich ludzi powinieneś wiedzieć, jak mało prawdopodobne jest, że nie wrócę.

Posłał jej mroczne spojrzenie.

– Fakt, że potrafisz rozumieć konie, nie oznacza, że nie może cię spotkać nic złego. Martwię się o ciebie, Kate.

Wzruszyła ramionami, wbijając wzrok w podłogę. Nie wiedział, jak niewiele się mylił, ale nie zamierzała mu mówić Pipie. Oprócz Signe, tylko Bonnerowi ujawniła swoją magię, a i to wyłącznie dlatego, że on sam także był dzikunem – ziemistą. Potrafił panować nad minerałami i rudami, szczególnie zaś talent przejawiał do pracy w metalu. Odkryła w nim tę zdolność przypadkowo – dzięki jego nieostrożności – gdy odwiedził dom pocztowy, by podkuć kilka koni, posłużył się talentem, aby wyprostować zgiętą podkowę bez młota. Większość ludzi pewnie by nic nie zauważyła, ale Kate tego dnia zwracała szczególną uwagę. Później upomniała go za to, że tak otwarcie posłużył się swymi zdolnościami, ale dopiero po tym, jak sama mu się zwierzyła.

Jej wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Cieszę się, że się martwisz, za nic bym z tego nie zrezygnowała. Ty i Signe to jedyne dwie osoby na całym szerokim świecie, które zauważyłyby moją nieobecność, gdybym jutro umarła. To chyba rekord. – Przemawiała lekko, żartobliwie, lecz po bolesnym poranku prawda uderzyła ją niczym młotem i uśmiech zniknął z jej twarzy.

Na szczęście Bonner już się odwrócił, zmierzając w kierunku szafki po przeciwnej stronie warsztatu. Na ścianach obok niej wisiały miecze, noże, włócznie, maczugi, morgensterny i różne inne bronie.

– Lepiej mieć dwie osoby, które naprawdę szczerze cię kochają, niż całe miasto niepewnych przyjaciół – rzucił przez ramię.

– Gadasz zupełnie jak twój ojciec – rzekła Kate, po czym skrzywiła się, widząc, jak plecy Bonnera sztywnieją. – Przepraszam, ja nie... To miał być komplement – odchrząknęła. – Jak on się czuje, lepiej?

Bonner wyciągnął z szafki drewnianą skrzyneczkę i postawił na stole. Poruszał się ostrożnie, łagodnie, jakby trzymał dziecko.

– Nie.

Kate westchnęła cicho. Już od miesięcy ojciec Bonnera tkwił przykuty do łóżka, powalony chorobą, której uzdrowiciele nie zdołali wyleczyć. Prawdę mówiąc, wątpiła, by istniało na nią lekarstwo. Już wcześniej widywała efekty działania choroby wyniszczającej, a mości Bonner zdradzał jej wyraźne objawy. Ale nie odważyła się powiedzieć to głośno jego synowi.

Podeszła do Bonnera i poklepała go po ramieniu.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – odparł i w jego głosie znów zadźwięczała nutka optymizmu. – Lada dzień dojdzie do siebie. Kate zdołała lekko pokiwać głową, a potem, szukając lżejszego tematu do rozmowy, wskazała skrzynkę.

– Skończyłeś pracę nad ostatnim modelem?

Jego twarz rozjaśnił pełen zapału uśmiech.

– Ledwie zeszłej nocy. I tym razem, Kate, jestem pewien, że dokonałem przełomu.

– Mówiłeś to już raz czy dwa wcześniej. – Poglądziła palcem podbródek. – Zaczekaj, w sumie chyba ze sześć razy.

Bonner prychnął i z oburzeniem wypiął pierś.

– Wszystkie nowe wynalazki wymagają czasu i doszlifowania. Każdy ci to powie.

Uniósł wieczko, ukazując leżący w środku pistolet, tyle że nie przypominał on żadnego już znanego Kate. Ładowany od tyłu zamiast przez lufę, z okrągłą komorą na pociski. Bonner nazwał go rewolwerem, bo komora pocisków obracała się po każdym naciśnięciu spustu. Od miesięcy miał obsesję na punkcie zbudowania pistoletu, który mógł strzelać kilka razy bez przeładowania i mieściłby dostatecznie wiele pocisków, by zastąpić zakłętę przez magów strzały, na których teraz polegali kurierzy pocztowi. Zaklęcia nie były tanie i Bonner chciał zapewnić Kate lepszą obronę przed nocnymi gadźcami; w istocie chciał ją zapewnić całemu Rime, choć rzadko wspominał głośno o swoich ambicjach. Podobnie jak większość dzikusów nienawidził Ligi Magów, tyle że jemu nie chodziło o niesprawiedliwość prześladowań, lecz koszt ich magii.

Zielone szaty może wyleczyłyby mu ojca, gdyby Bonner mógł sobie pozwolić na zapłatę.

Teraz wyjął rewolwer z pudełka i wręczył Kate.

– Ta sama idea, lepsze wykonanie.

Od ciężaru opadła jej ręka, lecz rękojeść doskonale leżała w dłoni. Wycelowała w jeden z mieczy na ścianie, odciągnęła kurek i wystrzeliła. Nienaładowany, wydał tylko cichy trzask, ale sama komora zadziałała gładko. Kate nacisnęła ponownie, podziwiając łatwość, z jaką się obracała.

– No dobrze. – Opuściła broń. – Przyznaję, jest lepiej wykonany, ale na pewno tym razem się nie zatnie?

– Tak, jestem pewien. Wszystko opiera się na nowych pociskach, zobacz.

– Wyciągnął jeden ze skrzynki i pokazał Kate.

Machnięciem ręki rozmontował pocisk magią.

– Bonner – syknęła – nie rób tego. Co będzie, jeśli akurat wejdzie magista?

– Posłuż mi do ćwiczenia celności.

Pokręciła głową zirytowana jego niemądrymi popisami. W dzisiejszych czasach ryzyko używania magii w mieście jeszcze wzrosło, wszędzie roilo się od złotych szat polujących na dzikunów. Kate uważała, że winę za to ponoszą pogłoski o atakach Powstania. Wolała, żeby przestali, przemoc tylko zwiększała poparcie dla inkwizycji, utrudniając sekretne życie dzikunom takim jak ona czy Bonner. *A on właśnie igra z niebezpieczeństwem.* Liga Magów chciała oczyścić całe Rime z dzikunów, Powstanie tylko w tym pomagało.

Bonner, wskazując rozłożone na dłoni wnętrzości pocisku zaczął tłumaczyć zawile to, że płaszcz trzeba zrobić z miedzi, bo miękki metal łatwiej ściślej dopasować do lufy, co zapobiega odrzutowi w tył. Kate skrzywiła się – wiedziała aż za dobrze, co oznacza ów odrzut. O mało nie straciła ręki, „testując” poprzednie wersje. Ta też budziła w niej spore obawy.

– Cóż, szczerze mówiąc, zmiana metalu to pomysł Signe – przyznał Bonner – bo tylko ona wie, jak działa czarny proch. Ale to ja wybrałem miedź, dzięki własnemu zrozumieniu metali.

I twojej zdolności manipulowania nimi, uzupełniła w myślach Kate. Oto największa ironia kolejnych prób Bonnera stworzenia nowej broni – jej powstanie nadal wymagało magii. Współczesne narzędzia niczego by nie działały, choć nie wiedziało o tym zbyt wielu zadowolonych klientów kowala.

– Cóż – rzekła – mam nadzieję, że tym razem się nie mylisz.

Bonner i Signe pracowali nad tym razem od początku swej przyjaźni. Czarny proch, substancja kluczowa dla procesu umożliwiającego strzelanie z każdego pistoletu, produkowano wyłącznie w Esh, można go jednak było kupić w większości sklepów w Rime. Z jakiegoś powodu zwykła mieszanka nie działała w modelu Bonnera – miało to coś wspólnego z jej czasem spalania. Signe musiała to jakoś zmodyfikować. Sekret mieszania czarnego prochu znali wyłącznie siostrzeństwo Furen Mag, tajemniczy i tajny zakon eshiańskich rzemieślniczek i – z przyczyn, których nigdy nie ujawniła – Signe Leth. Była jednak zdecydowanie za młoda, by nauczyć się tego fachu, nawet gdyby wstąpiła do zakonu. Bonner i Kate próbowali wyciągnąć z niej

prawdę, ale Signe odmawiała odpowiedzi. W sumie to właśnie ich sekrety, zarówno te, którymi się dzielili, jak i nieujawnione, złączyły ich, wzmacniając więzi przyjaźni.

– To co, wypróbujesz go? – Bonner niecierpliwie uniósł brwi.

– Chyba muszę – odparła z rezygnacją.

Rozpromieniony oplótł ramionami jej talię, uniósł ją i obrócił.

– Dziękuję, tym razem zadziała i w końcu będę mógł przestać się o ciebie martwić.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała, gdy postawił ją na ziemi. – Odrobina troski to całkiem miła sprawa. – Jej głos załamał się, bo znów zaatakowało ją wspomnienie Corwina.

– Co się stało? – Zaniepokojony Bonner zmarszczył czoło.

– Nic takiego, po prostu miałam nieprzyjemny ranek.

– Co się stało? – powtórzył, biorąc się pod boki.

Zagryzając wargę, Kate zastanawiała się, czy mu powiedzieć, czy nie. Nagle jednak opowieść sama dosłownie wylała jej się z ust. Zawsze tak było w obecności Bonnera – otwartość to był niemal odruch. Fakt, że kowal znał jej przeszłość z Corwinem nieco pomógł. Z jakiejś przyczyny tę historię opowiedziała tylko jemu, nie Signe. Teraz zdołała zrelacjonować ją bez płaczu, ale nie zdołała go oszukać.

Bonner znów chwycił ją w niedźwiedzie objęcia.

– Zapomnij o nim, on się nie liczy.

– Wiem, jestem taka niemądra.

– Nie jesteś, trudno stanąć oko w oko ze swoim dawnym życiem. – Odebrał jej rewolwer i wsunął do kabury. – Ale teraz masz nowe życie i przysięgam, że zawsze będę się tobą opiekował. – Wręczył jej kaburę niczym obietnicę.

Słyszając to, Kate poczuła tępy ból w piersi. Mówił to już wcześniej, ale nie na poważnie. Och, na pewno ją kochał, lecz nie w sposób, który przetrwałby wieki, nie tak, jak chciała być kochana. Ich miłość przypominała uczucie brata i siostry, pewnego dnia jednak Bonner znajdzie kogoś, kto poruszy głębsze zakamarki jego serca, tak jak niegdyś w jej przypadku Corwin. Przez sekundę żałowała, że nie jest inaczej – że Bonner tak jej nie kocha, a ona jego, ale żadne życzenia nie mogły odmienić ich serc, a pożądaniem nie da się kierować.

Przełykając żal, przyjęła kaburę i wcisnęła do juków wraz z pudełkiem

nabojów.

– Muszę już ruszać albo się spóźnię.

– Bezpiecznej jazdy, szybkiego powrotu. – Cmoknął ją przyjacielsko w czubek głowy i pchnął ku drzwiom.

Pospieszyła na dwór, starając się zmusić umysł, by skupił się na czymkolwiek prócz Bonnera i przyszłości, którą miał przed sobą, na żonie i dzieciach, na które przeleje swe uczucia. Kobieta, która go zdobędzie, będzie szczęściarą. Jej nie czekała podobna przyszłość. Kto by zechciał córkę zdrajcy.

Starając się uciec od własnych myśli i obrazu twarzy Corwina, przyspieszyła kroku i wkrótce dotarła do domu poczty.

Diakon już na nią czekał. Trzymał wodze gniadego wałacha zwanego Darby. Kate szybko przypięła juki z tyłu siodła i wskoczyła na koński grzbiet.

– Kamienie strażnicze są w sakwie. – Diakon sprawdził popręg Darby’ego.

– Dorzuciłem też kilka valenów. Może przekonają przewoźników, by pozwolili ci się przeprowić. Na wszelki wypadek.

– Dzięki. – Kate mocniej zacisnęła dłonie na wodzach, Darby nie mógł się już doczekać jazdy, czuła, jak uderza kopytami o ziemię. Ona też się niecierpliwiła, chciała uciec z Farholdu i od dzisiejszych problemów. Nieważne, ile czasu tu spędzała, miasto nigdy nie wydawało jej się domem, tylko przystankiem na drodze. Zdecydowanie nie była tu u siebie.

Diakon dwukrotnie poklepał gniadosza po szyi.

– Niech dopisuje ci szczęście Farrah.

Kate wyjechała ze stajni na ulicę, a kiedy minęła już bramę, pozwoliła Darby’emu poszaleć i spuścić nieco pary. Wiatr gwizdał jej w uszach, szarpiąc warkocz, gdy rozpędzali się coraz bardziej. Kiedy wyczuła już rytm kroków konia i stała się z nim jednością, poczuła, jak wzbiera w niej radość. Przez krótki czas, gdy mknęli naprzód, zostawiając za sobą okoliczne pola, nie była już zdrajczynią Kate, dziewczyną znienawidzoną w całym królestwie, odrzuconą przez przyjaciela i księcia, którego kiedyś kochała.

W takich chwilach, kiedy siedziała na koniu, dosłownie frunąc nad ziemią, dostrzegała fragmenty dawnego życia i znów stawała się Kate Brighton. Córką Hale’a Brightona, naczelnego koniuszego arcykróla. Była wolna. Miała przed sobą przyszłość. Była kimś, kto się liczy.

5

CORWIN

Zgoda na to, by Dal został w mieście, okazała się błędem, którego Corwin pożałował już następnego dnia niecałą godzinę po wyjeździe z Farholdu. Jechał na czele długiego, ociążałego orszaku wozów i konnych. Długiego, ociążałego i powolnego orszaku. Droga z Farholdu do Andreas miał niecałe pięćdziesiąt mil, kurier pocztowy mógł przebyć ją w dwa dni, jego karawanie jednak, złożonej z pięciu wozów, piętnastu zbrojnych strażników, sześciu służących, trzech magistów i jednego kucharza, miało to zająć dwakroć dłużej.

Gdyby choć miał u boku Dala, który go zabawiał, łatwiej przyszedłoby Corwinowi znieść tę mozolną jazdę. Ale chwilowo nie miał z kim rozmawiać. Owszem, mógł zamienić parę uprzejmych słów z kapitanem Morrisem czy nawet mistrzem Barrettem, królewskim doradcą, ale żaden z nich nie czuł się dość swobodnie, by z nim pogawędzić czy rzucić jakiś dowcip. A tego właśnie Corwin potrzebował, by oderwać umysł od burzy szalejącej w głowie.

Choć starał się skupiać na tajemnicy domu Gregora i martwym górniku, wciąż powracał myślami do Kate. Odtwarzał w pamięci ich przypadkowe spotkanie, myśląc, jak mógłby zachować się lepiej. Gdyby tylko miał dość czasu, żeby to zaplanować i gdyby nikt wokół nie słuchał. Najwyraźniej jednak ich związek był przeklęty. Może nawet od początku. Sam powiedział to Dalowi, gdy wyznał mu wszystko zeszłej nocy.

Uwolnił stopę ze strzemiesienia i jęknął, czując ból kolan. To najgorszy aspekt powolnej jazdy – zeszywniałe stawy po wielu godzinach w tej samej pozycji. Mógłby przesiąść się na jeden z wozów i spędzić ten czas względnie wygodnie, ale jego umysł by tego nie zniósł. Teraz przynajmniej od czasu do czasu nudę rozpraszały widoki. Powoli zsiadł z konia, czekając, aż do nóg znów napłynie krew.

Dotarli właśnie do jednego z miejsc postoju przygotowanego dla karawan przy trakcie do Andreas – szerokiej, okrągłej polany z kilkoma stałymi miejscami na ogniska i stojakami pełnymi drewna, darem arcykróla dla

podróżnych z Rime.

Podczas gdy służba i strażnicy zajęli się rozbijaniem obozu, Corwin rozsiadł Tancerza Burzy. Nie pozwalał, by ktoś go w tym wyręczył, choć czterech służących próbowało. Przynajmniej to jedno wolno mu było robić samemu i nawet Edwin nie mógł protestować; mieszkańcy Norgardu opiekę nad rumakiem bojowym uznawali bowiem za zajęcie godne szlachty.

Dzięki bogom, pomyślał Corwin, i pożałował, że Tancerz Burzy nie ubrudził się dwa razy mocniej. Powoli przecesał szorstkim zgrzebłem gładki umięśniony grzbiet wierzchowca. Choć spoza horyzontu skradała się ku nim noc, minie jeszcze kilka godzin, nim będzie gotów do snu. Przyłapał się na tym, że czyszcząc konia, co i rusz zerka na trzech magów w błękitnych szatach – mistrza, czeladnika i uczennicę – ustawiających barierę z kamieni strażniczych. Uczennica nosiła czarną maskę, zaledwie kilka odcieni ciemniejszą od jej skóry, przesłaniającą jedynie prawą stronę twarzy. Maskę czeladnika także była czarna, ale zasłaniała górną część oblicza, ostro kontrastując z bladością cery. Mistrz miał maskę białą, zakrywającą całą twarz.

Cała trójka zebrała się pośrodku obozu, stanęli naprzeciw siebie w kręgu, a każde trzymało w dłoniach kamień strażniczy wielkości ludzkiej głowy. Zaczęli chóralnie recytować słowa przywołania i magia w kamieniach rozbrzysła. Potem odwrócili się i ruszyli prosto przed siebie, podążając ku trzem wierzchołkom niewidzialnego trójkąta. Uczennica minęła Corwina. Patrzył, jak dociera na skraj obozu. Tam zatrzymała się i położyła kamień na ziemi. W chwilę później powstała magiczna bariera, a jej obecność zdradzało jedynie słabe migotanie wokół obozu, jakby promieni słonecznych załamujących się na odłamku szkła.

Corwin z powrotem skupił uwagę na Tancerzu i skończył szcزتkowanie konia. Zastanawiał się, czy pójść już do namiotu, ale wciąż dręczył go dziwny niepokój. Poprosił o podanie kolacji na dworze, potem usiadł przy niewielkim stoliku niedaleko jednego z ognisk. Z miejsca tego roztaczał się doskonały widok na tereny dokoła. Jadł powoli, a jego wzrok wędrował po otaczających ich wzgórzach porośniętych wiecznopłaczkami i czarotrawą, wśród których świergotały miliony nocnych owadów.

Kiedy skończył jeść, podszedł do niego mistrz magista.

– Czy mógłbym skorzystać z twojego stołu, Wasza Wysokość?

Corwin zamrugał, zaskoczony prośbą. Ogień rzucał na maskę barwy kości

roztańczone cienie, w otworach czarne oczy mężczyzny lśniły wilgotnym blaskiem.

Otrząsnąwszy się szybko, wskazał magiście puste krzesło naprzeciwko.

– Ależ oczywiście, chętnie powitam towarzystwo.

Przypuszczał, że z całego grona towarzyszących mu ludzi mistrz magista będzie najciekawszym rozmówcą, choć nie najmniej krępującym. W rozmowie z człowiekiem w masce było coś niepokojącego.

Lecz ku uldze i zdumieniu księcia, magista, siadając, zdjął maskę i położył ją na blacie obok. Skóra jego twarzy niemal jej dorównywała bielą, poza ciemnoczerwonym znamieniem pokrywającym grzbiet nosa i sięgającym aż pod oczy. To cieniorodny, pomyślał Corwin, przypominając sobie stary przesąd. Niektórzy wierzyli, że ludzie urodzeni z podobnymi znamionami zostają wezwani do służby Cieniom, piekielnym pomagierom bogów, którzy istnieją tylko po to, by dręczyć ludzkość i przeszkadzać jej na każdym kroku dla rozrywki swych boskich panów. Oczywiście były to czyste bzdury, a jednak Corwin poczuł dziwny lęk. Nie potrafił określić wieku magisty – niewątpliwie był starszy od niego, ale młodszy niż jego ojciec.

– Wątpię, czy będę przyjemnym towarzystwem – oznajmił tamten, wyjmując z ukrytej kieszeni talię kart – ale postaram się, jak umiem. Na imię mam Raith.

Corwin uniósł brwi. Fakt, iż magista zdjął maskę, był już dostatecznie dziwny, ale w dodatku się przedstawił? To kompletnie nie pasowało do zwykłej aury anonimowej jedności, którą wołała zachować Liga. W zakonach bywali co prawda magiści zajmujący na tyle wysokie pozycje, by nazywać ich publicznie, ale nie aż tak wielu. On sam znał tylko wielkiego mistrza Storra, przełożonego Ligi, i maistrę Vikas, mistrzynię Złotego Zakonu. Oboje służyli jako doradcy królewskiej radzie Norgardu, choć żadne z nich w niej nie zasiadało. Zgodnie z pradawnym prawem, zapisanym w traktatach Ligi, żaden magista nie mógł zajmować stanowiska politycznego. Nie posiadali nawet ziemi, poza terenami na północy, gdzie mieściła się akademia Ligi.

– Powiedz mi zatem, mistrzu Raicie – Corwin obserwował, jak magista układa karty w grze w solo – czy słyszałeś o ataku na domostwo Gregorów?

Zauważył, że czubki palców mężczyzny zabarwione są na czarno, jak po chorobie bądź urazie, a paznokcie są grube i szarawe.

– W istocie, Wasza Wysokość. Byłem tam.

– Naprawdę? – Corwin przekrzywił głowę, ze zdumienia otwierając usta. Zadał to pytanie jedynie po to, by zagaić jakoś rozmowę, bo o czym mógł mówić z magistą? Ale odkrycie, że Raith był na miejscu, podsuwało nowe tematy. – W takim razie, co myślisz o magii, która zabiła tego człowieka?

Raith odsłonił pierwszą kartę w rzędzie, szóstkę fletów.

– Chodzi ci o magię, za pomocą której się zabił?

Corwin przytaknął powoli. Owszem, tak to właśnie wyglądało. Zadrzał na samą myśl o tym, co mogło doprowadzić człowieka do tak ekstremalnej decyzji. Nie pierwszy raz oglądał coś podobnego: dzikun odpowiedzialny za śmierć jego matki również chciał umrzeć, tyle że chciał też zabrać ze sobą jak najwięcej niewinnych istnień.

– Czy zatem była to dzikuńska magia? Dar ducha, jak twierdził gubernator Prewitt?

Raith uniósł wzrok znad kart. Odwrócił dziesiątkę kamieni, nie najlepszą kartę na tym etapie gry.

– To trudne pytanie. Lękam się, że nie umiem odpowiedzieć ani nawet się domyślać.

– Czemu?

– Za mało informacji. Możliwe, że człowiek ów nie miał żadnego talentu magicznego.

– Absurdalne. Widziałem przecież, jak używał magii. – Corwin odchylił się na krzesło i splótł ręce na brzuchu.

Magista wzruszył ramionami.

– Wszyscy ludzie, którzy kupują uroki i zaklęcia sprzedawane przez Ligę, używają magii, Wasza Wysokość. Weźmy na przykład te karty. – Uniósł królową świec, którą właśnie odsłonił, i wymamrotał słowo przywołania. Kartę zalał pomarańczowy blask, poczynając od świecy w prawej dłoni kobiety, aż po aureolę wokół jej ukoronowanej głowy. Wokół stołu rozeszła się słaba woń płonącego kadzidła.

Corwin zapatrzył się w magię, prostą sztuczkę służącą jedynie temu, by zablokować kartę, aby gracz nie mógł oszukać i jej wymienić. Zrozumiał jednak natychmiast, co chciał mu przekazać Raith. Zwykli ludzie także posługiwali się tego typu magią, lecz zaklęcia sprzedawane przez Ligę w ich domach zakonnych były zwykle przyziemne – z góry zaplanowane czynności, zapisane w najróżniejszych kamieniach i innych drobiazgach. Oprócz kart sprzedawali też naszyjniki wzmacniające atrakcyjność

noszącego, pierścienie dodające odwagi bądź siły, pergamin ukrywający inkaust, dopóki ktoś nie wymówi wybranego słowa.

Wskazał gestem wciąż jaśniejącą królową.

– Takie zaklęcia to nieszkodliwe, frywolne drobiazgi, a nie śmiercionośne klątwy.

– Istotnie. – Raith kolejnym słowem zdjął czar i odłożył królową do talii. – Nadal jednak zawierają magię, tak samo jak inne zaklęcia magistów.

– Sugerujesz, że to czary magistów rozszarpały tego człowieka od środka?
– Corwin przypomniał sobie, jak tamten sięgnął po coś do kieszeni.

– Nie. – Raith pokręcił głową. – A przynajmniej nie było to zaklęcie zatwierdzone przez Ligę.

– To znaczy? – Corwin zmarszczył brwi.

Tamten odsłonił kolejną kartę.

– Z pewnością Wasza Wysokość wie, że wszystkie zakony pracują nad tworzeniem nowych zaklęć. Ulepszeniem naszych towarów. Wszystkie te zaklęcia trafiają do Ligi, która sprawdza je i akceptuje.

– Zatwierdza – przytaknął Corwin. – Tak, wiem.

– Oznacza to zatem, że pewne zaklęcia nie zyskały aprobaty Ligi, lecz nadal istnieją.

– Hm. – Corwin zacisnął wargi. I znów zrozumiał, o co chodzi tamtemu, choć myśl była niepokojąca. Z lekcji historii wiedział, że Liga czasami sankcjonowała zaklęcia, które raniły, a nawet zabijały. Pięćdziesiąt lat wcześniej podczas Sevańskiej Inwazji stworzyli ich dziesiątki, ale po pokonaniu wojsk przeciwnika ich używanie zdelegalizowano. Dziad Corwina, król Borwin, pierwszy arcykról Rime, nie chciał, by jego poddani żyli w strachu przed własnymi magistami.

– Z pewnością jednak żaden magista nie miałby powodu, by wynajdować teraz podobne zaklęcie? Żyjemy przecież w czasach pokoju.

Nie licząc Powstania, dodał w duchu Corwin, ale zagrożenie ze strony dzikunów nie było czymś nowym, nowa była jedynie idea, że mogli złączyć siły. Mimo wszystko nie przypuszczał, by to zagrożenie stanowiło dostateczny powód, aby magista wynalazł zaklęcie zabijające tak szybko. Dzikunów tak nie mordowano, ujęci trafiali wpierw do więzienia na Oczyszczenie, rytuał mający raz na zawsze uwolnić świat od ich magii.

– Liga nigdy nie zakłada, że pokój potrwa długo – odparł Raith. – Seva wciąż nam zagraża, król-bóg znów zaatakuje. To tylko kwestia czasu.

– Istotnie – przyznał Corwin.

Lepiej niż większość ludzi znał krwiożerczą naturę władcy Sevy.

Głośno wypuszczając powietrze, bez wątpienia z powodu żalósnego wyniku rozdania w solo, Raith zebrał ze stołu karty i uniósł wzrok.

– Czy Wasza Wysokość miałby ochotę zagrać w Zagrozenie?

Corwin wiedział, że powinien odmówić, ale po długim, nudnym dniu nie mógł odrzucić takiej rozrywki.

Z przebiegłym uśmiechem sięgnął po wiszącą u boku sakiewkę.

– Tylko jeśli będzie to prawdziwa gra.

W odpowiedzi Raith wyciągnął własną kiesę. Rzucili valenem, by ustalić, kto będzie rozdawał. Corwin wygrał i Raith aktywował magię całej talii, po czym podał mu karty.

Gdy Corwin rozdawał, talia w jego dłoni zdawała się wibrować. Przez kilka chwil milczeli, całkowicie skupieni na układaniu ręki. Raith pierwszy zagrał trójkę słoów, Corwin odpowiedział nieco tylko wyższą kartą, czwórką fletów. Podali stawki, po czym zaczęli drugą rundę. Corwin wygrał rozdanie, w ostatniej chwili dobywając kartę cienia, którą przebił pełen dwór Raitha.

Przechodząc do następnego rozdania, rzekł:

– Biorąc pod uwagę to, co mówiłeś wcześniej, czy sądzisz, że to mogło być niezatwierdzone zaklęcie? Stworzone przez... – zaczął szukać właściwego słowa – niezrzeszonego magistę?

Myśl ta wydała mu się nieprawdopodobna. Liga, najpotężniejsza organizacja w całym Rime, umiała szybko odnaleźć winnych i jeszcze szybciej je ukarać.

Raith uniósł wzrok.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi, Wasza Wysokość, nieważne, obdarzonymi magią czy nie, a każdy człowiek jest zdolny do zdrady.

O tak, pomyślał Corwin, przypominając sobie ojca Kate. Raz jeszcze w jego umyśle pojawiło się wspomnienie tego straszliwego wydarzenia i wszystkiego, co nastąpiło potem. Tamtego ranka Kate wpadła do sypialni ścigana przez straż zamkową. Wykrzyknęła jego imię i padła mu do stóp, błagając, by wstawił się za nią, by przekonał najwyższą radę do powstrzymania egzekucji. *Wygnanie*, błagała, *pozwól nam odejść na wygnanie!* A on odmówił. Oznajmił, że nie może. Nie zrobi tego. Hale Brighton był winny – widział to w jego oczach. Prawo to prawo.

Potrząsnąwszy głową, by przepędzić niesforne myśli, Corwin zerknął na

karty i zagrał błazna fletów.

– Nawet jeśli były to czary magów, za atakiem wciąż musieli stać dzikuni.

Podczas przeszukania znaleźli coś, co przypominało pospiesznie nakreślonego słonecznego lwa narysowanego popiołem na kawałku zwalonej ściany.

– A tak, Powstanie. Niewątpliwie tak to wygląda. – Raith sięgnął po sakiewkę i wysypał jej zawartość na środek.

Corwina zaskoczył ten śmiały zakład. Oparł się pokusie spojrzenia na własną rękę, w której obok czterech królów i pary siódemek czekała kolejna karta cienia. Nie pamiętał, by ostatnio przytrafiło mu się lepsze rozdanie. Karta cienia leżała na górze, a ozdabiała ją postać w czarnym płaszczu z rogatą koroną na zakapturzonej głowie.

– Choć z drugiej strony – podjął magista, wyraźnie nieporuszony tym, jak wiele pieniędzy może stracić – w tych niespokojnych czasach trudno jest mieć pewność co do czegokolwiek. Odkąd twój czcigodny ojciec został ranny, nic już nie jest takie samo. Twoja kolej, Wasza Wysokość, sprawdzasz, czy odpadasz?

– Ja nigdy nie odpadam. – Corwin opróżnił sakiewkę, nie spuszczać wzroku z magisty. – W jakim sensie wszystko się zmieniło?

Raith spojrział przelotnie na stertę pieniędzy.

– Chociażby inkwizycja. Obwiniają Powstanie o jej stworzenie. Był też rok suszy, a po nim dwa lata powodzi. Choroby i rekordowa śmiertelność była na północy. I oczywiście rosnąca liczba nocnych gadźców.

– Rosnąca? – Corwin uniósł brwi. Wcześniej słyszał pogłoski, przesądne gadki krążące wśród ludzi, że choroba króla wpłynęła także na samą krainę. Ale gadźce – to była dla niego nowość.

– Ależ tak, z pewnością wiesz, że Liga stale je zlicza. – Raith przesunął karty w dłoni. Corwin poczuł słabą woń deszczu w powietrzu, najwyraźniej magista trzymał w niej całkiem sporo słoików. – O ile mi wiadomo, wielki mistrz Storr regularnie przedstawia te liczby najwyższej radzie.

Corwin odchylił się na krześle, wyraźnie wyczuwając upomnienie w słowach tamtego. Zdawał sobie sprawę z własnej ignorancji, zazwyczaj jednak potrafił unikać sytuacji, w których mu ją wypominano.

– To bardzo ciekawe – rzucił cierpko. – Zastanawiam się, jak magiści są w stanie je dokładnie policzyć. Kto może stwierdzić, czy nie liczyacie raz po raz tych samych stad?

– Mamy swoje sposoby.

Raith uniósł rękę dłonią do góry i rozcapierzył palce w uniwersalnym znaku oznaczającym magię. Corwin prychnął. U magistów magia zawsze była najlepszą odpowiedzią.

– Nie lękaj się, mistrzu Raicie, jestem pewien, że mój brat obmyśla już nowe sprytne sposoby, by poradzić sobie ze wszystkimi problemami.

– Ach, zatem to prawda. – Raith pokiwał głową.

Corwin zmrużył oczy.

– Co takiego?

– Że postanowiłeś nie podważać prawa twojego brata do tronu.

Słowa te uderzyły go niczym policzek. Co za bezczelność i impertynencja.

– Nie dostrzeżono znaku uroru – odparł, wiedząc doskonale, że magista z pewnością zdaje sobie z tego sprawę.

Nie było tygodnia, by któraś z gazet nie zastanawiała się nad jego nieobecnością. W Norgardzie prawo do rządów nie przechodziło z ojca na najstarszego syna, lecz z ojca na syna najbardziej godnego sukcesji. Ustalenie owego kandydata odbywało się poprzez próby uroru, ale tylko wtedy, gdy pojawił się znak. Powinien był się zjawić w roku, gdy Corwin osiągnął wiek męski, czyli ukończył szesnaście lat. Ale nie. I oto minęły cztery lata, a on wciąż nie był godzien, by bogowie zesłali uror.

– Och, proszę o wybaczenie – Raith dotknął dłonią lewej piersi. – Nie pochodzę z Norgardu i przyznam, że nie w pełni pojmuję, jak działa ów uror.

To dlatego, że w ogóle nie działa, chyba że obu dziedziców uzna się za równych sobie. Corwin zmusił się do rozluźnienia szczęki, czując ból w zębach.

– Owszem, to powszechny problem. Niewielu przybyszów z zewnątrz w pełni go rozumie.

Tylko jego rodacy wierzyli w uror, choć nawet niektórzy z nich, zwłaszcza ci zbyt młodzi, by przeżyć poprzednie próby, kiedy to ojciec Corwina, Orwin, zasłużył sobie na prawo do zasiadania na Lustrzanym Tronie, pokonując bliźniaczego brata Owena, mieli z tym problem. Samo słowo oznaczało zarówno los, jak i samostanowienie, dwie siły z pozoru zupełnie ze sobą sprzeczne.

Corwin odchrząknął.

– Twoja kolej, mistrzu Raicie.

Nie mógł się doczekać chwili, gdy zakończy grę – i tę rozmowę.

– Tak, oczywiście. – Raith wyłożył pozostałe karty. – Ale co się stanie, gdy twój ojciec przejdzie do następnego życia, a znak uroru w ogóle się nie pojawi?

Corwin wpatrywał się w leżące na blacie karty, z niedowierzaniem zaciskając wargi na widok pięciu słoików i dwóch cieni – zestawu praktycznie nie do pokonania. Z westchnieniem przyznał, że przegrał.

– Ładnie rozegrane, mistrzu Raicie, ale... – urwał, słysząc w oddali osobliwy dźwięk rozchodzący się echem, od którego zjeżyły mu się włosy na karku i rękach.

Bez słowa wstali i podeszli do bariery kamieni strażniczych. Zawodzący dźwięk znów się odezwał, tym razem bliżej. Po sekundzie ujrzeli stado nocnych gadźców zbiegających ku nim z boczem wzgórza, wyglądały niczym szara fala. Promienie księżyca odbijały się w wyszczerzonych kłach i rozniecały ogień w dziesiątkach maleńkich oczu. Gadźce przyciągnięte zapachem żywego mięsa pędziły w stronę obozu, a ich szponiaste stopy z każdym krokiem rozdzierały ziemię.

Corwin oparł dłoń na rękojeści miecza, drugą na pistolecie. Instynkt kazał mu dobyć broni.

– Nie lękaj się, Wasza Wysokość – rzucił Raith. – Bariera wytrzyma.

Książę nie odpowiedział. Wkrótce przekona się o prawdziwości tego stwierdzenia.

W parę sekund później dotarł do nich przywódca stada. Wielkiego jak niedźwiedz stwora pokrywały trupioszare łuski, zaczynając od gądziej głowy aż po długi, kolczasty ogon. Skoczył w kierunku Corwina i Raitha, rozcapierzając szczątkowe skrzydła, by szybciej pokonać krótki dystans. Corwin wstrzymał oddech, zaciskając palce na broni; jeśli bariera zawiedzie, bestia dopadnie go w mgnieniu oka.

Z odgłosem przypominającym huk gromu nocny gadziec zderzył się z niewidzialnym murem i magia odrzuciła go w tył, wprost na resztę stada. Jeszcze kilka stworów rzuciło się na barierę, ale tylko po to, by podzielić jego los.

Zorientowawszy się w sytuacji, stado zaczęło krążyć wokół obozu, kłapiąc szczękami i łopocząc skrzydłami. Raz po raz sprawdzały barierę, jakby szukały słabego punktu. Atakowały zawsze te największe, dorównujące rozmiarami koniom bądź wołom. Tymczasem zwiadowcy i inne drobniejsze sztuki wydawały upiorne, zawodzące okrzyki.

Zwabieni hałasem zjawili się inni ludzie z obozu.

– Patrzcie! – krzyknął jeden ze strażników. – Jest ich więcej.

Corwin spojrzał w stronę, którą wskazywał tamten. W dali pojawiło się drugie stado, liczące co najmniej tuzin gadźców. A potem trzecie runęło na nich z przeciwnej strony.

– Co mamy robić, Wasza Wysokość? – spytał kapitan Morris.

– Zabijcie je – odparł Corwin.

– Jeśli to zrobimy, zużyjemy wszystkie zakłute strzały. – Kapitan Morris zerknął na Raitha. – Czy wasze błękitne szaty zdołają dostarczyć ich więcej podczas tej podróży?

– Z całą pewnością – odparł Raith. – Wątpię, by książę Corwin zdołał je opłacić z własnej sakiewki, ale rachunki z koroną wyrównamy po powrocie do Norgardu.

Corwin westchnął. Edwin nie będzie zachwycony z powodu dodatkowych wydatków. Z drugiej strony ten objazd od początku był jego pomysłem. *Skoro tak, musi też ponosić konsekwencje.*

– Tak zróbcie – rzekł i w chwilę później powietrze wypełnił brzęk cięciw, po którym następowały wrzaski ranionych gadźców.

Corwin, którego żołądek ścisnął się na ów dźwięk i na widok leżącej się posoki, odwrócił się do Raitha.

– By odpowiedzieć na twoje pytanie, mistrzu Raicie: po śmierci mojego ojca rządy obejmie Edwin.

Raith uniósł jedną brew, znak cieniorodzonych na jego twarzy kontrastował ostro z białą skórą.

– Chcesz powiedzieć, że tylko wtedy, gdy przed śmiercią arcykróla nie pojawi się znak uroru?

Nie pojawi się, pomyślał Corwin. Ostatnie kilka lat spędzonych z dala od Rime dowiodły tego bez cienia wątpliwości. Odwracając się od magisty, przemówił pewnym sobie tonem, powtarzając słowa, które przypominał sobie codziennie.

– Edwin będzie rządził.

* * *

Nastał następny dzień, jasny i krwawy, w powietrzu wisiał smród płonących trucheł gadźców. Corwin spał tej nocy niespokojnie, spędzając

większość czasu gdzieś pomiędzy jawą a snami. A będące efektem tego zmęczenie sprawiało, że powolna podróż wydawała się jeszcze bardziej nieznośna niż zwykle. Wkrótce zaczął układać w głowie plan, jak wyjaśnić to, że wraz z kilkoma ludźmi decyduje się wyprzedzić karawanę. A więc powinien argumentować, że trzeba jak najszybciej dotrzeć do Andreas, bo niepokojące wydarzenia nie mogą czekać. Wszystko to w głowie brzmiało bardzo dobrze – wiarygodnie i, co najważniejsze, niepodważalnie, lecz w chwili, gdy miał podejść do mistrza Barretta, ogarnęły go wątpliwości. Jak zwykle odezwały się głosem Edwina: *Cóż za nieodpowiedzialność, Corwinie. Zawsze najpierw myślisz o sobie, a nigdy o obowiązkach.*

Jęknął w duchu. Nienawidził wewnętrznych dyskusji i tego, jak go paraliżowały. Próbując ugłaskać swą dwoistą naturę, postanowił zaczekać aż do przeprawy przez Redrush.

I znów godziny płynęły powoli, lecz zdołał przynajmniej opanować własne myśli i utrzymywać je z dala od Kate, skupiając na ważniejszych sprawach. To znaczy do chwili, gdy wypatrzył w dali stojącą na wzgórzu, kawałek od głównego traktu, wieżę pocztową. Była niewielka, wąska, dwupiętrowa. Zastanawiał się, czy Kate kiedykolwiek się w niej zatrzymała. Zwątpił, widząc, że wieża jest solidnie zniszczona. Kamienne bloki, z których wzniesiono mury, wygładził wiatr, a miejscami zaczynały się nawet kruszyć.

Mimo wszystko jednak wizja jej samej, zamkniętej wewnątrz tego posępnego miejsca i otoczonej przez krążące wokół nocne gadźce, ogromnie go dręczyła. Podobnie jak świadomość niebezpieczeństwa, na jakie się narażała, i powodów, dla których to czyniła. Gdyby tylko Hale tego nie zrobił. Przecież jego rodzina wiodła dobre życie w Norgardzie, niczego im nie brakowało.

To dlaczego próbował zabić mojego ojca?

Pytanie to dręczyło Corwina. Działania Hale'a nie miały sensu – zarówno podczas ataku, jak i potem, gdy odmówił podania jakiegokolwiek wyjaśnienia. Ale też nie zaprzeczał. Może gdyby cokolwiek powiedział, Corwin mógłby coś zrobić z prośbami Kate o łaskę wygnania.

Niech będzie przeklęty, pomyślał, zaciskając zęby. On...

Myśl w jednej chwili zgasła mu w głowie, bo jego wzrok przyciągnął nagle dziwny ruch. Odwrócił się w siodle. A choć oczy widziały wyraźnie, umysł nie potrafił ogarnąć czarnych stworzeń pędzących od wzgórza leżącego między drogą i większym wzniesieniem, tym, na którym stała wieża

pocztowa.

– Co to jest? – krzyknął ktoś zza jego pleców.

– Nocne gadźce! – odpowiedział drugi.

Nie, niemożliwe, jest przecież dzień. A jednak bez wątpienia były to gadźce, uświadomił sobie wstrząśnięty Corwin.

Nie wyglądały tak jak te, które znał; skóra tych była czarna jak smoła, ale miały takie same smocze głowy, takie same kły i szpony i długie, giętkie ciała ze szczątkowymi skrzydłami. I wrzeszczały tak samo, okropnie, zawodząco.

Tancerz Burzy parsknął i zaczął się szarpać, podrzucając łbem, bo instynkt nakazywał mu ucieczkę. Nie miał jednak szans, nie na takim dystansie. Opanowawszy wierzchowca, Corwin przestał myśleć o czymkolwiek: górę wziął jego własny instynkt. Wyszarpnął pistolet z kabury i wypalił. Kula trafiła jednego ze zwiadowców, który runął na ziemię. Corwin sięgnął po miecz.

Chwilę później stado ich dopadło. Tancerz uskoczył na bok w chwili, gdy jeden z czarnych stworów wyprysnął ku nim. Unosząc rękę uzbrojoną w miecz, Corwin mocno szarpnął wodze w lewo, zamachnął się, lecz cios odbił się od twardej skóry nocnego gadźca. Miecz był dość twardy, by chociaż na moment oszołomić bestię, która runęła na ziemię. Natychmiast jednak poderwała się i znów zaatakowała. Poruszając się niewiarygodnie szybko, była niczym rozmazana plama przed oczami Corwina; nim zdołał unieść broń, uderzyła z pełnią sił, wyrzucając z siodła.

Corwin wylądował ciężko na plecach, świat przesłoniły mu rozbłyски światła. Udało mu się nie wypuścić miecza, ale nie miało to większego znaczenia. Gadziec siedział już na nim, szeroko otwierając paszczę. Zacisnął szczęki na lewym ramieniu księcia, który krzyknął, ale dźwięk rozplynął się w panującym wokół zamęcie. Zapanował chaos, ludzie krzyczeli, konie rżały.

Ból sparaliżował Corwina, pozbawiając go woli walki i przetrwania, lecz tylko na moment. Potem uniósł prawą rękę wciąż ściskającą miecz i rąbnął rękojęścią stwora w łeb, miażdżąc mu oko niczym winne grono. Uchwyt zębów gadźca rozluźnił się, stwór odpowiedział skowyttem bólu.

Przywołując całą swą siłę, choć czuł jad piekący w żyłach, Corwin ponownie uniósł miecz i wbił w otwartą paszczę bestii, przeszywając tył jej głowy.

Przez kilka sekund leżał zdyszany, potem strącił z siebie ciężkiego gadźca

i dźwignął się na nogi. Parę stóp dalej ujrzał Tancerza leżącego na zakrwawionej ziemi: bezruch śmierci opadł na wielkiego rumaka niczym całun. Corwin poczuł bolesne ukłucie w sercu. Tak wiele razem przeżyli, przetrwali tyle prób i niebezpieczeństw. *To koniec nas obu, przyjacielu.* Świat przed oczami rozpływał się w oparach trucizny i ognia płonącego w zranionym ramieniu.

Przez sekundę omal znów nie stracił woli walki. Nie. Oderwał wzrok od martwego konia. Inni wciąż jeszcze żyli, zrobi więc co w jego mocy, by ich chronić, póki w jego płucach pozostanie choć cień oddechu. Ponownie unosząc miecz, zaatakował najbliższego gadźca. *Jeśli mam dziś umrzeć, to umrę w walce.*

6

KATE

Ktoś tu dziś umarł.

Myśl ta przepłynęła przez umysł Kate niczym woda po kamieniu; przez moment nie była nawet pewna, skąd się wzięła. Ciągący się przed nią ubity trakt wyglądał zwyczajnie, niemal pogodnie, w powietrzu nie dostrzegła ani śladu pyłu unoszącego się spod kopyt czy kół wozu. Po obu stronach drogi rosły wysokie, dzikie trawy, gęsto przetykane wiecznopłaczkami. Było pięknie i widok ów cieszył oczy, zwłaszcza po długiej dyskusji z przewoźnikami w Redrush. Opóźnili jej powrót z Andreas o wiele godzin, dość, by nie miała wyboru – musiała spędzić dzisiejszą noc w opuszczonej wieży pocztowej.

Skąd zatem wzięła się ta myśl?

Może to zapach unoszący się w powietrzu? Ale niczego nie wyczuła. Natomiast Darby owszem, zareagował tak, że Kate odebrała to niechcący dzięki swojej magii. Sięgnęła do konia swą mocą i wkrótce ujrzała zniekształcony obraz nocnego gadźca. W końskim umyśle smolisty stwór wyglądał potworniej niż w rzeczywistości. Miał rozmiar wozu, kły długie jak sztylety, a szpony niczym szable.

Kate skrzywiła się, próbując przeanalizować ów obraz. Nie miał sensu. Słońce świeciło zbyt jasno, by nocny gadziec zdołał przeżyć, do zmierzchu pozostała co najmniej godzina, a wokół nie było cieni, w których mógłby się ukryć.

Musiały więc zaatakować zeszłej nocy, uznała. Posłała poprzez łączącą ich więź myśl dodającą otuchy, by przekonać konia, że nie ma żadnego zagrożenia.

Wkrótce pokonali szczyt wzgórza. Poniżej, w dolinie, ujrzała na drodze szczątki karawany, wywrócone wozy. Mimo odległości dostrzegła długie, owalne truchła martwych koni i szczuplejsze, mniejsze trupy ludzi. Biedacy, pomyślała, w oszołomieniu otwierając usta.

Skierowała Darby'ego na bok, zamierzając wyminąć to miejsce i dotrzeć do wieży pocztowej. To nie jej sprawa ani obowiązek. Smród śmierci był tak

mocny, że teraz i ona go czuła; Darby tańczył pod nią, niecierpliwie pragnąc odjechać jak najdalej. Właśnie miała mu na to pozwolić i przerwać łączącą ich więź, kiedy nagły ruch przyciągnął jej wzrok do chorągwi łopoczącej na jedynym nadal stojącym wozie. Na widok znajomych, białych, stojących dęba koni na granatowym tle żołądek ścisnął jej się boleśnie. Królewski herb Norgardu... rodu Thormane...

Corwin.

Zawróciła konia, wbijając pięty w jego boki, i ruszyła naprzód. Darby protestował, stawiając krótkie, niechętnie kroki, dopóki Kate nie opanowała jego umysłu i nie nagięła go do swej woli. *Nie ma żadnego niebezpieczeństwa*, upierała się, *gadźce nie przetrwają w słońcu*. Mimo to, choć powtarzała te słowa Darby'emu, gdzieś wewnątrz niej zrodziła się wątpliwość. Coś tu było nie tak. Do ataku doszło, nim karawana rozbiła obóz, a zniszczenia wydawały się świeże, jakby doszło do nich zaledwie parę godzin wcześniej, nie zeszłej nocy. Od kiedy to gadźce zostawiają tyle mięsa? Nigdy tego nie robiły. Gdy się zbliżyła, zorientowała się, że jeden z ludzi nadal żyje.

Wypatrzyła go, kiedy dotarła na skraj poboju: leżał płasko na wznak niedaleko stojącego wozu i próbował uwolnić się od ciężaru leżącego na nim stworza. Z początku Kate sądziła, że to nocny gadziec – kształt pasował – ale kolor już nie. Stwór był czarny, a nie jasnoszary.

Przechesując wzrokiem okolicę, dostrzegła jeszcze kilka innych martwych czarnych stworzeń, ale żadnych znajomych nocnych gadźców. Ogarnął ją gwałtowny niepokój wyostrajający zmysły.

Znów skupiła wzrok na mężczyźnie próbującym się uwolnić i nagle zachłysnęła się gwałtownie, pojmując, że to Corwin. Jego twarz pokrywały smugi krwi i brudu, mimo to poznała go. Ogarnięta nagłą paniką poleciała Darby'emu przyspieszyć. Słyszając tętent kopyt, Corwin odwrócił wzrok. Jego spojrzenie było przerażające. Został ranny, to pewne, ale nie potrafiła ocenić, jak ciężko.

Jak mam go wyciągnąć spod tego czegoś? Dziwny stwór rozmiarami niemal dorównywał koniom i pewnie dwakroć przekraczał je ciężarem. Przynajmniej był martwy, czubek miecza wystawał z miejsca, gdzie szyja łączy się z ramieniem.

Corwin popatrzył na nią.

– Kate – rzekł głosem słabym niczym miauczenie kociaka.

Już miała zeskoczyć z konia, kiedy kątem oka dostrzegła ruch. Odwróciła się i w odległości jakichś stu jardów ujrziała czarną bestię pędzącą ku niej z ogromną szybkością. W ułamku sekundy pojęła, że to jednak gadziec, tych ruchów nie dało się pomylić z niczym innym. Był potężny jak szarżujący byk, ale też zwinny jak kot. Jeszcze bardziej charakterystyczny był dźwięk dobywający się z otwartej paszczy. Choć to niewiarygodne, światło dzienne zupełnie mu nie przeszkadzało, jak gdyby czarne łuski były zbroją chroniącą ukrytego pod nimi stwora przed słońcem.

Nocne gadźce, które nie boją się słońca. Dienne gadźce.

Ciałem Kate wstrząsnął dreszcz w chwili, gdy umysł Darby'ego ogarnęła panika. Koń wierzgnął gwałtownie, gotów zawrócić i uciec. Kate walczyła, próbując nad nim zapanować. Zmusiła Darby'ego, by znieruchomiał. Potem puściła wodze i chwyciła wiszący łuk, sięgnęła do kołczana na plecach po zakłętą strzałę, nałożyła ją szybko. Magiczny grot oślepił jej oczy.

Odetchnęła głęboko, nakazując nerwom uspokoić się, a wzrokowi skupić. Jednocześnie wypuściła powietrze i cięciwę.

Rozległ się głośny dźwięk, gdy strzała pomknęła naprzód. Pióra na moment zatrzepotały, potem wyprostowały się. Chybiła odrobinę, jak zawsze przy pierwszym strzale. Mimo wszystko grot wbił się w ramię dziennego gadźca, a zakłęty metal z łatwością przebił twarde łuski, wnikając głęboko. Przynajmniej te nowe bestie nie były odporne na magię tak jak na słońce.

Ale gadziec nawet nie zwolnił. Kate sięgnęła po kolejną strzałę, nałożyła i wypuściła. I znów nie trafiła dokładnie, ale też nie chybiła – tym razem strzała wbiła się w pierś bestii, parę cali poniżej długiej szyi. Jednakże dzienny gadziec nadal nie zwolnił.

Darby uskoczył na bok, ale Kate pozostała w siodle, jej nogi zadziały niczym kotwice. *Oddychaj, skup się, wyceluj.* Instynkt i wyszkolenie wzięły górę. Sięgnęła po trzecią strzałę i wystrzeliła, tym razem trafiając w cel: gardło stwora. Nozdrza dziennego gadźca rozszerzyły się, jego wrzask z groźnego zamienił się w krzyk bólu. Wypuściła czwartą strzałę, znów trafiając w szyję. Stwór nadal atakował – widać ból jeszcze podsycił jego wściekłość.

Piąta strzała także sięgnęła celu, z gardła stwora sterczały już trzy drzewce. Została jeszcze jedna. Stwór zwalniał, ale nie padnie na czas, nie bez zabójczego ciosu. Był już na tyle blisko, by Kate czuła otaczający go swąd spalenizny.

Dobyła ostatnią zaklętą strzałę, odetchnęła głęboko, koncentrując się całkowicie, i nakazując strzale, by trafiła. Panika Darby'ego rosła, próbował wyrwać się spod kontroli. Jak przez mgłę usłyszała Corwina krzyczącego, by uciekała. Jeśli teraz nie uda jej się zabić bestii, oboje zginą.

Napięła cięciwę tak mocno, jak tylko zdołała, a potem puściła. Strzała śmignęła naprzód, wbijając się na sześć cali w oczodół dziennego gadźca. Stwór przebiegł jeszcze dwa kroki, po czym potknął się, osunął na kolana, tylne nogi uniosły mu się nad głowę i fiknął, padając bezwładnie niecały jard od Darby'ego.

Koń parsknął i zaczął się cofać. Kate pozwoliła mu. Teraz, gdy zagrożenie minęło, dyszała gwałtownie. Udało jej się. Przeżyła swój pierwszy atak gadźca. I to za dnia. Teraz...

Myśl uwięzła jej w głowie na dźwięk kolejnego zawodzenia. Obejrzała się ostro w prawo i zobaczyła trzy kolejneienne gadźce pędzące ku niej.

Trzy. A ona nie miała już zaklętych strzał.

KATE

Nie było czasu do namysłu, reagowała instynktownie. Dobyła kolejnej strzały, tym razem bez zakłętego grotu, wycelowała i trafiła – lepiej nawet niż wcześniej, ale bez skutku. Gdy tylko strzała uderzyła w skórę dziennego gadźca, odbiła się, nieszkodliwa niczym kamyk ciśnięty w głaz.

Kate syknęła przez zęby, upuściła łuk i sięgnęła po miecz tkwiący w pochwie obok jej lewej nogi. Zdążyła wysunąć go do połowy, gdy przypomniała sobie rewolwer Bonnera. Nie miała czasu, by zastanawiać się, czy broń się zatnie, czy nie. Sięgnęła do juków i wyszarpnęła ją.

Celując w najbliższego stwora, odciągnęła kciukiem kurek, a potem nacisnęła spust. Pocisk trafił gadźca prosto w głowę, powalając go. Odciągnęła kurek, wycelowała w drugiego gadźca i wystrzeliła. Pierwsza kula chybiła, Kate wypaliła jednak po raz kolejny sekundę później i tym razem trafiła bestię w gardło. Wystrzeliła po raz czwarty i piąty. Drugi dzienny gadziec runął na ziemię. Wycelowała w trzeciego, ale Darby stanął dęba, uwalniając się spod kontroli jej umysłu. Nim opadł z powrotem na cztery nogi, dopadł ich gadziec. Stwór przykucnął, a potem skoczył do góry, szybując tak wysoko, że przez moment wyglądał, jakby naprawdę frunął na wyciągniętych na boki błoniastych skrzydłach przypominających upiorny płaszcz. Wylądował na Kate, wyrzucając ją z siodła.

Runęła ciężko na plecy, uderzając głową o ziemię, jakimś cudem jednak zdołała nie wypuścić broni. Ciężar stwora przygwoździł jej nogi i tułów, szpony rozdarły ziemię obok. Kate odciągnęła kurek, usiłując skierować lufę w stronę otwierających się nad nią szczęk. Jej pole widzenia wypełniły ostre zęby połyskujące jadem, a ohydny oddech palił jej nos i gardło. Drżącymi rękami nacisnęła spust, z lufy wytrysnął ogień, huk strzału zabrzmiał tak ogłuszająco, że miała wrażenie, jakby ktoś używał wnętrza jej czaszki niczym dzwonu.

Kula dotarła do celu, przebijając paszczę stwora, jego mózg i tył czaszki. Gadziec runął na nią, przygniatając ją do ziemi.

Kate jęknęła, rozpaczliwie usiłując chwycić oddech, gdy ciężar stwora

wycisnął jej powietrze z płuc. Upuściła rewolwer, i wyciągnęła ręce, próbując zepchnąć truchło. Krew, lepka i gorąca, ściekała jej po dłoniach i rękach, wypływając z dziury w głowie stwora. Pchała tak i pchała zaciskając z wysiłku zęby, ledwie świadoma łez ściekających po policzkach. Nic z tego. Nie miała dość sił, by uwolnić się spod takiego ciężaru. Usłyszała Corwina wołającego jej imię, puściła to jednak mimo uszu. Wyciągnęła szyję, próbując znaleźć Darby'ego. Zobaczyła, jak ucieka galopem przed śmiercią i grozą.

– Stój! – krzyknęła, przelewając w to słowo całą moc swojego umysłu i magii.

Przez sekundę obawiała się, że odległość okaże się zbyt wielka, potem jednak Darby potknął się i zatrzymał. Rozszerzył chrapy, parskając w proteście przeciw poleceniu sprzecznemu z jego instynktem.

Wracaj tutaj. Kate posłała mu obraz tego, czego pragnie. *Jestem twoim stadem. Zostań ze mną.* Koń niechętnie, ale posłuchał. Wrócił powoli, ostrożnie, zdenerwowany tym, że musi podejść bliżej stwora, który o mało go nie zabił.

Kate ze wszystkich sił starała się utrzymać władzę nad koniem. Owinęła jego lśniąca istotę magią, naginając do swej woli. W głowie kręciło jej się z wysiłku, a sytuację pogarszał jeszcze fakt, że musiała walczyć o każdy oddech. Wreszcie koń podszedł do niej. Kazała mu pochylić łeb, by mogła chwycić wodze i zarzucić mu je na szyję. Koń dygotał z każdym ruchem, a gniada sierść poczerniała od potu.

Spokojnie, mały. Pogłaskała go po nosie. *A teraz chodź, wyciągnij mnie stąd* – wywołała w jego umyśle jasny obraz.

Zachwycony tym, że może oddalić się od dziennego gadźca, Darby zaczął się cofać. Nie miał znaczenia fakt, że potwór nie żył – wciąż tu był i zanieczyszczał powietrze swym smrodem.

Kiedy wodze się napięły, wałach przystanął, czując nieprzyjemny nacisk wędzidla. Skulił uszy i uderzył w ziemię przednim kopytem.

No dalej, wiem, że ci trudno, ale beze mnie umrzesz. Posłała mu obraz zapadającej nocy i tego, co się wówczas stanie.

Koń zapał się tylnymi nogami, uniósł wysoko łeb i wyciągnął ją spod miażdżącego ciężaru dziennego gadźca.

Greczny chłopczyk, greczny, cudowny, piękny chłopczyk. Kate z trudem dźwignęła się z ziemi i pogłaskała go po pysku.

Koń parsknął w odpowiedzi, obryzgując ją śliną. Zaśmiała się z ulgi.
Dziś dostaniesz dodatkową porcję owsa.

Teraz Darby przytulił łeb do jej piersi i trącił brzuch pyskiem. Że też akurat nie miała w kieszeni kostki cukru.

Niedługo, obiecuję. Odsunęła jego łeb na bok.

– Kate.

Wzdrygnęła się, słysząc ów cichy krzyk i ulga zamieniła się w strach. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Poleciwszy Darby’emu, pozostanie na miejscu, podeszła do księcia, po drodze podniosła rewolwer i naładowała świeżymi kulami.

Potem wsunęła broń za pas, zdecydowana nie ruszać się nigdzie bez niego. Bonner zasłużył na wspaniały prezent – stałe dostawy ulubionych czekoladek.

Uklękawszy obok Corwina, przyjrzała się jego obrażeniom. Okazały się poważniejsze, niż się obawiała: wzdłuż rąk ciągnęły się długie szramy, na ramieniu dostrzegła cztery rany, z których wypływała gęsta, ciemna krew, kontrastująca szokująco z jaskrawą czerwienią twarzy, oznaką działania trucizny, spalającej go od wewnątrz.

– Kate – mruknął, wyciągając ku niej rękę. – Kate.

– Cii, nic nie mów. – Za każdym razem, gdy wymawiał jej imię, jej serce gubiło rytm. Musiała się skupić; nie wiadomo, jakie jeszcze obrażenia odniósł, a słońce chyliło się już ku zachodowi. – Wyciągnę cię.

Corwin kiwnął głową. Miała nadzieję, że nie jest aż tak półprzytomny, jak się wydaje.

Wypuściła głośno powietrze, próbując zebrać się na odwagę, by go dotknąć. A potem wsunęła mu dłonie pod ręce, tak że ich twarze znalazły się niepokojąco blisko. Zamykając oczy, szarpnęła. Przesunął się ledwie pół cala. Kate odchyliła się, ciągnąc mocniej – bez skutku.

Nie próbowała nawet poruszyć gadźca, był zbyt wielki. Ruszyła na poszukiwanie liny i znalazła zwój w szczątkach wozu. Wróciła do Corwina, obwiązała mu sznur wokół piersi, drugi jego koniec przyczepiła do siodła Darby’ego.

Skierowała konia naprzód. Corwin krzyknął, gdy sznur zacisnął mu się wokół rannego tułowia, Kate zagryzła wargę, nienawidząc tego dźwięku, ale nie przestawała. Lepszy ból niż śmierć.

Kiedy skończyła, Corwin leżał na ziemi z zamkniętymi oczami, ciężko

dyszając, a spocona twarz błyszczała w promieniach gasnącego słońca. Kate podeszła bliżej z wahaniem. Rany widoczne były w górnej części tułowia, nie potrafiła jednak ocenić obrażeń nóg. Nie widziała krwi ani innych śladów, ale to nie znaczyło, że nie ma choćby zmiażdżonych kości.

Odchrząknęła.

– Wasza Wysokość, myślisz, że zdołasz wstać? Musimy stąd uciekać przed zmrokiem.

Corwin poruszył nogami, szukając punktu oparcia. Czyli nie były połamane. Kiedy jednak spróbował usiąść, z ran na ramieniu znów popłynęła krew, której towarzyszyła słodka, ohydna woń przypominająca skwaśniałe mleko. Potrzebował uzdrowiciela. Potrzebował oddziału żołnierzy. Potrzebował kogoś, kto się nim zajmie i kto go stąd zabierze.

Ale ma tylko mnie.

Zacięta i zdecydowana, zabrała się do pracy. Nigdy w życiu nie była tak wdzięczna za swą magię, bez niej nie zdołałaby usadzić Corwina w siodle. Siłą woli nakazała Darby’emu położyć się obok księcia. Martwiła się, że Corwin przypomni to sobie później i zacznie się zastanawiać, jak jej się to udało, ale musiała go stąd zabrać. Kiedy koń już leżał, chwyciła Corwina pod pachy i zaczęła pchać, ciągnąć i szarpać z całych sił.

– Musiałeś urosnąć jeszcze przez ostatnie lata, prawda? – wyszeptała, zmagając się z jego ciężarem, a potem krzyknęła mu do ucha: – Proszę, Wasza Wysokość, musisz mi pomóc! W przeciwnym razie nam się nie uda.

W odpowiedzi Corwin wydał nieartykułowany dźwięk, potem z widocznym wysiłkiem uniósł ręce, chwycił się siodła i podciągnął. Dzięki Kate podpierającej go z tyłu, zdołał przerzucić nogę przez grzbiet konia. Gdy tylko znalazł się na miejscu, Kate nakazała Darby’emu wstać, prosząc wierzchowca, by poruszał się ostrożnie. Mimo to Corwin o mało nie zwałił się z drugiej strony, z najwyższym trudem utrzymała go na miejscu.

Gdy wierzchowiec stanął, Corwin pochylił się naprzód, opierając niezgrabnie o jego szyję. Wałach położył uszy po sobie, ale Kate kazała mu stać bez ruchu. Szybko wdrapała się za Corwina. Już w siodle podciągnęła go tak, że wsparł się o nią, jego szerokie plecy grzały niczym ceglany piec i dorównywały mu twardością. Po sekundzie ręce i nogi rozboleły ją od utrzymywania księcia w miejscu. Zaciskając zęby, poleciała Darby’emu ruszyć naprzód.

Poruszanie się szybciej niż stępa okazało się niemożliwe. Corwin był zbyt

słaby, by zachować równowagę, a ona miała zbyt mało sił, by utrzymać go w siodle. Kołysał się, chwilami tracąc przytomność, często mamrotał coś pod nosem albo wydawał ciche pomruki.

Noc ściagała ich niebezpieczna niczym drapieżnik. Kate raz po raz przeczesywała wzrokiem horyzont, wypatrując gadźców. Opuszczona wieża pocztowa wznosiła się w dali, lecz nieważne, jak długo już jechali, wydawała się równie odległa.

Zapadł zmierzch, szybko zamieniając się w zmrok. Darby strzygł uszami na każdy dźwięk. Zwykle nocne odgłosy świerszczy i ptaków brzmiały złowieszczo, w wyobraźni Kate każdy z nich zwiastował nadejście gadźców. Czuła, jak jej magia z każdą chwilą słabnie, lada moment straci zdolność panowania nad koniem. Wyglądało jednak na to, że bogowie jej sprzyjają, a może, co bardziej prawdopodobne, sprzyjają Corwinowi – dotarli bowiem do wieży w chwili, gdy zapadła prawdziwa noc. Kate nie widziała wokół gadźców, ale nie zamierzała tracić czasu. Skierowała Darby'ego do środka i zeskoczyła na ziemię.

– Nie ruszaj się – poleciła zarówno koniowi, jak i Corwinowi. Ten pierwszy posłuchał, co do drugiego nie miała pewności. Wątpiła, czy jest przytomny, przez ostatnie pół godziny milczał.

Zatrzasnęła ciężkie drewniane drzwi, po czym wsunęła na miejsce trzy rygle. Nie żeby drewno mogło powstrzymać gadźca, musiała jeszcze osadzić kamienie i aktywować je. Wiedziała jednak, że najpierw trzeba ściągnąć Corwina z siodła, nim spadnie i skręci sobie kark – przy jej szczęściu z pewnością oskarżono by ją, że go zamordowała.

Bez magii, która opuściła ją z nastaniem nocy, nie miała wyboru, musiała zrobić to sama. Postawiła Darby'ego w jednym z dwóch sąsieków, pełnych starej słomy, następnie chwyciła Corwina w pasie, pociągnęła ku sobie i runęła przygnieciona jego ciężarem. Gramoląc się spod niego, przeprowadziła Darby'ego do sąsiedniego boksu, zdjęła z jego grzbietu torbę i popędziła wąskimi schodami na piętro.

Trzy otwory na kamienie wykuto w okrągłej komnacie tak, by tworzyły wierzchołki świętego trójkąta. Kate umieściła kamienie strażnicze w każdym z nich, szepcząc modlitwę, by magia otworów wciąż działała – nawet najdrobniejsze przesunięcie fundamentów wieży mogło zniszczyć zaklęcie. Kiedy wcisnęła na miejsce trzeci, wypowiedziała słowo przywołania i czekała, wstrzymując oddech. W chwilę później dostrzegła migotanie

bariery i po raz pierwszy od kilku godzin odetchnęła z ulgą. Byli bezpieczni przed zagrożeniami z zewnątrz.

Teraz musiała zająć się wewnętrznymi.

Walcząc z falą zmęczenia, wróciła na dół. Corwin leżał w tej samej niezgrabnej pozycji, w jakiej go zostawiła.

– Proszę, nie bądź martwy – wyszeptała, podchodząc bliżej.

Odwróciła go, krzywiąc się na myśl, jak brutalnie z nim postępuje. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Był ciężki, zupełnie jakby jad gadźca dodał mu dodatkowych kilogramów. Gdy przyłożyła mu palce do czoła, poczuła, jak płonie gorączką. Na moment otworzył oczy, potem znów je zamknął. Jego oddech pogłębił się, miała nadzieję, że zasnął. Nie chciała, żeby był przytomny podczas tego, co go czekało.

Zebrawszy się na odwagę, rozpięła mu pas i guziki wierzchniej tuniki. Po kolei uwolniła obie ręce. Na przegubach rąk miał skórzane karwasze; rozsznurowała je, przerywając przez moment, gdy na prawej ręce ujrzała tatuaż – jastrzębia ściskającego w szponach tarczę. Na ten widok coś znajomego zakłuło ją w głowie, ale nie potrafiła zidentyfikować symbolu. Mimo to jego obecność wywołała dziwne trzepotanie w brzuchu, wspomnienie wszystkich dawnych lat. Kiedy go znała, nie miał żadnych tatuaży.

Teraz jest innym człowiekiem. Podobnie jak ja.

Tunika spodnia stanowiła większy problem – Kate musiała ściągnąć mu ją przez głowę. Jęczał, gdy materiał ocierał się o rany. Kate udało się wreszcie zdjąć tunikę, odrzuciła ją na bok. Potem spojrzała na Corwina z góry, starając się nie zważać na nagość i skupiając jedynie na wymagających oczyszczenia ranach. Mimo wszystko zapiekły ją policzki. Skórę miał gładką i wręcz idealną, pomijając obrażenia i cienką linię ciemnych, szorstkich włosów, biegnących od pępka do pasa bryczesów.

Nabrała wody ze studni i zajęła się przemywaniem ran. Palce jej drżały, gdy przesuwiała mokrą szmatką po szramach. Kiedy doszła do głębszych obrażeń, naląła wody wprost do nich. Corwin wzdrygnął się i ocknął na tyle, by się skrzywić, ale wkrótce potem znów odpłynął. Gdy w końcu udało jej się oczyścić wszystko najlepiej jak umiała, wyciągnęła z juków słoje z maścią. Przeznaczono ją dla koni, ale uznała, że nie zaszkodzi, a na pewno nie bardziej niż jad gadźca. Delikatnie zaczęła nakładać maść, a pod palcami czuła palącą skórę. Kiedy skończyła, musiała zmoczyć kolejne szmatki

i owinąć go nimi, aby zbić gorączkę. Jej samej zaczęło robić się zimno, ale wiedziała, że tej nocy nie zdoła już rozpalić ognia.

Tak bardzo skupiła się na swym zadaniu, że nie zauważyła, kiedy Corwin ocknął się.

– Łaskocze – rzekł, chwytając ją za rękę wiszącą cal nad jego nagą pierś. Palce mu drżały, ale trzymał mocno.

Poczuła dreszcz przebiegający wzdłuż ramienia. Spojrzała i zaskoczona odkryła, że jest niemal zupełnie przytomny, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej tego długiego, okropnego dnia. Szybko odwróciła wzrok i znów poczuła rumieniec na twarzy.

– Przepraszam.

– Niepotrzebnie, Kate. Słodka Kate, zdrajczyni Kate...

Słyszając znienawidzone przezwisko, głośno wciągnęła powietrze. Uniosła wzrok na jego twarz, przez sekundę przekonana, że chciał ją zranić tymi słowami. Ale odkryła, że nie jest tak przytomny, jak się przez chwilę zdawało. Zaczekała, czy powie coś jeszcze, kiedy jednak milczał, znów skupiła się na nakładaniu maści.

Jakiś czas później usłyszała, że głośno oddycha.

– Jesteś taka piękna, Kate Brighton. Mówiłem ci to kiedyś?

Raz, pomyślała. Serce biło jej tak mocno, że nie mogła wykrztusić ani słowa. *Za pierwszym razem, gdy mnie pocałowałeś.*

Zerknęła na niego ukradkiem i przekonała się, że błękitne oczy ma otwarte i patrzy na nią. Choć przekrwione i mętne, wyglądały równie kusząco jak dawniej. Były niczym niebo w pogodny, letni dzień. Odwróciła wzrok.

– Powinienem był ci to powtarzać codziennie.

Wspomnienia odżyły w głowie Kate i po raz pierwszy od lat były przyjemne.

– I twój krzywy uśmiech. Od tak dawna go nie widziałem. No, poza snami.

Teraz to Kate zagapiła się na niego. Mówił nieco bełkotliwie i jedno spojrzenie wystarczyło, by zrozumiała, że bredzi w malignie, a mimo to serce zatrzepotało jej boleśnie. To okrutne przypominać o czymś, co już nie istnieje i co nigdy nie może się powtórzyć.

– Ale wtedy twój ojciec... musiał... musiał zrobić to, co zrobił, i wszystko zniszczyć.

Znieruchomiła, czując kipiące emocje. Wiedziała, że to delirium, może jeszcze gorsze niż wcześniej, ale mówił o rzeczach, których pragnęła się

dowiedzieć. Kiedyś błagała go, by jej je zdradził. Nagle ogarnęła ją pokusa – tak długo czekała, aby poznać prawdę o tamtej nocy, usłyszeć, co dokładnie widział. Kiedy aresztowali jej ojca, zabroniono jej z nim mówić. Corwin był jedyną nadzieją, że cokolwiek zrozumie. Wtedy jednak, lata temu, odmówił jakichkolwiek wyjaśnień.

– Nie chcę cię zranić prawdą, Kate – rzekł. – Twój ojciec zaatakował mojego, omal go nie zabił. Czy to nie wystarczy?

Nie, bo tylko prawda może ukoić moje cierpienia. Kate wpatrywała się w twarz Corwina. Oczy wciąż miał otwarte, lecz jego spojrzenie wędrowało, nie skupiając się na niczym. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Postąpiłaby niegodnie, próbując wyciągnąć z niego prawdę, której wcześniej nie chciał ujawnić, właśnie teraz, gdy był zbyt słaby, by odmówić. Wiedziała też, że wszystko, co powie, może być przesadzone bądź fałszywe, wymyślone w gorączce. Ale więcęj taka okazja się nie powtórzy.

Muszę się dowiedzieć. Muszę zaznać spokoju.

– Zniszczył wszystko, prawda? – Pozwoliła, by jej wargi z jednej strony wygięły się w uśmiechu, owym krzywym uśmiechu, jak go nazwał. – Ale ja nigdy nie rozumiałam, co naprawdę się wydarzyło. Powiesz mi, Wasza Wysokość?

– Corwinie – poprawił. – Dla ciebie zawsze będę Corwinem, moja słodka Kate.

Ugryzła się w język i odetchnęła na tyle głęboko, by uciszyć drzenie w żołądku.

– Corwinie – powtórzyła i jego imię zabrzmiało w jej ustach jak rozkoszna odmiana bólu. – Proszę, opowiedz mi, co się wydarzyło tamtej nocy. Proszę, opowiedz mi wszystko.

8

KATE

Wyprawa w przeszłość nie potrwała długo i ostatecznie Corwin nie powiedział jej prawie niczego, czego wcześniej nie słyszała, co do niej nie dotarło choćby jako pogłoski. Jej ojciec zaatakował króla, dźgając go kilka razy sztyletem. Nie oszalał, nic go nie opętało, w pełni panował nad swoim umysłem. Przeciwnie, to król Orwin zachowywał się tamtej nocy jak szaleniec. Corwin opisał, jak jego ojciec krzyczał, wymachując rękami i wrywając sobie włosy z głowy. Potem zielone szaty zastanawiały się, czy klinga, którą dzierżył Hale, nie została wysmarowana jakąś trucizną, której nie zdołali rozpoznać.

Kiedy Corwin skończył, Kate poczuła się, jakby gdzieś w jej wnętrzu zaczęła rozrastać się pustka. Liczyła na więcej, na jakiś trop, który pomoże zrozumieć niewytłumaczalne. Nigdy nie przeczyła, że ojciec zawinił, pragnęła tylko zrozumieć dlaczego. Musiał mieć jakiś powód. Wyglądało jednak na to, że zabrał ze sobą ów sekret na egzekucję. A martwi nie mówią.

Zagryzając wargę, spojrzała z góry na Corwina, który znów zamknął oczy. Nie umiała stwierdzić, czy nadal jest przytomny.

– Dlaczego nie pozwoliłeś mi go zobaczyć?

Powieki Corwina zatrzepotały. Długie, ciemne rzęsy kontrastowały z błękitem, jeszcze go podkreślając.

– On... On nie chciał się z tobą widzieć.

Kate jęknęła. Niemożliwe! Ojciec wiedział, że zostanie stracony – nie mógł nie chcieć się z nią pożegnać! Za bardzo ją kochał, żeby tak zdradzić.

Tak jak zdradził króla?

Nie, nie chciała w to uwierzyć. Byli sobie zbyt bliscy, zbyt podobni, niczym płatki kwiatu wiecznopłaczka. Corwin poruszył się niespokojnie i znów zamknął oczy.

– Ale miał dla ciebie wiadomość.

– Co? – Kate pochyliła się niżej, serce waliło jej w piersi. – Jaką wiadomość?

– Powiedział... Jedź do Fenmore.

Kate zmarszczyła czoło, powtarzając te słowa w myślach. Fenmore to odległa kraina na zachodzie, po drugiej stronie zdradzieckiego Morza Wściekłego. W historiach opisywano ją jako miejsce tak cudowne i niezwykle, że ci, którzy się tam zapuścili, nigdy nie chcieli wrócić do domu. Oczywiście te historie nie wspominały, że być może ludzie po prostu ginęli, próbując odnaleźć Fenmore. Być może Kate i Hale tam właśnie by uciekli, gdyby skazano go na wygnanie, o co błagała Corwina.

Jej zdumienie zamieniło się w gniew.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? – Kiedy nie odpowiedział, potrząsnęła nim, nie zważając na jego obrażenia. – Corwinie, dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

Wciąż nie otwierał oczu, zdawało się, że jego głos dobiega gdzieś z daleka.

– Byłem taki wściekły na niego, że zranił mojego ojca... I na ciebie, i Edwina...

– Edwina? – zdumiała się Kate.

Od wieków nie myślała o starszym bracie Corwina. Dorastając, bawili się czasem we trójkę, ale nie byli ze sobą blisko, nie pozwalała na to wieczna rywalizacja między braćmi. Ostatni raz rozmawiała z Edwinem w noc przed napadem ojca na króla. Bawili się w ogrodzie w zwiadowców za murami – Corwin grał rolę gadźca, Kate i Edwin ukrywających się owiec. Kate wybrała swoją ulubioną kryjówkę, małe zakątek między krzakami róż, gdzie Corwin znalazłby ją bez problemu. Serce jej trzepotało w oczekiwaniu na pocałunek, jaki skradnie jej, kiedy ją znajdzie. Zjawił się zaraz po tym, jak skończył liczyć. Księżyc był w nowiu i w ciemności nie widziała jego twarzy, kiedy pochwycił ją w objęcia i przycisnął wargi do jej ust. Poddała się jednak pocałunkowi, spragniona jego dotyku. Tyle że to nie był Corwin, ale Edwin – co odkryła w chwilę później, kiedy znalazł ich prawdziwy Corwin. Kate nigdy wcześniej nie widziała, by tak się wściekł. Próbowała wyjaśnić, ale odszedł bez słowa – najwyraźniej całą noc się złościł. Nie spał i krążył po zamku, a o świcie zobaczył Hale’a próbującego zabić jego ojca.

I nigdy mu nie wyjaśniłam, co się stało. Że wzięłam Edwina za niego. Ów omyłkowy pocałunek wydawał jej się kompletnie pozbawiony znaczenia w obliczu zbrodni ojca: ot, okrutna psota zazdrosnego brata.

Teraz chciała nacisnąć Corwina, by dowiedzieć się czegoś więcej, on jednak zasnął i nie mogła go obudzić. Jego bezruch ją przeraził. Skórę miał wciąż gorącą, zwilżyła szmatki i ułożyła na jego czole, rękach i piersi.

Czuwała całą noc, bojąc się odejść choćby na chwilę. Co jakiś czas wstrząsały nim drgawki i miotał się, przytrzymywała go wówczas najlepiej jak mogła w obawie, że dodatkowo się zrani.

Gdy tylko zaczęło świtać, osiodłała Darby'ego. Zamek Gilda, najbliższa rezydencja, leżał zaledwie parę godzin jazdy dalej. Zdąży tam dotrzeć, poprosić hrabiego Gilderana o pomoc i wrócić do wieży pocztowej przed zachodem słońca. Nie mogła ryzykować zostawienia Corwina samego na tyle długo, by jechać po ratunek do Farholdu.

Gdy przygotowała już wszystko do wyjazdu, łącznie z wierzchnią tuniką Corwina wciśniętą w juki na dowód, że nie kłamie, uknęła obok niego i potrząsnęła nim łagodnie.

– Wasza Wysokość... Książę Corwinie.

Zatrzepotał powiekami, jego oczy spojrzały jej w twarz, ale nie potrafiła stwierdzić, czy tym razem ją widzi, czy też nie.

– Masz tu wodę i strawę. Ja jadę po pomoc, wrócę przed zmierzchem. – Zawiesiła głos, opierając się pokusie, by znów nim potrząsnąć. – Nie waż mi się umierać.

Droga Noralah, błagam, spraw by nie umarł. Pierwszy raz od śmierci ojca modliła się do bogini patronki Norgardu, jeśli jednak ktokolwiek z bogów miał jej pomóc, to właśnie ona.

Z początku Kate nie przyspieszała zbyt ostro, świadoma zmęczenia wierzchowca. Wczoraj w drodze powrotnej z Andreas nie pędzili zbyt szybko, ale pokonali wiele mil, a stres po spotkaniu z gadźcami także zrobił swoje.

Przez pierwsze trzy godziny na trakcie nie poruszało się nic prócz nich, zupełnie jakby cała kraina wstrzymywała oddech, być może ze strachu przed dziennymi gadźcami, najnowszym zagrożeniem w świecie i tak pełnym niebezpieczeństw. *Jak zdołamy przeżyć, gdy dzień stanie się równie groźny jak noc?*

Kate cały czas rozglądała się nerwowo, wypatrując najmniejszego ruchu. Tylko obecność rewolweru Bonnera – teraz zwisającego w kaburze z przedniego łęku – dodawała jej otuchy. Miała tak wyczulone zmysły, że grupę jeźdźców w oddali zauważyła na długo przed tym, nim oni ją dostrzegli. Wyglądali jak drobinki na horyzoncie, ale ciemna chmura zwiastowała ich przybycie: dziesiątki podkutych kopyt uderzających o ziemię. Gdy się zbliżyli, dostrzegła błysk stali – kimkolwiek byli, zjawili

się gotowi do walki. Wśród nich nie zauważyła chorążego, zresztą jechali zbyt szybko. Możliwe, że to najemnicy albo bandyci, ale wątpiła, takie typy nie poruszały się równie śmiało po drodze publicznej.

Spięła Darby'ego do galopu i pomknęła ku nim, nie zwalniając, póki nie zobaczyła, że kilku z nich unosi napięte łuki. Dopiero wtedy zatrzymała konia.

– Dobrzy panowie! Potrzebuję waszej pomocy! – zawołała. Wyciągnęła z juków tunikę Corwina i uniosła nad głowę. – W imię arcykróla!

Tamci natychmiast ruszyli naprzód, ale nie opuścili broni. Przez sekundę Kate obawiała się już, że pech znów ją doścignął i że to jednak bandyci, ale później ujrzała znajome norgardzkie mundury, a człowiek jadący na przedzie okazał się tym samym szlachcicem, który towarzyszył Corwinowi owego dnia w Farholdzie. Ogarnęła ją radość. Oddziałowi towarzyszyło trzech magistów w niebieskich szatach i jeden w zielonej, uzdrowiciel.

– Kate Brighton! – rzucił szlachcic, wstrzymując wierzchowca. – Co ty... Co ty tu robisz? Gdzie jest Corwin?

– Skąd... – zaczęła, po czym otrząsnęła się ze zdumienia. – Arcyksiążę żyje, mój panie, ale ledwo. Jego karawanę zaatakowały gadźce poruszające się za dnia i...

Mężczyzna uciszył ją, unosząc dłoń.

– Wiemy o gadźcach, ale twierdzisz, że Corwin żyje? Gdzie?

– W wieży pocztowej, trzy godziny jazdy stąd.

– Zatem dotrzyjmy tam w dwie godziny. – Szlachcic skinął na nią. – Wskaż nam drogę.

Już podczas jazdy przedstawił się jako Dallin Thorne z Thornewall.

– Ale możesz mi mówić Dal. Powiedz jednak, czy przeżył ktoś jeszcze?

– Nie, mój panie – odparła Kate. – Nikogo nie znalazłam. – Odgarnęła włosy z twarzy, przeczesując wzrokiem wzgórze przed nimi, dostrzegła jednak tylko tęczową połąć wiecznopłaczków kołyszących się na wietrze. – Wybacz mi, panie, ale skąd wiedzieliście o ataku?

Dal gestem wskazał niebieskiego magistę jadącego w milczeniu obok nich na czele grupy.

– Mistrz Raith podróżował z karawaną Corwina. Zdołał uciec i przybył po pomoc. Kate uniosła brwi, w głowie zawirowało jej od pytań.

– Wiesz może zatem, czym są te stwory? – zwracała się do Dala, ale nie spuszczała wzroku z magisty, którego twarz skrywała maska. Jego palce

o poczerńiałych koniuszkach zginały się sztywno, dzierżąc wodze.

– Wiemy tyle co i ty. Nocne gadźce atakujące za dnia.

– Dienne gadźce – wtrąciła Kate.

– Tak, to niezła nazwa, tyle że mam nadzieję, że się mylisz. Jeśli te stwory zaczną się mnożyć tak jak ich nocni pobratymcy... – Dal nie dokończył.

Mistrz Raith zwrócił ku niej zamaskowaną twarz.

– Panno Brighton, proszę, opisz obrażenia księcia Corwina. Czy został ugryziony?

– Tak – odparła nieco zdyszana na myśl, że ma rozmawiać z magistą. Nawet na sekundę nie mogła zapomnieć, kim jest i co potrafi. Nie przy tym człowieku czy innych obecnych magistach. Gdyby wyczuli jej magię, stałaby się następnym celem inkwizycji. – Jedno ugryzienie w ramię, ale oczyściłam rany i nałożyłam maść, którą my, kurierzy, mamy zawsze przy sobie dla koni. Kiedy zostawiłam go dziś rano, nadal trawiła go gorączka.

Raith przytaknął.

– Ma szczęście, że przeżył tak długo i że zjawiał się w ostatniej chwili. Sądziłem, że go straciliśmy.

– A jak tobie udało się przetrwać, panie? – Pytanie to wymknęło jej się z ust, nim powstrzymał ją rozsądek. Magista nie mógł uciec przed gadźcami, nawet koń nie biegał dość szybko, a stwory uwielbiały wszelkie ruchome cele.

Dal uniósł dłoń ku niebu, rozcapierzając palce.

– Oczywiście dzięki magii.

– I szczęściu – dodał Raith. – Tylko jeden puścił się za mną w pogoń. Oślepiłem go kamieniem błyskawym, moim własnym wynalazkiem. Ale proszę, panno Brighton, powiedz mi, skąd wiesz, że te gadźce atakowały za dnia?

– Och, um... Kiedy natknęłam się na nie, dwa... nadal żyły – skłamała. Nie chciała, by ten człowiek wiedział, że zabiła cztery, bo tylko jeden z nich zginął od zaklętych strzał. Wówczas zainteresowałby się, jak zdołała pokonać pozostałe trzy, a ponieważ uczyniła to z broni stworzonej dzięki magii dzikunów, wołała nie odpowiadać na to pytanie. Sama myśl o tym, że inkwizycja mogłaby zabrać Bonnera, wystarczyła, by zmrozić jej krew w żyłach. Czekałaby go wówczas nie tylko śmierć, ale i Oczyszczenie.

Dal zapatrzył się w nią zdumiony.

– I przeżyłaś?

– Tak. – Znów poczuła na twarzy gorący, cuchnący oddech. Teraz zrozumiała dlaczego ci ludzie byli uzbrojeni jak na bitwę. To znów mogło się wydarzyć.

– Imponujące – mruknął Raith.

– To mało powiedziane. – Dal przyglądał jej się z nowym zainteresowaniem. Kate odwróciła od nich wzrok, przełykając nerwowo ślinę.

– Dobrze nas szkolą w domu pocztowym.

– Na to wygląda – przyznał Dal.

W niecałe trzy godziny dotarli do wieży, konie były zlane potem i ociekające pianą. Każda sekunda jednak mogła zaważyć na przeżyciu Corwina. Kate niewiele wiedziała o jadzie gadźców, tylko nieliczni ludzie przeżywali ataki, a co dopiero ugryzienie. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie jest dobrze. Gorączka, którą jad wywoływał, bywała tak wysoka, że powodowała trwałe zmiany. Magiści jednak będą wiedzieli, co robić, pocieszała się w duchu. Władali potężnymi, mocarnymi i kosztownymi zaklęciami. Corwin miał szczęście: urodził się w rodzinie wystarczająco bogatej, by mogła pozwolić sobie na podobną kurację.

Dal pierwszy wpadł do wieży, Raith i zielona szata podążali tuż za nim. Kate została na zewnątrz z żołnierzami i pozostałymi niebieskimi. Mimo zmęczenia nie mogła usiedzieć spokojnie, czekała na wieści o stanie Corwina. Zajął się rozsiadaniem i napojeniem Darby’ego, raz po raz zerkając na zamknięte drzwi wieży. Corwin był tam sam prawie sześć godzin.

Po paru minutach ze środka wyłonili się Dal i mistrz Raith.

– Żyje – oznajmił Dal.

Kate odetchnęła głęboko i oparła się o lśniący od potu bok wałacha. Z ulgi zakręciło jej się w głowie. Jeśli Corwin przetrwał tak długo, z pewnością przeżyje i wkrótce będzie mogła o wszystkim zapomnieć.

– Musimy rozbić obóz – oświadczył Raith. Skinął na pozostałych magistów. – Najpierw rozstawcie barierę z kamieni strażniczych otaczającą szerokim kręgiem wieżę. Potem zgłóście się do mnie, potrzebuję pomocy przy opatrzaniu księcia.

Rozkazy padły i ludzie zaczęli krzątać się. Kate stała, niepewna, co powinna zrobić. Było za późno, by mogła ruszyć do Farholdu, no i Darby był bardzo zmęczony. Ale nie mogła też wejść do wieży i rozgościć się, bo

krzatali się tam magiści.

W chwilę później podszedł do niej Dal.

– Obawiam się, że będziesz musiała zanocować tutaj, panno Kate. Ale widzę, że masz własne posłanie. Czy potrzebujesz jeszcze czegoś z wieży?

Kate pokręciła głową, nagle zachwiała się i niemal straciła równowagę. Teraz, gdy zdrowiem Corwina zajmowali się inni, w końcu i ją dopadło zmęczenie.

– Kiedy ostatnio jadłaś? – Dal przyjrzał jej się z nieskrywaną troską.

– Nie pamiętam.

– W takim razie usiądź tutaj, a my się wszystkim zajmiemy. Nie możemy pozwolić, by zbawczyni arcyksięcia umarła pod naszą pieczę. – Podprowadził ją pod ścianę wieży, w miejsce, gdzie grunt wznosił się łagodnie.

– Mój koń...

– Ja się nim zajmę, ty dość już zrobiłaś. – Dal uśmiechnął się szeroko, ale jego głos brzmiał władczo i nie odważyła mu się sprzeciwić. Zdjęła z siodła posłanie, rozłożyła na ziemi i usiadła. – Każę komuś, by przyniósł ci kolację. I nie martw się o Corwina, nic mu nie będzie; oboje wiemy, że ma po co żyć.

Dal mrugnął porozumiewawczo, jakby powiedział właśnie jakiś prywatny żarcik, potem odwrócił się i zabrał konia. Kate ułożyła się na posłaniu, przysięgając sobie, że nie zaśnie, lecz w niecałą minutę później po prostu odpłynęła.

* * *

Kiedy się ocknęła, była noc. Najpierw zauważyła gwiazdy, tysiące jasnych punkcików w górze, zupełnie jakby bogowie wybili dziury w tkaninie nieba, ukazując leżący za nią wszechświat utkany z czystego światła. Rzadko zdarzało jej się oglądać takie gwiazdy – zdawały się na tyle bliskie, że można by je dotknąć. Nie skrywała ich mgiełka, jakże często zasnuwająca niebo w miastach.

Skuszona odgłosami obozu, Kate usiadła powoli. Rozglądała się dokoła, chłonąc wzrokiem obraz norgardzkich żołnierzy zebranych wokół ogniska, jedzących i pijących. Leżała w tym samym miejscu, gdzie zaśnęła, niedaleko wieży, nieopodal Dal siedział na własnym posłaniu, czyszcząc miecz.

– Och, zbudziła się – rzucił, zauważywszy ją. – Witamy z powrotem wśród

żywych. Nigdy dotąd nie widziałem, by kobieta tak twardo spała.

Kate potarła oczy.

– Jak długo spałam?

– Powiedziałbym, że prawie sześć godzin. Ale zasłużyłaś sobie. – Skinął ręką. – Zjedz coś, napij się, a kiedy skończysz, opowiesz mi o tym. – Odłożył miecz i uniósł rewolwer Kate.

Serce szarpnęło jej się w piersi.

– Czyżbyś miał w zwyczaju kraść własność innych ludzi? – spytała, zapominając na moment, że rozmawia ze szlachcicem, a sama jest chłopką.

Ku jej zdumieniu Dal wybuchnął śmiechem. Czarny kamień magiczny w jego uchu zamrugał w blasku ognia.

– Ostry masz języczek, ale cóż, nie możesz zostawiać takiej broni na widoku i spodziewać się, że mężczyzna to zignoruje. Zwłaszcza taki jak ja.

Kate zakłęta w duchu. Jak mogła być taka głupia? Oczywiście, że zainteresował go nietypowy pistolet. Widziała, że wyjął pociski z komory i ułożył je przed sobą starannie w równym rzędku.

Przerażona, że nie zdoła bezpiecznie wyłgać się z sytuacji, sięgnęła po talerz z kolacją i zaczęła jeść, przeżuwając powoli w nadziei, że opóźni jakoś rozmowę na temat rewolweru Bonnera.

– A na wypadek gdybyś była ciekawa, Corwin już czuje się lepiej. – Dal wręczył jej kubek wina. – Mistrz Raith uważa, że długo będzie dochodził do siebie, ale można bezpiecznie go przewieźć. Zbudowaliśmy już nosze, by rano zabrać go do Farholdu.

Kate pociągnęła spory łyk wina, lepszego nie kosztowała od lat.

– To dobra nowina. Ja także rankiem ruszam w drogę. Dal uniósł brwi.

– Sama?

– Muszę jak najszybciej wrócić do domu poczty; poruszam się szybciej niż karawana.

– Bez wątplenia. – Dal przygwoździł ją wzrokiem, w jego oczach, mimo intensywności spojrzenia, połyskiwały rozbawione iskierki. – Czy jednak zostaniesz na tyle długo, by pomówić rano z Corwinem, to znaczy jeśli odzyska przytomność? Z pewnością zechce cię zobaczyć.

– Szczerze wątpię. – Przełknęła kolejny haust wina.

A ja z całą pewnością nie mam ochoty widzieć się z nim. Teraz, kiedy wiedziała, że przeżyje, znów ogarnął ją gniew. *Jedź do Fenmore, mówił ojciec.* Czy to z powodu niebezpieczeństwa, jakie groziło jej jako córce

zdrajcy? A może wiadomość niosła jakieś inne przesłanie? Choć się starała, nie potrafiła znaleźć wyjaśnienia.

Dal uśmiechnął się, ale nie nalegał, pozwalając jej w milczeniu dokończyć posiłek. Odłożył rewolwer i znów zajął się czyszczeniem miecza. Robił to wyraźnie z nudów bądź z nawyku, bo klinga już lśniła. Gładka stal połyskiwała w blasku ognia, kościana rękojeść wyrzeźbiona na kształt jastrzębia o dwóch rubinowych oczach jaśniała bielą.

Kate odwróciła się, by spojrzeć na siedzących przy ognisku żołnierzy. Jeden z nich zaczął śpiewać starą, znajomą piosenkę: „Jazdę Adaira”, historię pierwszego króla Norgardu. W dzieciństwie ojciec śpiewał jej to co noc, na próżno próbując ją uśpić, ale historia, o której traktowała pieśń, była zbyt porywająca. Mała Kate zawsze miała ochotę skakać na łożku, udając, że dosiada rumaka bojowego i zabija niewidzialne smoki.

Teraz, kiedy tak słuchała, mimo że była starsza i jakże różna od owej dziewczynki, tęsknota za przeszłością wypełniła jej pierś, wyciskając powietrze z płuc. Odetchnęła głęboko, próbując nie słuchać, na próżno, zupełnie jakby starała się nie czuć na twarzy wiatru w pełnym galopie.

– Jutro – głos Dala wdarł się w jej myśli – mistrz Raith i ja wrócimy w miejsce, gdzie zaatakowano karawanę. Musimy dowiedzieć się więcej na temat owych dziennych gadźców. Wiem, że zależy ci na jak najszybszym powrocie, ale czy zechcesz nam towarzyszyć? To nie powinno potrwać długo, a twoje doświadczenie może nam się przydać.

Kate zagryzła wargę, niepewna, czy to prośba, czy udający ją rozkaz. Nie знаła Dala na tyle, by to stwierdzić. Nigdy nie słyszała o Thornewall, ale zgadywała, że to pomniejszy ród i majątność.

– Oczywiście jeśli nie chcesz, nie musisz – podjął Dal. – Wyobrażam sobie, że nie będzie to miła wizyta.

– Tu masz rację. – Nie chciała nawet zgadywać, co dzień leżenia w słońcu zrobił z trupami. – Ale niestety zmuszona jestem odmówić. Muszę jak najszybciej wrócić do Farholdu i ostrzec kurierów przed nowym zagrożeniem.

Na tę myśl ogarnął ją chłód. Signe wyruszyła już w swój następny kurs. A co, jeśli ją zaatakują? Czy poczta będzie mogła nadal działać, jeśli owe dzienne gadźce okażą się równie wielkim zagrożeniem, jak ich nocni krewniacy? To była naprawdę przerażająca myśl. Kate potrzebowała tej pracy, do niczego innego się nie nadawała, niczego innego nie chciała robić.

Nie miała raczej szans, by wyjść za mąż, a poza tym nie umiała sobie wyobrazić życia z dala od koni.

– Jeśli skończyłaś już jeść – Dal położył miecz na skrzyżowanych nogach – proszę, opowiedz mi coś więcej o tym niezwykłym pistolecie. – Znów po niego sięgnął i obrócił palcem cylinder. – Nigdy nie widziałem podobnego. Jeśli się nie mylę, może strzelać kilka razy bez przeładowania.

Kate przytaknęła, zaciskając wargi. Próbowwała znaleźć jakieś prawdopodobne kłamstwo, lecz bez powodzenia. A zatem częściowa prawda.

– Nazywa się rewolwer. Zrobił go mój przyjaciel. To kowal z Farholdu, rusznikarstwo to jego hobby.

– Właśnie widzę. – Dal obrócił rewolwer w dłoniach, oglądając go z dziwnym napięciem. Po raz pierwszy Kate zauważyła blizny na jego rękach, kilka długich, grubych szram, z pewnością pozostałość jakiejś bitwy. Zastanawiała się, jak powstały. Był zbyt młody, by walczyć w Inwazji Sevańskiej, ostatniej wojnie na rymskiej ziemi. Poza tym w uchu nosił kamień magiczny, z tych, które zazwyczaj zawierają zaklęcia ukrywające oszpeca.

Dal spojrzał na nią.

– Czy działa równie dobrze jak pistolet? Kate zawahała się, ale tylko przez moment.

– Przeważnie tak.

– Twój przyjaciel musi być naprawdę niezwykłym człowiekiem. – W głosie mężczyzny pobrzmiwał podziw. Sięgnął po pociski i zaczął wsuwać je kolejno do komory. – Niektórzy rusznikarze przez lata próbowali stworzyć coś podobnego. Bardzo chciałbym wystrzelić i sam sprawdzić, jak działa – zaczął się podnosić.

Kate poczuła, że blednie.

– Wybacz mi, panie, ale to chyba nie najlepszy moment. Już późno, a broń bywa głośna.

Dal skrzywił się i jego twarz na moment stała się chłopięca – choć wcale nie mniej atrakcyjna.

– Chyba masz rację. No i nie chciałbym obudzić Corwina. Wyrwany ze snu bywa okropnie marudny. – Z westchnieniem oddał jej rewolwer.

Kate uśmiechnęła się z ulgą. Gdyby teraz mogła sprawić, by Dal zapomniał, że w ogóle ją widział.

– Kiedy księżę był mały, matka z tego właśnie powodu nazywała go swoim niedźwiadkiem.

– Naprawdę? Nie wiedziałem. Niedźwiadek. – Dal roześmiał się. – Może czas wskrzesić ten przydomek.

– Proszę, nie – rzuciła cicho Kate, spuszczać wzrok. – Nie powinnam ci była tego mówić. Corwin bywa dość przewrażliwiony, jeśli chodzi o wspomnienia matki. A przynajmniej bywał.

– Nie martw się, nie powtórzę mu. I wciąż taki jest. – Dal pokręcił głową z uśmiechem. – To takie dziwne, spotkać kogoś, kto zna go lepiej ode mnie.

Kate zmarszczyła brwi.

– Kiedyś go znałam, panie. Ale to już przeszłość.

W jej głosie musiało kryć się coś więcej niż zamierzała, bo mężczyzna popatrzył na nią pokornie.

– Przepraszam, panno Brighton, nie chciałem przywołać złych wspomnień. Wybacz mi, proszę.

– Nic się nie stało. Nie powinnam się tym przejmować, przeszłość to przeszłość. Dal zakasłał wymownie, jakby w to wątpił, ale nic więcej nie powiedział.

Przez kilka minut milczeli, słuchając jak jeden z gwardzistów intonuje nową piosenkę, tym razem wulgarną balladę, którą Kate poznała dopiero, kiedy została kurierką poczty.

W końcu zebrała się na odwagę.

– Skąd pochodzisz? – spytała. – Nigdy nie słyszałam o Thornwall.

– To mnie nie dziwi. – Dal parsknął, podniósł miecz i wsunął do pochwy. – To niewielka posiadłość na wschodnich urwiskach nad rzeką Penlaurel. Moim ojcem jest baron Thornwall. Na szczęście nie dziedziczę tytułu, to jedna z wielu zalet bycia szóstorodnym synem.

Kate nie do końca mu wierzyła; jego ton przypominał Corwina, rozmawiającego o nieobecnym znaku uror.

– Skąd znasz arcyksięcia? – spytała, kierowana ciekawością.

– Ach, to dopiero historia. – Dal rozparł się wygodnie na posłaniu, unosząc głowę ku nocnemu niebu. – Niestety jednak, nie wolno mi jej opowiedzieć.

– Czemu nie?

– Bo spotkałem go podczas moich podróży. Czy raczej jego podróży.

– Ach. – Oczy Kate rozszerzyły się ze zdumienia. – Chcesz powiedzieć podróży w latach, kiedy zniknął z Rime?

Dal rozprostował palce, aż trzasnęły mu kostki.

– To tajemnica, za którą każdy pismak oddałby prawą dłoń.

Jakbym ją miała komukolwiek powtórzyć. Kate skrzyżowała ręce na piersi. Nie przepadała za pismakami. Wiedziała, że nie powinna czuć się urażona – ostatecznie Dal jej nie znał – jej irytacja wynikała częściowo z poczucia zawodu. Bardzo chciałyby wiedzieć, co takiego robił Corwin przez owe lata. Przypomniła sobie tatuaż – sokoła z tarczą – i znów poczuła, że powinna go rozpoznać, ale nie potrafiła.

– Nie uważam, że byś to zrobiła – głos Dala zabrzmiał poważniej – ale nie mam prawa dzielić się tym sekretem. Corwin mógłby nigdy mi nie wybaczyć, a jego dobre zdanie liczy się dla mnie bardziej niż cokolwiek na świecie.

Kate wpatrywała się w niego, a do ciekawości dołączyło ukłucie zazdrości. Kiedyś czuła to samo i owo wspomnienie utraconej przyjaźni bolało. Przez całe życie byli sobie najbliżsi, towarzysze w psotach i zamęcie. Tak wiele razy przyłapywano ich na nocnych wyścigach na polach treningowych bądź kradzieżach słodyczy z kuchni przed ważnym balem. Kiedyś podpalili nawet przypadkiem zamkowy składzik i oboje odmówili wyznania prawdy w obawie, że napytają kłopotów temu drugiemu.

Nie jestem już tą szaloną, nieostrożną dziewczynką, pomyślała, starając się zagrzebać wspomnienie gdzieś głęboko.

Zastanawiała się, czy to samo dotyczy Corwina. Zważywszy na to, jak mówił o nim Dal, pewnie tak.

– Nie lękaj się jednak – podjął. – Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Corwin pewnego dnia sam ci o tym opowiedział. Pamiętaj tylko, by nie do końca wierzyć, jeśli będzie mówił o sobie, że nie wygląda na bohatera. To nieprawda i chętnie sprostuję, kiedy już będę mógł.

Kate uniosła brwi, słysząc te dziwne słowa. Ogarnęła ją jeszcze większa ciekawość. Nagle dotarło do niej pełne znaczenie jego słów. Pokręciła głową.

– Poważnie wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze zdarzy mi się z nim rozmawiać.

Usta Dala wygięły się w drwiącym i irytującym uśmiechu.

– Zobaczmy, moja droga Kate. Zobaczmy.

9

CORWIN

– Jeśli zaraz nie wstaniesz z łóżka, to chyba skonam z nudów.

Głos, lekki, rozbawiony i znajomy dotarł do Corwina poprzez mgłę snu tak głębokiego, iż sądził, że ów dźwięk również stanowi jego część. Ale potem uszy wypełnił mu donośny, bezczelny odgłos ziewania i księżę pojął, że to się dzieje naprawdę. Powoli otworzył oczy i zamrugał, oślepiiony.

Dal siedział na krześle obok jego łóżka, stopy oparł na okrytym koronkową serwetą stoliku.

Kiedy spojrzeli sobie w oczy, jego twarz nie zdradzała cienia znudzenia.

– On żyje! – Klasnął w dłonie. – Poślijcie wiadomość wszystkim dziewczętom w krainie, niechaj się radują! A może tylko jednemu dziewczęciu.

– O czym ty gadasz?

Przy każdym słowie czuł się tak, jakby połykał garść żwiru. Rozkasłał się głośno.

Dal zsunął stopy ze stolika i wstał, żeby nalać do kielicha wody z dzbanka. Kielich wręczył Corwinowi.

– Nie pamiętasz?

Corwin przyglądał się przyjacielowi. Myśli, z początku zamglone, przejaśniły się.

– Karawanę zaatakowały nocne gadźce, tyle że za dnia. – Usiadł, z trudem wyrrywając się z objęć grubego, miękkiego materaca, który zdawał się przytrzymywać go przy sobie. – Była tam Kate.

Dal zacmokał.

– Jesteś okrutnie opóźniony, mój przyjacielu. Obecnie nazywamy je dziennymi gadźcami, a do ataku doszło ponad dwa tygodnie temu.

– Dwa tygodnie? – Corwin zachłysnął się, a jego popękane wargi zaprotestowały boleśnie.

– Wypij to. – Dal wcisnął mu kielich. – Rzęzisz jak ropucha.

Księżę pociągnął długi łyk wody, która piekąc ściekła w głąb gardła i do żołądka. Wypełniwszy obowiązek, Dal wrócił na miejsce.

– Zielone szaty swoimi miksturami utrzymywały cię w stanie uśpienia; twierdzą, że było to niezbędne, abyś doszedł do siebie. Ma to jakiś związek z tym, jak długo jad gadźców pozostaje we krwi. Dla mnie to wszystko nie miało sensu – wzruszył ramionami – ale w końcu nie jestem uzdrowicielem. Jak ramię?

Ociężały umysł Corwina potrzebował chwili, by wyłapać sens w szybkiej gadaninie Dala, w końcu przypomniał sobie, że gadziec ugryzł go w ramię. Uniósł prawą rękę i poczuł ukłucie bólu w nie do końca zagojonej ranie ukrytej pod grubą warstwą bandażu.

– Mniej dokucza niż twoja paplanina. Jak w ogóle się tu znalazłem?

Rozejrzawszy się po pokoju, Corwin rozpoznał komnatę, w której mieszkał podczas odwiedzin w Farholdzie. Zielone zasłony ze złotymi frędzlami, zwisające wokół wielkiego łoża z baldachimem, w tej chwili były odciągnięte, by wpuścić do środka wpadający przez otwarte okno wietrzyk.

– Też mi paplanina. – Dal nadał się i szybko opowiedział mu o Kate, która wkrótce po ataku natknęła się na karawanę i uratowała go.

W głowie Corwina zaczęły pojawiać się obrazy, oderwane i pomieszane. Pamiętał, że tam była, pamiętał też, jak strach o nią zagłuszył ból obrażeń. A jednak przeżyła.

Uratowała mnie. Potem kolejne obrazy, zamglone, rwące się, podróży do wieży, tego, jak opatrywała mu rany, przypomniał sobie dotyk jej palców na skórze. Na to wspomnienie poczuł nagłe mrowienie.

– Gdzie jest teraz Kate? – spytał, przerywając kolejne długie zdanie Dala.

Na ustach przyjaciela zatańczył przebiegły uśmieszek.

– W mieście. Mam na nią oko, w twoim imieniu. Została uziemiona, nie wolno jej wyjeżdżać z misjami. Podobnie jak innym kobietom, odkąd pojawiło się zagrożenie ze strony dziennych gadźców.

Corwin zmarszczył czoło.

– Założę się, że jej to nie ucieszyło.

– Informator twierdzi, że jest mniej więcej w tak przyjaznym nastroju, jak na wpół zagłodzony grzechotnik. – Dal zaczął przemawiać niskim, szorstkim głosem. – Na szczęście ta młoda dama nie ma ostrych zębów, inaczej kogoś by ugryzła. To dokładny cytat.

– Tak, z pewnością widzisz, jaki jestem zdumiony. – Corwin pociągnął kolejny łyk wody, ukrywając uśmiech. Może jednak Kate aż tak bardzo się nie zmieniła. – Opowiedz mi resztę. Pamiętam wieżę pocztową, ale niewiele

ponad to.

– Cóż, po tym, jak twoja słodka dama uratowała cię i zawiozła w bezpieczne miejsce, wyruszyła, by sprowadzić pomoc. Ja tymczasem już cię szukałem, dzięki mistrzowi Raithowi, który szczęśliwym zrzędzeniem bogów zdołał uciec przed atakiem. Natknęliśmy się na nią około południa, poprowadziła nas do wieży i magiści zajęli się tobą. Przywieźliśmy cię do Farholdu i odtąd tkwisz w łóżku.

Na tę myśl Corwinowi ścisnął się żołądek. Sytuacja za bardzo kojarzyła mu się z chorobą ojca. Mimo ogromnego zmęczenia opuścił stopy na podłogę, zdecydowany wstać. No, może jeszcze nie teraz, pomyślał, czując nagły zawrót głowy. Zacisnął powieki, czekając, aż minie.

– Jak mistrz Raith zdołał uciec?

– To podstępna sztuka – przyznał Dal. – Użył czegoś, co nazywa kamieniem błyskowym, najwyraźniej to nowo zatwierdzony wynalazek. Oślepił stwory na czas wystarczający, by się wymknąć.

Corwin przesunął się na brzeg łóżka, mocniej stawiając stopy na grubym dywanie.

– Czy doszło do innych ataków?

Dal pokręcił głową.

– Na szczęście nie, nikt nie widział owych dziennych gadźców.

– Zupełnie nikt?

To nie miało sensu. Próbując sobie przypomnieć tamte wydarzenia, Corwin doszedł do wniosku, że zaatakowało ich nie więcej niż dziewięć, może dziesięć bestii. To mniej niż w typowym stadzie nocnych gadźców, a przecież aż nadto, aby ich zniszczyć. *Nie byliśmy gotowi*. Wyruszając rankiem, nie uzupełnili zapasów zaklętych strzał. Corwin nie sądził, by istniała taka potrzeba, poza tym nie mógł się doczekać wymarszu.

– Przynajmniej ja jeszcze żadnego nie widziałem. – Dal splótł ręce na piersi i zrobił nadąsaną minę.

– Jak to? – Corwin przytrzymał się słupka łóżka, próbując zebrać dość sił, żeby wstać.

Przyjaciel podszedł i podał mu rękę.

– To prawda. Ja i mistrz Raith oglądaliśmy szczątki karawany, ale wszystkie truchła gadźców zniknęły.

– Zniknęły? – Corwin podniósł się. Zachwiał się, więc mocno ścisnął dłoń Dala, by nie stracić równowagi.

– Owszem, zniknęły... a przy okazji, to boli.

Corwin puścił jego rękę.

– Znaleźliśmy tylko ślady wleczenia czegoś ciężkiego. Nie wyglądało to nawet na atak gadźców, bo wszystkie trupy koni i ludzi wciąż tam były. Po prostu leżały na drodze.

– Nie pożarły ich – zrozumiał Corwin.

Zadrżał, a poczucie winy aż go ścisnęło w żołądku, gdy wyobraził sobie mistrza Barretta, kapitana Morrisa, Tancerza Burzy, strażników. Wszyscy oni nie żyli. Był ich księciem. *I zawiodłem ich*. Zerknął na tatuaż na swym przegubie: sokół i tarcza jak zawsze drwiły z niego, przypominając o innych ludziach, których także zawiódł.

– Nie rób tego. – Dal dostrzegł jego spojrzenie. – Ile razy mam ci powtarzać, że to, co się stało, to nie twoja wina. W żaden sposób nie mogłeś...

Corwin uciszył go, unosząc dłoń.

– Zechcesz, proszę, podać mi szatę?

Z głośnym sapnięciem Dal obrócił się na pięcie i wyciągnął okrycie ze stojącej obok szafy, potem pomógł Corwinowi je nałożyć. Corwin wolałby rzucić szlafrok, który miał na sobie, ale na razie nie czuł się na siłach, a nie chciał wzywać służby. W ciągu dwóch lat spędzonych poza Rime nauczył się obywać bez asysty i stanowczo to wolał, znajdując wolność w wykonywaniu prostych zadań.

Zawiązując sznur wokół pasa, odwrócił się i przeszedł w drugi koniec komnaty. Usiadł ciężko na sofie, zdyszany z wysiłku. Bolały go części ciała, z których istnienia nie zdawał sobie wcześniej sprawy.

– Tak się zastanawiałem – Dal podążył za nim – czy atak na karawanę wiąże się jakoś z tym, co spotkało Gregorów.

Zajął miejsce w fotelu naprzeciw Corwina.

– Czemu tak sądzisz? – Księżę powoli obrócił głowę w jego stronę.

– Ze względu na znikające gadźce. Ten andreański górnik palił truchło gadźca, zapewne po to, by ukryć jego obecność. Zakładaliśmy, że był to nocny gadziec, ale może nie? I z pewnością tym, który usunął inne trupy, kierowały podobne przesłanki... po prostu chciał ukryć ich istnienie.

Corwin odetchnął głęboko, usiłując opanować zamęt w myślach. Gadźce były dzikimi bestiami, śmiertelnie groźnymi i nieprzewidywalnymi. Tymczasem Dal sugerował, że atak na karawanę przeprowadzono specjalnie,

podobnie jak napaść na Gregorów. Jakby ktoś kierował tymi gadźcami i traktował je jako broń. Niezwykle skuteczną broń. Wszyscy Gregorowie nie żyli, przynajmniej musiał tak zakładać. Może ktoś chciał, aby i on zginął? Ale czemu? W obecnej sytuacji Edwin i tak miał zostać arcykrólem. Nie Corwin. W porównaniu z nim prawie się nie liczył.

Przegnał tę myśl.

– Chyba wyciągasz zbyt śmiało wnioski.

– Możliwe. – Dał przeciągnął się, unosząc wysoko ręce nad głowę, i ziewnął. – Zresztą to i tak nie ma znaczenia, zważywszy, że uwolniono nas od obowiązku zbadania owych dziennych gadźców. Och, i twój objazd pokojowy oficjalnie dobiegł końca. Gdy tylko dojdiesz do siebie, mamy wracać do Norgardu.

– Niech zgadnę. – Corwin wywrócił oczami. – To bezpośredni rozkaz? Mojego brata?

– Nie bezpośredni. Podpisał go arcykról.

– Oczywiście, że tak. – Corwin odchylił się na kanapie i pomasaował skronie. Powinien czuć ulgę, wręcz radość, w końcu może robić co chce, a bogowie świadkami, że nie miał wcale ochoty zajmować się równie paskudnymi sprawami. A jednak nie chciał jeszcze zostawiać tej tajemnicy. Dręczyła go, domagając się rozwiązania. I pomszczenia zmarłych.

– Co Edwin ma do powiedzenia na temat Gregorów?

– Bardzo mało. – Dał wyciągnął zza pasa sztylet i czubkiem zaczął czyścić sobie paznokcie. – Oficjalnie uznano to za straszliwą tragedię i tyle. Ani wzmianki o Powstaniu.

– Oczywiście, że nie, Edwin nie chciałby niepokoić pospólstwa, obwiniając dzikunów. – Corwin zastanowił się chwilę.

– Pewnie się ucieszył, bo śmierć Marcusa Gregora oznacza, że mamy o jednego przeciwnika mniej wśród szlachty. – Do głowy przyszło mu kilka soczystych przekleństw, nim jednak zdążył je wypowiedzieć, żołądek zaburczał mu głośno.

– Chyba każę dostarczyć posiłek. – Dał roześmiał się głośno.

– To dobry pomysł.

Tyle że mimo protestów żołądka Corwin w ogóle nie czuł głodu, jedynie gniew na zuchwałość brata, który rozkazał mu wracać do domu. Chociaż poprzysiągł go słuchać i w końcu poddać się rozkazom Edwina jako dziedzica i następcy arcykróla, na każdym kroku wciąż zmagął się z własną

niezależną naturą.

Dal zniknął, pozostawiając Corwina samego. Zmusił się do zaprzestania myślenia o Edwinie, wkrótce więc odkrył, że rozmyśla o Kate, wspominając chwile spędzone wspólnie w wieży pocztowej. Rozmawiali o jej ojcu i o tym, czemu nigdy nie przekazał jej wiadomości od niego. O jego dziecięcym gniewie z powodu pocałunku, który wymieniła z Edwinem, a który, jak twierdził później brat, był jedynie przypadkiem, bo Kate wzięła go za Corwina.

Teraz wstydził się prawdy, wówczas jednak jej postępek wydał mu się niemal gorszy niż napaść Hale'a na arcykróla.

Nigdy nie miał szansy pomówić z nią o tym, ale trudno mu było uwierzyć, że to pomyłka. Wyglądała, jakby robiła to tak chętnie, a jej widok w ramionach innego sprawił, że w końcu dotarła do niego straszliwa prawda: że nigdy nie będzie jego. Był arcyksięciem skazanym na poślubienie księżniczki albo jakiejś dziewczyny ze szlacheckiego rodu. Nie córki naczelnego koniuszego.

Z westchnieniem porzucił ten temat i wysilił pamięć, próbując przypomnieć sobie wszystko, co tylko mógł, z ataku dziennych gadźców. Zdołał zabić parę z nich, ale to nie wystarczyło, było ich zbyt wiele, były zbyt potężne i zawzięte. Kiedy powalił ostatniego, musiała sprzyjać mu łaska Redany, bogini szczęścia, bo bestia wylądowała na nim, ukrywając go przed wzrokiem i węchem pozostałych. Musiał jednak słuchać krzyków konających ludzi i koni, a sam nic nie mógł poradzić. Na jakiś czas stracił przytomność, a potem zjawiała się Kate. Ją także zaatakowały trzy – nie, cztery – gadźce, przypomniał sobie z nagłą jasnością. Panika, którą poczuł na widok stworów pędzących ku Kate, wystarczyła, by wyrwać go z maligny. Pierwszego powaliła zakłętymi strzałami, ale pozostałe trzy...

– Wkrótce dostarczą posiłek – oznajmił Dal. Klapnął ciężko na fotel i zarzucił nogę na poręcz, jakby zmęczył go wysiłek wezwania służby.

– Rozmawiałeś z Kate? – spytał Corwin. Jakaś część niego bała się odpowiedzi.

Dal uśmiechnął się szeroko.

– Owszem, była stanowczo zbyt serdeczna, tylko przez moment ujrzałem zadziorną dziewczynę, którą opisałeś. Zakładam, że to oblicze zachowuje głównie dla ciebie.

Corwin poruszył się lekko, niepewny, czy to go złości, czy raczej cieszy.

– Opowiadała ci o ataku?

– Odrobinę. Twierdziła, że zabiła dwa gadźce – mruknął Dal. – Jak mówiłem, to twoja dama w lśniącej tunice pocztowej. Choć osobiście bardzo bym chciał ujrzeć ją w sukni, uczesaną i z umytą twarzą.

Corwin puścił te słowa mimo uszu. Jak na standardy Dala i tak były dość łagodne.

– Zabiła nie dwa, ale cztery. Sam widziałem. Pierwszego zastrzeliła zakłętymi strzałami, pozostałe trzy z jednego pistoletu.

Dal wyprostował się gwałtownie, otwierając szerzej oczy.

– Rewolwer!

Corwin skrzywił się na głośny dźwięk.

– Co takiego?

– Rewolwer, tak go nazwała. – W głosie przyjaciela dźwięczało podniecenie. – Mieści w sobie sześć kul. Twierdziła, że zrobił go jej przyjaciel, kowal z Farholdu. I mówisz, że zabiła z niego trzy gadźce?

Corwin przytaknął, wspomnienie z każdą chwilą stawało się coraz wyraźniejsze.

– Święta matko koni. – Dalowi opadła szczeka. – Muszę mieć taki.

– Ja też, zwłaszcza jeśli na zewnątrz kryje się więcej tych dziennych gadźców. Wspomniała może nazwisko tego kowala?

– Niestety nie. Wyraźnie nie miała ochoty o tym rozmawiać. – Dal podrapał się po policzku. – Można nawet rzec, że unikała tematu.

Corwin zacisnął wargi. Podniecenie, jakie ogarnęło go na myśl o broni mogącej powalić tak wiele gadźców, osłabło nieco, gdy zrozumiał, że chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o broni, będzie musiał odnaleźć Kate. Rozmowa w gorączce to jedno, ale stawić jej czoło teraz, w pełni świadomie – to zupełnie inna sprawa. Mimo wszystko musiał to zrobić.

Tamta broń mogła zmienić świat – tak jak silnik parowy powoli odmieniał Endrę i Rhoswen, w odróżnieniu od Rime niedysponujące magią. Gdyby mieli wystarczająco dużo tej broni, może nawet zdołaliby wybić wszystkie gadźce i uwolnić Rime od życia za murami i barierami z kamieni strażniczych.

– Twierdzisz, że jest uziemiona? – spytał.

Dal przytaknął powoli.

– Każdy dzień spędza w domu poczty. Nawet w tej chwili z pewnością możemy ją tam znaleźć.

Corwin pokręcił głową.

– Nie dzisiaj. Ledwie jestem w stanie utrzymać się na nogach, a co dopiero na koniu.

– Rozumiem. Ale to znaczy, że zamierzasz się z nią zobaczyć?

– W końcu tak.

Dal z trudem powstrzymał się od uśmiechu, choć w oczach roz błysły mu iskiereczki rozbawienia.

– Pojadę z tobą. Nie mogę się doczekać widoku zadziornej Kate, o której opowiadałeś.

Corwin westchnął.

– Miejmy tylko nadzieję, że mnie nie pogryzie.

– Wręcz przeciwnie – rzucił Dal. – Właśnie na to liczę.

„W końcu” w rezultacie potrwało niemal tydzień – tyle trzeba było czasu, by Corwin odzyskał nieco sił i załatwił wszystkie inne sprawy wymagające jego uwagi. Gubernator Prewitt zaglądał do niego co najmniej dwa razy dziennie, zawsze szczerze zatroskany o zdrowie gościa. Corwin doskonale jednak rozumiał, o co tak naprawdę chodzi: mężczyzna chciał, by księżę jak najszybciej wyjechał. On sam też tego pragnął.

W sprawie Gregorów nie dowiedzieli się niczego nowego. Od ataku na ich posiadłość minęły tygodnie i nikt nic nie widział ani nie słyszał na temat całej rodziny. Oficjalnie uznano ich więc za zmarłych. Corwin też był o tym przekonany, biorąc pod uwagę całkowite zniszczenie domu. Potwierdzono także, że to magia dzikunów odpowiadała za pożar i inne uszkodzenia. Dwaj magiści, którzy zbadali ciało martwego andreańskiego górnika, w końcu określili czar, który go zabił, jako odmianę magii ducha. Nikt nie mógł podważyć ich stwierdzeń w tej materii. Jeden należał do zakonu białych szat, zajmującego się sztuką wysoką, zaklęciami zbyt złożonymi do codziennego zastosowania, drugi do złotych, specjalizujących się w wykrywaniu dzikuńskiej magii i kierujących inkwizycją. Ich odkrycie zaniepokoiło Corwina, zwłaszcza gdy przypomniał sobie spekulacje Dala, że oba ataki mogły być ze sobą powiązane. W najlepszym razie Powstanie zyskiwało na sile.

– Sądzicie, że dzikuni mogli jakoś stworzyć te gadźce? – spytał magistów.
– Tak jak wcześniej ponoć nasłali na nas nocną odmianę?

Złoty z przesadną emfazą machnął ręką.

– Kiedy mamy do czynienia z dziką magią, wszystko jest możliwe, Wasza Wysokość. To kolejny powód, by zetrzeć ją z powierzchni ziemi.

Oto mantra każdego magisty. Corwin nie wiedział, co o tym sądzić, był jednak pewien, że jeśli istnieją jakieś odpowiedzi, to należy ich szukać w Andreas. Mimo rozkazu brata zamierzał pojechać tam przed powrotem do Norgardu. Dal zamówił już artystę, który miał naszkicować twarz górnika. Może ktoś go rozpozna?

Najpierw jednak musiał pomówić z Kate. Czuł się trochę tak, jakby szykował się do bitwy. Najczęściej jak mógł zmuszał się do pochłaniania kolejnych posiłków, co dzień też wspinał się i schodził po wszystkich schodach w rezydencji gubernatora. Kiedy w końcu dotarł na górę i nie zrobiło mu się słabo, uznał, że jest gotów – mimo dręczącej go pewności, iż tak naprawdę nigdy gotów nie będzie.

Następnego ranka on i Dal wyruszyli do domu poczty. Choć Corwin chciał pojechać bez eskorty, gubernator Prewitt nalegał, aby posłać z nimi czterech strażników. Zgodził się, ale polecił, by nie zabierali chorągwi królewskiej ani trębaczy. Ostatecznie królewski objazd dobiegł już końca.

Nie czyniło to żadnej różnicy, bo i tak nadal go rozpoznawano. Choć założył zwykłą, prostą tunikę, pozbawioną jakichkolwiek insygniów, jego wizerunek zbyt często pojawiał się we wszystkich gazetach w Rime, by mógł liczyć na anonimowość. Po swoim zniknięciu i nagłym powrocie stał się tajemnicą, która zwiększała nakłady. Bez wątpienia kilku służących w domu gubernatora solidnie opłacano, by informowali opinię publiczną o wszelkich poczynaniach księcia.

Gdy więc tylko Corwin zjawił się na ulicy, wokół zebrał się tłum.

Wędrówka do domu poczty trwała bardzo długo, bo czterech gwardzistów nie dawało sobie rady z napierającym tłumem. W połowie drogi jakaś kobieta odziana w szmaty i cuchnąca niczym wygodka w tawernie zdołała przecisnąć się obok strażników i podbiegła do pożyczonego konia Corwina. Klacz uskokzyła z parsknięciem, ale kobieta chwyciła jej wodze.

– Litości, Wasza Wysokość! – wrzasnęła, nie zważając na bliskość kopyt.
– Litości! – Strażnicy pochwycili ją natychmiast i zaczęli odciągać. – Litości dla mego męża! Został wygnany!

Corwin zazgrzytał zębami, mięśnie jego szczęki napięły się mocno. Wygnanie było najokrutniejszą z kar wymierzanych przez miejscowych sędziów. Nawet egzekucja była bardziej litościwa niż niepewność losu poza ochroną miejskich murów.

O zmiernych skazany stawał się po prostu strawą dla gadźców. Corwin bardzo pragnął nie zwracać uwagi na kobietę, ale obserwowało go zbyt wiele oczu, w tym Dal, który gapił się z ustami rozchyłonymi w grymasie zgrozy.

– Stójcie – polecił strażnikom. – Niech mówi. Jaką zbrodnię popełnił twój mąż?

Kobieta pochyliła głowę w swoistej wersji ukłonu.

– Twierdzą, że zabił człowieka, Wasza Wysokość, ale mój Joe nie mógł tego zrobić. To dobry człowiek, Wasza Wysokość, łagodny. Litości!

Corwin omiótł wzrokiem jej mokrą od łez twarz i oczy przepełnione nadzieją. W jego sercu wezbrało współczucie.

Pożałował, że nie ma dość władzy, by zakończyć jej cierpienia.

– Jej mąż to pijak, Wasza Wysokość – powiedział jeden ze strażników Farholdu. – Zabił człowieka w pijackiej bójce.

Corwin westchnął. Często słyszał takie historie i wiedział, że karą zawsze było wygnanie, zarówno w Farholdzie, jak i w wielu innych miastach Rime. Nie można tolerować przemocy. Żyli za murami miast w ciągłej ciasnocie, nie mogli ryzykować paniki czy chaosu. Cóż, każdy sprawca musiał zostać przykładnie ukarany. Ale kara powinna być też ostateczna, upierał się ojciec Corwina, tłumacząc, dlaczego w Norgardzie nie stosuje się wygnania. Rodziny skazańców musiały doczekać się zamknięcia sprawy, pewnej śmierci, by do końca życia nie żywić złudnej nadziei, że krewny przetrwał i pewnego dnia powróci.

Gdyby tylko prawa norgardzkie były prawami Rime.

– Kiedy wykonano karę na tym człowieku? – spytał strażnika.

– Noc i jeden dzień temu, Wasza Wysokość.

No i proszę, pomyślał Corwin, wiedząc, że nie zdoła przekazać prawdy oszalałej z rozpaczki kobiecie. Zamiast tego polegał na słowach, które usłyszał od Edwina przed wyruszeniem w objazd – miał uniknąć wszelkiego zaangażowania politycznego.

– Szczerze mi przykro, ale nawet arcykról nie pozostaje poza prawem. Musimy wykonać rozkaz sędziów z Farholdu.

Łzy kobiety zniknęły, zamieniając się w furję. Splunęła na niego.

– Tchórz. Tchórz! Po co komu arcykról, który nie rządzi i nie naprawia krzywdy, po co? Co...

Strażnicy zatkali jej usta i odciągnęli na bok.

Corwin z ulgą pomyślał, że to już koniec, ale słowa kobiety wciąż dźwięczały mu echem w głowie. Faktycznie, po co komu ktoś taki. *Księżę pozbawiony władzy. Oto kim jestem.* Gdyby tylko reszta świata w końcu się z tym pogodziła.

Choć nigdy nie życzyłby ojcu śmierci, chciał, żeby to wszystko już się skończyło, żeby Edwin oficjalnie został mianowany następcą tronu, uwalniając go od wszelkich oczekiwań.

Kiedy dotarli do domu poczty, pocztmistrz powitał ich z nieskrywanym entuzjazmem, który podkreślały wybałuszone oczy, zdające się wręcz wychodzić z głowy.

– Wejdźcie, proszę, stajenni zajmą się waszymi końmi.

– Dziękuję – odparł Corwin, oddając wodze jednemu z chłopców stajennych, którzy zbliżyli się szybko. – Przyszliśmy zobaczyć się z panną Kate Brighton.

Słyszając to, pocztmistrz jakby nieco oklapł.

– Panną Brighton? O tak, jest tutaj, obawiam się jednak, że lada moment zaczyna swój przejazd. Dziś mamy próby kwalifikacyjne, obecni kurierzy muszą zdać je na nowo, a po południu będziemy sprawdzać kandydatów.

– Próby? – Dal uniósł głowę wyraźnie zachwycony. – Z pewnością Jego Wysokość zechce je obejrzeć, jeśli naturalnie można.

Corwin przytaknął.

Pocztmistrz, zacierając dłonie, skłonił się niezgrabnie, aż jego dandysowskie białe loki podskoczyły.

– Wedle życzenia.

Przeprowadził ich przez dziedziniec na pole szkoleniowe leżące na tyłach kompleksu. Z boku wznosiła się trybuna, ponad połowa miejsc była zajętych.

– Próby ściągają ciekawskich – wyjaśnił pocztmistrz przez ramię.

Przez moment Corwin miał nadzieję, że zdoła wtopić się w tłum i pozostać niezauważony, lecz jak zawsze, gdy chodziło o Kate, bogowie także i tym razem sprzysięgli się przeciwko niemu. Kiedy przybyli, siedziała akurat na przysadzistym kasztanowym ogierze z białą kreską na nosie, dokładnie naprzeciw ogrodzenia przed trybuną. Jakby ściągnięte magnetyczną siłą ich spojrzenia natychmiast się spotkały. Z twarzy Kate zniknął kolor, szarpnęła głowę na bok, kierując konia z dala od trybun. Corwin skrzywił się; miał nadzieję, że jego obecność nie wpłynie na wynik próby.

Kate jednakże sprawiała wrażenie kompletnie niewzruszonej. Nakazała wierzchowcowi ruszyć stępa, potem kłusem.

Nie odrywając od niej oczu, Corwin wdrapał się na trybuny i usiadł w drugim rzędzie. Gdy tylko ludzie zorientowali się, kim jest, natychmiast zrobili mu miejsce, wokół rozległy się podniecone szepty.

Dal zagwizdał cicho.

– Dziewczyna umie jeździć.

– A spodziewałaś się czegoś innego? – Corwin posłał mu rozbawione

spojrzenie. – Jej ojciec był naczelnym koniuszym Norgardu. Niełatwo zasłużyć na podobne stanowisko.

– Może i tak – odparł Dal. – Ale mógł kazać córce uczyć się rzeczy bardziej przystających niewieście.

– Nie Hale. – Zaskoczyło go nagle ciepło, jakie poczuł, wymawiając to imię. Minęło wiele lat od czasu, gdy myśląc Hale’u Brightonie, czuł cokolwiek poza nienawiścią, ale kiedyś kochał go przecież jak drugiego ojca. – Zawsze zachęcał ją do ćwiczeń z końmi. Gdyby była chłopcem, można by sądzić, że szkolił ją na nowego koniuszego.

– A jej matka nie protestowała? – Dal zerknął na niego, marszcząc brwi.

Corwin skrzywił się na wspomnienie drobnej, kruchej kobiety.

– Lynette Brighton nigdy nie sprzeciwiała się woli męża. Przynajmniej nie bezpośrednio. Nie znałem drugiej tak pasywnej osoby. Pod każdym względem stanowi przeciwieństwo Kate. Jest uległa, pokorna i dobrze wychowana.

– Czyli nudna. – Dal zmarszczył nos. – Powiedziałbym, że kłamiesz, ale znam życie. – Odchylił głowę, patrząc w jasne niebo. – Dzięki wam, słodcy bogowie i boginie, za to, że nie skazaliście nas, abyśmy stali się naszymi rodzicami. – A opuściwszy głowę, dodał: – Założę się, że nie jest szczęśliwa, że jej córka została kurierką poczty.

– Wątpię, by o tym wiedziała – mruknął Corwin. – Po śmierci Hale’a wróciła do domu ojca w Kilbarrow. Lady Brighton to czwartorodzona córka barona Reece.

Dal podrapał się po nieogolonej twarzy.

– Trudno uwierzyć, że Kate należała kiedyś do szlachty. – Kamień magiczny w jego uchu tego ranka jakby przygasł, wyraźny znak, że zaczynał słabnąć. Corwin postanowił zapamiętać, by przed wyjazdem z Farholdu kazać go wymienić. Ostatecznie to przez niego Dal w ogóle musiał nosić ten kamień.

– Wiem, co masz na myśli – przypomniał sobie reakcję pocztmistrza, gdy o nią spytali. – Kiedy skazano Hale’a, Kate nie chciała wyrzec się ojca i straciła wszelkie prawa do pozycji i ziemi. Jej pani matka natomiast wyrzekła się męża i wróciła do Kilbarrow, porzucając córkę na pastwę losu.

– Brzmi uroczo. – Dal wychylił się poza trybunę, by splunąć.

Zamilkli, bo zaczęła się próba Kate. Dziewczyna ustawiła wierzchowca przed tyczką startową po przeciwnej stronie pola, wbijając wzrok

w chorążego stojącego pośrodku. Obok niego stali dwaj sędziowie, jeden trzymał w dłoni zegarek kieszonkowy, by zmierzyć czas, drugi pióro i pergamin do notowania błędów. Pole podzielono na trzy tory, każdy z nich miał zbadać jedną umiejętność – strzelanie z łuku, władanie kopią i mieczem.

Kiedy chorąży opuścił flagę, Kate skierowała konia naprzód i uniosła łuk, skręcając w najdalszy tor. Dobyła strzały z kołczanu i wypuściła jednym, płynnym, szybkim ruchem, trafiając w pierwszy cel zaledwie cal od dziesiątki. Nim jeszcze strzała dotarła do celu, Kate przekręciła się w lewo, znów celując, tym razem niżej. Ta strzała trafiła w sam środek. Po chwili Kate opróżniła kołczan, zaliczając wszystkie tarcze.

Dotarłszy do końca toru, założyła łuk na plecy i energicznym ruchem wyrwała sterczącą z ziemi kopię. Zawróciła konia i popędziła środkowym torem, na który składały się pierścienie i cele naziemne. Uniosła kopię na wysokość ramienia, koń mknął prosto równym krokiem. Celując w pierwszy pierścień, chybiła o włos, drugi i następny zaliczyła bez problemu – w jej wykonaniu to trudne zadanie wydawało się niezwykle proste.

Dal znów zagwizdał.

– Dobra jest. Chyba lepsza od ciebie. Na piekła, może być nawet lepsza ode mnie.

– Zawsze była lepsza.

Stare wspomnienia zalały umysł Corwina. Ileż to razy wymykali się wieczorem na kucykach ze stajni i jeździli po placach kawaleryjskich, gdzie urządzali sobie wyścigi bądź konne pojedynki na drewniane miecze. Owe dziecięce starcia były świetną zabawą, ale traktowali je bardzo poważnie. Kate zwykle przegrywała pojedynki, ale nigdy wyścigi; jeśli chodzi o jazdę, była nie do pokonania. *Jest równie dobra jak jej ojciec.*

Najwyraźniej jednak z czasem udoskonaliła też umiejętności walki. Zebrała ostatni pierścień, kończąc tę część próby, po czym zaatakowała cele naziemne. Większość jeźdźców na tej części toru, zwanej kołkową, zwalniała, ale Kate runęła na nią w pełnym galopie. Bez wysiłku opuściła czubek kopii akurat na czas, by dźgnąć drewniany kołek wystający z ziemi.

Szarpnęła, wyrrywając go jednym potężnym ruchem. Znów uniosła kopię i zaatakowała znad ramienia wypchany słomą manekin, przycupnięty na końcu toru.

Koń pędził tak szybko, że zdawało się, że musi wpaść na ogrodzenie. W tym momencie Kate wyprostowała się, ściągnęła wodze i tłum jęknął,

patrzając, jak zwierzę lekko przykuca, zatrzymując się w poślizgu zaledwie parę cali od trybuny. Wtedy Kate zawróciła kasztanka, dobywając miecza z pochwy u pasa i pomknęła ostatnim torem, tym razem pełnym jutowych worków w kształcie ludzi, ustawionych w pozycjach do ataku. Z łatwością zabiła pierwszy z nich.

Dal zagwizdał przez zęby.

– Poczta szkoli kurierów czy żołnierzy?

– Chyba po trosze jedno i drugie – odparł Corwin. – Ma przecież pradawne korzenie wojskowe, utworzono ją podczas Wojny Trzech.

– Jest równie stara jak nocne gadźce?

Corwin przytaknął.

– Podczas wojny miasta musiały utrzymywać łączność z sojusznikami, i to bez ryzyka ujawniania sekretów. Najskuteczniejszy okazał się szybki koń dosiadany przez zręcznego wojownika.

Zastanowił się, jak wyglądałoby dziś Rime, gdyby nigdy nie doszło do wojny. Oficjalna nazwa konfliktu – Wojna Trzech – mogłaby sugerować, że był to drobny konflikt, w istocie jednak uczestniczyły w niej wszystkie miasta w Rime, sprzymierzone na trzech wrogich frontach – wschodnim, zachodnim i północnym. Walki zniszczyły niemal cały kraj.

O ironio, do zawarcia pokoju doprowadziło w końcu pojawienie się nocnych gadźców. Miasta nie mogły sobie pozwolić na dalszą walkę w obliczu potężniejszego, bardziej zabójczego przeciwnika.

Pochylony na ławce Corwin skupił uwagę na ostatniej części próby Kate. Cele rozmieszczono tak blisko, że ledwie miała czas, by zakończyć jeden zamach i wyprowadzić następny. Jedne stały wysoko, inne nisko, jeszcze inne pomiędzy, a ona trafiała w każdy z nich, wykazując się giętkością, której z pewnością zabrakłoby jemu samemu czy Dalowi.

Obserwował ją z ustami otwartymi z podziwu. Jechała i walczyła całą sobą, jej twarz stężała w maskę, oczy płonęły.

W chwilę później przekroczyła linię mety. Corwin i Dal unieśli ręce do oklasków, odpowiedziała im jednak cisza pozostałych widzów – wszystkich prócz jedynej kobiety kurierki na trybunie.

– Nie rozumiem. – Dal przemówił głośno, by wszyscy usłyszeli. – Dlaczego nie oklaskujecie takiego popisu?

– Bo cisza to ulubione narzędzie tchórzów – odparła kobieta z akcentem wyspiarki z Esh. Pełnym pogardy spojrzeniem powiodła po tłumie,

większość ludzi jednak odwracała wzrok.

To z powodu tego, kim jest, pomyślał Corwin. Zdrajczynie Kate. Prawda uderzyła go boleśnie. Nie jego wina – to Hale zaatakował jego ojca – a przecież czuł wstyd, jakby on sam zawinił.

Eshianka potrząsnęła złocistowłosą głową, zeskoczyła z trybuny i zniknęła za rogiem. Corwin poklepał po ramieniu oszołomionego, oniemiałego Dala.

– Chodź, lepiej znajdziemy Kate, zanim zdoła nam uciec.

Pospiechali w stronę bramy. Kate zeskoczyła z siodła, gdy tylko próba dobiegła końca i teraz prowadziła konia. Szła szybko, pochylając głowę, wyraźnie chciała umknąć. Nie udało jej się, bo zawołał ją sędzia, ten z zegarkiem.

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę z czujną, pełną szacunku miną. Widząc symbol na tunice mężczyzny, Corwin domyślił się, że to pocztmistrz. Zatrzymali się, nie chcąc przeszkadzać.

– Dobra robota, Kate – rzucił mężczyzna. – To jak na razie twój najlepszy czas i zaliczyłaś tylko jeden błąd.

Kate skrzywiła się, słysząc komplement.

– Czy to znaczy, że w końcu będę mogła jeździć?

Pocztmistrz potarł palcami rząd jasnych, poskręcanych blizn na przedramieniu, odcinających się ostro od brązowej skóry.

– Pomówimy o tym później.

Corwin, słysząc zdecydowanie w jego głosie, pomyślał, że Kate nie ma wielkich szans, by znów wyruszyć na szlak. *Co za strata*. W głębi duszy ucieszyło go, że w przewidywanym czasie Kate nie znajdzie się poza murami.

Sędzia wrócił na swe stanowisko i Kate w końcu spojrzała na nich, nie kryjąc niechęci.

– Wasza Wysokość. – Ukłoniła się sztywno.

– Miło znów cię widzieć, panno Brighton. – Corwin uśmiechnął się, żałując, że nie wie, jak sprawić, by się rozluźniła.

– Co wy tu robicie?

Obejrzała się przez ramię, jakby w obawie, że ktoś ich zauważy. Niestety, wszyscy ich zauważyli.

Corwin odchrząknął.

– Chciałem porozmawiać z tobą o tym, co się zdarzyło na drodze do Andreas.

– Ach. – Wbiła wzrok w ziemię. – Czy to nie może zaczekać? Muszę się zająć Żołdakiem. – Jakby dla podkreślenia jej słów koń wciągnął powietrze i parsknął donośnie.

– Pójdziemy z tobą – oznajmił Dal, nim Corwin zdołał odpowiedzieć.

Wargi Kate zacisnęły się w wąską linię, ale nie protestowała. Ruszyła przodem wprost do stajni, wokół której na szczęście kręciło się niewiele osób. *Równie dobre pole bitwy jak każde inne*, pomyślał Corwin i upomniał się w duchu. To nie była bitwa, nie pozwoli, by to spotkanie się w nią zmieniło.

Kate podprowadziła konia do boksu do mycia, zdjęła uzdę, zamieniając ją na uździenicę. Następnie zapięła rzemienie i okrążyła wałacha, sięgając do siodła, żeby rozpiąć popręg.

– To był fantastyczny popis, panno Kate. – Dal poklepał konia po szyi. – Właśnie mówiłem Corwinowi, że jesteś lepsza od niego w walce konnej. Jak ci się udaje tak dokładnie trafiać w cele?

Po twarzy Kate na moment przebiegł cień uśmiechu.

– To nie takie trudne. Po prostu wyobrażam sobie, że zabijam moich wrogów.

Choć mówiąc to, nie patrzyła na Corwina, zastanawiał się, czy do ich grona zalicza i jego. Z drugiej strony może lepiej nie wiedzieć. Splótł dłonie na brzuchu, żeby nimi nerwowo nie kręcić. Bogowie, ależ to trudne.

Dal odchrząknął, nie do końca maskując zduszony śmiech.

– A skoro już mowa o zabijaniu, Jego Wysokość przyszedł podziękować za to, że uratowałaś mu życie.

Corwin jęknął w duchu, czuł się jak głupiec. *Ja powinienem to powiedzieć.* Odepchnął tę myśl i w milczeniu skłonił się przed Kate.

– Tak, dziękuję. Gdyby nie ty, już bym nie żył. Jestem twoim dłużnikiem.

– Bardzo proszę. – Zerknęła na niego wielkimi, okrągłymi oczami, potem dodała cicho: – Gdybym tylko wcześniej zasłużyła sobie na podobną wdzięczność.

Corwin skrzywił się na ten cios. *Ocal go, to mój ojciec*, znów usłyszał jej błagania. *Powstrzymaj egzekucję, pošlij nas na wygnanie!* A on tego nie zrobił. W owym czasie wierzył, że nie ma innego wyjścia, że za podobną zbrodnię trzeba zapłacić życiem, inaczej ktoś inny uzna, że też mógłby spróbować i może nawet mu się powiedzie. Przez następne lata jednak zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu – czas spędzony poza Rime nauczył

go, że świat rzadko bywa czarno-biały. Zacisnął dłoń na karwaszu osłaniającym prawy przegub i skrywającym tatuaż.

– No dobrze. – Dal zaśmiał się nerwowo. – Przyszliśmy też dowiedzieć się czegoś więcej o owym cudownym rewolwerze, który zbudował twój przyjaciel.

Kate ściągnęła siodło z grzbietu konia i obejrzała się na nich czujnie.

– Czemu?

– Zabiłaś z niego trzy z czterech dziennych gadźców. – Corwin uniósł ręce, by odebrać od niej siodło.

Ignorując go, przeszła obok i powiesiła je na stojaku za ścianką boksu.

– Ja... Nie sądziłam, że będziesz cokolwiek pamiętał.

Corwin opuścił ręce i wzdrygnął się, świadom, że znów popełnił błąd. Oczywiście liczyła na to, że nic nie zapamięta. Zwłaszcza po wszystkich osobistych rzeczach, które powiedział jej w malignie. Gdyby tylko mógł je cofnąć – poważnie jednak wątpił, by dobrze przyjęła wyjaśnienie, że odchodził od zmysłów i bredził w gorączce. Lepiej więc zaprzeczać.

– Oprócz tego pamiętam bardzo niewiele, ale broń, która z taką łatwością zabiła tyle gadźców, trudno zapomnieć.

– Nie było w tym niczego łatwego. – Kate podniosła pusty cebrzyk i ruszyła do koryta z wodą. – Co chcecie wiedzieć?

– Na początek... – Dal wystąpił naprzód, odbierając od niej napełniony cebrzyk; ku rozpaczy Corwina tym razem pozwoliła sobie pomóc. – Czy istnieje ich więcej?

– Ja... – Kate zagryzła wargę. Nagle uświadomiła sobie, co robi, i natychmiast przybrała obojętną minę. – Jest tylko jeden. Mój przyjaciel, Tom Bonner, zrobił go specjalnie dla mnie. Żeby ochronić mnie podczas podróży.

Corwin zacisnął palce w pięść. Kim był ów Bonner? Czy to on dał jej księżycowy pas? Przez sekundę oczyma duszy ujrzał, jak inny mężczyzna obejmuje ją, tuli i całuje. Nie potrzebował takich wizji; wspomnienie jej i Edwina wystarczyło aż nadto.

– To bardzo miłe. – Dal zerknął na niego nerwowo. – Ale z pewnością skoro zrobił jeden, może ich zrobić więcej.

Corwin przytaknął, próbując zapędzić zazdrość do klatki. Życie Kate nie powinno już go interesować – z kim się przyjaźni, kogo kocha... kto ją kocha.

Dziewczyna znalazła suchą szmatkę, zanurzyła ją w wodzie i zmoczyła końską szyję. Wałach zaprotestował głośno.

– Och, przestań, ty dzieciaku – upomniała. – To przecież przyjemne. – Koń potrząsnął głową, obryzgując wszystkich, Kate znów nachyliła się nad wiadrem. – Tak, myślę, że mógłby zrobić więcej.

– Doskonale. – Dal klasnął w dłonie. – Kiedy możemy poznać tego Toma Bonnera?

Kate wywróciła oczami, obmywając koński grzbiet.

– Ponieważ nie mam już prawdziwej pracy, chyba mogę umówić spotkanie. – Demonstracyjnie zwracała się wyłącznie do Dala.

Ten uśmiechnął się szeroko.

– Doskonale. Mamy wrócić później?

Pokręciła głową.

– Bonner zechce pewnie się przygotować. Lepiej będzie jutro. Spotkajmy się tu o siódmej.

– Gdy tylko zabrmi dzwon.

Dal przyłożył dłoń do serca i pochylił się w teatralnym ukłonie.

Na twarzy Kate pojawił się krzywy uśmiech i Corwinowi na moment zaparło dech w piersi. Ów uśmiech zawsze sprawiał, że wyglądała, jakby skrywała jakiś sekret, coś, za co on oddałby prawe oko.

Ośmielony tym uśmiechem i przywołanymi ciepłymi wspomnieniami odezwał się cicho:

– Raz jeszcze dziękuję, Kate.

Uśmiech zniknął, przygwoździła go lodowatym spojrzeniem. Jakże chciał wiedzieć, o czym teraz myśli.

Z drugiej strony może i nie. Nagle wyobraził sobie swoją twarz na strzelniczej tarczy.

– Czy to wszystko – spytała po paru sekundach – czego ode mnie chciałeś, Wasza Wysokość?

Oto niebezpieczne pytanie, miecz o wielu ostrzach wykuty tak, by ciąć, nieważne, z której strony się podejdzie.

– Tak – rzekł w końcu, odgadując, że tę właśnie odpowiedź chciała usłyszeć.

11

KATE

Kiedy następnego dnia zegar na wieży wybił siódmą, Kate przekroczyła główną bramę domu poczty i wyszła na ulicę.

Czekała w środku od dziesięciu minut w obawie, że Corwin zjawi się wcześniej. Kurierzy i pracownicy domu posyłali jej dziwne spojrzenia, ale wolała je niż reakcje ludzi na ulicy. Na zewnątrz czułaby się jak żebraczka, mimo że założyła najlepszy strój i splotła włosy w ciasny warkocz. Tutaj po prostu odczuwała, że traktują ją jak obcą, jak zawsze.

I jak zdrajczynię. Nie mogła o tym zapomnieć, tyle że tym razem nie odziedziczyła tego tytułu po ojcu. Zdradziła Bonnera, nawet jeśli on sam twierdził co innego – i powtarzał raz po raz, gdy poszła wyznać mu swą winę niedługo po wczorajszym spotkaniu z Corwinem.

– Nie zrobiłaś nic złego, Kate. Nie mogłaś pozwolić mu umrzeć. Gdybyś nie użyła rewolweru, ty też byś zginęła i wierz mi, to byłoby gorsze. Poza tym zrobiłem go w nadziei, że zainteresuje potencjalnych kupców.

– Jesteś głupcem, Tomie Bonnerze – odparła, nim zdołała się powstrzymać. – Użyłeś dzikiej magii żeby stworzyć ten pistolet, a teraz arcyksiążę Rime też chce mieć taki.

– Za bardzo się martwisz, Kate – wtrąciła Signe, wyciągnięta wygodnie na krześle, z nogami na jednej z ław roboczych w warsztacie Bonnera. – Zawsze ci to powtarzam.

– Za bardzo się martwię? – Kate skrzyżowała ręce na piersi. – Magia dzikunów jest nielegalna. Jeśli dowiedzą się, że Tom to dzikun, złote szaty go uwiężą, oczyszczą z magii, zabiją, a potem pogrzebią jego ciało w miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie.

– Dlaczego mieliby ukryć ciało? – Signe przekrzywiła głowę w uroczo delikatny sposób, zupełnie niepasujący do jej bojowego charakteru.

Kate wyduła policzki, zirytowana niezwykłym talentem przyjaciółki do skupiania się na niewłaściwym aspekcie sprawy.

– Żeby jego ciała nigdy nie pochłonął święty ogień.

– Nie rozumiem tej potrzeby palenia zwłok. – Signe ścisnęła palcami nos.

– To okropnie śmierdzi.

Istotnie, Kate musiała się zgodzić, mimo pachnących olejków, którymi kapłani namaszczeni zmarłych. Ale smród to drobiazg w porównaniu z prawdziwym celem całej ceremonii.

– Święty ogień jest potrzebny, by uwolnić duszę, pozwalając zmarłemu przekroczyć barierę oddzielającą nasz świat od następnego. Pogrzebani na zawsze pozostają martwi. Niektórzy wierzyli, że stają się Cieniami, zniewolonymi duszami spełniającymi kaprysy bogów.

Signe prychnęła.

– Mój lud w to nie wierzy. My grzebiemy naszych zmarłych. Dusze naszych przodków nie odchodzą, stają się Aslar; pozostają przy nas, czuwają nad nami, wskazują drogę. Wszystko inne to barbarzyństwo.

Nie, pomyślała Kate. Barbarzyństwem jest to, jak nocne gadźce wykopują zmarłych i ich pożerają. Niecierpliwie machnęła ręką.

– Tu nie chodzi o pogrzeb czy spalenie, tylko o śmierć, Sig.

– Ja nie umrę – wtrącił Bonner irytująco lekkim tonem. – Nie zamierzam używać magii na ich oczach. Książę Corwin chce tylko obejrzeć rewolwer, który już zrobiłem.

– Nie, chce, żebyś zrobił ich więcej. – Kate podparła się pod boki.

– Ale ja też pragnę zrobić więcej. – Chłopięcą twarzą Bonnera rozświetlił entuzjazm. Wstał z ławy. – I wreszcie mam szansę. Arcykról może ich zamówić całe setki, tysiące!

Kate spojrzała na niego gniewnie, mrużąc oczy tak bardzo, że świat przed nią rozpląnął się.

– Czy ty w ogóle siebie słuchasz? Jak masz zamiar wyprodukować je sam? Nie możesz nocą władać magią, a jej ukradkowe użycie za dnia potrwa wieki, nie mówiąc już o tym, że narażałbyś się na schwytanie przez magistów.

Tu, w Farholdzie, ryzyko wkrótce wzrośnie, jeśli pogłoski o tym, że za atakiem na Gregorów stało Powstanie, okażą się prawdziwe. A nawet jeśli nie, z pewnością pojawią się nowe złote szaty. Dla samej zasady. Zastanawiała się, do jakich okropności dojdzie, nim Powstanie zrozumie, że to głupota.

– Coś wymyślę. – Bonner wzruszył ramionami. – Teraz, kiedy wiem, że klucz stanowi miedź, może zdołam znaleźć sposób wyprodukowania pocisków bez magii. Przygotuję też formy do odlania części rewolweru, każdy kowal będzie mógł ich użyć.

Kate zacisnęła usta, powstrzymując przekleństwo. Znała Bonnera dostatecznie długo, by wiedzieć, że jego optymizm w takich kwestiach rzadko bywał uzasadniony.

– Nie zapominaj o mnie – Signe zsunęła stopy na ziemię i wstała. – Tylko ja umiem przygotować specjalną miksturę czarnego prochu działającą w rewolwerze i nic tego nie zmieni.

Bonner uśmiechnął się złośliwie.

– Jak mógłbym zapomnieć, skoro codziennie o tym przypominasz? – Machnął ręką przed jej uchem, zmieniając złote kółko, które nosiła, w prosty wisiołek, zlewający się ze złocistymi włosami. Signe zaśmiała się, trącąc kolczyk palcem, niczym kot kłębek wełny.

– I dziwić się, że się martwię. – Kate przycisnęła dłonie do czoła.

– Oj, biedna Kate – zamruczała Signe. – Też musimy znaleźć jej jakieś zajęcie, kiedy już wszyscy królowie i książęta przybędą do nas, zwabieni naszym geniuszem.

– Nie martw się, Sig. Powierzmy Kate demonstrowanie towarów. Już i tak świetnie się spisała.

Wyciągnął rękę i połaskotał ją z boku, Kate odtrąciła dłoń kowala, ale to tylko go zachęciło. Po sekundzie przyszpilił ją i łaskotał tak mocno, że zanosząc się śmiechem błagała żeby przestał. Kiedy jednak ucichła, znów zaczęła prosić.

– Nie zgadzaj się na wyprodukowanie nowych rewolwerów, błagam. To niewarte ryzyka, na jakie się narazisz.

Bonner zmagął się sam ze sobą, w końcu skinął głową.

– Skoro to dla ciebie takie ważne, Kate, znajdę jakiś sposób, by odmówić.
– Zawiesił głos i uśmiechnął się. – Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa i bezpieczna.

Teraz, kiedy czekała na Dala i Corwina, Kate uczepiła się tej obietnicy, nie potrafiła jednak uwolnić się od wątpliwości. Pozwalając, by ktoś obejrzał dokładnie rewolwer, narazili się na to, że odkryje magię twórcy. Corwin świetnie znał się na broni, a biorąc pod uwagę blizny bitewne Dala, zapewne on także był niezłym fachowcem.

Mimo obietnicy, że zjawią się równo o siódmej, Corwin i Dal przybyli dwadzieścia minut później. Dotarłszy do niej zeskoczyli z siodeł, a Kate ze zgrozą spojrzała na podążający za nimi tłum. W domu pocztowym szumiało już od plotek dotyczących wczorajszej wizyty, jeśli nie zachowa ostrożności,

zaczną pisać o tym w gazetach, a to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

Skłoniwszy się, z roztargnieniem wysłuchała wyjaśnień Dala, tłumaczących ich spóźnienie.

– Musimy się spieszyć – przerwała mu. – Ojciec Bonnera od pewnego czasu choruje, więc Tom zechce zamknąć swoją kuźnię przed zmrokiem.

Wędrówka do warsztatu zabrała im niecałe dziesięć minut. Corwin polecił strażnikom zostać na zewnątrz, tymczasem Kate wprowadziła jego i Dala do środka. Jak zawsze było tam gorąco jak w piecu i fala rozpalonego powietrza zalała ich, gdy tylko przekroczyli próg. Bonner uniósł wzrok znad miejsca, w którym stał na tyłach, obok paleniska. Niska poręcz oddzielała przestrzeń roboczą od niewielkiej przestrzeni dla klientów z przodu. Choć raz miał na sobie wierzchnią tunikę, wymył też twarz do czysta, chociaż już nie ręce. W środku panował porządek większy niż kiedykolwiek widziała.

Ku swej zgrozie Kate odkryła, że Signe także jest obecna, wciąż odziana w uniform pocztowy. Kate prosiła, żeby nie przychodziła, w obawie, że mogłaby wtrącić coś niestosownego, bo miała w zwyczaju mówić otwarcie, nie zważając na słuchaczy. W Esh może i rządzą królowie, ale dla Signe szlachectwo zupełnie nie miało znaczenia. I miała też w zwyczaju nie słuchać prośb. Często wyjaśniała, że nie potrafi się oprzeć własnej ciekawości. Kate nie wątpiła, że tak było także i teraz.

Gestem wskazała przyjaciół.

– Wasza Wysokość, to jest mistrz Tom Bonner oraz Signe Leth z Esh.

– Sam Bonner wystarczy, moi panowie. Mój ojciec wciąż jest tu mistrzem.

– Bonner uklonił się, Signe niechętnie poszła w jego ślady, choć nie schyliła się tak nisko.

– Wielce mi miło poznać was oboje – odparł Corwin. – I owszem, odpuśćmy sobie formalności. To jest Dal, a mnie możecie nazywać Corwinem.

Kate westchnęła. Wyglądało na to, że pewne rzeczy jednak się nie zmieniają. Corwin nigdy nie lubił tytułów. Kiedyś zgadzała się z nim w tej kwestii, ale już nie teraz. Tytuły spełniały swoją rolę, tworząc niezbędne granice, przypominając ludziom o ich pozycji w życiu. Kiedyś nie zdawała sobie sprawy, jak wielka przepaść oddziela wysoko i nisko urodzonych, ale przez ostatnich kilka lat poznała ją aż za dobrze. To była prawdziwa otchłań, niepokonana.

– Z pewnością uroczą Kate wyjaśniła już, dlaczego tu jesteśmy. – Dal

mrugnął do niej porozumiewawczo, kompletnie ją rozbijając.

Poczuła, że wargi wyginają jej się w uśmiechu.

– W istocie. – Bonner splótł imponująco muskularne ramiona na równie imponującej piersi. – Interesuje was mój rewolwer.

– I mój czarny proch – dodała Signe. Dal uniósł brew.

– Twój czarny proch?

Przytaknęła, zadzierając wyniośle podbródek.

– Broń Bonnera nie działa bez mojej specjalnej mieszanki czarnego prochu do jego specjalnych pocisków.

Dal przyjrzał jej się z uznaniem.

– Muszę przyznać, że jesteś stanowczo za młoda, by być jedną z sióstr Furen Mag. Jak poznałaś sekret prochu?

Twarz Signe rozjaśnił łobuzerski uśmiech.

– Wykrałam go z grobu króla Brasku, a kiedy jego krewni odkryli ten fakt, posłali dwunastu wojowników, by sprowadzili mnie z powrotem. Ja jednak zabiłam ich kolejno, pierwszego nożem myśliwskim, a ostatniego pocałunkiem.

Widząc zszokowaną minę Dala, Kate wybuchnęła śmiechem.

– Ona żartuje, mój panie. Nikomu nie zdradza tego sekretu, zamiast tego wymyśla absurdalne historyjki.

Ona sama jak dotąd słyszała już z tuzin wersji.

– Cóż za rozkoszna tajemnica. – Oczy Dala rozbłyły.

Corwin odchrząknął głośno.

– No tak, cóż, chwilowo ważniejszą tajemnicą pozostaje rewolwer. Mógłbym go obejrzeć?

– Oczywiście, Wasza Wysokość. – Bonner, próbując ukryć podniecenie, klasnął w dłonie. – Wczoraj skończyłem pracę nad nowym egzemplarzem, pod każdym względem identycznym z tym należącym do Kate. – Z pobliskiej półki zabrał skrzynkę i teatralnym gestem uniósł wieczko. Potem wyciągnął z niej nowy rewolwer, demonstrując go ostrożnie, delikatnie, jakby zamiast z metalu był zrobiony ze szkła. Podał go Corwinowi. – Ostrożnie, jest naładowany.

Corwin z nieskrywanym podziwem przyjrzał się broni, skupiając uwagę na cylindrze, który otworzył, ukazując tkwiące wewnątrz pociski.

– Jest celny?

– Stuprocentowo – odparł Bonner. – Przynajmniej ta wersja.

A potem zagłębił się w szczegółowe wyjaśnienia, jak działa i dlaczego. Kate słuchała zesztywniała z lęku, że ujawni zbyt dużo, wzbudzi zbyt wiele pytań, dotyczących jego misternego dzieła. Lecz pod koniec ani Corwin, ani Dal nie sprawiali wrażenia podejrzliwych; zamiast tego patrzyli na broń z jeszcze większym zachwytem. Radość Bonnera na widok ich reakcji zasmuciła Kate. Zasłużył sobie, by poczuć dumę, a jednak na każdym kroku musiał ukrywać prawdziwą naturę swego geniuszu. Zastanawiała się, jak wyglądałby świat, gdyby dzikuni tacy jak on mogli otwarcie używać swych darów, tak samo jak magiści.

– Imponujący to mało powiedziane – oznajmił Corwin. – Nie mam zatem wyboru, muszę spytać, czy zechciałbyś zrobić ich więcej? – Gestem wskazał Signe. – Czy raczej wy oboje. Oczywiście za godziwą zapłatą.

– O ile sztuk chodzi? – spytał Bonner.

– Tyle, ile się da. – Nikt nie zdołałby się oprzeć szerokiemu uśmiechowi rozjaśniającemu przystojną, idealną twarz księcia.

Bonner z przepaszającą miną pokręcił głową.

– Mogę zrobić dwa lub trzy, ale nie więcej. To trwa za długo, a z powodu choroby ojca jestem zbyt zajęty bieżącymi zleceniami.

– Tak, rozumiem. – Corwin przestąpił z nogi na nogę. – Gubernator Prewitt twierdzi, że stał wykuta przez Bonnera cieszy się legendarną sławą. I tak dziw, że jesteś w stanie zaspokoić choć połowę popytu.

– Tak, twierdzą, że jest godna króla – dodał Dal, atakując całym swym urokiem.

Kate z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie wywrócić oczami.

Bonner uśmiechnął się promiennie i jeszcze wyżej uniósł głowę, górując nad wszystkimi.

– Dziękuję, staram się jak mogę.

Używając *nielegalnej dzikuńskiej magii!*, pomyślała Kate. Gdyby wiedzieli, zamiast wychwalać, potępiliby go bez wahania.

Corwin pogładził kciukiem podbródek: Kate rozpoznała stary nawyk, oznakę, że zaraz objawi się jego słynny upór. Tyle że teraz ze względu na bliznę gest wyglądał inaczej. Przesunął palcem wzdłuż szramy.

– A co gdybyś miał pomoc? Czy mógłbyś nauczyć innych, jak się robi rewolwery?

Bonner oklapł nieco, słysząc to pytanie.

– Problem pozostaje ten sam. Nie mam na to czasu.

– A gdybyś nie musiał się już przejmować warsztatem?

Corwin gestem wskazał pomieszczenie. Słyszając te słowa Kate spięła się cała, bo zgadywała, co zaraz nastąpi. Tyle że to niemożliwe. Bonner jest jej przyjacielem, nie może go stracić. *Nie waż się!* – chciała krzyknąć na Corwina. *I tak dość mi już odebrałeś.* W rozpaczycy zaczęła szukać czegokolwiek, czym mogłaby się zająć. Dostrzegłszy lekki nieporządek na najbliższej ławie, zaczęła układać narzędzia w równym rzędku, dzięki temu odzyskując spokój.

– Chciałem przez to spytać – ciągnął Corwin – czy zechcesz wyjechać i pracować dla rodu Thormane w Norgardzie? Jako królewski kowal i rusznikarz?

Bonnerowi ze zdumienia opadła szczęka. Serce Kate zakłuło boleśnie, jej kostki zbieleły, gdy zacisnęła palce na właśnie podniesionym młotku.

To była niezwykle hojna oferta, znacznie bardziej kusząca niż te, które wcześniej rozważali. Pozycja na dworze królewskim oznaczała dobrobyt i zabezpieczenie do końca życia. Większość królewskich kowali dziedziczyło tytuły po przodkach.

Ale Bonner wciąż byłby dzikunem, choć mieszkającym w stolicy.

– Co z twoim ojcem? – spytała, delikatnie odkładając młotek i zmuszając się, żeby odejść od stołu. Bonner wzdrygnął się i nadzieja w jego oczach zgasła.

– Kate ma rację. Nie mogę wyjechać z Farholdu, nie, póki ojciec tak ciężko choruje.

Kate poczuła nagłe wyrzuty sumienia, zagłuszające ulgę, że udało jej się pokonać bardzo realne niebezpieczeństwo. Ale Corwin nie był zwykłym przeciwnikiem. Przytaknął z posępną miną.

– Aż nazbyt dobrze wiem, jakie brzemień stanowi chory ojciec.

Kate wbiła w niego wzrok, uświadamiając sobie nagle, że mówi o swym własnym ojcu. W co mniej szanowanych gazetach od czasu do czasu pojawiały się pogłoski, że arcykról Orwin cierpi na przewlekłą chorobę. Do tej pory nigdy w nie nie wierzyła.

Corwin znów pogładził kciukiem podbródek.

– A zmieniłbyś zdanie, gdybym powierzył twojego ojca pieczy uzdrowicieli-magistów? Nie wiem, co mu dolega, ale władają potężną magią. Dzięki ich opiece mógłby odzyskać dość sił, by dołączyć do ciebie w Norgardzie.

Z płuc Kate uleciało całe powietrze; poczuła jak przygniata ją ciężar porażki. Oczy stojącego obok Bonnera rozblęskły w nagłej, desperackiej nadziei.

– Ty... Mówisz poważnie?

– Owszem, mówi poważnie. – Dal poklepał Bonnera po plecach. – To arcyksiążę, dość bogaty, by móc sobie pozwolić na opłaty, jakich żąda Liga.

Nie rób tego, modliła się Kate, *wybierz mnie*. Ale ugryzła się w język, powstrzymując protesty. Bonner nade wszystko kochał ojca, tak samo jak ona swojego. Nie cofnęłaby się przed niczym, byle go ocalić – także narażając własne życie. Nie mogła przeszkadzać Bonnerowi w tym samym.

– Tak – naciskał Corwin. – Twój rewolwer jest bardzo ważny. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, abyś wyprodukował ich więcej. – Odwrócił się i skinął na Signe. – A ty, z twoim czarnym prochem. Możesz zostać królewską alchemiczką, czy też jakiego tytułu zapragniesz, jeśli pojedziesz z nami do Norgardu.

Z powrotem odwrócił się do Bonnera.

– Pomyśl tylko, twój rewolwer pozwolił Kate w parę chwil zastrzelić trzy gadzce. Jeśli będziemy ich mieć dość dużo, przekazemy we właściwe ręce, wyobraź sobie, ile stworów zabijemy. Może nawet zdołamy pozbyć się ich na zawsze. Taki wyczyn to powód do dumy dla każdego ojca, a twój dożyje tej chwili.

Kate zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, godząc się z przegraną. Chciała powiedzieć Bonnerowi milion rzeczy, przypomnieć mu o niebezpieczeństwie ze strony inkwizycji, rzeczywistej roli, jaką w wynalazku odegrała jego magia. Na miłość cieni, w Norgardzie mieściła się główna siedziba złotych szat. Ale nie mogła. Co gorsza, nie sądziła, by to cokolwiek zmieniło. Uratowanie królestwa? Zdobycie niezbędnej pomocy dla ojca? Dla tych celów Bonner był gotów postawić na szalę wszystko.

Otworzyła oczy i musnęła palcami jego ramię, szukając w nim otuchy, póki mogła.

– To zbyt dobra oferta, by ją odrzucić.

Bonner spojrział na nią z góry, zaciskając mocno szczęki. Nakrył jej dłoń swoją, po czym skupił wzrok na Corwinie.

– Doskonale. Zgadzam się, ale wyłącznie pod warunkiem, że Kate pojedzie ze mną.

Kate odruchowo zacisnęła palce na przedramieniu kowala, wbijając mu

w ciało paznokcie. *Co ty wyprawiasz?*, próbowała przekazać spojrzeniem, Bonner jednak nie zwracał na nią uwagi, nawet się nie wzdrygnął mimo bólu.

– Nie po to poświęciłem tyle czasu i energii, by ją chronić, żeby teraz zostawić ją samą – dodał.

Skrzywiła się i uwolniła rękę.

– Nie potrzebuję twojej ochrony, Tomie Bonnerze. Ani czyjejkolwiek. – Na wszelki wypadek miażdżyła wzrokiem Corwina i Dala. – Sama potrafię o siebie zadbać.

– Och, nikt w to nie wątpi. – Dal wyszczerzył zęby. – Nie po twoim wczorajszym pokazie ani po tym, jak pokonałaś sama wszystkie te gadźce.

– Tak, dzięki mnie – przypomniał Bonner, uśmiechając się równie szeroko.

Prócz Kate tylko Corwin zachował powagę. Domyślała się, dlaczego – nie chciał jej w Norgardzie, dokładnie tak samo jak ona nie pragnęła tam wracać.

Dal musiał wyczuć niechęć przyjaciela, bo zwrócił się do niego ze złośliwym błyskiem w oczach.

– Przykro mi, że nie wspomniałem o tym wcześniej, Kate, lękam się jednak, że nie masz wyboru co do powrotu do Norgardu, przynajmniej na jakiś czas.

– A to dlaczego? – spytała, podczas gdy Corwin posłał mu nieprzychylnie spojrzenie.

– Oczywiście ze względu na twój bohaterski wyczyn i uratowanie arcyksięcia. – Dal demonstracyjnie uniósł brwi. – Arcykról nalega, by móc cię za to wynagrodzić. Bo jakżeby inaczej? – Teraz to on popatrzył groźnie na Corwina.

Ten odetchnął głośno, zwracając się do Kate:

– Dal ma rację. Masz zostać uhonorowana za swój wyczyn. To rozkaz... arcykróla.

Kate wiedziała, że kłamie, ale nie miała pojęcia dlaczego. Zastanawiała się, czy mu tego nie wytknąć, nim jednak zdążyła, wtrącił się Bonner.

– Musicie zaproponować jej coś więcej niż jakąś tam nagrodę, inaczej możecie zapomnieć o moim udziale. Wyprodukowanie takiej liczby rewolwerów potrwa bardzo długo i będę potrzebował pomocy Kate.

– W czym? – W głosie Dala dźwięczała szczerza ciekawość.

– To nasza testerka broni – wyjaśniła Signe z lisim uśmiechem.

Dal klasnął w dłonie.

– Och, sam także chętnie zgłoszę się do tej pracy. – Pomachał do Corwina.

– Z pewnością zdołamy wymyślić coś dla Kate, nieprawdaż, Wasza Wysokość?

Corwin milczał kilka sekund, w końcu powoli pokiwał głową.

– Może zdołam załatwić ci miejsce w królewskich stajniach. Znasz się na tym doskonale.

Był to cios okrutny, choć niezamierzony. Z pewnością Corwin pamiętał, że kiedyś o tym marzyła – żeby pójść w ślady ojca, szkolić norgardzkie wierzchowce, co dzień, cudowny rok za cudownym rokiem.

Teraz nie zdołała w pełni pozbawić swego głosu jadu.

– Zapominasz, Wasza Wysokość, że jestem córką zdrajcy. Nie przyjmą mnie tam chętnie.

– Przyjmą jeśli im każę – odparł Corwin z cieniem gniewu, po czym uspokoił się błyskawicznie. – Uratowałaś mi życie, Kate. To sprawia, że wszędzie w Rime jesteś mile widziana. Daję ci słowo, że jeśli zdecydujesz się wrócić, przyjmą cię dobrze.

Nie masz aż takiej władzy, pomyślała Kate. Ludzie wysłuchają dekretu, ale tylko jeśli w pobliżu będzie ktoś, kto ich zmusi. A kiedy nie...

Mimo wszystko jednak faktycznie go ocaliła. Arcykról był jej dłużnikiem, to musiało coś znaczyć. *Jedź do Fenmore*, przypomniała sobie raz jeszcze. Nie miała pojęcia, co chciał jej przekazać ojciec. Jeśli wróci do Norgardu, może się tego dowie. Może ktoś, z kim był blisko, będzie wiedział, co miał na myśli.

Popatrzyła na Signe.

– Zamierzasz jechać?

Przyjaciółka wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nigdy nie odmawiam nowej przygody.

Czyli zostałąbym tu sama, pomyślała Kate. Przez moment wyobraziła sobie Norgard, mury obronne z białego kamienia, wznoszące się nad falującymi łąkami szmaragdowozielonych traw. Każdego dnia po tych polach harcowało tysiąc koni, a za murem wyrastał zamek, gdzie hodowano najwspanialsze wierzchowce świata. *Konie mojego ojca*.

Jednakże było to też miejsce egzekucji, gdzie zginął jej ojciec.

Dlaczego? Czemu to zrobił? Jedź do Fenmore.

Kate wyprostowała się, udając odwagę, której nie czuła.

– No dobrze, pojedę.

CZEŚĆ DRUGA

ZBŁĄKANY KSIĄŻĘ

12

CORWIN

Z Farholdu wyjechali tydzień później, kierując się do Andreas. Pod bramą czekało na nich z pół tuzina osób chcących pożegnać się z Bonnerem i Signe, do Kate przyszedł tylko pocztmistrz. Corwin był mu wdzięczny, chociaż widok ten go zasmucił. Zastanawiał się, jak musiało wyglądać tutejsze życie dziewczyny.

Jadąc na czele karawany, wciąż przyglądał się nowym towarzyszom z mieszaniną nabożnego zachwytu i zgrozy. Tworzyli osobliwą grupę – Eshianka, kowal i zdrajczyni; brzmiało to zupełnie jak początek opisu mistycznej wyprawy albo kiepski żart tak chętnie powtarzany w gospodach. Co jeszcze bardziej nietypowe, z tyłu jechał mistrz Raith, który zgłosił się na ochotnika, by im towarzyszyć.

– Mój zakon niezmiernie interesuje odnalezienie źródła, z którego pochodzą oweienne gadźce – wyznał. – Zaproponowałem zatem, że się tym zajmę.

Corwin ucieszył się, choć nie był pewien, czy do końca ufa magiście. Mimo to jego pomysliwość w walce z dziennymi gadźcami przeważała nad wszystkimi wątpliwościami. Raith zaopatrzył cały orszak w kamienie błyskowe na wypadek kolejnego ataku, a Corwin zamówił około setki zaklętych strzał. Kosztowały majątek – Edwin z pewnością zacznie wrywać sobie włosy z głowy, kiedy dostanie rachunek; Corwin nie zazdrościł paziowi, który mu go dostarczy – ale bezpieczne dowieszenie Bonnera i jego rewolweru do Norgardu było warte każdej sumy. Nawet Edwin, obsesyjnie usiłujący oszczędzać bogactwa korony królewskiej, będzie musiał się z tym zgodzić.

Tym razem karawana była mniejsza, składała się bowiem tylko z jednego wozu i tuzina jeźdźców. Dopóki pozostawali w zasięgu miejskich wież strażniczych, podążali głównym wschodnim traktem z Farholdu do Mararedu. Potem wóz i norgardzcy żołnierze jechali dalej tą drogą, a Corwin i pozostali skręcili na południe w stronę Andreas.

Podstęp ten miał pozwolić Corwinowi niepostrzeżenie wjechać do miasta.

Planowali, że dołączą do wozu i żołnierzy w Thace, położonym centralnie mieście odległym jednak od obu pozostałych. Corwin uznał, że ukrywając swoją tożsamość, będzie miał szansę dowiedzieć się czegoś o andreańskim górniku uczestniczącym w ataku na Gregorów. Ludzie znacznie chętniej rozmawiają ze zwykłymi podróżnymi niż z arcyksięciem Rime. Dodatkowo bardzo chciał uniknąć spotkania z władcą Andreas, lordem Nevanem, od którego by się z pewnością nie wymigał, gdyby ujawnił, kim jest w istocie.

Podróż zabrała im trzy dni. Noce spędzili w obozowiskach naprędcie rozbitych przy drodze, za barierą z kamieni strażniczych. Tym razem nie widzieli żadnych gadźców – ani nocnych, ani dziennych. Nieobecność nocnych zaniepokoiła Corwina. Skojarzyła mu się bowiem z ciszą przed śmiercionośną burzą. Nad drugimi wolał się nie zastanawiać. Nigdy wcześniej nie odwiedził Andreas i widok miasta, które pojawiło się na horyzoncie, przepełnił go nerwowym podziwem.

Miasto przycupnęło w wąskiej, skalnej dolinie u podstawy trzech górskich szczytów. W odróżnieniu od wolnostojących murów obronnych innych miast w Rime tutejszy wyrastał z górskich zboczy niczym kamienne ramiona olbrzyma, który chętnie przekąsiłby niczego niepodważających ludzi. Dolinę porastały niskie, nagie zarośla, a jedyną oznaką życia, poza wszechobecnymi wiecznopłaczkami, był dym wzbijający się z komina siedziby złotego zakonu na wschód od głównej bramy. Złoty zakon powstał niedawno, a braki miejsca w obrębie miasta sprawiły, że musiał wznieść swe domy poza murami obronnymi. Corwin słyszał kiedyś, jak jego brat twierdził, że izolacja to dobry pomysł, bo dzięki temu mieszkańcom oszczędzono słuchania nieprzyjemnych aspektów Oczyszczenia. Nie wiedział, czy to prawda, czy nie, ale nie zamierzał też zbliżyć się dostatecznie, by to sprawdzić.

Zamek królewski Andreas, posępna forteca wycięta w żywej skale, czuwał nad leżącym w dole miastem. Nawet bez magii kamieni strażniczych Andreas zdawało się niezdołyte – i faktycznie takie było, czego dowiodła Wojna Trzech, gdy armie sił północy rozbiły się o mury, za które wycofały się wojska zachodu.

Albo może po prostu nie da się z niego uciec, pomyślał Corwin, wkraczając do miasta. Nigdy nie widział takich tłumów w środku dnia. Ludzie roili się na ulicach niczym pszczoły w ulu. Z drugiej strony nic

dziwnego. Mieszkańcy nie mieli pól, które musieliby uprawiać, i bardzo niewiele stad do wypasania. Gospodarka Andreas opierała się bowiem na węglu i produkcji drogocennych metali, a także na pracy robotników harujących w miejskich warsztatach i w jaskiniach.

– Musimy zaprowadzić konie do stajni – oznajmiła Kate, kiedy przekroczyli bramę. – Po tutejszych ulicach nie wolno jeździć konno.

Corwin zerknął na nią, upewniając się, czy dobrze usłyszał, bo kaptur tłumiał jej głos. Wszyscy założyli takie kaptury to był pomysł Signe, mający im pomóc zachować anonimowość. Małe, sięgające ramion kaptury, cieszyły się sporą popularnością w mieście, gdzie dym i zanieczyszczenia z kopalni dosłownie wisały w powietrzu, pokrywając ulice, budynki i ludzi warstwą tłustej szarości. Mijający ich chłopci ubrani byli w szarobrązowe stroje, potęgujące jeszcze przygnębiający nastrój. Surowość ich ubrań zaskoczyła Corwina; szlachta z Andreas odwiedzająca Norgard zazwyczaj ubrana była w wielobarwne, jaskrawe kostiumy wprost ociekające klejnotami.

Stajnie znaleźli obok domu poczty, a po oddaniu koni wyszli na ulicę. Raith przeprosił, że ich opuści, ale zamierzał odwiedzić siedzibę swojego zakonu.

Kiedy zniknął, podniecony Dal odwrócił się do Corwina.

– Dokąd pójdziemy najpierw?

Corwin skinął na Kate.

– Jak myślisz? Ty i Signe znacie to miasto lepiej niż reszta z nas. Gdzie najprędzej można zdobyć informacje?

Kate zmarszczyła brwi.

– Nie mam pojęcia. Niechętnie witają tu kobiety kurierki, nieważne, co twierdzi poczta. Praktycznie nie opuszczaliśmy domu pocztowego.

– Ty praktycznie go nie opuszczając – poprawiła Signe, patrząc spode łba.
– Ja nigdy bym nie pozwoliła, by ich wymysły mnie powstrzymały. Chodzę, dokąd zechcę.

Dal wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– I założę się, że nikt na to nie narzekał.

– Co zatem proponujesz, Signe? – wtrącił Corwin.

– Gospodę „Pod Brzuchem Dzika” – odparła bez wahania. – To największa szulernia w mieście. Karczmarz to przyjaciel, wie o wszystkim, co się tu dzieje.

Corwin uznał, że ma to sens – szulernie były zazwyczaj ulubionymi

miejscami spotkań plotkarzy.

– Dobrze, tam właśnie spróbujemy.

– Jeśli można, Wasza Wysokość – odezwała się Kate – wolałabym nie zapuszczać się dalej. Czy mogę poczekać w wynajętych pokojach? Polecam tę gospodę. – Wskazała wyblakły szyld z napisem „Pod Światłem Przewodnim”, obok widniała pochodnia o zakrzywionym uchwycie, symbol Andre, boga patrona Andreas.

– Pójdę jej pomóc – zaproponował Bonner. Kował wyglądał na wyczerpanego, pod oczami miał ciemne sińce, a kiedy się poruszał, widać było sztywność mięśni.

Corwin przyjrzał się twarzy Kate, próbując odczytać z niej myśli dziewczyny. Podróż upływała spokojnie, no, może oprócz negocjacji z przewoźnikami z Redrush, którzy policzyli im podwójnie, a mimo to podczas każdego nocnego popasu napięcie wisiało w powietrzu. Kate nigdy nie odchodziła zbyt daleko od Bonnera. Początkowo Corwin wziął to za oznakę bliskości między nimi, potem jednak doszedł do wniosku, że ich zachowanie świadczy bardziej o przyjaźni niż o miłości. Choć Bonner miał irytujący zwyczaj dotykania jej, gdy tylko nadarzyła się okazja – łaskotania, klepania po głowie, przytulania. Corwin musiał wreszcie przyznać, że Kate po prostu nie chciała zostać z nim sama, podzielał zresztą to pragnienie. Jej obecność drażniła go, a choć starał się ignorować dziewczynę, obsesyjnie analizował każdy jej ruch i gest. Zupełnie jakby coś go swędziało, a on nie mógł się podrapać.

Zgodził się więc z propozycją, a kiedy Kate i Bonner odeszli, Signe poprowadziła resztę grupy. Im dalej się zapuszczali, tym otaczające ich tłumy były gęstsze. Kręte, wąskie uliczki wiodły ich dalej i wyżej; od ciągłej wspinaczki Corwina wkrótce rozboleły nogi. Przypuszczał, że w drodze powrotnej poczuje ulgę, na razie jednak wyglądało to nieciekawie.

Dobrze chociaż, że nie panował tu wściekły upał, a budynki wznoszące się na wysokość kilku pięter po obu stronach ulic rzucały długie cienie. Gospoda „Pod Brzuchem Dzika” zajmowała najdalszy narożnik rynku, najwyżej położonego miejsca w mieście, jeśli nie liczyć rezydencji szlachty i samego zamku. Nad wejściem widniał rzeźbiony, drewniany dzik, unoszący się na krótkich tylnych nóżkach. Przechodząc przez drzwi, Signe podskoczyła i poklepała raciczkę, Corwin na widok startego drewna wywnioskował, że to powszechny nawyk mający zapewne przynieść szczęście.

Wnętrze gospody było ciemne i zadymione, ale o wiele cichsze niż ulica. Salę główną wypełniały liczne stoły, przy wielu z nich siedzieli goście. Niektórzy jedli i pili, większość jednak skupiała się na wszelakich grach – począwszy od kości i kart, a skończywszy na skomplikowanych grach planszowych, na których rozstawiało się kamienne figury, takich choćby jak Król na Zamku i Pięć Losów. Przechwałki Signe o tym, że mile ją tam przyjmują, okazały się prawdziwe, bo kiedy tylko ściągnęła kaptur, kilkunastu gości i jeszcze więcej pracujących w gospodzie powitało ją okrzykami. Pomachała każdemu z nich, a potem podeszła do stołu, przy którym siedział najgrubszy człowiek, jakiego Corwinowi zdarzyło się oglądać. Całe jarły tłuszczu rozlewały mu się między potrójnym podbródkiem i nieistniejącą talią, a palce trzymające kielich, który uniósł na powitanie, przypominały grubiućkie kiełbaski.

– Signe Leth! – rzucił głosem równie potężnym jak jego brzuszysko. – Od tygodni nie oglądałem twego ślicznego liczka. Chodź, ucałuj grubasa.

Signe, uśmiechnięta szeroko, pochyliła się i musnęła wargami pulchny policzek.

– Ja tęskniłam mniej za twoją twarzą, raczej za brzuchem. – Signe poklepała go mocno, a tamten ryknął śmiechem. Corwin i Dal wymienili rozbawione spojrzenia. Dla Signe najwyraźniej nie istniało coś takiego, jak nieznamomi.

– Siadaj, moja ślicznotko i przedstaw mi swoich przyjaciół – poprosił grubas. Signe przysunęła sobie krzesło i usiadła, Corwin i Dal zajęli miejsca naprzeciwko.

– To jest Gordon Bombasi, tutejszy karczmarz – oznajmiła, potem, wskazując Dala i Corwina, powiedziała: – A to Ronald Dorn i Clash Farley.

Obaj wybrali sobie nowe imiona jeszcze przed przybyciem do miasta, Corwin używał swojego już wcześniej, podczas lat spędzonych poza Rime. Miał nadzieję, że fałszywe nazwisko w połączeniu z kapturem i brodą, którą zapuścił, uchroni go przed rozpoznaniem.

– Witajcie „Pod Brzuchem Dzika”, w klejnocie koronnym Andreas. – Głos Gordona nadal był tak donośny, że Corwin aż się skrzywił. Spośród wszystkich ludzi, u których można szukać informacji, z pewnością on powinien być ostatni, wkrótce wszyscy w mieście dowidzieliby się, co planują.

– Dziękujemy za powitanie – odparł Dal – ale zabrzmiałoby ono znacznie

serdeczniej, gdyby towarzyszyło mu coś do zwilżenia języków.

– Oczywiście. – Gordon klasnął w mięsiste dłonie i już po chwili zjawiała się służka dźwigająca dzban wina i kielichy, a za nią kolejna z chlebem i miskami rosółu. – Jedzcie i pijcie, ile tylko zechcecie, bądźcie jednak świadomi, że nie mam dziś wolnych pokojów. – Dla podkreślenia słów Gordon pokręcił głową. Corwin zauważył, że w obu uszach nosi kamienie magiczne ozdobione symbolem zawartego w nim zaklęcia. W lewym tkwiło zaklęcie prawdy wykrywające oszustwa; na szczęście dla Corwina – albo raczej Clasha Farleya – kamień wyraźnie nie był aktywny. Ten z prawego ucha przypominał kamień Dala z zaklęciem maskującym, ukrywającym blizny bądź znamiona. *Musi dobrze mu się powodzić, skoro stać go na takie błyskotki.*

Dal z zapalem pochylił się naprzód.

– Czyżbyś zaplanował na dziś jakąś szczególną rozrywkę? Gordon uśmiechnął się, ukazując zęby białe niczym porcelana.

– „Pod Brzuchem Dzika” zawsze mamy rozrywki specjalne, ale dziś gramy w Kości Śmierci.

– A tak, to z pewnością ściągnie tłum. – Dal przyłożył dłoń do piersi. – Nie jest to gra dla słabych duchem.

Corwin zgadzał się z przyjacielem. Karty do gry w Kości Śmierci nasycano znacznie potężniejszą magią niż zwykłe talie; w każdej tkwiło zaklęcie, które gracz mógł przywołać podczas rozgrywki. Talie miawały różne poziomy intensywności czarów, niektóre były tak niebezpieczne, że gracze ryzykowali zdrowie, a nawet życie. Najgorszym przypadkiem, jaki zdarzyło mu się oglądać, był mężczyzna, który wyciągnął kartę biedy i zaraz po tym odkrył, że właśnie go okradziono.

Słyszał jednak opowieści o znacznie gorszych sytuacjach. Z drugiej strony uznał, że nagrody za zwycięstwo – bogactwa, szczęście i zdrowie – mogły przekonać niektórych, że warto zaryzykować.

– Nie jest to jednak zwykła rozrywka, młodzieńcze. – Gordon pokiwał kielbasianym palcem. – Bo dziś przyjmujemy tu królewską krew.

– Królewską krew? – Signe przekrzywiła głowę. – Skąd?

Corwin zmarszczył brwi, zaskoczony tą nowiną i niezwykle zainteresowany odpowiedzią, chociażby po to, by mieć jakiś strzępek wiadomości mogący ugłaskać brata, kiedy wrócą do Norgardu.

Gordon sięgnął po kielich, napił się niespiesznie, świadomie budując

napięciu.

– Ów królewski gość to nikt inny, tylko Eryx Fane, książę Sevy. Niestety jest to tylko ostatniorodny z sześciu braci. Dziedzic przyciągnąłby znacznie większy tłum, większy, niż pomieściłaby moja biedna gospoda.

Corwin o mało nie zadławił się kawałkiem chleba, który właśnie wsunął do ust. W sumie uznał, że to szczęśliwy traf, bo nie pozwolił mu powiedzieć czegoś niepotrzebnego. Seva, ogromne królestwo na południowym wschodzie, jeszcze przed inwazją była najbardziej znienawidzonym i najgroźniejszym wrogiem Rime.

Siedzący obok Dal przybrał nietypową dla siebie mroczną minę. On i Corwin mieli osobiste powody, by nienawidzić Sevy i jej króla-boga Magnara Fane. Królestwo przypominało szarańczę, stale się rozrastało, pochłaniając sąsiadujące ziemie. Jedynie cztery państwa wciąż jeszcze broniły się przed podbojem – Endra, Rhoswen, Esh i Rime. *Oby Rime nigdy nie upadło*, dodał w duchu Corwin, zaciskając palce na kielichu. Podczas Inwazji przed pięćdziesięciu laty o mało do tego nie doszło, gdy Seva splądrowała port Penlocke. Na szczęście dziadek Corwina zjednoczył miasta i odparł siły króla-boga za morze.

– Dlaczego przyjmujecie tu księcia Sevy? – Dal od niechcienia przesunął palcem po krawędzi swojego kielicha. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę zbrodnie jego ojca.

Gordon lekceważąco machnął ręką.

– Lord Nevan udzielił mu amnestii. Tu, w Andreas, nie żywimy urazy.

Corwin z trudem powstrzymał się od gorzkiego śmiechu. Lord Nevan mógł udzielać lekcji raczej z żywienia urazy, czego najlepiej dowodził jego nieustanny sprzeciw wobec rodziny Thormane. Kiedy siły Rime w końcu pokonały Sewę, lord Nevan chciał zostać pierwszym arcykrólem, ale miasta zamiast bogactw Andreas wybrały potęgę Norgardu. Informacje o obecności księcia Eryxa były więc niepokojące i Corwin postanowił przemyśleć to sobie później.

– Może zechcecie się założyć co do wyniku gry? – Gordon uniósł odwróconą dłoń.

Signe jeszcze raz poklepała go po brzuchu.

– Nie przychodzimy ani po nocleg, ani po gry, grubasie.

Gordon przekrzywił głowę.

– A o co innego warto zabiegać w życiu?

– Szukamy pewnego człowieka. – Signe spojrzała znacząco na Corwina.

– A ściślej biorąc, szukamy informacji o pewnym człowieku. O nim. – Corwin sięgnął za pazuchę i podał Gordonowi portret z podobizną górnika.

– Nie mogliście widzieć tego człowieka.

– Czemu nie? – Corwin zerknął na portret; to był wierny rysunek twarzy mężczyzny, którego zapamiętał z domu Gregora.

– Bo to Ralph Marcel – Gordon głośno wypuścił powietrze – którego złote szaty zabrały niemal rok temu. Corwin zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że schwytała go inkwizycja?

Gordon pochylił głowę z poważną miną.

– Tak, a przecież żaden dzikun nigdy nie uciekł złotym.

To prawda, a przynajmniej nigdy wcześniej o takim przypadku nie słyszeli – aż do teraz. Lecz owa informacja idealnie pasowała do układanki. Jeśli temu dzikunowi jakoś udało się uciec inkwizycji, nie pozostało mu nic innego, jak tylko dołączyć do Powstania.

– Jaką magią władał? – spytał Corwin, zabierając rysunek.

Gordon uniósł dłoń, rozcapierzając palce.

– Nie wiem. Marcel nie stawiał oporu, kiedy go ujeli, a potem nigdy nikt o nim nie wspominał. Chociaż... – Zawahał się i podrapał po policzku, kilka razy przesuwając paznokciami tak mocno, że z pewnością zostawiły szramy. Kiedy jednak opuścił rękę, skóra była nietknięta. – Krążyły pogłoski, że umiał doskonale porozumiewać się ze zwierzętami, w jego domu mieszkało z pięćdziesiąt kotów i psów.

– Porozumiewać się ze zwierzętami – powtórzył Corwin.

Według historii to także stanowiło element daru ducha. *Czyienne gadźce to zwierzęta*, zastanawiał się teraz. Chyba tak, choć tak jak ich nocni pobratymcy bardziej przypominały potwory, coś zbyt mrocznego i niebezpiecznego, by dzielić tę samą naturę z kotem czy psem. Jeśli jednak dzikun mógł nad nimi zapanować, to potwierdziłoby podejrzenia Dala dotyczące związku łączącego te dwa ataki.

Signe, wyraźnie znudzona rozmową, wyciągnęła jeden z noży do rzucania, które nosiła za pasem, i zaczęła podrzucać nim nad głową, żonglując z bezmyślną łatwością.

– Nie rozumiem tej całej inkwizycji. Dlaczego wy tutaj tak bardzo boicie się siebie nawzajem? W Esh nikogo się nie boimy. Nawet naszych wrogów.

– To dlatego, że na wyspach nie ma magii, moja śliczna, ani nigdzie

indziej poza Rime. – Oczy Gordona poruszały się w górę, w dół, obserwując nóż. – Nikt spoza Rime nie urodził się ze zdolnością manipulowania niewidzialnym światem, a naszym magistom nie wolno nigdy opuszczać naszych brzegów.

Corwin popukał kciukiem o blat.

– To prawda, a dzikunów trzeba się bać. Nikt nie powinien dysponować władzą pozwalającą zburzyć całe miasto.

Signe złapała nóż i przytrzymała skierowany ostrzem w górę. Wbiła wzrok w Corwina.

– A ktoś kiedyś zburzył jakieś miasto? Jedyne magia, którą do tej pory oglądałam, służy czynieniu dobra. Choćby kamienie strażnicze, które nas chronią, albo twoje kamienie prawdy, grubasie. No i pasy księżycowe.

Na ustach Dala zatańczył diabelski uśmiech. Przyjaciel kilka razy szybko poruszył brwiami.

– O tak, one zdecydowanie służą jedynie dobrem celom.

– Ale magia dzikunów często krzywdzi innych – wtrącił Corwin. *Tak jak ta, która zabiła moją matkę.*

Gordon walnął pięścią w stół.

– Dobrym czy złym, jedyną pewną rzeczą jest to, że magia wywołuje spory. Weźcie na przykład naszego arcykróla. Rodem Thormane rządzi straszliwa magia, która często stawia brata naprzeciw bratu.

– Chodzi ci o uror – powiedział Corwin, nim zdołał się powstrzymać.

Gordon kilka razy pokiwał głową, jego podbródki zakołysały się.

– Powoduje chaos, kiedy w grę wchodzi więcej niż jeden dziedzic. Nikt nie wie, kto obejmie władzę. Nikt nie ma pojęcia, komu być wiernym.

– Skąd o tym wiesz? – Dal wypowiedział pytanie, które cisnęło się na usta Corwinowi, lecz nie śmiał go wypowiedzieć, by zbyt wiele nie ujawnić. – Przecież nie pochodzisz z Norgardu.

– Słyszałem różne historie. Arcykról Borwin Thormane zdobył prawo do Lustrzanego Tronu po tym, jak zabił dwóch braci w imię uroru.

Mój dziadek nie zabił swoich braci, chciał odpowiedzieć Corwin. Jeden istotnie zginął podczas prób uroru, ale to nie było morderstwo. Sama idea zabicia krewnego była nie do pomyślenia. Drugi z kolei brat dożył starości.

– Co to jest ten uror? – Signe postukała ostrzem noża o blat.

– To znaczy los – odparł Gordon.

– Nie do końca – poprawił Corwin, nie mogąc przynajmniej w tej materii

dłużej milczeć. – Oznacza to zew losu albo czasem wezwanie na próbę. W Norgardzie prawo do rządów nie zawsze przechodzi z ojca na pierwородnego syna. Jeśli jest więcej dziedziców, pojawia się znak uroru i bracia muszą dowieść ludowi, poprzez próby i czyny, że są godni sukcesji.

Signe pokiwała głową, jakby wszystko to brzmiało zupełnie sensownie.

– W Esh, jeśli król bądź królowa jest słaby, inni rzucają mu wyzwanie. Tylko najsilniejsi i najmądrzejsi powinni przewodzić innym.

– Owszem, ślicznotko. – Gordon położył dłoń na ramieniu Signe, która przy nim wyglądała jak małe dziecko. – Ale w twoim kraju wyzwania nie zapowiadają znaki i omeny.

– Jakie znaki?

– Pierwszym jest zawsze pojawienie się zwierzęcia wyjątkowego koloru – oznajmił Dal. – Z tego co pamiętam, ostatnim urorem był wilk.

Murr, uzupełnił w myślach Corwin, kiwając głową. Doskonale pamiętał tę wilczycę, choć umarła, gdy był bardzo mały.

– A kolory są zawsze te same, w połowie biały, w połowie czarny.

Signe zmarszczyła brwi, jakby bez powodzenia próbowała sobie wyobrazić podobne stworzenie. Corwin wcale się nie dziwił – coś takiego nie istniało w naturze, tylko bogowie mogli stworzyć podobną istotę.

– Co tam się dzieje? – Spytał nagle ostro Gordon, szukając wzrokiem w sali kogoś, kto mógłby mu odpowiedzieć, ale pracownicy biegli już do drzwi. Corwin, Dal i Signe podążyli w ślad za nimi.

Na zewnątrz rynek zamienił się dosłownie w ocean ciał. Nie mogli jednak zobaczyć źródła zamieszania. Signe bez chwili wahania wspięła się na poręcz werandy, chwyciła za krawędź dachu i ze zdumiewającą łatwością podciągnęła się. Bryczesy, w które zawsze się ubierała, ułatwiły jej zadanie.

Dal i Corwin szybko poszli w ślady dziewczyny. Corwin natychmiast zorientował się w sytuacji – przed kwiaciarnią po drugiej stronie placu dostrzegł grupę magistów, jeden był w białej szacie, jeden w błękitnej i dwóch w złotych. Pomiedzy nimi stał chudy chłopczyk. Długie, patykowate ręce i nogi i za wielkie uszy sprawiały, że wyglądał na dziesięcio-, najwyżej jedenastolatka. Gardło okalała mu obroża inkwizycji, oznaczająca dzikuna. *Taki młody*, pomyślał Corwin, czując wzbierające mdłości. Osadzone w obroży świecące kamienie służyły tylko jednemu celowi – miały powstrzymać dzikuna przed użyciem magii.

To nie chłopiec jednak wywołał zamieszanie, lecz jego matka.

Wrzeszczała na magistów, błagając, by uwolnili syna.

Corwin nie rozumiał poszczególnych słów, zagłuszał je bowiem tłum, ale wyraźnie widział desperację kobiety. Trzęsły jej się ręce i nogi, a na policzkach lśniły łzy.

Signe wydała zdławiony dźwięk.

– Dlaczego aresztują tego chłopca?

– To musi być dzikun – rzekł niezbyt pewnym głosem Dal.

Corwin zagryzł wargi poruszony rozpaczą kobiety. Słyszał o tym, że inkwizycja aresztuje dzieci, ale pierwszy raz był tego świadkiem: złoci zazwyczaj nie polowali pośród szlachty. Najchętniej pobiegłby tam, żeby zapytać, dlaczego zabierają chłopca – wydawał się nieszkodliwy i stanowczo zbyt młody, by karać go śmiercią – ale nic nie mógł poradzić. Mimo że był arcyksięciem, nie miał władzy nad Ligą. Oto cena za jej służbę na rzecz królestwa: oni nie wtrącali się do polityki, ale nie podlegali też rozkazom korony.

Magiści zaczęli ciągnąć chłopca. Przez sekundę Corwin sądził, że kobieta zemdleje. Strażnicy andreańscy w pomarańczowo-czarnych mundurach podeszli, by ją zatrzymać, ale wyglądało na to, że muszą ją podtrzymywać, by nie upadła. Nagle, bez ostrzeżenia, wyrwała im się i uniosła rękę na najbliższego. Jej twarz wykrzywił grymas wściekłości. Corwin zachłysnął się, patrząc, jak strażnik sztywnieje, jakby pochwycony w uścisk jakiejś mocy. Jego ciało otoczyła czerwona mgiełka – nie, ona wypływała z jego ciała. Krew. Kobieta też była dzikunką – hydrystką, władającą wodą.

Skóra na twarzy strażnika zaczęła marszczyć się i zapadać, jak jabłko pozostawione zbyt długo w słońcu. Potem to samo stało się z jego ciałem, w końcu pozostała tylko zaschnięta powłoka i kości zamienione w pył. Wszystko to trwało krócej niż jeden oddech, zdumiewająco szybko. Zdumiewająco niszczycielskie. Absolutnie przerażające.

W sekundę później tłum zaczął wrzeszczeć i rozbiegł się w panice, nawet strażnicy się cofnęli. Magiści odwrócili się ku kobiecie, wznosząc maczugi z jaśniejącymi w nich magicznymi kamieniami. Z dłoni hydrystki wytrysnęła woda, ale zniknęła, nim do nich dotarła. Nie poddając się, kobieta znów spróbowała. Tym razem woda popłynęła jeszcze obficie, jakby chciała ich zatopić. Znów jednak odparły ją kamienie.

Dzikunka krzyknęła z furją, nieświadoma niebezpieczeństwa zbliżającego się z tyłu. Jeden ze strażników pokonał bowiem strach i dobył miecza. Wbił

go w plecy kobiety, przesywając ją na wylot. Wodna magia rozplynęła się, twarz kobiety stężała w szoku. A potem strażnik wyciągnął ostrze i nieszczęsna runęła na ziemię. Jej syn, dotąd nieruchomy i milczący, zaczął krzyczeć i szamotać się, ale choć pewnie władał jakąś mocą, obroza nie pozwoliła mu jej użyć.

Magiści odciągnęli chłopca i ruszyli w stronę domu złotego zakonu i Oczyszczenia. Zabrali też martwą matkę, by ją pogrzebać. Corwin odprowadził ich wzrokiem. Czuł straszliwy żal i strach. Wiedział, że wkrótce dziecko spocznie w ziemi obok matki.

13

KATE

Już w chwili, gdy dotarli do Andreas, Kate była gotowa wyjechać. Nie znosiła tego miasta, dniem i nocą wypełnionego po brzegi ludźmi. Dwa dni, które tu spędzili, wlokły się jej nieznośnie, choć rozumiała, dlaczego musieli zostać. Atak na Gregorów wstrząsnął nią, zwłaszcza gdy dowiedziała się, że istotnie stali za nim dzikuni. Świadoma eskalacji przemocy, już niemal czuła obrożę na własnej szyi. Choćby nigdy nie użyła swej magii, magiści mieli sposoby, aby odkryć, kim jest. A śmierć z rąk złotych nie byłaby szybka, raczej długa i bolesna. Oczyszczenie.

Dobrze, że Corwin szybko zidentyfikował górnika, który brał udział w napadzie, choć potrzebował kolejnego dnia, aby odszukać jego rodzinę. Okazało się, że Ralph Marcel nie zostawił nikogo.

– Miał jednak jakiś dar, który pozwalał mu rozumieć zwierzęta. – Signe, która na własną prośbę towarzyszyła cały czas Corwinowi i Dalowi, poinformowała o tym Kate i Bonnera w noc przed wyjazdem z miasta.

Mogłaby też domagać się, żeby słońce nie zaszło, i pewnie by posłuchało, pomyślała Kate, rozbawiona wizją najlepszej przyjaciółki spędzającej tak wiele czasu z Corwinem.

– I przez to właśnie wpakował się w kłopoty – ciągnęła Signe. – Znaleźliśmy człowieka, który doniósł na niego złotym. Powiedział, że Marcel zawsze umiał przewidzieć, który z kanarków zabieranych do kopalni niedługo padnie.

Bonner zmarszczył brwi. Stał oparty o ścianę obok okna w pokoju, który dzieliły Signe i Kate. Mimo że pomieszczenie było znacznie większe niż to w gospodzie „Pod Laską i Pucharem”, kowal wciąż wydawał się zbyt wielki, głową niemal dotykał sklepienia.

– I dlatego ten człowiek na niego doniósł?

– To nie ma sensu – zgodziła się Signe. – Sądziłam, że kiedy te ptaki umierają, to znak, że powietrze jest zatrute. Powinni być mu wdzięczni za ostrzeżenie.

Kate pokręciła głową. Żałowała, że w pokoju nie panuje bałagan, bo wtedy

mogłaby zająć się sprzątaniami i nieco się rozluźnić. Zamiast tego siedziała na łóżku, opierając brodę na kolanach. Signe wyciągnęła już nóż i zaczęła zonglować, odprężając się na swój własny sposób. *Może namówię ją, żeby mnie tego nauczyła*, pomyślała Kate.

– Ludzi od dziecka uczy się strachu przed dzikunami – rzekła głośno. – Nieważne, czy są użyteczni albo przynajmniej nieszkodliwi. Zawsze tak było.

– Tak, no cóż, chyba mają nieco powodów, by się nas obawiać po ataku na Gregorów. Nie mówiąc już o tym, co zrobiła ta kobieta koło “Brzucha Dzika”. – Bonner przeczesał palcami długie włosy, wciąż mokre i rozpuszczone po kąpieli. On i Kate nie widzieli, jak hydrystka używała swej magii, ale wszyscy w mieście wciąż o tym dyskutowali, przywołując najdrobniejsze, paskudne szczegóły.

Nas się obawiać. Kate nie spodobały się implikacje słów Bonnera, sugestia, że i oni są jak tamta kobieta na rynku.

Zupełnie jakby samo dzikuństwo ich definiowało, a nie stanowiło tylko jednego z aspektów ich osoby.

Oprócz Bonnera i ojca nie znała innych dzikunów, a już na pewno nie takich, którzy zabijali za pomocą swej mocy. Ona sama nie potrafiłaby bezpośrednio zabić magią, a nigdy nie czuła pokusy, by wykorzystać do tego jakieś zwierzę.

Signe przygwoździła ich karcącym spojrzeniem.

– Prowadzili jej syna na egzekucję. Na jej miejscu walczyłabym każdą bronią, jaką miałabym pod ręką.

Problem w tym, że to jej ręce były bronią, pomyślała Kate. *Miecz można odebrać, ale magia stanowi część nas.* Nie podjęli jednak dyskusji. Kiedy oczy Signe przybierały taki wyraz, sugerujący, że tylko ona właściwie patrzy na świat, nie dało się z nią rozmawiać. Kate zazdrościła jej umiejętności widzenia rzeczy w tak wyraźnych odcieniach – czern i biel. Dla niej zawsze było za dużo szarości.

– Ten Ralph Marcel mógł być taki jak ty, Kate. – Bonner wrócił do tematu.

– Tak, dzikun kontrolujący zwierzęta. – Signe pokiwała głową. – Corwin uważa, że Powstanie może kierować dziennymi gadźcami, że to właśnie robił ów Marcel. – Popatrzyła pytająco na Kate. – Czy to możliwe? Czy mogłabyś swoją mocą zapanować nad gadźcami, tak jak to czynisz z końmi?

– Ja... nie wiem, nigdy nie przyszło mi do głowy spróbować. – Kate zastanowiła się chwilę, zaintrygowana, ale i zaniepokojona tą możliwością.

Czy tamtego dnia mogła swoją mocą powstrzymać atak dziennych gadźców? Gdyby to zrobiła, Corwin nie ujrzałby rewolweru i nie byłoby ich tutaj. Mimo wszystko wzdrygnęła się na myśl o dotknięciu umysłu czegoś tak ohydneho. – Ale możliwe, że tak. Kiedy byłam mała, używałam swojej magii na najróżniejszych zwierzętach, potem ojciec kazał mi przysiąc, że ograniczę się tylko do koni i jedynie wtedy, gdy to konieczne.

– Czyli Corwin może mieć rację. – Signe złapała nóż i wsunęła do pochwy. – Szkoda, że nie możemy mu o tym powiedzieć.

Kate aż się zachłysnęła.

– Oszalałaś? Nim zdążyłabyś mrugnąć, oddałby mnie złotym. Signe zmarszczyła nos.

– Nie wierzę, by Corwin zrobił coś takiego. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Cały czas.

Kate poczuła, jak pieką ją policzki, przez sekundę chciała dowiedzieć się o tym czegoś więcej, zasypać Signe pytaniami o te spojrzenia niczym jakaś niemądra dziewczyna z romantycznej historii. Ale nie, to przecież Corwin.

– On tak o mnie nie myśli. Już nie.

Bonner prychnął, ale nie skomentował słów Kate, bo dosłownie zmiażdżyła go wzrokiem. Potem znów spojrzała na Signe.

– Nie wolno ci powiedzieć ani Corwinowi, ani nikomu innemu o mnie i Bonnerze. Musisz mi obiecać, że tego nie zrobisz.

Signe skrzywiła się wyniośle; tylko ona umiała zrobić taką minę.

– Oczywiście, że tego nie zrobię. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to ty powinnaś.

– Nie – rzuciła Kate. – Tak naprawdę powinniśmy wrócić do Farholdu, zanim wszyscy skończymy z obrożami na szyjach.

– Po co mieliby mi zakładać obrozę? – Signe przekrzywiła głowę.

– Bo jesteś szalona – odparła Kate.

Ale mimo żartów dobrze wiedziała, że nie mogą już zawrócić. Wszyscy to wiedzieli. *Praktycznie rzecz biorąc, już nas schwytali.*

* * *

Im bliżej byli Norgardu, tym bardziej Kate się denerwowała. Po kilku długich, męczących dniach jazdy z Andreas do Thace spotkali się z żołnierzami i razem już ruszyli do Carden. W każdym z miast spędzili tylko

jedną noc, co ledwie pozwoliło im poczuć niezwykłą atmosferę właściwą każdemu z nich.

W Thace, mieście wzniesionym na moczarach, gdzie wiele ulic to były po prostu kanały, Signe i Dal całą noc zwiedzali najdalsze zakamarki wynajętą łodzią. Wrócili mokrzy i wykończeni, ale pełni niezwykłych historii o wywróconej łodzi, śmiałej podwodnej ucieczce przed strażą miejską i spotkaniu z syreną, morską wróżką bądź innym mitycznym stworzeniem. Kate wiedziała, że nie powinna wierzyć nawet w połowę tych opowieści, ale bawiło ją, że Dal chętnie przyłączył się do ulubionej zabawy Signe.

Z kolei w Cardenie, mieście słynącym w całym Rime z browarów, Corwin i Dal do tego stopnia przesadzili z trunkami, że następnego dnia obaj ledwie siedzieli na koniach.

– Nie wiedzieliśmy, że w czekoladkach jest brandy, a w szarlotce whisky – uporczywie powtarzał Dal.

– Ależ wiedzieliście. – Signe uśmiechnęła się złośliwie. – Po prostu uważaliście, że jesteście wystarczająco silni, by to wytrzymać.

Kate było ich żal, choć sami zadali sobie to cierpienie. Zresztą Corwin zawsze uwielbiał słodyczne.

Jednak mimo szybkiego tempa jazdy każda minuta stawała się tak długa jak dziesięć, każda mila ciągnęła się bez końca.

Gdyby tylko Kate mogła podróżować z prędkością kurierów pocztowych, wyprzedziłaby niepokój trawiący ją z każdym kolejnym krokiem. Niemal żałowała, że w pobliżu nie ma nocnych gadźców, przynajmniej dałyby jej jakieś zajęcie. Ale od wyjazdu z Andreas nikt ich nie widział ani o nich nie słyszał.

Kiedy w końcu przekroczyli granicę Nefrytowego Lasu, kilka tygodni od rozpoczęcia podróży, jej niepokój sięgnął zenitu. Las graniczył z Norgardem od zachodu, rósł dostatecznie blisko, żeby jego wyniosłe drzewa o grubych pniach widać było z miasta. Kate czuła, że bardziej dręczy ją świadomość powrotu do domu niż obawa wykrycia Bonnera.

Wszystkie widoki i zapachy, niegdyś tak znajome, a przecież zapomniane, budziły ból w jej sercu. Trzy lata nieobecności zdawały się wiecznością, ale i zaledwie chwilką. Bała się Norgardu. Bała się przeszłości, choć liczyła, że wreszcie ją pozna. Bała się także teraźniejszości. W Norgardzie dla wszystkich będzie Zdrajczynią Kate. Tam, w stolicy, rana zadana przez zamach ojca nigdy się nie zagoiła.

Kiedy pokonali ponad połowę drogi przez las, zatrzymali się na noc. Kate zaczęła krzątać się przy rozbijaniu obozu, ale nie trwało to długo. Dotarli bowiem do jednego z postojów przygotowanych dla karawan, licznych schronień wyciętych w pniach ogromnych drzew tworzących Nefrytowy Las. Wywiercono w nich nawet otwory na kamienie strażnicze. Tu właśnie spędziła pierwszą noc po tym, jak z własnej woli porzuciła Norgard, udając się na wygnanie. Słoma zaścielająca ziemię wewnątrz drzew tworzyła wygodne posłanie, Kate jednak wątpiła, czy w ogóle zdoła zasnąć, tak samo jak tamtej nocy przed laty.

Uniosła wzrok i bez trudu odnalazła Corwina. Miała wrażenie, że zawsze wie, gdzie go szukać. Wybrał sobie drzewo naprzeciw jej schronienia i już przygotował legowisko. Nagle uniósł wzrok, jakby wyczuł jej spojrzenie, przez moment ich oczy się spotkały. Oboje jednak odwrócili je szybko. Kate poczuła, jak serce trzepocze jej w piersi. Przez sekundę widziała w nim tamtego Corwina, którego kiedyś знаła, chłopca, na widok którego przyspieszało jej tętno, chłopca, którego oczy wypełniały łobuzerskie ogniki, a usta wyginały się w zmysłowej obietnicy.

Ta reakcja zirytowała ją i Kate dźwignęła się z ziemi.

– Idę się przejść – poinformowała Signe, która właśnie się zjawiała, dźwigając własne posłanie. – Wrócę przed zmierzchem.

W lesie wciąż było wystarczająco widno, a poza tym na wszelki wypadek nosiła przecież na biodrze rewolwer.

Signe odprawiła ją gestem.

– Idź, zmęcz się, żebyś w końcu mogła dziś zasnąć.

Kate westchnęła. Chciałaby, żeby to było takie proste.

– Wiesz chyba, że zawsze możesz spać gdzie indziej. Wtedy nie będę cię budzić, kręcąc się.

Signe wymownie się uśmiechnęła.

– Tylko jeśli zrobisz to samo. Pas księżycowy się marnuje.

Kate nie zaszczyciła tej uwagi odpowiedzią, zamiast tego wysliznęła się tylnym wyjściem do lasu. Magiści rozstawili już barierę wokół obozu, ale chwilowo nie przejmowała się nocnymi gadźcami. Krążyły pogłoski, że niedaleko Mararedu zauważonoienne gadźce, lecz oficjalnie nikt nie wspominał o żadnym ataku. Kate wątpiła, by stwory zdołały już dotrzeć aż do Norgardu. Chyba że Corwin ma rację i to Powstanie je kontroluje. Modliła się, by tak nie było. Gdyby tylko inni dzikuni bardziej przypominali ją

i Bonnera – to znaczy ostrożnie używali magii i nigdy nikogo nie krzywdzili – może Liga przestałaby na nich polować, a ludzie nie baliby się ich.

Ruszyła wąską ścieżką między drzewami, które były tu tak wysokie, że z powodu mroku przetrwało niewiele zarośli, łatwo zatem mogła spacerować, nie czyniąc hałasu. W dzieciństwie często się tak bawiła, próbując poruszać się cicho niczym dzikie zwierzę. Istnienie takich stworzeń zawsze ją zadziwiało – przede wszystkim fakt, że mogły żyć za murami miasta mimo zagrożenia ze strony gadźców. Często pytała ojca, czemu gadźce nie zabijają jeleni i innych leśnych stworzeń, a on wyjaśniał, że łakną tylko ludzkiego mięsa.

– To czemu nocą zabieramy konie i bydło za mury?

– Bo gadźce przyciąga ludzki zapach, który pozostawiamy na udomowionych zwierzętach. Zawsze najpierw polują na te, których dotknęła ludzka ręka. Nic innego nie zaspokoi ich głodu.

– Ale czemu?

– Taka jest ich natura, Kate. To zesłana przez bogów kara dla ludzkości.

Nigdy nie pytała, czym ludzie sobie na nią zasłużyli.

Im bardziej oddalała się od obozu, tym bardziej pragnęła przywołać magię i dotknąć umysłu wyczuwanych wokół zwierząt. Przez kilka ostatnich tygodni ledwie korzystała ze swojego daru; nie śmiała tego robić w obecności mistrza Raitha i jego niebieskich szat. Abstynencja zaczynała jej doskwierać, miała wrażenie, że godzinami nie mogła odetchnąć pełną piersią. Oparła się jednak pokusie, i to nie tylko dla swego dobra, ale też Bonnera. Gdyby ją złapali, on też mógłby się ujawnić, choćby dlatego, że bez wątpienia walczyłby w jej obronie tak jak tamta kobieta w Andreas w obronie synka. Zastanawiała się, ile ataków Powstania tak właśnie wyglądało – że ludzie po prostu bronili swoich najbliższych.

Ścieżka zakończyła się wielką, szeroką polaną porośniętą wiecznopłaczkami i polnymi kwiatami. Kate postąpiła kilka kroków, potem zatrzymała się i odetchnęła, rozkoszując się słodką wonią. Przysiadła na skraju polany przed zwałonym pniem, gdzie rosły dziesiątki białych stokrotek. Nim się zorientowała, zerwała bukiecik i zaczęła splatać z nich wianek. Tego także nie robiła od czasów dzieciństwa. Potrzebowała kilku prób, nim przypomniała sobie, jak właściwie połączyć łodyżki. Nagle, gdy tak się mozoliła, zerwał się wiatr – nadchodziła burza, która groziła im cały dzień. Lecz Kate spodobała się pieśń, jaką wygrywała pośród drzew, szelesty

liści, skrzypienie i szmer rozkołysanych gałęzi.

Tak bardzo się zasłuchiwała, że nie dostrzegła, że nie jest już sama.

– Nie wiedziałem, że wciąż to potrafisz.

Zaskoczona, upuściła wianek. Na końcu tej samej ścieżki, którą tu przywędrowała, stał Corwin. Odetchnęła głęboko, nakazując sercu zwolnić.

– Wyszłam z wprawy.

– Nie wydaje mi się. – Ruszył ku niej, po czym zatrzymał się i podniósł wianek. Podał go Kate. – Założysz go tak jak kiedyś?

– Nie.

Wzdrygnął się, słysząc ostry ton jej głosu. Widząc jego reakcję, złagodniała, zabrała mu kwiaty i dodała już ciszej:

– Czułabym się zbyt głupio.

Corwin patrzył na nią bez słowa.

– Coś się stało w obozie? – spytała, żeby przerwać ciszę.

– Nie, po prostu przyszedłem po ciebie. Robi się ciemno i nadciąga burza.

– No tak. – Podniosła się, ale w tym momencie Corwin przysiadł na pniu.

– Lecz jeszcze jej tu nie ma, a to miejsce jest urocze.

Skrępowana tym, że Corwin siedzi teraz poniżej, Kate dołączyła do niego, strzepując z bryczesów płatkę i łodyżki. Książę zapatrzył się w niebo napęczniałe szarymi chmurami.

– Pamiętasz, jak kiedyś przekonaliśmy właściciela wędrownego cyrku, że jesteście sierotami i szukamy pracy?

Kate zamrugwała kompletnie zaskoczona.

– Oczywiście – odparła ostrożnie, jak zawsze, kiedy rozmowa schodziła na tematy dotyczące przeszłości. Nigdy tego nie zapomni. Wówczas pierwszy raz fantazjowali o wspólnej ucieczce, oboje byli przecież świadomi, że nigdy nie zaznają życia, o jakim marzą. On był arcyksięciem, musiał poślubić kogoś z politycznymi koneksjami tak bardzo potrebnymi Rime – wybór nie należał do niego, podobnie jak do niej. *A ja tak bardzo cię kochałam*, pomyślała i przyznanie się do tego, choćby w duchu, po tak długim czasie zabolalo bardziej niż mogłaby przypuszczać. Odchrząknęła. – Natychmiast nas zatrudnił. Ty miałeś prowadzić konie, a ja wykonywać akrobacje. Zawsze uważałam, że pomylił osoby.

Corwin uśmiechnął się.

– Ja też. To ty najlepiej sobie radziłaś z końmi.

– Owszem, a ty wyglądałbyś znacznie lepiej w obcisłych kostiumach

akrobatów.

– No, tego bym nie powiedział – omiół wzrokiem zarys jej nóg widocznych pod bryczesami.

Po ciągłych naleganiach Signe poza miastami Kate przestała nosić spódnice. Teraz poczuła rumieniec na szyi i szybko skupiła wzrok na wianku, obracając go w dłoniach.

Corwin westchnął i odchylił się, zakładając nogę na nogę.

– Czasami żałuję, że się wycofaliśmy. Nasze życie wyglądałoby dziś zupełnie inaczej.

– Tak, chyba tak – mruknęła Kate bez przekonania. Nawet gdyby starczyło im odwagi żeby uciec, nie trwałoby to długo. *Spójrzcie tylko na nas, ledwie jesteście w stanie ze sobą rozmawiać.*

– Signe świetnie by sobie radziła w cyrku – dodał Corwin, rozładowując uśmiechem nagłe napięcie.

Kate odpowiedziała tym samym.

– Chyba już w jakimś pracowała, przynajmniej pewien czas. Ale z nią nigdy nie wiadomo, opowiada tak wiele historii, które przeczą sobie nawzajem.

– Możliwe, że to najbardziej interesująca osoba, jaką poznałem, choć prawdę mówiąc, jej niekończące się pytania bywają odrobinę męczące. To jeden z powodów, dla których tu przyszedłem. Musiałem się od nich uwolnić.

Kate doskonale rozumiała, co miał na myśli, mimo że uwielbiała przyjaciółkę.

– Co teraz ją zaciekawiło?

Corwin przesunął dłonią po twarzy.

– Inkwizycja. Nie potrafi pojąć, dlaczego pozwalamy złotym zabierać matkom dzieci.

– Nie pojmuje albo może nie chce. – Kate kopnęła grudkę ziemi, nie podobał jej się ten temat. – Choć rozumiem, z czym ma problem, przynajmniej w tej kwestii.

Corwin przysunął się bliżej.

– To znaczy?

Uważaj, upomniała się w duchu Kate.

– Liga ma wielką władzę nad ludźmi, większą niż kiedykolwiek. Teraz mogą robić, co zechcą: wdzierać się do domów, niszczyć rodziny. Zdumiało

mnie, kiedy twój ojciec zatwierdził działania inkwizycji.

– Ojciec tego nie zrobił. – Corwin także kopnął w ziemię, wyrywając wiecznopłaczka; ten akurat miał błękitne płatki połyskujące nieustanną wilgocią, od której wiecznopłaczki wzięły swoją nazwę. – Edwin to zrobił. To on odpowiada za wszystkie ostatnie zmiany. Nawet most nad Redrush to był jego pomysł.

Kate poczuła nagłe ukłucie gniewu. Edwin zawsze był arogancki, ale nie mogła uwierzyć, że mógłby spróbować rządzić jeszcze za życia ojca. Przez ten durny most zginęła Eliza Caine. Nie miał prawa podejmować takich decyzji z wyniosłych wież Norgardu.

– Widzisz, chodzi o ojca. – Corwin przełknął ślinę, słysząc było napięcie w jego głosie. – Krążące pogłoski są prawdziwe. Ojciec jest chory, coś w nim gnije, magiści nie potrafią tego uleczyć, to wpływa na jego umysł i ciało. Nie wiedzą, co to, ale pojawiło się po ataku.

Ale przecież to było kilka lat temu. Choroba trwająca tak długo – to wyglądało dość nienaturalnie, jak magia. Dawny nauczyciel wspomniał jej kiedyś, że podczas Sevańskiej Inwazji zielone szaty użyły swej sztuki uzdrawiania do tworzenia zaklęć wywołujących choroby – gorączkę, wrzody, biegunkę. To jednak była magia magistów, niedostępna jej ojcu. Ale jakby miała to wyjaśnić Corwinowi.

– Czasem całymi tygodniami nie odzywa się do nikogo – ciągnął Corwin. – A kiedy mówi, jego słowa nie mają sensu. Ukrywamy prawdę, jak tylko się da, ale ktoś musi podejmować decyzje w jego imieniu. Ktoś musi rządzić.

Czemu nie ty, chciała spytać Kate, ale znała odpowiedź. Znak ururu się nie pojawił. Istniała szansa, że już się nie objawi.

– Sprawiasz wrażenie nieprzekonanego – nacisnęła delikatnie.

Corwin westchnął.

– Po raz pierwszy widziałem, jak złoci aresztują dziecko. To, co zrobiła jego matka, było straszne, bez dwóch zdań, ale Signe ma rację, oni sprowokowali tę kobietę. Moja matka zareagowałaby identycznie, gdyby chodziło o Edwina czy o mnie. Ja pewnie także, chroniąc własnego syna.

Jego słowa zaskoczyły Kate. W ciągu pierwszych kilku miesięcy po śmierci matki rozpacz i wściekłość Corwina były tak wielkie, że na samą wzmiankę o dzikunach musiał w coś uderzyć, wciąż pozostały mu po tym blizny na kostkach. A teraz współczuł jednemu z nich?

– Z drugiej jednak strony – podjął Corwin – tak naprawdę to nie Edwin

zadecydował o wsparciu inkwizycji. Ojciec zamierzał ją usankcjonować, zanim... zachorował. – Zawiesił głos i spojrzał na Kate z nagłą ostrożnością. – Słyszałem, jak wcześniej się o to kłócili, mój ojciec i twój.

Kate wpatrywała się w niego w milczeniu, nie śmiała się odezwać ani w jakikolwiek sposób zareagować. Oczywiście, że jej ojciec protestowałby przeciw inkwizycji, gdyby o niej wiedział. Ale jeśli się martwił, to czemu jej o tym nie wspomniał? Nawet później, gdy go uwięzili, odmówił spotkania z nią. Mógł ją ostrzec, może wtedy wyjechałaby do Esh, a nie do Farholdu. Chociaż może próbował jej powiedzieć, tylko Corwin nie przekazał żadnej wiadomości.

Jedź do Fenmore.

– Jesteś dziwnie milcząca, Kate – zauważył Corwin. – Nic ci nie jest? Powoli pokręciła głową.

– Po prostu tak mało wiem o tym, co się wydarzyło tamtej nocy.

Corwin podrapał się po ciemnym zaroście na policzku. Od wyjazdu z Andreas znów zaczął się golić, ale nie co dzień.

– Wiesz więcej niż wcześniej. – Widząc jej ostre spojrzenie, dodał przepraszająco. – Tak, pamiętam, że mnie pytałaś, i przykro mi, że nie powiedziałem ci, kiedy nadarzyła się okazja. Miałaś prawo dowiedzieć się wcześniej.

– Owszem, miałam – mruknęła poirytowana tym, że przypomniał sobie coś więcej z owej nocy spędzonej w więzy pocztowej. Wstała i stanowczo zbyt szorstko dodała: – Czy pominąłeś coś jeszcze?

Odsunął się od niej, ścigając brwi.

– Nie, teraz wiesz już wszystko.

Nie wszystko. Spojrzała na niego z góry.

– Jak mam ci wierzyć, skoro tak wiele ukrywałeś?

W oczach Corwina błysnął gniew.

– Jak śmiesz czynić mi wyrzuty? To twój ojciec próbował zamordować mego, w dodatku po tym, co zrobił, z mego ojca pozostała pusta skorupa.

– Teraz oskarżasz mego ojca o czary? – Rozwścieczona Kate przesunęła dłonią po twarzy, odgarniając włosy z oczu.

– Nie, oczywiście, że nie. – Corwin też wstał i jego wzrost natychmiast dał mu nieuczciwą przewagę w sporze. – Ale... Kiedy po ataku spytałem Hale'a, czemu to zrobił, powiedział, że mu przykro, że gdyby tylko wiedział, co spotka mego ojca, nigdy by tego nie uczynił.

– Nie uczynił czego? Nie zaatakował go nożem? Jakby nie wiedział, co się wtedy stanie? To nie ma sensu, Corwinie.

– Wiem, myślałem to samo setki razy, ale tak właśnie powiedział, Kate. Byłem przy tym.

– I nie zażądałeś wyjaśnienia? Czegoś więcej? – Zacisnęła dłonie, rozgniewana bardziej niż kiedykolwiek tym, że nie dopuścili jej do ojca.

Corwin potarł kciukiem brodę.

– Zażądałem, ale odmówił odpowiedzi. Nie chciał nikomu tłumaczyć, dlaczego to zrobił. Nie wiemy, czy był zabójcą pracującym dla jakiegoś rywala ojca, czy też chodziło o coś osobistego. A może było to coś zupełnie innego?

Zacisnęła zęby. Jej ojciec zabójcą? Absurd. Ale...

– Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobił. – Słowa same wylewały jej się z ust. – To jedyny powód, dla którego zgodziłam się wrócić do Norgardu. Muszę poznać prawdę, rozumiesz?

W oczach Corwina błysnęło coś dziwnego, gniew zniknął z jego twarzy.

– Tak. To musiały być męczarnie, nie wiedzieć przez te wszystkie lata. – Dotknął jej ramienia i nie spuścił wzroku. – I przyrzekam ci, Kate, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc ci poznać prawdę.

Przyjrzała mu się uważnie, szukając nieszczerości na jego twarzy, ale jej nie znalazła. I wtedy zrozumiała i natychmiast jej gniew minął. Oto Corwin, którego kiedyś znała, chciał zawrzeć pokój. Proponował rozejm. W dzieciństwie rzadko się kłócili, ale kiedy do tego dochodziło, ich bitwy były wręcz epickie, bo łączyło ich jedno – upór. Żadne nie chciało przyznać się do porażki ani błędu, zawrzeć kompromisu. Z jakiejś przyczyny to echo przeszłości nie przeraziło jej tak jak inne, zamiast tego po raz pierwszy od wielu dni poczuła, że ogarnia ją spokój. Kiedyś, dawno temu, ufała Corwinowi bardziej niż komukolwiek innemu. Oprócz ojca naturalnie. Miała nadzieję, że nadal jest człowiekiem, któremu może ufać.

– Przysięgasz obiema rękami? – spytała z uśmiechem unosząc kącik ust. To była kolejna gra z czasów dzieciństwa.

Z błyskiem w oku uniósł obie ręce i uczynił gest cięcia dłońmi, z łatwością odtwarzając stary rytuał. Nagle jednak zamarł.

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

Schylił się, żeby podnieść wianek.

– Że go założysz. – Położył jej kwiaty na włosach. Ciepłymi palcami musnął jej policzki. Po plecach Kate przebiegł dreszcz. Corwin pochylił się do niej. – No proszę. Wcale nie wyglądasz niemądrze, tylko czarująco.

W końcu uniósł ku niej dłonie, czekając, aż zakończy rytuał.

Z krzywym uśmiechem ona także powtórzyła gest cięcia, a potem przycisnęła ręce do jego dłoni, ich palce splotły się odruchowo. Kolejne dreszcze przebiegły jej po plecach i nie miały nic wspólnego z chłodnym wiatrem i kroplami deszczu perlącymi się na twarzy.

Stali tak chwilę, trzymając się za ręce, potem jednak rozległ się grzmot.

– Czas wracać do obozu.

Corwin odwrócił się i pociągnął ją ku ścieżce. Po chwili biegli już między drzewami, a w górze grzmiało, z chmur wylewały się na nich beczki wody. Włosy Kate lepiły się do głowy, ulewa w mgnieniu oka zniszczyła wianek. Teraz bardziej niż kiedykolwiek cieszyła się z tego, że nie musi się plątać w spódnicy.

W obozie coś było nie tak. Wyczuła to, nim jeszcze do ich uszu dotarły końskie rżenia. Gadźce? Z dłonią na kolbie rewolweru wypadła spośród drzew tuż za Corwinem.

Okazało się, że konie spanikowały, gdy piorun uderzył w pobliskie drzewo, podpalając je. Ponieważ wszystkie zwierzęta uwiązano do tej samej linki, sytuacja stała się dramatyczna. Jeden wierzchowiec leżał już na ziemi i szamotał się, usiłując wstać, a dwa kolejne zaplątały się w pęta. Lada moment któryś z nich mógł złamać nogę albo skrzyć kark.

Dal i pozostali usiłowali uwolnić konie, ale nikt nie mógł zbliżyć się dostatecznie blisko, by rozplątać sznury. Nie mogli też ich przeciąć, bo uciekające w popłochu zwierzęta padłyby łupem gadźców.

Czując, jak koński strach zalewa jej umysł, Kate zadziałała instynktownie: sięgnęła magią do całego stada. Przyszło jej to z łatwością – tak długo zaniebawiany dar chciał, by go użyła, a zbliżający się zmrok jeszcze nie pozbawił jej magii.

Rzadko zdarzało jej się poskromić tak wiele zwierząt równocześnie, ale nie było to trudniejsze niż krzyczenie do tłumu. To była jedynie kwestia odpowiedniego przekazu. Jedną myślą uspokoiła konie na tyle, by móc uwolnić je z pęt.

Wszystko to trwało zaledwie chwilę i dopiero później Kate zauważyła dziwne spojrzenia mistrza Raitha i wyraz jego twarzy, aż nadto jasny bez

osłony maski. Przeszył ją strach. Pojęła swój błąd, jedną drobną pomyłkę, odruchową, a przecież wystarczającą, by ją zgubić.

Bo przenikliwy wzrok Raitha, tak złowieszczy w świetle błyskawic, mógł znaczyć tylko jedno: magista wiedział już, kim jest Kate.

CORWIN

Corwin nigdy jeszcze tak się nie cieszył na widok Norgardu, nawet wtedy, po dwóch latach spędzonych poza ojczystym miastem. Ostatnia noc podróży powrotnej zupełnie nie przypominała idylli, choć zdołali uwolnić konie, nie ponosząc żadnych szkód, a magiści w końcu zgasili ogień. Deszcz lał całą noc. Corwinowi ledwo udało się zasnąć, a nad ranem ocknął się przemoczony do kości, z zatkanym nosem i bolącą głową.

Jazda do końca Nefrytowego Lasu i dalej poprzez pola na norgardzkiej zachodniej granicy odbywała się w ciszy. Mimo jasnego, bezchmurnego nieba nikt nie miał ochoty na rozmowy. Corwin niemądrze sądził, że po wczorajszej rozmowie z Kate stosunki między nimi choć trochę się poprawią, dziewczyna jednak wydawała się jeszcze bardziej wycofana niż zwykle. Sam nie wiedział, co go opętało, że zaczął jej szukać zeszłej nocy. Naturalnie prócz pragnienia oczyszczenia napiętej atmosfery między nimi. Jeśli znów miała zamieszkać w Norgardzie, musieli dla wspólnego dobra zawrzeć pokój. Ale osiągnął jedynie to, że po raz pierwszy zdecydowała się jechać obok niego na czele grupy.

Gdy wreszcie na horyzoncie pojawiło się miasto, odetchnęła głęboko i głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Bogowie, zapomniałam, jaki jest piękny.

Corwin także chłonał ów widok, usiłując patrzeć jej oczami. Nietrudno było poczuć nabożny podziw. Lśniący biały mur z okrągłymi wieżyczkami zwieńczonymi jasnoblękitnym marmurem otaczał chaotyczną mieszanię kolorowych budynków i ulic, przypominających zapakowane prezenty, opasane wstążkami i ozdobione kokardkami. Pośrodku, w wirze kolorów usadowił się Lustrzany Zamek niczym olbrzymi, różowo-żółcisty smok strzegący skarbcza. Nazwę swą zawdzięczał siedmiu wieżom o stożkowatych dachach z obsydianu wypolerowanego do tego stopnia, że odbijały słońce niczym zwierciadła. No i oczywiście w środku Zamku stał Lustrzany Tron.

– Istotnie – przytaknął Corwin.

Tutejsze powietrze było lekkie i świeże. Wciągnął je w płuca. Trawa była

bardziej soczysta i zielona, a niebo bardziej niebieskie niż gdziekolwiek indziej w Rime. Bardziej niż na całym świecie.

Ale najlepsze były konie. Przebywały na pastwiskach za murami otaczającymi miasto. Karosze, kasztanki, gniadosze, siwki, srokacze – wszystkie w spokoju posilały się trawą, przerywając jedynie po to, by napić się wody z pobliskich strumieni bądź koryt albo zastrzyc uszami na źrebaki i roczniaki szalejące dokoła, parskające, wierzgające i kopiące z młodzieńczą radością.

Jadąca obok niego Kate także nie odrywała wzroku od koni, jej spojrzenie zatrzymywało się na każdym zwierzęciu. Corwin zastanawiał się, co takiego w nich dostrzega, które z nich i dlaczego przyciągnęły jej uwagę, a które mijają bez szczególnego zainteresowania.

Wkrótce dotarli do otwartej bramy. Po obu stronach wejścia wznosiły się masywne posągi koni, nie były identyczne, lecz uzupełniały się. Ten po lewej, smukły, wyrzeźbiony z białej kości, unosił się na zgiętych tylnych nogach, a pyskiem celował w niebo. Prawy, z lśniącego onyksu, czarny jak smoła, stał na wyprostowanych tylnych nogach, pochylając głowę i uderzając przednim kopytem.

Na ich widok Signe zagwizdała głośno z podziwu.

– Noszą imiona wierzchowców Noralah, bogini założycielki miasta – wyjaśniła Kate, zerkając na przyjaciółkę. – Niran i Nalek.

– Wspaniałe – odparła zduszonym głosem Signe.

Corwin uśmiechnął się do Kate.

– Pamiętasz, jak kiedyś zmieniliśmy ich imiona na Placek i...

– Prosiak – dokończyła z nerwowym chichotem. – Powinien porazić nas piorun za takie bluźnierstwo.

– Wcale nie, bogowie mają poczucie humoru, a z mojego doświadczenia wynika, że nawet całkiem złośliwe.

Zbliżając się do bramy, zorientowali się, że wokół panuje dziwny spokój, nigdzie nie dostrzegli żadnych pasterzy ani rolników. Po chwili jednak strażnicy czuwający na wieżach dostrzegli ich, a gdy rozpoznali Corwina, uderzyli w dzwon i zakrzyknęli w głąb ulic:

– Księżę Corwin powrócił.

Okrzyk podchwycili inni mieszkańcy i wkrótce rozległ się chóralny wrzask:

– Księżę Corwin! Księżę Corwin!

Kate natychmiast ściągnęła wodze wierzchowca i wycofała się do środka orszaku, jakby obawiała się rozpoznania. Nie dziwił się temu.

Mimo tłumów szybko przemieszczali się krętymi ulicami prowadzącymi do zamku. W odróżnieniu od Andreas tu uliczki to wznosiły się, to opadały, budynki nie były tak wysokie, dzięki czemu nie przesłaniały światła i sprawiały, że człowiek czuł się swobodnie. Poza tym nawet z bliska przypominały pięknie zapakowane prezenty. Miały najróżniejsze kształty. Jedne były niskie, przysadziste, z okiennicami wymalowanymi w misterne wzory i daszkami wykończonymi frędzlami bądź wstążkami. Inne, smukłe, eleganckie, pokrywały tynki w kontrastujących bądź uzupełniających się barwach.

Corwin z uśmiechem machał do ludzi wykrzykujących jego imię, zastanawiał się jednak, czemu witają go z takim zapalem. Cieszyli się niemal tak bardzo, jak wtedy, gdy powrócił po długiej nieobecności. Wówczas jednak nie było go dwa lata, a nie jak teraz zaledwie kilka tygodni. Przechodnie napierali, chcąc go dotknąć, musnąć jego buty albo chociaż bok konia; wedle wierzeń dotknięcie powracającego księcia przynosiło szczęście, zazwyczaj jednak gest ten zachowywano na czas wojny. Z drugiej strony być może ludzie uważali, że w pewnym sensie był na wojnie. Do tej pory wszystkie gazety w Rime przedrukowały już historię, jak to otarł się o śmierć na drodze do Andreas. Corwin żałował, że nie udało się tego zachować w sekrecie, tak jak wydarzeń owych dwóch lat nieobecności. Na samo wspomnienie odruchowo zerknął na karwasz, upewniając się, że tkwi na miejscu. Jakimż był głupcem, że sprawił sobie ten tatuaż. *Nigdy nie sądziłem, że tu wrócę.*

Miał nadzieję, że dotrze do zamku po cichu, nie ściągając uwagi na swych towarzyszy, póki nie zdoła omówić wszystkiego z Edwinem. Wysłał wprawdzie przodem posłańca z wieścią, że przywozi gości, ale nie wdawał się w szczegóły. Wiedział, że wszelkie obiekcje, jakie Edwin bądź najwyższa rada mogą żywić wobec Kate, znikną, gdy dowiedzą się, że uratowała mu życie i pokazała rewolwer. Ale wolał wyjaśnić to osobiście; pióro to zbyt chłodny pośrednik dla podobnych spraw.

Nim jednak dotarli do bram zamku, już mógł się przekonać, że nie ma co liczyć na dyskretny powrót. Na ich przybycie czekał szwadron gwardii królewskiej w niebieskich mundurach, a stojący na ich czele kapitan Jaol wbijał wzrok nie w Corwina, lecz w kogoś za nim – zapewne w Kate.

Naczelnym obowiązkiem gwardii królewskiej było zapewnienie władcy bezpieczeństwa, a Jaol dowodził nią niemal dwadzieścia lat. Był więc na miejscu, gdy ojciec Kate omal nie zabił króla i każdy rys jego twarzy przepełniała teraz wrogość wobec córki zdrajcy.

Zdecydowany załatwić to jak najszybciej, Corwin pomachał mu na powitanie.

– Kapitanie Jaolu, jakże miło, że witasz mnie osobiście.

Jaol skłonił się, ukazując łysinę na czubku głowy. Wysoki, szczupłej budowy, miał nos jak gałązka złamana na dwoje.

– Witaj w domu, Wasza Wysokość – rzekł, podnosząc się z ukłonu. – Uprzedzono nas o twoim przybyciu, cieszę się, że jesteś zdrów i cały.

– Dziękuję, dobrze być całym i zdrowym.

Jaol nie uśmiechnął się na tę mizerną próbę żartu, tylko wskazał ręką za siebie.

– Twój brat czeka na dziedzińcu. Dziś rano było nieco ekscytująco.

Ekscytująco? Corwin wymownie uniósł brwi, ale nie zadawał więcej pytań, bo nawet stąd słyszał odgłosy zamieszania.

Zsiadł z konia, podał wodze jednemu ze stajennych, którzy wybiegli ze stajni, gdy tylko orszak dotarł na dziedziniec. Pozostali członkowie orszaku poszli w jego ślady. Mistrz Raith, jadący dotąd na końcu grupy, podprowadził teraz wierzchowca na czoło i skłonił się Corwinowi.

– Wasza Wysokość – rzekł spoza maski – za twoim pozwoleniem przekażę urzędnikowi raport o moich wydatkach i ruszę w drogę. Mam sprawę do załatwienia w domu zakonnym.

– Oczywiście – odparł Corwin. – Dziękuję za tve usługi. Jeśli mogę prosić, zechcesz mnie informować o wszelkich nowych pojawieniach się dziennych gadźców?

Raith pochylił głowę.

– A ja proszę o to samo. Mojemu zakonowi ataki zagrażają najbardziej.

– Tak, rozumiem.

Jako zakon obronny, niebiescy mieli pod swą opieką wszystkie karawany. Corwin poklepał go po plecach, samego siebie zaskakując tym gestem. Wyglądało na to, że chyba polubił tego magistę.

– Gdy tylko cokolwiek usłyszę, pošlę wiadomość. Jeśli nie będzie cię w mieście, zostawię informację w domu zakonnym.

– Dziękuję.

Raith znów się uklonił, po czym oddał wierzchowca stajennemu. Przed odejściem pożegnał się też z Signe, Bonnerem i Dalem, i w końcu z Kate, która odsunęła się nieco od pozostałych, jakby w nadziei, że zdoła szybko uciec. Wyszeptał jej coś do ucha, a ona zmrużyła oczy i zacisnęła wargi w wąską linię. Corwin zastanawiał się, o co chodzi, ale jego uwagę przyciągnął hałas dobiegający z dziedzińca.

Odwrócił się i poszedł w stronę głównego łuku łączącego wschodnie i zachodnie skrzydło zamku. Środek brukowanego dziedzińca zajmowała wielka, okrągła fontanna ozdobiona kolejną parą posągów czczących pamięć Nirana i Neleka.

W normalny dzień panował tu spokój, zazwyczaj kręciło się tylko paru paziów śpieszących wypełnić rozkazy, od czasu do czasu pojawiały się też wozy z towarami bądź gośćmi. Dziś jednak dziedziniec zapełniali dworzanie, szlachta i służba, a wszyscy oni gapili się na grupę ludzi stojących przy fontannie.

Corwin wypatrzył wśród nich swojego brata, a także wszystkich członków najwyższej rady: ministra handlu Rendborne'a, ministra broni Knoxa, ministra monet Portera, ministra domowego ogniska Fletchera, ministra budownictwa Nella i Alastaira Cade'a, naczelnego koniuszego, będącego niegdyś zastępcą ojca Kate. Gdyby nie miejsce, w którym się znaleźli, Corwin sądziłby, że trafił na spotkanie rady. Obecni byli nawet wielki mistrz Storr, głowa Ligi Magów, i maestra Vikas, przełożona złotego zakonu.

Co oni tu robią, zastanawiał się, potem jednak jego spojrzenie przyciągnęło coś, co leżało na ziemi. Natychmiast rozpoznał czarne łuski i smoczy kształt ciała.

Martwy dzienny gadzic.

Corwin przeszedł przez tłum i zbliżył się do brata.

– Skąd to wzięliście?

Edwin odwrócił się, a zaskoczenie na jego twarzy szybko ustąpiło miejsca irytacji.

– Ja też cię witam w domu, bracie.

Corwin czuł zbyt wielką ciekawość, by zawstydzić się swego braku dyplomacji. Pierwszy raz mógł z bliska obejrzeć dziennego gadźca. Choć martwy, wcale nie wyglądał mniej groźnie. Okaz wielkości niedużego dzika leżał na boku z otwartą paszczą demonstrującą ostre zęby i wyciągniętą zeszywniałą łapą ze szponami rozcapierzonymi niczym zakrzywione sierpy.

Głowa gadźca była częściowo odrąbana od ciała; Corwin zakrył usta, gdy dosięgła go chmura ohydneho smrodu.

– Co się stało? – Po raz pierwszy w pełni skupił wzrok na Edwinie i nagle zaskoczył go niechlujny wygląd brata.

Tunikę i bryczesy pokrywały plamy krwi i błota, na przedramionach dostrzegł świeże zadrapania. Mimo to Edwin wciąż wyglądał imponująco – był wysoki, elegancki i przystojny, jego włosy były o odcień jaśniejsze od włosów Corwina, a oczy zielone jak u matki. Czasami, gdy Corwin w nie patrzył, znowu ją widział.

– Natknąłem się na tego stwora podczas przejażdżki – wyjaśnił Edwin. – Taki sam zaatakował cię na szlaku do Andreas, prawda? Dzienny gadziec?

Corwin przytaknął, czując mdlący ucisk w żołądku. Niektórzy podróżni, na których się natknęli, opowiadali o gadźcach widzianych w Mararedzie. Miastoto leżało tylko nieco dalej na wschód od Andreas i Farholdu. Ten osobnik jednak dotarł aż do Norgardu.

– Gdzie dokładnie jeździłeś?

– Drogą w stronę Penlocke. Czyli na południe...

– I był tylko jeden?

– Tak. I całe szczęście, inaczej mógłbym nie przeżyć tego spotkania. – Edwin zatarł dłonie, jakby próbował oczyścić je z krwi. – Kula z pistoletu tylko go zraniła i kiedy na mnie skoczył, zdołałem wykorzystać siłę rozpędu, by podciąć mu gardło mieczem.

– Świetnie się Wasza Wysokość spisał – wtrącił minister Knox. Wysoki, barczysty mężczyzna sprawiał wrażenie starca, a to z powodu siwych włosów i skóry pomarszczonej niczym wymięty pergamin. Corwin jednak wiedział, że wciąż zachował dość sprawności, by złoić skórę dwakroć młodszym przeciwnikom – i tak właśnie często czynił podczas lekcji władania bronią.

Kilka osób stojących w pobliżu powtórzyło słowa ministra i Corwin uświadomił sobie, że wkrótce całe miasto pozna tę historię albo przynajmniej jakąś jej wersję – bowiem cokolwiek tu powiedzą i uczynią, z pewnością zostanie jak najszybciej dokładnie opisane i omówione.

– Cieszę się, że nic ci się nie stało, Edwinie, ale dziwne, że był tylko jeden. – Corwin podszedł bliżej dziennego gadźca, by mu się przyjrzeć. – Najwyraźniej polują jednak stadami, tak jak nocne gadźce.

Mimo wszystko nawet jeden był wystarczająco groźny, skoro rzucił się na mojego brata, pojął nagle Corwin. Najpierw Gregorowie, potem on, wreszcie

Edwin. Jeśli stało za tym Powstanie, ich cel był jasny – obalenie władzy Norgardu.

Wokół nich rozległy się nerwowe szmery, kilku dworzan ośmieliło się podejść bliżej.

– Jak możemy czuć się bezpieczni, skoro te stwory atakują za dnia? – spytał ktoś.

– Minister Rendborne uniósł ręce, na palcu prawej dłoni widoczny był sygnet z wielkim magicznym kamieniem słabo połyskującym w wypełniającym dziedziniec słońcu. Corwin nie umiał zgadnąć, w jaki sposób kamień zaspokaja jego próżność, ale minister handlu bez wątpienia był najprzystojniejszym członkiem rady królewskiej. Miał przenikliwe, orle oczy, złociste i bystre, a także najlepiej radził sobie z wystąpieniami publicznymi.

Teraz odezwał się głośno:

– Nie lękajcie się, ród Thormane zawsze nas chronił i nadal będzie to czynił. Pokładajcie wiarę w arcykrólu!

Przemowa niewiele jednak zdziałała. Większość z tych ludzi mieszkała w zamku i albo wiedzieli z pierwszej ręki o chorobie króla Orwina, albo też domyślali się, jaka jest prawda. Jak mogli wierzyć w króla, który był tak słaby, że prawie nie opuszczał swojej komnaty?

Corwin, świadom ich wątpliwości, wkroczył do akcji. Podeszedł do fontanny tuż za truchłem gadźca i wspiął się na obramowanie.

– Minister Rendborne mówi prawdę – oznajmił, podnosząc głos. Zebrani natychmiast umilkli. Corwin odetchnął głęboko. – Podczas swoich podróży odkryłem broń, która na zawsze odmieni oblicze Rime, broń tak potężną, że pewnego dnia może uwolnić nas od plagi gadźców, tak w nocy, jak i za dnia.

Zawiesił głos i rozejrzał się, szukając wzrokiem Bonnera, Signe i Kate. Wypatrzył ich przyczajonych na skraju dziedzińca, gdzie stali z Dalem.

– Panno Brighton, panno Leth, mistrzu Bonnerze, podejdźcie tu, proszę – zawołał.

Przeżrana Kate pobladła i Corwin zgadywał, że gdyby był dość blisko, w jednej chwili by go zamordowała. Ale w tej sytuacji nie mogła odmówić, nie na oczach tak wielu osób. Cała trójka podeszła do fontanny.

Cisza trwała tylko chwilę, potem zapanował gwar, gdy ludzie rozpoznali Kate. Corwin słyszał jej imię powtarzane raz po raz zalęknionym, wrogim tonem. Kate Brighton... Córka zdrajcy... Zdrajczyni Kate. Słyszał też

własny, nieoficjalny tytuł – Zbłąkany Książę. Poczuł, jak w brzuchu zaczyna kipieć mu gniew. Obiecał Kate, że właśnie przed tym ją ochroni, zapewnił, że zostanie mile przyjęta.

– I zamierzam dotrzymać słowa – mruknął sam do siebie. Świadom, że może faktycznie Kate zabije go po wszystkim, poprosił jednak, by stanęła obok niego na fontannie.

Kiedy Kate znalazła się pod obstrzałem spojrzeń całego tłumu, Corwin znów przemówił, najbardziej władczo i najdonośniej jak potrafił, głosem, któremu nikt nie śmiał się sprzeciwić bądź okazać braku szacunku.

– Kate Brighton, córka zdrajcy Hale’a, ocaliła mi życie na trakcie z Farholdu do Andreas, gdy moją karawanę zaatakowało całe stado dziennych gadźców. – Zawiesił głos, omiatając wzrokiem tłum. Patrzyły na niego dziesiątki oczu: dam w eleganckich, haftowanych dziennych sukniach, z parasolkami nad głowami, szlachciców o gładko wygolonych twarzach, ze sztyletami wysadzanych klejnotami, służby i straży w liberiach. Przyjrzał się im wszystkim jak równym sobie.

– Zaciągnąłem u niej dług krwi wystarczająco wielki, by wyrównać, i to z nadatkiem, wszelkie wcześniejsze występki, o które można by ją obwiniać (*choć żadnego z nich sama nie popełniła*, dodał w myślach). – Niech będzie wiadomo wszystkim tu zebrany i mieszkańcom całego Norgardu, że Kate Brighton nie jest już wrogiem arcykróla!

Corwin umilkł, czekając na reakcję tłumu, lecz odpowiedziały mu tylko milczenie i lodowate spojrzenia. Edwin wystąpił naprzód.

– Z dumą witam ją z powrotem. – Ujął dłoń Kate, uniósł ją i ucałował. Kate zeszywniała i zacisnęła mocno wargi. Corwin zazgrzytał zębami; widok ten przywołał niemiłe wspomnienia. – Dziękuję, że dzięki tobie mój brat bezpiecznie wrócił do domu. – Edwin uśmiechnął się ciepło do Kate. – Jesteś mile widziana w Norgardzie, panno Brighton. Teraz i zawsze.

Tym razem tłum zaczął klaskać. Z rezerwą wprawdzie, nie z entuzjazmem, ale to już jakiś początek. Przez lata, gdy Edwin nosił w sekrecie berło ojca, wyrobił w sobie umiejętność manipulowania opinią publiczną.

Gdy tłum znów się uciszył, Corwin dodał:

– To właśnie panna Brighton zwróciła moją uwagę na nową broń. Z jej pomocą zabiła trzyienne gadźce jednocześnie! – Wyjął pistolet z kabury u boku i uniósł wysoko. – Tę właśnie broń przywożę do Norgardu z moich podróży. Nie jest to zwykły pistolet. Nazywają go rewolwerem, to wynalazek

mistrza Toma Bonnera z Farholdu, stworzony z pomocą panny Signe Leth z Esh. Oboje przybyli do Norgardu, by wyprodukować dla nas więcej owych rewolwerów. Mistrz Bonner dokonał tego, co nie udało się żadnemu innemu rusznikarzowi w świecie, stworzył broń strzelającą wieloma kulami bez przeładowania.

Odwrócił się i wycelował z rewolweru w martwego gadźca.

– Cofnijcie się – polecił.

Edwin i członkowie najwyższej rady posłuchali, kilku z nich zatkało nawet uszy.

Corwin odciągnął kurek i wypalił ku zdumieniu tłumu. Potem, nie czekając ani chwili, zrobił to ponownie, i znowu, aż wystrzelił sześć kul. Truchło gadźca podskakiwało od kolejnych wstrząsów, krew i łuski bryzgały dokoła, gdy kule trafiały w cel.

Po takim pokazie tłum zaczął wiwatować. Corwin słyszał swoje imię powtarzane z ekstazą. Zapomnieli już o Zbłąkanym Księciu. Nawet Edwin klaskał, choć wyraźnie tylko z grzeczności, bo minę miał wyniosłą. Corwin nie zważał na tak letnie przyjęcie; powinien być przygotowany na to, że nie zdoła zyskać aprobaty brata.

Zakończywszy demonstrację, zeskoczył z fontanny. Edwin natychmiast zwrócił się do Signe.

– Witaj w Noragardzie, panno Leth. Ale jeśli mogę spytać, jaka jest twoja rola w tym przedsięwzięciu?

– Niechaj towarzyszy ci błogosławieństwo Aslarów, Wasza Wysokość. – Signe skłoniła się szybko. – To zaszczyt być tu przyjętą. Znam sekret czarnego prochu wykorzystywanego w pociskach. To moja specjalna receptura umożliwiła powstanie rewolweru.

– Rozumiem. – Edwin uśmiechnął się do niej promiennie. – Cóż za zaskakująca i wspaniała nowina. – Skinął na Bonnera. – Niezmiernie miło mi cię poznać, mistrzu Bonnerze.

W tym momencie podszedł do nich wielki mistrz Storr i z promiennym uśmiechem przedstawił się Bonnerowi i Signe.

Nie nosił maski – przywilej wysokiej rangi – i jedyną wskazówką, że mają do czynienia z kimś ważnym, były uwieszona u pasa maczuga z kamieniami magicznymi i czarna szata. Przód szaty zdobił rząd połączonych, wielokolorowych pasków odpowiadających wszystkim zakonom Ligi i podkreślających stanowisko wielkiego mistrza. Najgrubszy, biały,

wskazywał zakon, w którym się wychował. Storr był przystojny, ale w nienachlany sposób. Falujące, ciemne włosy przetykane srebrem opadały mu na ramiona. Swoim zachowaniem zawsze umiał sprawić, że wszyscy czuli się jak najważniejsze osoby, niezależnie od ich prawdziwej rangi i pochodzenia. Teraz ucałował dłoń Signe, a następnie Kate.

– Witajcie. Osobiście chętnie bym się przyjrzał temu niezwykłemu rewolwerowi.

Gdy Corwin podał magiście broń, na twarzy Bonnera pojawił się nerwowy uśmiech. Kiedy tylko rewolwer znalazł się w dłoni wielkiego mistrza, reszta najwyższej rady podeszła bliżej, by się mu przyjrzeć. Wkrótce zasypywali Bonnera pytaniami o to, jak broń działa.

Corwin wycofał się powoli, pozwalając im pozostać z Bonnerem, któremu uwaga tak ważnych osobistości sprawiała niekłamaną przyjemność. Signe spotkała się z takim samym zainteresowaniem, kilku członków rady powtarzało w głos, że z pewnością to jej specjalna mieszanka czarnego prochu chroni broń przed zniszczeniem.

– Czy jesteś jedną z Furen Mag? – spytał minister Rendborne.

Corwin odwrócił się, nie chcąc zareagować śmiechem na szaloną historyjkę, jaką z pewnością opowie mu zaraz Signe. Wypatrzywszy Kate, ruszył, chcąc do niej dołączyć, nim jednak zdążył, u jego boku zmaterializował się Edwin.

– Gratulacje, bracie, tę rundę wygrałeś.

– Rundę? – Corwin przekrzywił głowę. – Co masz na myśli? Wargi Edwina skrzywiły się w zimnym uśmiechu.

– Z pewnością do tej pory ktoś już ci powiedział.

– Co mi powiedział?

Corwin podparł się pod boki, zirytowany pobłażliwym tonem Edwina. Nie był tym zaskoczony, brat zawsze zwracał się do niego w taki sposób, jakby stanowiło to wymóg starszeństwa.

Teraz uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Szczerze mówiąc, żałuję tylko, że matka tego nie dożyła.

Corwin wzdrygnął się, jak zawsze czując ból, gdy Edwin wspomniał ich matkę. A choć brat mówił niby serdecznie, Corwin nie przeoczył przytyku – nieustannego obwiniania go o jej śmierć.

– Czego nie zobaczyła? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Uror, bracie. Wreszcie się pojawił.

Słyszając to, Corwin poczuł, że ziemia umyka mu spod nóg. Staął w szerokim rozkroku, by nie stracić równowagi.

I nagle zrozumiał entuzjastyczne powitanie tłumu – cieszyli się nie z powrotu drugorodzonego syna Norgardu, lecz być może dziedzica, człowieka, który może zostać ich arcykrólem.

Uror o tym zdecyduje. W końcu się objawił.

CORWIN

Było tak wiele do zrobienia, dziesiątki decyzji do podjęcia, słów do wypowiedzenia, lecz w pierwszych godzinach po powrocie do Norgardu myśli Corwina zaprzętało tylko jedno.

Uror.

Tyle lat święcie wierzył, że znak nigdy się nie pojawi. Przez pierwszy rok po szesnastych urodzinach budził się co ranka, spodziewając się, że usłyszy o znaku. Od urodzenia powtarzano mu, że się zjawi, że będą musieli z bratem dowieść swej wartości, by móc podążyć w ślady ojca.

Ale mijały kolejne dni bez znaku, a gdy rok zamienił się w dwa, Corwin co noc zasypiał z sercem przytłoczonym ciężarem świadomości, że widać nie jest tego godzien. W trzecim roku zaczął godzić się z faktem, że uror nigdy się nie zjawi. I właśnie to pogodzenie się z losem było jednym z powodów opuszczenia Rime. Nie było sensu zostawać w domu, nie po tylu klęskach.

Zawiodłem jako syn.

Kiedy tamtego dnia na rynku wybuchła panika, bo dzikun palił wszystko, co znalazło się w jego zasięgu, matka kazała Corwinowi wspiać się na barierkę przed kramem krawcowej, ale on protestował, chciał jej pomóc, nie uciekać. Nalegała i w końcu posłuchał, wdrapał się aż na dach. Kiedy jednak odwrócił się, chcąc podać jej rękę, było za późno, mógł tylko tkwić tam i patrzeć, jak oszalały tłum tratuje jej ciało.

Zawiodłem jako brat.

– Dlaczego pozwoliłeś jej umrzeć? – spytał tamtej nocy Edwin. – Corwinie, czemu jej nie uratowałeś?

Nie potrafił się zmusić, by odpowiedzieć na te pytania. Zresztą nie musiał. Cały Norgard był świadkiem jego hańby, słyszał, jak szepczą o tym, składając ciało królowej na stosie i namaszczając je świętym ogniem.

Zawiodłem jako przyjaciel.

– Dal! – krzyknął, szukając go pośród poczerniałych, dymiących szczątków. – Dal! – Gdy w końcu go znalazł, było tyle krwi, tyle ran. – Tak mi przykro, Dal, nie chciałem, żeby do tego doszło, nie wiedziałem.

Zawiodłem... Kate.

– Proszę, pozwól mu odejść, Corwinie. – Padła przed nim na kolana, jej ciałem wstrząsały dreszcze, głos ochrypnął od krzyków. – Litości, błagam. Poślij nas na wygnanie. Jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś, zrób to, proszę. Nie pozwól mu dziś umrzeć, nie daj mu umrzeć.

Nadludzkim wysiłkiem woli Corwin powstrzymał napływ wspomnień. W tej chwili nie mógł sobie z nimi poradzić.

Kiedy żołnierze ładowali martwego dziennego gadźca na wóz, aby posłać go do Akademii Ligi na sekcję, Corwin poprowadził swych towarzyszy do środkowego skrzydła. Musiał rozmieścić ich w nowych kwaterach. Czy raczej starych, upomniał się w duchu, zerkając szybko na Kate. Miała kamienną twarz i wyprostowane sztywno plecy, lecz pod twardą maską dostrzegał ukrytą kruchość i wrażliwość.

Znów dopadły go wątpliwości. Kiedy dwa dni wcześniej posłał do zamku wiadomość o ich przybyciu, zdecydował, że poprosi, by dla Signe i Kate przygotowano dawne komnaty Brightonów. Apartament z trzema sypialniami stał pusty od czasu aresztowania i egzekucji Hale'a, żaden inny dworzanin nie miał ochoty zamieszkać w domu zdrajcy. A choć rodzina Brightonów miała dom w dzielnicy Glentrove, na północ od zamku, Hale, jego żona i córka rezydowali głównie w zamku; obowiązki Hale'a jako koniuszego wymagały spędzania mnóstwa czasu w królewskich stajniach i komnaty te były praktycznie domem Kate. Teraz jednak Corwin zaczął powątpiewać, czy dokonał mądrego wyboru. Może to dla niej zbyt bolesne?

Do licha, zaklął w duchu. Znów ją zawiódł. *Dlaczego nie spytałem?* Wiedział jednak, że już za późno, by to odkręcić.

Gospodyni zamkowa, pani Paden, podeszła do nich, gdy tylko przekroczyli próg.

Ukloniła się sztywno Corwinowi.

– Wasza Wysokość, przygotowałam dla twych gości kwaterę Brightonów i sąsiadujący z nią apartament kawalerski. Jeśli chcesz, sama ich tam zaprowadzę.

Corwin, słysząc za plecami gwałtowne zachłyśnięcie się Kate, wzdrygnął się wewnętrznie.

– Tak, znakomicie, dziękuję, pani Paden.

Kobieta obróciła się gwałtownie na pięcie i gestem nakazała im iść za sobą.

Corwin pożegnał się szybko z Signe i Bonnerem, obiecując, że zajrzy do nich później. Potem delikatnie dotknął ramienia Kate.

– Jeśli nie chcesz tu mieszkać – rzekł cicho – załatwię coś innego.

Przez kilka długich sekund wpatrywała się w niego, a w jej oczach szalała burza emocji. W końcu uśmiechnęła się nieśmiało.

– W porządku.

Opuścił rękę. Bardzo chciał pójść z nią, pomóc zwalczyć demony, którym miała stawić czoło w swym dawnym domu, trzy lata po śmierci ojca.

Ale musiał stoczyć bitwę z własnymi demonami.

* * *

Przez następne trzy dni Corwin jedynie składał meldunki ze swych podróży i szykował się do rytuału uroru, który miał oficjalnie rozpocząć próby. Opowiadał otwarcie o tym, czego dowiedział się o Ralphie Marcelu w Andreas – ku głębokiej irytacji Edwina z powodu złamania rozkazów – a także o swych domysłach na temat Powstania odpowiedzialnego za pojawienie się dziennych gadźców. Kiedy jednak pojawiał się temat uroru, zaskoczony odkrywał, że brak mu słów.

Podczas dwugodzinnej sesji omawiającej historię uroru, odbytej z mistrzem Vestonem, swym dawnym nauczycielem, Corwin nie zdołał zadać nawet jednego pytania. Świadomość, że w mieście jest uror, jakieś zwierzę w czarno-białych barwach bogów, kompletnie go paraliżowała. To musi być pomyłka. Nie spytał nawet, jakie to zwierzę, a nikt dotąd z własnej woli nie udzielił mu tej informacji. Jakby był to zakazany temat.

Na szczęście miał kilka pilnych spraw, które go zaprzętały. Przez kilka godzin omawiał z ministrem Knoxem obecność księcia Eryxa Fane'a z Sevy w Andreas. Stary zbrojmistrz był znakomitym strategiem, umiał z niesamowitą precyzją przewidywać ruchy wroga, lecz po długiej debacie obaj uznali, że odwiedziny księcia nie stanowią zbytniego zagrożenia. Knox nie widział żadnej przewagi, jaką Seva w ten sposób by zyskała. Lord Nevan mógł zazdrościć rodowi Thormane pozycji i rządów, lecz jego miasto dysponowało wyłącznie siłą obronną i nie mogło ofiarować królowi-bogu czegokolwiek, co pomogłoby mu podbić Rime. By tego dokonać, potrzebowałyby pomocy magistów. Żadna armia nie przetrwałaby tu długo bez ich czarów chroniących przed gadźcami.

Pozostawała jeszcze kwestia Ralpa Marcela. Przed wyjazdem z Andreas mistrz Raith wypytał złote szaty o tego dzikuna, twierdzili jednak, że inkwizycja nigdy nie aresztowała nikogo takiego. A choć mistrz Raith nie powiedział tego głośno, Corwin odniósł wrażenie, że nie zdziwiły go ich zaprzeczenia. W końcu utrata schwytanego dzikuna źle by o nich świadczyła i mogłaby podsunąć innym niebezpieczne pomysły. Corwin jednak nie zamierzał tak łatwo się poddać. Zbyt wiele osób widziało aresztowanie Marcela. Choć wątpił, czy do czegokolwiek to doprowadzi, przez całe popołudnie pracował nad listem do przełożonych złotego zakonu w Andreas, w którym prosił, o dostarczenie oficjalnych rejestrów wszystkich osób ujętych przez inkwizycję w mieście w ciągu ostatniego roku. Z rozkazu arcyksięcia. Potem osobiście dostarczył podpisane i zapieczętowane pismo do domu poczty w Norgardzie.

W wieczór rytuału stał w swej komnacie, sztywno wyprostowany, czekając niecierpliwie, aż sługa skończy zapinać jego czarną tunikę, której przód i brzegi, podobnie jak czarne bryczesy, obszyto błękitnym jedwabiem. W sąsiednich komnatach Edwin przywdziewał taki sam ponury strój. Za chwilę obaj wkroczą do świątyni Noralah, niczym lustrzane odbicia, i z uroczystą powagą rozpoczną wspólną podróż.

Wspólnie i przeciw sobie.

– Wyglądasz, jakbyś się denerwował – zauważył Dal. Siedział w fotelu z kieliszkiem wina w dłoni. Według obliczeń Corwina był to już trzeci kieliszek.

Corwin wywrócił oczami.

– Na pewno do mnie mówisz? Ponoć wino to odwaga w płynie.

– Istotnie, tak powiadają. – Dal wstał i uniósł kieliszek w toaście. – I czuję się gotów zabijać olbrzymy i zawstydząć bogów. Chcesz trochę?

Mimo pokusy Corwin zignorował propozycję. Gdyby kapłanki wyczuły choć cień alkoholu, musiałyby przerwać rytuał. Żadnemu z książąt nie wolno było spożyć niczego przytępiającego zmysły, musieli też cały dzień pościć. Ofiara, zarówno w głodzie, jak i bólu, który wkrótce nastanie, stanowiła miarę ich wartości.

Z drugiej strony, może powinienem wypić całą flaszkę.

Ale służący już skończył i nadszedł czas.

Gdy wyszli na korytarz, Corwin zwrócił się do Dala:

– A ona? Przyjdzie?

– Chyba tak – odparł Dal, wiedząc dokładnie, o kogo chodzi. – Signe zamierza ją tu przyciągnąć, niezależnie od jej własnych planów.

Corwin stłumił westchnienie. Przez ostatnie dni ledwie widywał Kate, ale za każdym razem wyczuwał, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Przypominało to mroźny powiew wpadający przez zaszronione okno. Posłał jej kilka liścików z pytaniem, czy chciałaby dostać nowe komnaty, ale nie odpowiedziała. *Gdy to się skończy, pomówię z nią osobiście*, przyrzekł sobie co najmniej po raz dziesiąty.

Obaj książęta mieli jechać na czele procesji z zamku Norgard do świątyni Noralah. Członkowie najwyższej rady, wielki mistrz Storr, a także przełożeni wszystkich zakonów i oddział żołnierzy pod dowództwem kapitana Jeola służyli im za eskortę. Na dziedzińcu czekały już na nich osiodłane i przygotowane konie. Corwin dosiadł swojego nowego wierzchowca, żałując, że to nie Tancerz Burzy. Zdążył już polubić Zwiastuna Nocy, ale nie mieli zbyt wiele okazji, by poznać się bliżej. *Dziś obaj przejdziemy próbę ognia*, pomyślał, prowadząc wierzchowca przez bramy na ulice, gdzie wszyscy obywatele Norgardu zebrali się, by patrzeć, jak książęta zmierzają na spotkanie losu.

Spłoszony hałasem Zwiastun Nocy tańczył pod nim, zarzucając łbem. Trzeba czasu, by wytresować rumaka bojowego, a on szkolił się niecałe dwa lata. Corwin starał się więc uspokoić jakoś zwierzę, sam też wpatrywał się w dal, próbując nie dostrzegać tłumu.

Edwin, dosiadający własnego wierzchowca, zmierzył go wzrokiem i pokiwał głową z aprobatą.

– Prawie się bałem, że znów znikniesz.

– Bałeś się, czy może miałeś nadzieję? – Corwin odpowiedział przytykiem bardziej z nawyku niż z prawdziwej urazy.

Ich konflikt trwał od dawna, bo choć Edwin był starszy, ojciec zawsze faworyzował Corwina, bardziej cenił sobie jego śmiałość i odwagę niż ostrożność i przebiegłość pierworodnego. Raz król Orwin oznajmił nawet, że gdyby wybór zależał od niego, następcą mianowałby Corwina.

Wątpię, *aby teraz powiedział to samo*.

Świątynia Noralah wznosiła się pośrodku głównego placu w dzielnicy Valeo, a otaczało ją pięć czy sześć domów zakonnych, każdy pomalowany na stosowny kolor. Brakowało tylko złotego. Podobnie jak w innych miastach, złoci rezydowali za murami miasta. Samą świątynię, długą i prostokątną,

wzniesiono z potężnych, kamiennych bloków, a jej fronton podtrzymywały wyniosłe kolumny. Tłum otoczył budynek, pozostawiając wolne przejście aż do schodów. Podczas rytuału do środka nie mógł wejść nikt oprócz kapłanek, księząt i arcykróla.

Gdy Zwiastun Nocy w końcu się uspokoił, Corwin pozwolił sobie przesunąć wzrokiem po zebranych tłumie. Niemal natychmiast wypatrzył Kate stojącą z boku wraz z Signe i Bonnerem. Jej obecność na moment dodała mu otuchy. Gdy byli młodszy, często rozmawiali o tym, jak będzie wyglądał uror i co on oznacza. Kate zawsze wiedziała, co powiedzieć, aby poczuł się lepiej. Nagle przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę na ten temat.

– Pomyśl, jakie to ekscytujące, Cor. W porównaniu z tym nasze wyścigi i pojedynki to dziecięca igraszka – oznajmiła Kate, gdy oboje leżeli na kocu, czekając, aż piknikowe jedzenie uleży im się w brzuchach. – Na pewno wygrasz.

Corwin wyciągnął rękę i odgarnął jej za ucho kosmyk czarnych włosów. Na moment przytulił dłoń do jej policzka.

– A jeśli nie chcę wygrać?

– Czemu nie? – Uśmiechnęła się krzywo, patrząc na niego spod długich, ciemnych rzęs.

– Jeśli miałoby to znaczyć... że musiałbym z ciebie zrezygnować. – Spróbował ją pocałować, ale ona przycisnęła mu palec do ust.

– Nie myśl o tym. Gdy zostaniesz królem, możesz ustanowić własne prawa. Musisz wygrać i cieszyć się każdą chwilą.

Razem znajdziemy sposób, by potraktować to jak ekscytującą zabawę.

– Jeśli w ogóle się pojawi – rzekł wówczas. – Jeśli.

O, jakże się myliła. Nie czuł wcale podniecenia, tylko grozę, ciężką, przytłaczającą grozę.

Nie chcę tego. Może kiedyś, gdy był dość młody, by wciąż wierzyć, że będzie godzien, nim dowiódł, i to bez cienia wątpliwości, że tak nie jest. Zerknął na swój karwasz, sprawdzając, czy dokładnie zasłania tatuaż. Łatwiej byłoby ukryć go z pomocą kamienia magicznego, ale wolał uniknąć wszelkich domysłów.

Ciemne wejście do świątyni zdawało się patrzeć na niego szyderczym wyszczerzona paszcza drapieżcy. Teraz jednak nie mógł się już wycofać, odrzucenie uroru nie wchodziło w grę, byłoby bluźnierstwem tak

wielkim, że przeklęliby go bogowie. Tylko jeden z rodu Thormanów zrobił coś podobnego – brat Morwena, prapradziadka Corwina. Imienia owego brata nikt nie znał, wymazano je bowiem z wszelkich zapisów i wspomnień, w relacjach z tamtych czasów pojawiał się wyłącznie jako Bezimienny.

Edwin i Corwin zsiadli, pozostawiając konie eskortie. Gdy wkroczyli do świątyni, powitały ich bębny. Kapłanki w migotliwych, mieniących się zielenią i błękitem szatach, stały po obu stronach pogrążonego w półmroku sanktuarium, i grały na bębnach w hipnotycznym rytmie przypominającym galop koni. Na oczach miały przepaski i grały z odchyłonymi głowami, wzniesionymi ku pokrytemu freskami sklepieniu. W głębi sanktuarium najwyższa kapłanka stała w tej samej pozycji przed ołtarzem. Nakrycie jej głowy przypominało koński łeb o ognistokasztanowym futrze i czarnych diamentach zamiast oczu. Klejnoty iskrzyły się w blasku pochodni rozmieszczonych na ścianach i rozrzarzonych węgli rozrzuconych na ołtarzu. Za plecami najwyższej kapłanki wznosiły się trzy posągi: Niran i Nelek po prawej i lewej, a pośrodku bogini Noralah.

Z fotela stojącego obok ołtarza zbliżających się synów obserwował arcykról Orwin. Tyle że w jego oczach nie było widać choćby iskry zrozumienia – pozostała jedynie ta sama pustka, którą widzieli od trzech lat. Na szyi władcy połyskiwał magiczny kamień zawieszony na rzemieniu. Corwin nie rozpoznał zawartego w nim zaklęcia, zgadywał jednak, że to coś, co uspokaja króla i przywraca mu choć odrobinę świadomości. Szara, pomarszczona skóra zwisała z wysuszonych policzków Orwina. Arcykról rozparł się wygodnie w fotelu, przekrzywiony na bok, a luźna tunika opadała mu na zgarbione ramiona i zapadniętą pierś. Widząc ojca w takim stanie i nie mogąc zapomnieć pełnego siły i życia mężczyzny, Corwin zastanawiał się, czy śmierć nie jest aby lepsza niż takie życie.

Oderwawszy wzrok od ojca, skupił się na słowach najwyższej kapłanki, która najpierw opowiedziała historię Noralah poskramiającej pierwsze konie, potem pierwszego znaku uror i najwcześniejszych królów Norgardu. Corwin słyszał już wcześniej te opowieści, dlatego po chwili jego myśli zaczęły błądzić, zwiedzone niekończącym się łomotem bębnów pulsującym mu w głowie. Myślał o Hale'u i jego ataku na ojca, o Kate, o swoim bracie i matce, o Dalu i wszystkich możliwych sposobach, na jakie zawiódł i znów zawiedzie.

Kiedy przemowa kapłanki dobiegła końca, kobieta pochyliła się w stronę

ołtarza i uniosła żelazo do piętnowania. Jego czubek jarzył się jaskrawym, pomarańczowym blaskiem, pozostałością po zetknięciu z rozżarzonymi węglami.

Kapłanka najpierw podeszła do Edwina.

– Wyciągnij prawą rękę, pierworodzony synu Thormanów.

Edwin zrobił, jak kazała, i najwyższa kapłanka przycisnęła mu piętno do dłoni, przypiekając ją z upiornym sykiem.

Edwin wzdrygnął się, ale nie krzyknął, nawet kiedy świątynię wypełnił swąd palonego ciała. Patrząc i czekając na swą kolej, Corwin czuł, jak na ciele występują mu krople potu. Pomyślał, że gdyby otworzył usta, z pewnością by zwymiotował.

Kiedy kapłanka skończyła z Edwinem, wsunęła żelazo między rozżarzone węgle, ponownie je rozgrzewając. Corwin liczył każdy kolejny oddech, zmuszając się, by były miarowe, głębokie i powolne. *Nie wzdrygnę się, nie będę krzyczał.* Stanął pewniej, wyciągając rękę, gdy kapłanka zbliżyła się do niego. Przycisnęła rozżarzony koniec do jego dłoni, a on zacisnął zęby. Ból przeszył go niczym coś żywego i żarłocznego, nogi mu zmiękły, serce tłukło się o żebra. Mdłości ścisnęły żołądek, zółć podeszła do gardła. Przełknął ją szybko.

Po krótkiej chwili kobieta skończyła, ale zdawało się, że ból nigdy nie odejdzie. Corwin objął palcami lewej dłoni prawy przegub, starając się jakby wycisnąć z niego te uczucia. Nie mógł rozprostować zranionej dłoni, widział jednak, że skóra pod piętnem jest poparzona na jego kształt – koła z ośmioma szprychami, tkwiącego wewnątrz świętego trójkąta. Był to symbol losu i wyboru.

Znak uroru.

Modląc się, by był to już koniec, Corwin znów zaczął odliczać oddechy, dzięki temu skupiał umysł na czymś jeszcze prócz bólu. Czuł na sobie badawczy wzrok Edwina.

Kapłanka uniosła obie ręce.

– Przyprawadźcie znak uror – poleciła donośnym głosem.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem Corwin usłyszał odgłos kopyt uderzających o kamień. Czy to jeleni? Dzik?

Potem jednak zwierzę wydało dźwięk tak znajomy, że nawet by go nie zarejestrował w jakimkolwiek innym miejscu niżli wewnątrz świątyni Noralah. Ale nie. To nieprawdopodobne.

Odwrócił się i pozwolił swoim oczom ujrzeć to, co niemożliwe. Znak uror był koniem.

Młodym, lecz nie źrebakiem, co najmniej dwulatkiem. Później dowiedział się, że źrebak po prostu pojawił się na pastwisku parę tygodni po tym, jak wyruszył w objazd pokojowy. Jedną połowę ciała miał czarną jak tusz, drugą białą niczym kość. Linia rozdzielająca dwie połówki biegła wzdłuż kręgosłupa, tworząc szary pas. Kapłanka przytrzymała źrebaka za uzdę, napięła mocno mięśnie, usiłując zapanować nad zwierzęciem. Źrebak wygiął szyję i odskoczył w bok, parskając i zarzucając łbem. Wodził dokoła oczami pełnymi płochliwego podniecenia, jednym jasnoblękitnym, drugim czarnym.

Corwin nigdy jeszcze nie oglądał czegoś równie pięknego, ale i przerażającego. Na widok znaku w jego oczach pojawiły się łzy, a strach wypełnił pierś. Jednocześnie kochał go i nienawidził. Koń. *Znak uror to koń!*

Spróbował zmusić swój umysł, aby przyjął zaskakującą prawdę, niestety bez powodzenia. Wcześniej tylko raz uror objawił się pod postacią konia, ponad dwieście lat temu, w czasie Wojny Trzech, gdy w Rime pierwszy raz pojawiły się nocne gadźce. To były mroczne czasy, czasy zamętu i walki. I właśnie wtedy bogini zesłała na powitanie nowego króla, męża dość silnego, aby bronić Norgardu przed nocnymi gadźcami dostatecznie długo, by zdołano wznieść okalający miasto mur, najpotężniejszy i najświętszy ze znaków.

A teraz pojawiły sięienne gadźce, a Powstanie wciąż wzrasta w siłę, pomyślał. Znów nadeszły mroczne czasy.

Pochylił głowę, niezdolny ani chwili dłużej patrzeć na źrebca. Cichy głos w jego umyśle szeptał, że powinien poddać się teraz i pozwolić, by godniejszy brat zwyciężył.

Gdyby tylko mógł to zrobić.

Przez pierwszy rok wygnania z Norgardu Kate dręczyła okrutna tęsknota za domem. Atakowała znieczeka przywołana przez znajomy zapach czy dźwięk, bądź frazę w ustach jakiegoś nieznajomego. Wtedy nagle do oczu napływały jej łzy, nie mogła złapać tchu. Radziła sobie z tym w jeden tylko sposób – cały czas prac naprzód, szukając kolejnych zajęć. Oto największa zaleta pracy dla poczty: ciągłe napięcie podczas kolejnych kursów pomagało jej pozostawić za sobą duchy.

Gdy ruszała w drogę, nikt nie widział, jak płacze. I w końcu tęsknota za domem minęła, była pewna, że więcej jej nie doświadczy.

Od powrotu do Norgardu tęsknota jednak powróciła, gorsza niż kiedykolwiek, a walka stała się jeszcze trudniejsza. Kate nie rozumiała, jak to możliwe, skoro znalazła się przecież właśnie w tym domu, którego tak jej brakowało. Każdy mebel, każdy obraz czy posąg, każdy ślad na marmurowej posadzce był znajomy. Nic się nie zmieniło. Wyglądało na to, że od śmierci ojca nikt nie chciał zamieszkać w komnatach zdrajcy, ani nawet ich uprzątnąć. Aż w końcu pojęła, że jej serce nie tęskniło za miejscem, ale za przeszłością, która nigdy nie wróci.

Fakt, że terażniejszość przepełniało napięcie, nie ułatwiał sprawy. Kiedy nawet nie zadręczały jej wspomnienia, umysł wracał do pożegnalnych słów mistrza Raitha z dnia, kiedy przybyli do zamku.

– Wiem, czym jesteś.

Wyszeptał jej to wprost do ucha, by nikt nie usłyszał, a potem odszedł, nie oglądając się za siebie. Od tej pory się nie odzywał, a minął już niemal tydzień. Zupełnie tego nie rozumiała. Dlaczego jej zagroził i umilkł? Podejrzewała, że po prostu czeka na właściwy moment, by ujawnić jej tajemnicę, na okazję, która najlepiej mu posłuży.

A może to w ogóle nie była groźba?

Ale nie, nie potrafiła w to uwierzyć. Nie ze strony magisty. Nie wobec dzikunki – a przecież wiedział!

Tkwiła w pułapce. Nie mogła wyjechać, nie bez Bonnera, który zajmował

się wyłącznie rewolwerami. Już i tak miał kłopoty – pierwsze formy do odlewów, jakie stworzył, pękły, gdy tylko spróbowali ich użyć królewscy kowale. Kate miała przeczucie, że Bonner nie w pełni zdaje sobie sprawę, do jakiego stopnia polega na swym darze. Czasami magia jest czymś tak instynktownym, że władający nią sam nie wie, że jej używa. Obawiała się, że będzie tylko gorzej, dlatego właśnie nie powtórzyła ani jemu, ani Signe słów Raitha. Nie chciała, by wpadli w panikę i zrobili coś niemądrego, na przykład spróbowali uciec z kraju. *Potrzebuję więcej czasu, by odkryć prawdę o moim ojcu.*

Najwyższy czas, żeby zaczęła.

Zbierając się na odwagę, odrzuciła kołdrę i wygramoliła się z łóżka. Ubrała się szybko, świadoma, że jeśli zawaha się choćby na sekundę, może zmienić zdanie. Przez ostatnie dni rzadko opuszczała swoje pokoje, ale dziś zamierzała odwiedzić królewskie stajnie. Z pewnością pozostali tam jacyś przyjaciele ojca, ludzie, którzy znali go dostatecznie dobrze, by podzielić się z nią jego sekretami. *Skoro on mi ich nie ujawnił.*

Jedź do Fenmore. Wciąż nie miała pojęcia, o co mu chodziło. Ale ktoś musiał mieć. Liczyła, że może Alaistar Cade jej pomoże. Teraz pełnił obowiązki mistrza koniuszego, lecz przez pierwszych siedemnaście lat jej życia był nie tylko zastępcą jej ojca, ale i jej przyszywanym wujkiem. Nie miała innej rodziny, nie licząc matki, która jednak nigdy tak naprawdę się nią nie interesowała. Nie wiedziała tylko, czego teraz może się spodziewać po Alaistarze. W dniu egzekucji ojca przebywał w Rhoswen, gdzie poszukiwał nowych koni, którymi mogliby wzmocnić istniejące linie. Kate uciekła z Norgardu przed jego powrotem. Gdy w dniu przybycia zobaczyła go na dziedzińcu, zerknął na nią kilka razy, ale zawsze z nieprzeniknioną miną.

Opuściwszy sypialnię, skierowała się przez hol do głównej komnaty. Wewnątrz panowała cisza, Signe wciąż odsypiała nocne zabawy z Dalem. Przez moment, gdy mijała miejsce pracy ojca, wielkie, hebanowe biurko wciśnięte w najdalszy kąt pokoju, niemal ujrzała go kątem oka. Z głuchym bólem w sercu skierowała się do drzwi.

Korytarz wypełniało słabe światło, słońce dopiero zaczęło pokazywać się nieśmiało za witrażowymi oknami, przedstawiającymi serię obrazów odtwarzających Jazdę Adaira. Usłyszała czyjeś kroki i przez chwilę zastanawiała się, czy nie cofnąć się do siebie, potem jednak uniosła wyżej głowę i pomaszerowała dalej. Skończyła z byciem tchórzem, czy

przynajmniej zachowywaniem się jak tchórz.

Ruszyła schodami w dół i chwilę później zatrzymała się na widok Corwina zmierzającego na górę. W lewej ręce trzymał serwetkę; nozdrza Kate wypełnił zapach cynamonu i cytryny. Prawą rękę arcyksięcia wciąż spowijał bandaż kryjący piętno uroru. Zobaczyła go pierwszy raz od tamtej nocy.

Na jej widok usta Corwina wygięły się w uśmiechu.

– O, świetnie, już wstałaś.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Przyniosłeś mi słodkie bułeczki?

– Co? Czyżby te? – Uniósł serwetkę z łobuzerską miną. – Dlaczego uważasz, że mógłbym ci przynieść coś tak pysznego?

Kate zamknęła oczy i głęboko wciągnęła zapach. Uśmiechnęła się jedną stroną twarzy.

– Bo wiesz, że mam nieprzyzwoitą obsesję na ich punkcie.

– Faktycznie nieprzyzwoitą. – Uniósł ku niej serwetkę. – Cieszę się, że gust ci się nie zmienił.

Kate chwyciła jedną z bułeczek i odgryzła największy kęs, jaki zdołała. Od przybycia do zamku jadła bardzo dobrze, dzieląc wystawne posiłki z Signe i Bonnerem. Podawano im wszelkie możliwe potrawy – wszystkie oprócz słodkich bułeczek. Najwyraźniej uważano je za przysmak stosowny tylko dla dzieci.

I arcyksięcia Norgardu. Corwin także wziął bułeczkę i jednym kęsem pochłonął niemal połowę. Wymienili lukrowane uśmiechy.

Otarł usta grzbietem dłoni.

– Dokąd wybierasz się dziś rano?

Żołądek fiknął jej koziołka. Może słodkie przysmaki to chwilowo nie najlepszy pomysł.

– Do stajni.

Na jego twarzy odbiło się zdumienie.

– Cóż za szczęśliwy traf! Właśnie szedłem poprosić, żebyś udała się tam ze mną.

– Naprawdę?

Przytaknął, zerkając nerwowo na bok, a potem znów wprost na nią.

– Wczoraj rozmawiałem z Bonnerem. Wspominał, że jesteś... cóż... trochę niespokojna i za dużo czasu spędzasz pod dachem.

Kate podparła się ręką pod bok.

– Wy dwaj o mnie rozmawialiście?

Corwin pogładził kciukiem bliznę na podbródku.

– Martwi się o ciebie, podobnie jak i ja. Pomyślałem, że popełniłem błąd, umieszczając cię w dawnej kwaterze rodzinnej. – Skinieniem głowy wskazał korytarz za nią.

Bo to był błąd, pomyślała. *Trzeba mnie było spytać*. A jednocześnie nie, wiedziała, że nieważne, jak bardzo boli, musi stawić czoło tym duchom, jeśli chce kiedyś zaznać spokoju. Odetchnęła głęboko.

– Kwatera mi odpowiada. I cóż takiego zdecydowaliście z Bonnerem podczas swojej pogawędki na mój temat? – spytała zgryźliwie.

– Uznałem, że już czas, abym wypełnił obietnicę i znalazł ci miejsce w królewskich stajniach. Wiem, że zawsze o tym marzyłaś, toteż... – Urwał i odchrząknął. – Toteż zaaranżowałem ci rozmowę u mistrza Cade’a.

Serce Kate zatrzepotało niespokojnie. Rozmowę? Niemożliwe, by po latach tęsknoty miała jednak pójść w ślady ojca.

Co więcej, jeśli mistrz Cade zgodził się na to, to może zgodzi się też odpowiedzieć na jej pytania. Poczowała wzbierającą nadzieję i z trudem powstrzymała się od radosnego uśmiechu.

– Chyba mi to odpowiada. Bogowie wiedzą, jak bardzo chcę znowu pojeździć konno.

Corwin pokiwał głową, po czym wskazał schody.

– No dobra, to ruszajmy, chociaż wielka szkoda, że tak naprawdę nie potrzebowaliśmy bułeczek, żeby cię przekupić.

– Uniósł ostatnią bułeczkę, Kate wyrwała mu ją; nawet buzujące nerwy nie mogły rywalizować z jej uwielbieniem dla pysznych słodkości.

– Instynkt cię nie zawiódł – odparła z pełnymi ustami. – Za taką łapówkę mogłabym zrobić wszystko.

Na jego wargach zatańczył sugestywny uśmieszek.

– Wszystko?

Kate wywróciła oczami, a on zaśmiał się w odpowiedzi. Nie miała pojęcia, co o nim myśleć. Owszem, podczas podróży zawiazali kruchy sojusz, ale nie była pewna, czy jest gotowa zachowywać się przy nim aż tak swobodnie. Za bardzo przypominało to dawne czasy. *Uważaj*, pomyślała, nie ufając wabikowi dawnych uczuć.

Stajnie zajmowały całą zachodnią połowę terenów zamkowych – był to olbrzymi, parterowy budynek, w którym mieściło się ponad sto pojedynczych

boksów. Tutejsze konie żyły lepiej niż większość zwykłych ludzi, dostawały co dzień czystą słomę, dwa razy dziennie świeżą wodę i niemal bez przerwy ktoś się przy nich kręcił. Nie brakowało im pożywienia ani opieki, co nie znaczy, że nie zarabiały na swe utrzymanie. Rumaki bojowe, ujeżdżane codziennie przez kilka godzin, przechodziły równie rygorystyczne szkolenie jak żołnierze. Czasami pokonywały tory przeszkód, czasami trenerzy skupiali się nad zwykłą jazdą bądź ich wytrzymałością. Całymi dniami wystawiano je na warunki polowe. Norgardzkie konie miały być równie groźne jak dźwigani przez nie jeźdźcy.

– Przepraszam, że od przybycia tutaj rzadko się widywaliśmy. – Corwin skierował się do budynku głównego biura.

Mijani stajenni i pomocnicy przyglądali im się z kiepsko skrywaną ciekawością.

– Ale byłem nieco zajęty urorem.

– Rozumiem. – Kate bardzo chciała spytać, co o tym wszystkim myśli. Od niego przecież wiedziała, jak ciężko znosił fakt, że uror nie pojawił się wtedy, kiedy powinien, i jak ten fakt powoli niszczył jego niegdyś niezłomne przekonanie, że to jemu przyjdzie rządzić. – To prawda, że znakiem jest koń?

– Owszem. – Przystanął w pół kroku. – A chciałabyś go zobaczyć?

Gdy skinęła głową, Corwin skreślił w lewo, w jedną z wąskich alejek. Przed stajnią czuwało dwóch zbrojnych strażników. Widząc Corwina, odstąpili na bok. Zatrzymał się przed zakratowanym okienkiem i zajrzał do środka. Kate poszła w jego ślady. Na widok konia noszącego znak bogini, czerń i biel, oddech uwiązał jej w gardle.

Żreback uroru kończył właśnie posiłek, uniósł jednak łeb znad kubła z ziarnem i popatrzył na nich. Miał wielkie, dzikie oczy, jedno czarne, drugie błękitne. Wyciągnął szyję do kraty i powąchał palce Kate. Ogromnie chciała go dotknąć, jej dar wibrował wewnątrz, ale nie śmiała.

Dopóki Corwin się nie odezwał:

– Jeśli chcesz, możesz wejść do środka.

Trzęsły jej się palce, gdy otwierała drzwi boksu. Przekroczyła próg. Żreback cofnął się, nerwowo zarzucając głowę, potem jednak ciekawość zwyciężyła i wyciągnął pysk do Kate. Pozwoliła mu znów obwąchać palce, a potem dotknęła miękkiego aksamitnego pyska. Przez sekundę odważyła się użyć magii, dotykając jego umysłu, ale niczego nie zdołała odczytać, zupełnie jakby czarna zasłona ukrywała go przed jej wzrokiem.

Pogładziła go dłonią po nosie, a on przytknął pysk do jej piersi. Zaczęła go odpychać w obawie, że ją skubnie, wówczas jednak parsknął i obryzgał ją śliną.

Skrzywiła się.

– Niegrzeczny chłopczyk.

Znów parsknął – tym razem czyściej.

– Dziwne, jak bardzo jest normalny, prawda? – Corwin obserwował ich. – Gdybym nie wiedział, uznałbym, że to zupełnie zwyczajny koń, no, wiesz, oceniając wyłącznie po zachowaniu.

– To znaczy? – spytała Kate owym szczególnym tonem.

Corwin wzruszył ramionami.

– Przy tym koniu czuję się... dziwnie. Kiedy jestem w pobliżu, mam wrażenie, jakby coś brzęczało mi w głowie.

Kate, marszcząc brwi, odwróciła się do źrebaka i raz jeszcze dotknęła go magią, delikatnie napierając na czarną zasłonę.

Poczuła coś, ale zaraz to coś znów umknęło. Mimo to wyczuwała inteligencję konia, przepelniającą go energię.

Wycofała magię i pogłaskała źrebaka po smukłej, gładkiej szyi.

– Czym ty jesteś? – wyszeptała i przez sekundę doświadczyła brzęczenia, takiego, jakie opisywał Corwin. Było to mrowienie wywoływane przez magię zamkniętą w kamieniu.

– Książę Corwinie – zawołał ktoś. – Wcześniej przychodzisz.

Kate odwróciła głowę i przez kraty w oknie ujrzała przybysza. Ostatnie lata odcisnęły piętno na Alaistarze Cade, oprószając obficie solą jego rude włosy i malując wokół oczu pajęczą sieć zmarszczek. Lecz krzywy uśmiezek, który jej posłał, wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała.

– Witaj z powrotem, panno Brighton.

Wyszła z boksu, zamykając za sobą drzwi.

– Dzień dobry, mistrzu Cade.

Tytuł przywołał jej w ustach dziwny smak. Kiedyś nazywała go wujkiem, ale teraz nie wyobrażała sobie, że mogłaby tak się do niego zwrócić. To imię pochodziło z innych czasów i z innego miejsca – nie mogła tam wrócić, nieważne, jak bliskie się wydawały.

Alaistar musiał wyczuć ów dystans, bo przywołał oficjalną minę.

– Gotowa na rozmowę?

– Tak jest. – Przełknęła nerwowo.

Mistrz Cade odwrócił się i wyprowadził ich ze stajni na pole kawalerii, gdzie czekało już kilka osiodłanych, szkolonych koni. Kate przyjrzała im się z sercem jednocześnie pełnym i wygłodniałym. W zachowaniu każdego z nich wyczuwała rękę ojca. Oto jego prawdziwe dziedzictwo, dzięki któremu powinien zostać zapamiętany.

– Mogę zostać i popatrzeć? – spytał Corwin. Nim jednak Kate zdążyła odpowiedzieć, zjawił się paź, skłonił nisko przed księciem i wręczył mu złożoną kartkę papieru. Corwin odczytał wiadomość i prychnął z niesmakiem.

– Powiedz radzie, że już idę. – Paż znów się ukłonił, po czym wybiegł ze stajni, by jak najszybciej dostarczyć wiadomość. Corwin musnął palcami ramię Kate.

– Wybacz, ale obowiązek wzywa. – Jego uśmiech zdawał się odrobinę słaby. – Powodzenia i wpadnę do ciebie później, jeśli tylko będę mógł.

A potem odszedł, zostawiając ją samą z Alaistarem Cade’em. Odwróciła się, oczekując tego samego uśmiechu, lecz on patrzył na nią wzrokiem lodowatym niczym zimowy wiatr. Zadrzała, lękając się najgorszego.

Alaistar splótł ręce na piersi.

– Teraz, gdy arcyksiążę poszedł, możemy skończyć z udawaniem. Nie musisz przystępować do próby, bo ostatnią rzeczą, na jaką bym zezwolił córce zdrajcy, byłoby dosiadanie jednego z moich koni. Mam w stosunku do ciebie lepsze plany.

Kate wpatrywała się w niego wstrząśnięta i oszołomiona, szok szybko jednak ustąpił miejsca gniewowi. *Twoich koni? To konie mojego ojca! Jego dziedzictwo!* Przez umysł przebiegł jej tuzin przekleństw, ale wciąż była zbyt ogłuszona, by je wypowiedzieć. Stało się dokładnie to, przed czym ostrzegała Corwina – gdy tylko odszedł, wszyscy zwracali się przeciw niej. Tyle że w duchu liczyła, że Alaistar Cade – wujek Alaistar – będzie wyjątkiem.

Ale się myliła.

Cade zawrócił na pięcie i pomaszerował do stajni. Nie rozkazał jej pójść za sobą, ale i tak dobrze zrozumiała polecenie.

Ze łzami w oczach podążyła jego śladem. Oddychała płytko, zaciskając zęby; nie zamierzała rozplakać się przed tym człowiekiem.

Już w środku Cade ściągnął z haka na ścianie widły i podał jej.

– Możesz uprzątnąć stajnie. Zaczynij tutaj i idź w tę stronę; z pewnością pamiętasz, gdzie wyrzucać łajno.

Kate bez słowa wzięła widły, czując, jak dławi ją oburzenie i poczucie zdrady.

– I nie waż się dotykać koni. Jeśli boks jest zajęty, omiń go, póki nie wyprowadzą konia na ćwiczenia.

Cade nie czekał na jej reakcję, tylko odwrócił się i odmaszerował, tupiąc głośno po podłodze.

Minęło kilka sekund, nim Kate zdołała otrząsnąć się. Jakaś jej część pragnęła rzucić to natychmiast, ale reszta wiedziała, że w ten sposób tylko uradowałaby Cade'a. Chciał, żeby odeszła, ale nie da mu tej satysfakcji. Wzięła zatem taczki i zabrała się do pracy.

To była ciężka, mordercza robota, ale znajoma. Ojciec zawsze powtarzał, że ci, którzy chcą jeździć, muszą zasłużyć sobie na to, najpierw opiekując się wierzchowcami. Bardziej niż kiedykolwiek żałując, że go tu nie ma, Kate ciężko pracowała. Nie rozglądała się nawet wtedy, kiedy obok przechodził stajenny bądź pomocnik. Zareagowała jednak, gdy jeden z nich wywrócił jej niemal pełne taczki, rozsypując zasikaną i polepioną łajnem słomę po kamiennej podłodze.

– Ty draniu! – krzyknęła za nim.

Chłopak obejrzał się przez ramię.

– Lepszy drań niż zdrajca – rzucił, dodając obraźliwy gest, po czym odmaszerował.

Prześladowania trwały cały dzień – pół tuzina wywróconych tacek, widły, które zniknęły, gdy tylko odstawiała je na bok, i wreszcie kropla, która przelała czarę – jeden ze stajennych zrzucił jej na głowę całą łopatę świeżego, parującego łajna, kiedy akurat pracowała odwrócona do niego plecami.

Kate czuła, jak z wściekłości pieką ją policzki, a do oczu napływają palące łzy. Odrzuciła widły, gotowa zbić stajennego na kwaśne jabłko, ale chłopak zdążył już uciec.

Odetchnąwszy głęboko, zmusiła się, by spokojnie przejść do gabinetu mistrza Cade'a. Czuła na głowie gorące, mokre łajno, ale celowo nie otrzepała się. Jeszcze nie. Ku swemu zadowoleniu ujrzała przez okno Cade'a siedzącego za biurkiem. Pchnęła drzwi i wmaszerowała do środka, Cade uniósł wzrok wyraźnie zaskoczony, a potem wściekły. Ale nie bała się go. Już nie. Pochyliła się nad biurkiem i potrząsnęła głową, zrzucając łajno na rejestr hodowlany, nad którym pracował wiele godzin.

Cade z przekleństwem zerwał się z krzesła.

– Cieszę się, że ojciec nie żyje – oznajmiła Kate, biorąc się pod boki i dysząc gniewnie. – Bo nie dożył chwili, by przekonać się, jakim człowiekiem naprawdę jesteś, wujku Alaistarze.

Cade wzdrygnął się, ale najwyraźniej był zbyt wściekły, by cokolwiek odpowiedzieć. Odwróciła się i ruszyła do drzwi, przystając tylko na moment, by rzucić przez ramię:

– Wolę umrzeć, niż pracować dla ciebie. Odchodzę.

* * *

Dotarła do swojej kwatery i dopiero tam wybuchnęła płaczem. Na szczęście Signe nie było, dzięki czemu mogła dać upust rozpaczy i wstydu. W końcu z oczami zapuchniętymi od łez przygotowała sobie kąpiel. Cieszyła się, że w zamku mają bieżącą wodę, bo pozwoliło jej to zostać w komnacie, zamiast przynosić cebrzyk z kuchni. I tak w drodze ze stajni do zamku sporo ludzi zauważyło, w jakim jest stanie; nie wątpiła, że wkrótce cały Norgard dowie się o tym incydencie. Z pewnością ukaże się zabawna ilustracja w jednej z gazet.

Starając się o tym nie myśleć, zmyła z siebie łajno, szorując tak silnie, że w końcu zabolęła ją skóra. Potem wytarła się i ubrała w świeży strój, ciskając zdjęte ubranie na stertę prania. Ból jednak nie zelżał.

Wróciła do pokoju dziennego i usiadła za biurkiem ojca. Poza stajnię to miejsce przypominało jej o nim najbardziej.

Każdego wieczora przesiadywał tu wiele godzin, pracując nad rejestrami hodowlanymi bądź rodzinnymi finansami. Odchyliła się w fotelu i zamknęła oczy, przez moment wyobrażała sobie, że ojciec nadal tu jest.

Kiedy uniosła powieki, jej spojrzenie padło na górną krawędź obrazu wiszącego za biurkiem. Był tam, odkąd tylko pamiętała. Nie przyglądała mu się od powrotu, teraz jednak nie wiadomo dlaczego przyciągnął jej uwagę. Przedstawiał morskie wybrzeże otoczone wodą o niewiarygodnym odcieniu błękitnej zieleni, tak przejrzystej, że widać było zarys skał na dnie. Widoczne w oddali szmaragdowozielone góry wystrzeliwały w bezchmurne niebo. W dzieciństwie fascynował ją ten obraz. Choć przedstawiał wymyśloną krainę, istniejącą tylko w umyśle artysty, Kate nazywała go...

Fenmore.

Nagle jej umysł zalała jasność niczym promienie wschodzącej gwiazdy. Kate zerwała się z miejsca na drżących nogach.

Jedź do Fenmore. Czy to właśnie miał na myśli? Nim się nad tym zastanowiła, przesuwała już dłońmi po powierzchni obrazu, szukając jakiejś ukrytej wiadomości. Nie znalazłszy niczego, zdjęła go ze ściany, gotowa rozerwać płótno. Za obrazem znalazła skrytkę wbudowaną w ścianę. Serce biło jej jak szalone. Uniosła ręce do uchwytu i pociągnęła. Obawiała się, że drzwiczki będą zamknięte, ale bez trudu otworzyły się. Ojciec pewnie nie widział powodu, by zamykać skrytkę, skoro tak dobrze ją ukrył.

W środku leżała księga; była tak duża, że z trudem się mieściła. Kate chwyciła ją – w wyobraźni już widziała strony dziennika z ostatnim wpisem wyjaśniającym wszystko. Gdy jednak położyła księgę na biurku i otworzyła, okazało się, że to tylko rachunki, podobne do tych, jakie ojciec prowadził dla całej rodziny.

Podobne, ale nie takie same. Rok przed śmiercią Hale zaczął uczyć córkę, jak zarządzać finansami. Wiedział, że żona nigdy sobie z tym nie poradzi, a nie był zwolennikiem powierzania tej pracy wynajętemu urzędnikowi. Kate natychmiast rozpoznałaby rachunki rodzinne, to jednak było coś innego. Zresztą tamte przechowywał w szufladzie biurka.

Po co mu dwie księgi rachunkowe? Zaczęła przerzucać stronicę pełne notatek sporządzonych nieporządnym pismem ojca. Przeszukała je wszystkie, od początku do końca, nadal licząc na jakiś zapisek, lecz bez powodzenia. A jednak wiedziała, i co do tego nie miała nawet cienia wątpliwości, że ojciec chciał, by to właśnie znalazła. Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego prowadził drugą księgę – chciał coś ukryć.

A Kate była zdecydowana odkryć jego sekret.

KATE

Pracowała do późna, nie robiąc nawet przerwy na kolację, i to mimo protestów Signe, która wróciła wieczorem. Przyjaciółka jednak znała Kate dość dobrze, by nie walić głową w mur jej uporu, zwłaszcza kiedy Kate wyjaśniła jej znaczenie księgi rachunkowej.

Odkrywanie sekretów okazało się długim i trudnym zadaniem. Księga zawierała zapisy z ostatnich trzech lat przed śmiercią Hale'a. Początkowo Kate nie mogła tego ogarnąć, zwłaszcza że nie znała wielu imion. Żałowała, że nie ma oryginalnej księgi, by porównać wpisy, ale musiała wystarczyć jej pamięć – w kwaterze nie znalazła żadnych innych rachunków ojca. Mimo to im dłużej pracowała, tym więcej zaczynała rozumieć. Rozpoznawała, które wpisy dotyczyły utrzymania domu w dzielnicy Glentrove, które opłat dla jej nauczycieli, krawcowej, zbrojmistrza... i wiele innych, z każdego kolejnego dnia. Te, których nie znała, zapisywała na drugim kawałku pergaminu, skreślając, gdy nagle wróciło do niej natchnienie.

Po kilku godzinach piekły ją oczy, a głowa bolała. Czas włókł się niemiłosiernie, wreszcie jednak Kate odkryła sekret zawarty w księdze. Ze wszystkich wpisów jednego tylko nie zdołała rozpoznać – regularnych płatności dla miejsca zwanego „Świętym Mieczem”. Kate nie miała pojęcia, co to za interes, ale domyślała się, że może to być gospoda albo dom gry, ze względu na położenie w dzielnicy Burnside. Tak czy inaczej, zdecydowana była odkryć, czemu ojciec wydawał na to regularnie spore sumy i dlaczego utrzymywał to w tajemnicy.

Może był nałogowym graczem, zastanawiała się w duchu. Dwa lata temu odrzuciłaby taką myśl jako absurdalną, nie miała wątpliwości, że jedyną namiętnością w życiu ojca były konie. No i córka. Teraz jednak była już dość dorosła, by zrzucić z oczu kłapki naiwności i zrozumieć, że nawet dobrzy ludzie padają czasem ofiarą własnych pragnień. Nieważne, czy chodzi o alkohol, hazard czy też inną rozpustę.

Miała nadzieję, że się myli, ale nawet jeśli nie, prawda nie mogła być gorsza od niewiedzy. Kate chciała natychmiast ruszyć do „Świętego Miecza”,

ale brakowało jej sił. Zatem jutro, poprzysięgła sobie w duchu.

* * *

Następnego dnia rannym obudziło ją głośne stukanie do drzwi. Było zdecydowanie za wcześnie.

– Idź sobie – mruknęła, naciągając poduszkę na twarz. Lecz ten ktoś znów zastukał, tym razem głośniej.

Mamrocząc pod nosem przekleństwo, Kate wygramoliła się z łóżka i ruszyła do drzwi w samej nocnej koszuli i na bosaka. Uchyliła je, gotowa odprawić surowo przybysza, ale widok Corwina odebrał jej mowę.

Księżę zamrugał, widząc jej strój.

– Wybacz, nie miałem pojęcia, że wciąż jesteś w łóżku.

– Siedziałam do późna. – Kate splotła ręce na piersi. – Chciałeś czegoś? Zawahał się chwilę, potem odzyskał odwagę.

– Tak, zaprosić cię na przejażdżkę. Przyniosłem nawet kolejną łąpówkę. – Uniósł rękę, ukazując stosik słodkich bułeczek.

Kate zagryzła wargę. Bardzo chciała odmówić, miała na dzisiaj inne plany, ale zapach słodkości okazał się zbyt kuszący, zwłaszcza po nocnym siedzeniu bez kolacji. Otworzyła drzwi.

– Wejź do środka, muszę się przebrać.

W pięć minut później wyłoniła się z sypialni odziana w tunikę, bryczesy, narzutkę, z czarnymi włosami splecionymi w ciasny warkocz. Dzięki kąpieli otaczał ją obłoczek różanych perfum.

Corwin uniósł głowę znad biurka, na którym wciąż leżała księga rachunkowa otwarta na ostatniej stronie.

– To twojego ojca? Gdzie ją znalazłaś?

Przeklinając własną nieostrożność, rozważała jakąś zbywającą odpowiedź, potem jednak przypomniała sobie, że przyrzekł jej pomóc odkryć prawdę. Jediną rzeczą, jaką musiała utrzymywać w tajemnicy przed Corwinem, była dzikuńska magia rodziny. A wątpiła, by „Święty Miecz” miał z nią cokolwiek wspólnego.

– W skrytce za obrazem. – Gestem wskazała ścianę. – Dlatego ojciec kazał mi odwiedzić Fenmore. Kiedy byłam mała, sądziłam, że ten obraz przedstawia Fenmore, do wczoraj o tym nie pamiętałam.

Corwin spojrział na obraz, usta miał otwarte ze zdumienia.

– Wiesz, co to znaczy?

Podeszła do biurka i poczęstowała się bułeczką.

– Jeszcze nie, ale z jakiegoś powodu ojciec płacił regularne sumy miejscu zwanemu „Święty Miecz” i nie chciał, by ktokolwiek o tym wiedział.

Corwin wydał zdławione chrząknięcie i spróbował ukryć je atakiem kaszlu.

– Tak, to ma sens. Twojej matce na pewno by się to nie spodobało.

Kate przekrzywiła głowę, marszcząc brwi.

– Dlaczego tak mówisz?

Przyjaciel spuścił wzrok i demonstracyjnie otarł usta z okruszków rąbkiem tuniki.

– Bo „Święty Miecz” to... ach... um... burdel.

Przez kilka sekund stała oszołomiona, w końcu prawda do niej dotarła.

– Czyli o to chodziło? Odwiedzał burdel i chciał to ukryć przed żoną? No tak, z pewnością wolałby, by matka się nie dowiedziała. Tyle że...

Pochyliła się nad książką i przesunęła palcem po wpisach, aż w końcu dotarła do ostatniej płatności dla „Świętego Miecza”. Pokazała ją Corwinowi.

– Czy tyle wydaje się na wizytę w burdelu?

Corwin wybałuszył oczy i znów zakasłał.

– Um, nie. Za takie pieniądze musiałby odwiedzać go dwa razy dziennie, każdego dnia w miesiącu, może nawet częściej.

Kate postukała czubkiem buta o marmurową posadzkę.

– To nie ma sensu. Oboje wiemy, że nie mógł chodzić tam tak często. Chyba że potrafili by przebywać jednocześnie w dwóch miejscach. Dlaczego zatem wydawał aż tyle?

– Nie mam pojęcia. – Corwin wzruszył ramionami, po czym zmrużył oczy, wpatrując się w Kate. – Ale proszę, powiedz mi, że nie zamierzasz tam iść, by to sprawdzić.

– A dlaczego nie?

Corwin przesunął dłonią po twarzy.

– To może być niebezpieczne, Kate. Nie powinnaś zadawać się z ludźmi uczęszczającymi do takich przybytków.

– Potrafię o siebie zadbać, Corwinie – wywróciła oczami.

– Wiem, wiem. – Uniósł ręce w geście poddania. – Ale jeśli się tam wybierasz, to powinienem pójść z tobą.

Skrzywiła się i pokręciła przecząco głową.

– To nic nie da. Jeśli sekret skrywany przez mojego ojca wiąże się jakoś z jego atakiem na króla, wątpliwe, by ktokolwiek, kto go zna, zechciał rozmawiać o tym z tobą, arcyksięciem.

– Z tobą też mogą nie zechcieć rozmawiać. No wiesz, wcześniej, kiedy mogli z tobą mówić, nikt się nie zgłosił. A w miejscu takim jak „Święty Miecz” z pewnością potraktują cię podobnie jak wczoraj mistrz Cade. Albo gorzej.

Na to wspomnienie Kate zapiekły policzki.

– Nie wiem, o czym... Corwin przerwał jej:

– Nie próbuj zaprzeczać. Wiem, co się stało. Dał wpadł do stajni i widział, jak wchodzisz do gabinetu. – Potrząsnął głową. – Tak mi przykro, Kate, wygląda na to, że miałaś rację. Moje słowo się nie liczy. Tylko moja obecność, a i ona ledwo ledwo.

Chciała być na niego zła, ale nie zdołała, bo minę miał autentycznie nieszczęśliwą.

– Już dobrze, to już skończone. I tak nie chciałam dla niego pracować.

Corwin wstał szybko.

– Zgadzam się z całego serca, ale musisz robić coś, co pozwoli ci mieć kontakt z ukochanymi końmi. I znalazłem idealne rozwiązanie. – Wyprostował się, wysoko unosząc głowę, jakby czerpał z tego odwagę. – Pracuj ze mną jako osobista trenerka mojego nowego rumaka bojowego. W tej chwili jestem tak zajęty przygotowaniem do ururu, że nie mam czasu, by poświęcić mu tyle uwagi, na ile zasługuje. A po wczorajszym dniu, cóż, nie życzę sobie, żeby szkolił go mistrz Cade.

Kate gorączkowo myślała. W pierwszym odruchu chciała odmówić, wcale nie miała ochoty być jeszcze większą dłużniczką Corwina. Z drugiej jednak strony, potrzebowała pracy, a niejeżdżenie okazało się bardziej nieznośne, niż to sobie wyobrażała. Mogłaby zatrudnić się w poczcie w Norgardzie, ale wątpiła, by ją przyjęli. Poza tym nie chciała opuszczać miasta na dłuższe okresy, świadoma, jak wielką uwagę skupia na sobie Bonner i jak ogromne niebezpieczeństwo mu grozi. W końcu zdołał przygotować działające formy, ale na razie żadnych rewolwerów.

– Dobrze – rzekła wreszcie. – To da mi mnóstwo czasu, żebym mogła odkryć prawdę dotyczącą ojca.

– Cieszę się. – Przez chwilę gładził kciukiem dolną wargę, wyraźnie się wahał, nagle jednak jakby pojął, co robi, bo pospiesznie opuścił dłoń. – Ale

chciałbym wiedzieć jedno: co się stanie, kiedy poznasz prawdę, której szukasz? Czy nadal będziesz szkolić mojego konia?

Kate zastanowiła się, wciąż miała w głowie wspomnienie tego, jak wczoraj potraktował ją Cade.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Pozostanie w Norgardzie nie wydaje mi się rozsądne. Wątpię, bym kiedykolwiek poczuła się tu znów jak w domu.

Te słowa zabolą ją, ale często tak właśnie bywa z prawdą.

Corwin z nieprzeniknioną miną powoli pokiwał głową. Wyciągnął do niej rękę.

– To co, ruszamy na przejażdżkę?

Kate podała mu ramię, czując gorąco bijące z jego ciała. Po skórze przebiegł jej dreszcz. Ruszyli do stajni. Nim przekroczyli główną bramę, ktoś ich zawołał:

– Wasza Wysokość, jedną chwilkę, jeśli można.

Corwin westchnął niemal niedosłyszalnie i Kate wyczuła w jego głosie nagłe napięcie, jak w naciągniętym do granic wytrzymałości łuku. Nie dziwiła mu się – do czasu zakończenia prób ururu nie będzie miał ani chwili spokoju. Odwrócił się do wołającego, w którym Kate jak przez mgłę rozpoznała ministra Rendborne'a, mistrza handlu.

– Tak, oczywiście, ministrze, co mogę dla pana zrobić?

Rendborne zatrzymał się przed nimi, obrócił do Kate i skłonił.

– Miło znów cię widzieć, panno Brighton. – Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Kate nie zdołała powstrzymać własnego; miło się na niego patrzyło, miał hipnotyzujące złociste oczy.

– Znalazłem coś, co może się przydać, Wasza Wysokość. – Rendborne sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął książkę oprawioną w brązową skórę. Wręczył ją Corwinowi, magiczny kamień na prawej ręce błysnął jasno.

Corwin przyjął książkę, obrócił ją, by sprawdzić tytuł, i odkrył, że nie ma żadnego.

– Co to jest?

– Dziennik twojego dziadka napisany podczas jego własnych prób ururu.

Corwin zamrugał, otworzył usta ze zdumienia.

– Skąd go wziąłeś?

Rendborne machnął lekceważąco ręką.

– Ministerstwo handlu trzymało go w naszym własnym archiwum.

Natknąłem się na niego przypadkiem i pomyślałem, że może pomoże ci w zbliżającej się próbie.

Corwin zawahał się, po czym podał książkę Redborne'owi.

– Nie mogę tego przyjąć. Najwyższa kapłanka mówiła, że nie możemy zgadzać się na żadną pomoc.

– W istocie. – Rendborne energicznie pokiwał głową. – Ale wolno ci czytać i badać, ile tylko zechcesz. Uznaj mnie za swego skromnego bibliotekarza. Wciąż będziesz musiał sam wykonać całą pracę przy poszukiwaniach.

– On mówi z sensem, Wasza Wysokość. – Kate nie chciała, by ściśle przestrzeganie zasad pozbawiło go tej okazji.

Słyszała wśród sług i dworzan plotki o Zbłąkanym Księciu. Przychylność, jaką zyskał sobie Corwin, wygrywając w próbie uroru, okazała się tylko chwilowa, jego zniknięcie stworzyło zbyt wiele niepewności.

Zerknął na nią z powątpiewaniem, po czym odwrócił się do Rendborne'a.

– Czemu nie dasz jej Edwinowi?

– Wolę uczciwą rozgrywkę – odparł minister. – Twój brat wiedział o źrebcu uroru dłużej niż ty. Może to wyrówna szanse.

– Rozumiem. – Corwin zastanawiał się jeszcze chwilę, po czym schował książkę do kieszeni. – Dziękuję, ministrze.

– Powodzenia. – Rendborne uklonił się i zniknął równie szybko, jak się pokazał.

Corwin przeszedł przez bramę do stajni, Kate dreptała tuż za nim, zdenerwowana tak szybkim powrotem. Na szczęście nie dostrzegła nigdzie Alaistara Cade'a, a stajenni i pomocnicy omijali ją szerokim łukiem. Czekwały już na nich osiodłane konie: nowy, kary ogier Corwina, Zwiastun Nocy, i czerwona kasztanka z białym paskiem na pysku i w czterech białych skarpetkach.

– To jest Tancerka Ognia. – Corwin podał jej wodze. – Jest twoja.

– Słucham?

Wygiął wargi w powolnym uśmiechu.

– Skłamałem, mówiąc, że mam dla ciebie konia do wyszkolenia. Tak naprawdę mam dwa konie, mojego i twojego. – Znów podał jej wodze.

Kate zacisnęła usta. To nie może się dziać naprawdę. Ale działo się. Dostrzegła szczerłość w oczach Corwina i zadrżała z podniecenia.

– Dlaczego to robisz?

– Ponieważ Kate Brighton bez konia jest jak ptak bez skrzydeł. Ocaliłaś mi życie, trzeba o wiele więcej niż jednego konia, by ci to wynagrodzić. – Wzruszył ramionami. – Poza tym jest podobno uparta i kapryśna, więc idealnie do ciebie pasuje.

Kate prychnęła, po czym wybuchnęła śmiechem. Radość wygrała z zaskoczeniem. Wspięła się na palce i ucałowała Corwina w policzek. Znow się zaśmiała, widząc jego zdumioną minę. Potem chwyciła wodze i odwróciła się do klaczy. Tancerka Ognia. Jej koń. Odetchnąwszy głęboko, wsunęła stopę w strzemień i dosiadła wierzchówki. Klacz ruszyła naprzód, strzygąc uszami. Wyraźnie bardzo chciała pobiegać.

Kate spojrzała z góry na Corwina.

– Dziękuję. Będzie idealna.

* * *

Ocena okazała się jeszcze trafniejsza, niż Kate mogła przypuszczać. Gdy tylko wyjechali poza mury obronne, zaryzykowała i użyła magii, by dotknąć umysłu klaczy. Natychmiast wyczuła jasny blask jej istoty – inteligentnej, chętnej, odważnej – i pojęła, że Tancerka Ognia była wszystkim, czego jej ojciec zawsze szukał w hodowanych przez siebie koniach. To właśnie stanowiło sekret jego sukcesu. Teraz, gdy ją miała, poczuła się, jakby odzyskała jakąś część ojca.

Bez słowa skręcili na południe, zachęcając wierzchowce do jazdy stępą, tak na rozgrzewkę. Norgard opuścili wschodnią bramą. Decyzja ta wynikała bardziej z dawnych nawyków niż świadomego wyboru – droga z zamku do bramy była najprostsza i najmniej zatłoczona. Południowy trakt wiódł prosto pomiędzy ogrodzonymi pastwiskami. Wkrótce Kate pozwoliła Tancerce przejść w cwał, a Corwin uczynił to samo ze Zwiastunem Nocy. Jechali obok siebie, co jakiś czas zmieniając tempo, zwalniali, kiedy trzeba, pozwalając koniom złapać oddech, i znow przyspieszali. Po dwóch milach zawrócili.

Gdy pojawiły się przed nimi bramy miasta, Kate odetchnęła głęboko, niezdolna ukryć zawodu, że to już koniec. Corwin odwrócił się ku niej.

– Ścigajmy się, pierwszy w Wędrującym Lesie wygrywa. – Nie czekając na odpowiedź, spiął Zwiastuna Nocy do galopu, pędząc wprost ku odległej linii drzew.

– Oszust! – zawołała Kate, doganiając go w chwilę później. Konie

z łatwością pędziły w równym tempie, próbując wyprzedzić się nawzajem i zdradzając skłonność do walki. W ostatecznym rozrachunku żadne z nich nie wygrało ani nie przegrało. Po prostu jednocześnie zwolnili tuż przed dotarciem do lasu.

– Fajnie było. – Corwin poklepał czule Zwiastuna Nocy po szyi.

– Chyba tego potrzebowałam – oznajmiła zdyszana Kate.

Nie była jednak jeszcze gotowa by wrócić do miasta. Spojrzała na las pełen smukłych drzew o białej korze, rosnących w gęstych rzędach niczym włócznie na stojaku z bronią. Ich surowe piękno miało w sobie coś poruszającego.

W nagłym, psotnym nastroju uniosła brwi i skłoniła głowę.

– Może pozwolimy im trochę ochłonać w cieniu?

Corwin roześmiał się odrobinę nerwowo.

– Nie byłem tu od lat, odkąd ostatni raz się odważyliśmy.

Kate wcale to nie zdziwiło. Niewielu zapuszczało się do Wędrującego Lasu. Krążyły pogłoski, że jest przeklęty, nawiedzony. Według ksiąg historycznych gdzieś pośród drzew kryła się jedna z Bram Piekieł – przejść, którymi nocne gadźce dostawały się do Rime. Wiele lat temu ona i Corwin rzucili sobie wyzwanie, by jej poszukać. Nie dotarli zbyt daleko, zawrócili, bo pokonała ich wybujała wyobraźnia. Strach był przyjemny, dzięki niemu mieli gotową wymówkę, by szukać otuchy w swoich ramionach. Na to wspomnienie poczuła trzepotanie w piersi.

Dziś będzie inaczej. Byli innymi ludźmi, mądrzejszymi, odważniejszymi. Nie żeby proponując tę wycieczkę, sugerowała podobną przygodę, po prostu pociągała ją gwarantowana prywatność, pragnęła swobody, by móc użyć swego daru, poznać Tancerkę Ognia najlepiej, jak umie. Tu nie ryzykowała, że magiści ją odkryją.

– Jestem gotów, jeśli i ty to zrobisz – oświadczył Corwin, kierując Zwiastuna Nocy na zarośniętą ścieżkę.

Kate podążyła za nim. Zamknęła oczy i sięgnęła magią. Gdy połączyła się z Tancerką, ogarnęło ją poczucie spełnienia, czuła zmęczenie i podniecenie kłaczy. Tancerka była zadowolona z przejażdżki, podobnie jak Zwiastun Burzy, co Kate odkryła z radością, gdy dotknęła także jego umysłu. Odetchnęła głęboko, rozkoszując się swoją magią. Zbyt długo jej nie używała. Podczas gdy Corwin, milczący i rozkojarzony, prowadził ich przez las, Kate sięgała jeszcze dalej swoim darem, wkrótce wyczuwając ptaki, lisy,

wiewiórki i inne dzikie leśne stworzenia.

– Pierwsza z prób uroru odbędzie się za dwa tygodnie – oznajmił po kilku minutach, wyrywając Kate z transu, w którym się pogrążyła.

Szybko wycofała magię i odchrząknęła.

– Tak, słyszałam. Dziwi mnie, że zaczynają tak późno.

– To jest nas dwoje. Ale kapłankom się śpieszy. Nie dziwię się, biorąc pod uwagę, jak długo musiały czekać na to, aż uror w końcu się pojawi.

Kate skrzywiła się, słysząc gorycz w jego głosie. Spodziewała się, że teraz, gdy w końcu odkryto uror, gorycz zniknie.

Z drugiej strony może to tylko nerwy. Z lekcji historii wiedziała, że zawsze odbywały się trzy próby uroru, mające dowieść tego, czy następcy nadają się do objęcia Lustrzanego Tronu. Nie miała pojęcia, na czym te próby polegały, ale powszechnie wiadano, że czasami ich uczestnicy ginęli.

– Denerwujesz się?

– Odrobinę. – Ściągnął wodze Zwiastuna Nocy, robiąc jej miejsce obok siebie, mimo że ścieżka była bardzo wąska. – Ale szczerze mówiąc, bardziej boję się wygranej niż przegranej. Czy nawet śmierci.

Kate parsknęła.

– Nie gadaj głupstw. Świetnie nadajesz się na króla. Kiedy byłeś młodszy, wszyscy tak uważali. – Doskonale pamiętała jak służący, dworzanie, nawet sam król traktowali Corwina jako dziedzica.

– Tak, pamiętam, nawet im wierzyłem. Tym większa szkoda. – Skrzywił się i jego wzrok powędrował do prawej dłoni, gdzie pod opatrunkiem krył się znak uroru. Po chwili jednak Kate pojęła, że to nie bandaż przyciąga jego uwagę, lecz karwasz wokół przegubu. Zauważyła, że zawsze chował pod nim tatuaż.

– Co się z tobą stało? – spytała, dając się ponieść ciekawości. – Corwin, którego znałam, nie mógłby się doczekać wygranej i byłby pewny zwycięstwa nawet jeszcze przed próbami. Tak jak ten, który przed chwilą wyzwiał mnie na wyścigi.

Zaśmiał się krótko.

– Gdyby tylko rządził królestwem było takie proste. Obawiam się jednak, że tamten Corwin zginął na polu bitwy w Endrze.

Kate posłała mu pytające spojrzenie.

– Tam właśnie spędziłeś te ostatnie lata? W Endrze?

Przytaknął, pochylając się nisko, by uniknąć zwisającej nad ścieżką gałęzi.

– Na jakiś czas wstąpiłem do Jastrzębi Tarczy.

– Ten tatuaż! – jęknęła, w końcu kojarząc fakty. Nic dziwnego, że nie mogła sobie przypomnieć. Jastrzębie Tarczy to była legendarna kompania najemników z Endry, ostatnia organizacja, z którą kojarzyłaby arcyksięcia Rime. Obecność Corwina w ich szeregach to był prawdziwy skandal.

– Wybacz – dodała, dostrzegając rozbawione spojrzenie Corwina. – Zauważyłam ten tatuaż, kiedy byłeś ranny, ale nie mogłam skojarzyć, dlaczego wygląda znajomo. Ale... po co wstąpiłeś do Jastrzębi Tarczy?

Corwin spojrział przed siebie i wzruszył ramionami. Gest ów dziwnie nie pasował do sztywności pleców i ramion.

– Och, z wielu powodów, jednym z nich, nie najmniej ważnym, był uror. Skoro nigdy nie miałem zostać królem, chciałem zrobić coś ważnego, a Jastrzębie Tarczy zajmują się głównie powstrzymaniem Sevy przed podbojem świata. Nie wyobrażam sobie szlachetniejszej sprawy. Przez jakiś czas sądziłem nawet, że odnalazłem wśród nich swoje miejsce i cel w życiu. Myliłem się.

Kate poczuła, jak coś ściska ją w gardle. W jego głosie wyczuła ogromną stratę.

– Co się stało?

Corwin westchnął tak głośno, że Zwiastun Nocy zastrzygł niespokojnie uszami.

– Posłano nas z misją, mieliśmy zakłócić sevańskie linie dostaw. Właśnie mianowano mnie kapitanem, dowodziłem oddziałem złożonym z dwunastu ludzi. Tylko dwóch z nas wróciło.

– Ty i Dal. – Kate przypomniwała sobie rozmowę pod wieżą pocztową. Corwin przytaknął, zaciskając wargi.

– Jeśli kiedykolwiek wątpiłem w moją zdolność do przewodzenia innym, to tamtego dnia tylko się w tym utwierdziłem. Rozpoczęcie prób właśnie teraz to tylko szyderstwo bogów.

Kate zachłysnęła się, wstrząśnięta siłą jego przekonania. Poczuła ją niczym policzek. Nagle jednak przypomniwała sobie ostrzeżenia Dala, by opowieści Corwina traktować z dystansem; on sam zresztą nazwał jego czyny bohaterskimi.

– Nie wierzysz chyba w to, co mówisz, Corwinie.

Już miał coś odpowiedzieć, kiedy nagle spłoszony czymś Zwiastun Nocy uderzył o ziemię przednimi kopytami.

Równocześnie to samo zrobiła Tancerka Ognia, aż Kate poczuła szarpnięcie w plecach. Odruchowo mocniej schwyciła wodze i wbiła stopy w strzemiona, szykując się do kolejnego wierzgnięcia.

– Ciekawe, co je ugryzło? – mruknął Corwin.

– Nie mam pojęcia.

Instynktownie dotknęła umysłu Tancerki – klacz wyczuła coś złego, zapach, który przepełnił ją strachem. Kate sięgnęła dalej magią, szukając wcześniej wyczutyh dzikich zwierząt. Trzymały się na dystans, a te najbliższe zapadły w bezruch, dotknięte tym samym strachem, jaki ogarnął konie.

Rozszerzając obszar poszukiwań, Kate natknęła się na źródło strachu – stwora, którego nie rozpoznała. Drapieżca skupiał swój umysł niczym kot podczas polowania, ale jego myśli miały w sobie coś śliskiego, jakby nie do końca nad nimi panował. Gdyby podeszła zbyt blisko, mogłaby zarazić się nimi. Nie wyczuwała ciepłego blasku kryjącego się w głębi większości zwierząt; w miejscu, gdzie powinien się znaleźć, ziała pustka. Jeszcze dziwniejsze było to, że tak naprawdę wyczuwała wiele umysłów, jakby wewnątrz jednego stwora kryło się kilka innych, a ich myśli splatały się i nakładały na siebie, połączone niczym nici pajęczyny. Nie dało się stwierdzić, gdzie kończył się jeden, a zaczynał drugi.

Kate wycofała się przed tym uczuciem, żołądek ścisnął jej mdłości.

– Powinniśmy sprawdzić, co to jest.

Podejrzewała, że wie, ale wołała, by nie była to prawda.

Zsunęła się z siodła, Corwin dołączył do niej chwilę później. Uwiązali konie do drzewa, a potem ruszyli naprzód z rewolwerami w dłoniach. Podobnie jak ona, on także zaczął nosić przy sobie prezent od Bonnera.

Wyczuwając stwory, Kate skierowała się prosto w ich kierunku. Z każdym krokiem świadomość ich obecności stawała się coraz mocniejsza, ale kiedy wyszli z krzaków na szeroką polanę, niczego nie dostrzegła. Coś jest nie tak. Są przecież tutaj. Ale gdzie? Zamknęła oczy, próbując nakierować umysł na ich fizyczne położenie.

Tuż przed nimi. Powoli ruszyła naprzód, wypatrując pułapki, Corwin dotrzymywał jej kroku.

Przeczesując wzrokiem ziemię, dostrzegła niewielki kamień, częściowo zakryty wysoką trawą. Mimo że tkwił do połowy zagrzebany w ziemi, widziała otaczający go blask. Kamień magiczny.

– Spójrz na to.

Corwin pochylił się.

– Co to jest, na trzy piekła?

– Nie...

Nie zdążyła dokończyć – Corwin trzymał już kamień w ręku. Powietrze przed nimi zamigotało niczym wznosząca się tarcza kamieni strażniczych. Albo może opadająca, uświadomiła sobie Kate i wstrzymała oddech. Przed nimi, w miejscu, gdzie wcześniej rosła tylko trawa, pojawiła się ogromna dziura w ziemi.

Z jamy dobywał się ohydny smród, któremu towarzyszyły warkoty i kłapanie szczęk. Gadźce. Ale które? Kate zajrzała do środka, z dołu patrzyło na nią kilkanaście par oczu osadzonych w wykrzywionych wrogo pyskach. Potrzebowała chwili, by ujrzeć je wyraźnie, czarne łuski idealnie zlewały się bowiem z ciemnością. W środku były cztery dzieńne gadźce. Gdy tylko dojrzały Kate, rzuciły się w jej kierunku, usiłując wydostać się z dołu. Odskoczyła przerażona, lecz stwory szczęśliwie nie zdołały się uwolnić – dziura była zbyt głęboka jak na ich skarlałe skrzydła.

Nie, nie dziura, uświadomiła sobie Kate. Klatka.

Chroniona mocą magistów.

CORWIN

Corwin wpatrywał się w głąb jamy, a serce galopowało mu w piersi.

– Co robimy? – spytała stojąca obok Kate.

– Zabijemy je, nim ktoś użyje ich do skrzywdzenia kogokolwiek. – Mówiąc to, wyciągnął z kabury rewolwer.

– Zaczekaj, Corwinie. – Dotknęła jego ramienia. – Ktoś przecież umieścił tutaj te gadźce, zamknął je w klatce i próbował ukryć.

Marszcząc brwi, spojrzał na nią.

– Myślisz, że zdołamy schwytać tego, kto za tym stoi? – Powstanie, tu, w Norgardzie? Nie chciał w to uwierzyć. Ale jego miastu groziło niebezpieczeństwo. Dzikun odpowiedzialny za śmierć jego matki zabił dziesiątki ludzi, a działał przecież sam. Wolał nawet nie myśleć, jak wielkie szkody mogliby wyrządzić wspólnie.

– Nie zdołamy, jeśli zabijemy gadźce. – Kate rozejrzała się po polanie. – Ten ktoś mógłby usłyszeć strzały i uciec.

Corwin zerknął w niebo, ocenił, że zbliża się południe. Już i tak spędził tu zbyt dużo czasu, jeśli nie będzie uważał, spóźni się na kolejne spotkanie najwyższej rady. Ale nie miał wątpliwości, że to odkrycie jest ważniejsze.

– Dobrze, zostaniemy tutaj i zobaczymy, kto do nich przyjdzie.

Wycofali się do miejsca, skąd przybyli i przykucnęli za białymi drzewami, których smukłe pnie dawały jednak kiepską osłonę. Milczeli. W ciszy odgłosy lasu stawały się coraz głośniejsze, każde skrzypnięcie konara bądź trzask pękającej gałązki brzmiały złowieszczo. Minuty mijały, wkrótce Corwinowi zaczęło burczeć w brzuchu na tyle głośno, by to słyszał, a ciało rozboleło go od trwania w bezruchu. Wiedział, że Kate musi czuć się tak samo.

– Chcesz sprawdzić, co u koni? – wyszeptał.

Na jej twarzy odbiła się ulga. Przytaknęła, potem ostrożnie wstała i wycofała się bezszelestnie jak dzikie zwierzę.

Corwin odprowadził ją wzrokiem i znów skupił się na polanie. Gadźce uspokoiły się nieco, lecz co parę minut słyszał kłapanięcie szczęk albo warkot.

Proszę, Noralah, pozwól mi złapać tych, którzy za tym stoją, i mieć to z głowy. Musnął palcem zabandażowaną dłoń, poczuł piętno pod opatrunkiem.

Wyglądało na to, że bogini choć raz go wysłuchała, bo wkrótce po przeciwnej stronie polany pojawiła się jakaś postać. Mężczyzna miał na sobie zwykły, prosty strój, niczym się nie wyróżniał, nie przypominał górnika z Andreas w obszarpanym ubraniu i z tatuażami na rękach. Mógł być zwykłym kramarzem, rolnikiem lub kimś równie nieciekawym. Dzikun buntownik?

Powoli, ostrożnie Corwin wysunął rewolwer z kabury. Obserwował, jak mężczyzna zbliża się do jamy z zadziwioną miną, powoli ją okrąża. Spiał się, gotów powalić tamtego w chwili, gdy odwróci się do niego plecami. Nim jednak zdążył, usłyszał trzask gałązki z tyłu. Kate. Dźwięk, choć cichy, wystarczył, aby przyciągnąć uwagę nieznanego, który wyraźnie zaniepokojony obrócił się ku Corwinowi.

Corwin zerwał się z ziemi, celując do niego.

– Nie ruszaj się!

Tamten zignorował jego polecenie, a dłoń już wyciągała coś z kieszeni.

– Uważaj, Corwinie! – krzyknęła Kate, pędząc naprzód, jakby zamierzała osłonić go przed atakiem.

Mężczyzna cisnął w nich czymś. W jednej sekundzie eksplodowało oślepiające, białe światło i rozległ się potworny huk. Tak głośny, że Corwin poczuł, jak mózg obija mu się w czaszce. To był kamień błyskowy, podobny do tych, dzięki którym Raith uciekł przed dziennymi gadźcami.

Oszołomiony i zdezorientowany Corwin osunął się na kolana. Miał wrażenie, że ziemia pod jego stopami zaczyna się przelewać niczym fale na oceanie.

– Kate! – krzyknął, ale nie słyszał własnego głosu. Macając na oślep, wyciągnął ręce i wkrótce poczuł obok jej ciało. Kiedy blask przygasł, Corwin powoli zaczął odzyskiwać zmysły. Znów widział, choć w uszach nadal mu dzwoniło.

Odwrócił się do Kate i ujął w dłonie jej twarz, przesuwając kciukami po policzkach.

– Nic ci nie jest?

Przytaknęła i odturlała się na bok. Potem poderwała się i potykając się, ruszyła w stronę ścieżki, którą przybył nieznanomy.

Corwin chwycił ją za rękę.

– To nie ma sensu, już dawno uciekł. – Zgadywał, że krzyczy, ale nic nie mógł na to poradzić. – Potrzebujemy pomocy.

Kate obróciła się ku niemu, skrzywiona zasłoniła dłońmi uszy.

– Ledwie cokolwiek słyszę.

– Ja też. – Corwin podniósł z ziemi upuszczony rewolwer. – Musimy się pospieszyć, ale najpierw... – Urwał i ruszył w stronę jamy, w której szamotały się gadźce rozwścieczone tym, co się działo ponad nimi. Zaciskając zęby, Corwin wycelował. Podobne zabijanie nie miało w sobie nic sportowego, ale nie mógł pozwolić przeżyć tym ohydnyim stworom.

Kolejno posyłał im kule w czaszki. Z tak bliskiej odległości strzelał morderczo celnie. Ponownie podziękował bogom za wynalazek Bonnera. W tej chwili nie miał już najmniejszej wątpliwości, że rewolwer jest gwarancją wytępienia wszystkich gadźców nękających Rime.

Załatwiwszy sprawę, pospieszył ścieżką za Kate. Zwiastun Nocy i Tancerka Ognia nerwowo szarpały pęta, wyraźnie chcąc opuścić to miejsce. Corwin i Kate dosiedli ich szybko, po czym galopem wypadli z lasu i popędzili ku wschodniej bramie Norgardu.

Nie zwolnili, póki nie dotarli do zamku.

– Zostań tu z końmi – poleciał Corwin, zeskakując w biegu na dziedzińcu. – Zaraz wrócę z pomocą.

Szybko wbiegł do stajni, krzykiem wzywając mistrza Cade'a.

– Wciąż jest na spotkaniu najwyższej rady, Wasza Wysokość – rzekł jeden ze stajennych. Corwin odwrócił się ku niemu.

– Każ osiodłać szwadron koni kawaleryjskich i wyślij kogoś, żeby zwołał jeźdźców. Chcę, żeby byli gotowi jak najszybciej.

Wydawszy rozkazy, popędził do środkowego skrzydła zamku, do komnaty rady. Strażnicy trzymający wartę przed drzwiami rozstąpili się, Corwin wpadł do środka. Siedzący wokół wielkiego, okrągłego stołu członkowie rady unieśli głowy z identycznymi, zaniepokojonymi minami.

Wszyscy prócz Edwina, który skrzywił się wyniośle.

– Powiedziałbym, że się spóźniłeś, Corwinie, ale byłoby to potężne niedopowiedzenie.

– W Wędrującym Lesie sąienne gadźce. – Corwin wyjął z kieszeni kamień magiczny, demonstrując go zebranyim. – Siedziały uwięzione w jamie, ukryte magią. – Położył kamień na stole i szybko opowiedział

resztę.

– To bardzo niepokojące – oznajmił wielki mistrz Storr, wysłuchawszy relacji Corwina. Podniósł kamień i obejrzał go uważnie. – W tym kamieniu kryje się zaklęcie maskujące. Sprzedają je w każdym z domów brązowych szat. Oględnie mówiąc, trudno będzie wytropić jego pochodzenie.

Corwin zapatrzył się w kamień wstrząśnięty. Znanе mu zaklęcia maskujące służyły do ukrywania prostych rzeczy, takich jak skazy na skórze czy niefortunny kształt nosa, a nie wielką jamę w ziemi mieszczącą w sobie cztery śmiertelne gadźce.

– Ale brązowi sprzedają drobne zaklęcia upiększające i tym podobne. To zaklęcie było znacznie większe i potężniejsze. – Widząc, że Storr chce coś powiedzieć, uciszył go gestem. – Później będziemy rozmawiać, teraz musimy przeczesać las i złapać tego, kto umieścił tam gadźce.

Minister Knox i mistrz Cade wstali jednocześnie.

– Moi ludzie będą gotowi do wyjazdu, gdy tylko osiodłają konie – oznajmił Knox.

– Już kazałem stajennym się tym zająć – powiedział Corwin, nim mistrz Cade zdążył wtrącić choćby słówko, potem zwrócił się do Storra. – Ale będziemy też potrzebowali pomocy magistów, nie wiadomo, jaką inną magią dysponują nasi wrogowie.

Storr pochylił głowę.

– Każę maistrze Vikas zebrać jej złotych, najlepiej radzą sobie przy kontaktach z niezatwierdzoną magią.

Corwin nie protestował. Nie obchodziło go, kogo wybiorą, byle się pospieszyli.

Minęła jednak prawie godzina, nim oddział kawalerii i złotych dosiadł wierzchowców i był gotów do drogi. Edwin i Corwin jechali na ich czele, a Kate tuż za nimi. Nikt nie kwestionował jej obecności, choć Corwin podejrzewał, że później padną jakieś pytania. Członkowie rady, którzy postanowili im towarzyszyć, obserwowali ją uważnie, podobnie jak wielki mistrz Storr, choć lepiej potrafił to ukryć. Tylko minister Rendborne wyraźnie nie przejmował się jej obecnością, zamienił z nią nawet parę słów podczas jazdy. Corwin podziękował mu skinieniem głowy.

Dotarli do Białego Lasu, ale odtąd musieli posuwać się jeden za drugim, bowiem ścieżka była zbyt wąska i zbyt zarośnięta, by pomieścić więcej jeźdźców. Przed wkroczeniem do zaklętej puszczy Corwin słyszał za sobą

szeptane przez kilka osób formułki ochronne. Maestra Vikas szybko rozkazała złotym rzucić stosowne zaklęcia.

Po paru minutach dotarli do polany. Corwin był pewien, że jest to ta sama polana, tyle że nie dostrzegł ani śladu jamy czy gadźców. Wszystko wyglądało pogodnie i nieskazitelnie, jakby od stu lat tej ziemi nie tknęła ludzka ręka.

Zerknął na Kate, czując nagłe wątpliwości.

– Czyżbyśmy się pomylili?

Zagryzając wargę, pokręciła głową.

– To jest to miejsce. Może wrócili i znów wszystko ukryli?

Zsiadła z konia i ruszyła w kierunku środka polany, gdzie powinna otwierać się jama. Dołączyli do niej Corwin, wielki mistrz Storr i Edwin. Corwin nagle wyobraził sobie, że ziemia ustępuje im pod nogami, ale nic takiego nie zaszło. Szukali ukrytych w trawie kamieni magicznych, Vikas użyła nawet zaklęcia oświetlającego, niczego jednak nie znaleźli. Jama i martwe gadźce zniknęły bez śladu.

– Były tutaj, przysięgam. – Corwin odwrócił się w stronę Edwina i Storra, do których dołączyli Vikas i Rendborne. Policzki Edwina pokrył lekki rumieniec.

– Jeśli to jeden z twoich psikusów, Corwinie, to...

– Jaki miałbym powód, żeby kłamać? – Corwin zacisnął pięści, miał ochotę coś uderzyć, czuł, jak twarz piecze go ze wstydu. Zupełnie jakby znów miał dwanaście lat, a brat oskarżał go o chęć zwrócenia na siebie uwagi. – Dienne gadźce były prawdziwe, Edwinie, podobnie jak człowiek z kamieniem błyskowym.

Wielki mistrz Storr odchrząknął.

– Myślę, Wasza Wysokość, że można to jakoś wytłumaczyć. Przypuśćmy, że oweienne gadźce istotnie są narzędziem Powstania. W takim razie istnieje łatwe wyjaśnienie tego, co się tu stało.

– Tak. – Maestra Vikas pokiwała głową. Podobnie jak wielki mistrz ona też nie nosiła maski. Pociągła twarz, bladą niczym biały jedwab, okalały równie jasne włosy. Oczy miała szare niczym burzowe chmury. Byłaby nawet atrakcyjna, gdyby nie surowe spojrzenie, z powodu którego przypominała marmurowy posąg. – Ziemista mógł z łatwością ukryć wszelkie ślady jamy.

Corwin zaklął pod nosem, w jednej chwili dostrzegając podstępny geniusz

takiego rozwiązania. Wymienił spojrzenia z Kate, która wyraźnie bardziej martwiła się niż złościła całą sytuacją.

– Długo nie wracaliśmy. Z pewnością wystarczyło czasu, by dzikun zjawił się i wszystkim zajął.

Edwin popatrzył na nich z powątpiewaniem, ale nie protestował. Zamiast tego odwrócił się do mężczyzn stłoczonych na polanie.

– Musimy przeszukać ten las. Zajrzyjcie pod każdy liść i kamień. Chcę, żeby niewielkie grupki rozjechały się na wszystkie strony, ale każdej dla bezpieczeństwa musi towarzyszyć jeden ze złotych.

– Mądry plan, Wasza Wysokość. – Storr ukłonił się lekko.

Podczas gdy Edwin zajął się organizacją oddziałów poszukiwawczych, Corwin odciągnął Kate na bok.

– Musisz być zmęczona i głodna. Chcesz, żeby ktoś odeskortował cię do zamku?

– Nie potrzebuję żadnej eskorty. – Odgarnęła kosmyk włosów, który wymknął się z warkocza. – Poza tym zostanę, mogę się przydać.

Corwin powstrzymał westchnienie. Nie chciał jej w tym lesie, nie, jeśli w pobliżu czaili się dzikuni bądź gadźce, ale wiedział, że jakakolwiek próba odesłania jej nie ma sensu. Poza tym jakaś częśćka jego cieszyła się, że Kate została, ta sama częśćka, która zawsze umiała odszukać ją w tłumie. Chciał wziąć ją za rękę, spleść palce z jej palcami, ale zadowolił się muśnięciem ramienia.

– Wiem, że pomożesz. Bez ciebie w ogóle nie znalazłbym tej jamy.

Kate spuściła wzrok i wzruszyła ramionami.

– Najbardziej pomogły nam konie.

– To prawda, ale jeśli zamierzasz zostać, to chcę, żebyś pojechała ze mną. – Zawahał się, po czym dodał: – Proszę.

Kate uniosła wzrok, jej oczy błyszczały, wargi wygięły się w owym tajemniczym, krzywym uśmiešku.

– Oczywiście. Co innego miałabym zrobić?

Odjechać, kiedy to wszystko się skończy, pomyślał, przypominając sobie księgę rachunkową Hale'a. Ale nie, nie powinien o tym teraz myśleć. To niebezpieczny temat, prowadzący go mroczną drogą donikąd.

* * *

Przeczesywali las aż do zmierzchu, kiedy to Edwin odwołał dalsze poszukiwania. Jak dotąd niczego nie znaleźli, ale następnego dnia wczesnym rankiem wrócili, by znów szukać. I ponownie nie znaleźli niczego. Godzina za godziną, ścieżka za ścieżką, nic, nawet jednego odcisku pazura w błocie.

– Nie znaleźliśmy nawet Bramy Piekieł – mruknął Corwin, gdy oddział poszukiwawczy wracał już do miasta. – Jak to możliwe?

Choć nie skierował pytania do nikogo w szczególności, mistrz Storr postanowił odpowiedzieć.

– Ludzie kłamią, Wasza Wysokość, czasem nawet ci, którzy piszą historyczne księgi.

Nie była to przyjemna myśl, ale jeszcze mniej przyjemna pozostawała świadomość, że znalazł się tak blisko rozwiązania tajemnicy dziennych gadźców i tego, kto nimi kieruje, tylko po to, by znów ponieść klęskę.

CORWIN

Przez następne tygodnie w okolicach Norgardu nie dostrzeżono żadnych śladów nocnych gadźców, lecz ze wschodu i północy wciąż napływały nowe meldunki o kolejnych spotkaniach i atakach. Na południowo-zachodnich traktach zaatakowały kilka karawan, a w Thace wielu farmerów tak bardzo bało się wyjść w pole, że pozostawili plony i zwierzęta samym sobie. Przywódcy miast obawiali się nadchodzącej zimy i tego, co się stanie, jeśli szybko nie poradzą sobie z nowym zagrożeniem.

Corwin czytał każdy raport, desperacko pragnąc w jakiś sposób pomóc. Gdyby tylko schwytali wtedy w lesie sprawców! Co gorsza, meldunki jedynie pogłębiały tajemnicę. Za każdym razem, gdy docierała do niego informacja o nowym ataku bądź spotkaniu, Corwin zaznaczał to miejsce na mapie przechowywanej w prywatnej komnacie. Miał nadzieję odkryć jakąś prawidłowość, ale jak dotąd niczego nie zauważył. Gdyby sam nie oglądał gadźców w owej jamie, nie uwierzyłby, że ktoś nimi kieruje, zwłaszcza biorąc pod uwagę przypadkowość spotkań i ogromny obszar ataków. Albo to, albo nasi wrogowie są nie tylko liczni, ale i bardzo potężni. Niepokojąca myśl.

Nie miał jednak czasu rozwodzić się nad nią, bo zbliżała się pierwsza próba ururu. Rankiem w dniu próby Corwin siedział za biurkiem w swoim pokoju pochylony nad podarowanym przez ministra Rendborne'a dziennikiem dziadka. Sam nie wiedział, czemu zawraca sobie nim głowę, bo zapiski były irytująco ogólnikowe. Borwina Thormane znacznie bardziej interesowało oddanie własnych myśli i uczuć niż udzielanie rad potomnym. Wręcz przeciwnie, relacja Borwina jedynie podkopała już i tak słabą pewność siebie Corwina.

Kiedy zaczęła się pierwsza próba, moi bracia i ja wspięliśmy się po stopniach bogini Tor aż do samego ołtarza. Choć przybyliśmy razem, gdy tylko wkroczyłem na kamień, zostałem od nich odłączony. Nie mogę opisać tego, co wydarzyło się później, nie wolno mi. Ale próba okazała się cięższa

niż jakakolwiek wcześniej czy później. Nie potrafię wyobrazić sobie nic równie trudnego. A jednak najgorsze nadeszło już po niej, gdy z ołtarza zniesiono ciało mojego brata Jorwena, złamane od środka.

Corwin wiedział, że fragment o złamaniu dotyczy serca ciotecznego dziadka, które nie wytrzymało próby. Cokolwiek się działo, ujawniło tę niezwykle ważną słabość, jaką w sobie skrywał. Corwin przyłożył dłoń do piersi, czując silne, miarowe uderzenia serca. Ja nie mam w sobie takiej słabości, rzekł w myślach. Z drugiej strony być może Jorwen czuł to samo przed rozpoczęciem próby. Ale nie, Corwin przypuszczał, że jego własna słabość kryje się gdzie indziej.

Zmęczony długim czytaniem odruchowo zaczął przewracać stronicę, aż dotarł do końca, gdzie dziadek zapisał swe własne opinie na temat zwycięstwa w próbach. Zaciekawiony Corwin przeczytał:

Czułem to już wcześniej. Wiedziałem. Wrażenie mocy i spełnienia, jakiego nigdy wcześniej ani później nie doznałem.

Piętno na mojej dłoni rozgrzało się i zaczęło płonąć. Jak ogień. Jak słońce. I wtedy cały Norgard – a także ja sam – dowiedział się, że mam zostać jego następnym królem.

Corwin zerknął na własny znak uroru, na opuchnięte, czerwone ciało wciąż jeszcze obolałe i wrażliwe, i to mimo zabiegów zielonych szat, mających przyspieszyć proces gojenia. Najwyższa kapłanka oznajmiła, że powinien być wdzięczny, bo zwykle zostawia się znak uroru, by sam się wygoił, ale ponieważ muszą zacząć próby wcześniej, postanowili wspomóc się magią. *Kiedy rozpocznę dziś próbę, mam być całkowicie zdrowszy na ciele.* Corwin zacisnął palce, ukrywając znak.

Jego wzrok znów przyciągnęła kronika i odczytał następny akapit.

Ale największą niespodzianką, większą nawet niż zwycięstwo i zapłonienie piętna, jest sam znak uroru. Niedźwiedź zmienił swój stosunek do mnie, a ja do niego. Do niej, na imię ma Jaara, a ja słyszę jej myśli, tak jak ona moje. Jesteśmy połączeni równie mocno jak Noralah z Niranem i Nelekiem.

Ostatnie zdanie Corwin odczytał kilka razy, próbując je zrozumieć. Czy

dziadek stosował przenośnie poetyckie? Przejawiał pewne literackie skłonności, a jednak w tym stwierdzeniu nie było nic kwiecistego, jedynie proste zdania przedstawione jako fakty.

Odchylony w fotelu Corwin pogładził kciukiem bliznę na brodzie. W żadnych relacjach, które czytał, podczas żadnych lekcji na temat prób uroru, nigdzie nie wspomniano o tym... darze bogini? Nie wiedział nawet, jak to nazwać. Brzmiało jak magia, jak ta, którą dzikun Ralph Marcel posługiwał się ponoć, by ujarzmić zwierzęta.

Targany wątpliwościami Corwin wyobraził sobie znak uror należący do ojca. Wilczyca zwana Murr umarła, gdy był jeszcze chłopcem. Pamiętał jednak smutek ojca, to, że opłakiwał ją całymi tygodniami. Gdy się zastanowił, łączący ich związek miał w sobie coś mistycznego – bo jak inaczej wyjaśnić oswojonego wilka. Murr towarzyszyła ojcu wszędzie, zawsze była u jego boku niczym zębaty cień.

Gdybym tylko mógł teraz go o to spytać, pomyślał Corwin. Ale nie miało to sensu. Nawet gdyby pozwolono mu zadać pytanie, ojciec i tak by nie odpowiedział.

Nagle rozległo się pukanie. Corwin zatrzaskał dziennik i otworzył drzwi. Czekająca na zewnątrz kapłanka skłoniła głowę, pozdrawiając go, po czym gestem poleciła mu iść za sobą. Nadszedł czas rozpoczęcia próby.

Sztywno wyprostowany Corwin wymaszerował na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że nie wolno mu niczego ze sobą zabierać, żadnej broni, zbroi, ma mieć tylko siebie. Zaskakująco teraz spokojny, wędrował za kapłanką na dziedziniec, na którym czekał powóz, a w nim Edwin. Brat pozdrowił go tylko krótkim skinieniem głowy i powrócił do wyglądanego przez okno.

Zająwszy miejsce obok, Corwin także obserwował, jak powóz wyjeżdża z dziedzińca i zagłębia się w mieście. Na chodnikach tłoczyli się wiwatujący ludzie. Wkrótce dotarli do południowej bramy i ruszyli dalej, na otwartą przestrzeń. W dali Corwin dostrzegł boginię Tor, masywną zieloną wieżę wzgórza wyrastającą ponad pola.

Gdy powóz wreszcie się zatrzymał, Corwin wysiadł jako pierwszy. Stojąc obok siebie, bracia powiedli wzrokiem wzdłuż stromych, nierównych, kamiennych stopni wyciosanych w zboczu wzgórza. Nazwano je Schodami Smutków. Kapłanka, która przywiodła Corwina z zamku, pierwsza ruszyła w górę, gestem nakazując, by poszli za nią.

Wspinaczka okazała się długa i mozolna, sama w sobie stanowiła niezłą próbę. Jasne słońce, pozbawione osłony chmur, prażyło niemiłosiernie. W połowie drogi Corwin przystanął, by otrzeć pot z czoła i dać odpocząć zbolałym nogom.

Zerknął szybko za siebie, chłonąc wzrokiem ludzi zebranych u podstawy Bogini Tor, setki chłopów obecnych przy próbie. Nie zdołają zobaczyć, co dzieje się tak daleko, ale niechybnie o tym usłyszą.

Już na szczycie Corwin odetchnął głęboko i polecił sercu zwolnić. Na szerokim, ściętym wierzchołku wzgórza, zgromadziła się co najmniej setka ludzi, samej szlachty i dworzan. Pośrodku wznosił się Asterion, ołtarz bogini, masywny, kamienny stół wsparty na tuzinie filarów pokrytych pradawnymi symbolami.

Niedaleko od stopni ołtarza rozbito brezentowy namiot, a przed nim dwa mniejsze. Pod baldachimem stali, przyglądając się nadchodzącym księżetom, najwyższa kapłanka, wielki mistrz i cała najwyższa rada. Corwin przebiegł wzrokiem po tłumie, szukając Dala. Ku swemu zdumieniu wypatrył go niemal natychmiast. Co jeszcze bardziej zaskakujące, towarzyszyli mu Signe, Bonner i Kate. Ciekawe, kogo musiał przekupić, żeby ich tu ściągnąć? Corwin ucieszył się na widok znajomych twarzy, a kiedy Kate posłała mu uśmiech, nagle poczuł się, jakby wepchnęła mu powietrze do płuc. Bardzo pragnął z nią porozmawiać, ale wprowadzono go do jednego z mniejszych namiotów, gdzie czekały dwie kolejne kapłanki.

Natychmiast zajęły się nim, zdejmując z niego ubranie. Corwin zmełł w ustach protest i zmusił się, by stać pokornie, bez ruchu. Kiedy był już nagi, pozbawiony nawet skarpetek, owinęły go w tali przepaską, zabezpieczając ją prymitywnym paskiem ze sznurka. W jakiś sposób strój ów sprawił, że Corwin poczuł się jeszcze bardziej obnażony. W końcu jedna z kapłanek zapięła mu wokół prawej ręki karwasz, ukrywając tatuaż Jastrzębi Tarczy. Wyglądało na to, że przynajmniej ten sekret będzie mógł zachować przed zebranymi.

Chwilę później znalazł się pod głównym namiotem, przed ceremonialnym stołem przygotowanym dla kapłanki. Na blacie stały dwa złote kielichy, pełne ciemnoczerwonego płynu. Corwin miał nadzieję, że to wino, chociaż widywał już krew tej samej barwy.

Stojący obok Edwin także miał na sobie tylko skąpą przepaskę biodrową, choć kapłanki nie musiały ukrywać żadnych tatuaży na jego ciele. Obok

najwyższej kapłanki stali członkowie rady, wielki mistrz Storr i mistrzyni Vikas, wszyscy oni patrzyli w milczeniu. Corwin poczuł na sobie wzrok ministra Rendborne'a – trudno go było przeoczyć. Nagle Rendborne mrugnął do niego konspiracyjnie, błyskając zachęcającym uśmiechem.

Najwyższa kapłanka uniosła obie ręce.

– Dzisiaj wy, książęta Norgardu, synowie Thormane'ów, zostaniecie poddani próbie swej wartości jako następców tronu. – Podobnie jak podczas pierwszego rytuału, nosiła nakrycie głowy z końskiego łba i półprzejrzyste, uroczyste szaty.

– Najpierw jednak musicie wypić krew bogini. Da wam zarówno wzrok, jak i wizję.

A jest między nimi jakaś różnica?, miał ochotę spytać Corwin, ale rozsądnie ugryzł się w język.

Najwyższa kapłanka uniosła kielich stojący po prawej, a bransolety ze złotych monet okalające jej przeguby dzwoniły przy każdym ruchu. Przynęła go do ust Edwina, nakazując mu pić. Tak też uczynił, zamykając oczy, gdy złoty brzeżek dotknął jego warg.

Corwin również zamknął oczy, kiedy najwyższa kapłanka podsunęła mu drugi kielich. Przez chwilę, gdy płyn dotknął języka, poczuł smak krwi, potem zamienił się on w znajomy, bogaty smak dereniowego wina. Mimo wszystko pozostał mu w ustach dziwny, gorzki posmak, poczuł też palenie w żołądku.

Kiedy kilka chwil później wyszedł spod namiotu, oczy zaboląły go od słońca. Najwyższa kapłanka osobiście poprowadziła ich kamiennymi stopniami na szczyt Asterionu. Był tak wysoko, że bardziej przypominał szczyt całego świata, krajobraz w dole rozpląwał się w odległą plamę. Corwin zadrżał, gdy wiatr ukąsił jego nagie ciało i przeczesał szorstkimi palcami jego włosy. Nigdy wcześniej nie odwiedził szczytu Asterionu, ale widział, jak inni się tam wspinali, starzy i kalecy, oddając się w ofierze. Dowodami ich poświęcenia były ciemne plamy pokrywające kamień, pozostałości popiołu i krwi.

Najwyższa kapłanka zatrzymała się tuż przed progiem Asterionu i odwróciła ku nim.

– Kiedy go przekroczycie, nie będzie już odwrotu. Musicie ukończyć próbę – oznajmiła. Odstąpiła na bok i poleciła im wejść.

Pierwszy jak zawsze ruszył Edwin, który wyraźnie się lękał, zdradzały go

szttywno wyprostowane plecy. Corwin podążył za nim. Początkowo stapał śmiało, ale stracił odwagę, gdy tylko przekroczył próg. Słońce, sekundę wcześniej oślepiające, w jednej chwili przygasło i zszarzało, wokół podniosła się nienaturalna mgła. Zamrugał, w głowie zawirowało mu od gwałtownej zmiany, ale nieważne, jak bardzo się starał, niczego nie widział. Zupełnie jakby oderwał się od ziemi i wylądował w chmurach. Tłum w dole, pola, odległe wzgórza i lasy – wszystko to zniknęło.

Corwin przeszedł kilka kroków, szukając jakiegoś znaku, który wskazałby mu, co ma robić. Nie śmiał zapuszczać się zbyt daleko, nie przy tak kiepskiej widoczności. Choć ołtarz był dość duży, by pomieścić stu ludzi stojących w kręgu z rozłożonymi rękami, Corwin wolał nie stać się pierwszym następcą, który przypadkiem runie w przepaść wprost na spotkanie śmierci.

Sekundy mijały powoli, wokół kłębiła się mgła. Nadal czuł porywisty wiatr, który jednak nie był w stanie rozproszyć nienaturalnych oparów. *Co teraz?* Corwin obracał się powoli. I wtedy, jakby w odpowiedzi, dostrzegł jakiś błysk przed sobą. To coś zniknęło jednak równie szybko, a on czekał, by znów się pojawiło. Gdy chwilę później ponownie błysnęło, ostrożnie ruszył w tamtym kierunku. Mgła rozstała się przed nim, ukazując duże, stare drzewo, które, jak wiedział bez cienia wątpliwości, nie mogło istnieć na szczycie Asterionu. *Da wam zarówno wzrok, jak i wizję*, oznajmiła najwyższa kapłanka. *Wizję*. Zastanawiał się, czy to może wpływ dereniowego wina.

Ze środka szerokiego pnia sterczały trzy miecze o klingach do połowy wbitych w drewno. Ten po prawej należał do jego ojca – złocistą rękojeść wyrzeźbiono na podobieństwo Nirana i Neleka. Ten po lewej był jego mieczem – rękojeść miał owiniętą skórą, z prostym, niezdobionym jelcem, jedyną ozdobą był osadzony w głównej wielki szafir. Trzeciego, środkowego miecza Corwin nie znał. Miecz jednak wyglądał tak niesamowicie, że nie mógł oderwać od niego wzroku. Klingę wykuto z czarnej stali, a rękojeść zrobiono z kości. Głowicę zdobiło pięć klejnotów – niebieski, biały, zielony, czerwony i brązowy.

Przywoływacz, uświadomił sobie nagle Corwin. Mityczny, zaginiony miecz, niegdyś należący do pierwszego króla Norgardu. Bardzo pragnął go dotknąć, lecz coś powstrzymało mu rękę. Był przecież w trakcie próby, to z pewnością jakiś test, wybór. Czy ma sięgnąć po miecz ojca, miecz króla? Czy po *Przywoływacza*, miecz z mitów i legend?

Nie jestem nikim takim. Podjąwszy decyzję, Corwin chwycił oburącz

rękojeść swojego własnego miecza i wyrwał go z pnia. Gdy tylko to uczynił, pień i pozostałe dwie klingi rozpląnęły się we mgle, ale miecz w jego dłoni pozostał. Corwin zacisnął palce na rękojeści. Nagle usłyszał głośne zawodzenie. Odwrócił się i ujrzał pędzącego ku niemu nocnego gadźca. Stwór wyskoczył z mgły niczym straszliwy biały upiór, jego umięśnione ciało wielkości byka poruszało się z mocą i gracją, szybko i morderczo. *To nie jest prawdziwe, pomyślał Corwin, to tylko wizja.* Ale jego umysł nie umiał odróżnić jednego od drugiego i instynkt samoobrony zwyciężył.

Ściskając miecz oburącz, Corwin skoczył ku stworowi i dźgnął go w szyję. Gadziec uskoczył, ledwie unikając ostrza.

Odwrócił się, przekręcił ciało w powietrzu i znów zaatakował, kłapiąc zębami. Corwin odchylił się do tyłu, ledwie unikając kłów, i dźgnął po raz kolejny. Tym razem trafił stwora w szczękę. Ten wrzasnął i szarpnął głowę, jeszcze szerzej rozszarpując ranę zadaną przez miecz. Spomiędzy kłów popłynęła krew. Znów kłapnął na Corwina, po czym zniknął we mgle. Corwin nadal jednak go wyczuwał. Czuł, jak krąży, jak go obserwuje.

Poluje.

– No, chodź – rzucił. – Chodź tu jeszcze.

Obrócił się powoli, przeczesując wzrokiem mgłę.

Nocny gadziec zaatakował z lewej, a jego przybycie zdradziło nagłe zawirowanie mgły. Skoczył, rozpościerając skrzydła i wkładając w ten ruch całą siłę swojego ciała. Instynkt nakazywał Corwinowi uderzyć, oparł się jednak pokusie, czekał na właściwą chwilę. Nim gadziec dotarł do niego, uchylił się, pozwalając, by łeb i szyja stwora minęły się z nim, wtedy zamachnął się potężnie i dźgnął, przeszywając miękkie miejsce pomiędzy szyją a ramieniem. Stwór wrzasnął i padł z mieczem wbitym na pół stopy w ciało. W konwulsjach szponami rozdarł gołą nogę Corwina, który krzyknął z bólu. Zdecydowanie nie była to zwykła wizja. Mimo to wsparł się na mieczu i wbił go głębiej. W następnej chwili gadziec rozpląnął się i zniknął.

Corwin poleciał do przodu, ledwie zdołał uchronić się przed upadkiem. Czujnie rozglądał się, czekając na kolejnego stwora. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, prawa noga zaczynała już palić od gadziego jadu. Odchylił się w lewo, starając się ją odciążyć. Dobrze, że rany nie były głębokie, krew płynęła powoli, leniwie, ale wiedział, że będzie tylko gorzej.

Jego uwagę znowu przyciągnął jakiś błysk wychwycony kącikiem oka. Corwin odwrócił się w tamtym kierunku – mgła rozstała się ponownie, tym

razem ukazując drugie drzewo, zdecydowanie mniejsze, ledwie patyczek. Z jego gałązek zwisały morgenstern, sztylet i tarcza. Kolejna próba, tym razem łatwiejsza niż poprzednia. Corwin nigdy nie przepadał za walką dwuręczną, toteż wziął tarczę i nasunął na lewą dłoń.

W chwili, gdy to uczynił, zza drzewa wyłoniła się postać. Mężczyzna wyglądał jak prosty chłop, jego odzienie było brudne i połatane, a czoło i policzki miał wysmarowane popiołem. Corwin czujnie cofnął się o krok, walcząc z pragnieniem uniesienia miecza.

– Kim ty...

Mężczyzna zamachnął się, w jego dłoniach pojawiła się kula ognia. Corwin miał zaledwie sekundę, by pomyśleć *Dzikun!*, nim płomień dotarł do niego. W ostatniej chwili uniósł tarczę, aby odbić ogień. Z głośnym przekleństwem pirysta uskoczył na bok i znów spróbował. Corwin obrócił się wraz z nim, cały czas zasłaniając się magią. Pirysta ponownie zaatakował, tym razem posyłając w jego stronę cały strumień ognia. Corwin przez kilka sekund blokował płomień, lecz wiedział, że mała tarcza nie wytrzyma długo podobnego naporu. Z krzykiem desperacji okręcił się szybko, uciekając poza zasięg pirysty, i ukrył się za młodym drzewkiem. Zraniona noga przy każdym kroku pulsowała bólem.

Sekundę później drzewo stanęło w płomieniach, a żar zmusił Corwina do odwrotu. Pirysta podążał w ślad za nim, ciskając kolejne kule ognia. Corwin blokował je tarczą, kiedy musiał, a kiedy mógł, uskakiwał, byle tylko pozostać poza zasięgiem płomieni. Prawa noga zdrętwiała i straciła czucie, wiedział jednak, że długo nie da rady.

Musiał go powstrzymać. A co jeszcze ważniejsze, chciał go zabić, pirysta bowiem był niezwykle podobny do człowieka, który przed laty zamordował jego matkę. Wiedział, że jest tylko jeden sposób. Mimo niebezpieczeństwa, ryzyka spłónięcia i morderczego gorąca, Corwin zaczął okrążyć tamtego, z każdym krokiem podchodząc bliżej. Na ramieniu zatańczyło mu kilka płomieni, jeden smagnął policzek. Corwin syknął z bólu, ale nie uskoczył, przeciwnie, przyspieszył kroku, wirując wokół przeciwnika jak akrobata. W duchu odmówił krótką modlitwę dziękczynną za szkolenie Jastrzębi Tarczy, to tam nauczył się przetrwania i robienia uników. Obrót i skok, pochylenie, skłon, znów obrót. Cały czas wbijał wzrok w pirystę, czekając, aż nadarzy się szansa. A gdy się zjawiała, wykorzystał ją bez wahania, wbijając miecz w bok tamtego. Pirysta krzyknął, po czym rozpląnął się we

mgle.

Zdyszany Corwin zgiął się wpół i upuścił tarczę. Pomacał zranione ramię, już pokryte pęcherzami oparzeń. Wiedział, że nie zdoła już podnieść tej ręki, od bólu kręciło mu się w głowie. Oby próba wkrótce się skończyła. W tym momencie pojawiła się kolejna postać, tym razem niosąca miecz i tarczę. Mężczyzna miał na sobie tradycyjny, skórzany, obijany metalem pancerz z Norgardu, lekki napierśnik osłaniający tors, zapewniający jednak pełną swobodę ruchów. Hełm ukrywał jego twarz. Ledwie Corwin zauważył przybysza, tamten zaatakował. Książę zdążył podnieść z ziemi tarczę i zablokować nią wymierzone z góry potężne cięcie. Miecz przeciwnika zazgrzytał, uderzając w metal, którym okuto tarczę.

Corwin odskoczył, uwalniając się ze starcia. Cały czas unosił miecz, który jednak drżał mu w spoconej dłoni. Ręce miał słabe od walki i jadu gadźca krążącego w żyłach. Nie chciał walczyć z tym człowiekiem, ale nieznajomy nie dawał mu wyboru. Gdziekolwiek Corwin uskoczył, tamten szedł za nim, nieugięty. Ciął, a Corwin blokował. Pchał, a Corwin parował. Za każdym razem walił jak młotem i Corwin pojął, że musi zabić przeciwnika, inaczej sam zginie.

Niełatwo jednak zabić człowieka w zbroi, zwłaszcza gdy ma się na sobie jedynie przepaskę biodrową. Corwin podszedł bliżej, napierając i bardziej blokując, niż uskakując, cały czas szukał otwarcia dla swej klingi. Przez jakiś czas wątpił, czy je znajdzie – przeciwnik był zbyt dobry, zbyt ostrożny. W końcu jednak popełnił błąd. Wyprowadzając kolejne pchnięcie, odrobinę zanadto wyciągnął rękę, otwierając tym samym lukę dość dużą dla nawet najbardziej niedoświadczzonego szermierza. Corwin wyprysnął naprzód i wbił ostrze w pierś tamtego. Zabójczy cios.

Mężczyzna wrzasnął i osunął się na kolana. Zbrzydzone dźwiękiem i widokiem śmierci, którą zadał, Corwin wyrwał miecz. Tamten jednak nie zniknął jak poprzedni przeciwnicy, tylko uniósł zakrwawioną dłoń do hełmu i ściągnął go resztką sił.

Corwin spojrzał prosto w twarz ojca, takiego, jakim był dawniej – młodego i silnego.

– Nie jesteś godzien, by nosić moją koronę – wykrztusił Orwin. – Nie... godzien.

Słowa te zaboląły bardziej niż jakikolwiek cios. *O bogini, niech to już się skończy*, pomyślał Corwin. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, tym razem na tyle

mocny, by upuścił miecz i tarczę. Runął na kolana, poddając się bólowi i truciźnie. W tym momencie wizja ojca zniknęła mu z oczu. A chwilę później pojawiła się kolejna postać, tym razem znacznie mniejsza, ale wcale nie mniej groźna. Corwin zapatrzył się na chłopca, czując przeszywający ból w brzuchu. Malec miał na sobie cienki napierśnik z gotowanej skóry, o wiele za duży, a w dłoni trzymał zardzewiały żelazny miecz. Wymalowane na napierśniku sevańskie godło, szarżujący czerwony byk, zdawało się drwić z Corwina. Cały chłopiec był jednym wielkim szyderstwem, przypomnieniem największej klęski i rzeczy, której najbardziej żałował.

Nagle w jego umyśle pojawiło się wspomnienie. Jechał z Jastrzębiami Tarczy w stronę sevańskiej linii dostaw, którą mieli zniszczyć. Wbrew rozkazom dowództwa zdecydował się na skrót. Wtedy to ujrzał przed sobą chłopca ubranego jak żołnierz – tyle że to nie mógł być żołnierz, był za młody, zbyt kruchy, a oczy miał zbyt wielkie i przerażone.

– Zabij go – powiedział Otto. – Musisz to zrobić, kapitanie. Wyda nas, gdy tylko będzie mógł.

Ale Corwin nie posłuchał. Nie mógł tego zrobić. Chłopiec był w końcu tylko dzieckiem, czyimś synem, niewolnikiem oddanym w daninie bogu-królowi, który podbił te ziemie.

– Wracaj do domu – rzekł do malca. – Odnajdź rodziców. – I wypuścił go. Jak się okazało, mały natychmiast zdradził sevańskim siłom, gdzie jest jego oddział.

Na to wspomnienie w piersi Corwina zapłonęły gniew i rozpacz. Poderwał się z ziemi w chwili, gdy przebrany za żołnierza dzieciak zaatakował. Uskoczył przed ciosem, odchylając się w prawo, potem pochylił się i chwycił chłopaka za przegub. Wystarczył jeden mocny ucisk, by tamten otworzył dłoń i puścił miecz. Drugą ręką Corwin chwycił go za tył pancerza i przewrócił. Nawet osłabiony bez trudu pokonał niedorostka. Chłopak jednak nadal walczył, kopiąc i warcząc niczym dzikie zwierzę.

Corwin uniósł go wysoko, po czym schylił się po własny miecz. Wystarczy jedno pchnięcie, wysiłek nie większy niż zabicie muchy. Uniósł broń... chłopiec krzyknął żałośnie niczym miauczący kociak.

– Zabij go – wyszeptał głos spośród mgieł. – Zakończ to, dowiedz swojej wartości, zabij go. Corwin znów uniósł miecz. Cały dygotał, do oczu skapywał mu pot, przesłaniając widok.

– Zabij go! – Głos uderzył niczym pięść, domagając się posłuszeństwa. –

Zabij, a wszystko się skończy, twoje cierpienie się skończy. Zabij!

– Nie – powiedział głośno Corwin. – Nie zabiję go. Nie zrobię tego, czego chcesz.

Wiedział, że uczyni to, co słuszne i sprawiedliwe – okaże litość przeciwnikowi zbyt słabemu, by dalej walczyć.

Puściwszy pancerz chłopca, pchnął go w stronę mgły.

– Wynoś się stąd.

Chłopak zniknął i w następnej chwili mgły rozstały się, wpuszczając promienie słońca, które zalały Corwina.

Zamrugnął oślepiiony, świadom dziwnego mrowienia rozlewającego się po skórze. Spojrzał w dół i zobaczył, że wszystkie obrażenia zniknęły. Zniknął też miecz. Nic z tego nie było prawdziwe – a jednak było. Z daleka, z dołu, dobiegły go wiwaty tłumu. Zerknął na Edwina stojącego po drugiej stronie ołtarza. Najwyraźniej obu im się udało. Jedna próba z głowy, zostały jeszcze dwie.

Nie jesteś godzien – ponownie usłyszał w głowie głos ojca. I nawet wiwaty nie zdołały zagłuszyć tych słów.

20

KATE

Po raz pierwszy w życiu Kate żałowała, że nie może wyznać Corwinowi prawdy o swojej magii. Wcześniej nigdy nie miało to znaczenia; utrzymywanie zdolności dzikunskich w sekrecie stanowiło część życia codziennego, było czymś normalnym, wspomnieniem obietnicy, jaką złożyła ojcu, gdy tylko urosła na tyle, by zrozumieć, że jest inna.

– Czy matka wie? – spytała go siedmioletnia wtedy Kate.

– Nie, moja Katie – odparł Hale. – Nie wie. Ani o tobie, ani o mnie.

– Czy to nie kłamstwo? – Kate zmarszczyła nosek. – Nie powinnam kłamać.

– To nie kłamstwo, jeśli prawda zraniłaby tych, których kochamy. Niemówienie im to ofiara, którą musimy uczynić dla dobra ich samych. Rozumiesz?

– Tak, tatusiu.

Kate uwierzyła mu bez zastrzeżeń, zwłaszcza gdy wyjaśnił, jakie skutki miałyby odkrycie, że jest dzikunką. Nie chciała, by ludzie w maskach zabrali ją od ojca.

Ale co, jeśli ukrywanie prawdy może narazić innych bardziej niż jej wyznanie? Wtedy, gdy wrócili do Wędrującego Lasu szukać gadźców, coś było nie tak. Kiedy tylko weszli między drzewa, Kate poczuła się odcięta od swej magii, ale nie jak to stawało się zawsze nocą, kiedy to moc zniknęła całkowicie, ale jak gdyby nagle coś stało między nią a magią. Coś ją blokowało. Albo ktoś.

Bardzo chciała powiedzieć o tym Corwinowi, ale nie mogła znaleźć sposobu, jak to uczynić, nie ujawniając jednocześnie swojej tajemnicy. Nie mogła przecież wyznać, że jest dzikunką, zwłaszcza teraz, gdy Powstanie stawało się coraz większym zagrożeniem. Nigdy dotąd nie doświadczyła tak otwartej wrogości wobec dzikunów. Strachu, owszem, ale nie nienawiści. Obawy przed tym, co zrobiłby Corwin – co byłby zmuszony zrobić – gdyby poznał jej sekret, stawały się większe niż kiedykolwiek. Teraz, gdy w końcu mógł zostać następnym królem. Choć w pierwszej próbie nie wyłoniono

wyraźnego zwycięzcy, spisał się świetnie, widziała to i czuła, podobnie jak wszyscy zebrani. Obserwowanie dwóch książąt walczących wewnątrz tej nienaturalnej mgły było dziwnym przeżyciem, przypominało oglądanie snu – ich sylwetki i ci, z którymi walczyli, niewyraźne, poplątane. Ale obraz Corwina wyglądał ostrzej, niemal jaśniej.

Mimo wszystko czuła coraz większą pokusę, by mu powiedzieć. Przez dwa tygodnie, jakie minęły od pierwszej próby, Kate spędzała z nim niemal każdy ranek, kiedy to zjawiał się w drzwiach ze słodkimi bułeczkami i zaproszeniem na przejażdżkę albo na spacer po ogrodach lub murach. Co gorsza, z każdym dniem czuła, że instykt nakazujący jej trzymać się z dala od niego słabnie. Odkryła, że tęskni za jego widokiem, napawała się każdą chwilą, w której jej dotknął, co czynił często, bo stale znajdował jakiś pretekst, by położyć dłoń na jej ramieniu albo chwycić ją za rękę. A ledwie wczoraj przez chwilę miała wrażenie, że zaraz ją pocałuje. Zawód, jaki poczuła, gdy tego nie uczynił, dręczył ją jeszcze teraz.

To musi się skończyć. Musi odkryć sekret ojca i to szybko, nim Norgard stanie się dla niej domem i nim raz jeszcze zakocha się w kimś, kto nigdy nie może być jej. Gdyby tylko wiedziała, jak to zrobić. Nie mogła przecież po prostu wmaszerować do „Świętego Miecza” i zażądać, by jej wszystko wyjaśnili. Nie wiedziała nawet, o co miałyby zapytać, a zwykłe odwiedziny, by tam powęszyć, też nie zapowiadały się łatwo. W ciągu ostatnich kilku tygodni spędziła dość czasu, obserwując osoby odwiedzające burdel, by zrozumieć, że wyróżniałyby się jak muł w stadzie rumaków bojowych. Z pewnością nie wyglądałyby równie naturalnie jak kobiety, które odwiedzały ów przybytek. Wątpiła też, by zdołała dostać tam pracę – brakowało jej umiejętności wymaganych w podobnym miejscu, poza tym była zbyt rozpoznawalna, nie było dnia, by nie słyszała szeptów „Zdrajczyni Kate”, towarzyszących jej na każdym kroku. Musiało jednak istnieć jakieś rozwiązanie. Oby tylko je znalazła.

– Jak ty byś to zrobiła? – spytała Signe, gdy pewnego ranka wybrały się na przejażdżkę. Przez ostatnie dwa dni Corwin był zajęty spotkaniami rady i Kate poprosiła przyjaciółkę o pomoc, by konie mogły wybiegać się poza miastem.

Signe zastanowiła się, przekrzywiając głowę.

– Moja matka mawia, że istnieją dwa sposoby, by zmusić garro do mówienia. Strach przed bólem bądź miłość do pieniędzy.

– Garro? – Kate pochyliła się, by przegonić muchę, która usiadła na szyi Tancerki Ognia.

– Nie da się tego przetłumaczyć dokładnie. Oznacza kogoś, kto nie urodził się na wyspach.

Kate uśmiechnęła się szeroko, patrząc na przyjaciółkę. Myśl ta wydała jej się absurdalna i nieco obraźliwa.

– Próbujesz powiedzieć, że nikt z Esh nigdy nie zdradziłby sekretu?

Signe przytaknęła z poważną miną, lekko wyprostowała się w siodle.

– Nazywamy to Serrah. To święte milczenie, nie istnieje dla nas nic ważniejszego niż dochowanie go.

Kate miała ochotę zasypać ją pytaniami, ale nie zdążyła zadać choćby jednego, bo wjechały właśnie na dziedziniec przed stajniami w Norgardzie, gdzie czekał na nie Dal. No, prawdę mówiąc, to czekał na Signe.

– Chciałabyś wybrać się ze mną na wycieczkę do Tyvaldu? – spytał z diabelskim uśmieszkiem na twarzy. Sokolica Lir, jak zwykle zakapturzona, siedziała mu na ramieniu. – Tylko na parę dni, Corwin prosił, żebym sprawdził informacje o dziennych gadźcach.

Kate westchnęła. Znów poczuła wyrzuty sumienia, że nie zdradziła Corwinowi, co wyczuła tamtego dnia w Wędrującym Lesie. Ataki dziennych gadźców stawały się coraz brutalniejsze, a Tyvard leżał blisko, zaledwie dzień jazdy z Rime. Zastanawiała się, czemu Corwin chce, by Dal sprawdził to osobiście, ale mogła tylko zgadywać, że chodzi o coś złego. Signe chłodno przyjrzała się mężczyźnie, choć Kate wiedziała, że tylko tak udaje. Dal również to wiedział, ale świetnie się bawił.

– Mogę poświęcić ci parę dni – rzekła wreszcie sucho – ale musisz obiecać mi podniętę i przygodę.

Kate przymknęła oczy, bo słowa Signe przypomniały jej o kolejnym powodzie do zmartwienia. Chwilowo Signe mogła poświęcać rozrywkom więcej dni, nie miała bowiem co robić, póki Bonnerowi nie uda się w końcu wyprodukować rewolwerów. W ciągu miesiąca, który tu już spędzili, zrobił tylko jeden. Jeśli wkrótce nie zacznie czynić postępów, Corwin i najwyższa rada z pewnością zainteresują się, co jest tego powodem. Bonner już zaczynał się załamywać, w efekcie coraz bardziej ryzykował ze swą magią. A liczne ataki dziennych gadźców tylko pogłębiały jego desperację.

– Moja słodka pani – Dal ujął dłoń Signe i ucałował ją – przysięgam, że każda chwila będzie zapierać ci dech w piersiach.

Signe zachichotała i to powiedziało Kate więcej niż jakiegokolwiek słowa, że przyjaciółka darzy Dala wyjątkowo mocnym uczuciem. Poczła bolesne ukłucie zazdrości, cóż, niektórzy tak łatwo odnajdują miłość.

Kiedy Signe poszła się spakować, Kate zajrzała do Bonnera pracującego w nowej kuźni i ucieszyła się, widząc tam też jego ojca. Thomas Bonner był niski i wyjątkowo szczupły; imponujące mięśnie, jakie zawdzięczał ciężkiej pracy kowalskiej, pochłonęła teraz wyniszczająca choroba. Choć ojciec i syn wyglądali zupełnie inaczej – nic dziwnego, skoro młodszy Bonner został adoptowany – zachowywali się tak podobnie, zawsze byli niezwykle życzliwi, że Kate czuła się cudownie w ich towarzystwie.

– Och, panno Kate! – Thomas rozpromienił się na jej widok, chwycił ją w ramiona i uściśnął mocno. Kate ucieszyła się, czując jego siłę. Przyjechał do Norgardu zaledwie tydzień temu, ale jego zdrowie już się poprawiało, a to dzięki magii zielonych szat. – Przyszedłem zabrać Tommy’ego na obiad. Gdyby nie ja, zaharowałby się na śmierć. Może do nas dołączysz?

Kate zdusiła uśmiech, widząc grymas irytacji, jaki przemykał przez twarz młodszego Bonnera za każdym razem, gdy ojciec nazywał go Tommym. Tylko jemu na to pozwalał.

– Bardzo chętnie. – Ucałowała mężczyznę w policzek. Dobrze będzie choćby na moment zapomnieć o problemach. W obecności Thomasa nie mogła rozmawiać o obawach związanych z wykorzystywaniem przez jego syna dzikuńskiej magii, Thomas nie znał bowiem prawdy o adoptowanym synu. Kolejne kłamstwo chroniące najbliższe osoby.

Jednakże posiłek stanowczo zbyt szybko dobiegł końca i znów znalazła się samotna w swoich komnatach, a wątpliwości i troski przygniatały ją mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. W żaden sposób nie mogła pomóc Bonnerowi, ale słowa Signe o tym, jak zmusić kogoś do mówienia, podsunęły jej pewien pomysł. Potrzebowała tylko wystarczająco dużo monet i stosownego przebrania.

I dosyć odwagi, by móc tego dokonać, dodała w myślach, przyglądając się następnego wieczoru swemu odbiciu w lustrze. Wystarczyło kilka godzin, by skompletowała przebranie, ale ciągle jeszcze nie była pewna, czy przypomina młodego mężczyznę. Założyła swe najluźniejsze bryczesy, wysokie buty i czerwony, aksamitny kubrak, który znalazła w skrzyni w pokoju Signe. Czuła się głupio grzebiąc w rzeczach przyjaciółki, ale kwestia była nagląca, a kubrak pasował idealnie. Choć nie rozpoznała kroju okrycia, nie miała

wątpliwości, że uszyto je dla dorosłego mężczyzny, wyższego od niej, lecz niewiele tylko szerszego w barkach, co oznaczało, że zwisał jej poniżej bioder, skutecznie maskując kobiecą sylwetkę. Co jeszcze lepsze, guziki zrobiono z rubinów wielkości jej kciuka; na widok takiego majątku dosłownie odebrało jej mowę. Bardzo chciała dowiedzieć się, czemu Signe zachowała kubrak, lecz wątpiła, by przyjaciółka powiedziała kiedykolwiek prawdę. Obawiała się wyjść w nim z zamku, ostatecznie jednak uznała, że jeśli chce kupić niezbędne informacje, to lepiej, żeby wyglądała na kogoś, kto może sobie na nie pozwolić.

Po wszystkim odłoży go na miejsce i Signe nigdy się nie dowie o pożyczce, poprzysięgła w duchu, naciągając kaptur, by ukryć węzeł włosów spiętych z tyłu głowy. Wzięła też pełną sakiewkę, a za pas wsunęła wysadzany klejnotami sztylet, który Corwin podarował jej kilka dni wcześniej – kolejny dowód wdzięczności za to, że go uratowała. Musiała zapiąć kubrak luźno, by nie ujawniać zbyt wiele, ale po chwili uznała, że jest gotowa.

Szła pieszo, dlatego potrzebowała niemal godziny, by dotrzeć do dzielnicy Burnside. Wolałyby pojechać konno, ale nie chciała, by ktokolwiek w zamku oglądał ją w takim stroju, a o wiele łatwiej było wykraść się drzwiami dla służby niż przez frontową bramę. Poza tym nie podobała jej się myśl o pozostawieniu Tancerki Ognia bez opieki nocą, do tego w tak niebezpiecznej dzielnicy.

O tej porze na ulicy przed „Świątym Mieczem” roiło się od ludzi, głównie mężczyzn korzystających z licznych tu gospód, domów gry i innych burdeli. Kate przypuszczała, że tłum był efektem nie najrozsądniejszego dekretu arcykróla, nakazującego, by wszystkie podobne przybytki ograniczyć do jednej dzielnicy. Tak więc ludzie pragnący zaspokoić swe zachcianki przybywali tu z całego Norgardu.

Starając się poruszać jak chłopak, weszła na werandę i skinieniem głowy pozdrowiła strażników. Nad ich głowami wisiał drewniany szyld z nazwą przybytku wypisaną pod rzeźbionym mieczem częściowo wysuniętym z pochwy, okręconym czerwoną różą.

Strażnicy nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi, z westchnieniem ulgi ruszyła więc dalej. Za drzwiami ujrzała przedpokój z trzema przejściami wiodącymi do dalszych pomieszczeń. Te po prawej i lewej przesłaniały gęste firanki, przez środkowe przejście Kate ujrzała salę gospody. Ustawiono tam

stoły najróżniejszych kształtów i rozmiarów, a przy niemal wszystkich siedzieli już goście. Na środku wznosił się niski podest, na którym siedzieli muzycy przygrywający gościom do posiłku, a dwie skąpo odziane niewiasty tańczyły, zataczając biodrami powolne, uwodzicielskie kręgi.

Kate oderwała od nich wzrok tylko po to, by ujrzeć dwie kolejne kobiety stojące tuż obok niej. Ubrane były w kuse gorsety skrojone tak, by odsłaniały brzuchy, na których wyraźnie widać było pasy księżycowe. Przyjrzały się Kate identycznym, pełnym powątpiewania wzrokiem.

– Czym możemy służyć?

Kate odchrząknęła, a potem odezwała się najniższym głosem, jaki udało jej się wydobyć.

– Poproszę stolik. Na razie.

Czekała, wstrzymując oddech, gotowa na to, że ją odprawią. Jedna z kobiet ruszyła do sali, mówiąc:

– Proszę za mną.

Powoli wypuszczając powietrze z płuc, Kate podążyła za nią. Gdy siadała przy pustym stole w kącie, czuła na sobie liczne spojrzenia. Opierając się pokusie nerwowego poprawienia kubraka, który podjechał jej zbyt wysoko na szyi, omiotła spojrzeniem salę. Każdy z tych ludzi mógł dysponować informacjami, których potrzebowała.

Służąca zjawiała się kilka minut później i była jedną z najbrzydszych kobiet, jakie Kate widziała. Zbyt chuda, ze smętnie zwisającymi brązowymi włosami i małym biustem, patrzyła na Kate z cierpką miną.

– Co podać?

Kate zamówiła rybę z grzybami, pieczone ziemniaki i kubek domowego wina. Potem demonstracyjnie wyciągnęła sakiewkę i położyła ją na stole, pobrzękując monetami. Dzięki bogom, że odkąd rozpoczęła pracę treserki wierzchowca Corwina, zdołała zebrać dość valenów, aby zrobić stosowne wrażenie. Pomagał w tym fakt, że praktycznie nie miała na co ich wydawać, zamek w końcu zaspokajał jej wszystkie podstawowe potrzeby. Świadomość tego mocno ją uwierała; nie chciała być zależna od nikogo, a już zwłaszcza od Corwina.

Kiedy dziewczyna wróciła z zamówieniem, Kate zapłaciła jej podwójną cenę posiłku i napitku. Dziewczyna z radością zgarnęła pieniądze, jej wcześniejsza irytacja zniknęła, zastąpiona maską chciwości.

– Ale wracaj tu często – rzuciła Kate, nim tamta odeszła. – Trzeba mi

więcej napitku.

Uniosła kubek, by podkreślić swe słowa, po czym pociągnęła długi łyk. Gorzki trunek zapiekł ją w gardle, ale zdołała się nie rozkasać.

Po tygodniach posiłków przyrządzanych w królewskich kuchniach, ryba okazała się prawie niezjadliwa, tak była przesolona i wysuszona. Mimo to Kate jadła ją, wykorzystując każdy kolejny kęs, by obserwować, co dzieje się w sali. Usiłowała wyobrazić sobie ojca w takim miejscu, ale zupełnie jej się to nie udawało. Większość mężczyzn była mocno podpita albo odurzona seksem, albo jednym i drugim. Kate doszła do wniosku, że chyba wolałaby już mieć do czynienia ze stadem gadźców.

Kiedy służąca wróciła do niej nieco później, Kate znów zamówiła wino, tak jak poprzednio płacąc podwójnie.

– Jak masz na imię? – spytała, wręczając monety. Na twarz dziewczyny powrócił wyraz irytacji.

– Janelle.

Wyczuwając w niej jakiś opór, Kate podsunęła kolejną monetę.

– Długo tu pracujesz, Janelle?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Parę lat. – Była młodsza, niż Kate początkowo myślała, to wychudzenie i bruzdy na twarzy postarzały ją przedwcześnie.

Licząc, że mówi prawdę, Kate nie ustępowała.

– Pamiętasz może mężczyznę, który przychodził tu często jakieś trzy lata temu? Wysoki, z czarnymi włosami i piwnymi oczami?

Janelle prychnęła, zabierając monetę.

– Jasne, że go pamiętam. Wygląda zupełnie jak ten jegomość, o tam, albo ten tutaj. Wszyscy są tacy sami, nie wiesz?

– Wskazała kilka stołów w pobliżu i Kate z najwyższym trudem powstrzymała się przed złapaniem dziewczyny za rękę. Idiotka.

– Tamten człowiek był szczupłej budowy. Jeździec. Pracował w królewskich stajniach.

Dziewczyna zaczęła kręcić głową, ale potem na jej twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Chodzi ci o Hale’a Brightona! – Niemal wykrzyczała to nazwisko.

– Tak. – Kate gestem poleciła jej, by zniżyła głos. Janelle podparła się pod boki.

– Dlaczego o niego pytasz?

Pytanie kompletnie ją zaskoczyło. Tak bardzo skupiła się na przebraniu, że zapomniała wymyślić sobie do kompletu wiarygodną historyjkę.

– Uch... Po prostu... Z ciekawości, to znaczy, no wiesz, jest sławny. Czy raczej niesławny.

– Nie wydaje mi się. – Janelle odwróciła się na pięcie i odeszła.

Kate odprowadziła ją wzrokiem, serce waliło jej jak oszałałe. Janelle skierowała się w głąb pomieszczenia i zaczęła rozmawiać ze starszą kobietą stojącą przy drzwiach do kuchni. Jej głowę wieńczyła misterna fryzura z upiętych, siwych loków, a suknia z wysokim kołnierzem nie odsłaniała ani odrobiny skóry. Kate pojęła, że musi to być właścicielka tego przybytku.

Po chwili zrozumiała też, że jej niewinne pytania potraktowano całkiem poważnie. Wszyscy wokół zaczęli szeptać, niektórzy pokazywali ją sobie rękami. Gospodyni ruszyła ku niej powolnym, miarowym krokiem. Kate sięgnęła po wino, ale zrezygnowała w obawie, że rozleje trunek. Czuła nie tylko wzbierający strach, ale też wyczekiwanie. Jeśli ktokolwiek wie, czemu ojciec wpłacał tak duże sumy dla tego przybytku, to z pewnością jego właścicielka.

Kobieta zatrzymała się przy stole Kate.

– Jestem madam Anise. Smakuje ci wino? Jedzenie?

Kate przytaknęła raz, drugi.

– To dobrze. – Anise splótła ręce na piersi. – A czy dziś wieczór będziesz zażywać też innych rozrywek?

Kate pokręciła głową, czując ciepło rozlewające się po karku.

– Rozumiem. W takim razie spodziewam się, że gdy tylko skończysz wino, wyjdiesz stąd, tak?

Kate zazgrzytała zębami. Nie tak miało to wyglądać. Spojrzała wyzywająco na kobietę.

– Mogę zamówić kolejne i jeszcze następne.

Anise pochyliła się i Kate zrozumiała, że to kobieta silna ciałem, ale jeszcze silniejsza duchem.

– Nie wydaje mi się.

Zastanawiała się nad odpowiedzią, nim jednak cokolwiek wymyśliła, siedzący przy pobliskim stole mężczyzna wstał i potykając się, ruszył w ich kierunku. Jego długa, krzaczasta broda połyskiwała od rozlanego wina, otaczała go mdląca woń alkoholu.

– Co to za dziewczyna próbująca udawać chłopaka? To Zdrajczyni Kate,

prawda, Anise?

Burdelmama przygwoździła go miażdżącym spojrzeniem.

– Wiesz, kim jest, Boyle? Płacącą klientką. A teraz wracaj do swojego trunku. Czy może chciałbyś, żebym posłała po Kristiane?

Boyle wycofał się szybko, ale nie miało to już znaczenia, bo oto zbliżali się inni. Szukając wzrokiem drogi ucieczki, na wypadek gdyby jej potrzebowała, Kate dostrzegła w głębi sali znajomą twarz. Jednak na widok czerwonego znamienia na nosie i policzkach tamtego mężczyzny, piętna Cieniorodzonego, żołądek ścisnął jej się ze strachu. Mimo czterech spędzonych tu tygodni nie zapomniała pełnych groźby słów mistrza Raitha, który teraz siedział przy stole kilka kroków dalej. Z jakiejś przyczyny nie miał na sobie maski ani szaty i pewnie dlatego nie zauważyła go wcześniej. On też ją zauważył, ale sekundę później już jej zniknął z oczu, a Kate zorientowała się, że otacza ją grupka wrogo nastawionych mężczyzn.

– Wstawaj, dziewczyno! – Głos Anise nie dopuszczał protestów.

Podniosła się posłusznie. Kobieta wzięła ją za rękę i poprowadziła obok mężczyzny. Jej uścisk przypominał imadło, Kate próbowała się uwolnić, bez skutku.

– Puść mnie! – rzuciła, kiedy znalazły się już w przejściu wiodącym do drzwi wejściowych. – Mam kilka pytań i nie odejdę, póki nie uzyskam na nie odpowiedzi.

– Bądź cicho, durna dziewczyno. Chcesz, żeby wszyscy goście dowiedzieli się, czemu tu jesteś?

Kate umilkła zaskoczona. Poczła nagłe oburzenie, potem jednak rozsądek zwyciężył. Właśnie zrobiła scenę, ujawniała swoje sprawy ludziom, którzy źle jej życzyli, a wśród nich był Raith, człowiek, znający już jej najbardziej skrywany sekret. Zaciśnęła wargi i przestała się opierać. Anise jednak nie puściła jej ręki – wywlokła Kate wąskimi drzwiami do niewielkiego pomieszczenia, którego Kate wcześniej nie zauważyła. Było to prywatne biuro, na tyle duże, by pomieścić wąskie biurko i dwa krzesła.

– Siadaj. – Anise pchnęła Kate w stronę najbliższego krzesła, zamknęła drzwi, a potem odwróciła się, patrząc wprost na nią. – Po co tu przysłaś?

Kate zastanawiała się, czy nie skłamać, ale wiedziała, że ma tylko jedną szansę, by dostać to, czego chce.

– Mój ojciec, Hale Brighton, przez ostatnie trzy lata życia regularnie przelewał spore sumy do tego przybytku. Chcę wiedzieć dlaczego.

Anise splotła ręce na piersi.

– Skąd o tym wiesz?

– Z księgi rachunkowej. Zapisanej jego pismem, wyraźnie tam wymienia „Święty Miecz”.

Nozdrza Anise rozchyliły się gwałtownie, wyglądała tak, jakby miała ochotę dźgnąć kogoś nożem. Kiedy jednak znów przemówiła, jej głos brzmiał spokojnie i rozkazująco.

– Wróć tu jutro rano, bardzo wcześnie. Nie mów nikomu. Załóż kaptur, ale nie ten idiotyczny kubrak, i pilnuj, by nikt cię nie śledził. Zrozumiałaś?

– Tak – odparła Kate. – Ale...

Anise uciszyła ją kolejnym spojrzeniem, potem otworzyła drzwi i zawołała jedną z dziewczyn stojących przy podeście.

– Wyprowadź naszego gościa tylnym wejściem.

Kate podążyła za dziewczyną korytarzem po lewej, a w głowie wirowały jej myśli o tym, co właśnie zaszło. Mijały kolejne, zamknięte drzwi. Za jednymi otwartymi ujrzała niewielką, bogato zdobioną sypialnię. To jej wystarczyło, odwróciła wzrok i więcej nie patrzyła.

Korytarz kończył się drzwiami wiodącymi na ciemną, zasłaną śmieciami uliczkę. Już na dworze Kate zawahała się, chwilę odczekała, aż wzrok przywyknie do ciemności, po czym skręciła w lewo, szukając drogi powrotnej na główną ulicę. Chwilę później wyszła niedaleko wejścia do „Świętego Miecza”. Odetchnęła głęboko, zerkając na drzwi. Strach i wyczekiwanie ścisnęły jej wnętrzności niczym dwa węże gotowe do ataku. Wiedziała, że nie zdoła zasnąć, skoro za zaledwie kilka godzin pozna prawdę na temat ojca. Nawet obecność Raitha nie mogła osłabić uczucia ulgi. Kiedy się dowiem, ucieknę, jeśli tylko będę musiała.

W tym momencie ze „Świętego Miecza” wyszło kilku mężczyzn. Wśród nich Kate dostrzegła paru z tych, którzy grozili jej wcześniej.

– To ona – powiedział jeden z nich. – To Zdrajczynie Kate.

Obróciła się na pięcie i pospieszyła naprzód, naciągając mocniej kaptur. Ulicę wciąż wypełniał tłum ludzi i bez trudu powinna zgubić prześladowców. Słyszając za sobą krzyki, przyspieszyła kroku.

Wkrótce zmęczy ich ta zabawa, wmawiała sobie, ale tłum był coraz mniejszy, a oni wciąż za nią szli. Dostrzegłszy boczną alejkę, śmignęła w nią; teraz z łatwością ich zgubi. Alejka wyprowadziła ją na cichą uliczkę, niemal opuszczoną o tej porze nocy. Światło latarni przygasło, olej prawie się już

wypalił, ale nad głową jaśniał księżyc w pełni, srebrzysty blask migotał na bruku.

Kate zwolniła nieco, sprawdzając, gdzie dokładnie jest. Woląa się tu nie zgubić. Wyglądało na to, że ulica biegnie równolegle do tej, którą opuściła. Jeśli pójdzie nią dość daleko, będzie mogła wrócić, a potem odnaleźć drogę do zamku.

Z ciemności na skrzyżowaniu wyłoniło się dwóch mężczyzn. Kate zamarła, rozpoznając ich twarze. Dyszeli, widać biegli, chcąc ją wyprzedzić i tym samym odciąć jej drogę. Obróciła się gwałtownie i odkryła, że pozostali także już tu są, zbliżają się do niej wąską uliczką. Złapała za sztylet i stawiała czoło dwóm pierwszym. Oceniała, że łatwiej przebiję się przez nich. Nie mogła zostać i walczyć, nie z tyłoma, uzbrojona tylko w sztylet.

Zebrawszy się w sobie, śmignęła naprzód i cięła szybko. Zaskoczyła pierwszego mężczyznę, rozpruwając mu ramię.

Uskoczył na bok, a ona przemknęła przez odsłoniętą lukę. Nim jednak zdołała się oddalić, chwyciła ją czyjaś dłoń. Pozostali zrównali się z nimi, poruszali się szybciej, niż się spodziewała. Silne palce zacisnęły się wokół jej ramienia, szarpiąc w tył, i Kate straciła równowagę. Sztylet wypadł jej z dłoni. Obracając się w stronę napastnika, wymierzyła szybki, szaleńczy cios. Trafiła w pierś, mężczyzna sapnął, ale jej nie puścił. *Głupio, Kate, celuj wyżej. W gardło.*

Spróbowała, lecz tymczasem pochwyciły ją kolejne ręce. Bezskutecznie się szamotała, nie mogła się uwolnić, nie przy tak skoordynowanym ataku, nie z rąk mężczyzn, którzy nie zamierzali walczyć, tylko ją pokonać.

– Puszczajcie! – krzyknęła. – Puście mnie! – Zaczęła się wyrywać, wkładając w to całą siłę.

– Już, już, nie ma sensu walczyć – rzucił jeden z nich. – Chcemy tylko wymierzyć sprawiedliwość. Córnka zdrajcy nie powinna nosić takich błyskotek, nawet jeśli zyskała sobie łaski tego durnia Corwina. Dobrze zatem, że Zbłąkanego Księcia tu nie ma i nie może cię ochronić. – Mężczyzna oderwał jeden z rubinowych guzików.

– Jesteś złodziejem – warknęła Kate. – To nie ma nic wspólnego z moim ojcem!

Kopnęła, trafiając go w przegub. Z wrzaskiem upuścił rubin, a ona wymierzyła mu kolejnego kopniaka. Mężczyzna uskoczył.

– Zapłać jej za to, John.

Rosły drab, wyraźnie najwyższy z całej grupy, podszedł bliżej, zaciskając prawą dłoń w pięść. Kate znów kopnęła, szamocząc się jeszcze mocniej i desperacko próbując się uwolnić. John odbił kopniaka jedną ręką, a drugą wymierzył cios, trafiając ją w brzuch i odbierając jej nie tylko głos, ale i oddech. Chciała zwinąć się w kłębek, by złagodzić rozdzierający ból, ale okrutne ręce podtrzymały ją w górze. Mężczyzna zwany Johnem znów ją uderzył, a potem odstąpił na bok, przepuszczając pierwszego. Tamten kopnął Kate w bok nogi i błyskawica bólu przeszła ją aż do zębów. W następnej chwili wszyscy rzucili się na nią, zasypując ciosami.

Poczuła, że traci przytomność. Walczyła z całych sił; musiała walczyć, wiedziała bowiem, że tamci nie przestaną, póki jej nie zabiją. Zmusiła się do otwarcia oczu i zobaczyła światło księżyca spływające na nią, jasne jak dzień.

Przywołując całą siłę, jaką dysponowała, Kate wciągnęła w płuca powietrze i krzyknęła.

– PUŚĆCIE MNIE!

Polecenie to miało w sobie coś więcej niż tylko słowa. W jakiś sposób, choć to niemożliwe, przywołała swoją dziką magię. To była najgłębsza część niej, ta najprawdziwsza – ta, która się nie poddała. Magia wytrysnęła z niej niczym eksplozja, a trzymający ją mężczyźni odskoczyli, oszołomieni i ogłuszeni.

Uświadamiając sobie, że jest wolna, Kate dźwignęła się z ziemi i pobiegła przed siebie.

21

KATE

Z każdym krokiem jej nogę przeszywała błyskawica bólu, Kate jednak ledwo ją czuła. Skręciła w najbliższą alejkę. Wytężając wzrok, by dostrzec cokolwiek w ciemności, potknęła się o jakieś śmieci i odpadki, pośliznęła w błocie. Nim upadła, ktoś ją podtrzymał.

– Nie! – krzyknęła, znów sięgając po swój dar. Udało jej się go przywołać, tym razem bardziej opornie niż poprzednio, ale mimo nocy wciąż tam był.

Dłoń ściskająca jej rękę rozluźniła uchwyt, ale nie puściła.

– Nie zrobię ci krzywdy, Kate.

Rozpoznała głos i poczuła nieprzewartą ochotę, by wybuchnąć śmiechem. Dlaczego spośród wszystkich ludzi, którzy mogli ją tu znaleźć, musiał to być akurat mistrz Raith?

– Ale proszę, przestań używać na mnie swojej magii – dodał magista. – To mnie bardzo dezorientuje. – Zagapiła się na niego, zbyt oszołomiona, by odpowiedzieć.

– Ruszajmy, nim tamci dojdą do siebie i zaczną nas gonić. – Raith pociągnął ją naprzód.

Kate jak ogłuszona podążyła za nim na główną ulicę. Bała się Raitha, lecz większym zagrożeniem teraz byli tamci. Ulica okazała się mniej ruchliwa niż wcześniej, a magista trzymał ją za rękę niczym przyzwoitka.

– Uspokój się i zachowuj naturalnie. I postaraj się przytrzymać jakoś ten kubrak – rzucił cicho.

Kate posłuchała, krzywiąc się na widok stanu okrycia, poszarpanego i brudnego. Połowy rubinów brakowało. *Kiedy Signe to zobaczy, zamorduje mnie.*

Przez kilkanaście minut szli w milczeniu. Po jakimś czasie poczuła pierwszą, zalewającą ją falę ulgi, a wraz z nią przyszła świadomość rozmiaru obrażeń. Prawa ręka pulsowała boleśnie w miejscu, gdzie jeden z mężczyzn ją kopnął. Kate próbowała też nie kuśtykać, ale bez powodzenia.

Zauważywszy to, Raith sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwyczajny szary kamyk. Uniósł go do ust – gest ów wyglądał bardzo niepokojąco ze względu

na trwale poczerniałe koniuszki jego palców – i wyszeptał słowo przywołania, muskając wargami kamień, po którego powierzchni przebiegła fala białego światła, gdy aktywował zaklęcie. Podał go jej.

– Przyciśnij to do serca. Zaleczy najgorsze rany.

Kate przyjęła kamień uzdrawiający i z westchnieniem wdzięczności przytuliła go do lewej piersi. Magia zadziałała natychmiast. Po jej ciele rozeszło się mrowiące gorąco, a po chwili mogła już iść normalnie, choć ból pozostał, nie pozwalając zapomnieć o tym, co zaszło. Zużywszy całą magię, oddała kamień Raithowi.

– Dlaczego mi pomagasz? – Zerknęła na niego, w słabym świetle jego znamię wydawało się jedynie dziwnym cieniem padającym na twarz.

– To osobliwe pytanie – odparł Raith, nie patrząc na nią, lecz wbijając wzrok przed siebie, w miejsce, gdzie ulica zaczynała skręcać. Na rogu tkwił kram garbarza. – A dlaczego nie miałbym pomóc?

Zmarszczyła brwi, niepewna, czy drwi, czy też nieświadomie udaje głupca. Tak czy inaczej, była zbyt zmęczona na jakiegokolwiek gierki.

– Ponieważ groziłeś mi w dniu, gdy przybyliśmy do Norgardu.

– Groziłem? – Raith spojrzał w jej stronę, unosząc brwi. – Nie pamiętam, żebym ci groził.

Kate skrzywiła się i zniżyła głos, choć jedyna osoba, jaką dostrzegła w pobliżu, i tak była zbyt daleko, by ich podsłuchać.

– Owszem, groziłeś. Powiedziałeś, że wiesz, czym jestem.

– A czym jesteś, Kate?

Pytanie to kompletnie ją zaskoczyło. Ale przecież wie! Niezdolna odpowiedzieć, spojrzała przed siebie, skupiając się na drodze. Wkrótce okazało się, że osoba idąca ulicą to starsza kobieta o wąskich, przygarbionych wiekiem ramionach, wbijająca wzrok w ziemię, jakby bała się, że się potknie. W chwilę później zerknęła najpierw na Kate, potem na Raitha.

– Dobry wieczór – magista pozdrowił ją skinieniem głowy.

Kobieta przez chwilę wpatrywała się w jego twarz, a zwłaszcza w znamię Cieniorodzonego, nagle jej oczy rozszerzyły się ze strachu. Potem uczyniła gest obronny i z rozmysłem skręciła, przechodząc na drugą stronę drogi i nie odpowiadając na pozdrowienie. Kate spojrzała na Raitha, pewna, że dojrzy na jego twarzy gniew bądź irytację z powodu takiej niegrzeczności. Tymczasem wyglądał tak, jakby niczego nie zauważył.

Kiedy staruszka ich minęła, odezwał się.

– Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać, Kate Brighton. Cały ten czas dochowywałem twojego sekretu i to się nie zmieni, ale żałuję, że brak ci odwagi, by ogłosić, czym jesteś. Twój ojciec nigdy tego nie zrobił i nie bardzo mi to pasuje.

– Znałeś mojego ojca? – Słowa te zabrzmiały bardziej jak oskarżenie, a nie jak pytanie. Raith przytaknął, przekraczając stertę śmieci zostawionych przed ciemnym przejściem.

– Owszem, dostatecznie dobrze, by wiedzieć, czym był, i że potrafił wpływać na umysły.

Kate chciała zaprzeczyć, ale uznała, że nie ma sensu.

– Chcesz powiedzieć, że wpływał na umysły zwierząt – poprawiła. Raith pokręcił głową.

– Zwierzęta to był tylko początek jego mocy. Ze względu na ich prostotę najłatwiej jest ich dotknąć i nimi kierować. Ale gdy wyszlifował swoje umiejętności, nauczył się znacznie, znacznie więcej. Z pewnością jednak już to wiesz, zważywszy na sposób, w jaki odpędziłaś tamtych mężczyzn.

Moja magia. Użyłam jej na człowieku! I to nocą. Wstrząśnięta, zachwiała się. Raith chwycił ją za rękę żeby nie upadła.

Ale nie, to przecież niemożliwe, jej magia tak nie działała, wpływała wyłącznie na zwierzęta. A jednak...

– Nie wiedziałam – odparła niewiele głośniej od szeptu. – Pierwszy raz zrobiłam coś podobnego.

Raith zatrzymał się gwałtownie, patrząc na coś w oddali – na mężczyznę na koniu zmierzającego w ich stronę. Nie, nie jakiegoś tam mężczyznę, ale Corwina. Magista odwrócił się do Kate.

– Musimy pomówić dłużej – rzucił szybko. – Kiedy odpoczniesz. Mogę ci pomóc, Kate, i co ważniejsze, ty możesz pomóc mnie.

– W czym? – Zmrużyła oczy, w jej głowie rozległy się dzwonki alarmowe.

– Ocalić Rime przed zniszczeniem i dokończyć zadanie rozpoczęte przez twego ojca. – Raith urwał i skłonił się nisko, bo Corwin właśnie do nich dotarł. – Wasza Wysokość.

Corwin zeskoczył z siodła, wpatrzony wyłącznie w Kate.

– O bogowie, co się stało? – Omiótł wzrokiem jej podarte, przybrudzone ubranie, potem chwycił ją w ramiona. – Nic ci nie jest?

Oparła się o niego, osłabła z ulgi. Słowa Raitha wciąż dźwięczały jej

w głowie, ale w tej chwili nie dostrzegała w nich sensu. A teraz, w objęciach ciepłych, silnych ramion, nie chciała go nawet szukać.

Chwileczkę, co ja wyprawiam? Uwolniła się z uścisku.

– Nic mi nie jest. Po prostu miałam drobne kłopoty.

– W „Świętym Mieczu”? – W głosie Corwina zadźwięczała nuta gniewu. Kate zobaczyła mięsień drgający na jego szczęce.

– Co ty tu w ogóle robisz? – zapytała; nie zamierzała czuć się winna ani się tłumaczyć.

– Pojechałem cię szukać. Gdy przekonałem się, że nie ma cię w komnatach, zrozumiałem, że planujesz coś niemądrego.

– Najlepiej będzie jak najszybciej zabrać ją do domu, Wasza Wysokość – wtrącił Raith, gdy Kate już zbierała się w sobie, by zaprotestować. – Zanim pojawią się kolejne kłopoty.

– Tak, masz rację. – Corwin pochylił się, jakby chciał ją podnieść, ale Kate cofnęła się chwiejnie.

– Co ty robisz? Nie musisz mnie nosić.

Corwin podparł się pod boki.

– Ale z ciebie uparta oślica – wymamrotał. – Dobra, wsiadaj na konia. – Potem odwrócił się do Raitha. – Dziękuję, że jej pomogłeś.

Sama sobie pomogłam, chciała odparować Kate, ale ugryzła się w język. Woląca nie odpowiadać na żadne pytania co do prawdziwego przebiegu wydarzeń. Próbując się nie skrzywić z bólu, dosiadła Zwiastuna Nocy.

Raith skłonił głowę.

– Proszę bezpiecznie zawieźć ją do zamku, Wasza Wysokość. Jutro zajrzę, by złożyć meldunek o gadźcach. Załedwie dziś wieczór wróciłem do miasta.

Corwin przytaknął z roztargnieniem, potem odwrócił się i wskoczył na siodło za plecy Kate. Rękami objął ją w pasie i przyciągnął do swej piersi. Przez chwilę stawiała opór, potem ustąpiła, wspierając się o ciepłe, silne ciało. Bez słowa wrócili do zamku.

Kiedy dotarli na dziedziniec, Corwin zsunął się z konia, po czym pomógł jej zejść. Oddał wodze Zwiastuna Nocy stajennemu i chciał zaprowadzić Kate do zamku, ale wyrwała mu się szybko.

– Dalej już trafię sama.

– Nie, Kate, odprowadzę cię bezpiecznie do komnaty i sprawdzę, czy na pewno nic ci nie jest, czy też po prostu to twój upór.

Zbyt zmęczona, by stoczyć kolejną bitwę, zacisnęła usta i pozwoliła mu

odprowadzić się aż do kwatery. Kiedy znaleźli się w środku, na szczęście nie protestował, gdy ruszyła do sypialni się przebrać.

Rzuciła zniszczone ubranie na stertę w kącie, szybko zdjęła bandaż, którym owinęła piersi, by je spłaszczyć, i naciągnęła czystą koszulę. Na nią zarzuciła szatę, ledwie czując napór pasa księżycowego na biodra; nosiła go tak długo, że praktycznie już go nie dostrzegała.

Kiedy wróciła do głównego pokoju, Corwin wziął ją za rękę i podprowadził do najbliższego fotela. Ukląkł przed nią, marszcząc brwi.

– Potrzebujesz uzdrowiciela? Gdzie cię zranili?

Kate pokręciła głową.

– Już mówiłam, nic mi nie jest. Mistrz Raith użył mi kamienia uzdrawiającego.

– Potrzebowałaś kamienia? – Dłonie Corwina zacisnęły się w pięści. – Jak ciężko zostałaś ranna? Zresztą nieważne. Wiesz, kto cię zaatakował? Znajdę ich i pozabijam.

– Nie, nie zrobisz tego. – Kate westchnęła z irytacją. Corwin zaczął krążyć po pokoju.

– Dlaczego poszłaś beze mnie? Bez kogokolwiek? Uprzedzałem cię, Kate. Dlaczego zawsze musisz być taka nieostrożna?

Poczuła, jak budzi się w niej złość.

– Nie byłam nieostrożna. Poszłam w przebraniu, wszystkiego pilnując, po prostu coś poszło nie tak. I nie zabrałam cię z tego samego powodu, co wcześniej. Nikt nie zdradzi tajemnicy arcyksięciu Rime.

– O tak, a tobie powiedzieli tyle, że aż musieli cię stłuc na kwaśne jabłko.

Z pełnym niesmaku prychnięciem wstała, odsuwając się od Corwina, żeby go nie uderzyć. Także zaczęła krążyć wokół komnaty, gniew przegnał zmęczenie. Tak naprawdę to nie gniew jednak czuła, ale resztki strachu – paskudnego uczucia, że nie zdoła uciec mężczyznom, którzy źle jej życzą. I świadomości, że przepędziła ich swą magią.

Wpływ na umysł – wszystkie, nie tylko zwierzęce.

Zaciekawiona, mimo wątpliwości znów sięgnęła po magię, zastanawiając się, czy zadziała. Ale moc spoczywała w niej uśpiona, niedostępna jak zawsze nocą. W umyśle Kate pojawiły się pytania, ale je odepchnęła. Wiedziała, że tutaj nie znajdzie odpowiedzi.

– Przepraszam, Kate – mruknął Corwin z drugiej strony pokoju. – Nie powinienem był tego mówić.

Odwróciła się i na jego twarzy dostrzegła szczerą. Z policzków zniknął rumieniec, w oczach pojawił się dziwny wyraz.

– Wiem, jakie ważne jest dla ciebie odkrycie prawdy o ojcu, a ja niewiele ci w tym pomogłem – podjął. – Udało ci się odkryć cokolwiek?

Zapatrzyła się w niego, kompletnie zaskoczona nagłą zmianą podejścia. Oto kolejny dowód, jak bardzo dorósł i zmienił się. Dawny Corwin nigdy tak łatwo nie otrząsał się z zaborczego gniewu.

– Nie – odparła w końcu, przypominając sobie ostrzeżenie Anise. – Miałaś rację, nie chcieli ze mną rozmawiać. – Odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze, próbując się uspokoić. – I nie przeprasza, wiem, że ostatnio też miałaś trudno, w końcu uror iienne gadźce. Tajemnice ojca to mój własny problem.

Twarz Corwina rozjaśnił nieśmiały uśmiech.

– Czy mogę zatem coś ci wyznać, coś okropnie samolubnego, o czym pewnie wolałabyś nie słyszeć?

Miała wrażenie, że powietrze wokół nich zgęstniało, nasączone nieznaną energią. Jej serce bez powodu przyspieszyło.

Nie potrafiła znaleźć żadnego wyjaśnienia, może prócz głodu i desperacji w jego oczach. Rozpoznała to spojrzenie, dawniej pojawiało się tuż przedtem, nim ją pocałował. Myśl, że teraz też mógłby to zrobić, sprawiła, że poczuła mrowienie ramion.

– Co to takiego?

Corwin zbliżył się o krok, jeden, potem drugi, aż w końcu stanął tak blisko, że czuła gorąco bijące z jego ciała.

– Jakaś część mnie cieszy się, że niczego się nie dowiedziałaś... ponieważ... wiem, że kiedy poznasz prawdę, przynajmniej to pragnienie przestanie trzymać cię tu, w Norgardzie.

Kate spojrzała na niego oszołomiona.

– A nie chcę, żebyś znów wyjechała.

Nie odwracał wzroku, wyraz jego twarzy miał w sobie coś nagiego, jakby odsłaniał przed nią wszystkie swe uczucia – czułość, zwątpienie, pożądanie.

Kate zalała fala emocji. Miała wrażenie, że powietrze między nimi wręczy iskry i było to jednocześnie przerażające i przyjemne. Postąpiła krok naprzód, dłonie Corwina uniosły się ku jej twarzy, przechylając ją w górę. Przycisnął usta do jej ust.

Gorąco eksplodowało w piersi Kate, przenikając do jej brzucha i niżej.

Odpowiedziała pocałunkiem, otwierając wargi i wpuszczając do środka język Corwina. Pamiętała jego dawne pocałunki, delikatne, pełne wahania. Ten zupełnie ich nie przypominał. Tamte dawne były niczym łagodny deszczyk, teraz nadeszła burza. Kate zamknęła oczy, czując pulsujący w ciele wir uczuć. Zapomniała o bólu, pozostało tylko słodkie, rozedrgane mrowienie jego dotyku. Pragnęła tego.

Słodka bogini, jak bardzo tego pragnę.

Zacisnęła dłonie na jego ramionach. Ręce Corwina oplotły teraz Kate w pasie. Gdy musnął palcami pas księżycowy, na moment wstrzymał oddech. Pociągnął ją ku sobie, przyciskając mocno. Potem oderwał wargi od jej ust, zasypując pocałunkami policzki i szyję. Zadygotała, jej ciało wzdrygnęło się przed torturą rozkoszy. Oparła dłoń o jego pierś, czując napięte mięśnie. Jej palce sunęły niżej, pragnąc go zbadać.

Corwin rozwiązał pasek szaty, by ująć jej piersi swobodnie teraz pod koszulą. Kate jęknęła, czując jego dotyk, a on przechwycił ów dźwięk ustami. Potem pochylił się i dźwignął ją w objęciach. Oplotła go w pasie nogami, a on zacisnął dłonie na jej udach. Ruszył do sypialni i złożył ją na łóżku. Znów ją pocałował, tym razem dłużej, powolniej, rozkoszując się smakiem. Potem położył się na niej, przyciskając ją do materaca. Kate próbowała odetchnąć głęboko, ale nie mogła. Znów spróbowała, tym razem ogarnęła ją lekka panika, przywołując do rozsądku.

– Corwinie – pchnęła go mocno – co my robimy?

Z jękiem uniósł się i spojrzał na nią.

– Czyż to nie oczywiste? – Znów pochylił głowę, delikatnie skubiąc ją w szyję.

Owszem, o tak, pomyślała i znów przymknęła oczy. Jej ciało wiedziało dokładnie, czego chce, choć nigdy wcześniej tego nie robiła. Zagryzła wargę, walcząc z falą pożądania.

– Ale co będzie potem?

Corwin znów uniósł głowę, na jego wargach zatańczył diabelski uśmiech.

– No cóż, jeśli wszystko dziś pójdzie dobrze, możemy to powtórzyć jutro. A potem pojutrze i znowu, i znowu...

Kiedy jednak spróbował ją pocałować, odwróciła szybko głowę.

– O co chodzi, Kate? – Corwin zmarszczył brwi z widoczną troską, jego dłoń spoczęła na biodrze dziewczyny, z roztargnieniem przesunął palcem po kamieniu księżycowego pasa.

O bogowie, pas! Nagle wszystko zrozumiała i ta świadomość w ciągu sekundy ostudziła żądze. Nic dziwnego, że zachowywał się tak śmiało! Wyciągnął błędne wnioski i to zapewne wiele tygodni temu, gdy po raz pierwszy upuściła pas księżycowy na ulicy Farholdu. Wziął ją za kogoś, kim nie jest. Za kogoś, kto bierze sobie kochanków dla czystej rozkoszy ciała, bez myśli o konsekwencjach i uczuciach. Ale ona nie umiała rozdzielić tych dwóch rzeczy. Może i nosiła pas, ale pozostała tą samą dawną Kate.

Na jego twarzy odbiło się zaskoczenie.

– Potrzebujesz zapewnień? Chcesz, żebym poprosił oficjalnie?

Teraz to ona spojrzała na niego zaskoczona.

– Poprosił o co?

– Abyś została moją metresą.

– Czym? – Kate usiadła, odpychając go tak silnie, że sapnęła i poleciał na łóżko. Zerwała się przepęlniona oburzeniem. – Twoją metresą?

A zatem o to mu chodziło? Mówił, że nie chce, by odeszła. Czy tak zamierzał przekonać ją, aby została? Corwin zamrugał zaskoczony.

– Tak, z pewnością wiesz, co to takiego.

– Oczywiście, że wiem – warknęła.

Wśród szlachty zdarzało się to nader często, w końcu większość małżeństw zawierano nie z miłości, tylko ze względu na politykę. Metresy często miały ogromną władzę i wpływy, niekiedy nawet większe niż żona mężczyzny, z którym się związały.

Żona.

Przez sekundę Kate zrobiło się niedobrze na myśl, że miałyby dzielić się Corwinem z inną kobietą. Nie. To nie dla niej.

Nigdy.

Naciągnęła szatę na ramiona i ciasno zawiązała pasek.

– Odpowiedź brzmi „nie”. Nie zostanę metresą żadnego mężczyzny. Jeśli tak sądziłeś, to w ogóle mnie nie znasz.

Corwin, wyraźnie oszołomiony, podniósł się z łóżka i poprawił ubranie.

– Nie rozumiem. Pragnęłaś tego równie mocno jak ja. – Bezradnie skinął ręką. Nie mogła zaprzeczać.

– Owszem, pragnęłam. – *I wciąż pragnę*, krzyczało jej ciało, cieszyła się, że on tego nie słyszy. Odetchnęła głęboko, powoli wypuszczając powietrze. – Ale to nie wszystko, czego chcę, a przynajmniej nie sądzę. Wiem jednak, że nie chcę oddać ci tej części siebie, jeśli ty nie jesteś gotów zrobić tego

samego.

Corwin patrzył, niczego najwyraźniej nie rozumiejąc.

– O czym ty mówisz?

– O twojej żonie. Księżniczce, którą kiedyś poślubisz. – Podparła się pod boki. – Nie rozumiesz? Czy chciałbyś dzielić się mną z innym mężczyzną?

– Absolutnie nie! – parsknął i jego nozdrza rozszerzyły się gwałtownie.

– No i proszę. – Kate znów odetchnęła, próbując zapanować nad swym temperamentem. – Nie będę żyła cudzym życiem, nawet dla ciebie.

– Nigdy bym tego nie żądał. – W oczach Corwina dostrzegła rezygnację. – Ale wiesz, że nie mam wyboru co do tego, kogo poślubię.

Wiedziała, tyle że...

– *Jesteś arcyksięciem, być może zostaniesz też arcykrólem. To ciebie słucha świat, nie odwrotnie.*

– To niesprawiedliwe, Kate. Wiesz, że sprawy nie wyglądają tak prosto.

– Ale mogłyby – rzuciła z oburzeniem. – Gdybyś tylko... – Urwała, niepewna co właściwie mówi. Zawód, który czuła teraz, odczuwała już wiele lat temu. Kiedy również zamiast niej wybrał królestwo.

Corwin głośno wypuścił powietrze z płuc, wyraźnie zraniony. Przez chwilę przypominał bezradnego chłopca.

– Sądziłem, że znów zostaliśmy przyjaciółmi... tak jak kiedyś.

Kate zacisnęła wargi. Powróciły wspomnienia ostatnich tygodni – porannych przejazdów za miastem, przekomarzań, mimowolnych dotknięć. Choć próbowała się opierać, pozwoliła mu znowu zakraść się do jej życia, a sobie zapomnieć o wszystkim, co ich dzieli.

To arcyksiążę. Nigdy nie będzie nikim innym. Westchnęła.

– Nigdy nie będzie już tak jak kiedyś, Corwinie – rzekła cicho. – Te czasy umarły wraz z moim ojcem.

Corwin wzdrygnął się i spuścił wzrok; wyraźnie czuł się winny. Odwrócił się i wyszedł, pozostawiając ją w ciemności i ciszy. Samą z własną dumą i niczym ponadto.

Rano „Święty Miecz” wyglądał zupełnie inaczej. Budynek był cichy, niemal zupełnie pusty i wydał się Kate dziwnie przytulny. Złociste słoneczne światło wypełniało hol, wpadając przez wysokie okno z kryształowymi szybami. Słońce oświetlało czubek głowy Kate, gdy stała, czekając na madame. Po przybyciu powitała ją inna dziewczyna niż tamte z zeszłej nocy, ubrana w prostą spódnicę i skromny stanik. Prawie nie zwracała uwagi na Kate, sprząając drewniany podest i przecierając go nasączoną olejem szmatą.

Kate wyciągnęła szyję i zajrzała do gospody, z której dobiegał odległy brzęk naczyń. Jej nozdrza wypełnił przyjemny zapach przypominający żołądkowi, że rano, gdy śpieszyła się, chcąc wyjść, nim Corwin zjawi się pod drzwiami z kolejną kuszącą porcją słodkich bułeczek, zapomniała o posiłku. Teraz wydało jej się to niemądre. Corwin z pewnością dziś się nie zjawił, nie po zeszłej nocy. Podejrzewała, że dlatego właśnie tak bardzo się śpieszyła – by uniknąć bólu, jaki sprawi jej jego nieobecność.

Tak będzie najlepiej, upomniała się w duchu. Nie powinna była nigdy dopuścić go tak blisko. Zawsze wiedziała, że nie mogą być razem, a teraz prawda ta docierała do niej aż nazbyt jasno.

W końcu drzwi niewielkiego gabinetu otwarły się i pojawiła się madam Anise.

– Proszę wejść, panno Brighton.

Kate pospieszyła naprzód, czując, jak jej żołądek wywija koziółki. Niemal spodziewała się, że znów ją odprawią. Pomieszczenie wyglądało tak samo jak zeszłej nocy, ciasne i ciemne, bez okien, oświetlone blaskiem zaledwie dwóch świec. Anise gestem poleciła Kate usiąść. Posłuchała, splotła dłonie na kolanach i zacisnęła wargi, by powstrzymać cisnące się na usta pytania. Kobieta zajęła miejsce po drugiej stronie stołu, opierając przedramiona na blacie i składając dłonie.

Ponownie miała na sobie suknię o surowym kroju, tym razem ciemnoszarą niczym gradowe chmury.

– Zanim posuniemy się dalej, chcę dać ci szansę. Odejdź stąd, póki jeszcze

możesz.

Kate, wyraźnie zaskoczona, uniosła brwi. Żarty sobie robi?

– Bez urazy, ale nie zaszłam tak daleko, by teraz zawrócić.

– Nie, ale gdybyś wiedziała, dokąd doprowadzi cię ta droga, być może nigdy byś na nią nie wstąpiła. – Anise pochyliła się na krześle. – Odpowiedzi, których szukasz, odmienią twoje życie, Kate Brighton. W sposób, którego nie potrafisz się nawet domyślić. Nigdy nie zdołasz zapomnieć tego, czego się dowiesz. O ile mi wiadomo, żyjesz w Norgardzie dość wygodnie, a księciu Corwinowi wyraźnie na tobie zależy. Mieszkasz w dawnych komnatach rodziny i niczego ci nie brak.

Kate wyprostowała się. Gdy kobieta poruszyła wrażliwy temat, jej nerwy napięły się jak postronki.

– Moje życie w zamku jest tylko tymczasowe. I zawsze takie było. Wróciłam do Norgardu, by poznać prawdę o ojcu.

Anise przyglądała jej się kilka długich sekund, w końcu pokiwała głową.

– Skoro jesteś pewna, zaczynajmy. – Otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej duży szafir, niemal rozmiarów kciuka.

Roziskrzoną powierzchnię magicznego kamienia znaczyły słabe linie. Kate rozpoznała je natychmiast. Parę dni wcześniej ona i Signe złożyły wizytę w pewnym domu zakonnym, odwiedzały je wszystkie, sprawdzając, czy nie sprzedają kamieni magicznych, które mogłyby pomóc Bonnerowi stworzyć rewolwer i nie dać się przyłapać. Natchnął je do tego incydent w Wędrującym Lesie – skoro ten, kto krył się za atakami dziennych gadźców, mógł użyć zwykłego zaklęcia dostępnego w kramach, by je ukryć, to czemu nie Bonner? Tyle że wszelkie potężniejsze, cenniejsze zaklęcia zamykano w drogocennych klejnotach, zbyt drogich dla kogoś takiego jak Kate i Signe. *Kubrak mógłby za nie zapłacić*, pomyślała Kate i raz jeszcze poruszyła się niespokojnie, gdy przypomniała sobie, w jakim jest teraz stanie. Przerazała ją sama myśl o tym, co powie Signe po jej powrocie z Tywaldu.

– Ten kamień zawiera zaklęcie wiążące. – Anise położyła szafir na blacie.

– Klątwę, która uaktywni się tylko wtedy, gdy osoba nią związana złamie przysięgę. Zrób to, a każdy cal twego ciała pokryją wrzody i rany, łącznie z językiem, byś nie mogła zdradzić nic więcej.

Kate zadrżała, bez trudu wyobraziła sobie ów straszliwy los. Pamiętała, że kiedy dorastała, podobna klątwa dotknęła młodego lorda. Tygodniami nie mógł dosiadać konia, nim w końcu zaklęcie osłabło. W owym czasie sądziła,

że to najgorsza możliwa kara.

– Nim pozwolę ci się dowiedzieć czegokolwiek jeszcze – podjęła Anise – musisz złożyć przysięgę, że nie ujawnisz tych tajemnic. Prawdy, które tak bardzo chcesz poznać, naraziłyby nie tylko twoje życie.

Kate przełknęła ślinę, w jej głowie wirowały pytania. W co takiego był wmieszany ojciec, że ta kobieta musiała posuwać się do równie drastycznych i kosztownych środków, by zapewnić sobie jej milczenie? Przez krótką chwilę zastanawiała się nawet, czy nie przyjąć propozycji Anise i nie wyjść. Ale nie. Przybyła tu po prawdę i zamierza ją poznać.

– Przysięgam.

– Doskonale. Wyciągnij rękę. – Anise podniosła szafir i położyła go na dłoni dziewczyny, potem nakryła ją własną, przyciskając do niej klejnot. Wymówiła słowa zaklęcia i Kate ujrzała światło przenikające przez ich palce, gdy uaktywnił się zaklęty w kryształach czar. Jej ciało zalała fala gorąca, czuła swędzenie i chciała się poruszyć, ale oparła się pokusie.

Po wszystkim Anise schowała szafir do szuflady. Wytrawione linie zaklęcia zamieniły się w brązowe skazy na powierzchni klejnotu, pozbawiając go piękna i wartości.

– Chodź za mną – poleciła Anise, podnosząc się z krzesła.

Wyprowadziła Kate z gabinetu do gospody. Krzesła ustawiono na stołach, podłoga miejscami wciąż była mokra po porannym szorowaniu. Anise zatrzymała się tuż za drzwiami kuchni i kazała Kate zaczekać, po czym zniknęła w środku.

Pojawiła się w chwilę później z jakąś kobietą. Niewiasta odziana w fartuch, z zawiązaną na głowie chustką zupełnie nie wyglądała na kucharkę. Była oszałamiająco piękna, miała oczy koloru morskiej zieleni i jasnozłote włosy splecione w luźny warkocz opadający aż do pasa. Choć była już niemłoda, wciąż zachowała gibką, szczupłą sylwetkę tancerki. Nie pasowały do niej jedynie dłonie ze śladami oparzeń, blizny biegły od palców przez przedramiona i znikały pod rękawami.

– To jest Vianne. – Anise wskazała kobietę. Vianne wystąpiła naprzód i uścisnęła dłoń Kate.

– Witaj, panno Kate. Tak dobrze w końcu cię poznać. Cieszę się, że się zjawiaś.

Oczy Kate rozszerzyły się, z każdą sekundą czuła się coraz bardziej zagubiona.

– Kim... kim ty jesteś?

– Nie tutaj – rzuciła Anise, po czym zawróciła i wyszła.

Podążyły za Anise i wyszły na boczny korytarz po prawej. Tym razem, w odróżnieniu od poprzedniej nocy, wszystkie drzwi stały otworem, ukazując kryjące się za nimi sypialnie. Kate zmusiła się, by zajrzeć do każdej z nich, zdecydowana, że nie okaże wstydu. Może i odrzuciła propozycję Corwina zostania jego metresą, ale rozumiała, że częściowo wynika to z jej niezdolności porzucenia ideałów dzieciństwa. W każdym pokoju były inny wystrój i atmosfera. Jeden był mroczny i zmysłowy, ozdobiony firankami z czarnej koronki, z pościelą z czarnego jedwabiu i ponad tuzinem świec, w tej chwili zgaszonych. Kolejny urządzone cały w czerwieni, następny w bieli. *Każdemu wedle pragnień*, pomyślała Kate, czując dziwny dreszcz w brzuchu.

Gdy dotarły do końca korytarza, Anise przystanąła na moment, obejrzała się przez ramię, po czym skręciła do ostatniego pokoju, kolejnej sypialni, urządzonej z największym przepychem. Ustrojona była w królewskich barwach Norgardu. Na środku stało ogromne łóżce, na tyle duże, by pomieścić z dziesięć osób, a z boku równie wielka sofa. Na wszystkich ścianach rozwieszono zwierciadła, nawet na suficie.

Gdy Vianne zamknęła za nimi drzwi, Anise podeszła do lustra na najdalszej ścianie, chwyciła gałkę na szczycie złoczonej ramy i pociągnęła. Lustro otworzyło się, ukazując przejście i schody wiodące w dół. Do pomieszczenia wpadł prąd zimnego, wilgotnego powietrza, wzbudzając dreszcz na skórze Kate. Drogę oświetlała samotna lampa wisząca na haku.

Anise ruszyła na dół i w chwilę później znalazły się w ciasnej komnacie o niskim sklepieniu, którą całkowicie wypełniały długi stół i krzesła. Wokół rozmieszczono kilkanaście drzwi, Kate zastanawiała się, czy tajemne przejście wiedzie tu z każdego z pokoi na górze.

– Dalej ty poprowadzisz – oznajmiła Anise. Usiadła na jednym z krzesel i skinęła na Vianne.

Ta bez słowa przeszła przez pokój do najdalszych drzwi w kącie i przystanąła z dłonią na klamce.

– Z pewnością będzie... podekscytowany – rzekła – nieczęsto miewamy gości. Proszę, postaraj się być cierpliwa.

Kto jest za tymi drzwiami?, zastanawiała się Kate, zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Czuła się jak przywiązana do spłoszonego konia, nie

mogła nic zrobić, jedynie pędzić naprzód wprost w ramiona czekającego nieznanego niebezpieczeństwa.

Vianne otworzyła drzwi i weszła do środka. Kate najpierw odczuła napływające ciepło, przyjemne i miłe, jakże kontrastujące z pokojem zewnętrznym. Na ścianach wisiały cztery lampy, ich płomyki migotały i tańczyły radośnie, jakby poruszał nimi wietrzyk, który przecież nie mógł wiać w tych podziemiach. Przez pokój przebiegł mały chłopiec, kierując się w stronę Vianne. Jeden rzut oka wystarczył, by Kate pojęła, że to jej syn. Mieli takie same złociste włosy, a gdy chłopiec wpadł w otwarte ramiona kobiety, ta podniosła go i obsypała pocałunkami jego głowę. On tymczasem zaśmiewał się radośnie.

– Wróciłaś – rzucił. Kate nie potrafiła ocenić jego wieku, choć sądząc po wzroście, zgadywała, że ma jakieś cztery, pięć lat. – Szybko, ja... – chłopiec wyciągnął szyję, patrząc na Kate. – A to kto? – Wydawał się jednocześnie zaintrygowany i wystraszony. Drobne, chude palce zacisnął na ramionach matki tak mocno, że zbieleły mu kostki.

– To, mój mały książę, bardzo wyjątkowy gość. – Vianne pochyliła się i postawiła syna na ziemi. Musiała oderwać od siebie jego dłonie, ale tylko po to, by natychmiast uchwycił się fałdów jej spódnicy. Odwróciła się do Kate. – To mój syn, Kiran.

Kate wpatrywała się w kobietę, a w głowie czuła pustkę. Wyjaśnienie, dlaczego przedstawia jej syna, próbowało przebić się do jej głowy, ale było zbyt nieprawdopodobne, by na to pozwoliła. *Nieosiągalne. Nieosiągalne...*

– To twój brat, Kate – podjęła Vianne. – Kiran jest synem Hale'a.

Kate miała wrażenie, że świat wokół niej zaczyna wirować. Pragnęła się czegoś przytrzymać, ale w pokoju nie było niczego oprócz stołu, krzesła i dwóch wąskich łóżek. Nawet ściany nie dawały oparcia. Początkowo wydawało jej się, że zbudowano je z kamienia, tak jak w pozostałych podziemnych komnatach, teraz jednak przekonała się, że to matowy metal. Nawet podłogę i sufit zrobiono z metalu.

Vianne z zatroskaną miną pochyliła się do Kirana.

– To jest Kate. Twoja siostra.

Oczy chłopca rozszerzyły się, otworzył szeroko buzię, niemal komicznie zaskoczony. I wtedy Kate ujrzała prawdę w jego oczach. Miały ten sam kształt co oczy ojca, ten sam odcień piwnego brązu.

Głośno wciągnęła powietrze.

– To dlatego ojciec przesyłał tu pieniądze? Żeby utrzymać ciebie i twojego... jego... syna?

Vianne przytaknęła.

– Nie zawsze byłam kucharką. Twój ojciec należał do grona moich regularnych gości. Aż do dnia, gdy stał się czymś więcej.

Miłość?, zastanawiała się Kate. *Czy mój ojciec cię kochał?* Chyba musiał, ale nawet jeśli nie, Kate nie miała wątpliwości, że kochał syna. Chciała wpaść w złość, poczuć się zdradzona z powodu jego kłamstw, ale to była dawna Kate, dziecko, które nie poznało jeszcze świata, poza własnym chronionym życiem. Dorosła Kate rozumiała, że małżeństwo rodziców było zimne i puste. Nie mogła winić ojca, że szukał pociechy gdzie indziej.

W jej głowie rodziły się coraz to nowe pytania.

– Dlaczego mieszka tutaj? – Poczula małą dłoń w pasie, a kiedy spojrzała, przekonała się, że Kiran ciągnie ją za tunikę.

Przykucnęła, jej głowa zrównała się z twarzą dziecka.

– Naprawdę jesteś moją siostrą? – spytał, przekrzywiając lekko głowę.

Przytaknęła, zdumiona tym, jak bardzo znajomy się jej wydawał. Tak bardzo przypominał jej ojca. *Naszego ojca*. Fakt, że nie poznała go wcześniej, sprawił jej fizyczny ból.

Uśmiech chłopca zdawał się rozjaśniać całą twarz.

– Chcesz zobaczyć moje zabawki?

Nie czekając na odpowiedź, złapał ją za rękę i pociągnął w stronę łóżka. Kate nie mogła odmówić – nie potrafiła odmówić temu dziecku, tak bardzo pragnął kontaktu z ludźmi. I słońca, dodała w myślach, zauważywszy niepokojącą bladość jego skóry. Widziała żyłki na twarzy Kirana niczym błękitne rzeki przecinające czoło i krzyżujące się pod oczami. Czy cały czas mieszkał tu, na dole? To przecież nie miało sensu.

Kiran zaczął kolejno wyciągać zabawki spod łóżka, obstrzępione, żałosne lalki, w większości połamane i przypalone. Jedna z nich, prymitywna kukielka ze starego płótna z malowaną twarzą została przypieczona na czubku głowy. Kate podejrzewała, że wcześniej przyszyto tam pęk włóczki udający włosy.

– Ile masz lat, Kiranie? – spytała po chwili.

– Sześć – odrzekł z dumą, jakby był to bardzo imponujący wiek. – Potrafię zliczyć do setki, chcesz posłuchać? Raz... dwa...

Sześć lat. Kate poczuła nagłe mdłości. Za mały na ten wiek, ale już

wcześniej powinna zgadnąć: ojciec zaczął odprowadzać płatności dopiero trzy lata przed swą śmiercią. Pytania wciąż czekały w jej głowie, ale powstrzymywała je, obdarzając chłopca uwagą, której łaknął. A tymczasem jego matka obserwowała ich z oczami błyszczącymi ze wzruszenia.

To mój brat. Tajemnica mojego ojca. Ale Kate nie wątpiła, że kryje się w tym coś więcej. W końcu Vianne podeszła do nich i czule poklepała Kirana po głowie.

– Muszę pomówić z panną Kate, mój mały książę. Pobawisz się chwilkę sam?

Kiran przytaknął, choć usta wygięły mu się w podkówkę. Kate wyszła w ślad za Vianne do pokoju, w którym czekała na nie Anise.

– Wiem, że chcesz o coś zapytać, a my jesteśmy gotowe odpowiedzieć, jeśli tylko będziemy potrafiły.

Kate przyciągnęła sobie jedno z krzeseł i usiadła.

– Dlaczego trzymacie go tu, na dole?

Wydawało się to jej najważniejszym ze wszystkich pytań walczących ze sobą o pierwszeństwo. Nie potrafiła sobie wyobrazić bardziej żalosego życia.

Vianne zerknęła ukradkiem na Anise, która pokiwała głową.

– Mistrz Raith jej ufa, a zakłęcie wiążące zapewni nam jej milczenie, co do wszystkiego, czego się dziś dowie.

– Raith? Co on ma z tym wszystkim wspólnego? – Kate nieświadomie pochyliła się naprzód.

– Dojdziemy do tego – odparła Anise. – Mów, Vianne.

Vianne westchnęła ciężko, bębniąc po stole pokrytymi bliznami palcami.

– Kiran musi tu mieszkać, bo, podobnie jak twój ojciec i ty, jest dzikunem.

Kate zamarła. Ta kobieta wiedziała? Ojciec powierzył jej ten sekret? Dlaczego?

– Z drugiej strony, nie tylko Hale tu zawinił, ja też jestem dzikunką. – Vianne uniosła dłoń, na której pojawił się mały płomyk.

Dzikunka. Pirystka. Nagle wszystko nabrało sensu – metalowe ściany, przypalone zabawki, dziwne ciepło. Ale to nie miało sensu, u większości dzikunów magia objawiała się dopiero w wieku dojrzewania.

– Kiran już włada mocą? Ale jest taki młody.

– Ty też byłaś młoda, jeśli dobrze pamiętam. Miałaś ledwie siedem lat.

Kate przełknęła głośno ślinę. Poczwała nagłą niechęć na myśl, jak bardzo

ojciec musiał ufać tej kobiecie. *A jednak ukrył ją przede mną.*

– Zdolności Kirana pierwszy raz objawiły się, gdy był jeszcze niemowlęciem – podjęła Vianne i zadrżała lekko. – Nie wiemy, dlaczego uzyskał je tak wcześnie, ale z pewnością potrafisz sobie wyobrazić, jak trudno było utrzymywać go w ukryciu i jak bardzo zagrażał innym. To dlatego Hale kazał zbudować dla niego ten pokój. Wówczas Kiran nie umiał jeszcze opanować własnej magii, bo i jak, był taki mały. Teraz radzi sobie znacznie lepiej. – Pokiwała głową, jakby sama chciała się co do tego upewnić.

– To czemu wciąż go tu trzymacie? – Kate za późno uświadomiła sobie, jak głupie jest to pytanie.

– Oczywiście z powodu inkwizycji – odparł męski głos.

Kate podskoczyła zaskoczona, odruchowo sięgając do tkwiącego za pasem rewolweru. Po zeszłej nocy nie zamierzała już nigdy się z nim nie rozstawać. Ale nie wyciągnęła broni, bo z cienia przy schodach wyłonił się mistrz Raith. I znów nie miał na sobie maski ani szaty. Anise i Vianne przywitały go ciepło, zaś chwilę później z pokoju wypadł Kiran i rzucił mu się w ramiona. Ku coraz większemu szokowi Kate mistrz magista uściskał chłopca, a potem zaczął łaskotać, słuchając jego chichotu. Kim naprawdę jest ten człowiek? Wpatrywała się w niego, ponownie zauważając znamię na twarzy i trwale poczerwiałe koniuszki palców.

Raith postawił Kirana na ziemi, obiecując, że kiedy skończą, pobawi się z nim jeszcze. Kate czuła się tak, jakby trafiła do dziwnego, nieznanego świata, gdzie to, co prawe, jest lewe, a góra jest dołem.

– Na czym to skończyliśmy? – podjął Raith, gdy Kiran wrócił do siebie. – A tak, inkwizycja. Jak ci wiadomo, Kate, inkwizycja dała złotym prawo do aktywnego poszukiwania dzikunów, niezależnie od wieku czy podejrzewanej winy. Gdy arcykról przyznał im te prawa, Kiran miał zaledwie trzy latka, ale twój ojciec starał się nie dopuścić, by do tego doszło.

Kate przypomniała sobie, że Corwin opowiadał jej o tym, jak jej ojciec i król przed atakiem kłócili się o inkwizycję.

– To dlatego poszedł owego ranka do komnaty władcy – ciągnął Raith. – Chciał go przekonać. Hale wiedział, że tobie nie zagrażą, należysz bądź należałaś do szlachty, toteż w zwykłych okolicznościach nie podlegałaś władzy złotych.

– Ale nie Kiran – dokończyła Kate, czując coraz mocniejszy gniew na tę

niesprawiedliwość.

– Nie – zgodziła się Vianne, mówiąc ostro, z goryczą. – Nie nieślubny bękart prostytutki.

Kate skrzywiła się, w jej sercu gniew mieszał się z litością. Zrozumiała, że ojciec gotów był zrobić wszystko, byle tylko ochronić Kirana i jego matkę. Oczywiście, że tak. Byli przecież rodziną. *Mam brata*. Na tę myśl do jej oczu napłynęły łzy, zmusiła się, by je przepędzić.

– I to właśnie wówczas zaszło? – spytała Kate. – Czy atak na króla Orwina był jedynie eskalacją kłótni?

– Wątpię. – Raith ze smutkiem pokręcił głową. – Ale obawiam się, że nie wiemy dokładnie, co wówczas zaszło, ten sekret Hale zabrał ze sobą do następnego życia. Poszedł tam nie po to, by zabić króla, ale by go przekonać, jeśli trzeba nawet z pomocą swojej magii.

– Jego magii?

– Tak, jego magia, i twoja, potrafi wpływać na umysły żywych stworzeń. Nazywamy to perswazją. To rzadki i potężny dar ducha.

Nagle Kate przypomniała sobie, z kim właściwie rozmawia.

– Ale nie rozumiem. Jesteś magistą, a jednak przyjaźniłeś się z moim ojcem i wiesz o Vianne, Kiranie i o mnie.

– Och i nie zapominajmy o mnie. – Usta Anise wygięły się w uśmiešku. Wyciągnęła rękę i z jej dłoni trysnęła struga wody, bulgocząc niczym miniaturowa fontanna.

Kate zachłysnęła się.

– Ty też jesteś dzikunką?

Anise odpowiedziała dumnym uśmiechem.

– Wszyscy nimi jesteśmy – oznajmił Raith, a kiedy Kate obróciła się z powrotem ku niemu, dodał: – Magiści nie różnią się od dzikunów. Zdolność wlewania zaklęć w przedmioty nieożywione to tylko odmiana magii ducha, podobnej do tej, która pozwala ci sięgać w głąb umysłów. Wszystkich nas obowiązują te same prawa. Czy wiedziałaś, że kiedy magia dzikuna zderza się z magią magisty, niwelują się nawzajem? – Widząc, jak marszczy czoło, pokiwał głową. – To prawda.

Wszelka magia wypływa z tego samego źródła, wszystko łączy się ze sobą. Gdy spotyka samą siebie, po prostu znika.

Kate jeszcze wyżej uniosła brwi.

– Nie rozumiem.

Gestem wskazał rewolwer tkwiący za jej pasem.

– To jakby dwa pociski spotkały się w powietrzu. Po zderzeniu oba straciłyby wszelką siłę.

Kate powoli pokiwała głową, choć nadal miała wątpliwości.

– Magia magistów także nie działa nocą – podjął Raith. – Nie możemy tworzyć nowych zaklęć, tak jak pirysta nie może wzywać ognia, a aerista wiatru. Wszystko, czego potrzebujemy nocą, musimy przygotować za dnia.

Kate słuchała naprawdę oszołomiona. Nigdy wcześniej o tym nie słyszała i wydawało się, że Liga magów raczej nie chciałaby ujawniać tego sekretu. Ucieszyła się jednak z tego odkrycia, z informacji, że magiści nie są aż tak wszechmocni, jak się zdają.

I wtedy przyszło jej do głowy kolejne pytanie.

– Czy wiesz, dlaczego zdołałam przywołać wczoraj w nocy swoją magię?

Raith wzruszył ramionami.

– Kto wie? Magia bywa kapryśna, czasami równie nieprzewidywalna jak pogoda. Ale gdybym miał zgadywać, rzekłbym, że to z powodu księżyca w pełni. Stałaś w plamie jego światła. Nikt nie wie dokładnie, jak to działa, ale magia w Rime łączy się ze światłem. Zwykle promienie księżyca są zbyt słabe, by cokolwiek zmienić, ale takie przypadki już się zdarzały. Oczywiście, gdybyś chciała dowiedzieć się więcej, musiałabyś spytać białej szaty. Co do mnie, teoria magiczna nigdy mnie zbytnio nie interesowała, nie kiedy musimy naprawić cały świat.

Kate zaczęła zadawać kolejne pytanie, ale uciszył ją, unosząc dłoń.

– Rzecz w tym, Kate, że kiedyś, trzysta lat temu, wszyscy byliśmy tacy sami. Nim Wojna Trzech podzieliła nas na dzikunów i magistów. W owych czasach wszystkie miasta na trzech frontach zatrudniały w swoich armiach ludzi władających magią. Magistów, jak ich wówczas nazywano. Używali wszelkich dostępnych sobie czarów, by niszczyć nieprzyjaciół. I wtedy też, jak głosi legenda, uwolnili nocne gadźce.

– Zawsze sądziłam, że to tylko mit – przyznała Kate.

– Być może częściowo, nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło, tyle że miała w tym udział magia. – Raith podrapał się po brodzie, poczerwiałe palce poruszały się sztywno. Zastanawiała się, skąd taki kolor; pewnie sprawiło to jakieś nieudane zaklęcie. – Ale znamy skutki – podjął Raith. – Kiedy wojna dobiegła końca, wyłącznie dzięki niszczycielskiej sile tych samych nocnych gadźców, zaczęło się szukanie winnych. Magów o aktywnych darach, takich

jak ogień i ziemia, uznano za odpowiedzialnych za zniszczenia. Winili ich zarówno władcy miast, jak i magowie dysponujący bardziej pasywnymi darami ducha, takimi jak te, którymi do dziś władają magiści. Naszą magię można opanować, łatwiej ją ograniczyć, a tym samym uznano ją za bezpieczniejszą. Inne odmiany magii oceniano jako zbyt nieprzewidywalne i potężne, by na nie zezwolić. I tak pojawiły się podziały. – Na moment umilkł i westchnął ciężko. – Lecz ja i część członków mojego zakonu wierzymy, że już czas, by zatrzeć owe podziały, by dzikuni i magiści znów się zjednoczyli. Tego właśnie pragnął twój ojciec, gdy postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, aby przekonać króla do powstrzymania inkwizycji. I dlatego właśnie poprosiłem Vianne, by zdradziła ci prawdę o ojcu, choć Hale nie chciał cię w to angażować.

– Nie rozumiem. – Kate miała wrażenie, że stoi na krawędzi najgłębszej przepaści i lada moment runie w dół.

Przypomniała sobie wcześniejsze ostrzeżenia Anise i na jej skroniach zacisnęły się kleszcze grozy. – Co dokładnie się tu dzieje?

– Tutaj – Raith powiódł dokoła ręką – mieści się kwatery główna Powstania. A jesteś tu, ponieważ chcemy, byś zajęła miejsce swojego ojca w naszych szeregach – zawiesił głos, po czym dodał z cierpkim uśmiechem: – I nim zapytasz, teoria Corwina jest błędna: nie mamy nic wspólnego z pojawieniem się dziennych gadźców. Wręcz przeciwnie, robimy wszystko, co w naszej mocy, by je powstrzymać.

CORWIN

Corwin zapatrzył się w ciemną jamę i poczuł dreszcz strachu, przechodzący od czubka głowy aż po koniuszki palców.

Najwyższa kapłanka oczekuje, że tam wskoczę?

Zeszłej nocy wreszcie skończył lekturę relacji dziadka z jego prób uroru i choć wiele opisów uznał za mętne i bezsensowne, część dotycząca trzeciej próby zawierała dość szczegółów, by zaczął się martwić.

Wskoczyłem do Studni Świata i opuściłem to życie. Przynajmniej na jakiś czas, napisał Borwin Thormane.

Studnia Świata. Corwin pochylił się bliżej dziury, tak głębokiej, że ponoć pozbawionej dna. Miał wrażenie, że jama szczyrzy się do niego niczym czarna paszcza. Choć nazywano ją Studnią Świata, podziemna jaskinia, w której się mieściła, nosiła nazwę Krypty Dusz – Corwin podejrzewał, że przynajmniej częściowo ze względu na rozbrzmiewające w niej echa. Jeden głos wymawiający jedno słowo z łatwością zamieniał się w tysiąc cichych szeptów odbijających się od nierównych, skalnych ścian i pełnego stalaktytów sklepienia. Jaskinia ciągnąca się pod Lustrzanym Zamkiem była świętym miejscem, które rzadko pozwalano mu odwiedzać. Nawet dziś musiał prosić najwyższą kapłankę o pozwolenie. Udzieliła go bez słowa komentarza, choć przysłała z nim dwie inne kapłanki. Teraz czuwały przy wąskich drzwiach za jego plecami.

Corwin wyciągnął dzierzoną w rękę pochodnię jak najdalej. Nic. Wewnątrz nie było niczego, co odbijałoby światło, tylko ciemny otwór w ziemi. Próbował wyobrazić sobie, że tam wskakuje, ale nie mógł. Choć wcześniej będzie musiał przejść drugą próbę, w tym momencie miał ochotę zrezygnować, byle tylko nawet przez moment nie myśleć o tym, co go czeka. Kręciło mu się w głowie, czuł mdłości.

– Proszę, powiedz mi, że tam nie wskoczysz – zawołał głos za jego plecami. Corwin wzdrygnął się gwałtownie. Obrócił się tak szybko, że pochodnia zasyczała.

– Dał, ty idioto! – zawołał, widząc przyjaciela stojącego naprzeciwko. –

Omam nie wystraszyłeś mnie na śmierć.

– Przyznaję, zwykle nie działam tak na ludzi – odparł Dal gładko jak zawsze. – Ale czy zechciałbyś stąd wyjść? Te piękne damy nie puszczają mnie ani kroku dalej, a wiesz, że od krzyków boli mnie głowa.

Opierając się pokusie posłania mu szerokiego uśmiechu, Corwin pomaszerował przez kryptę w stronę wejścia.

Kapłanki w milczeniu przepuściły go i wraz z Dalem ruszyli w górę długimi, wąskimi schodami. Kilka minut później znaleźli się w sali tronowej.

Olbrzymie pomieszczenie z rzędami kolumn po obu stronach o tej porze dnia było zupełnie puste. Deszcz bębniący o długie, sklepione okna sprawiał, że ciemne, posępne wnętrza przypominało grobowiec. Drzwi do Krypty Duszy otwierały się zaledwie sześć stóp za Lustrzanym Tronem, wystarczająco blisko, by światło pochodni odbiło się tysiąc razy od jego lśniącej powierzchni. Tak jak sugerowała nazwa, tron zbudowano wyłącznie z luster symbolizujących postawę króla – musi zawsze widzieć, ale i być widzianym, być szczery i wierny. Corwin ujrzał w zwierciadłach swoją twarz i szybko odwrócił wzrok.

Poklepał Dala po ramieniu.

– Spodziewałem się, że wrócisz znacznie wcześniej. – Od wyjazdu Dala i Signe do Tyvaldu minął ponad tydzień. Przyjaciel zmarszczył nos. Ustąpił na bok, by przepuścić kapłanki, które zamknęły wejście do krypty wielkim kluczem.

– Rankiem, gdy mieliśmy ruszać w drogę powrotną, zamknięto bramy miasta. W okolicy pojawiło się więcej dziennych gadźców i trzeba było trzech piekielnie ciężkich dyskusji, by przekonać magistrów, abyśmy wyruszyli tak szybko.

Corwin przesunął kciukiem po bliźnie na podbródku, żołądek zacisnął mu się mocno. Sytuacja pogarszała się z każdym dniem, a jednak nie był ani o krok bliższy odpowiedzi. Wsunąwszy pochodnię w pusty uchwyt obok drzwi krypty, pomaszerował do najbliższego wyjścia, gestem nakazując Dalowi, by podążył za nim. Za kilka minut musiał zjawić się na spotkaniu rady.

– Co odkryliście? – spytał wychodząc na korytarz.

– Bardzo mało rzeczy, których wcześniej nie wiedzieliśmy, przynajmniej jeśli chodzi o dzienne gadźce. Stada nadciągają falami i zachowują się tak samo jak odmiana nocna. Ale spotkaliśmy kobietę, która twierdziła, że

w dzień przed pierwszym atakiem widziała w mieście kolejnego dzikuńskiego uciekiniera.

– Takiego, który uciekł złotym?

Dal wzruszył ramionami i otrzepał tunikę, wzbijając chmurę pyłu. Najwyraźniej dotarł do zamku, nim rozpadał się deszcz.

– Nie była pewna. Kiedy złoci dwa lata wcześniej aresztowali dzikuna, był ledwie chłopcem i wedle jej relacji bardzo się zmienił w tym czasie.

– Rozumiem – mruknął Corwin, starając się nie okazać zawodu. Liczył na więcej, choć powinien już przywyknąć do rozczarowań. Czuł to samo po wysłuchaniu raportu mistrza Raitha. Ataki następowały przypadkowo, trudno je było przewidzieć i zwykle nie dostrzegano w nich udziału ludzi ani dzikunów. Raith posunął się nawet tak daleko, by spekulować, że może Powstanie w ogóle nie stoi za atakami, ale Corwin pozostał sceptykiem. Bo jeśli nie oni, to kto? Nie znajdował odpowiedzi. W końcu uzyskał ją od złotego zakonu w Andreas. Nie zaprzeczali ani nie potwierdzali niczego w kwestii Ralpha Marcela, zamiast tego list informował, że podobne rejestry są tajne, chronione zasadami przyjętymi w traktatach Ligi i nawet arcyksiążę nie mógł ich złamać.

– A co właściwie robiłeś przy Studni Świata? – Pytanie Dala wyrwało go z zamyślenia. – W tym miejscu zawsze czuję dreszcz i nie ma on nic wspólnego z panującym tam chłodem.

– Prawdę mówiąc, sama dziura wydawała mi się dość ciepła – odparł Corwin. – Ale jedynie rozmyślałem o trzeciej próbie. – Nie do końca odpowiadało to prawdzie; zszedł tam wyłącznie po to, by uniknąć spotkania z Kate. Okna komnat, w których czytywał, wychodziły na pola kawalerii i zauważył ją przez jedno z nich. Zanim się zorientował, zmarnował dziesięć minut, obserwując, jak ćwiczy Tancerkę Ognia i wkrótce zmagał się już z pragnieniem, żeby zejść i z nią pomówić. Walczył z nim cały tydzień od owego katastrofalnego incydentu. Jakże żałował, że w ogóle do niego doszło, że pozwolił sobie skosztować tego, czego nie mógł osiągnąć. Wspomnienie owych chwil doprowadzało go do obłędu.

– Trzecią próbę? – spytał Dal, gdy skręcili w lewo, zmierzając kolejnym, węższym korytarzem. – Nie sądzisz, że trochę się pospieszyłeś? Nie doszliśmy jeszcze nawet do drugiej.

– Owszem, ale dzielą nas od niej zaledwie cztery tygodnie, a wkrótce potem nastąpi trzecia – odrzekł Corwin i próbując zmienić temat, dodał: –

Najwyższej kapłance bardzo zależało, by druga próba miała miejsce podczas igrzysk wojennych. Twierdzi, że całe Rime powinno mieć szansę oglądać uror. – Wcześniej nie mógł się doczekać igrzysk wojennych, dorocznego festiwalu świętującego zjednoczenie Rime, ale teraz przerażała go ich bliskość.

– Niechaj będzie pozdrowiony arcykról. – Dal wywrócił oczami. Słyszając przed sobą nietypowy dźwięk, zwolnili, zbliżając się do wnęki.

– Jest tu kto? – zawołał Corwin.

Rozległ się szelest, a potem w wejściu do wnęki pojawił się minister Rendborne. Jego złote oczy lśniły podejrzenie jasno, nerwowo zatarł dłonie i pierścień z magicznym kamieniem zamrugął.

– Wasza Wysokość, proszę wybaczyć, ale tak, my tylko, uch...

Corwin zakrył dłonią usta, by powstrzymać się od śmiechu, zauważył bowiem maistrę Vikas stojącą tuż za plecami ministra handlu. Nie potrzebował nawet czerwonego rumieńca wokół jej ust, by zrozumieć, że łączył ich romans.

– Nie musisz się tłumaczyć – rzekł Corwin. – I... do zobaczenia na naradzie.

Rendborne pochylił głowę, Corwin i Dal ruszyli dalej, nie odzywając się, póki nie pokonali zakrętu.

– To było dziwne. – Dal skrzywił się. – Nie sądziłem, że magiści bawią się w takie rzeczy. Corwin parsknął.

– Wiesz chyba, że to nadal ludzie.

Choć musiał przyznać, że ta para go zaskoczyła. Wyobrażał sobie charyzmatycznego Rendborne'a z kimś znacznie bardziej interesującym i zabawniejszym niż Vikas. Z drugiej strony, być może przeciwieństwa faktycznie się przyciągają.

– Owszem, ale kochanie się z tą mroźną damą przypominałoby sen w łożu z lodu. – Na samą myśl o tym Dal zadrżał. Corwin ze śmiechem znów klepnął go po ramieniu.

– Cieszę się, że wróciłeś.

– Ja też, choć na trzy piekła, co zrobiłeś z Kate pod moją nieobecność?

Corwin starał się ukryć grymas, niestety na próżno.

– Nic... Czemu tak mówisz?

– Widziałem ją w drodze tutaj i ledwo się do mnie odezwała. Gdyby zamiast oczu miała sztylety, przebiłaby mi serce.

Corwin parsknął, żalując, że nie może zbyć pytań przyjaciela. Ale chodziło o Dala, wiedział, że nie ustąpi, póki nie pozna całej prawdy.

– Corwinie, coś ty zrobił?

– Być może poprosiłem, żeby została moją metresą – zaczął i szybko zrelacjonował Dalowi resztę, opuszczając jedynie co bardziej intymne szczegóły tamtego feralnego spotkania.

Kiedy skończył, Dal pokręcił głową, wydymając policzki.

– Mocny to cios, przyjacielu, choć nie dziwi mnie, że tak zareagowała. Metresy zazwyczaj miewa się po ślubie, nie przed, a jeśli chcesz znać moje zdanie, po co w ogóle chciałeś się tak uwiązać? Najwyraźniej cały ten uror dostatecznie cię zaprzęta. Nie bawiliśmy się od tygodni – urwał, a potem po jego twarzy przemknął przebiegły uśmieszek. – A przynajmniej nie ty.

– Kuchnie są tam, jeśli chciałbyś wpaść i zebrać trochę soli, by posypać nią moje rany. – Corwin wskazał za siebie palcem.

– Chwilowo odpuszczę. – Twarz Dala spoważniała. – Naprawdę mi przykro, przyjacielu. Nie zazdrozczę ci i chciałbym, by wszystko wróciło do stanu, w jakim było, nim wyruszyliśmy na tę przeklętą wyprawę.

Ja także, pomyślał Corwin. Podczas sześciu miesięcy pomiędzy powrotem do domu z Endry i służbą u Jastrzębi Tarczy nie miał żadnych obowiązków i jeszcze mniej trosk, prócz unikania wspomnień. Ale to tylko życzenie małego chłopca, marzenie dziecka, które nigdy się nie spełni. A gdybym nie pojechał, nigdy nie znalazłbym Kate. Nawet teraz, mimo bólu odrzucenia, nie mógł tego żałować.

Pokręcił głową.

– Objazd nie był nawet taki zły. Wyraźnie podoba ci się towarzystwo Signe.

– Jak mogłoby się nie podobać? – Dal wyszczerzył zęby. – Wielka szkoda, że Kate nie przypomina swojej przyjaciółki, ale daj jej czas, może w końcu się zgodzi. Jeśli nie, jakaś inna dziewczyna wcześniej czy później namiesza ci w głowie. Zawsze tak jest.

Corwin przytaknął lekko, chociaż wiedział, że to nieprawda. Żadna inna dziewczyna nie interesowała go tak jak Kate. Inne były rozrywką, sposobem na zabicie czasu, Kate sprawiała, że czas stawał w miejscu. Działo się tak od dzieciństwa.

Zatrzymał się i spojrzał na Dala.

– A co, jeśli... jestem w niej zakochany?

Na obliczu przyjaciela odbiło się zdumienie, jego brwi uniosły się wysoko. Corwin nie winił go za tę reakcję – nigdy wcześniej nie rozmawiali o sprawach sercowych.

Przyjaciel odchrząknął.

– W takim przypadku nie mam dla ciebie żadnej rady. Co do mnie, nie wierzę w coś takiego jak miłość, przynajmniej nie w taką, jaką opiewają poeci. Dwoje ludzi oddanych sobie bez reszty przez całe życie? Coś takiego nie istnieje. Ludzie wędrują w swych sercach, nawet jeśli nie czynią tego cieleśnie.

– To dość cyniczne, nie uważasz?

Corwin podjął przerwany marsz, choć szedł nieco wolniej. Wcale nie miał ochoty dotrzeć do komnaty rady.

– Mogę sprawdzić tę teorię wyłącznie na moich rodzicach, ale wierz mi, ich małżeństwo potwierdza ją po wielokroć.

Corwin, wyczuwając gorycz w tonie Dala, powstrzymał się od odpowiedzi. Choć nigdy nie rozmawiali o tym otwarcie, Corwin wiedział, że to przez rodziców przyjaciel dołączył do Jastrzębi Tarczy. W ich małżeństwie dochodziło do takich skandali, że pan i pani Thornewall stanowili często temat plotek w najwyższych kręgach, mimo swego względnie niskiego statusu wśród szlachty Rime. Wersja, która dotarła do Corwina, głosiła, że zarówno baron, jak i baronowa regularnie próbują wyprzedzić się w konkurencji liczby jak najmłodszych i jak najbardziej atrakcyjnych kochanków. Powiadano, że z szóstki dzieci Thornewallów jedynie dwaj najstarsi bracia mogą szczycić się pochodzeniem z prawego łoża, reszta stanowiła potomstwo najróżniejszych kochanków lady Thornewall. W tym Dal. Naturalnie jeśli plotki są prawdą. Corwin nie zamierzał pytać.

Mimo wszystko, choć życie tak bardzo doświadczyło Dala, Corwin nie mógł zgodzić się z wnioskiem przyjaciela, że miłość nie istnieje. Jego rodzice kochali się głęboko, nawet teraz był pewien, że ojciec wciąż opłakiwałby matkę, gdyby starczyło mu na to rozumu. *Z drugiej strony*, pomyślał Corwin, *taka miłość mogła istnieć tylko wtedy, gdy odczuwają ją obie strony, tak jak kwiat potrzebuje do istnienia zarówno słońca, jak i wody*. Nie wiedział, czy Kate kiedykolwiek naprawdę go kochała. Tamtego dnia przed laty widział, jak całuje Edwina, z entuzjazmem, który, jak sądził, zachowywała wyłącznie dla niego. Wspomnienie to wzbudziło niesmak.

– Sam nie wiem, czy mam nadzieję, że się mylisz, czy nie – rzekł. – Wiem

tylko, że Kate nie zacznie naśladować Signe. Kate Brighton zmienia zdanie równie łatwo, jak ja staję na głowie podczas jazdy konnej.

– Chciałbym to zobaczyć. – Dał uśmiechnął się szeroko. – Ale na razie muszę zmyć z siebie kurz z drogi.

– Baw się dobrze. Ja utknę na kolejnym porywającym spotkaniu najwyższej rady.

Dał poklepał go po plecach.

– Nie poddawaj się, przyjacielu. Odwiedzę cię wieczorem, może wyjdziemy razem i złagodzimy ból twego serca jakże potrzebną rozrywką.

Corwin bez przekonania pokiwał głową. Odprowadził wzrokiem Dala odchodzącego w głąb korytarza, w głowie paliła go bezsensowna zazdrość. Ileż by dał, by zamienić się miejscami z Dallinem Thornewallem, szóstorodzonym synem pomniejszego rodu. Choćby na dzień. Albo dziesięć.

Albo może na resztę mojego życia.

* * *

Corwin przypuszczał, że największym problem z posiedzeniami najwyższej rady jest dla niego to, że zwykle omawiano ten sam temat, rzadko podejmując jakiegokolwiek konkretne decyzje. Każda taka narada była nużąca, a jednocześnie przyprawiała go o zawrót głowy.

Dziś co najmniej po raz trzeci omawiali ograniczoną dostępność pasów księżycowych dla chłopstwa. Corwin oddałby wszystko, byle tylko wymigać się z posiedzenia, bo w umyśle raz po raz odtwarzał nieszczęsne spotkanie z Kate – to, jak się czuł, gdy ją całował i tulił. Sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wiele założeń poczynił, wiedząc, że nosi pas księżycowy, dopóki nie zareagowała tak, jak zareagowała. Rozumiał, że wyciągnął mylne wnioski, ale nie zebrał się jeszcze w sobie na odwagę, by ją przeprosić. A fakt, że unikała go równie starannie jak on jej, nie pomagał. Każdego dnia przez ostatni tydzień ruszała do miasta i pozostawała tam wiele godzin. Poprosił dowódcę straży wieży, by notował jej wyjścia i przyjscia – zarówno dla własnego spokoju, jak i bezpieczeństwa dziewczyny – nie potrafił się jednak uwolnić od pytań, co dokładnie tam robi bez niego.

Jutro, postanowił w duchu. Pójdę do niej rano i będę błagał o wybaczenie. Ale natychmiast opadły go wątpliwości. Co może zrobić, żeby naprawić całą sytuację. Co zrobić?

Jesteś arcyksięciem, być może zostaniesz też arcykrólem – usłyszał znów słowa Kate. *To ciebie słucha świat, nie odwrotnie.*

– W ostatecznym rozrachunku to kwestia populacyjna – mówił minister Fletcher, gdy Corwin zmusił się, by z powrotem skupić uwagę na dyskusji. Mistrz domowego ogniska był zdecydowanie najmłodszy z całego grona: szczupły, o skórze barwy ciemnego brązu i kręconych, czarnych włosach. Corwin znał go najsłabiej ze wszystkich członków rady, albowiem mianowano go na to stanowisko niecały rok wcześniej. – Chłopstwo każdego roku ma trzykroć więcej dzieci niż szlachta.

– Oczywiście, że tak – odparł minister Porter. Mistrz monet pod każdym względem wyglądał jak przeciwieństwo Fletchera – stary i tęgi, o rumianej różowej skórze i bladożółtych włosach, który to kolor, jak podejrzewał Corwin, osiągał za pomocą toniku otrzymywanego od magistów. – Każde dziecko, które dożywa okresu dojrzewania, to kolejny cenny robotnik. To spora zachęta dla pospólstwa, podczas gdy w wysokich rodach więcej dzieci oznacza więcej wian i problemów z dziedziczeniem.

Fletcher niecierpliwie postukał palcem o stół, nie dając się zastraszyć starszemu mężczyźnie.

– Owszem, ale wiele chłopek, zwłaszcza tych starzejących się bądź po ciężkich porodach, najchętniej przestałoby rodzić dzieci, gdyby tylko miały dostęp do pasów księżycowych.

– Ale przecież mają dostęp. – Porter zaczynał już podnosić głos, jak się to często zdarzało podczas obrad. – Sprzedają je we wszystkich kramach zielonych szat w Rime!

Fletcher zaśmiał się krótko.

– Och, oczywiście, mogą odwiedzać te szopy i wpatrywać się tęsknie w towary. Większości tych rodzin nie stać na taki zakup albo też decydują się wydać ciężko zarobione pieniądze na co innego. Na przykład na wykarmienie reszty dzieci.

– Co zatem sugerujesz, ministrze Fletcher? – spytał szyderczo Porter, a jego obwisłe policzki zadrżały. – By arcykról kupował pasy dla nich? Ze środków z królewskiego skarbcza? Zapewniam bowiem, że Liga nie zacznie rozdawać ich za darmo.

– To dokładnie proponuję – odparł Fletcher, wydymając pierś tak mocno, jak się dało, czyli niestety nie dość, by komukolwiek zaimponować. – Jeśli nie ograniczymy wzrostu populacji, wkrótce wyczerpiemy zasoby

dostępnych domów, nie mówiąc już o zapasach żywności na zimę. Ludzie będą żyć na ulicach, żebrząc przy naszych drzwiach i umierać z głodu.

Porter parsknął.

– Przeludnienie to nic nowego i powinniśmy załatwić tę kwestię tak jak zawsze, zachęcając starszych i chorych, by składali swe życie w ofierze bogom. W razie potrzeby możemy nawet obniżyć wiek ofiarny albo pozwolić rodzinom, by zgłaszały ją w imieniu osób kalekich i chorych na umyśle, bez względu na wiek. – Zawiesił głos i uniósł w górę ręce w geście oddawania czci bogom. – Życie to koło, musi się obracać.

Corwin poruszył się lekko, aż nadto wyraźnie przypominając sobie plamy popiołu i krwi na szczycie Asterionu. Cóż za zimna, przerażająca śmierć.

– Zachowujesz się, jakby zgłoszenie się na ochotnika do złożenia ofiary z własnego życia było czymś łatwym, ministrze Porter – rzekł niezdolny się powstrzymać. – Nawet chłopci kochają i cenią swoich członków rodzin, tak samo jak szlachta.

Porter parsknął przez szeroki, płaski nos.

– Bez urazy, Wasza Wysokość, ale przy tym stole nie ma miejsca na podobne sentymenty. Musimy podejmować decyzje w oparciu o fakty i rozsądek, nie uczucia.

Corwin pochylił się naprzód. Miał ogromną ochotę przywalić mu pięścią. *Pokażę mu świat rządzony przez uczucia...* Lecz jak zawsze Edwin już był gotów wszystko załagodzić.

– Panowie, to znacznie prostszy problem, niż go przedstawiacie. Albo znajdziemy sposób, by powstrzymać chłopstwo przed rodzeniem tak wielu dzieci, albo też zbudujemy więcej domów. – Edwin gestem wskazał siedzącego naprzeciwko Nella, mistrza budowniczego. – Co, według ciebie, mniej obciąży królewski skarbiec, ministrze Nellu: pasy księżycowe czy nowe budynki?

Nell zakasłał, chcąc zamaskować śmiech.

– Pasy księżycowe, Wasza Wysokość, bez dwóch zdań. Jeżeli nie przesuniemy murów Norgardu, w mieście nie da się zbudować kolejnych domów. Te w dzielnicach biedoty osiągnęły już maksymalną wysokość, a jeśli je powiększymy, zaczną się wywracać.

– No i proszę – uciął Edwin.

Dlaczego by nie zbudować więc nowego miasta, pomyślał Corwin. Lecz jak zwykle natychmiast pojawił się ten sam odwieczny problem – kwestia

tego, kto za to zapłaci. Nikt nie chciał. A przynajmniej nikt z tych, którzy mogli to zrobić.

– Ależ księżę, jak zdołamy udźwignąć taki wydatek? – Porter załamał ręce.
– Nie możemy przecież podnieść podatków.

Nie, jeśli chcemy uniknąć scenariusza z dziećmi konającymi z głodu, przed którym jakże sugestywnie ostrzegał nas minister Fletcher. Nie mówiąc już o rosnących kosztach przeklętych ataków Powstania.

Edwin odwrócił się do wielkiego mistrza Storra.

– Masz dla nas rozwiązanie, mistrzu Storrze? Czy istnieje sposób, by korona mogła nabyć pasy księżycowe po niższych kosztach?

Storr pogładził dłonią krótką, idealnie przystrzyżoną brodę, jakby starannie rozważał to pytanie.

– Z pewnością zdołamy dojść do porozumienia, Wasza Wysokość. Liga jest zawsze otwarta na wymianę i niewiele żądamy w zamian.

Na piekła, akurat, pomyślał Corwin. Oto jedna z nauk, jakie wyciągnął w ciągu tych ostatnich kilku tygodni – bezstronna, nieingerująca w nic Liga, której obraz wpajano mu od dziecka, to był jedynie mit. Na każdym spotkaniu najwyższej rady, w którym uczestniczył, wielki mistrz Storr wykorzystywał potęgę Ligi, gdy tylko nadarzyła się okazja. A trzeba przyznać, że – ku niechęci i oburzeniu Corwina – okazje te pojawiały się coraz częściej, w miarę jak spływały kolejne meldunki o atakach dziennych gadźców. Mimo hipotez mistrza Raitha, że Powstanie może nie mieć z tym związku, zważywszy na nieobecność Słonecznego Lwa, ludzie i tak obwiniali dzikunów. Ich żądania, by więcej złotych dołączyło do poszukiwań, musiały napęniać skarbiec Ligi, podczas gdy miasta w całym Rime boleśnie odczuwały rosnące wydatki. Koszt ziarna i węgla niemal się podwoił, gdy kolejne transporty spowolniły bądź w ogóle przestały docierać.

– Jeśli chodzi o wymianę, o której wspominałeś – tu złote orle oczy ministra Rendborne’a skupiły się na wielkim mistrzu – czy chodzi ci o składaną już propozycję, by w zamian za obniżoną cenę kamieni strażniczych i innej magii obronnej arcykról zapewnił, że we wszystkich rządzących gremiach w Rime będzie zasiadał mistrz magista?

Storr pochylił głowę.

– Istotnie, choć to najwyższa rada musi wybrać, co dla niej ważniejsze. Obniżenie ceny pasów księżycowych czy też usług obronnych. Liga zgodzi się na każdy wybór, ale nie stać nas na jedno i drugie.

Oczywiście, że nie. Corwin splótł dłonie na kolanach, zaciskając palce. Bogowie brońcie, by Liga, już i tak niewiarygodnie bogata, ograniczyła swoje zyski dla dobra Rime. Niedługo zaproponują koronie pożyczkę, by mogła opłacić ich własne usługi. Cóż za oburzające, niemal kazirodcze powiązania. Koło faktycznie się obraca.

– Osobiście uważam, że cena jednego i drugiego może być zbyt wysoka, jak na możliwości królestwa – odparł Rendborne i Corwin poczuł, jak jego sympatia dla ministra handlu rośnie po dziesięciokroć. Nie tylko próbował mu pomóc, przekazując dziennik dziadka, lecz teraz Corwin dostrzegł w nim także możliwego sojusznika, głos rozsądku pośród chóru obłędu. W opinii Corwina nie było niczego gorszego niż danie Lidze jeszcze więcej władzy.

– Poza tym nie ma dyskusji, co z tego jest ważniejsze – wtrącił minister Porter, puszczając mimo uszu uwagę Rendborne’a. – Musimy chronić karawany przed gadźcami.

– Owszem, zgadzam się – przytaknął mistrz Storr. – Obrona jest dziś ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Ale jeśli dobrze pamiętam, najwyższa rada zdecydowała, że to rewolwery stanowią rozwiązanie problemu gadźców, a nie nowa magia. – Storr spojrział niewinnie na Corwina. – Czy to się zmieniło, Wasza Wysokość? Czy też mistrz Bonner zdoła w końcu wypełnić swe zadanie?

Corwin natychmiast wyczuł obraźliwy wydźwięk słów Storra i co najmniej po raz setny tego dnia pożałował, że nie odpuścił sobie tej durnej rady. Nie miał odpowiedzi. Mimo czasu spędzonego w stolicy i ciężkiej pracy oddanych mu do pomocy kowali Bonner jak dotąd stworzył zaledwie żałosną garstkę rewolwerów. Większość z nich nękały problemy takie jak blokowanie się czy poważna niecelność. Jedyne, które działały, zmontował osobiście. Corwin nie potrafił tego zrozumieć, ale wiedział, że czas zacząć naciskać. Chociaż polubił Bonnera, kowal musiał dotrzymać swej części umowy.

Edwin odchrząknął, uciszając tym sposobem zebranych.

– Dyskusja na temat rewolwerów i nieporadności rusznikarza mojego brata wykracza poza zakres dzisiejszego spotkania. Rada rozważy propozycje Ligi, po czym zdecyduje, która z tych wymian leży w naszym najlepszym interesie.

I tak najzwyczajniej zakończył spór. Corwin przyłapał się na tym, że patrzy na niego gniewnie ponad stołem.

Rusznikarza mojego brata. Słowa te mocno go ukłuły, choć ostatnio uszczypliwe przytyki Edwina padały tak często, że powinien się już do nich przyzwyczaić. Przy każdej sposobności brat wykorzystywał okazję, by podkreślić, że bardziej nadaje się do rządzenia. Corwin nie wiedział, czemu mu to przeszkadza, bo przecież zgadzał się z tym – to Edwin stanowił lepszy wybór. On sam był zbyt pochopny, zbyt łatwo dawał się ponieść emocjom, a nie kierował się rozsądkiem. Zbyt często nie doceniał zła tkwiącego w ludziach, wierząc w nich bardziej, niż na to zasługiwali. A choć często kwestionował decyzje Edwina, przynajmniej brat był tu, by móc je podejmować, w odróżnieniu od niego, Zbłąkanego Księcia.

Gdyby to on był tamtego dnia z matką, może wciąż by żyła.

Odpychając te bolesne myśli gdzieś w zakamarki umysłu, zmusił się, by ponownie zacząć słuchać dyskusji. Temat pasów księżycowych i przeludnienia ustąpił miejsca sojuszom małżeńskim – *słodka bogini, poraż mnie teraz i zakończ moje męczarnie.*

– Lord Jedrek z Kilbarrow – mówił właśnie minister Rendborne – zażądał wprowadzenia poprawki do kontraktu małżeńskiego pomiędzy jego córką Sabine Esborne i arcyksięciem Edwinem. Najwyraźniej po pojawieniu się ururu chce, by umowa dotyczyła jego córki i tego z książąt, który zostanie wybrany na następcę.

Na te słowa żołądek Corwina ścisnął się w supeł. Kontrakt małżeński. Pomiędzy księżniczką i tym z braci, który wygra. *Edwinem albo mną.* Natychmiast jego umysł zalały obrazy Kate z owej nocy i niewiele brakowało, by zerwał się z krzesła. *Twoja żona,* powiedziała, protestując przeciwko samej idei, że miałyby dzielić Corwina z jakąś inną kobietą. I miała rację, wizja ta nie podobała mu się ani trochę bardziej niż jej.

– Żądanie Jedrka mnie nie dziwi. – Edwin zapisał coś na leżącym przed nim pergaminie. Tylko zbiegłe kostki dłoni trzymającej pióro świadczyły o irytacji księcia. – Zajmijcie się modyfikacją kontraktu, Esborne’owie nie zadowolą się, póki ich córka nie zostanie arcykrólową, a ich ród to część...

Drzwi komnaty otwarły się gwałtownie i do środka wpadł mężczyzna, na wpół niesiony przez dwóch gwardzistów.

– Wybaczcie, że przeszkadzamy, moi panowie – rzekł jeden z nich. – Ale ten człowiek nalegał, by się z wami zobaczyć.

Corwin zerwał się z miejsca, podobnie jak reszta członków rady, rozległy się niespokojne szmery. Twarz i ręce nieznanego krwawiły, jego tunikę

pokrywały szkarłatne plamy. Sprawiał wrażenie oszołomionego, trawionego gorączką, ledwie był w stanie unieść głowę. Corwin go nie rozpoznał. Mężczyzna nie nosił żadnych insygniów, choć kosztowny strój świadczył o tym, że należy do wysoko urodzonych.

– Zwracasz się do arcyksiążąt Rime, panie, przemów zatem. – Strażnik potrząsnął nim lekko.

– Przestań. – Corwin wystąpił naprzód. – Nie widzisz, że jest półżywy? – Przez moment piorunował gwardzistę wzrokiem, po czym odwrócił się do rannego nieznajomego. – Co się stało? – Natychmiast poczuł znajomy, paskudny smród. – Zaatakowały cię dzienne gadźce?

Mężczyzna przytaknął i osunął się, ciężko wspierając się na podtrzymujących go rękach.

– Nasza osada. Otaczają ją. Od wielu dni nikt nie zdołał się z niej wydostać ani do niej przybyć. Ja ledwie się przedarłem.

– Gdzie? – naciskał Corwin. – Która to osada?

Mężczyzna nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo zemdłał.

– Wezwać uzdrowicieli! – krzyknął Corwin. Jeden z gwardzistów wypadł z komnaty.

– Czy wspominał, skąd przybył? – Drugi gwardzista pokręcił tylko głową, ale po chwili zaproponował: – Może powiedział, kiedy tu dotarł? Pójdę sprawdzić. Ktoś musi wiedzieć.

– Ja wiem – odezwał się od drzwi nowy głos.

Corwin uniósł głowę i ujrzał świeżo umytego i przebranego Dala. Twarz przyjaciela zdradzała oszołomienie.

– Wiesz? Skąd? Kto to?

– Z zamku Thornewall – odparł Dal dziwnie obojętnym głosem. – Zobaczyłem go przez okno i nie mogłem wprost uwierzyć.

– Dal! – Corwin czuł narastający niepokój. – Kim jest ten człowiek?

Dal uniósł nie do końca przytomny wzrok.

– To mój brat.

CORWIN

Corwin nigdy nie widział Dala w takim stanie. Jego sarkastyczny, zawsze beztroski przyjaciel milczał od niemal godziny. Czekali razem przed drzwiami komnaty, w której uzdrowiciele doglądali jego brata. Lir przycupnęła na ręce Dala, a on raz po raz gładził ją po grzbiecie. Kochał tę sokolicę bardziej niż cokolwiek na świecie. Może poza bratem.

Minęła godzina, a oni wciąż nie mieli wieści. Corwin liczył, że to dobry znak. Jeśli zieloni wciąż używali swej uzdrawiającej magii, to brat Dala nadal miał w sobie choć odrobinę życia, które mogli ratować.

Po jakimś czasie nie potrafił jednak dłużej znieść napięcia.

– Mogę cokolwiek zrobić, Dal? Potrzebujesz czegoś?

Dłoń Dala nadal spoczywała na grzbiecie sokolicy. Spojrzał na Corwina.

– Moja rodzina. Słyszałeś, co powiedział brat. Musimy im pomóc.

Corwin uścisnął mu ramię.

– Pomoc nadejdzie. Najwyższa rada spiera się teraz, ilu ludzi pošlemy i jak szybko zareagujemy. Dal skrzywił się.

– Strasznie długo to trwa. Szkoda, że nie zostaliśmy na naradzie, Corwinie. Nie sądzę... – Zawahał się, skubiąc zębami dolną wargę. – Obaj wiemy, że Thonrwall nie ma dla nich dostatecznego znaczenia, żeby musieli się śpieszyć. Nie jest ważnym ośrodkiem handlowym, słynie wyłącznie ze skandali, radośnie zresztą dostarczanych przez moich rodziców.

– To nie...

– Ależ tak. – Dal uciszył go, unosząc dłoń. – Ale kocham swoich braci. To dobrzy ludzie. Warto ich ocalić.

W odróżnieniu od matki i ojca, pomyślał Corwin, domyślając się, że plotki są prawdziwe i że Dal to nie jest rodzony syn barona Thorne.

– Wiem, że ci na nich zależy, oczywiście, że tak. I zbierzemy oddział, by zlikwidować te dzienne gadzce, nie ma innej możliwości.

Dal popatrzył z powątpiewaniem i znów zaczął głaskać sokolicę.

– Ale faktycznie masz rację – dodał Corwin. – Wolno im to idzie. Pójdę sprawdzić, co się dzieje.

Obiecawszy, że jak najszybciej wróci, Corwin pomaszerował z powrotem do komnaty rady. Przed drzwiami ku jego zaskoczeniu nie było gwardzistów pełniących zwykle straż. Zirytowany, że nikt nie raczył poinformować go o wyniku obrad, już miał odejść i poszukać brata, gdy usłyszał głosy dobiegające ze środka.

Podszedł do drzwi i usłyszał gniewny głos brata:

– Za bardzo naciskasz, to zbyt śmiało. Nasłuchiwał odpowiedzi, ale na próżno.

Wtedy znów odezwał się Edwin:

– Tak, chcę tego, ale muszę rozważyć ryzyko wobec...

Dźwięk jakichś zbliżających się głosów sprawił, że Corwin aż podskoczył. Nie powinien podsłuchiwać, niezależnie od okoliczności. *I mam ważniejsze sprawy*, dodał w myślach, pchnięciem otwierając drzwi.

Powitało go oburzone spojrzenie Edwina.

– Corwinie, kiedy wreszcie nauczysz się nie wpadać do środka jak dziecko?

– Sądziłem, że obrady dobiegły końca. – Choć raz obraźliwe słowa brata nie poruszyły go. Rozejrzał się wokół, nieco zaskoczony obecnością Storra; ostatnio często widywał brata toczącego poufne rozmowy z wielkim mistrzem.

Storr jak zawsze wyglądał zupełnie swobodnie, jakby była to całkiem niewinna rozmowa. Spojrzał na Corwina z uprzejmym uśmiechem.

Ten zignorował go, nie odrywając wzroku od Edwina.

– I wygląda na to, że rzeczywiście się zakończyły. Jaką decyzję podjęła rada w sprawie Thornevall?

Edwin skupił uwagę na stole, zaczął zbierać papiery.

– Rano wyślemy niewielki oddział zwiadowczy.

– Niewielki oddział zwiadowczy? – wykrztusił z niedowierzaniem Corwin.

– To wszystko?

Brat spojrział na niego ostro.

– Tak, to wszystko. Baron Thorne i jego osada to najmniejsza z trosk Norgardu. Nie mamy pojęcia, ile jest gadźców i w jak ciężkich naprawdę znaleźli się opałach. Stąd zwiadowcy.

– Och, są ciężkie – rzekł Corwin. – Widziałeś brata Dala, słyszałeś go.

– Usłyszałem tylko, że tkwią jak w pułapce, a to niewiele. Zwiadowcy sprawdzą, ile bestii ich oblega, gdzie są i jakie stanowią zagrożenie poza tą

niewielką osadą. – Edwin urwał i westchnął dramatycznie. – Zdaję sobie sprawę, że twoja podstawowa taktyka to rzucanie się na oślep w wir bitwy i późniejsze zadawanie taktycznych pytań, ale przy nowym zagrożeniu stawka jest zbyt wysoka, bracie. Musimy być mądrzejsi.

Corwin poczuł falę gorąca zalewającą twarz – częściowo był to wstyd, ale głównie wściekłość. Nie powinien był opowiadać Edwinowi o tym, co zdarzyło się w Endrze z servańskim chłopcem.

– Z Norgardu do Thornevall jedzie się trzy dni – wycedził przez zaciśnięte zęby. – I trzy dni z powrotem. To niemal tydzień, który będzie musiała wytrzymać rodzina Dala.

– Obawiam się, że potrwa to dłużej – wtrącił jak zawsze uczynny mistrz Storr. – Gdy upewnimy się co do zagrożenia ze strony dziennych gadźców, musimy zabezpieczyć cały oddział zwiadowców. Zabiorą wszystkie kamienie ochronne, na które możemy sobie w tej chwili pozwolić, a twój brat słusznie zauważył, że korony po prostu nie stać na dalsze tworzenie nowych.

Corwin zamknął oczy i policzył do dziesięciu, próbując powstrzymać się przed wybuchem i choć raz postąpić rozsądnie podejść do problemu praktycznie, zachować ostrożność.

Niech diabli porwą kierowanie się tym, co praktyczne. Edwin nie widział cierpienia Dala. Członkowie najwyższej rady nigdy nie brali pod uwagę ludzkich kosztów swych politycznych i finansowych gier. Już raz Corwin zachował milczenie, nie zważając na cierpienie i desperację kogoś bliskiego: posłuchał, gdy powtarzali, że Hale’owi Brightonowi nie można okazać łaski wygnania, że wypuszczenie żywego zdrajcy osłabi władzę arcykróla. Wówczas stał z boku i nic nie zrobił.

Nie tym razem. Powoli opuścił ręce.

– Nie wyślemy jedynie zwiadowców, ale także prowiant i zapasy. Jeśli magiści mogą ochronić żołnierzy, to samo uczynią z karawaną. Tym razem sami pokryjemy koszty, stać nas na to, jeśli dokonamy takiego wyboru. A w tym przypadku nie mamy innego.

– Kategoriecznie nie, Corwinie. Najwyższa rada już zdecydowała.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, to nie najwyższa rada rządziła Norgardem i Rime. Rada ma jedynie doradzać królowi, a nie podejmować za niego decyzje.

– Owszem, ale ty nie jesteś królem – przypomniał Edwin.

– Ty także nie, bracie. – Corwin uniósł prawą dłoń, pokazując znak uroru.

– Ale ten znak świadczy o tym, że kiedyś mogę nim zostać i to jedyna władza, jakiej potrzebuję.

To rzekłszy, obrócił się na pięcie i wymaszerował z sali, nie dając nikomu szansy na zaprotestowanie.

Kiedy podjął już decyzję, by działać, wszystko potoczyło się zaskakująco gładko. Najpierw udał się do ministra Fletchera i zażądał przygotowania dwóch wozów z zapasami. Potem rozkazał ministrowi Knoxowi, by zaczął wybierać najlepszych żołnierzy do tej misji. W końcu odszukał Bonnera; zanim zacznie dyskusję z niebieskimi szatami na temat ochrony oddziału, musi dowiedzieć się, ile rewolwerów jest gotowych.

Gdy dotarł do kuźni, ujrzał kilkunastu kowali wciąż ciężko pracujących. Bonnera wśród nich nie dostrzegł.

Z narastającą irytacją skierował się do prywatnego warsztatu na tyłach. Drzwi były zamknięte, ale dosłyszał dobiegające z wewnątrz głosy.

Corwin oparł się pokusie, żeby wpaść bez zaproszenia i zastukał.

– Bonnerze, tu Corwin, muszę z tobą pomówić.

W parę sekund później drzwi się otworzyły i wyjrzała onieśmielona i zaskoczona twarz kowala.

– Proszę wejść, Wasza Wysokość. Nie miałem pojęcia, że dziś zajrzysz.

– Ja też... – Słowa uwięzły mu w ustach, gdy jego spojrzenie padło na Kate. Siedziała w najdalszym kącie, trzymając się mocno pod boki. Przez sekundę patrzyła mu w oczy, a potem odwróciła wzrok. Na jej policzki wypłynął cień rumieńca.

Nie była też jedynym gościem – zobaczył Signe oraz mistrza Raitha. Znów ty, pomyślał, przypominając sobie, jak magista pomógł Kate w noc, gdy odwiedziła burdel. Już dwa razy widział go w pobliżu dziewczyny, gdy rozsądek podpowiadał, że nie powinno go tam być.

– Co ty tu robisz, mistrzu Raicie?

Raith, oparty o jedną z ław, wyprostował się i poprawił błękitną szatę na ramionach.

– Chciałem zobaczyć, jak idzie praca przy rewolwerach, Wasza Wysokość. Mój zakon jest żywotnie zainteresowany powodzeniem tego projektu.

Wątpię, by wielki mistrz zgodził się z tobą, pomyślał Corwin. Od początku chciał, żeby się nie udało; bardziej zależy mu na utrzymaniu zysków niż na rozwiązaniu problemów Rime. Ucieszył się jednak, że ma przynajmniej wsparcie Raitha.

– Cóż, cieszę się, że tu jesteś, bo znów będę potrzebował was, błękitnych.
– Szybko opowiedział im o bracie Dala i ataku na Thornewall. Jego wzrok mimo woli co chwila wędrował ku Kate.

Kiedy Corwin dotarł do końca opowieści, jej twarz pociemniała z obawy.

– Co zamierzasz zrobić?

Corwin skrzywił się i odgarnął opadające na twarz włosy.

– Edwin planował wysłać oddział zwiadowczy, ale to za mało. Zamierzam poprowadzić karawanę z zapasami i dopilnować, by bezpiecznie dotarła do celu. Brat Dala mówił, że ludzie głodują, nie wiemy, od jak dawna tkwią w pułapce.

Thornewall leżało na uboczu, trudno było do niego dotrzeć ze względu na góry pokrywające najdalej na wschód wysuniętą część Rime. I dlatego tak łatwo ich odcięli, pomyślał Corwin. Ale po co Powstanie miałoby atakować Thornewall? Osada nie miała żadnego znaczenia strategicznego dla arcykróla, w odróżnieniu od innych atakowanych do tej pory miejsc. Dal i Edwin nie mylili się, baronia niewiele znaczyła dla władzy Norgardu.

Odwrócił się do Raitha.

– Pomożesz mi, mistrzu Raicie?

– Oczywiście – odparł magista bez wahania. Przesunął poczerwiałym palcem po nosie i policzkach, nieświadomie gładząc krawędź piętna Cieniorodzonego. Corwin pierwszy raz widział, by tamten zrobił coś takiego.

– Ale jeszcze ważniejsza niż dostarczenie zapasów może być sposobność, jaka się nadarza. Być może zdołamy w końcu odkryć, co bądź kto stoi za atakami gadźców.

– To znaczy? – Corwin nie śmiał liczyć na wiele po tylu niepowodzeniach.

Wzrok Raitha powędrował na drugą stronę warsztatu, na moment zatrzymując się na Kate. Potem znów skupił go na księciu.

– Jeśli dobrze pamiętam geografię Thornewall, jedyna ścieżka wiodąca do zamku prowadzi przez wąską przełęcz, po obu jej stronach ciągną się pionowe skały. To ogranicza możliwe miejsca pobytu osoby kontrolującej gadźce. Jeśli rozstawimy zwiadowców wokół trasy, może zdołamy ich złapać.

– Ale czy gadźce nas nie zaatakują? – Signe wystąpiła naprzód. Corwin uniósł brew.

– Nas?

Popatrzyła na niego wyniośle.

– Jadę z wami, będziecie potrzebowali wszelkiej dostępnej pomocy, żeby ocalić rodzinę Dala.

Corwin przytaknął. Ucieszyła go ta propozycja i to, co oznaczała dla przyjaciela.

– Opracowałem nowe zaklęcie osłony – dodał Raith. – Powinno ochronić przed gadźcem bez potrzeby użycia specjalnego kamienia strażniczego dostatecznie długo, by nasi zwiadowcy zdążyli wrócić do karawany i bezpiecznej głównej bariery.

– Będziemy potrzebowali wszystkich możliwych rewolwerów – oznajmił Corwin, zwracając się do Bonnera. – Czy można ich bezpiecznie użyć?

Bonner przytaknął, jego uszy zaróżowiły się lekko.

– Mam sześć czy siedem, ale jeśli natychmiast siądę do pracy, może ukończę jeszcze dwa.

– Ile tylko zdołasz. – Corwin poklepał go po plecach, modląc się o cud. Odwrócił się do magisty. – Oprócz zaklęć bojowych będziemy też potrzebowali kamieni błyskowych.

Już słyszał ministra Portera narzekającego na koszty, ale nie zamierzał się tym przejmować.

– Ja też pojedę. – Kate stanęła obok Signe.

Corwin otworzył usta, by zaprotestować, ale zrezygnował, wiedząc, że nie ma to sensu. Nie należała do niego, nie mógł jej chronić.

– Świetnie – zmusił się do powiedzenia tych słów. – Najlepiej radzisz sobie z rewolwerem, to może się przydać.

Nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy.

– Kiedy ruszamy?

– O świcie. – Skierował się do wyjścia, a w głowie wirowały mu myśli, co musi jeszcze zrobić. Zamarł jednak, gdy w drzwiach dostrzegł Dala. Corwin ledwie go rozpoznał – przyjaciel bardziej przypominał ducha, bladego, pozbawionego wszelkich emocji.

– Rano ruszamy do Thornewall? – spytał Dal cichym, beznamiętnym głosem.

– Tak – odparł Corwin. – Ale ty powinieneś tu zostać i zająć się bratem.

Dal pokręcił głową.

– Nie ma potrzeby. Mój brat nie żyje.

KATE

Kate nigdy wcześniej nie nękały tak poważne wątpliwości, nawet w owych straszliwych dniach po aresztowaniu ojca. Od pierwszego spotkania z Kiranem, gdy poznała prawdę o tym, dlaczego jej ojciec tamtego ranka przybył do komnat króla Orwina, czuła się jak w transie. Wciąż nie wiedziała, czemu ostatecznie zaatakował króla. Przecież poszedł tam tylko po to, by wpłynąć na jego decyzję w sprawie inkwizycji. Ale teraz była bliższa niż kiedykolwiek wcześniej zrozumienia jego czynu.

Powstanie. Wydawało się to niemożliwe. Jej ojciec nigdy nie dyskutował z nią o dzikunach, nie wspominał nawet o ich istnieniu. Zawsze byli tylko oni, on i Kate, ojciec i córka, dwoje dzikunów kryjących się przed światem. Ale może w pewnym momencie podejście Hale'a do tej kwestii zmieniło się, tylko ona tego nie zauważyła? Nie mogła zaprzeczyć, że kiedy królową Imogen zabił dzikun, wszystko się zmieniło. Może wpłynęło to też na niego? A może to Vianne i Kiran otworzyli ojcu oczy na szerszy świat? Jeśli tak, doskonale to rozumiała, biorąc pod uwagę okrutne warunki, w jakich musiał żyć chłopczyk.

Nigdy nie zdobędzie pewności, ale od kilku dni nie mogła już dłużej zaprzeczać temu, iż Hale zaangażował się w sprawy Powstania. Zaledwie zeszłej nocy wzięła udział w tajnym spotkaniu w piwnicy „Świętego Miecza”. Ponad połowa zgromadzonych tam ludzi rozmawiała z nią o ojcu – niektórzy wyrażali kondolencje, inni krytykowali go z powodu niepowodzenia.

Wyglądało na to, że członkowie Powstania są podzieleni we wszystkich możliwych sprawach, także w kwestii opinii na temat jej ojca. Przez ponad godzinę słuchała argumentów Raitha, dlaczego powinni zachować ostrożność, zbadać każdą możliwość zakończenia działania inkwizycji bez rozlewu krwi. Inny przywódca buntu, ziemista o imieniu Francis, był zupełnie odmiennego zdania.

– Nadszedł czas, by uderzyć. W Rime już i tak panuje zamęt – jego głos balansował na krawędzi krzyku. – Ktokolwiek stoi za atakami dziennych

gadźców, nadal będzie nas obwiniał, aż w końcu nie znajdziemy bezpiecznej kryjówki. Musimy się bronić, nim będzie za późno. Przygotowaliśmy już plan, trzeba zacząć działać!

Plan najwyraźniej zakładał opanowanie Farholdu, jedyne w pełni samowystarczalnego miasta w Rime. Powstanie miało przejąć władzę w mieście i dzięki temu zmusić arcykróla do zakończenia prześladowań.

Po zakończeniu zebrania Kate zwróciła się do Raitha.

– Czy podczas oblężenia nie zginie wielu niewinnych mieszkańców Farholdu?

Twarz magisty przybrała posępny wyraz.

– Jeśli wybuchnie wojna, to owszem, przemoc to nieunikniona jej konsekwencja. Ale pozwól, że spytam, co jest gorsze: garstka ludzi ginących podczas oblężenia czy setki niewinnych dzikunów, porywanych i skazywanych na śmierć, przez wiele kolejnych lat? – Spojrzał jej prosto w oczy i położył dłoń na jej ramieniu, a głos drżał mu z emocji. – To dlatego tak rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy, Kate. Masz duży wpływ na Corwina, który, jeśli bogini pozwoli, pokona w próbach uroru swego brata. Gdybyś zdołała pomóc mu poznać prawdę na nasz temat, to może wykorzystalby swą władzę arcykróla i zakończył działania inkwizycji, zanim poleje się krew.

– Nie znasz zbyt dobrze Corwina – odparła Kate, czując, jak ścisną się jej gardło. *Nie mam na niego żadnego wpływu.*

Mogłaby mieć, gdyby zgodziła się zostać jego metresą, ale zamknęła już te drzwi i nie miała zamiaru ponownie ich otwierać. Wolą jednak nie omawiać takich spraw z Raithem, zamiast tego więc rzekła: – On nienawidzi dzikunów.

– Nie jestem tego taki pewien, choć nawet jeśli nienawidzi, to jego odczucia są niczym w porównaniu z poglądami brata i najwyższej rady. – Raith skrzywił się z niesmakiem. – Edwin sprawia wrażenie zrównoważonego, ale mistrz Storr mówił mi, że kryje w sobie głębokie pokłady nienawiści. Uważa, że każdy dzikun musi zapłacić za śmierć jego matki.

Odkąd przejął władzę po ojcu, czyni wszystko, co w jego mocy, by zwiększyć uprawnienia inkwizycji i zachęcić Ligę, aby skupiła się na chwytaniu dzikunów. Czy wiedziałaś, że maestra Vikas pozwala mu brać udział w ceremoniach oczyszczenia w Norgardzie?

Kate poczuła, że robi jej się niedobrze. Strach przed dzikunami czy nawet podejrzenie ich o to, że mogli skrzywdzić królową Imogen, to jedno. Ale pragnienie oglądania ich śmierci? To coś zupełnie innego.

– Corwinowi na tobie zależy – ciągnął Raith. – Każdy to widzi. I wierzę, iż ma w sobie dość mądrości, by wznieść się ponad uprzedzenia, jeśli tylko będzie miał taką szansę. Musi po prostu zrozumieć, że dzikuni są zdolni nie tylko do czynienia zła, ale i dobra. Człowiek, który wywołał pożar, w którym zginęła jego matka, nie należał do Powstania, nie mieliśmy okazji go zrekrutować. Tak wielu prześlizguje się nam między palcami. Powstanie ciężko pracuje, starając się powstrzymać dzikunów przed używaniem ich mocy do złych celów, tyle że nie zawsze nam się udaje. Tak to już jest w kraju, w którym dzieła nas uprzedzenia, zmuszają do życia w ukryciu, zagrażają naszym rodzinom. Być może Corwin ujrzy w tym prawdę, musi mu ją tylko pokazać ktoś, komu ufa.

Kate nie odpowiedziała, choć bardzo pragnęła uwierzyć, że Powstanie nie chce szerzyć strachu i przemocy, że zależy im tylko na zdobyciu wolności i na spokojnym życiu. W obliczu jej milczenia Raith spróbował nowej taktyki, proponując jej sposób ukrycia przed Ligą magii Bonnera, by w końcu mógł wyprodukować rewolwery. Gdy otrząsnęła się z szoku po odkryciu, jak wiele wie o nich mistrz magista, zgodziła się na ten plan. Dlatego właśnie przebywała w kuźni, kiedy zjawił się Corwin z informacją o ataku na dom ojczysty Dala.

A teraz Raith przekonał mnie, żebym wykorzystała swe moce i spróbowała znaleźć tego, kto stoi za atakami dziennych gadźców. Chyba oszalałam.

Kate pokręciła głową. Jakże chciała pozbyć się dręczących ją trosk.

– Nic ci nie jest? – spytał Bonner.

Zostali w kuźni tylko we dwoje. Signe poszła gdzieś z Dalem, a Raith pożegnał się wkrótce po wyjściu Corwina, obiecując, że wróci i pomoże Kate rozwinąć jej talent tak, aby mogła używać go na ludziach. Wiedziała, że będzie tego potrzebowała, by odnaleźć osobę kontrolującąienne gadźce. Sama jednak nie chciała tego robić, nieważne jak bardzo istotna może w przyszłości okazać się ta umiejętność. Przez całe jej życie magia była bardzo prosta: umożliwia jej przemawianie do zwierząt, wpływanie na nie. Niewinna, nieszkodliwa moc. Ale użyta na ludziach? To czyniło ją znacznie potężniejszą – a tym samym niebezpieczniejszą.

Uświadomiwszy sobie, że zbyt długo milczy, zerknęła na Bonnera

i uśmiechnęła się słabo.

– Nic mi nie będzie. Po prostu strasznie dużo tego wszystkiego.

– Znam to uczucie. – Bonner skrzywił się, a wyraz ten dziwnie nie pasował do jego twarzy. Uniósł naszyjnik z kamieniem magicznym podarowanym mu przez Raitha; z rzemienia zwisał diament wielkości szklanej kulki. – Naprawdę wierzysz, że to ukryje moją magię przed magistami?

Na szczęście Raith opowiedział także Bonnerowi o Powstaniu i roli, jaką w nim odgrywał, dzięki czemu Kate mogła dyskutować o wszystkim z kowalem, nie ryzykując aktywacji klątwy.

– Nie widzę powodu, dla którego miałby kłamać albo dać ci go, gdyby nie działał. Ten diament musiał kosztować więcej niż oboje zarobimy wspólnie przez całe życie.

– Słuszna uwaga. – Bonner założył naszyjnik, po czym wymówił właściwe słowa, aktywując zamknięte w nim zaklęcie.

Rzemień okazał się wystarczająco długi, by diament zawisł nisko na piersi. Kowal szybko ukrył go pod tuniką. Potem podniósł jeden z rewolwerów leżących na stole. Były to odrzuty, miały zbyt wiele niedoskonałości, by działały właściwie. Ułożył broń na dłoni i zakrył drugą ręką.

Z wahaniem obejrzał się na Kate.

– Wydaje mi się to niewłaściwe.

– Nie musisz tego robić. – Podeszła bliżej i schwyciła jego dłonie. – Możesz powiedzieć Corwinowi, że to wszystko pomyłka i wyjechać z Norgardu, wrócić do Farholdu i zacząć spokojnie żyć.

– A pojechałabyś ze mną? – Bonner przyszpilił ją przenikliwym spojrzeniem.

Tydzień temu zgodziłaby się. Ale nie teraz. Nie bez Kirana. Odwiedzała go każdego dnia, starając się nadrobić tak wiele straconych lat. Był jedyną rodziną, jaka jej pozostała, i nie zamierzała go porzucić.

Pokręciła głową i opuściła rękę.

– Nie mogę zostawić Kirana. On żyje w klatce. To okropne. Trzeba coś z tym zrobić.

– Wiem i dlatego ja też zostanę. Jeśli zdołam w końcu wyprodukować dość rewolwerów i Corwin pozbędzie się gadźców, uratuję świat. Może wtedy, gdy poczuje wdzięczność, ujawnię mu prawdę na temat mojego daru.

Kate przypomniała sobie wczorajsze słowa Raitha i powoli pokiwała głową.

Bonner mocniej przycisnął dłoń do rewolweru i zamknął oczy. Choć niczego nie wyczuła, zrozumiała, że wnika w metal swoją magią, oczyszczając go i wygładzając miejsca, gdzie coś poszło nie tak.

– Gotowe – rzekł chwilę później.

W napięciu czekali, niemal pewni, że nagle do kuźni wpadnie jeden ze złotych i aresztuje ich. Kiedy minęło kilka chwil i nic się nie wydarzyło, Bonner wzruszył ramionami.

– Chyba zadziało. – Odłożył rewolwer i wziął następny.

– Zaczekaj. – Kate musnęła palcami jego ramię. – Nie możesz zrobić zbyt wielu na raz. Raith zorientował się, kim jesteś, bo ludzie pytali, dlaczego tylko twoje rewolwery działają.

Bonner nadał policzki i pokiwał głową.

– Masz rację. Naprawię jeszcze dwa. A jutro, gdy pozostali kowale zaczną pracować, będę poprawiał każdy rewolwer w ten sposób, by wyglądało, że w końcu radzą sobie sami.

– Dobry plan, ale ukrywaj ten diament. Jeśli jakiś magista go zauważy, zacznie się zastanawiać, do czego służy. Raith twierdzi, że to zaklęcie nie zostało zatwierdzone.

– Będę uważał. – Bonner poklepał się po klatce piersiowej, gdzie pod tuniką tkwił ukryty klejnot. – Ale myliłaś się.

– Co do czego? – Kate zmarszczyła brwi.

– Tak samo jak ty nie mogę opuścić Norgardu. Mój ojciec nie przeżyłby podróży.

– Nie rozumiem. Czuje się przecież znacznie lepiej.

Zaledwie wczoraj zjedli razem wieczerzę. Thomas jak zawsze powitał ją ciepło i życzliwie. Istotnie, wciąż był za chudy, nie miał apetytu i dziobał jedzenie jak ptaszek, ale dopisywał mu humor. Zaczął nawet żartować z syna, nalegając, by w końcu znalazł sobie żonę i się ustatkował.

– Kogoś równie pięknego i dobrego jak obecna tu Kate – dodał, mrugając porozumiewawczo.

– Chcesz powiedzieć groźnego, tatku – odparł Bonner i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Teraz nie patrzył jej w oczy.

– Owszem, ale to tylko warunkowe, zaledwie dziś rano rozmawiałem o tym z zielonymi. Nie mogą wyleczyć tego, co mu dolega, jedynie powstrzymują chorobę kamieniami magicznymi. Jego ciało zużywa co najmniej dwa dziennie. Ale jeśli przestanie je nosić, znów znajdzie się

w stanie, w jakim był wcześniej, i w końcu... umrze. Bez tego stanowiska nie mógłbym sobie pozwolić na tyle kamieni.

Miłość to także klatka, pomyślała Kate, żałując przyjaciela. Klatka, w której tkwili oboje. Oplotła rękami potężną sylwetkę kowala, a przypominało to obejmowanie głazu.

– W takim razie dopilnujmy, by udało ci się dostarczyć Corwinowi jego rewolwery.

* * *

Raith powrócił godzinę później. Przyniósł ze sobą drugi magiczny diament i wręczył go Kate.

– Będzie ci potrzebny.

Przyjęła prezent i zawiesiła na szyi.

– Czy wszyscy w Powstaniu je noszą?

Raith parsknął śmiechem.

– Możemy tylko marzyć o podobnej fortunie. Ale nie, tak jak reszcie Rime pozostaje nam tylko zakup bądź kradzież cennych kamieni. Większość dzikunów musi się zadowolić pomniejszych kamieniami, chroniącymi przed odkryciem w przypadku poddania próbie przez złotych, jak wtedy, gdy inkwizycja kogoś aresztuje. Nie mogą jednak bez obaw używać własnych darów. – A wskazując poczerńiałym palcem najpierw Kate, potem Bonnera, dodał: – Lepiej żebyście ich nie zgubili. I nikomu ich nie pokazujcie, złodziej oddałby niemal wszystko, by ukraść taki naszyjnik.

Kate pokiwała głową.

– I co teraz?

Magista podparł się pod boki i zmierzył ją pełnym determinacji spojrzeniem.

– Teraz nauczymy cię, jak dostroić dar do ludzi, i módlmy się do Noralah, żebyś opanowała to szybciej niż twój ojciec.

– Mojego ojca też tego uczyłeś?

Raith podszedł do najbliższego krzesła i usiadł, gestem wskazując, by zajęła miejsce naprzeciwko.

– Uczyłem to niewłaściwe słowo. Nie da się uczyć kogoś posługującego się dzikuńską magią, przynajmniej nie tak jak magistów pobierających nauki w Akademii Ligi. Ty musisz uczyć się metodą prób i błędów. Pomagałem

twojemu ojcu, zgłaszając się na ochotnika na obiekt jego kolejnych prób. Dla ciebie zrobię to samo. A oto pierwsze zadanie. Musisz wydobyć z mojego umysłu jeden obraz. Skoncentruję się na nim ze wszystkich sił, to powinno ułatwić sprawę.

Kate mocno w to wątpiła. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak przystosować swą magię do człowieka, a co dopiero mówić o czytaniu w czyimś umyśle. Usiadła jednak naprzeciwko magisty.

– No dobrze, od czego mam zacząć?

Raith podrapał się po szczecinie na brodzie.

– Postępuj tak samo, jak przy słuchaniu zwierząt, ale spróbuj dostroić to do mnie.

– Niezbyt to pomocne, ale spróbuję.

Zamknęła oczy i sięgnęła magią tak, jak uczyniłaby to, szukając dzikich zwierząt w lesie.

Po chwili zaczęła wykrywać różne zwierzęta w zamku – kilka kotów i niepokojącą liczbę myszy. Wyczuła nawet Lir w pokojach Dala, sokolica denerwowała się, dostrojona do mrocznego nastroju pana. Z łatwością odszukała je wszystkie, kiedy jednak spróbowała skupić się na myślach Raitha, nic się nie stało. Równie dobrze mogłaby próbować nauczyć konie latać.

Otworzyła oczy i posłała mu gniewne spojrzenie.

– To się nie uda. Nie mam pojęcia, co robię.

Raith przeciągnął się na krześle i popatrzył na nią, mrużąc oczy.

– A w jaki sposób zadziało na tamtych złodziei?

– Nie wiem. Bałam się i byłam wściekła. Zrobiłam to niechcący.

Pokiwał głową.

– Wywołanie emocjonalne, to dość częste. Ale jak mamy odtworzyć podobne odczucia?

Kate pokręciła głową. W tej chwili czuła się tylko zmęczona i niepewna, ostatnich kilka dni kompletnie ją wyczerpało.

– Mam pomysł. – Bonner odłożył broń, przy której majstrował, i podszedł do Kate.

Złapał ją, przycisnął jedną ręką, a drugą zaczął łaskotać. Z wrzaskiem próbowała się uwolnić, ale nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Przestań! – usiłowała krzyknąć, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. W odpowiedzi Bonner począł łaskotać jeszcze mocniej, nieubłaganie.

– Przestań! – powtórzyła, powoli wpadając w panikę, żołądek ścisnął jej się boleśnie. Wkrótce strach przerodził się w gniew. – Powiedziałam przestań! – Tym razem nasyciła słowa mocą własnej magii i Bonner odskoczył, natychmiast ją wypuszczając.

– To było... niepokojące. – Dotknął czoła. – Jakbym poczuł cię tu, w środku.

Kate posłała mu gniewne spojrzenie.

– Nie czas teraz na łaskotki, Tomie Bonnerze.

Raith pomachał ręką.

– Nieważne. Przywołaj to uczucie, Kate, spróbuj odczytać moje myśli.

Wciąż rozgniewana zamknęła oczy i znów sięgnęła ku niemu. W chwilę później wyczuła dwie odrębne myśli – pierwszą był obraz lśniącego, czerwonego jabłka, drugą słowa: Bogowie, odpłacę ci za to później.

Otworzyła oczy i zagapiła się na niego.

– Chyba się udało. – Wskazała ręką Raitha. – Ty myślisz o jabłku, a ty – przesunęła palec w stronę Bonnera, dźgając nim jak sztyletem – martwisz się, jak ci za to odpłacę.

Bonner zaśmiał się nerwowo.

– To... trochę przerażające, świadomość, że wiesz, o czym myślę.

Serce Kate zatrzępotało. Istotnie, to było przerażające. I niewłaściwe. Obejrzała się na Raitha, który z aprobatą kiwał głową.

– Jeśli nauczę się to robić, czy będzie działało cały czas? Będę słyszeć myśli innych czy tego chcę, czy nie?

– Nie przypuszczam. Twój ojciec przynajmniej nigdy o tym nie wspominał. – Magista przechylił głowę z zaciekawioną miną. – Czy cały czas wyczuwasz bezwiednie myśli zwierząt?

Kate zastanowiła się chwilę.

– Nie, chyba że targają nimi potężne emocje, tak jak końmi tamtej nocy w Nefrytowym Lesie podczas pożaru.

– No i proszę. Nie ma powodu, by z ludźmi wyglądało to inaczej. Jeśli nie będziesz chciała słuchać, to ich nie usłyszysz.

Kate pokiwała głową, przysięgając sobie w duchu, że nigdy nie podsłucha cudzych myśli, chyba że będzie to absolutnie niezbędne.

– O co zatem chodzi? Kiedy ruszymy do Thornewall, mam nasłuchiwać, czy ktoś się tam kryje? Żebyśmy mogli ich złapać?

– Jeśli zdołasz, powinnaś dokonać więcej – odparł Raith. – Ich myśli mogą

ujawnić najróżniejsze ważne informacje, bo przecież kiedy ich złapiemy, mogą się zabić tak jak Ralph Marcel w domu Gregorów.

Kate pokręciła głową. Nie potrafiła sobie wyobrazić aż takiej desperacji, która popycha człowieka, by z własnej woli wkroczył w objęcia śmierci.

Musimy odkryć powód, uświadomiła sobie, wspomniawszy rozpacz na twarzy Dala po śmierci jego brata. Ktokolwiek to robi, trzeba go powstrzymać. Teraz wszystko zależało od niej. Odetchnęła głęboko, żałując, że bogowie nie wyznaczyli jej innego zadania. Czemu nie miała wygrać wyścigu konnego albo innej próby w siodle? Wszystko byłoby lepsze od wykradania cudzych myśli.

Ponieważ bogowie pragną rozrywki, pomyślała, widząc piętno Cieniorodzonego na twarzy Raitha. Nie chcą, by szło nam zbyt łatwo.

Westchnęła ciężko.

– Spróbujmy jeszcze raz – zaproponowała i pogroziła Bonnerowi palcem.
– Ale żadnych więcej łaskotek, muszę nauczyć się to robić na spokojnie.

Kowal wyszczerzył zęby.

– Nigdy więcej, przyrzekam.

* * *

Minęło kilka godzin, nim znów jej się udało. Po jakimś czasie zaczęła myśleć o tym jak o śpiewaniu, było to najlepsze porównanie, jakie znalazła. Myśli zwierząt znajdowały się na innej części skali, były niższe, łatwiejsze do osiągnięcia.

Ludzkie myśli zajmowały znacznie wyższe partie i wymagały od niej wysiłku. Musiała więc dostroić tylko swą magię do różnych poziomów. Łatwiej jednak było to powiedzieć, niż zrobić ale próbowała. W końcu udało jej się kilka razy pod rząd.

Zacząła rozumieć, że dostrojenie się do innej skali to najtrudniejsza część zadania – reszta, w tym samo słuchanie, wyglądała tak samo jak w przypadku zwierząt, choć ludzki umysł był większy, bardziej złożony. Był niczym olbrzymi skarbiec pełen myśli i wspomnień. Kate niechętnie poznawała urywki przeszłości Raitha, wszystkiego, co musiał znosić w dzieciństwie – strach i nienawiść wyłącznie z powodu tego, że jego skóra nosiła na sobie odmienny znak. Lecz w samym jego sercu krył się ten sam jaśniejący płomień, ta sama esencja, równie promienna i piękna jak u zwierząt.

W końcu odkryła, że posługiwanie się magią na ludziach jest wręcz łatwiejsze, zwłaszcza gdy w grę wchodziło przekazywanie idei – ostatecznie ludzie mówili w tym samym języku co ona. Ale jednocześnie niosło to ze sobą największe zagrożenie; Kate zrozumiała to, gdy przypadkowo posłała myśl wprost do głowy Raitha.

Magista skrzywił się i pomasował czoło.

– Musisz bardzo uważać, bo w ten sposób szybko się zdradzisz. Diamenty chronią was tylko przed uruchomieniem kamieni wykrywających, w żaden sposób nie ukryją dowodów działania magii. Poza tym nie musisz krzyczeć.

– Wybacz. – Klapnęła ciężko na krzesło. Czuła się wyczerpana, bliska utraty przytomności. Jej wewnętrzne źródło magii przypominało teraz pustą dziurę, nigdy wcześniej nie zużyła jej tak wiele i to za jednym razem. – Nie chciałam tego zrobić. Będę bardziej uważać.

– I dobrze. – Raith wstał, wyjrzał za okno, gdzie ostatnie promienie zachodzącego słońca kreśliły na horyzoncie słabą, pomarańczową wstęgę. – Poćwiczmy znów w drodze i kiedy zatrzymamy się na popas. Jeśli nam się poszczęści, czas potrzebny na dotarcie do Thornewall wystarczy, byś w pełni opanowała tę umiejętność.

Kate przytaknęła, nie zważając na trawiące ją wątpliwości. Tajemnica czy nie, dołoży wszelkich starań. I pozostaje tylko mieć nadzieję, że to wystarczy.

KATE

Następnego dnia o świcie karawana była gotowa do drogi. Kate wypatrzyła Corwina na dziedzińcu i musiała przyznać, że wygląda na zmęczonego: pod oczami miał ciemne kręgi, a kiedy dosiadał Zwiastuna Nocy, poruszał się sztywno i ociężale. Domyślała się, że problemy związane ze zorganizowaniem, i to tak szybko, tak dużej grupy, długo nie pozwalały mu zasnąć. W skład karawany wchodziło dwunastu niebieskich magistów, wybranych osobiście przez Raitha, oraz dziesięciu kawalerzystów z Norgardu jadących na rumakach bojowych i dwóch kolejnych, powożących pełnymi zapasów wozami.

Wszyscy uzbrojeni byli po zęby – w miecze, sztylety, a także broń dalszego zasięgu, łuki albo rewolwery. Tych ostatnich było w sumie dziesięć; przypadły Corwinowi, Signe, Kate, Dalowi i sześciu kawalerzystom. Wszyscy też wypchali kieszenie i juki mnóstwem kamieni błyskowych i tarczowych obiecanych przez Raitha. Kate miała wrażenie, że nie wyruszają z misją ratunkową, lecz na wojnę.

Pierwszego dnia podróżowali szybko i sprawnie, po gładkim, równym dziedzińcu wozy toczyły się lekko. Drugiego dnia dotarli do mniej uczęszczanych szlaków i droga z każdą milą robiła się coraz bardziej kamienista, coraz częściej też musieli pokonywać wzgórza. Corwin liczył, że dotrą do celu w ciągu trzech dni, wkrótce jednak zrozumieli, że w najlepszym razie mogą liczyć na cztery – chyba że zechcą znaleźć się o zmroku w górach otaczających Thornewall, ryzykując spotkanie z nocnymi gadźcami.

Kate spędzała cały czas na ćwiczeniu zwodzenia. Początkowo szło jej ciężko, bo instynkt protestował przeciwko tak otwartemu posługiwaniu się magią – i to na oczach tuzina magistów uzbrojonych w nieodłączne, osadzone w maczugach kamienie wykrywające magię. Wiedziała, że tylko połowa z nich popiera Powstanie. Po jakimś czasie jednak zaczęła rozkoszować się nową swobodą. W czasie podróży przez równiny ćwiczyła sięganie najdalej, jak zdołała, nasłuchując umysłów ludzi. Dwa razy udało jej się wyczuć zbliżających się podróżnych, nim jeszcze ich zobaczyli. Co

najlepsze jednak, Dal zabrał ze sobą Lir i Kate od czasu do czasu łączyła się z umysłem sokolicy szybującej nad karawaną, dzięki czemu mogła sięgnąć wzrokiem jeszcze dalej i napawać się uczuciem latania. Pomyślała, że łatwo byłoby jej przywyknąć do podobnej wolności.

Każdego wieczoru po rozbiciu obozu dołączała do Raitha w jego namiocie i zniżając głosy, omawiali jej najnowsze osiągnięcia. Potem, ostatnią godzinę przed zmierzchem, ćwiczyli tak jak wcześniej w Norgardzie: Kate usiłowała odkryć jego myśli, a Raith aktywnie je przed nią ukryć.

Trzeciego dnia Corwin wezwał wszystkich do siebie, by omówić plany na następny dzień. Zebrali się pośrodku obozu, gdzie księżę i Dal za pomocą kamieni i patyków nakreślili na ziemi prymitywną mapę.

– Rankiem – oznajmił Corwin – tak jak zaplanowaliśmy, wyślemy zwiadowców. Jedni pojedą przodem, pozostali za nimi. Jednakże lord Dallin uważa, że jeśli ktokolwiek miałby zorganizować zasadzkę, to w tym miejscu. – Wskazał punkt na mapie, gdzie szlak zwężał się maksymalnie; po obu stronach ułożył spore kamienie symbolizujące przewężenie drogi.

– Nazywamy je Przełęczą Węża. – Dal omiótł wzrokiem zebranych. – Nie tylko dlatego, że skręca i wiję się, ale też dlatego, że bywa śmiertelnie groźna. Wiosną, latem i jesienią stale istnieje niebezpieczeństwo osunięć skał, a zimą lawin. Konie są w stanie pokonać ją zaledwie spacerkiem, nie szybciej, bo teren jest zbyt kamienisty.

– Jeśli wcześniej nie dostrzeżemy żadnych śladów dziennych gadźców – wtrącił Corwin – zatrzymamy się wcześniej. Nie chcemy spotkać się z nimi na Przełęczy Węża. Będziemy udawać, że jeden z wozów został uszkodzony. Jeśli ktokolwiek nas obserwuje, z pewnością uzna, że stanowimy łatwą zdobycz. Ale się pomyli.

Rozległy się szmery, wszyscy przetrawiali te informacje. Corwin dał im kilka chwil, po czym uniósł ręce, uciszając zebranych.

– Teraz musimy wybrać zwiadowców – powiedział i zaczął wymieniać imiona. Kate czekała na wywołanie swojego, ale go nie usłyszała. Corwin doszedł do końca listy i dodał: – Reszta zostanie przy wozach, żeby w razie potrzeby bronić zapasów i eliminować wszystkie gadźce, jakie znajdą się w naszym zasięgu.

Signe pochyliła się ku Kate.

– Czy on nas ma za zwykłe ozdoby? – syknęła. – Nie chcę bronić wozów.

– Ja też nie – odparła Kate. Co gorsza, utrudniłoby jej to wykrycie osób

kierujących gadźcami. Potrzebowała odosobnienia, by móc w pełni przywołać swoją magię.

Po zakończeniu spotkania Raith podszedł do Kate.

– Musimy przekonać Corwina, żeby zmienił zdanie – wyszeptał.

– Owszem, ale jak, nie zdradzając mu prawdy?

Raith rozejrzał się po obozie, jakby szukał odpowiedzi.

– Mam pomysł. Chodź ze mną.

Kate podążyła za Raithem w miejsce, gdzie Corwin i Dal rozkładali swoje posłania. Mimo rześkiego powietrza postanowili tego wieczoru nie rozpalać ognia, by nie zaalarmować potencjalnych nieprzyjaciół.

– Wasza Wysokość. – Mistrz Raith skłonił głowę na powitanie. – Musimy omówić kwestię zwiadowców.

Corwin uniósł głowę, początkowo zaskoczony, potem zirytowany, gdy jego wzrok padł na Kate. Po sekundzie skupił się na magiście.

– O co chodzi, mistrzu Raicie?

– Uważam, że panna Kate byłaby najlepszym zwiadowcą. Strzegąc wozów, marnuje tylko swe zdolności.

– I ja także – dodała Signe, która, jak łatwo odgadnąć, przyszła wraz z nimi.

Dal przygwoździł ją spojrzeniem. Choć przez kilka ostatnich dni udawał dawnego lekkoducha, wszyscy, którzy go znali, wyczuwali zmianę, jaka w nim zaszła. Zupełnie jakby przygniótł go niewidzialny płaszcz. Żarty padały później niż kiedyś, uśmiech szybciej znikał z jego twarzy, Kate w ogóle nie słyszała jego śmiechu.

– Wolałbym – rzekł Dal, spuszczać wzrok i wbijając go w ziemię u swych stóp – żebyś została bliżej mnie.

Signe nie kryła zaskoczenia i Kate wzdrygnęła się na brak delikatności przyjaciółki.

– Jeśli tego właśnie chcesz.

Dal uniósł wzrok, patrząc z napięciem.

– Owszem, tego.

– W takim razie ustalone – wtrącił z lekkim zniecierpliwieniem Raith. – Ale co z Kate? Jest najlepsza spośród naszych jeźdźców, powinna zostać pierwszym zwiadowcą. Szczerze mówiąc, uważam, że nie będziemy potrzebowali nikogo innego. Jednego jeźdźca trudniej wypatrzyć, a nie chcemy, by tamci wszczęli alarm. Poza tym na tak zdradzieckim szlaku nikt

nie ma większej szansy bezpiecznego powrotu. Jeśli faktycznie zastawili pułapkę.

Corwin wpatrywał się w magistę, zaciskając mocno wargi, jego ciało zeszywniało z napięcia.

– Ma sporo racji. – Dal pokiwał głową. – Nie mówiąc o tym, że jeden zwiadowca oznacza, że pozostałoby nas więcej gotowych do walki.

Kate napięła się, czekając na gniewną odmowę. Czuła na sobie wzrok księcia, jego błękitne oczy przypominały lód, od którego po plecach przebiegł jej dreszcz.

– Czy tego właśnie chcesz, Kate? Wyjechać naprzód? – Czekając na odpowiedź, tak mocno zacisnął szczęki, że zadrżał mu mięsień policzka.

Przytaknęła, nie ufając własnemu głosowi. Powietrze między nimi zdawało się naelektryzowane jak przed nadchodzącą burzą. Napięcie sprawiło, że jej umysł zalała fala wspomnień z ostatniego spotkania, poczuła przejmujący ból pożądania. Nic nie mogła na to poradzić. Jeśli chodziło o Corwina, jej ciało reagowało niezależnie od umysłu. Pierwsza odwróciła wzrok.

– Niechaj tak będzie – usłyszała jego głos. – Omówię to z pozostałymi.

Przez chwilę odprowadzała go wzrokiem, potem zmusiła się, by odwrócić spojrzenie. Raith podszedł do niej.

– Zjedz coś i jak najszybciej się połóż. Nie starczy dziś światła na ćwiczenia, a jutro musisz być wypoczęta.

Z pełnym wdzięczności westchnieniem podziękowała i poszła poszukać miejsca, gdzie mogłaby rozłożyć poślanie. Zatrzymali się na popas niecałe dwieście jardów od urwisk, w pobliżu leżało więc kilka wielkich głazów. Kate wybrała sobie miejsce obok jednego z największych, mając nadzieję, że osłoni ją przed hałaśliwymi głosami żołnierzy, którzy, jak podejrzewała, położą się późno, zbyt podminowani, by spać przed prawdopodobną jutrzejszą walką.

Rozwinęła siennik i rzuciła na ziemię, kiedy usłyszała znajomy głos.

– Czy coś cię łączy z mistrzem Raithem?

Uniosła głowę i ujrzała Corwina opartego o głaz, jego twarz kryła się w cieniu. Powoli wyprostowała się, pozwalając, by w pełni dotarło do niej znaczenie jego słów.

– Coś nas łączy? – Podparła się pod boki, niezdecydowana, czy woli wybuchnąć śmiechem, czy też go uderzyć. A może jedno i drugie.

Pokiwał głową, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale... Przy tobie nie mogę myśleć jasno i może świadomość, że znalazłaś sobie kogoś, pozwoliłaby... – Nie dokończył, nie musiał. – Pozwoliłaby i mnie zrobić to samo.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie skłamać i nie zakończyć jego cierpień, ale miała dosyć kłamstw. Miała wrażenie, że ostatnimi czasy wyrastają wokół niej niczym natrętne pnącza, dusząc na każdym kroku. Nagle jeszcze mocniej zapragnęła wyznać mu prawdę o sobie, o Kiranie i o tym, co pragnie jutro osiągnąć. Tak bardzo chciała uczynić to, o co prosił ją Raith – przekonać Corwina, żeby pomógł im skończyć z inkwizycją. Magiczny diament na szyi nagle zaciążył jej niczym kajdany.

Ostrożnie pokręciła głową.

– Nie, nic takiego nie łączy mnie z Raithem. – Gorączkowo zaczęła szukać w myślach wyjaśnienia, uświadamiając sobie zbyt późno, że powinna to przewidzieć: Corwin z pewnością zastanawiał się, czemu tak wiele czasu spędzali razem. – Po prostu rozmawialiśmy o gadźcach i o tym, jak najlepiej się z nimi rozprawić, to wszystko.

Na twarzy Corwina malowało się powątpiewanie. Przesząpił z nogi na nogę.

– Nigdy nie było nikogo oprócz ciebie, Corwinie – rzuciła Kate, zanim zastanowiła się, co mówi. Tłumione emocje groziły wybuchem, powstrzymała je, głośno przetykając ślinę.

Uniósł wysoko brwi.

– Nigdy?

– Nie, a przynajmniej nie celowo.

Miała wrażenie, że Corwin przetrawia jej słowa.

– Chodzi ci o tamten pocałunek z Edwinem. – W jego głosie zadźwięczała zazdrość, choć wyraźnie próbował ją ukryć. Przypomniała sobie, że tak naprawdę nigdy mu tamtej sytuacji nie wyjaśniła.

– Myślałam, że to ty, wypowiedziałam nawet twoje imię, inaczej bym go nie pocałowała. Ale naprawdę wyglądaliście podobnie i było ciemno. Nigdy świadomie bym cię nie zraniła. Edwin mnie oszukał. Oszukał nas oboje.

Corwin zazgrzytał zębami, zobaczyła drgający mięsień jego szczęki.

– Zawsze mnie nienawidził, prawda?

Kate już miała to potwierdzić, ale umilkła.

– To chyba bardziej skomplikowane. Myślę, że on też cię kocha. Ale nigdy nie pozwalano wam być wyłącznie braćmi, uror od początku uczynił z was

rywali, a postawa waszego ojca też nie pomogła.

Dziwne, jak upływające lata pozwoliły jej spojrzeć na to wszystko trochę inaczej, nieoczekiwanie poczuła nawet współczucie dla starszego brata, dość silne, by niemal rozumiała mężczyznę, którym się stał. Przypomniała sobie niezwykle subtelne sposoby, do jakich uciekał się Edwin, by poniżyć Corwina – złośliwe, bolesne przytyki dotyczące jego charakteru, wyglądu, zachowania. Często padały niby żartem, ale napędzała je zazdrość. A po śmierci królowej Imogen jego niechęć zyskała nowe źródło.

Corwin powoli pokiwał głową.

– Czasem zastanawiam się, czy nie istnieje lepszy sposób niż uror. – Przez chwilę jego wzrok powędrował gdzieś w dal, potem potrząsnął głową i wrócił do niej. – Przepraszam, Kate, wiem, że nigdy świadomie byś mnie nie zraniła. Zawsze wiedziałem. Po prostu pozwoliłem, by wydarzenia tamtego dnia zaćmiły mój osąd. Chyba zawsze to robię. Nawet teraz łatwiej mi myśleć, że Edwin po prostu mnie nienawidzi, tak bez powodu, niż przyznać, jak okrutnie ukształtował nas los. Chyba jednak w nim także powinienem poszukać dobra.

Kate zagryzła wargę, walcząc z pragnieniem, by podejść bliżej, pocieszyć go dotknięciem. A może to dla siebie pragnęła otuchy?

Corwin wbił wzrok w skalistą ziemię między nimi.

– Muszę przestać osądzać wszystko po pozorach, kierując się wyłącznie własnymi odczuciami. Ciebie też źle osądziłem. Moje bezpodstawne domysły... – urwał, przez moment zerkając na jej talię. Choć pas księżycowy pozostawał ukryty, oboje wiedzieli, że nadal go nosi. Uniósł wzrok. – Przepraszam za tamtą nieprzemyślaną propozycję. Nie chciałem cię urazić. Mam nadzieję, że to wiesz.

– Wiem – odparła, nie mogąc oderwać od niego spojrzenia, choć wiedziała, że powinna, zanim zrobi coś głupiego.

Zacisnęła wargi, walcząc z przemożną pokusą wyznania mu prawdy.

Corwin pierwszy przerwał ciszę.

– To dobrze. Jutro bądź ostrożna – poprosił i zniknął za głazem.

Kate ogarnął przejmujący żal. Ależ z niej hipokrytka. Jak mógł uczciwie ją osądzić, skoro od lat go okłamywała, ukrywała swój sekret? Kiedyś myślała, że to nic strasznego, że to dla jego dobra. Ale teraz zastanawiała się, czy jej kłamstwa nie wywołały dzielących ich problemów. Może ukrywając część siebie, sprawiła, że zawsze coś stało między nimi? A może po prostu

bogowie karali ją za mówienie nieprawdy? Tak czy inaczej, żadna z tych możliwości nie przyniosła jej otuchy.

* * *

Następnego ranka Kate, nieco rozkojarzona, wyprzedziła karawanę. Wciąż myślała o Corwinie i wieczornej rozmowie.

Uwierzyła w jego przeprosiny, ale niczego one nie zmieniły, choć bardzo by chciała. Wciąż był arcyksięciem, a ona Dzikunką.

Czy powinnam mu powiedzieć? Czy Raith ma rację? Czy to cokolwiek zmieni?

Nie potrafiła powstrzymać pytań krążących jej w głowie, przynajmniej dopóki Tancerka Ognia nie spłoszyła się nagle, omal nie wyrzucając jej z siodła. Kate sapnęła głośno, serce zabiło jej mocniej. Szybko doszła do siebie i rozejrzała się, szukając źródła hałasu, który tak bardzo wystraszył konia. Ale niczego nie znalazła.

Na miłość Cienia, Kate, co się z tobą dzieje? Z najwyższym wysiłkiem przegnała z głowy myśli o Corwinie i zaczęła szukać magią. Coś przecież musiało wywołać hałas – może spadający kamień? Ale dlaczego miałyby spaść? Wypatrywała czyjejś obecności, człowieka bądź zwierzęcia, niczego jednak nie znalazła. Może to wiatr? Nawet teraz jęczał wysoko pośród skalnych ścian wznoszących się pionowo po obu stronach.

Wstrząs pozwolił jej znowu skoncentrować się na zadaniu, jakie przed nią stało – znalezieniu dziennych gadźców i ich opiekunów. Skierowała Tancerkę naprzód i znów sięgnęła magią, sprawdzając z przodu, z boków, nawet z tyłu, gdzie ledwie wyczuwała Corwina i pozostałych.

Odnalazła kilka zwierząt, parę wiewiórek i ptaków, ale nic poza tym, przynajmniej przez niemal dwadzieścia minut jazdy. Cały czas nie pozwalała Tancerce Ognia przyspieszyć i w końcu wyczuła śliską, wielokrotną obecność. Tuż przed sobą. Ale to niemożliwe? Gadźce nie miałyby się gdzie ukryć, po obu stronach ścieżki wznosiły się przecież strome urwiska, między którymi biegła dróżka. Mimo wszystko wstrzymała Tancerkę, zmuszając ją do jeszcze powolniejszego stępu. Magia mówiła jej jedno, a oczy coś zupełnie innego.

Kiedy zrównała się z gadźcami, o czym natrętnie informowała ją magia, Kate ściągnęła wodze Tancerki Ognia i zatrzymała ją. Uniosła głowę,

próbując sprawdzić, czy są może gdzieś nad nią, albo po drugiej stronie urwiska, na jakiejś innej ścieżce? Niczego jednak nie dostrzegła, to była jedyna droga. Potwierdzały to zresztą wszystkie mapy. Przeczesła wzrokiem lewą skalną ścianę, szukając jakiegokolwiek wyjaśnienia, dlaczego je tam wyczuwa.

I wtedy zobaczyła rysę biegnącą w poprzek skalnej ściany, zdecydowanie zbyt prostą i dokładną, by mogła ją stworzyć natura. Zeskoczyła szybko z siodła, poleciała Tancerce zostać na miejscu i podeszła do skały, wyciągając rękę w stronę pęknięcia. Tam, gdzie palce powinny dotknąć kamienia, wyczuła tylko powietrze. To złudzenie, uświadomiła sobie i jej oczy w końcu przejrzały kłamstwo. Ukryto tu przejście wystarczająco duże, by mogło przepuścić konia – albo gadźca.

Wyjęła z wiszącej u boku kabury rewolwer i weszła do środka. Z każdym krokiem serce biło jej coraz mocniej i coraz wyraźniej wyczuwała obecność gadźców. Widząc przed sobą koniec tunelu, przystanęła. Nagle uświadomiła sobie, że popełnia poważny błąd. To nie o gadźce przecież chodziło, lecz o kontrolujących je ludzi. Pozwoliła się zwieść, gdy jej magia wykryła obecność wielu zwierząt. Teraz, oderwawszy się od nich, Kate zamknęła oczy i wzniosła swą moc na wyższy poziom, dostrajając do obecności ludzi.

Nic. Czuła tylko odległe umysły ludzi z karawany. Domyślając się, że gadźce zapewne tkwią tu uwięzione, tak jak w Wędrującym Lesie, zebrała się na odwagę i pokonała zakręt.

Oddech uwiązał jej w gardle, nagle ogarnęło ją przerażenie. Przed sobą widziała ponad pięćdziesiąt dziennych gadźców stłoczonych w niewielkim, wykutym w skale jarze. Nie dostrzegła żadnego ogrodzenia, niczego, co by je tam zatrzymywało, a przecież, nawet gdy wyczuły jej zapach, nie ruszyły w jej kierunku. Coś więc więziło je tam – nie w żadnej naturalnej formacji skalnej, lecz w kręgu idealnym niczym pocisk. Tylko magia dzikunów mogła go stworzyć.

Wiedząc, że musi ostrzec pozostałych, Kate zawróciła – i zamarła na widok mężczyzny blokującego przejście. Był drobny i niski, niewiele wyższy od niej, w jednej dłoni trzymał pistolet, a w drugiej miecz. Na jego szyi lśnił czarny kamień magiczny pulsujący mrocznym blaskiem. Kate uniosła rękę w geście poddania, lecz mężczyzna i tak celował. Wyraźnie zdecydowany był ją zabić. Wiedząc, że z tak bliska w żaden sposób nie zdoła uskoczyć, chwyciła się jedynej broni, jaka jej pozostała – zaatakowała magią.

Z łatwością wniknęła do jego umysłu, lecz w chwilę później poczuła, jak coś wyrzuca stamtąd jej świadomość. Popatrzyła na niego oszołomiona, zrozumiawszy, że on także ma dar zwodzenia.

– Niezła próba, moja mała dzikunko – rzucił. Rozpoznała lekki akcent w jego głosie, pochodził z Penlocke, portu na południe od Norgardu. – Ale twoje umiejętności nie mogą się równać z moimi.

Może i nie, pomyślała Kate, *ale mam w zanadrzu więcej sztuczek*. Wezwała magią Tancerkę Ognia, nakazując jej puścić się biegiem ukrytym korytarzem. Mężczyzna odciągnął kurek, gotów strzelić, ale odwrócił się, słysząc tętent kopyt. Kate nie mogła użyć rewolweru, bała się, że trafi konia, gdy zatem ujrzała rozpędzoną Tancerkę, wyciągnęła z kieszeni kamień błyskowy i cisnęła nim w mężczyznę. Kamień eksplodował oślepiającym blaskiem, na nią jednak, jako rzucającą zaklęcie, magia nie zadziałała.

Mężczyzna podskoczył wystraszony, przypadkiem naciskając spust, nie upadł jednak, nawet go nie oślepiło. Coś osłoniło go przed magią kamienia. Gdy znów obrócił się ku niej, Kate przekonała się, że jego naszyjnik pulsuje teraz mocniej. Nagle przypomniała sobie słowa Raitha – magia w zderzeniu z drugą magią przestaje działać.

Mężczyzna, zmarnowawszy jedyny pocisk, upuścił niepotrzebny teraz pistolet i uniósł miecz. Kate nakazała Tancerce odbiec w bezpieczne miejsce, uspokajając klacz spanikowaną po nagłym błysku światła, i sama uniosła rewolwer. Nie chciała zabijać przeciwnika, dlatego wycelowała w jego ramię i strzeliła. Pocisk trafił. Mężczyzna wrzasnął z bólu i upuścił miecz, jego oczy zabłyśły wściekłością.

Gdy rzucił się ku niej, Kate znów strzeliła. Tym razem trafiła go w bok, a jednak nie zdołała zatrzymać. Wpadł na nią i obalił na ziemię, rewolwer wyleciał jej z dłoni i odtoczył się na bok, po raz kolejny strzelając w powietrze.

Mężczyzna przyciskał Kate. Czuła gorącą, lepką krew lejącą się z ran w ramieniu i boku nieznanego. Wiedziała, że wkrótce się wykrwawi, ale nadal miał dość sił, by zacisnąć zdrową rękę wokół jej gardła. Próbowwała się uwolnić, lecz nie mogła, czuła wzbierającą panikę, która nie pozwalała jej jasno myśleć. W rozpaczy chwyciła ramię, na którym wisiał jego kamień magiczny, i zaczęła kręcić nim, licząc, że zdoła udusić napastnika. Spróbował ją odepchnąć, ujrzała grozę w jego oczach. Teraz wyczuwała też emocje, wściekłość i ból, szalejące w umyśle mężczyzny niczym burza.

Świadoma, że przeciwnik słabnie, skupiła moc swojej magii i wrzasnęła mu w głowie: *Złaż ze mnie!*

Zamarł, rozluźniając uchwyt. Trwało to tylko chwilę, ale wystarczyło, by uwolniła się i sięgnęła po broń. Mężczyzna jednak zbyt szybko doszedł do siebie i wyrzucił ją ze swej głowy, także próbując chwycić rewolwer. Walczyli rozpaczliwie. Nagle rewolwer wystrzelił tak głośno, że Kate poczuła ów dźwięk w zębach. Czystym przypadkiem kula trafiła mężczyznę w twarz i krew trysnęła szeroką strugą.

Umierał szybko, ale zabierał ze sobą swe tajemnice. W desperacji Kate zanurkowała w jego myśli, starając się nie dopuścić do siebie grozy tego, co właśnie robi. Jej umysł zalały niezliczone obrazy i wizje, twarze bliskich, żale i straszliwy, rozdzierający duszę strach przed tym, co się z nim dzieje. Pośród tego wszystkiego zdołała dostrzec powracające wspomnienie – inkwizycja aresztowała go za to, że był dzikunem.

A potem zaczął odpływać.

Kate z krzykiem wycofała myśli, przerażona tym, co może poczuć, kiedy resztką życia opuści ciało mężczyzny.

Wygramoliła się spod trupa i przekręciła na brzuch. Już miała zwymiotować, ale zamarła ze zgrozy – zobaczyła ruszające ku niej gadźce.

Były wolne. Mężczyzna musiał je kontrolować, a teraz, po jego śmierci, magia przestała działać.

Zerwawszy się z ziemi, Kate przywołała Tancerkę Ognia. Wskoczyła na siodło i pomknęły korytarzem w stronę przełęczy. Gadźce runęły za nimi, ich ogłuszające skowyty dźwięczały jej w uszach niczym serie grzmotów.

Wciąż miała rewolwer, w komorze pozostały dwa naboje, ale w obliczu pięćdziesięciu gadźców nie miało to znaczenia. Wyciągnęła z sakwy przy siodle garść kamieni błyskowych i cisnęła je za siebie, spowalniając pierwszą falę gadźców, druga jednak nieustraszenie parła naprzód. Wiedziała, że wkrótce je dopadną. Tancerka Ognia galopowała, jej kopyta ślizgały się na poluzowanych kamieniach, ale nie mogły zwolnić. Kate musiała ostrzec innych.

Sięgając przed siebie magią, zaczęła szukać Raitha, nie zdołała jednak odróżnić go od pozostałych, nie z takiej odległości. Poza tym nie miało to znaczenia. Ich myśli brzęczały niespokojnie, domyśliła się, że usłyszeli strzały. Pragnąc się upewnić, uniosła nad głowę rewolwer i wypaliła jeszcze dwa razy. Następnie schowała broń do kabury i wyciągnęła kamień tarczowy,

aktywując go jednym słowem.

Zobaczyła otaczające ją migotanie magii, wątpiła jednak, czy powstrzyma ona tak wiele gadźców. Musiała znaleźć sposób, by je spowolnić, nie dopuścić do tego, by ją wyprzedziły. Gdyby dotarła do karawany, osłoniłaby ją magiczna bariera... I nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie – tak proste, że aż dziw, że wcześniej go nie dostrzegła. Magia. Skoro tamten dzikun mógł zapanować nad gadźcami, to ona także. W jakiś sposób. Ale było ich tak wiele. Więcej niż kiedykolwiek próbowała kontrolować.

Odrzucając wątpliwości, skupiła się na najbliższych stworach. Jeśli zdoła namówić je, żeby zwolniły, może wywoła efekt domina? Mogłaby w ten sposób zablokować przełącz ciałami wpadających na siebie gadźców, a nawet zmusić, żeby zaczęły atakować się nawzajem. Przechwyciwszy owe śliskie, wielokrotne umysły, posłała polecenie.

I wtedy stało się coś dziwnego. Gadźce posłuchały, ale nie tylko te, których dotknęła. Wyczuła, jak jej słowa odbijają się wielokrotnym echem, ogarniając umysły wszystkich gadźców niczym zaraza. Oszołomiona pojęła, że nie musi zapanować nad wszystkimi – jeśli zdoła dotrzeć do jednego, reszta podąży za nim, posłuszna jego woli.

Poczuła dreszcz zwycięstwa. Mogła skończyć z zagrożeniem już teraz, jedną myślą. Wtedy jednak zrozumiała, że nie zdoła tego zrobić, zachowując równocześnie swoją tajemnicę.

Nie widząc innego wyjścia, postanowiła użyć podstępu, jakby odegrać sztukę, wykorzystując gadźce jako aktorów.

Ułożyła w głowie wizję tego, czego od nich oczekiwała, i posłała im polecenie. Najbliższe gadźce wyczuły to i posłuchały. Stado nadal pędziło za nią, ale nie atakowało, jedynie błyskało kłami i szponami, wrzeszcząc wniebogłosy. Ich bierny, durny zbiorowy umysł nie potrafił wyczuć zasadzki, nie wiedział, że moc, która nimi kieruje, prowadzi je prosto w objęcia śmierci.

W chwili, gdy Kate dotarła do karawany i była już bezpieczna, Corwin i jego ludzie otworzyli ogień. Dienne gadźce padały kolejno niczym ofiary składane na ołtarzu.

CORWIN

Corwin rozejrzał się po zasłanej trupami ścieżce. Pięćdziesiąt martwych gadźców. Powinien się cieszyć, ale dręczyło go poczucie zawodu. Gadźce nie żyły, na przełęczy nie znaleźli ani śladu innych, a ich treser także zginął i pozostawił niewiele wskazówek, co do tego, skąd pochodził, i żadnych co do udziału w Powstaniu.

– Na pewno miał akcent z Penlocke? – spytał Kate, gdy doprowadziła ich do osobliwego okrągłego jaru, w którym trzymałienne gadźce.

– Tak. – Przycisnęła ręce do brzucha. Choć była brudna i zakrwawiona, najwyraźniej nie ucierpiała w potyczce.

Nawet teraz Corwin czuł ogromną ulgę. Gdy usłyszał pierwsze strzały, serce ścisnęło mu się w piersi. Obawiał się najgorszego. Całą noc nie spał, żałując wszystkiego, co stało się między nimi. Czemu na to pozwolił? Żałował, że nie potrafił wszystkiego naprawić. Musiał istnieć jakiś sposób, choć wciąż go nie widział. Ale przynajmniej przeżyła i wciąż mają na to czas. Uchwycił się tej nadziei.

Raith pochylił się nad trupem, szukając jakichkolwiek cech charakterystycznych. Rozebrali go do naga, ale jak dotąd niczego nie znaleźli, nawet blizny czy nietypowego znamienia. Wydawało się niemożliwe, by zdołali odkryć, kim był w ludnym i zatłoczonym Penlocke.

Chwilę później magista jednak z wyraźnym zadowoleniem wyprostował się i pokiwał głową.

– W ciągu ostatniego roku ten człowiek poddał się leczeniu u zielonych szat.

Corwin zmarszczył brwi.

– Skąd ta pewność?

Raith znów się pochylił i wezwał do siebie księcia.

– Widzisz te cienkie, białe linie?

Corwin skupił wzrok na miejscu, które wskazywał magista, ale potrzebował dłuższej chwili, by dostrzec skazy na skórze mężczyzny, cieniutkie niczym pajęczyna.

- Co to takiego?
- Efekty zaklęcia czerpiącego, służącego do oczyszczania ciała z trucizn i niektórych chorób.
- Owszem, interesujące, ale nie rozumiem, jak miałyby nam to pomóc.
- Zieloni przechowują rejestry wszystkich, których leczą, być może poznam z nich jego imię. Gdy załatwimy nasze sprawy w Thornewall, pojedę do Penlocke, aby dowiedzieć się więcej.

Corwin przypomniał sobie zaprzeczenia złotych, jakoby kiedykolwiek aresztowali Ralpa Marcela. Może Raithowi powiedzie się lepiej u zielonych.

– Proszę, ruszaj natychmiast, gdy tylko będziesz gotów. Teraz, po śmierci tych gadźców, mamy przy sobie aż nazbyt wielu magistów.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. – Raith obejrzał się na Kate i Corwin czekał, aż tamten oznajmi, że dziewczyna pojedzie z nim. Przyjął do wiadomości, że nie łączy ich romantyczne uczucie, ale nie miał wątpliwości, że coś jednak było między nimi. Lecz magista dodał tylko: – Wyruszę jutro, gdy dotrzemy do Thornewall.

* * *

O zmierzchu pod szarym niebem ujrzeli przed sobą zamek Thornewall. Zdaniem Corwina bardziej jednak przypominał fortecę. Podobnie jak w Andreas, zewnętrzny mur połączono z otaczającymi zamek urwiskami. Kamienna budowla wznosiła się wysoko ponad nie, niedosiężna i niegościnna. Na niższych poziomach dostrzegł ślady szponów. Pod murami leżały truchła kilkunastu martwych, gnijących dziennych gadźców, które mieszkańcy osady zdołali zabić strzałami ze szczytu muru.

Gdy tylko strażnicy stojący na blankach ujrzeli królewską chorągiew, ludzie kryjący się poza murami ożyli, witając przybyłych z wielką pompą i podnieceniem. Baron Thorne przyjął Corwina z pełną skrzępowania ulgą, cały czas kłaniał się i dziękował za ratunek, jednocześnie demonstracyjnie ignorując najmłodszego syna. Co gorsza, ledwie zareagował na wieść, że jego drugi syn zginął.

Przekonawszy się osobiście, że plotki na temat okropnej rodziny Dala odpowiadają prawdzie, Corwin poczuł obrzydzenie. Ci ludzie nie zasługiwali na Dala, nie byli godni jego miłości i ryzyka, jakie podjął, przybywając tu, by ich ocalić. Jednak mimo że rodzice przyjaciela budzili w nim niesmak –

matka okazała się niewiele lepsza od ojca, choć ona przynajmniej rozpląkała się na wieść o śmierci syna – reszta mieszkańców Thornewall bardziej się liczyła. Ich ulga i radość utwierdzały go w przekonaniu, że warto było ryzykować i ponosić koszty.

Powiniennem częściej sprzeciwić się najwyższej radzie. Była to niebezpieczna myśl, bardziej pasująca do dawnego Corwina, niegdysiejszego kapitana Jastrzębi Tarczy, a jednak nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Mistrz Raith, tak jak zapowiedział, ruszył w drogę następnego ranka, zabierając ze sobą dwóch ze swoich błękitnych. Corwin i reszta oddziału zostali w twierdzy przez tydzień; żołnierze pomagali w mozolnym procesie palenia martwych gadźców, przeczesał też przełęcz i okolice, szukając kolejnych stworów, ale nie znaleźli nawet jednego. Wyglądało na to, że udało im się ostatecznie wyeliminować grożące Thornewall niebezpieczeństwo. Tajemnicą jednak pozostawało, dlaczego ktoś wziął sobie za cel tę właśnie osadę. Corwin mógł tylko liczyć na to, że Raith znajdzie jakąś odpowiedź w Penlocke.

Szóstego dnia pobytu przybyła karawana z Norgardu wioząca zwłoki brata Dala, przygotowane do świętego spalenia przez kapłanki Noralah. Tego wieczoru odprawili ceremonię śmierci, ale to lady Thorne zapaliła stos zamiast męża, jak nakazywała tradycja.

Po wszystkim Corwin i Dal wybrali się na przechadzkę po zamkowych murach. Długo żaden z nich się nie odzywał, obaj zatopieni byli w myślach, a chłodny, wilgotny wiatr omiatał im twarze. Kiedy dotarli do części umocnień wznoszących się nad rzeką Penlaurel, przystanęli i oparciu o krawędź zewnętrzną wyjrzeni na mroczne wody, tak szerokie, że nie widzieli przeciwległego brzegu.

– To dziwne, ale nigdy nie dogadywałem się z Robertem – odezwał się w końcu Dal, przerywając ciszę. – W dzieciństwie zawsze zmuszali nas, żebyśmy robili wszystko razem. Nienawidziłem tego. Kradł mi desery i niszczył zabawki. A teraz nie mogę przestać myśleć, jak bardzo będzie mi brakowało tego, jak mnie drażnił.

Corwin przytaknął. Doskonale rozumiał to poczucie straty. Czasami tęsknił za strofowaniem matki, i to niemal tak bardzo, jak za jej czułością, za tym, jak go tuliła i gładziła po głowie, kiedy zrobił sobie krzywdę albo czegoś się wystraszył.

– Oczywiście – podjął przyjaciel – nikt z nas nie dogadywał się ze sobą,

oprócz Matthew i Lucasa, dwóch najstarszych. – Z ust wyrwał mu się gorzki śmiech, a wiatr poniosł go w dal. – W sumie to ma pewien sens. Czysta krew nie powinna mieszać się z kundlami.

Czując ból w piersi na widok zasmuconego przyjaciela, Corwin szukał czegoś, co mogłoby go pocieszyć, ale przychodziły mu do głowy tylko puste banały.

Dal odgarnął włosy z twarzy i pokiwał głową.

– Najokrutniejsze w naszym życiu jest chyba to, że nie możemy sami wybrać sobie rodziny i okoliczności, w których przychodzimy na świat.

Corwin powiódł wzrokiem po wodzie liżącej gdzieś tam w dole skały i pomyślał o Edwinie i rywalizacji uroru, która podzieliła ich od urodzenia. I o Kate. O tym, że wybrały ją spośród wszystkich innych.

– Co do tego masz rację. Tylko bogowie jedni wiedzą, że sam też wybrałbym inaczej. – Zawahał się, czując dręczące go wątpliwości. – Z drugiej strony, kto wie, czy bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy sami dokonali wyboru? Podejrzewam, że większość z nas i tak źle by zdecydowała.

– No nie wiem – mruknął Dal. – Niektórzy na pewno wybraliby lepiej. Podejrzewam, że większość dzikunów, gdyby tylko mogła, zdecydowałyby się na rodziny z Endy, Rhoswen czy nawet Esh. Za każdym razem, kiedy zaczynam uzalać się nad sobą, przypominam sobie tę nieszczęsną kobietę z Andreas próbującą ocalić syna. Bogowie okrutnie postąpili, zsyłając na nich taki los.

Nieproszone wspomnienie pojawiło się nagle w umyśle Corwina. Nie po raz pierwszy Dal wspominał tamtą scenę.

Aresztowanie dziecka w Andreas wyraźnie dręczyło jego przyjaciela, jak również ciągnęła krytyka Signe pod adresem inkwizycji. Z drugiej strony, teraz, kiedy Corwin poznał matkę Dala, zastanawiał się, czy i ona nie miała w tym udziału, że przyjacielem aż tak bardzo wstrząsnął widok głębokiej miłości rodzicielki gotowej na wszystko, byle tylko ocalić dziecko. On sam nigdy tego nie doświadczył; lady Thorne była zbyt zajęta własną osobą, by przedkładać nad swe potrzeby sprawy kogokolwiek innego.

Dręczony wspomnieniami własnej matki, Corwin odchrząknął.

– Dziwię się, że wciąż jej współczujesz. Ostatecznie to dzikun kierował gadźcami, które zagrażały Thornewall i zabiły ci brata.

Dal spojrzał na niego ostro.

– Nie bądź śmieszny, Corwinie. To przecież dwie różne osoby. Z tego, co nam wiadomo, kobieta z Andreas nikogo nie skrzywdziła, dopóki nie odebrali jej syna. Kto wie, czy nie przeżyłaby spokojnie całego życia, gdyby nie zmusili jej do tego. Dzikuni czy nie, to wciąż ludzie. Dokonują złych i dobrych wyborów, tak jak i my.

– Owszem, ale większość naszych wyborów nie prowadzi do wyssania krwi z ciała innych. Albo wywołania szalejącego pożaru, który wzbudzi panikę.

– Nie, ta reszta tylko używa mieczy i pistoletów i jeszcze nazywa to sprawiedliwością. – Dal skrzywił się, patrząc w mrok, po czym sceptycznie przyjrzał się przyjacielowi. – I nie zapominajmy też o królach i członkach najwyższej rady. Często podejmują decyzje prowadzące do śmierci i cierpienia innych, zwykle bez ich udziału. Wypowiadają słowo i ich życzenie się spełnia. – Pstryknął palcami i zawiesił głos. – Choćby twój brat, który odmówił przysłania pomocy.

Corwin przesunął językiem po zębach. Nie podobało mu się, jak bardzo prawdziwie zabrzmiały słowa Dala. Królowie dysponowali władzą wpływającą na setki bezimiennych ludzi, choćby chłopcy potrzebujących pasów księżycowych czy osób chorych i słabych, zmuszonych poświęcać swe życie w ofierze, aby zwolnić miejsce w mieście.

Bogowie jedni wiedzą, jak dobrze rozumiem, co oznacza zły wybór.

Dal pochylił się, wsparł o blanki i oparł podbródek na splecionych dłoniach.

– Co więcej, ludzie nienawidzą dzikunów, choć tamci nie mogą zmienić tego, jacy się urodzili. Tak jak ja nie mogę zmienić faktu, że jestem bękartem mojej matki. Ojciec nienawidzi mnie z powodu czegoś, w czym nie brałem udziału, i w żaden sposób nie zdołam zmienić jego opinii. A wierz mi, próbowałem. – Westchnął. – Wiesz, co jest najgorsze? Nie wiem nawet, kim jest mój prawdziwy ojciec. Nikt z nas nie wie. Matka odmawia odpowiedzi, abyśmy nie mogli potwierdzić pogłosek przed resztą świata.

Corwin głośno wypuścił powietrze. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak okropne musi to być uczucie. Kiedy Dal znów umilkł, poklepał go po plecach.

– Spójrzmy na to z drugiej strony. Ponieważ nie wiesz, możesz wyobrazić sobie kogoś wyjątkowego. Na przykład wielkiego bohatera wojennego.

Dal wyprostował się i prychnął.

– Albo dworskiego błazna. – Roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni. – Jedno jest pewne, dzięki bogom to po nim, po moim ojcu odziedziczyłem powalającą urodę.

Corwin także wybuchnął śmiechem, przypominając sobie łysiejącego, tłustego barona Thorne.

– Tu masz rację.

– W sumie, jak się zastanowić – podjął Dal – może to był pirat, taki jak ci, którzy wzniesli tę fortecę.

– Ten zamek zbudowali piraci? – Corwina bardziej ucieszył lekki ton głosu przyjaciela niż sama interesująca historia.

– Tak przynajmniej głosi legenda, choć częściowo opiera się ona na faktach. Widzisz tamte skały w dole? – Dal wskazał ręką.

Corwin spojrział w dół i natychmiast je zauważył. Wydawały się dziwnie nie na miejscu, były zbyt proste i równe, by mogły powstać siłami natury.

– Co to takiego?

– Moi przodkowie je ociosali, żeby zablokować wejścia do jaskiń szmuglerów. Jest ich tu pełno. – Dal z westchnieniem odsunął się od muru. – Wielka szkoda, że nie są otwarte. Wszyscy mogliby tamtędy uciec i Robert nadal by żył.

– Przykro mi. – Corwina poraziło to, jak łatwo Dal znów osunął się w mrok melancholii. – Gdybym mógł jakoś to zmienić, zrobiłbym to.

Przyjaciel nie odpowiedział, długą chwilę milczał.

– Nikt nie może zmienić przeszłości – rzekł wreszcie i zawahał się, przesuwając dłonią po porośniętym szczecina podbródka. – Ale może ty zdołasz odmienić przyszłość.

Corwin przestąpił z nogi na nogę. Nie był pewien, czy podoba mu się ta nagła zmiana tematu. Dal zmrużył oczy, przyglądając mu się z napięciem.

– Pamiętasz, co mówiłem w Norgardzie o tym, że chciałbym, by wszystko wyglądało tak jak przed tym, nim wyruszyliśmy na ów objazd?

– Tak...

– Myliłem się. Wcale tego nie chcę.

Usta Corwina wygięły się w lekkim uśmiechu.

– Dlaczego tak mówisz? Dal odetchnął głęboko.

– Ponieważ powinieneś zostać królem. Nikt nie nadaje się do tego lepiej.

– Obaj wiemy, że to nieprawda. I nieważne, jak wiele razy to powtórzysz.

– Corwin bezwiednie zerknął na nienaturalnie gładki policzek przyjaciela.

Zakłęcie skrywało namacalne dowody tego, dlaczego nie nadawał się do dzierżenia władzy.

– Co, czyżby z powodu tego? – Dal wyjął z ucha magiczny kamień, jego rysy na moment rozplynęły się, po czym wyostrzyły, ukazując prawdziwą twarz i lewy policzek pokryty głębokimi kraterami blizn. Nawet teraz, niemal po roku, Corwin czuł siłę wybuchu, który poranił przyjaciela, wybuchu, który zabił połowę jego ludzi.

Teraz odwrócił wzrok, żołądek zawiązał mu się w ciasny supeł.

– Nie odwracaj się, Corwinie – upomniał go Dal niczym niesforne dziecko.
– To, co spotkało mnie i naszych braci Tarczy, było nie do uniknięcia. Dobrze nami dowodziłeś. Zostałeś, by walczyć i bronić tych z nas, którzy padli, choć inni na twoim miejscu by uciekli. Uratowałeś mi życie.

– Zgoda, ale nigdy nie powinniśmy podchodzić z tamtej strony. Gdybym tylko posłuchał rozkazów, nie natknęlibyśmy się na tamtego chłopaka. A gdybyśmy go nie spotkali, nie wypuściłbym go i nie wpadlibyśmy w zasadzkę.

Corwin zacisnął pięści. Po próbie uroru wspomnienie chłopca-żołnierza ożyło.

Dal pokręcił głową i cienie układające się na poranionej części jego twarzy wzmocniły wrażenie ruchu.

– Nie masz pewności, że to chłopak nas zdradził. Nigdy więcej go nie widzieliśmy, pamiętasz? Przemawiają przez ciebie wyrzuty sumienia, ale ja wiem lepiej. Widziałem wyraz oczu tego dzieciaka, kiedy kazałeś mu wrócić do domu; poczułem to samo, gdy dowiedziałem się, że wbrew opinii rady zamierzasz przybyć tu i ratować moją rodzinę. Twoja gotowość do szybkiego działania, robienia tego, co konieczne, i to mimo ryzyka i kosztów, to właśnie czyni z ciebie króla, którego potrzebuje Rime. Potrzeba nam kogoś, kto na pierwszym miejscu będzie stawiał ludzi, a nie swoją pozycję. Kogoś, kto przewodzi sercem, dobrym sercem.

Corwin otworzył usta, by zaprotestować, ale zrezygnował, widząc groźny wyraz oczu przyjaciela. Wiedział, że nie zdoła go przekonać.

Zmuszając się do uśmiechu, objął ramieniem Dala i uściśnął.

– Dziękuję za to wotum zaufania – rzekł, po czym dodał szybko, zmieniając temat: – A teraz myślę, że powinniśmy już ruszać do domu. Dostatecznie długo zostaliśmy w tym niegościnnym miejscu.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się zgadzam. – Dal wcisnął kamień

magiczny z powrotem w otwór w uchu. – Teraz to Norgard jest moim prawdziwym domem.

– Cieszę się, że tak myślisz – zgodził się Corwin. *Zawsze znajdziesz tam miejsce, przyjacielu*, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Niektórych rzeczy nie trzeba mówić.

Przez następne dni i tygodnie po powrocie z Thornewall Kate zaznała najdłuższego w życiu okresu spokoju. Dzięki mocy magicznego diamentu Raitha wszystkie problemy Bonnera zniknęły. Cieszyło ją powodzenie przyjaciela i z ulgą przyjęła, że nie musi się dłużej o niego martwić.

Bo Bonner był teraz gwiazdą dworu, uwielbianym bohaterem norgardzkich żołnierzy i obiektem fascynacji i podziwu chłopstwa. Gazety drukowały artykuły o nim, bogaci kupcy z niezamężnymi córkami wysyłali mu kontrakty małżeńskie z dołączonymi sutymi wianami, a większość szlachty dobijała się, by kupić cokolwiek, co tylko wykonał osobiście. Lecz co najlepsze, zapewnił sobie przyszłość w Norgardzie i gwarancję, że ojciec dokona żywota, mając zapewnioną niezbędną opiekę zielonych.

Jedyną osobą nieświętującą sukcesu Bonnera okazał się wielki mistrz Storr. Napisał nawet list do „Gazety Królewskiej”, ostrzegając publikę przed pokładaniem zbyt wielkiej wiary w maszyny, a nie w magię. Wyglądało jednak na to, że nikogo nie przekonał.

Kate bardzo to cieszyło. Dręczące ją troski oddaliły się, nie przejmowała się nawet dziennymi gadźcami i niepewnością co do swojej własnej pozycji w Powstaniu. Mistrz Raith wciąż przebywał w Penlocke, nie mógł więc naciskać na nią, by wyznała Corwinowi prawdę o swej magii.

Jej życie zamieniło się w przyjemną rutynę. Choć Corwin nie przynosił jej już rano słodkich bułeczek, znów zaczął kilka razy w tygodniu trenować z nią na Zwiastunie Nocy. Nie wspominali przeszłości, przez co czasem zapadała między nimi krępująca cisza, nadal jednak była ona znośniejsza niż rozdrapywanie starych ran. Kate wyczuła w Corwinie zmianę pojawiła się pewność siebie, której wcześniej mu brakowało. Powodem były z pewnością ostatnie sukcesy – ocalenie Thornewall i powodzenie Bonnera z rewolwerami. Było w tym jednak także coś głębszego, zupełnie jakby w końcu zdołał ujrzeć siebie takim, jakim widziała go reszta Norgardu – godnym dziedzicem. Kate nie słyszała już, by ktokolwiek nazywał go Zbłąkanym Księciem. *A co, jeśli wygra?* Woląta nie zastanawiać się nad tym.

A jednak najlepszą częścią każdego dnia szybko stały się dla Kate wizyty u Kirana. Początkowo wpadała do „Świętego Miecza” i spędzała z nim kilka godzin w tajnej podziemnej kryjówce. Wkrótce jednak, nie mogąc dłużej zwalczyć niechęci do ciasnych, ponurych pomieszczeń, zaczęła nalegać, by pozwolono jej zabrać go na zewnątrz.

W pierwszym momencie Vianne odmówiła.

– To zbyt ryzykowne, Kate. Co będzie, jeśli ktoś cię z nim zobaczy? Zechcą wiedzieć kim jest, skąd się wziął! Nie możemy ryzykować.

– Założę kaptur. W środku dnia nikt nie zwróci na nas uwagi. W Norgardzie są przecież setki dzieci.

Vianne prychnęła i podparła się pod boki.

– A jeśli straci panowanie nad swoją magią? Gdyby doszło do tego nawet na sekundę...

Anise, która nabrała zwyczaju schodzenia do nich podczas każdych odwiedzin Kate, machnęła ręką, uciszając przyjaciółkę.

– Nie możesz wiecznie używać tej wymówki, Vianne. Wcześniej czy później chłopak musi nauczyć się panować nad sobą w miejscach innych niż ta żałosna dziura w ziemi.

– Zgadzasz się z nią? – Vianne odwróciła się z miną pełną oburzenia, jakby Anise właśnie zdradziła ją złotym. Przyjaciółka wywróciła oczami.

– Od miesiący powtarzam ci to samo. Chłopak jest gotów. To niezdrowe, by przebywał tu cały czas. Żeby rosnąć, dzieci potrzebują świeżego powietrza i słońca.

– Co ty wiesz o dzieciach? – rzuciła Vianne i Kate zauważyła, że natychmiast pożałowała tych słów.

– Więcej, niż ty kiedykolwiek się dowiesz. – Anise przemówiła z idealnym opanowaniem, co sprawiło, że jej gniew wydał się jeszcze bardziej niebezpieczny.

Vianne westchnęła głęboko i spojrzała na Kate.

– No dobrze, możesz go zabrać. Raz. Na jedną godzinę. Potem go odprowadź. I nikt nie może was zobaczyć.

Kate chciała protestować, że godzina to za krótko, ale powstrzymała się. Mimo wszystko odniosła drobne zwycięstwo.

– Wrócę po niego jutro. Pojedziemy na przejażdżkę za miasto.

Oczy Vianne rozszerzyły się do rozmiaru spodków.

– Poza mury?

– Nie ma się czego bać. – Kate przypomniała sobie, jak zwiódłaienne gadźce, naginając je do swej woli. – Poza tym gdyby miał jakiś problem z magią, tam istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś to zobaczy. Będziemy unikać głównych gościńców i większych pól.

Następnego dnia Kate zjawiała się wcześniej niż zazwyczaj. Z początku myślała, że plan się nie sprawdzi, bo Kiran dosłownie promieniował podnieceniem przed zbliżającą się przygodą. Kate już zaczęła zastanawiać się nad rezygnacją z planów, lecz gdy tylko wyczuł w niej zwątpienie, wybuchnął płaczem. I nie był to atak złości, jakie często widywała u innych dzieci, tylko przejmująca rozpacz, tak żałosna, że Kate o mało także się nie rozplakała.

Vianne, równie wrażliwa na cierpienie syna, uklękła przed chłopcem i ujęła jego ręce w swe pokryte bliznami dłonie.

– Musisz nad tym panować, Kiranie, rozumiesz? Jeśli wypuścisz choćby jedną iskrę, nigdy więcej nie pojedziesz na żadną przejażdżkę.

Dolna warga Kirana drżała, gdy walczył z napływającymi do oczu łzami. Ognisty rumieniec podkreślał jeszcze ogólną bladość skóry chłopca. Powoli pokiwał głową.

Vianne odwróciła ręce syna dłońmi do góry.

– A teraz pokaż mi jeden płomyk. – Nad prawą ręką pojawił się pojedynczy, jasny płomyk. – Pokaż mi dwa. – Do pierwszego dołączył drugi. – A teraz trzy iskry pod rząd.

I tak to trwało i trwało. Vianne poddawała próbom umiejętności Kirana i to, jak panował nad swą magią. Spisał się znakomicie, demonstrując kontrolę o wiele większą, niż Kate spodziewała się po sześciolatku. Z drugiej strony nie miała go z kim porównać, bo nie znała innych dzikunów opanowujących swoje moce.

W końcu Vianne uznała, że Kiran jest gotowy, i pozwoliła poprowadzić go schodami na tylną alejkę, gdzie Kate zostawiła Tancerkę Ognia uwiązaną do palika. Na widok konia Kiran wybuchnął radosnym śmiechem.

Kiedy spróbował podbiec do klaczy, Vianne zatrzymała go szarpnięciem.

– Ostrożnie, konie kopią i gryzą, mój mały książę, a to jest rumak bojowy. Nauczono go robić to na rozkaz.

– W porządku. – Kate gestem pozwoliła mu pójść naprzód. – Ona nie zrobi ci krzywdy, obiecuję. – Wskoczyła w siodło, po czym schyliła się, pomagając Kiranowi. Vianne podniosła syna. Kate usadziła go przed sobą, trzymając

mocno w pasie.

– Wróćcie za godzinę! – zawołała za nimi Vianne, gdy ruszyli.

Opuścili miasto zachodnią bramą i skierowali się do Nefrytowego Lasu. Po drodze Kate wyjaśniała Kiranowi podstawy jeździectwa. Pierwszy raz dosiadał konia, ale nie okazywał lęku.

– Wiesz, że nasz ojciec był mistrzem koniuszym? – rzuciła, kiedy znaleźli się za miastem i nikt nie mógł ich podsłuchać. – Ty też masz do tego talent.

– Będziesz mnie uczyć codziennie? – poprosił Kiran, praktycznie krzycząc z podniecenia. Uciszyła go łagodnie.

– Nie codziennie, ale tyle, ile będę mogła. Zaczniemy dziś rano.

Podjechała w osłonięte miejsce pomiędzy dwoma polami; odwiedzali je często z Corwinem, gdy byli młodszy. Zwykle nie pozwoliłaby dziecku w takim wieku dosiadać samodzielnie rumaka bojowego, ale mając strzegący sekretów diament na szyi, nie obawiała się – jedną myślą mogła zapanować nad Tancerką Ognia.

Kiran początkowo miał problemy z jazdą, trudno się temu dziwić, w końcu nie było to nic łatwego ani naturalnego. Liczyło się tylko to, że okazał odwagę i wytrwałość, a także chęć nauki.

– Brawo – rzekła, kiedy zatrzymał Tancerkę. – Ani się obejrzysz, a będziesz jeździł jak mistrz.

Kiran posłał jej promienny uśmiech.

– Chcę jeszcze raz!

Kate pozwoliła mu, bo wobec tak namacalnej radości nie potrafiła odmówić.

Kiedy wrócili do „Świętego Miecza”, spóźnieni niemal godzinę, powitała ich wściekła Vianne. Kate była przygotowana na tyradę, ale już po chwili zaraźliwa radość Kirana ukoła gniew jego matki. *Cieszę się, że nie tylko mnie oczarował ten dzieciak*, pomyślała Kate. Z drugiej strony nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktokolwiek go nie lubił.

A jednak złoci, gdyby wiedzieli, zabiliby go. Choć starała się o tym nie myśleć, raz po raz słowa te, nieproszone, rozbrzmiewały jej w głowie.

Po pierwszej udanej wycieczce Vianne nieco się uspokoiła i dawała im więcej czasu. Jej rezerwa osłabła wobec ewidentnych korzyści, jakie owe wyprawy przynosiły Kiranowi. Wkrótce Kate zabierała go na wycieczki dwa, trzy razy w tygodniu. Kiran szybko stracił wcześniejszą bladość i bardziej niż ducha przypominał zwykłe dziecko. Zaczął też przybierać na wadze, był

silniejszy i coraz dłużej mógł jechać stępa bez przystanków.

Pewnego dnia Signe postanowiła wybrać się z nimi. Musiała choć na krótko wyrwać się z zamku i oderwać od pracy przy produkcji czarnego prochu. Kate ucieszyło towarzystwo przyjaciółki. Kiedy wróciły z Thornewall, w końcu zdecydowała się opowiedzieć jej o zniszczonym kaftanie, i nie była to przyjemna rozmowa. Signe, zamiast krzyczeć z wściekłości, przyjęła to z kamiennym milczeniem, była zimna jak woda pod grubą warstwą lodu. Kate raz po raz przeproszała, pojawiwszy, że ów kaftan musiał być dla niej czymś bardzo ważnym. Przez ponad tydzień Signe ledwo się do niej odzywała. Wyglądało jednak na to, że czas powoli leczy także i tę ranę.

– Dobrze jest odetchnąć – mruknęła teraz, jadąc obok niej. – Rewolwery pochłaniają cały mój czas na zabawę.

– To dlaczego nie podzielisz się z kimś sekretem produkcji czarnego prochu?

Signe posłała jej spojrzenie tak ostre, że mogłoby chyba przeciąć szkło.

– Z powodu Seerah, Kate.

– Świętego milczenia?

Zaciskając usta, Signe z powagą pokiwała głową.

– Tajemnica czarnego prochu to największy z sekretów, jakie przechowuję. Nigdy się nią nie podzielę, prędzej umrę. Kate zmarszczyła brwi.

– A w ogóle jak ją poznałaś? Obie wiemy, że nie należysz do Furen Mag.

Spojrzenie Signe mówiło wyraźnie: „a jesteś pewna”?

– Może go wykradłam. Żeby się chronić. Wiedza to najpotężniejsza broń. Kate zerknęła na towarzyszkę, oczekując kolejnej fantastycznej opowieści.

– Bronić przed kim?

Zęby Signe błysnęły w uśmiechu.

– Oczywiście przed goblinami. – Popatrzyła na Kirana, który słuchał zafascynowany. – Przychodzą nocą, żeby wykraść cię z łóżka, jeśli jednak zadasz im zagadkę, której nie zdołają rozwiązać, spędzą na domysłach całą noc, a potem znikną wraz z pierwszym brzaskiem.

– Gobliny? – powtórzył Kiran, wyraźnie przerażony, ale i podekscytowany. – Mama mówi, że one nie są prawdziwe, że to tylko takie sobie historyjki.

– Ależ tak, są prawdziwe. Równie prawdziwe jak gadźce z Rime –

wyjaśniła Signe. Kate wywróciła oczami.

– Nie wierz jej, Kiranie, Signe uwielbia wymyślać bajki.

Przyjaciółka wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nie wszystko, co mówię, to bajka, ale lubię ukrywać prawdę pod ozdobnikami. To umiejętność, którą udoskonaliłam na wyspach.

– Nie wątpię. – Kate wycelowała w nią palce. – Ale kiedyś wyciągnę z ciebie prawdę. Tak będzie uczciwie.

– Mam nadzieję, oznacza to bowiem, że wciąż będziemy się przyjaźnić jako stare, pomarszczone staruszki z siwymi włosami wyrastającymi z podbródków.

Kiran prychnął z niesmakiem na tę wizję i obie dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

Potem, gdy odprowadziły chłopca do domu i jechały do Lustrzanego Zamku, Signe odwróciła się do Kate.

– Coś trzeba zrobić z tym malcem. Nie takie życie powinien wieść.

Kate spuściła wzrok. Skupiła się na wąskim kawałku głowy między uszami Tancerki Ognia. Widok ten dodał jej otuchy.

– Wiem.

Z każdym mijającym dniem coraz trudniej było jej ignorować tę prawdę. Choć dzięki przejazdkom stan Kirana poprawiał się, chłopak potrzebował więcej. O wiele więcej. Na przykład przyjaciół w swoim wieku, możliwości wspólnej zabawy, gonitw, rozbitych kolan i psot.

– Powinnaś wyznać Corwinowi prawdę, Kate. Tak jak mówi mistrz Raith.

Na tę myśl Kate poczuła kłujące dreszcze zbiegające po nogach. Mimo wszystko wciąż się opierała, bo powstrzymywał ją strach przed jego reakcją.

– Prawda o tym, czym jestem, Signe, to jakby moja wersja twojego Seerah.

– Wiem. – Signe uniosła odwróconą dłoń ku niebu. – Rozumiem lepiej, niż przypuszczasz. – Z trudem przełknęła ślinę, ścięgną na jej szyi zagrały. – Kiedyś zdradziłam tajemnicę mężczyźnie, którego kochałam. I który, jak sądziłam, kochał też mnie.

Kate znieruchomiła, wstrząśnięta tym, że Signe wyznaje jej coś ze swojej przeszłości. Coś prawdziwego. Zmusiła się, by zamknąć usta i w milczeniu czekała, co będzie dalej.

Na wargach Signe przez moment zatańczył cierpki uśmieszek.

– Kaftan, który zabrałaś, należał właśnie do niego. Nie wiem, czemu go zatrzymałam, chyba po to, by nigdy nie zapomnieć o popełnionym błędzie.

Ani o nim, domyśliła się Kate. Wiedziała co nieco o tym, jak trudno przestać kogoś kochać.

– Ale nie rozumiem cię – przyznała. – Jeśli wyznanie mu sekretu okazało się błędem, to czemu mówisz, że powinnam zaryzykować to samo z Corwinem?

– Bo Corwin jest zupełnie innym człowiekiem. – W jasnych oczach Signe Kate widziała przejmujący żal i ból. – Wie, co to znaczy kogoś stracić. Wie, co to znaczy żałować. Zrozumie cię albo przynajmniej spróbuje. Jest oddany i wierny tym, których kocha. Choćby Dala. I ciebie. Po prostu musisz dać mu szansę.

– Kiedy miał szansę dokonania wyboru pomiędzy mną i obowiązkiem, nie wygrałam w tym starciu.

Signe przygwoździła ją ostrym spojrzeniem.

– Owszem, może nie zasłużył sobie na twoją szczerość, ale podzielenie się z kimś sekretem na temat naszego prawdziwego „ja” to zawsze ryzyko. Także u niedzikunów. Owszem, może cię odrzucić, ale jeśli tego nie zrobi, w końcu będziesz mogła być przy nim sobą. I nie wmówisz mi, że nie warto spróbować. – Zawiesiła głos na dość długo, by wzruszyć ramionami. – Poza tym Kiran zasłużył na lepsze życie, a Corwin ma moc, by mu je dać. Już to sprawia, że warto zaryzykować. Jeśli nie dla siebie, zrób to dla brata.

– Bonner też zasługuje na coś więcej – dodała Kate.

Poczuła ból przeszywający serce, mieszaninę strachu i nadziei. Czy zdoła to zrobić? Czy się odważy?

– Ty też zasłużyłaś na coś więcej, Kate. – Twarz Signe przybrała zacięty wyraz. – Musisz tylko mieć dość odwagi, by po to sięgnąć.

CORWIN

W dzień drugiej próby uroru Corwin obudził się wcześniej i zszedł do stajni. Cały tydzień od początku igrzysk wojennych praktycznie nie sypiał. Do zamku przybyli gromadnie dygnitarze ze wszystkich dwunastu rzymskich miast i nieustannie domagali się jego obecności. Za dnia oglądał igrzyska – symulowane bitwy, turnieje rycerskie, wyścigi konne i mnóstwo innych wydarzeń upamiętniających zjednoczenie Rime przed pięćdziesięciu laty. Kiedyś był to jego ulubiony okres w roku i ogromnie żałował, że najwyższa kapłanka zdecydowała się połączyć igrzyska z próbą uroru. Och, gdyby tylko mógł w nich uczestniczyć tak jak kiedyś. Lecz pod koniec każdego dnia był do tego stopnia nakręcony, że potrzebował paru godzin, aby uspokoić myśli i zasnąć; zmęczenie fizyczne okazywało się niewystarczające, by szybko sprowadzić sen. Ostatnia noc okazała się najgorsza – gdy pogrążył się we śnie, dręczyły go dziwne koszmary, a w większości z nich pojawiał się niemożliwy, czarno-biały koń.

Gdy następnego ranka Corwin stanął przed drzwiami boksu, źrebak uroru zarżał. Księżę popatrzył na niego, a zwierzę odpowiedziało spojrzeniem, a potem wygięło szyję i położyło uszy. Wszedł do środka, patrzył jak źrebak wycofuje się w głąb boksu, zrzucając głowę i drepcząc w miejscu. Nikt dotąd go nie tresował, większość stajennych zanadto bała się zrobić cokolwiek poza wypuszczeniem go na pastwisko.

Corwin zaczął mówić cicho, powoli wyciągając rękę.

– Spokojnie, mój mały. Czym się dziś tak denerwujesz?

Źrebak znów zarzucił głowę, po czym wyciągnął długą szyję w jego stronę. Nozdrza rozszerzyły się, parsknął głośno. Corwin trwał w bezruchu, pozwalając się obejrzeć i obwąchać. Chwilę później poczuł miękką, aksamitną pysk trącający jego palce. Corwina przeszedł dreszcz. Może to sobie wyobraził, ale chyba nie. Choć zwierzę zachowywało się jak zwykły koń, nie było zwyczajne. Podszedł bliżej, gładząc dłońmi jedwabistą, umięśnioną szyję – jej czarną połowę, choć część białych włosów z grzywy opadało na nią, tworząc niezwykły kontrast.

Na moment Corwinowi przypomniał się sen. Dosiadał w nim konia uroru w bitwie, obaj idealnie złączeni ze sobą w starciu z nieznanym, mrocznym wrogiem – tysiącami żołnierzy bez twarzy, wysypującymi się na wybrzeże Rime ze statków pod czerwonymi żaglami. Lecz dosiadając ogiera uroru, nie bał się, czuł tylko zdecydowanie, podniecenie bitewne i radość z czekającego ich zwycięstwa.

Zupełnie nie przypominało to jego obecnego nastroju przed drugą próbą. Wczoraj pokazano mu na moment jej najważniejszy element – labirynt. Labirynt na niebie.

Wyglądało to zupełnie inaczej niż druga próba, którą opisał dziadek. Tamta wydawała się łatwa – polowanie w Nefrytowym Lesie na mityczne stworzenie, którego Borwin nigdy dokładnie nie opisał. Byłoby łatwiej, nawet gdyby zwierzak był niewidzialny, pomyślał Corwin, gdy pierwszy raz ujrzał owe kamienne platformy. Jego wzrok nie potrafił zrozumieć, co widzi. To przecież niemożliwe. Ponad sto głazów wisiało ponad placem ćwiczeń, niektóre blisko siebie, inne w sporych odstępach. Były tam skały ze schodami wiodącymi w górę i inne, wiodące w dół, schody spiralne i proste. Były też kamienie z dziurami pośrodku, obracające się powoli. Na samym szczycie, na wąskiej platformie ustawiono lustrzany piedestał, na którym spoczywała wysadzana klejnotami korona. Oto cel: dotrzeć tam i przechwycić koronę.

Tyle że samo dotarcie nie zapowiadało się wcale prosto. Corwin z westchnieniem pogłaskał nos źrebaka uroru.

– Gdybym tylko potrafił nauczyć się latać, nie miałbym problemów.

– Czy Wasza Wysokość martwi się próbą?

Na dźwięk głosu koń uderzył kopytami o ziemię, o włos mijając palce Corwina, po czym odwrócił się i odbiegł w najdalszy koniec boksu.

Corwin odetchnął, by się uspokoić. Wyszedł na zewnątrz i obdarzył przybysza sztywnym uśmiechem. Widok ministra Rendborne'a zaskoczył go, choć nie zawiódł. Corwin odchrząknął.

– To zależy, czy przynosisz kolejny użyteczny dziennik, może taki z mapą wiodącą na szczyt?

Mistrz handlu zaśmiał się teatralnie.

– Niestety, nie. W jednej z moich ksiąg widziałem rysunek maszyny latającej, ale stworzył go człowiek zwany Melchoem Szalonym, uznałem więc, że raczej nie zechcesz zaufać podobnej osobie.

– Chyba masz rację. Uważam, że śmiertelnikom nie jest pisane wznosić się

na takie wyżyny, nawet tym szalonym. – Rendborne zaśmiał się i dźwięk ów natychmiast uspokoił Corwina.

– Masz świętą rację i to dlatego uczestniczą w tym bogowie.

– Bogowie czy magia? – Corwin uniósł brew. To Dal podsunął mu ten pomysł, gdy ujrzeli wiszące kamienie. *Wygląda to jak coś, co mógłby stworzyć dzikun, prawda?* – rzekł wtedy. – *Ziemista albo aerysta. A może jeden i drugi.*

Choć Corwin uznał to za pytanie retoryczne, Rendborne odpowiedział:

– A jest jakaś różnica?

Uniósł prawą rękę dłonią do góry, tak że blask kamienia magicznego oświetlił ziemię.

Corwin zamrugnął zaskoczony. Brzmiało to jak bluźnierstwo, tyle że w sumie dostrzegał w tym sens. Ze wszystkich rzeczy, jakie oglądał od pojawienia się uroru, niemal wszystkie można byłoby osiągnąć za pomocą magii, zarówno tej dzikunów, jak i magistów. Mgła na szczycie Asterionu mogła być efektem działania daru wody, złudzenia wywołanego zaklęciem magistów. Przypuszczał, że nawet wizje jego ojca i sevańskiego żołnierza dałoby się przywołać dzięki magii ducha.

Obejrzał się na boks. Wszystko to znana magia, prócz znaku uroru.

Rendborne najwyraźniej myślał o tym samym.

– Wiedziałeś, że mój poprzednik dostał raz propozycję zakupu znaku uroru twojego ojca?

Corwin wbił wzrok w ministra.

– Żartujesz.

– Ależ nie. – Przez twarz Rendborne'a przebiegł grymas niesmaku. – To był bogaty kupiec z Endry. Zaproponował królewski okup w złocie i klejnotach.

– Ale czemu? – Corwin wyobraził sobie Murra, próbując pojąć, po co komuś żywy wilk posłuszny jedynie woli jego ojca.

– Spodziewam się, że z tego samego powodu, z jakiego moi urzędnicy odbierają dziesięć listów dziennie od zagranicznych kupców proszących o zgodę na handel z Ligą i zakup ich błyskotek i zaklęć. Świat jest wielki, a jednak cała magia tkwi tutaj, w Rime. – Rendborne wskazał ręką konia. – A to zwierzę to czysta magia. Są ludzie, którzy zabiliby za nie.

Myśl ta zmroziła Corwina. Nie rozumiał, co miałyby dać komukolwiek posiadanie uroru, ale natychmiast dostrzegł tuzin powodów, dla których

wrogowie Rime mogliby pragnąć jego śmierci. Przede wszystkim król-bóg Sevy. Zwierzę to było znakiem, symbolem władzy i potęgi Norgardu. Myśl ta przywołała kolejną niepokojącą możliwość.

– Zastanawiam się, co by się stało, gdyby znak uroru umarł przed końcem prób.

– Raz się to już zdarzyło – odparł swobodnie Rendborne. – Ale w tamtym przypadku to dziedzic go zabił, tym samym rozstrzygając kwestię sukcesji. Niewinnego brata ogłoszono królem, a zabójca stał się Bezimiennym.

Corwin zachłysnął się wstrząśnięty.

– Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem. To znaczy o zabiciu uroru. Mówisz o bracie Morwena, synu Rowana, moim ciotecznym prapradziadku? – Tytuł ten pojawiał się we wszystkich tekstach, w których czytał o owych dwóch braciach.

– Tymże samym, choć nie dziwi mnie, że wcześniej o tym nie słyszałeś. – Rendborne lekceważąco machnął ręką. – Znam tę historię tylko dlatego, że uwielbiam wprost czytać. Prywatne archiwa mistrza handlu stanowiły najważniejszy powód, dla którego kandydowałem na to stanowisko. Wątpię jednak, by najwyższa kapłanka życzyła sobie, aby powtarzano tę historię. Zwłaszcza dziedzicom podczas prób uroru.

– Tak, to chyba rozsądne. – Corwin obejrzał się na znak i nie zdziwiło go, że koń na niego patrzy. Nigdy wcześniej nie widział niczego równie pięknego. Na myśl, że ktoś mógłby go zabić, poczuł mdłości. Zmuszając się, by skupić wzrok na Rendbornie, uznał, że czas zmienić temat.

– Co cię sprowadza dziś rano do stajni? – spytał. – Chcesz mi podarować jeszcze jakieś książki.

Rendborne wywrócił złotymi oczami.

– Muszę po prostu pomówić z mistrzem Cade'em. Lord Nevan z Andreas życzy sobie nabyć tuzin rumaków bojowych.

– Rozumiem. – Corwin zacisnął usta, powstrzymując się od uśmiechu. – A już myślałem, że gdzieś w pobliżu czai się maestra Vikas.

– No cóż, nie tym razem. – Rendborne udał kasznięcie, nieświadomie unosząc rękę do naszyjnika z ośmiu szponów wiszących na jego szyi na srebrnym łańcuchu. – Dziękuję za dyskrecję w tej kwestii. Bardzo ją... um... doceniam.

Tym razem Corwin uśmiechnął się szeroko, po przyjacielsku, rozbawiony skrzepowaniem ministra.

– Oczywiście. Czymże byłoby życie bez kilku sekretów.

Rendborne odpowiedział uśmiechem.

– W istocie, muszę jednak ruszać. Powodzenia dzisiaj, Wasza Wysokość.

Corwin odprowadził go spojrzeniem, po czym znów skupił uwagę na żrebacku uroru. Zastanawiał się, czy nie zostać z nim dłużej, potem jednak uznał, że woli poszukać Kate. Ale gdy przybył do boksu Tancerki Ognia, nie dostrzegł ani śladu dziewczyny. Nie zdziwiło go to, od tygodnia przez zamek przelewały się tłumy ludzi, panował powszechny zamęt. Mimo to nie mógł powstrzymać uczucia zawodu.

W parę minut później zjawił się paź wzywający go na plac ćwiczeń. Dziś przypadał ostatni dzień igrzysk wojennych, na który składały się finały poszczególnych dyscyplin – łucznictwa, ścinania słupków, pierścieni i konnej szermierki. Corwin musiał zgłosić się na scenę główną – nie po to, by oglądać zwycięzców, lecz by być gotowym do rozpoczęcia próby uroru, gdy tylko zostaną rozdane nagrody. Najwyższa kapłanka uznała, że próba będzie idealnym zwieńczeniem całych igrzysk. Gdyby nie uror, Corwin byłby teraz na polu i brał udział w konkursie, a nie oglądał wszystko z boku.

Po chwili odkrył, że zmagania interesują go znacznie mniej niż próby pocztowe Kate w Farholdzie. Jego wzrok nieustannie wędrował ku kamiennemu labiryntowi wiszącemu nad placem ćwiczeń. Starał się zbadać go uważnie, wyobrazić sobie ścieżkę wiodącą na szczyt. Wkrótce przekonał się, że siedzący obok Edwin robi to samo. Żaden z nich nie odzywał się, a czas mijał. Wkrótce nadejdzie południe i początek próby.

Wreszcie konkursy dobiegły końca, kapłanki zjawiły się, by odeskortować Corwina i Edwina na plac ćwiczeń, gdzie niedaleko labiryntu rozbito dwa małe namioty. Wokół zebrał się tłum dworzan i notabli ze wszystkich dwudziestu miast. Najwyższa kapłanka krótko przemówiła do książąt, a potem każdego z nich posłała gestem do namiotu, sugerując, by resztę czasu poświęcili modlitwie.

Przynajmniej tym razem mogę pozostać w ubraniu, pomyślał Corwin, chociaż nieszczególnie go to pocieszyło. Bez przekonania próbował się modlić, ale dźwięk głosów dobiegających z zewnątrz nie pozwalał mu się skupić. W końcu zrezygnował i usiadł, czekając. Chwilę później zerwał się na równe nogi, bo tylna ścianka namiotu uniosła się i do środka wśliznęła się jakaś drobna postać.

– Kate! – rzucił, podnosząc głos w zdumieniu, natychmiast jednak go

zniżył, dostrzegając nerwowe spojrzenie dziewczyny. – Co ty tu robisz?

Kate skrzyżowała ręce na piersi, po czym opuściła je swobodnie.

– Chciałam tylko życzyć ci powodzenia.

– Będziesz oglądać? – Pytanie zabrzmiało absurdalnie, co zrozumiał, gdy tylko wymknęło mu się z ust. Jej twarz rozjaśnił powolny uśmiech.

– Ktoś musi cię wyśmiewać. Widzisz lepszego kandydata?

Na te słowa wyszczerzył zęby, przypominając sobie ich ulubioną zabawę w wyzwiska podczas wielu wyścigów i udawanych bitew.

Kate zacisnęła wargi.

– Czy po... po próbie przyjdiesz do mojej kwatery? Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Żołądek Corwina zatrzepotał z ciekawości.

– Oczywiście, to znaczy, jeśli przeżyję wspinaczkę. – Zmusił się do uśmiechu. Kate zachowała powagę.

– Wygrasz dzisiaj – oznajmiła, przyszpilając go pełnym napięcia spojrzeniem. – Uror wybiera wyłącznie godnych, a ty jesteś godzien, Corwinie.

Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odwróciła się i zniknęła, pozostawiając go samego w namiocie. Lecz jej słowa wciąż dźwięczały mu w uszach. *Wygrasz.*

Nie wiedział, czy to prawda, ale po raz pierwszy pomyślał, że może tego właśnie pragnie.

* * *

Wspięcie się na pierwszą platformę było łatwe, lecz wystarczyło jedno spojrzenie w górę, by Corwin pojął, że to jedyne proste zadanie, na jakie może liczyć. Dalej, po drugiej stronie widział Edwina stojącego na platformie i z odchyłoną głową przyglądającego się labiryntowi.

Czekali na głos rogu zwiastującego rozpoczęcie próby. Corwin aż drgnął, gdy do jego uszu dotarł głośny dźwięk, a nerwowa energia kryjąca się w jego wnętrzu zapłonęła niczym naoliwiona pochodnia. Wykorzystując ją, pobiegł ku najbliższej platformie i skoczył. Ledwie się utrzymał. Jedna z głowy, został zaledwie milion. Albo przynajmniej tak mu się zdawało. Następne dwie pokonał tak samo jak pierwszą, ale dalej pojawiło się już kilka możliwości. Wybrał najbliższą – oczywistą – lecz w chwili, gdy na nią

wskoczył, natychmiast zaczęła opadać ku ziemi. Corwin z przekleństwem odwrócił się i skoczył na tę, z której przyszedł. Ledwie mu się to udało. Kamień spadał dalej, aż na ziemię, gdzie wylądował z miękkim łoskotem. Tłum wydał zbiorowy pomruk zdumienia.

Corwin otarł spocone czoło i przyjrzał się pozostałym dwóm możliwym drogom, obu w jego zasięgu, lecz wiszącym dalej niż ta, która przed chwilą spadła. Tym razem wybrał najtrudniejszą, zakładając, że to właśnie było powodem niepowodzenia z poprzednią. Skoczył i cudem zdołał uchwycić się krawędzi; tym razem jednak kamień pozostał na miejscu.

Idąc dalej, starannie dokonywał wyboru, nie zwracając się odruchowo ku najłatwiejszej ścieżce. Raz jeszcze podjął taką decyzję, ale w chwili, gdy jego stopy dotknęły platformy, ta zmieniła się, znów zmuszając go do odwrotu.

Wybór nie zawsze jednak był taki oczywisty. Jakiś czas później kolejna platforma zawirowała, gdy na niej wylądował, poruszając się z taką siłą, że zwała go z nóg. Kiedy zdołał się podnieść, tak mocno zakręciło mu się w głowie, że ledwie widział, gdzie iść dalej. W końcu uskoczył na losowo wybrany kamień, a ten, dzięki bogom, pozostał nieruchomy. Z jego środka wznosiły się w górę spiralne schody, Corwin wspiął się, boleśnie świadom tego, jak wielka odległość dzieli go teraz od ziemi. Dotarłszy na górę, odczekał chwilę, żeby zorientować się w otoczeniu. Daleko przed sobą ujrzał Edwina stojącego kilka stóp wyżej w głębi labiryntu. Zrozumiał, że musi się pospieszyć. Kiedy jednak zbadał możliwości, odkrył, że aby dostać się w górę, musi najpierw pójść w dół, na niewielką okrągłą platformę, a potem dopiero na większą, w kształcie głowicy topora. Ruszył, usilnie starając się ignorować postępy Edwina, by podrażniona ambicja nie popchnęła go do popełnienia błędu.

Im wyżej docierał, tym dziwniejszy i trudniejszy stawał się labirynt. W połowie drogi wszystkie kamienie zaczęły się poruszać, jedne wznosiły się, inne opadały, jeszcze inne wirowały w kręgach, a kolejne losowo pojawiały się i zaraz potem znikwały. Poświęcił kilka minut ich obserwacji, szukając jakiegoś wzoru, porządku w owych ruchach. I znalazł go, okazał się jednak tak skomplikowany, że skacząc, z trudem utrzymywał w głowie jego obraz.

Dwa ruchy dalej kompletnie już zapomniał o całym wzorze, bo wkroczył na nieruchomą platformę i nagle świat dosłownie wywinął koziołka. A może to on się odwrócił? Nie miał pewności, wiedział tylko, że ziemia jest teraz

nad nim, a niebo w dole. Stał niezdolny do ruchu, pewny, że moc, która go utrzymuje, lada moment zawiedzie, a on sam runie wprost w objęcia śmierci. Dyszał ciężko, po twarzy płynął mu pot.

Daleko, daleko w dole ujrzał ludzi nadal stojących na placu ćwiczeń. Słyszał ich krzyki, odległe i stłumione.

– Musisz się ruszyć, Corwinie – rzekł głośno, a wiatr unosił jego słowa. – Musisz się ruszyć – powtórzył bardziej stanowczo. A potem, zamknąwszy oczy, zmusił się, by przesunąć jedną stopę. Nie spadł, jedynie zbliżył się do krawędzi platformy. Nadal jednak wisiał do góry nogami. Tym razem nie zamknął oczu i znów postąpił krok. Ku jego zdumieniu mimo odwróconego obrazu ruch wydawał się normalny. Wkrótce zdołał dotrzeć do samej krawędzi platformy.

Początkowo wydawało mu się, że nie ma dokąd pójść, nie wiedział, czy najbliższa platforma też jest odwrócona. A co, jeśli wisi normalnie?

To skok wiary, pojął. Kolejna próba.

Wstrzymując oddech, skoczył. W powietrzu świat nagle się wyprostował, aż książę krzyknął, wystraszony i wstrząśnięty.

Skulił się, podciągnął nogi do piersi, zamiast wyciągnąć ręce, by złapać kamień przed sobą. Kiedy pojął swój błąd, spróbował go skorygować, ale było za późno. Poczul, że zaledwie muska palcami krawędź, ale nie zdołał się zatrzymać. Runął w dół, zbyt przerażony, by krzyczeć.

Chwilę później ocalił go przypadek, gdy jeden ze znikających kamieni pojawił się akurat pod nim. Corwin natychmiast poderwał się, zgadując, że ma tylko parę sekund, zanim kamień znów zniknie. Podbiegł do jego krawędzi i skoczył na sąsiednią platformę, cudem unikając kolejnego upadku.

Wylądował niżej, niż kiedy zaczynał, i musiał powtórzyć całą sekwencję. Tym razem na szczęście szło mu zdecydowanie łatwiej. Kiedy doszedł do skoku z odwróconej platformy, zmusił się, by włożyć weń wszystkie siły i względnie łatwo zdołał uchwycić się kolejnej.

Parł dalej, nabierając coraz więcej pewności siebie. To była próba nie tylko ciała, ale i umysłu, musiał o tym pamiętać.

Gdy w końcu dotarł na szczyt, obrócił się, szukając wzrokiem platformy z koroną. Ku jego zdumieniu okazało się, że wisi poniżej, kilkadziesiąt stóp dalej, oddzielona od niego pół tuzinem kamieni. Daleko po przeciwległej stronie pola ujrzał Edwina podciągającego się na platformę na podobnej wysokości; widać brat musiał też pokonać jakieś problemy. Popatrzyli na

siebie, oceniając odległość dzielącą ich od korony – jednej. Dla jednego zwycięzcy.

Przez sekundę Corwin wahał się, przez głowę przemknęły mu wszystkie powody, dla których to Edwin powinien wygrać. Potem jednak raz jeszcze usłyszał pożegnalne słowa Kate – jesteś godzien.

W nagłym przypiływie energii pomknął naprzód. Pędził przed siebie, przeskakując między kamieniami bez namysłu, bez zastanowienia. Niektóre zaczynały spadać w chwili, gdy nacisnęła je jego stopa, miał jednak dość rozpędu, by zdążyć przeskoczyć na kolejne.

Platforma z koroną czekała tuż poniżej. Corwin skoczył ku niej i przekoziółkował po wylądowaniu. Edwin pojawił się po przeciwnej stronie pół sekundy później, ale tyle czasu wystarczyło Corwinowi, by dotrzeć do celu. Jego dłonie zacisnęły się wokół korony, a w chwilę później wsunął ją sobie na głowę.

Gdy tylko się tam znalazła, wszystkie kamienie oprócz tego, na którym stali, zniknęły. Przez sekundę byli jakby sami na całym świecie, zawieszeni w powietrzu – zwycięzca i przegrany. A potem powoli platforma zaczęła opuszczać się, zmierzając ku ziemi. Edwin wbijał w Corwina surowe spojrzenie, zaciskając mocno wargi w linię ostrą jak brzytwa.

Kiedy znaleźli się na ziemi, skłonił głowę.

– Ciesz się triumfem, póki trwa, bracie. Bo uprzedzam cię, że w ostatecznym rozrachunku nie ty przywdziejesz koronę.

Corwin wzdrygnął się, słysząc jad w jego głosie. Przywykł do zazdrości i niechęci brata, ale to wydawało mu się czymś więcej. Znak uroru na jego dłoni zaczął mrowić, z trudem powstrzymał się, by nie podrapać blizny na skórze. Zanim zdążył odpowiedzieć, tłum wyroił się wokół nich, ludzie wykrzykiwali imię Corwina, wyciągali ręce, by go dotknąć, podnieść. Corwin szukał wzrokiem Kate i jak zawsze natychmiast ją odnalazł. Obserwowała go z dala, z jedną dłonią przy ustach, jakby chciała ukryć uśmiech. Przypomniawszy sobie obietnicę, że spotka się z nią po wszystkim. *Muszę ci coś powiedzieć*, rzekła.

Ja też mam ci coś do powiedzenia, pomyślał, przypominając sobie, co powiedziała tamtej nocy w swojej komnacie.

Jesteś arcyksięciem, być może zostaniesz też arcykrólem. To ciebie słucha świat, nie odwrotnie.

Powinien był jej wyznać to bardzo dawno temu, ale za bardzo się bał. Lecz

nie teraz. Teraz uznał, że ma dość odwagi, by wykrzyczeć to całemu światu.

Kate czekała w głównym pokoju swojej kwatery, a serce biło jej jak szalone. Czuła się tak już od chwili, gdy zakradła się do namiotu Corwina i poprosiła go o spotkanie. Podczas tej długiej godziny czekania co najmniej pół tuzina razy walczyła z pokusą zniknięcia. Oparła się jej jednak, nakazując sobie odwagę. Widząc, co przeszedł Corwin w czasie próby, uznała, że zdoła to zrobić. Mimo że siedzenie tu i czekanie na chwilę, gdy ujawni prawdę o swojej magii, wydawało jej się trudniejsze niż wspinaczka przez labirynt na niebie.

Minuty mijały, a ona raz po raz powtarzała w myślach wszystkie powody, dla których Corwin musi poznać prawdę.

Robiła to dla Kirana i dla Bonnera, dla Vianne i Anise, dla dzikunów poznanych w „Świętym Mieczu”, dla wszystkich.

Muszę to zrobić dla siebie. To przede wszystkim dawało jej siłę. Była zmęczona ukrywaniem się, zmęczona kłamstwami i tajemnicami. Owszem, urodziła się dzikunką, ale nie czyniło jej to gorszym człowiekiem. Nie sprawiało, że zasłużyła na cały ten strach i nienawiść. Zasługiwała na to, by być tym, kim powinna, bez osądu i potępienia.

Kiedy w końcu usłyszała pukanie, zerwała się z krzesła, sięgnęła do drzwi i otworzyła. Corwin czekał za progiem, a na jego ustach dostrzegła nerwowy uśmiech.

– Mogę wejść?

Uświadomiwszy sobie, że stoi i gapi się na niego bez słowa, cofnęła się i zaprosiła go gestem. Gdy tylko zamknęła za nim drzwi, Corwin ujął jej dłoń. Poglądził kciukiem grzbiet, zerkając w miejsce, gdzie ich ręce stykały się ze sobą. Kate zamarła, niepewna jego dotyku i bliskości.

– Wiem, że chcesz mi coś powiedzieć, Kate – rzekł Corwin głosem niewiele donośniejszym od szeptu. – Ale najpierw ja muszę ci coś wyznać.

Jej oddech przyspieszył.

– Co takiego?

Powoli Corwin uniósł wzrok, aż w końcu spojrzał prosto na nią. Jego

błękitne oczy wciąż wyglądały jak odłamki lodu, a przecież płonęły. Zapra gnęła się cofnąć, przerażona intensywnością tego spojrzenia, ale napięcie wibrowało w powietrzu niczym naprężone nici sieci przytrzymujące ją w miejscu.

Corwin głośno wypuścił powietrze.

– Kocham cię, Kate.

Słowa te zawisły między nimi, jakby utkwiły w tej samej sieci. Kate gapiła się na niego, zbyt oszołomiona, by się odezwać czy zareagować. To nie były puste słowa, tylko prawda, naga, ciężka i wolna.

– Zawsze cię kochałem – ciągnął, nie spuszczając z niej wzroku. – Odkąd byliśmy dziećmi, a jeszcze bardziej od kiedy wróciłaś do mojego życia. Nie zgodziłaś się zostać moją metresą i bardzo dobrze, bo byłem głupcem. Jak mogłem w ogóle pomyśleć coś podobnego? Zasługujesz na coś lepszego. Zasługujesz na wszystko, czego zapragniesz i jeszcze więcej. A ja chcę ci to dać. W końcu widzę prawdę, którą próbowałaś przekazać mi od początku, że wybór zależy ode mnie. Przez jakiś czas wmawiałem sobie, że chcąc postępować słusznie, muszę stale podążać wytyczoną mi ścieżką. Powoli jednak uczę się, że to nieprawda. Owszem, jest czas, gdy trzeba słuchać, ale jest też czas, by wyznaczać własne zasady. – Zawiesił głos, jakby świadom, że zaczyna mówić bez ładu i składu, potem mocniej uścisnął jej dłoń. – Jeśli wygram w urorze i zostanę królem, sam zadecyduję o własnym losie. Jeżeli przegram, też dokonam wyboru. Tak czy inaczej, wybiorę cię. Zawsze. To znaczy, jeśli mnie zechcesz.

Kate osłupiała, nie spodziewała się tego. Mogła o tym kiedyś marzyć, może nawet i teraz, ale zupełnie tego nie oczekiwała. Zdumiała ją zmiana, którą wyczuwała w nim przez kilka ostatnich tygodni. Może to właśnie efekt owej zmiany, powolne przebudzenie prawdy? Nie wiedziała i w tym momencie zupełnie jej to nie obchodziło.

Podeszła o krok bliżej, jej serce i ciało domagały się odpowiedzi. Zaczęła sięgać ku niemu, a potem cofnęła się, pomna własnych planów, ukrytej prawdy, która wciąż jeszcze ich rozdzielała. Nie miała pewności, że nadal będzie czuł to samo, kiedy się dowie. Nagle załżała ją surowe, bezwzględne wspomnienie tego, jak zareagował na śmierć matki i po plecach przebiegł jej dreszcz.

Wobec milczenia Kate, pełen nadziei uśmiech Corwina powoli zniknął, a w jego oczach pojawił się ból odrzucenia.

– Nic mi nie powiesz? – spytał łagodnie. Odchrząknęła, starannie dobierając słowa:

– Cieszę się, że ujrzałeś prawdę, ale wciąż nie wyznałam ci tego, co muszę. To może mieć znaczenie.

– O co chodzi, Kate?

– Może... może powinieneś usiąść. – Gestem wskazała krzesło przed biurkiem ojca. Corwin zmarszczył brwi, wyraźnie zaniepokojony.

– Czego się boisz?

– Proszę, Corwinie. Usiądź. Tak będzie łatwiej. Dla mnie będzie łatwiej.

Coraz mocniej marszcząc czoło, zajął wskazane miejsce. Przyglądała mu się kilka długich sekund, walcząc ze strachem. *Jeśli źle zareaguje, mogę użyć mocy zwodzenia*, pomyślała, lecz sama myśl o tym ją odrzuciła. Słodka bogini, oby do tego nie doszło.

– To, co ci powiem, może wydać ci się... szokujące, delikatnie mówiąc – zaczęła. – To tajemnica, której dochowywałam całe życie, powierzając ją tylko nielicznym. A teraz chcę ją powierzyć tobie.

Corwin pochylił się naprzód, wyraźnie spięty, jego twarz miała dziwny wyraz. Dostrzegła na niej ciekawość, ale też ból.

– Cóż to takiego?

– Po pierwsze, czy dasz mi słowo, że nie zareagujesz natychmiast, tylko najpierw pomyślisz nad tym chwilę z otwartym umysłem?

Oto najprawdziwsza próba, dowodząca, czy istotnie się zmienił – czy szczerze wierzy, że czasami trzeba tworzyć nowe zasady i łamać stare.

W odpowiedzi Corwin sięgnął po jej rękę. Poczowała na skórze ciepło promieniujące ze znaku uroru.

– Przysięgam na obie ręce.

Kate kiwnęła głową, ale nadal nie mogła się zmusić, na przeszkodzie stały lata milczenia. W myślach przywołała twarz Kirana i odnalazła w tym niezbędną siłę.

– Jestem dzikunką, Corwinie. Mam dar ducha.

Corwin zastygł. Był nieruchomy. Jak kamień. Wstrzymał nawet oddech. Kate poczuła, że ona sama zaczyna oddychać szybciej, serce waliło jej w piersi. Rozpaczliwie pragnęła cofnąć te słowa, ale wiedziała, że nie zdoła już tego zrobić.

Powoli wypuścił jej dłonie i odchylił się na krzesło. Napięła się cała, już czując ból odrzucenia. Powoli odwrócił głowę ku oknu, jego twarz przybrała

dziwnie odległy wyraz, jak u człowieka zatopionego w myślach i wspomnieniach.

A potem, równie powoli obrócił się ku niej, nie do końca patrząc jej w oczy.

– To zwierzęta, prawda? Potrafisz z nimi rozmawiać, kontrolować je?

– Tak – szepnęła Kate, ledwie zdolna mówić w obliczu zimna jego głosu. – Skąd... Skąd wiesz?

Uniósł palec i pogłodził bliznę na podbródku.

– Widziałem, jak go używasz. – Znów pokiwał głową, jakby odpowiadając na własne pytanie. – Na drodze do Andreas, gdy uratowałaś mnie przed dziennymi gadźcami. Do tej pory nie pamiętałem, ale twój koń robił wtedy rzeczy, jakich żaden inny nie potrafi. Słuchał twoich poleceń niemal jak człowiek.

– Zgadza się. – Kate usiłowała znaleźć otuchę w tym, że jak dotąd dotrzymał słowa i nie zareagował. Sprawiał wrażenie spokojnego, nie wezwał złotych, by ją aresztowali. Nie widziała powodu, aby nie wyznać reszty. Może nie zdoła jej pokochać jako dzikunki, ale przynajmniej pozna prawdę o tym, kim jest. Nic poza tym jej już nie zadowoli. – Mój dar rzekła spokojniejszym tonem – pozwala mi przemawiać do umysłów zwierząt, a nawet ludzi. Choć o tym ostatnim dowiedziałam się dopiero niedawno.

Wzrok Corwina wyostrzył się, przez sekundę dostrzegła w nim strach, a także nienawiść, którą widywała setki razy po śmierci jego matki. Za strach nie mogła go winić, ona także lękała się własnej mocy, zarówno tego, co mogłaby z nią zrobić, gdyby zechciała, jak i tego, czego mógłby dokonać ktoś inny z tym samym darem – gdyby zechciał.

Wszystko zawsze sprowadza się do wyboru – postąpić słusznie czy nie, niezależnie od mocy i władzy.

– To, co robię, nie jest złe, Corwinie – podjęła, ośmielona tą prawdą. – Nigdy nikogo nie skrzywdziłam i nie skrzywdzę. To po prostu część mnie, zdolność, którą zawsze posiadałam, odkąd byłam dzieckiem.

Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie sięgnąć po poważniejszy argument, wyjaśnić, że żaden dzikun nie rodzi się zły, że to zawsze kwestia wyboru bądź okoliczności, ale uznała, że nierozsądnie byłoby naciskać.

Minęło kilka sekund, cisza panująca między nimi ciążyła jej nieznośnie. W końcu wargi Corwina wygięły się w cierpkim, niepewnym uśmiechu.

– Nic dziwnego, że zawsze lepiej niż ja radziłaś sobie z końmi.

Teraz Kate nie wiedziała już, co myśleć. Nie była pewna, czy z niej żartuje, czy też mówi sarkastycznie. Miała nadzieję, że to pierwsze. Zmarszczyła nos, starając się utrzymać lekki ton rozmowy.

– Przyznaję, od czasu do czasu wykorzystywałam ten dar na swoją korzyść.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

Tym razem dosłyszała gorycz w jego głosie. Westchnęła.

– Naprawdę nie potrafisz odgadnąć powodów? Ludzie zawsze nienawidzili i bali się dzikunów, nawet przed inkwizycją.

Ojciec kazał mi przysiąc, że nigdy nikomu nie powiem. Od pierwszej chwili, gdy tylko odkryłam, co potrafię, ostrzegwał mnie przed ryzykiem. – Na moment umilkła, wyczuwając niepewność w Corwinie, zupełnie jakby balansował po linie, kołysząc się pomiędzy akceptacją i odrzuceniem. Rozpaczliwie zaczęła szukać sposobu, by pchnąć go we właściwą stronę. *Pamiętaj o Kiranie*, powtórzyła w duchu. – Od tygodni jednak chciałam wyznać ci prawdę. Odkąd znaleźliśmy te gadźce w Wędrującym Lesie.

Corwin spojrział na nią zaskoczony.

– Dlaczego dopiero wtedy, skoro już wcześniej mieliśmy tyle czasu? Postanowiła zignorować kryjące się w tych słowach oskarżenie.

– Tamtego dnia coś było nie tak, Corwinie. – Opowiedziała mu szybko o wszystkim. O tym, jak jej magia została osłonięta, i o tym, jak później wykorzystwała swe zdolności do zapanowania nad gadźcami w Thornewall. Gdyby tylko zdołał dostrzec użyteczność dzikuńskich mocy, to, jak można je wykorzystać dla dobrych celów, jeśli tylko da im się szansę.

Corwin słuchał, a na jego twarzy podziw walczył z niedowierzaniem.

– Zapanowałaś nad wszystkimi gadźcami?

– Tak, ale tylko dlatego, że tak działają ich umysły. Nigdy wcześniej nie czułam niczego podobnego. Ale też z drugiej strony zaledwie parę tygodni temu zaczęłam używać swojej magii na czymkolwiek poza końmi i tylko wtedy, gdy nikt nie mógł się zorientować. Ojciec wbił mi to do głowy tak głęboko, że nie sądziłam, że kiedykolwiek zdołam się przełamać.

– Twój ojciec – oczy Corwina rozszerzyły się – miał tę samą zdolność, prawda?

– Tak. – Kate wzdrygnęła się, gdy Corwin zerwał się nagle z krzesła.

I znów nastawiła się na wybuch, on jednak tylko podszedł do okna i oparł się o parapet. Czekala bez ruchu, dając mu czas, by uporządkował uczucia.

W końcu ponownie obrócił się ku niej, a jego oczy lśniły.

– Mówiłaś, że ta magia działa też na ludzi. Czy to znaczy, że twój ojciec mógł jej użyć przeciw memu? Że to on swym zwodzeniem wywołał chorobę?

Kate poczuła, jak na tę myśl krew odpływa jej z policzków. Parę tygodni temu zaprzeczyłaby, wpadłaby we wściekłość wobec takich insynuacji. Teraz jednak, po wszystkim, co się wydarzyło, co odkryła i czego doświadczyła z owym dzikunem w Thornewall, nie mogła już odrzucić takiej ewentualności.

– Nie wiem, Corwinie – rzekła w końcu. – Nie sądzę, by zrobił coś takiego, a nawet jeśli, to nie wiem, jak mogłoby to zadziałać.

Corwin przytaknął, znów pocierając bliznę na twarzy.

Kate postąpiła krok ku niemu, a mięśnie miała tak napięte, że bała się, że przy kolejnym ruchu mogą pęknąć.

– Ale odkryłam, co robił w „Świętym Mieczu”.

– Naprawdę? I co?

– On... – Powstrzymała się w ostatniej chwili, czując na skórze gorąco. Klątwa. Wciąż miała ją na sobie. Nie mogła powiedzieć mu o Kiranie, Powstaniu ani o niczym, czego dowiedziała się tamtego dnia.

Pokręciła głową.

– Przepraszam, ale nie mogę powiedzieć. W grę wchodzi magia. Zaprzysiężono mnie do milczenia za pomocą klątwy magistów.

Corwin zacisnął usta, jego dłonie zwinęły się w pięści.

– Uwierz mi, Corwinie, chcę ci powiedzieć, ale nie mogę. Nie teraz. Mistrz Raith będzie musiał...

– Raith ma w tym udział? – Corwin zeszywniał. – Oczywiście, że tak. Kate uniosła ręce, próbując go uspokoić.

– Owszem, ale powie ci wszystko, gdy tylko wróci z Penlocke.

W oczach Corwina dostrzegła furję; w końcu ogarnęła go wściekłość, choć inna, niż oczekiwała.

– Czy owa tajemnica dotyczy tego, co spotkało mojego ojca?

Kate zagryzła wargę, niepewna co odpowiedzieć, ile może bezpiecznie wyznać. Nigdy nie przypuszczała, że ich rozmowa tak się potoczy.

– Na to nie umiem odpowiedzieć, ale musisz mi zaufać i uwierzyć, że nikt nie wie, co się zdarzyło tamtej nocy pomiędzy moim ojcem a twoim. Ani ja, ani Raith. Bardzo bym chciała, by było inaczej, ale nie jest.

Na szczęście Corwina drgnął mięsień.

– Jak mogę ci zaufać, Kate, skoro przez cały ten czas ukrywałaś to przede mną?

– To nieuczciwe, Corwinie. Wiesz przecież, że dzikunów skazuje się na śmierć tylko za to, kim jesteśmy. Polują na nas jak na zwierzęta. – W oczach zapiekły ją łzy, cały ból i strach o Kirana, o Bonnera, o to, co spotka ją samą, w końcu wypłynął na powierzchnię. – Ale nawet jako dzikunka pozostaję tą samą Kate, którą byłam. Nadal jestem sobą.

Corwin spuścił wzrok, jakby nie mógł znieść jej widoku. Przyglądał się znakowi uroru na dłoni, gładząc go palcem.

W końcu znów uniósł głowę. Z jego oczu zniknął gniew, twarz przybrała poważny wyraz.

– Racja. Widzę, że nie miałaś wyboru. Ale musisz zrozumieć, jak to wygląda, zważywszy, że twój ojciec potrafił to, co ty. Nie da się stwierdzić...

– Corwin urwał. Na jego twarzy odbiło się zdumienie, a potem w oczach rozbłysła dzika, szalona nadzieja. – Ale to, co mówisz, nie jest prawdą. Jest ktoś, kto wie, co się stało.

– Kto?

– Mój ojciec. Był tam. Widział wszystko.

– No tak, Corwinie – mruknęła niepewnie Kate. – Ale król Orwin nie jest zdrów na umyśle. Sam widziałeś.

– Istotnie. Ty jednak masz moc zaglądania do umysłów, czytania ludzkich myśli.

Zrozumienie uderzyło ją niczym błyskawica. Przez chwilę była zbyt wstrząśnięta, by w pełni pojąć znaczenie jego słów.

– Możesz to zrobić? – Corwin najwyraźniej zapomniał o obawach.

– Nie wiem. – Zakręciło jej się w głowie, gdy pojęła głębię tego pomysłu. Czy naprawdę to może być aż tak proste? Kluczem do odkrycia tajemnicy miałyby być jedynie użycie jej własnej magii? Pokiwała głową, czując, że nadzieja wypełnia ją niczym powietrze płuca. – Ale jestem gotowa spróbować.

– No dobra. – Głos Corwina drżał lekko, jego błękitne oczy płonęły. – Zróbmy to. Może raz na zawsze zdołamy odkryć tę tajemnicę.

– Tak.

Kate powtarzała sobie, że nie powinna mylić jego zapału z akceptacją. Ale może to jakiś początek? A nawet jeśli nie, nawet jeśli później Corwin zwróci się przeciw niej, przynajmniej zyska szansę, aby w końcu poznać prawdę.

Samo to sprawiało, że warto było zaryzykować.

W komnatach królewskich cuchnęło chorobą i owa lepka woń zgnilizny zdawała się tak ciężka, że Kate niemal czuła ją na języku. Król siedział w fotelu przy oknie, patrząc tępym wzrokiem gdzieś w przypadkowe miejsce na zewnątrz. Gasnące światło za szybą zwiastowało nadejście nocy – będzie musiała się pospieszyć, nim opuści ją magia i stracą swą szansę. Już i tak nerwy wibrowały jej pod skórą z obawy, że ktoś może ich tu odkryć.

Albo że Corwin nagle zmieni zdanie i wezwie złotych. Podczas długiej wędrówki do tej komnaty milczeli. Nie dotknął jej ani razu, choćby przypadkiem, gdy maszerowali obok siebie korytarzami.

– Dobry wieczór, ojcie. – Corwin stanął tuż za królem. Gdy Orwin nie odpowiedział, zwrócił się do Kate. – Rób, cokolwiek musisz zrobić. Mamy ledwie kilka minut, nim zjawi się służba z wieczerzą, a ja będę musiał się pojawić na bankiecie.

Kate przytaknęła, zbyt spięta, by cokolwiek powiedzieć. Nie chodziło tylko o wtargnięcie do umysłu króla, ale też o to, że Corwin miał patrzeć. Czuła się, jakby stała tu przed nim naga, po raz pierwszy obnażona, i nie mogła czerpać otuchy z wyznanej wcześniej miłości. Wciąż nie była pewna choćby jego akceptacji.

Spojrzała na króla Orwina i na widok zmęczonej, schorowanej twarzy żołądek ścisnął jej się z litości i odrazy. Nie był to człowiek, którego znała. Kiedyś sądziła, że Corwin, opisując chorobę ojca, przesadza, jak to syn zdjęty rozpaczą. Teraz jednak przekonała się, że ani trochę. Coś tu jest nie tak. Poczowała to, co wyczuła tamtego dnia w umysłach gadźców w Wędrującym Lesie. Dziwne zło. Zebrawszy się na odwagę, położyła dłoń na ramieniu władcy, potem zamknęła oczy i sięgnęła ku niemu magią. Gdy tylko dotknęła jego umysłu, pojęła, że to błąd. Wokół niej zamknęło się zaklęcie, pułapka zastawiona na nią – albo na innych, takich jak ona.

Jak mój ojciec.

Otworzyła oczy i ujrzała na szyi króla lśniący coraz jaśniej magiczny kamień. Klejnot jakby pulsował ostrzegawczo, posyłając sygnał alarmowy

temu, kto stworzył zaklęcie i podarował je królowi.

Próbowała się wyrwać, ale było za późno, magia już ją pochwyciła. A potem wbrew woli zalała ją fala myśli i wspomnień, jakby nagle puściła tama. Było ich za wiele, zbyt silnych. Umysł króla Orwina przypominał stłuczone naczynie. Czuła, jak jej własny wnika w umysł króla, aż w końcu ujrzała świat jego oczami i zaczęła przeżywać wspomnienia. Corwin i komnata zniknęli, czas zwolnił biegu i osunęła się w przeszłość.

* * *

Jest wcześnie, pierwsze łuny świtu wyłaniają się zza horyzontu. Orwin leży w łóżku, wciąż jeszcze czujny, jak przez całą noc. Sen rzadko go nawiedza, zwłaszcza teraz, gdy kładzie się sam, bo jego żona nie żyje od niemal roku.

Słyszy kroki na długo przed tym, nim jego uszu dobiega stukanie do drzwi. To Hale, wie to, nim jeszcze woła, by wszedł. Hale wrócił, by podjąć dyskusję z zeszłej nocy, próbować przekonać go, żeby nie dopuścił do powstania inkwizycji. Ale Orwin nie zamierza słuchać. Inkwizycja to dobra rzecz. Sprawiedliwa. Dzikunów trzeba powstrzymać. Jest tak, jak twierdzi mistrz Storr: korona musi chronić lud przed zagrożeniami ze strony dzikunów. Nawet ich dzieci mogą wyrządzić ogromne szkody. Dzikun, który wywołał tamtego dnia pożar na targowisku, był zaledwie chłopcem, a jednak odpowiadał za tyle zniszczenia, bólu i cierpienia. A wszystkie one dotknęły niewinnych, niezdolnych do obrony przed podobną mocą.

Jak jego biedna Imogen. Nawet teraz słyszy jej przedśmiertne krzyki, żałosny, ciężki oddech. Dręczy go we śnie, rozdziera mu duszę.

Hale wchodzi, kłaniając się przed królem i przyjacielem.

– Proszę, Orwinie, musisz rozważyć wszystko raz jeszcze. To niesprawiedliwe. Zbyt wiele może pójść nie tak. W ten sposób przekażesz Lidze ogromną władzę, a tego właśnie pragnie Storr.

– Nie interesuje mnie Storr ani jego ambicje – odpowiada Orwin. – W tej akurat kwestii zgadzam się z nim całkowicie: obaj jesteśmy zdecydowani raz na zawsze uwolnić nasz kraj od dzikiej magii. Tylko wtedy będziemy mogli żyć w pokoju, pewni, że nasze dzieci i żony są bezpieczne.

– A co z tymi, którzy nigdy nikogo nie skrzywdzili? Którzy także pragną żyć w spokoju. Przecież wśród nich są także niewinni.

Orwin zaciska zęby, nie chce tego słuchać.

– Nadal jednak dysponują mocą, przed którą nie osłoni żadna tarcza, nie zablokuje żaden miecz.

– Przed pistoletem także nie ochronisz się tarczą ani zbroją. A jednak pozwalamy ich używać.

– Taką broń można odebrać. Tamtej nie.

– Owszem, ale nie odbieramy jej, póki ktoś nie wyrządzi nią drugiemu krzywdy. Nie wcześniej.

Orwin odpowiada gniewnym spojrzeniem. Ma dosyć gadania.

Hale odwraca wzrok, bezradnie kręcąc głową, pokonany.

Gdy znów ją unosi, Orwin czuje napięcie narastające w skroni. To coś obcego, nieznanego, siła zewnętrzna, jak moc zaklęcia magistów.

– Wybacz, mój królu – mówi Hale i jego głos zdaje się rozbrzmiewać wewnątrz głowy Orwina. – Nie mogę na to pozwolić. Proszę, wybacz mi. Nigdy nie zmusiłbym cię do zrobienia czegoś wbrew twojej woli, gdybym miał inne wyjście.

– Co ty...

Hale unosi dłoń i dotyka jego czoła. W czaszce króla eksploduje ból. Orwin krzyczy, ma wrażenie, że coś rozdziera go na strzępy.

Hale odskakuje chwiejnie, jego twarz wykrzywia się w grymasie strachu. Patrzy na niego ze zgrozą.

– Co to za magia?

Orwin nie odpowiada, zgięty w pół przyciska ręce do bolącej głowy.

Hale sięga i jego palce zaciskają się wokół lśniącego kamienia wiszącego na szyi Orwina.

– Skąd to masz?

Król nie odpowiada. Nie pamięta ani kamienia, ani do czego służy.

Hale z przekleństwem zrywa mu kamień z szyi, ściska jednak za mocno – kamień pęka, a magia wylewa się z niego szarą, tłustą mgiełką, sunie naprzód, wciskając się do nosa Orwina, do jego ust i uszu. Hale krzyczy, próbując jej przeszkodzić, ale tej bezkształtnej mocy nie da się powstrzymać. Orwin czuje wewnątrz siebie magię zwijającą się niczym żywa istota. Jest w jego głowie, gdzie narasta ciśnienie. Odruchowo drapie sobie twarz z obu stron. Potem jednak umysł eksploduje, świat wokół rozpada się na kawałeczki, zupełnie jakby patrzył w stłuczone lustro.

– Królu mój, królu. – Hale próbuje pomóc. – Co ja zrobiłem? Nie

wiedziałem, ja nie... nie wiedziałem.

Pozbawionego zmysłów, niepanującego nad sobą Orwina ogarnia morderczy szal. Z wrzaskiem rzuca się ku sztyletowi wiszącemu u boku Hale'a, wrywa go z pochwy i zamierza się do ciosu. Hale jednak unosi rękę w porę, by powstrzymać pchnięcie. Walczą ze sobą. Jakaś drobna cząstka umysłu Orwina rozumie, co się dzieje – że nie panuje już nad sobą, że coś go odepchnęło i przejęło władzę. Nie może się jednak powstrzymać, chociaż bardzo chce. Reszcie jego zależy tylko na tym, by zabić stojącego przed nim mężczyznę.

Ale Hale zawsze był silniejszy; odbiera mu sztylet. Orwin nadal szaleje, a furia pulsuje wewnątrz niego. Sztylet przesuwają się, ostrze zwraca w dół. A potem wbija się głęboko w jego udo.

– O bogowie, Orwinie – mówi Hale.

Orwin krzyczy akurat w chwili, gdy drzwi się otwierają i do środka wpada Corwin.

– Ojcie!...

* * *

Nagle, bez ostrzeżenia, wspomnienie zniknęło i Kate wypadła z umysłu Orwina z powrotem do własnego. Głośno chwytając powietrze, pochyliła się, przyciskając ręce do głowy; wewnątrz czaszki wciąż czuła ból, którego doświadczył Orwin. Którego nadal doświadczał.

– Kate? Nic ci nie jest? Co się stało? – Ręce Corwina, ciepłe i mocne, objęły jej ramiona.

– Magia – odparła. – Kamień na jego szyi. To była pułapka. – Spojrzała na Corwina i prawda zajaśniała w jej umyśle, zupełnie jakby chmury rozstały się, ukazując niebo. – Ktoś wiedział, że mój ojciec zamierza spróbować go przekonać, tyle że coś poszło nie tak z magią. Zakazała twojego ojca i... – Urwała, zerkając na kamień magiczny nadal wiszący na piersi króla. Nagle przypomniała sobie alarm, jaki wyczuła, gdy pierwszy raz dotknęła jego umysłu. Odwróciła się do Corwina. – Musimy uciekać...

Drzwi naprzeciwko otwarły się gwałtownie i do środka wpadły trzy osoby: maestra Vikas, księżę Edwin i wielki mistrz Storr.

– Ty! – krzyknęła Kate, wciąż mając przed oczami wspomnienie króla. To Storr zasiał tę myśl w głowie Orwina, pielęgnował ją. Był najpotężniejszym

magistą królestwa. – Ty to zrobiłeś. Ty zabiłeś mojego ojca.

Może nie jego dłoń dzierżyła topór, ale to on zastawił pułapkę.

– Co się tu dzieje? – spytał ostro Edwin, patrząc na przemian na Kate, na mistrza Storra i Orwina.

– Dzikunka! – zawołała maestra Vikas. – Tak jak mówiłam!

Uniosła maczugę, sięgając ku Kate, a na jej czubku zapłonął kamień magiczny. Zaklęcie wystrzeliło z niego, przemknęło w powietrzu i uderzyło Kate z taką siłą, że uniosło ją w powietrze i cisnęło do tyłu. Uderzyła głową o posadzkę, przed jej oczami rozbłysły oślepiające gwiazdy. A potem zapadła ciemność, wszechobecna i nieprzenikniona.

CZĘŚĆ TRZECIA

POWSTANIE

CORWIN

– Kate! – krzyknął Corwin. Podbiegając do leżącej dziewczyny, obejrzał się gniewnie na maestrę Vikas. – Co ty zrobiłaś?

– Proszę od niej odejść, Wasza Wysokość – odparła chłodno Vikas. – To dzikunka, jestem tego pewna.

Corwin wiedział o tym, ale przecież ta kobieta była przełożoną złotego zakonu. Nie mógł tak po prostu oddać jej Kate.

– O czym ty mówisz? To jakiś obłąd.

– Czyżby? – Vikas podeszła i sięgnęła ku Kate. Corwin próbował ją odepchnąć, maestra jednak poruszała się szybko niczym atakujący wąż. Pociągnęła za rzemyk, który Kate nosiła na szyi, odsłaniając ukryty pod koszulą lśniący diament. Potem wstała i uniosła naszyjnik z kamieniem magicznym. – W takim razie jak to wytłumaczysz?

– To kamień magiczny. – Corwin skrzywił się. – Stworzony mocą magistów, nie dzikunów.

Nie zważając na niego, Vikas odwróciła się do Storra.

– Przed tym właśnie ostrzegałam, wielki mistrzu. To zaklęcie stworzone po to, by ukryć dzikuńską magię.

Storr wpatrywał się w kamień, marszcząc brwi. Corwin przypomniał sobie wykrzyczane przez Kate oskarżenia, że to wielki mistrz zabił jej ojca. *Ktoś zastawił pułapkę*, powiedziała wcześniej. Ktoś wiedział, że Hale spróbuje użyć mocy zwodzenia i odmienić zdanie króla Orwina na temat inkwizycji – a Storr od początku stał za jej powstaniem. *Ale czy posunąłby się aż do manipulowania moim ojcem?*

Tak. Po stokroć tak.

A jednak Corwin nie mógł zrozumieć. Co zyskiwał wielki mistrz dzięki powstaniu inkwizycji? Musiało być coś takiego.

Corwin nie widział nigdy, by Storr robił cokolwiek, co nie miało motywacji politycznych.

– Nigdy nie oglądałem podobnego zaklęcia – oznajmił wielki mistrz, odbierając kamień od Vikas i badając go z bliska. Sprawiał wrażenie szczerze

zaskoczonego, wręcz poirytowanego. Zerknął na Corwina, po czym z poważną miną odwrócił się do Edwina. – Ukrywanie dzikuna to zdrada, Wasza Wysokość.

Corwin odetchnął głośno. Zdrada. Co za absurdalny, idiotyczny pomysł – a przecież według prawa tak było w istocie. Zdezorientowany Edwin wpatrywał się w wielkiego mistrza, potem zerknął na Kate, wreszcie na Corwina.

– Wiedziałeś o tym bracie? Wiedziałeś, czym ona jest?

Po plecach Corwina przebiegł lodowaty dreszcz, gdy usłyszał niedowierzanie w głosie Edwina. Widział, że brat czuje się zdradzony.

– Kate nie jest zbrodniarką, Edwinie. Nieważne, co mówią.

Głos Edwina ociekał gniewem.

– Nie pytałem, czy jest zbrodniarką, tylko czy jest dzikunką? I czy o tym wiedziałeś?

– Nie jest dzikunką – oznajmił Corwin, zdecydowany kłamać, byle tylko ochronić Kate przed nienawiścią, którą wyczuwał w bracie, tą, która towarzyszyła mu od dnia śmierci ich matki. – Jest niewinna.

– Kłamiesz, Corwinie. Zapominasz, że dobrze cię znam. Nie zdołasz mnie okłamać. – Edwin obejrzał się na mistrza Storra. – I co teraz?

– Jak mówiłem, świadome zapewnienie schronienia dzikunowi to zdrada.

Corwin zacisnął dłonie w pięści.

– Nie mówicie serio. Jestem arcyksięciem, a tu nic się nie wydarzyło. – Gestem wskazał ojca, który był milczący i nieruchomy jak zawsze.

Vikas pokręciła głową, a jej szare oczy zabłyśły lodowato.

– Twoja pozycja nie ma znaczenia, Wasza Wysokość. Nie tutaj. Nie w tej kwestii. – Postąpiła krok ku niemu. – Jesteś aresztowany, książę Corwinie, za świadome ukrywanie dzikunki i pozwalanie, by użyła swej magii przeciw arcykrólowi.

Corwin nie ustąpił, wbijając wzrok w maczugę mastry.

– Nie mówisz poważnie. Jesteśmy w trakcie prób ururu. – Machnął ręką na Edwina. – Pomóż mi. Jestem twoim bratem. Nie możesz im pozwolić tego zrobić.

Przez sekundę na twarzy Edwina odbił się cień wątpliwości, lecz niemal natychmiast zniknął. Książę splótł ręce na piersi i pokiwał głową.

– Jak mówiłeś, Corwinie, nie jestem arcykrólem. Jeszcze nie.

Corwin wzdrygnął się, słysząc, jak brat powtarza mu jego własne słowa.

Przez moment rozważał, czy nie spróbować przebić się w walce, ale nie miał przy sobie broni, a widział już, jak sprawnie Vikas posługuje się swoją. Nie mógł z tym walczyć. Nie tutaj. Jeszcze nie. *Oskarzenie się nie utrzyma*, rzekł do siebie. Nie, kiedy do gry wkroczy rada i najwyższa kapłanka. Próba ururu musi dobiec końca – ludzkie prawa nie mogły stawać na drodze prawom bogów.

Uniósł ręce w geście poddania i odsunął się od Kate. Parę minut później dwóch strażników odprowadziło go do jego komnat, a towarzyszył im jeden ze złotych, wezwany przez Vikas.

– Co się stanie z Kate? – spytał Corwin magistę w złotej szacie.

– To, co ze wszystkimi schwytanymi dzikunami – odrzekł tamten. Choć pełna maska ukrywała jego twarz, głos aż ociekał satysfakcją. Corwin miał wrażenie, że po plecach spływają mu drobinki lodu. Złoci zabiorą ją do swego domu poza granicami miasta, by odprawić rytuał Oczyszczenia, tak jak z każdym innym dzikunem. Nie wiedział, co się z tym wiąże, ale słowo to przywoływało w jego umyśle upiorne wizje. Potem złoci zabiją ją i w ostatnim akcie potępienia pogrzebią ciało w nieoznakowanym grobie.

Czując panikę wzbierającą w piersi, zerknął na pistolet wiszący u pasa idącego przodem strażnika. Nie był to rewolwer, ale jeden strzał mógł wystarczyć, by uciec. Ponownie jednak przypomniał sobie moc, jaką zademonstrowała maestra Vikas. Złoty trzymał w dłoni maczugę, gotów jej użyć na pierwszą oznakę oporu.

Corwin odetchnął głęboko, zwalczając przemożne pragnienie walki. Przyjdzie jeszcze czas na ucieczkę. Po prostu musi poczekać.

* * *

I czekał. Całe dwa dni.

Cisza i izolacja doprowadzały go do szału. Godzinami nie rozmawiał z nikim, jedynie krążył po swych komnatach, na próżno szukając drogi ucieczki. Jego kwatery miała jedne drzwi, zamknięte teraz od zewnątrz i strzeżone przez gwardzistów. Z kilku wielkich okien roztaczał się przyjemny widok, ale zeskok na ziemię byłby niebezpieczny nawet dla najsilniejszego mężczyzny. Nie miał też z czego zrobić liny – złoty przecesał jego komnaty, usuwając każdą możliwą broń i narzędzie. Corwinowi co prawda nie brakowało żadnych wygod – ubrań, miękkiego

łoża, gorącej bieżącej wody – nadal jednak przebywał w więzieniu.

Gorzej, bo oprócz służby dostarczającej posiłki nikomu nie pozwalano się z nim zobaczyć. Dal próbował co najmniej dwukrotnie, spierając się głośno ze strażnikami i ze złotymi, ale na próżno.

A co najgorsze, Corwin martwił się o Kate. Gdzie była? Ile zostało jej czasu, nim rozpoczną Oczyszczenie? Nie wiedział. Dotąd świadomie nie interesował się inkwizycją i ich metodami, nie dopytywał się o nic i nie zastanawiał głębiej nad tą kwestią. Teraz, z perspektywy czasu, zrozumiał, że zawsze czuł, że więzienie ludzi, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa, jest czymś złym. Mimo tego, co mogą zrobić. Mogą albo i nie. Ilu niewinnych straciło już życie?

Kate mogła być następna. *O bogowie, wydostańcie mnie stąd!* Lecz bogowie najwyraźniej nie przejmowali się jego kłopotami.

Wreszcie, w desperacji, by zrobić cokolwiek prócz czekania, Corwin podszedł do biurka i usiadł. Na blacie leżała mapa ataków dziennych gadźców. Przyjrzał się jej i nagle przypomniał sobie Ralpha Marcela. Schwyciła go inkwizycja, tak samo jak Kate, a on jednak w jakiś sposób uciekł. A tamta kobieta z Tyvaldu, rozmawiająca z Dalem, upierała się, że widziała na wolności innego aresztowanego dzikuna. Czy naprawdę mogło być ich dwóch? Corwin oglądał z zewnątrz dostatecznie wiele domów złotego zakonu, by wiedzieć, że ucieczka nie mogła być łatwa. Złoci przypominali doskonale wyszkolonych żołnierzy, niezwykle sprawnie zajmujących się dzikunami. A po założeniu obroży więźniowie nie mogli już posługiwać się magią, sam to widział podczas aresztowania chłopca w Andreas. Nawet jego matce nie udało się zranić innych magistów, gdy ich zaatakowała. Kate nie miała szans na ucieczkę.

W takim razie jak innym się to udało? Otworzył szufladę biurka, w której schował list od złotych w Andreas. Sam nie wiedział, czemu go zachował, bo przecież na nic mu się nie przydał. Teraz jednak przeczytał go raz jeszcze, dokładnie analizując każde słowo. Nie dowiedział się niczego nowego poza tym, że gdy przyjrzał się oficjalnej pieczęci złotych, odkrył, że ozdabia ją zarys profilu wielkiego mistrza.

Co za arogancja. Bez wątplenia to Storr wspierał inkwizycję. Czy jego ambicje nie mają granic? Czyżby miał się za króla?

Tak, Corwin odpowiedział na własne pytanie. I nagle pojął straszliwą prawdę – Ralph Marcel i pozostali wcale nie uciekli złotym. To złoci pod

wodzą wielkiego mistrza wykorzystywali ich moce dla własnego zysku. Kontrola nad dziennymi gadźcami...

Z początku myśl ta wydawała się absurdalna, potem jednak Corwin dostrzegł w niej złowrogi geniusz. Wszystko, co wydarzyło się od chwili pojawienia się dziennych gadźców i ataku na dwór Gregorów, jedynie wzmacniało Ligę, dawało Storrowi coraz mocniejszą pozycję na spotkaniach najwyższej rady i z całą pewnością zasiliło kufry Ligi. Raz jeszcze przyjrzał się mapie ataków. Udział Ligi wyjaśniałby to, jak daleko sięgała zaraza.

Corwin zmiął w palcach list, wyładowując na nim frustrację. Wiedział, że trzeba coś zrobić, ale chwilowo tkwił tutaj.

Jako więzień. A wszystko za sprawą Storra.

Zgrzyt klucza wyrwał go z gniewnego zamyślenia. Odwrócił się akurat w chwili, gdy drzwi otwierały się i do środka wszedł Edwin.

– Edwinie, dzięki bogom, że tu jesteś. – Wstał zza biurka, na moment zapominając o tym, jak wściekły jest na brata. Za bardzo łaknął odpowiedzi. – Sądzę... – urwał, widząc lodowaty wyraz twarzy Edwina. Dopiero wtedy przypomniał sobie, jak bardzo brat zbliżył się do wielkiego mistrza. Byli powiernikami. Więcej, przyjaciółmi.

Nie uwierzy mi bez dowodów. Zwłaszcza teraz, gdy ma mnie za zdrajcę. W Corwinie znów wezbrała wściekłość.

A przecież powinien wierzyć przede wszystkim mnie. Jesteśmy braćmi.

Raczej nie byli, dzięki urowi. Dal był mu bardziej bratem niż Edwin.

Księżę bez słowa podszedł do stołu, na którym stały resztki niemal nietkniętego posiłku. Nalał sobie wina do kubka i pociągnął głęboki łyk, po czym odwrócił się do brata.

– Pamiętasz, jak to brzmiało? Za każdym razem, gdy zaczerpnęła tchu?

Ogień gniewu trawiący Corwina natychmiast zamienił się w lód. Wiedział dokładnie, o kim mówi brat. Oczywiście, że pamiętał. Nigdy nie zapomni tego dźwięku, pełnego wysiłku, świszczącego półjęku, towarzyszącego każdemu napełnieniu płuc. Po stratowaniu matka żyła jeszcze kilka dni, walczyła o każdą chwilę, każdy oddech.

– Pamiętam.

Edwin gwałtownie odstawił kubek, rozlewając wino.

– Czy aby na pewno? Trudno mi uwierzyć, skoro tak łatwo hańbisz jej pamięć.

Corwin wyjrzał za okno zdjęty nagłymi wyrzutami sumienia. Brat zawsze

świetnie potrafił wzbudzić w nim poczucie winy, chociaż przecież nic złego nie zrobił. Wyobraził sobie twarz matki. Ludzie nazywali ją królową Imogen Łagodną. Obwinił się za jej śmierć, ale gdzieś w głębi ducha wiedział, że wybaczyłaby mu to, co się stało. Pozwalać, aby Edwin wykorzystywał ją jako broń przeciw niemu – oto prawdziwe bezczeszczenie jej pamięci.

Odwrócił się do brata.

– Moje kontakty z Kate nie mają nic wspólnego z tym, co spotkało matkę.

– To dzikunka – warknął Edwin – a ty wiedziałeś o tym.

Corwin z najwyższym wysiłkiem zachował spokój.

– A nawet jeśli tak, co z tego? Kate nic złego nie zrobiła.

– Może jeszcze nie, ale co się stanie, kiedy zrobi? Jaką wymówkę przedstawiś niewinnym ludziom skrzywdzonym jej mocą?

– Kate nigdy by...

Edwin uciszył go uniesieniem dłoni.

– Nadal jest niebezpieczna. Jak wszyscy dzikuni. Od dwustu lat ich moc pozostaje wyjęta spod prawa, nie możemy czynić żadnych wyjątków.

Dwieście lat to bardzo długo, pomyślał Corwin. Nagle zobaczył Kate, taką, jak wyglądała, gdy w końcu wyznała mu prawdę o swej magii, jej obawy, nadzieje. *To po prostu część mnie*, powiedziała. Urodziła się z tą zdolnością. Skazana od chwili narodzin. A wszystko z powodu prawa.

– Kate nikomu nie zagraża, nieważne, czy jest dzikunką, czy nie – powtórzył z uporem. – Nie zasługuje na potępienie za coś, czego nie zrobiła.

Twarz Edwina wykrzywił pełen pogardy grymas.

– A czy taki sam wyjątek uczynisz dla wszystkich dzikunów?

Corwin nie odpowiedział. Sam nie wiedział. Przypomniał mu się sevański żołnierz, którego wypuścił. Jeśli Dal miał rację, chłopak po prostu uciekł, radując się wolnością. Corwin nie miał pewności, co naprawdę wtedy zaszło, ale nie mógł też przeczyć, że wersja, w którą sam wierzył, była równie prawdopodobna. To samo dotyczyło innych dzikunów. Istotnie, stanowili niebezpieczeństwo, mogli kogoś skrzywdzić. Pokręcił głową, nie znał prawdziwej odpowiedzi na tak złożony problem. W ostatecznym rozrachunku wiedział na pewno, że kocha Kate, nieważne, kim jest.

I że Storra trzeba koniecznie powstrzymać. Liga zyskała zbyt wielką władzę, tak jak mówiła Kate tego dnia w Nefrytowym Lesie.

– Dzikuni, których skazujemy – rzekł głośno – urodzili się jako obywatele Rime, tak samo jak ty i ja. Edwin zaklął.

– Mam nadzieję, że przegrasz w próbach uroru, Corwinie. Nie zasługujesz na zwycięstwo. Nie, jeżeli w to wierzysz. – W jego słowach płonąła nienawiść czarna jak węgiel, gorąca jak ogień. Corwin odruchowo cofnął się o krok, zaskoczony jej głębią.

– Jak możesz nienawidzić... do tego stopnia?

– A ty jak możesz nie nienawidzić?

Przez głowę Corwina przemknęła cała seria możliwych argumentów i odpowiedzi, natychmiast jednak pojął, że z tak głęboką wiarą nie da się dyskutować. Tę bitwę można wygrać jedynie od środka. Sam się o tym przekonał w owych miesiącach po śmierci matki, gdy i jego trawiła paląca nienawiść. W końcu jednak pojął, że musi się od niej uwolnić, bo inaczej pochłonie go całkowicie. Na myśl o cierpieniach brata żyjącego tak długo z nieznośnym uczuciem wypalającym go od wewnątrz, poczuł nagłe współczucie.

Westchnął, poddając się.

– Po co tu przyszedłeś, Edwinie?

Edwin znów zaklął przez zaciśnięte zęby.

– Twoja sprawa została odroczone. Najwyraźniej mimo twych działań bogini nakazuje ci dokończyć próby. – Urwał i na jego wargach na moment zatańczył zimny uśmiech. – Tak chyba będzie najlepiej. Kiedy przegrasz, całe królestwo dowie się, który z nas zasłużył na to, by zostać królem. I nikt nie będzie miał już wątpliwości.

Corwin nie odpowiedział, nie zamierzał łykać przynęty.

– Możesz podjąć swe zwykłe obowiązki – ciągnął Edwin uprzejmym tonem, który zwykle zachowywał do wystąpień publicznych czy spotkań najwyższej rady. – Ale wyznaczono ci strażnika, jednego ze złotych. Czeka za progiem. Ma wszędzie ci towarzyszyć i pilnować, żebyś nie spiskował z innymi dzikunami.

Corwin zacisnął pięści. Oburzyła go ta perspektywa. Nie był przecież dzieckiem, nie potrzebował niańki.

– Z nikim nie konspirowałem.

– Za późno na kłamstwa, Corwinie. Poza tym chyba powinienem ci podziękować za wyrządzone szkody. Dworzanie już przeklinają twoje imię.

– Co? Dlaczego?

I znów ten zimny uśmiech.

– Ponieważ po odkryciu, że arcyksiążę pomagał dzikunce, złoci rozpoczęli

drobiazgowe poszukiwania innych winnych na zamku.

– To śmieszne.

Edwin wywrócił oczami.

– Przeciwnie, maestra Vikas odkryła, że Bonner to również dzikun. Nosił taki sam magiczny diament, jaki znaleźliśmy przy Kate. Miał maskować fakt, że to ziemista.

Corwin patrzył na niego z niedowierzaniem, czując pulsowanie krwi w skroniach. Nie, niemożliwe. Edwin był wyraźnie zadowolony z siebie.

– Najwyraźniej moc pozwala mu manipulować metalami. Tak właśnie zdołał wyprodukować rewolwery.

Prawda uderzyła Corwina niczym cios pięścią w brzuch. To miało sens. Wyjaśniało, czemu na początku działały tylko rewolwery, które wykuł osobiście.

– Nie miałem pojęcia, że Bonner to dzikun.

– I pewnie nie wiedziałeś też, że Kate należała do Powstania? – Edwin wyszczerzył zęby we wzgardliwym uśmiechu. – Zgadza się, przez cały czas mieli kwaterę główną tu, w Norgardzie, i to w piwnicy burdelu. Złoci dokonali wczoraj nalotu. Aresztowali ponad dwudziestu, zabili jeszcze kilku.

Corwinowi zakręciło się w głowie od tych wieści, poczuł gwałtowne ukłucie na myśl o takiej zdradzie. Nic dziwnego, że Kate zobowiązano do zachowania w sekrecie tego, co tam odkryła. Nie musiał pytać o nazwę przybytku uciech, wiedział, że to „Święty Miecz”. A jednak to Raith rzucił zaklęcie, co oznaczało, że on także musiał być częścią Powstania.

– Choć, o ironio, to tobie możemy podziękować za to odkrycie – ciągnął Edwin. – Gdybyś nie poprosił dowódcy gwardii, by zapisywał wyjścia i powroty Kate, złoci nigdy by ich nie znaleźli.

Co ja zrobiłem? Corwinowi żołądek ścisnął się mocno.

– Zaplanowałeś to? – Edwin zmrużył oczy, przeszywając go spojrzeniem ostrym jak nóż. – Czy wraz ze swoimi dzikuńskimi przyjaciółmi stworzyliście zagrożenie ze strony dziennych gadźców tylko po to, by mieć okazję rozwiązania go magicznymi rewolwerami? Czy wszystko to był podstęp, żeby wygrać uror?

Corwin miał ochotę zaśmiać się w głos w obliczu tak wielkiej niepewności brata, tyle że oskarżenia te nie miały w sobie niczego zabawnego. Mimo samej absurdalności pomysłu, że mógłby zrobić coś podobnego, wizja dziedzica próbującego wygrać uror dzięki zaskarbieniu sobie podziwu ludu

wydawała się całkiem prawdopodobna. W kilku tekstach twierdzono, że właśnie ta siła – wola ludu – liczy się najbardziej podczas ustalania zwycięzcy. W żaden sposób jednak nie zdołaby przekonać Edwina, że jest niewinny. Nie teraz, jeszcze nie. Sam potrzebował odpowiedzi, a choć wciąż czuł ból na myśl o tym, że Kate brała udział w Powstaniu, nie zamierzał mu się poddawać, póki nie pozna kierujących nią powodów. Ufał Kate. Kochał ją. Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie.

Odchrząknął więc tylko głośno.

– Dostarczyłeś wiadomość, nie mamy nic więcej do omówienia. – I wskazał ręką drzwi, nie opuszczając jej, póki Edwin nie wyszedł.

Kiedy został sam, przez chwilę zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Musiał znaleźć mistrza Raitha. To magista, co oznacza, że może pozostawać lojalny wobec Storra, ale bez wątpienia miał też powiązania z Powstaniem. Tak czy inaczej, znał część odpowiedzi, które Corwin pragnął poznać.

CORWIN

Ku uldze Corwina złoty strażnik, którego mu przydzielono, okazał się ledwie uczniem. Gdyby przyszło do najgorszego, miałby szansę go obezwładnić, najpierw jednak musiał się dowiedzieć, co spotkało Kate. W tym celu będzie potrzebował pomocy kogoś, komu może zaufać, może jedynej w tej chwili takiej osoby.

Powątpiewając, czy o tej porze dnia zostanie Dala w kwaterze, Corwin zdecydował się jednak najpierw sprawdzić. Ku jego zdumieniu Dal był – wraz z mistrzem Raithem. Magista miał na sobie błękitną szatę, ale nie miał maski.

– Corwinie – powitał go Dal, otwierając drzwi. – Dzięki bogom, że w końcu odzyskałeś wolność.

– Nie do końca. – Corwin przekroczył próg, a złoty ruszył w jego ślady.

– Nie ma mowy. – Dal powstrzymał go uniesieniem dłoni. – To moje komnaty i nie jesteś tu mile widziany. Złoty spojrzał na niego gniewnie spod maski zasłaniającej jedynie pół twarzy.

– Mam rozkaz ani na moment nie opuszczać boku Jego Wysokości.

– To mnie nie obchodzi. Nawet gdybyś był wcieleniem samej bogini, tutaj nie wejdiesz.

– Lordzie Dallinie – wtrącił łagodnie Raith, podchodząc do drzwi. – W porządku. Wpuść go.

Dal z wściekłością zazgrzytał zębami, odstąpił jednak, pozwalając złotemu wejść. Corwin podszedł do okna, starając się jak najbardziej oddalić od strażnika.

Dal zatrzasnął drzwi i obrócił się do mistrza Raitha.

– Nie wiem, jak mamy...

W tym momencie jednak magista wymówił zaklęcie i z jego maczugi wystrzelił promień światła. Czar pomknął naprzód, uderzając złotego w pierś. Z jękiem zdumienia mężczyzna runął na ziemię.

– A zresztą nieważne. – Dal wyszczerzył zęby w uśmiechu i otrzepał dłonie. – No to jeden problem z głowy.

– Co mu zrobiłeś? – Corwin zanadto obawiał się Raitha, by poczuć ulgę. Magista był zarówno niebezpieczny, jak i nieprzewidywalny.

– Po prostu zasnął. – Raith pochylił się nad złotym, chwycił go za ramię i uniósł, sadzając sztywno. – Za kilka godzin się ocknie. – Odwrócił się, patrząc na Corwina. – Mamy ci wiele do powiedzenia, książę, a bardzo mało czasu.

– Gdzie jest Kate? – Corwin podparł się pod boki.

– Z tego, co wiemy, wciąż żyje. To część tego, co musimy przedyskutować, jeśli zechcesz mnie wysłuchać.

Corwin zacisnął usta.

Raith sięgnął pod szatę i wyciągnął magiczny szafir.

– Nim cokolwiek powiem, muszę zaprzysiąc cię do zachowania tajemnicy.

Corwin cofnął się o krok, unosząc zaciśnięte pięści.

– Czyli to prawda. Jesteś częścią Powstania. – Wbił wzrok w Raitha, potem Dala. – Ty też bierzesz w tym udział?

Dal spojrział na niego spokojnie.

– Nadrabiam wszystko, tak samo jak ty. Po prostu wyprzedzam cię o parę kroków.

Corwin zaczął coś mówić, ale Raith go uciszył.

– Masz wiele pytań i wątpliwości, a ja mogę udzielić ci odpowiedzi, ale tylko wtedy, jeśli zgodzisz się to zrobić. – Uniósł szafir. – Stawką jest życie nie tylko Kate, Wasza Wysokość. Muszę ochronić tyle osób, ile zdołam.

Corwin znów zerknął na Dala. Przyjaciel stał oparty o sofę w znudzonej pozycji, Corwin jednak dostrzegał napięcie w tym, jak marszczył brwi i jak powoli stukał stopą o posadzkę.

– Ty też złożyłeś przysięgę?

Dal przytaknął.

– Bez wahania, zwłaszcza po przesłuchaniu, jakiemu poddali mnie złoci. Łakną krwi. Nie chodzi tylko o Kate i Bonnera. Myślę, że aresztowali też Signe. Zniknęła.

– Zniknęła?

– Wasza Wysokość! – W głosie Raitha dzwięczała nuta zniecierpliwienia. – Odpowiedzi kryją się tutaj. – Ponownie uniósł szafir.

Corwin przyjrzał się uważnie magiście, świadom, jak ważną musi podjąć decyzję. Pogodzenie się z tym, że Kate jest dzikunką to jedno, ale poparcie Powstania? To zupełnie inna sprawa. Ci dzikuni mieli na swym sumieniu

śmierć i zniszczenie, choćby to, co spotkało rodzinę Gregorów zmasakrowanych we własnym domu. *Ale Kate mu ufa*, nalegał głos w umyśle.

– Dobrze, zgadzam się dotrzymać tajemnicy, ale to nie znaczy, że popieram działania Powstania.

– Tak, to rozumiałe. – Raith postąpił krok bliżej. – Prosimy tylko o szansę, by móc się wytłumaczyć. Corwin wyciągnął rękę i milczał, czekając, aż Raith wywoła zaklęcie.

– Teraz, gdy mamy to z głowy – rzekł magista, chowając do kieszeni zniszczony klejnot – najłatwiej będzie, jeśli zacznę od początku.

Bez zbędnych wstępów rozpoczął swą opowieść, a Corwin słuchał zafascynowany i pełen niedowierzania, gdy Raith mówił o swojej roli w Powstaniu i o przyrodnim bracie Kate, z powodu którego Hale próbował tamtej nocy powstrzymać Orwina przed powołaniem inkwizycji. Opisał dorastanie Kirana w piwnicy „Świętego Miecza”. Corwin natychmiast zrozumiał, co kierowało Kate. Ma brata. Zrobiłaby wszystko, byle go chronić.

W końcu Raith oznajmił, że ktoś inny stara się obarczyć odpowiedzialnością Powstanie o ataki dziennych gadźców.

– Ale to nie my, Wasza Wysokość. Bardzo łatwo jest narysować nasz symbol słonecznego lwa. Corwin przypomniał sobie różnice w wyglądzie rysunków. Czy to był właśnie powód?

– Przysięgam, że to prawda, przysięgam na własne życie. – Raith położył dłoń na sercu. – Osobiście znałem Marcusa Gregora. Był dzikunem i należał do Powstania, cała jego rodzina władała magią. To dlatego wycofał swoje poparcie dla twojego ojca, gdy król Orwin utworzył inkwizycję. Nigdy nie zaatakowalibyśmy jednego z naszych.

Te słowa oszołomiły Corwina, ale miały sens. Powoli pokiwał głową, przypominając sobie własne podejrzania wobec Storra i inkwizycji.

– Wierzę ci. Przynajmniej w tej kwestii. – Mimo zapewnień Raitha, że Powstanie stara się powstrzymać zbuntowanych dzikunów przed czynieniem krzywdy innym, wciąż pozostawali winni przemocy. Ale chwilowo miał ważniejsze sprawy na głowie. – Kate twierdziła, że to Storr odpowiada za to, co spotkało Hale’a, że zastawił magiczną pułapkę w umyśle mojego ojca, by go złapać. Zastanawiam się, jednak czy Storr nie odpowiada za jeszcze więcej.

Szybko opowiedział im o wnioskach, do których wcześniej doszedł. Raith słuchał w milczeniu, póki Corwin nie skończył.

– Nie chcę wierzyć – rzekł z udręczoną miną – że w Lidze istnieje podobne zepsucie, ale nie mogę przeczyć, że to możliwe. W Penlocke nie zdołałem ustalić tożsamości człowieka kierującego gadźcami w Thornewall, ale wiedziałem już wcześniej, że aresztowała go inkwizycja. Kate usłyszała to w jego myślach, nim umarł.

Na te słowa po plecach Corwina przeszedł niespokojny dreszcz. Co za moc, czytać w ludzkich myślach. Otrząsnął się szybko.

– Czyli mamy już trzech dzikunów wcześniej ujętych przez Ligę, jeśli uwzględnić to, co kobieta z Tyvaldu opowiedziała Dalowi. To zbyt wielu jak na zwykły przypadek.

– Masz rację – przytaknął Raith. – Choć nie wierzę, by wszystkie zakony brały w tym udział. Na pewno nie błękitni. Ale złoci z pewnością. Storr, powołując inkwizycję, sam stworzył ten zakon, z pewnością więc wybrał najwierniejszych sobie magistów. A Kate i Bonnera nie ma w domu zakonnym. Wczoraj udało mi się zerknąć do ich księgi, trzymają tam kilku dzikunów ujętych podczas najazdu na „Święty Miecz”, ale nie wszystkich.

– A co z Kiranem? – spytał Corwin. Żołądek ścisnął mu się boleśnie, gdy uświadomił sobie, że jeśli coś spotkało chłopca, on za to odpowiada. Nie powinien był szpiegować Kate.

– Ani Kirana, ani jego matki też tam nie ma. – Raith z roztargnieniem pokiwał głową do własnych myśli. – Wygląda na to, że złoci wybierają, których dzikunów zabrać, pozostawiając kilku na ceremonię Oczyszczenia, by nie wzbudzić podejrzeń innych zakonów.

Corwin skrzywił się, dostrzegając geniusz takiego planu. Nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko sięgały podziały zakonne wewnątrz Ligi – chociaż powinien, nosili przecież inne szaty, mieli odrębne domy. Byli jak dzieci, bracia zachłyśnięci własną niezależnością.

I wtedy dotarła do niego straszliwa prawda i poczuł, że blednie.

– Skoro Kate nie trzymają w domu zakonnym złotych, to gdzie?

– Nie wiem. Jej i pozostałych z pewnością jednak nie ma w mieście. Moi ludzie ich szukają. Mamy tylko nadzieję, że zdołamy znaleźć dowody tego, co robią złoci. Nie ma sensu zwracać się do Storra, jest za dobrze chroniony. Może zdołamy wymusić przyznanie od maestry Vikas, ostatecznie to Storr ją mianował.

Corwin powoli pokiwał głową, w gardle wzbierały mu mdłości.

– Jedna rzecz nie ma tu cienia sensu. – Dal wstał z miejsca. – Po co złoci mieliby porwać Signe? Nie jest dzikunką.

– Nie – odparł Corwin. – Ale zna tajemnicę produkcji czarnego prochu. W połączeniu z rewolwerami Bonnera jest to klucz do wielkiej potęgi. – *Możliwe, że po prostu ją zabili*, pomyślał, zerkając na Dala, ale zachował to dla siebie.

Zgadywał, że przyjaciel rozważył już tę ewentualność; równie dobrze jak on sam wiedział, że rewolwery zagrażają władzy Ligi. Storr aż nadto jasno dał wyraz tym uczuciom w liście do „Gazety Królewskiej”.

Postanowiwszy w końcu w pełni uwierzyć w słowa Raitha, Corwin skupił wzrok na magiście.

– Jesteś pewien, że szukaliście wszędzie? A gdybyśmy zatrudnili więcej osób?

– To niczego nie zmieni. Przeczesał już każdy cal miasta, także z pomocą zaklęć szukających i innej magii. Nie ma ich tutaj.

– A poza miastem? W Nefrytowym Lesie... albo Wędrującym Lesie? Wędrujący Las! – Klasnął w dłonie, przypominając sobie słowa Kate. – Kate mówiła, że wyczuła w nim coś złego tamtego dnia, gdy wróciliśmy poszukać dziennych gadźców. Powiedziała, że czuła się odcięta od swej magii. Trochę przypominało to działanie obroży, które Liga zakłada ujętym dzikunom.

Raith zmarszczył czoło.

– Mnie nigdy o tym nie wspomniała... Ale jeśli złoci próbują ukryć i więzić dzikunów, to całkiem niezłe miejsce.

– A zatem postanowione. – Dal otworzył szafę przy drzwiach i zademonstrował solidny arsenał. Wyciągnął miecz, rewolwer, tarczę i pas i wręczył je Corwinowi. – Będą ci potrzebne.

Corwin uśmiechnął się szeroko. Ucieszyło go, że Dal okazał się wystarczająco przewidujący, by zabrać broń ze zbrojowni.

– Jeśli w lesie działa zaklęcie osłonowe – podjął Raith – będziemy potrzebowali czegoś więcej niż zwykła broń. – Odwrócił się do Dala. – Potrzebne mi trzy szlachetne kamienie, rubiny albo szmaragdy, coś podobnej wartości.

Dal bez słowa sięgnął do szafy i wyciągnął sztylet o złotej rękojeści wysadzanej rubinami. Corwin wiedział, że to pamiątka rodzinna, jedyna, którą miał przyjaciel i zapewne jedyna, jaką kiedykolwiek dostanie.

Oddał Raithowi sztylet.

– Rób, co musisz.

Magista wziął sztylet i czubkiem noża wydłubał trzy rubiny. Przytrzymał je w dłoni i wymówił słowa przywołania. Na lśniących, czerwonych fasetkach pojawiły się linie nieznanego zaklęcia.

– Proszę, miejcie je przy sobie, kiedy wkroczycie do lasu. – Podał po jednym kamieniu Corwinowi i Dalowi, trzeci zachowując dla siebie. – Zaklęcie pozwoli wam przeniknąć magiczne maskowanie.

– Nie idziesz z nami? – Dal uniósł brew.

– Jeśli w Wędrującym Lesie faktycznie coś się kryje, będziemy potrzebowali pomocy – odparł magista. – Spotkam się tam z wami możliwie jak najszybciej. – Wycelował palcem, wskazując kolejno Corwina i Dala. – Ale jeśli coś znajdziecie, pozostańcie w ukryciu do czasu mojego przybycia.

– Zaczekamy, jak długo będziemy mogli – obiecał Corwin – ale się pośpiesz.

Nie zamierzał przyrzekać, że powstrzyma się od działania. Jeśli pojawi się szansa znalezienia Kate, wątpił, by jakiegokolwiek niebezpieczeństwo okazało się na tyle wielkie, aby go zniechęcić.

KATE

Po przebudzeniu Kate powitały ciemność i dziwny ucisk na szyi. Zdezorientowana i oszołomiona uniosła dłonie i jęknęła, gdy palce musnęły zimny, twardy metal. Magiczną obrozę. W tym momencie umysł załamy jej wspomnienia niedawnych wydarzeń, odwiedzin u króla Orwina i ataku mastry Vikas. A teraz znalazła się w więzieniu inkwizycji.

Spróbowała usiąść i natychmiast rąbnęła głową o coś twardego w górze. Pomacała i poczuła drewniane wieko. Tkwiła wewnątrz jakiegoś pudła, skrzyni – i to skrzyni pozostającej w ruchu – czuła znajome, chaotyczne podskoki wozu.

Zaczęła tłuc pięścią w deski.

– Wypuście mnie stąd!

– Bądź cicho! – odkrzyknął czyjś głos, po którym nastąpiło potężne uderzenie w wieko skrzyni. Nie mogąc niczego zrobić, nawet zgiąć kolan bądź przekręcić się na bok, Kate leżała bezradna, ogarnięta strachem. Myślała o Corwinie, zastanawiała się, jak zareagował, gdy ją zaatakowali. Czy po prostu stał tam i pozwolił ją zabrać? Nie wiedziała. Ale tak czy inaczej, teraz nie mogła liczyć na jego pomoc.

Jakiś czas później wóz zatrzymał się, usłyszała skrzypienie drewna, gdy ktoś podważył wieko. Nagle światło załazi jej oczy. Zamrugnęła. Stojący nad nią mężczyzna wydawał się czarny jak cień.

– Wstawaj – polecił.

Z trudem dźwignęła się na nogi, przelękając słowa protestu na widok trzech złotych unoszących w gotowości maczugi.

Nie miała szansy uciec, jedyną jej bronią była magia, ale obroza na szyi blokowała ją tak samo, jak to czyniła noc.

Najbliższy złoty złapał ją za rękę i ściągnął z wozu. Gdy jej wzrok w końcu przywykł do światła, pojęła, że jest już późno. Zapadał zmierzch, ale wątpiła czy to ten sam zmierzch.

– Kate! Nic ci nie jest?

Uniosła wzrok i serce podeszło jej do gardła, gdy zobaczyła Bonnera

stojącego po drugiej stronie wozu. On także nosił magiczną obrożę.

– Co się stało?

– Cicho! – Złoty popchnął ją naprzód. – Idziemy.

Bonner zrównał się z nią i ujął ją za rękę, ściskając palce z ogromną siłą. Wokół nich w powietrzu wisiał ostry smród ludzkiego potu i strachu.

Rozejrzawszy się, Kate dostrzegła nieznaną twierdzę, potężną i wyniosłą. Zaokrąglona jak amfiteatr, zdawała się wykuta z jednego wielkiego kamienia, bez żadnych śladów zaprawy czy bloków. Nie miała wież ani okien, zupełnie jakby służyła tylko temu, by powstrzymać napastników albo też kogoś więzionego wewnątrz. Z nieprzeniknioną fortecą kontrastowały natomiast otaczające ją umocnienia – wielkie wyrwy w murze pozostawione przez kruszące się, zwietrzałe kamienie sprawiały, że całe to miejsce wydawało się niezwykle stare i opuszczone.

– Gdzie my jesteśmy? – Wyciągnęła szyję, oglądając się za siebie. Na widok smukłych drzew o białej korze, widocznych przez wyrwę w murze, zaparło jej dech w piersiach. Wędrujący Las. Co oznaczało, że to mogła być tylko...

– Brama Piekieł – wyszeptała głośno. Bonner spojrział na nią poruszony. Podzielała jego uczucia. Powinni trafić do domu złotego zakonu, gdzie czekało ich Oczyszczenie, a nie tutaj, w miejsce rodem z mitów i legend.

Magiści poprowadzili ich przez otwarte drzwi do fortecy. Mimo imponujących rozmiarów była to prosta budowla jeden zewnętrzny korytarz otaczał ogromną główną salę wewnątrz. Wokół pomieszczenia wznosiły się dziesiątki platform sięgających aż do sklepienia. Lecz zamiast siedzisk, jak w prawdziwym amfiteatrze, platformy te mieściły klatki z uwięzionymi w środku dziennymi gadźcami. Kate skuliła się na ten widok. Czarne łuski gadźców połyskiwały w blasku płonących na ścianach pochodni. Było ich tu dosyć, by zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasto.

– To złoci – szepnęła Kate, a Bonner z powagą pokiwał głową. – Oni muszą stać za atakami. – Na rozkaz Storra. Była tego pewna.

Ich strażnicy zatrzymali się przed rzędem pustych klatek na najniższym poziomie i wepchnęli Kate i Bonnera do dwóch z nich, szybko zamykając drzwi. Potem odeszli, pozostawiając ich samych w mroku i wilgoci.

– To naprawdę Brama Piekieł? – Bonner rozejrzał się wokół.

Kate bez słowa wskazała mu opadającą podłogę tuż za klatkami. Żelazne pręty krzyżowały się nad szeroką, głęboką dziurą. Czują wypływające z niej

ciepłe powietrze niczym oddech olbrzyma śpiącego gdzieś w otchłani.

Bonner zadrzał, ale nie zdołał zrobić nic więcej. Klatki ewidentnie zrobiono dla zwierząt – choć długie, były tak niskie, że nawet Kate nie mogła w nich stanąć.

– Nikt nas tu nigdy nie znajdzie – rzekł.

Nie odpowiedziała. Tamtego dnia w Wędrującym Lesie jedynie przypadkiem natknęli się z Corwinem na gadźce, a magia magistów musiała powstrzymać ich przed znalezieniem kolejnych, gdy wrócili z oddziałem poszukiwawczym. Nie, żeby złoci potrzebowali magii, by ukryć to miejsce. Ludzie już dawno przestali wierzyć w Bramę Piekieł, stała się dla nich mitem pozostającym tylko w opowieściach. Lecz setki lat temu ludzie się jej bali, trzymali z daleka, pozwalając, by tereny wokół zarosły drzewami i krzakami, które pochłoneły ją, dopóki złoci nie przebudzili jej ze snu, zyskując gotową, tajemną fortecę.

– Jak cię odkryli? – spytał Bonner, wrywając Kate z zamyślenia.

Szybko opowiedziała mu całą historię, wyjaśniając, że gdy odwiedziła króla, tak jak kiedyś ojciec, uruchomiła pułapkę zastawioną przez magistów. Najpewniej przez Storra.

– Ale jak dowiedzieli się o tobie?

– Po twoim aresztowaniu złoci zabrali wszystkich na przesłuchanie – mruknął Bonner. Znaleźli przy mnie magiczny diament. Nie musieli długo zgadywać, że używałem go, by ukryć własną magię podczas produkcji rewolwerów.

– Tak mi przykro, nie wiedziałam, że tak się stanie.

– Skąd miałaś wiedzieć? – Uciszył ją gestem, po czym uniósł dłonie do obroży. – Gdybyśmy tylko w jakiś sposób uwolnili się od tego, mógłbym rozgiąć te pręty.

Przez kilkanaście minut oboje starali się poluzować obroże, niestety bez skutku. Potrzebowali klucza. Zaczęli sprawdzać klatki, szukając słabych punktów, ale znaleźli jedynie kamyki i piach. Przygnieciona poczuciem beznadziei Kate skuliła się w głębi klatki. Pozostawało im tylko czekać na to, co się wydarzy.

W końcu złoci powrócili i zapędzili do klatek nowych ludzi. Na widok Vianne i Kirana Kate natychmiast otrzeźwiała.

– Nie! – krzyknęła. – Puśćcie ich!

Chwyciła mocno za pręty, o jakże chciałyby mieć dość sił, by je rozgiąć.

Złoci wepchnęli matkę i syna do klatki obok Kate. Vianne z wielkim trudem uspokoiła chłopca, posadziła go sobie na kolanach, pozwalając, by szlochał jej w ramię. Kate odwróciła się, oczy piekły ją od łez. Przyglądając się innym więźniom, pojęła, że wszystko to członkowie Powstania, łącznie z Anise.

Kiedy magiści odeszli, dowiedziała się o nalocie na „Święty Miecz”.

– To moja wina. – Z trudem panowała nad emocjami. – Nie powinnam była odwiedzać was tak często.

– Nie mogłaś wiedzieć, że cię odkryją – uspokajała ją Anise. – Wszyscy ryzykowaliśmy. – Vianne gładziła główkę Kirana. Milczała. Chłopiec w końcu uspokoił się, może zasnął.

– Nic mu nie jest? – spytała Kate.

– Na razie, ale co oni z nami zrobią? – Vianne wypowiedziała to pytanie dość głośno, by inni usłyszeli, lecz nikt nie odpowiedział. Zupełnie jakby czekali, żeby ocknąć się z koszmarne go snu, choć czuli, że może nigdy im się to nie uda.

* * *

Złoci wrócili jakiś czas później – Kate oceniała, że minęło kilka godzin, bo nogi i plecy rozbolały ją już od leżenia na twardej posadzce, i miała wrażenie, że gardło i usta ma wypchane wełną. Tym razem z magistami przybyła też maestra Vikas. Kate zaczęła krzyczeć na nią, domagając się wyjaśnień, czemu tu trafili.

– Cisza. – Vikas szybko wymówiła słowa zaklęcia.

Kate ujrzała blask magii na swej szyi, gdy jeden z kamieni magicznych obrożi został aktywowany.

Maestra uklęknęła przed jej klatką. Na surowej zwykle twarzy kobiety malowały się teraz pycha i zadowolenie.

– No proszę. Tak lepiej. Ale powiedz mi, Kate, jak spodobała ci się moja pułapka, ta, w którą wpadłaś, gdy próbowałaś zwieść króla Orwina?

To byłaś ty! Kate chciała odpowiedzieć, ale zaklęcie ją powstrzymało.

– Tak, tak właśnie sądziłam. Twój ojciec też nie był zachwycony. *Co mu zrobiłaś?*, usiłowała krzyknąć Kate i znów bez powodzenia.

Vikas wstała, uciszając wszystkich, którzy ośmielili się odezwać. Kate bezradnie patrzyła, jak kobieta naradza się ze złotymi.

– Tę trójkę przygotujcie do wysłania, tego zabierzcie na próby. – Vikas wskazała kilkoro dzikunów, potem odeszła dalej, rozdzielając ich niczym owce. Kate nie miała pojęcia, o co chodzi w tym sortowaniu.

– Tych dwoje na razie ma zostać. – Vikas wskazała ręką najpierw Bonnera, potem Kate. – Lord Wznosiciel ma wobec nich pewne plany, ale chce, żeby matka i dziecko do zmierzchu byli już w drodze. Nie można zwlekać, bo spóźnią się na statek. – Machnęła lekceważąco w stronę Vianne i Kirana.

– Czy chłopak nie jest za młody na tak długą podróż? – spytał jeden ze złotych. Vikas uśmiechnęła się.

– Z tego, co słyszę, jest starszy, niż na to wygląda.

Kate próbowała krzyczeć, gniew szalał jej w piersi niczym dzikie zwierzę. Rąbnęła całym ciałem o klatkę, ale Vikas jedynie posłała jej kolejny uśmiech, fałszywy, słodki i triumfalny.

Parę minut później odeszła, lecz złoci zostali, wykonując jej rozkazy. Kate patrzyła bezsilnie, jak magiści otwierają sąsiednią klatkę i wywlekają Vianne i Kirana. Chłopiec szarpał się i wrzeszczał, póki jeden ze złotych nie aktywował zaklęcia uciszającego w jego obroży.

Po wszystkim głucha cisza przygniotła Kate niczym gładz leżący na piersi. Zamknęła oczy, przyzywając sen, on jednak odmówił przyjścia, bo umysł za bardzo dręczyły strach i groza. Zabierali Kirana i Vianne na statek, ale statek dokąd płynący? Jakim cudem zdoła ich jeszcze odnaleźć? Nie mogła teraz stracić Kirana, nie po tylu latach.

Czas włókł się niemiłosiernie. Mogły minąć dni, nawet tygodnie, choć obawiała się, że w istocie trwało to zaledwie kilka godzin. W żaden sposób nie dawało się ocenić upływu czasu, odnaleźć jakiegoś punktu zaczepienia. Światło w Bramie Piekieł nie zmieniało się, jedyny hałas czyniłyienne gadzce krążące niespokojnie po klatkach i nawołujące się w ów osobliwy sposób seriami skowytów i warknięć.

W pewnym momencie Kate musiała jednak odpłynąć, bo gdy znów się ocknęła, dwóch złotych wyciągało ją z klatki.

– Chodź – poleciła stojąca za nimi maestra Vikas. – Lord Wznosiciel cię wzywa. – Lord Wznosiciel? Czyżby Storr zaczął nadawać sobie nowe tytuły?

W klatce obok Bonner zaczął walić pięściami o pręty, ale złoci nie zwracali na niego uwagi. Zamaskowane twarze nie zdradzały żadnych uczuć.

Nie mając wyboru, Kate podążyła za nimi. Po chwili znaleźli się w komnacie, do której wiódł główny korytarz. Maestra przystanęła przed

drzwiami i zmierzyła Kate spojrzeniem jasnych, lodowatych oczu.

– Niewielu przypada zaszczyt spotkania z Lordem Wznosicielem. Nade wszystko masz okazać mu szacunek. – Kate zamrugła, oszołomiona. Widywała już Storra.

– A jeśli jesteś mądra, posłuchasz jego rozkazów. To Lord Wznosiciel. Bóg na ziemi. Dysponuje wiedzą większą niż ktokolwiek z żyjących, ktokolwiek, kto żył na tym świecie. Mogłabym spędzić tysiąc lat u jego boku i wciąż nie poznałabym jeszcze wszystkiego, co kryje w swej głowie. – W jej głosie dźwięczał nieskrywany, nabożny podziw. Kate zastanawiała się, czy maestra aby nie oszalała. Przed awansem na przełożoną złotego zakonu Vikas należała do zakonu białych, którego członków czasami nawiedzał obłąd, efekt uboczny ich specjalizacji. Biali bowiem nade wszystko interesowali się wiedzą magiczną, studiowali sztuki wysokie, niebezpieczną, złożoną magię.

Zakończywszy przemowę, maestra machnęła ręką i zdjęła zaklęcie uciszające. Nim Kate zdołała cokolwiek powiedzieć, Vikas pierwsza wkroczyła do komnaty, po czym odsunęła się, przepuszczając ją przed siebie. Dwaj złoci pozostali w korytarzu, a maestra zamknęła za nimi drzwi.

Widok pomieszczenia zaparł Kate dech w piersiach. Ze wszystkich ścian zwieszały się gobeliny utkane ze złotogłowiu i wysadzone lśniąco klejnotami. Zamieniały prostą, starożytną kamienną komnatę w pomieszczenie godne króla. Albo boga, jak twierdzi Vikas. Miękkie kobierce barwy krwi wiódł środkiem posadzki aż do zdobnego fotela wyrzeźbionego w kryształ. W blasku stojących po obu stronach pochodni kryształ zdawał się płonąć, przypominając ognisty tron, jakże podobny do samego Lustrzanego Tronu.

W fotelu siedział mężczyzna rozparty na ciemnoniebieskiej poduszce. Obie dłonie wsparł na poręczach. Serce Kate zabiło gwałtownie, gdy pojęła, że to nie Storr. Często widywała tego człowieka w zamku, ale nigdy tak nie wyglądał. Na głowie miał srebrną obręcz, a na ramionach płaszcz z czarnych i białych piór.

– Witaj, Kate Brighton – rzekł, a jego złote oczy rozblęły niemal tak jasno jak tron, na którym zasiadał. – W końcu spotykamy się w naszych prawdziwych postaciach.

Kate oszołomiona gapiała się na ministra Rendborne'a.

– Sądziłam, że to Storr za tym stoi.

Rendborne pokiwał głową.

– Świetnie nadaje się na kozła ofiarnego, ale nie. Storr to tylko prózny, chciwy człowiek. Takimi ludźmi łatwo manipulować. Muszę jednak rzec, że nie takiej pierwszej reakcji się spodziewałem. – Skinieniem ręki wskazał na bok.

Kate podążyła wzrokiem za dłonią Rendborne’a, w końcu dostrzegając, co ukrywały bogactwa komnaty – drugie krzesło, na którym siedziała Signe. Przywiązano ją do niego sznurami okalającymi ręce, pas i pierś, nogi miała wolne, prócz drewnianego, kolczastego zacisku wokół prawej stopy – dwóch grubych desek ściśniętych żelaznym imadłem. Jedna naparła tak mocno, że zmiażdżyła tkwiącą pod nią stopę.

– Signe! – Kate skoczyła ku niej i natychmiast odrzuciło ją uderzenie magii. Jego źródło stanowił Rendborne, a konkretniej jego prawa, wyciągnięta dłoń. – Jesteś magistą?

– O nie, drogie dziecko, jestem czymś znacznie większym. Podobnie jak ty, dzikunko. – Wstał z kryształowego fotela otoczony przerażającą aurą.

Kate oderwała od niego wzrok, zaskoczona tym, jak ciężko jej to przyszło. Jakaś część niej chciała nadal patrzeć, zahipnotyzowana jego obecnością, jakby był płomieniem, a ona ćmą. Wstała z podłogi, wbijając wzrok w nieprzytomną Signe z bezwładnie zwieszoną głową.

– Dlaczego jej to robisz?

Rendborne podszedł do dziewczyny.

– Czy znana ci jest eshiańska idea Seerah?

– Świętego milczenia – wyrzuciła z siebie Kate. Rendborne z uśmiechem wskazał Signe.

– Ta tutaj uparczywie trzyma się przysięgi. Przynosi zaszczyt swojemu ludowi. – Jedną ręką ujął podbródek Signe, uniósł jej głowę i odwrócił twarzą ku Kate, ukazując grube rozcięcie biegnące od linii brwi aż po brodę. Rana wciąż krwawiła, lepka strużka spływała po szyi niczym czerwona rzeka.

Kate zachłysnęła się.

– Złamanie człowieka to bardzo trudne zadanie – oznajmił Rendborne obojętnym tonem. – Musisz odkryć, co najbardziej liczy się dla tej osoby, gdzie skrywa serce. Co do tej tutaj sądziłem, że kluczem jest próżność, ale myliłem się, ani trochę nie obawiała się blizny, która jej pozostanie. Imponujące.

Mdłości podeszły Kate do gardła. Odetchnęła głośno. Musi zachować spokój, nie tracić rozsądku.

– Dlaczego to robisz? Przecież wcale cię nie uraziła.

Rendborne ciągnął dalej, jakby mu nie przerwała.

– Potem pomyślałem, że może zadziała groźba okaleczenia. Dziewczyna jest tak pełna energii, niezależna, z pewnością więc świadomość, że nigdy więcej nie będzie mogła chodzić, powinna ją złamać. Ale wiesz, co się stało?

– Rendborne puścił głowę Signe i odwrócił się do Kate. – Nadal odmawiała zdradzenia sekretu. Czyż to nie fascynujące?

Kate pokręciła przecząco głową. Nie, jeśli znało się Signe.

– Owszem, fascynujące. – Rendborne sięgnął dłonią do naszyjnika ze szponów okalającego mu gardło. – Ale też frustrujące. Muszę dowiedzieć się, jak się robi czarny proch. A ponieważ odmówiła odpowiedzi, ty ją dla mnie zdobędziesz.

Minęło kilka sekund, nim Kate w pełni zrozumiała, co słyszy. Żołądek ścisnął jej się na tę myśl.

– Chcesz, żebym wykradła sekret z jej umysłu?

– Oboje wiemy, że dysponujesz taką zdolnością. – Rendborne wskazał ręką szklane słoje stojące na stole obok. – Oto substancje, których używa. Rozpoznaję je wszystkie prócz tej. – Uniósł jeden. – To najwyraźniej coś, co można znaleźć tylko na wyspach. Wciąż jednak umykają mi proporcje, a ustalanie przepisu metodą prób i błędów trwałoby wieki. Nie mam tyle czasu. Musisz posłużyć się swoim darem i wyciągnąć z niej prawdę.

– Nie zrobię tego. Rendborne parsknął.

– Wierz mi, dziecko, nie byłeś moim pierwszym wyborem, jednak po tym, jak zabiłeś biednego Williama w Thornewall, zostało mi tylko dwóch dzikunów z podobnymi zdolnościami, ale żadnego nie mam akurat pod ręką. Muszę zdobyć ten przepis i to szybko. Zrobisz to dla mnie, Kate Brighton, z własnej woli bądź nie.

Otworzyła usta, by zaprotestować, w tym momencie jednak przyszło jej coś do głowy. Aby mogła użyć zwodzenia, będzie musiał zdjąć jej obrożę.

Odezwała się szybko, w obawie, że jeśli zbyt łatwo się zgodzi, Rendborne zacznie coś podejrzewać.

– Co się stanie, jeśli odmówię?

– Oczywiście cierpienie i śmierć. – Wywrócił oczami, jakby temat ten mocno go nudził. – Lękam się, że zbyt dobrze znam twój charakter, by

zamiast tego próbować cię przekupić. Dumna i szlachetna jak ojciec. Zanim zdejmę ci obrożę, powinnaś wiedzieć, że każda próba użycia daru na mnie zakończy się niepowodzeniem. – Dotknął piersi w miejscu, gdzie pod szponami naszyjnika wisiał kryształ pełen ciemnoczerwonego płynu. – Ten kamień magiczny mnie chroni. Magię stworzono z krwi twojego ojca.

Kate sapnęła głośno.

– Kłamiesz.

– Wiem, to dość upiorne, ale ze wszystkich darów, którymi dysponuję: władzy nad ogniem, wodą, ziemią, powietrzem, a nawet w większości duchem, dar zwodzenia nadal mi umyka. – W jego głosie dźwięczała zazdrość, oczy płonęły złotem, gdy wpatrywał się w nią uważnie.

– Nikt nie może mieć w sobie aż tyle magii! – zaprotestowała, wbijając wzrok w kryształ. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to faktycznie krew jej ojca.

– Mówiłam, to nie człowiek, to bóg – odezwała się z za jej pleców Vikas; Kate prawie zapomniała, że maestra wciąż tam jest. Vikas wpatrywała się w stojącego przed nimi mężczyznę oczami pełnymi pożądania.

Rendborne wezwał Vikas naprzód. Gdy do niego podeszła, ucałował ją mocno w usta, a po chwili, przerwawszy pocałunek, przyjrzał się jej z góry ze szczerą czułością.

– Ty zaś wkrótce zostaniesz boginią, która będzie rządzić Rime u mego boku. – Zwrócił wzrok ku Kate. – Muszę podziękować obecnej tu Isli za to, że odkryła zaklęcie pozwalające stworzyć to. – Ujął w palce kryształ i potrząsnął nim, burząc płynną zawartość.

Vikas sięgnęła pod szatę i odsłoniła identyczny kryształ. Przyjrzała mu się z uśmiechem.

– Magia kryje się we krwi. Nawet po śmierci moc pozostaje – to jest, jeśli krew zaczerpnie się z wciąż żyjącego nosiciela. W ostatecznym rozrachunku twój ojciec oddał mi wszystko co do kropli, nim kat pozbawił go głowy.

Kate zacisnęła zęby tak mocno, że ból przeszył jej szczękę. Ze wszystkich sił walczyła, by powstrzymać krzyk.

Przypomniała sobie, jak wyglądał tamtego dnia, gdy prowadzili go na szafot: blade, wychudzony, pozbawiony wszelkiej nadziei.

– Nie odezwał się ani słowem – ciągnęła Vikas. – Nawet nie krzyknął.

Kate zamknęła oczy. Nienawiść rozlewała się w niej niczym powietrze wciągane do miechów. W końcu pojęła, dlaczego ojciec nie chciał się z nią zobaczyć, czemu zostawił jej zaszyfowaną wiadomość. Miała ona podwójne

znaczenie – znajdź Kirana i wyjedź z Rime. Uciekaj przed tym złem.

– No to zaczynajmy – rzucił Rendborne. – Kiedy zdejmę obrożę, wnikniesz do umysłu przyjaciółki i dowiesz się, jak miesza czarny proch. Jeśli ci się powiedzie, ona przeżyje i nie będzie dłużej cierpieć. Jeżeli odmówisz albo spróbujesz ucieczki, zapłacisz życiem.

Kate przyglądała mu się, próbując przejrzeć jego myśli bez swego daru. Uznała, że śmierć, o której mówił, nie dotyczy Signe; tajemnica zamknięta w głowie przyjaciółki była dla niego zbyt cenna, by miał ją zabić. *Ale ja jestem mu zbędna.*

I w porządku. Kate wołała umrzeć, niż pozwolić mu nad sobą zapanować. Jeśli nie wykona zadania, jej śmierć będzie oznaczała trochę czasu dla Signe. Najpierw jednak trzeba ją uwolnić.

– Rozumiem – oznajmiła w końcu.

Rendborne, usatysfakcjonowany, machnął ręką i poczuła, jak obroża otwiera się i spada na ziemię. Kate zerknęła w dół i zobaczyła, że zamek pozostał nietknięty, ale metal po obu stronach jest rozerwany. Magią. Najwyraźniej Rendborne mówił prawdę o swych mocach, jak dotąd widziała, że włada zarówno magią powietrza, jak i ziemi.

Kate odetchnęła głęboko, sięgając mocą. Delikatnie spróbowała wnikać w Vikas i Rendborne'a. Zgodnie z zapowiedzią okazali się kompletnie niedostępni. Ale za sobą, tuż za drzwiami wyczuła dwóch złotych. Żaden nie miał ochrony przed jej magią.

Powoli odwróciła się w stronę Signe. Przyjaciółka już się ocknęła i zaciskała powieki z bólu. *Wybacz mi, Signe*, pomyślała Kate, podchodząc bliżej.

– Pospiesz się – rzucił Rendborne. – Jeśli ci się uda, osobiście ulecę jej ból.

Kate położyła dłoń na czole przyjaciółki: kontakt fizyczny ułatwiał połączenie z umysłem drugiej osoby, ale tym razem stanowił jedynie przykrywkę, bo tak naprawdę sięgnęła mocą ku dwóm złotym. Gdy tylko ich wyczuła, chwyciła mocno i nagięła do swej woli.

Ich umysły natychmiast poddały się jej mocy, przygięte niczym łodyżki na wietrze. *Zabijcie Lorda Wznosiciela!* poleciła i obaj mężczyźni posłuchali, wpadając przez drzwi z uniesionymi maczugami. Ich zaklęcia pomknęły ku Rendborne'owi, który uniósł przed sobą dłoń niczym tarczę. Docierając do niego, magia syknęła i zgasła. Tą samą ręką przywołał błyskawicę i cisnął

w obu złotych. Wciąż połączona z ich umysłami Kate poczuła przeszywający ból. Wrzasnęła i uwolniła magistów.

Rendborne odwrócił się ku niej i rzucił kolejne zaklęcie. Magia uderzyła Kate niczym silny wiatr, powalając sparaliżowaną na ziemię.

– Naprawdę nie powinnaś była tego robić.

Podniósł obrożę i zatrzaskał na jej szyi, magią naprawiając uszkodzone miejsca.

– Zabij mnie – rzuciła Kate. – Nie zrobię tego, czego chcesz.

– Ani przez chwilę nie zamierzałem cię zabić – uśmiechnął się zimno. – Twoja śmierć nie ma dla mnie żadnej wartości. Natomiast twoja moc owszem. – Rendborne odwrócił się do złotych dochodzących do siebie po ataku. – Przyprawdźcie mi tu Bonnera... i jego ojca.

Po skórze Kate przebiegł lodowaty dreszcz. Zaczęła walczyć, próbując uwolnić się spod zaklęcia. Dlaczego trzyma tu jego ojca?

Złoci wrócili aż nazbyt szybko, ciągnąc za sobą Bonnerów, obu w łańcuchach. Thomas wyraźnie dygotał ze strachu. Na widok Kate i Signe Bonner zaczął się szarpać.

– Co wy uprawiacie? Wypuście je!

Przez sekundę złoci z trudem utrzymywali go w miejscu, potem jednak Rendborne unieruchomił Bonnera magią – wirem powietrza, który go otoczył.

– Nie walcz, synu – rzekł Thomas, jak zawsze ciepło i łagodnie. – To niczego nie zmieni. – Choć słowa zabrzmiały odważnie, on sam zdawał się uginać pod ich ciężarem.

Rendborne dobył zza pasa nóż i podszedł do ojca i syna stojących obok siebie.

– Ostrzegałem cię, Kate. Jeśli nie posłuchasz, ceną będzie śmierć. – Uniósł nóż do gardła Bonnera.

– Nie! – krzyknęła Kate, w panice zapominając o wszystkim. – Nie krzywdź go, proszę! Zrobię wszystko, co każeś!

Rendborne nie mylił się: każdy ma słaby punkt, pozwalający go złamać, a on znalazł jej słabość.

– Tak, wiem, że teraz to zrobisz – odparł. – Ale musisz ponieść konsekwencje nieposłuszeństwa. – Przycisnął nóż do gardła Bonnera, pod ostrzem pojawiła się strużka krwi.

– Nie krzywdź mojego chłopca – wyszlochał Thomas. – Prędeż weź mnie.

Rendborne zerknął na starszego mężczyznę.

– Zgoda – mruknął i nim ktokolwiek zdążył zareagować, obrócił się i błyskawicznie poderżnął Thomasowi gardło.

Mężczyzna wydał jedno bulgoczące westchnienie, po czym runął na ziemię.

Od krzyku Bonnera zatrzęśły się ściany. Dźwięczący w nim ból rozdarł Kate serce. Widziała, jak przyjaciel zмага się z więzącą go magią, oszalała z pragnienia zabicia stojącego przed nim człowieka, zrobienia wszystkiego, byle tylko ocalić ojca.

– Uspokójcie go – polecił Rendborne, odsyłając powietrzny wir otaczający Bonnera. Złoci natychmiast rzucili się na niego z maczugami. Upadł na ziemię, a oni tłukli go po głowie, szyi, plecach, nogach, rękach, wszędzie. Kate krzyczała, żeby przestali, ale niczego to nie dało; wciąż stała sparaliżowana magią Rendborne’a i nic nie mogła zrobić. Bili go tak i bili, aż w końcu Bonnera opuściła wszelka wola walki. Skulił się na podłodze z twarzą zanurzoną w rozlewającej się dokoła kałuży krwi ojca.

Rendborne odwrócił się do Kate.

– To była kara za pierwsze nieposłuszeństwo, Kate. Radziłbym, żebyś nie próbowała po raz drugi. – Wycelował w nią rękę i uwolnił z paraliżu.

– Dlaczego to robisz? – spytała Kate głosem zdławionym od łez. – Kim ty jesteś?

Nie mogła oderwać wzroku od Bonnera. Wciąż był przytomny. Na Thomasa w ogóle nie mogła patrzeć; jej umysł zalały wspomnienia wspólnych śmiechów przy posiłkach, łagodnych żartów, że syn powinien sobie znaleźć żonę podobną do niej.

Rendborne pochylił się ku Kate, zdejmując magiczny kamień z prawej ręki. Skóra na jego dłoni przez moment zamigotała, po czym znieruchomiała, ukazując wypukłe piętno, wyblakłe koło o ośmiu szprychach, tkwiące wewnątrz świętego trójkąta. Znak uroru? Widok ten tylko wzmógł oszołomienie Kate. Rendborne ujął ją za brodę, unosząc twarz ku sobie.

– Kim ty jesteś? – powtórzyła.

Patrzyła w te złote oczy, czując w nich ciężar wieku. Wydawał się jednocześnie stary i młody. Vikas nazwała go bogiem.

Bogiem w ludzkim ciele.

– Z czasem mnie poznasz, ale na razie rób, co każę, Kate, a cierpienie się skończy. – Wypuścił ją.

Czuła, jak opuszcza ją wola walki, wiedziała, że nie zdoła pokonać tego człowieka. Ale Bonner i Signe wciąż żyli i była gotowa na wszystko, byle tylko ich ochronić.

– Nie rób tego, Kate. – Bonner uniósł ku niej posiniaczoną, zakrwawioną twarz. – Wolę umrzeć.

– Nie mogę ci na to pozwolić. – Kate podniosła się z ziemi, odwróciła i podeszła do Signe, pokonana, zgarbiona. Miała wrażenie, że kręgosłup zaraz pęknie jej na pół. *Zdrajczyni Kate. Słusznie mnie nazwali, pomyślała. Zdrajczyni swego księcia, królestwa i przyjaciół.*

CORWIN

Brama Piekieł okazała się mniej przerażająca, niż to sobie wyobrażał Corwin, ale i znacznie bardziej imponująca. Albo może wciąż jeszcze nie dotarło do niego, że ją znalazł, że to mityczne miejsce istnieje naprawdę. Tym razem odnaleźli ją bez trudu – dzięki magicznym kamieniom Raitha on i Dal wkrótce po dotarciu do lasu wypatrzyli mocno wydeptaną ścieżkę. Podążyli dróżką wijącą się między białymi jak kość pniami drzew, aż w końcu dotarli do rozsypujących się murów otaczających starożytną fortecę.

Początkowo uznali, że jest opuszczona, lecz uwiązawszy konie w bezpiecznej odległości, podkradli się do wyrw w umocnieniach i dostrzegli ruch wewnątrz, charakterystyczny błysk złotej szaty w gasnących promieniach słońca. *Kate musi tu być*, pomyślał Corwin, obserwując krzątanie pod twierdzą. Przez moment ogarnęło go przemożne pragnienie, by rzucić się na oślep do walki, ale zwalczył je. Decyzja, by pozostać na zewnątrz, nie miała nic wspólnego z ostrzeżeniami Raitha, raczej z instynktem. Zbyt dużo czasu poświęcił na studiowanie strategii wojskowych, zarówno z nauczycielami z Norgardu, jak i u Jastrzębi Tarczy, by postąpić nieostrożnie, przypuszczając atak na podobną fortecę mającą tylko jedno drzwi i żadnych okien.

Teraz, gdy szybko zapadała noc, wrócili na miejsce najbliższe ścieżki, która ich tu przywiodła, kryjąc się w pobliżu muru i obserwując, co się dzieje wewnątrz. Patrzyli, jak złoci wchodzą i wychodzą z fortecy, często dźwigając skrzynie podobne do tych, w których przewozili między miastami kamienie magiczne. Sprawnie ładowali je na wozy. Później, gdy większa grupa wyniosła też klatkę, Corwin zachłysnął się na widok zamkniętych w niej dziennych gadźców. Najwyraźniej przecucie go nie myliło: to złoci stali za atakami tych ohydnych stworzeń.

– Jak myślisz, ilu jest ich w środku? – spytał Dal.

– Naliczyłem trzydziestu, może więcej. – Corwin zniżył głos do szeptu. – Ale nie mam pewności.

– Nie wyglądają, jakby obawiali się intruzów.

Corwin przytaknął. Nie zauważyli ani jednego strażnika. Zapewne magiści nie bali się odkrycia, przecież osłaniała ich magia.

Nagły szelest przyciągnął uwagę Corwina. Obejrzał się i ujrzął Raitha z maczugą w dłoni zbliżającego się pieszo.

Corwin pomachał do niego, przyciskając palec do ust.

– Co znaleźliście? – wyszeptał magista. Zajrzał przez wyrwę i zobaczył dwóch złotych stojących na dziedzińcu przed otwartymi drzwiami fortecy. Corwin szybko opowiedział mu o wszystkim, Raith słuchał bez słowa, co chwila kiwając głową.

– Co teraz zrobimy? – spytał Dal, kierując pytanie do Raitha. Ten pogładził palcem znamię na twarzy.

– Musimy schwytać jednego ze złotych i go przesłuchać.

– Tak, ale jak to zrobimy, nie alarmując pozostałych?

Raith zastanowił się chwilę, potem gestem wskazał otwór na kamień magiczny widoczny z miejsca, gdzie kucali w poszyciu.

– Za parę minut będą musieli nastawić tarcze. Otwór z tyłu może pozwoli nam ująć jednego, tak by inni tego nie zauważyli.

Dal zmarszczył brwi.

– A bariera? Jeśli się nie podniesie...

– Sam dokończę zakłęcie – uspokoił go Raith. – Nie zorientują się, ale musimy zająć miejsca. Potem będziemy musieli szybko wrócić za własną barierę. Moi ludzie czekają niedaleko stąd.

– Ilu sprowadziłeś? – spytał Corwin, gdy powoli cofali się od muru, wędrując na tyły.

– Dwudziestu sześciu.

– Tak niewielu? – Zerknął na niego. Twarz Raitha nie zdradzała niczego.

– Byłoby więcej, gdyby nie nalot. Ale to sami dzikuni bądź magiści, wszyscy gotowi walczyć. Tyłu będzie musiało wystarczyć.

Owszem, pomyślał Corwin. W głowie wirowały mu plany i możliwości, coraz to nowe scenariusze tego, jak dostać się do środka, dotrzeć do Kate i pozostałych i wydostać ich bezpiecznie. Wiedział, że nie będzie łatwo. *Najpierw muszę mieć pewność, że faktycznie tam jest, uznał.*

Dotarłszy do samotnego kamienia, zajęli miejsca spory kawałek od muru, bo tylko tam mogli liczyć na dostateczną osłonę.

– Załatwię złotego, gdy tylko dotrze na miejsce – oznajmił Raith. – Bądźcie gotowi odciągnąć go, kiedy rzucę zakłęcie.

Dal uniósł rękę.

– Jeden problem. Czy nie zauważą, że jeden z nich nie wrócił?

– Na początku nie, a kiedy zauważą, będzie już za ciemno, by wypuszczać się na zewnątrz – uznał Raith.

Ustaliwszy wszystko, przykucnęli i czekali. Wkrótce pojawił się złoty ściskający między dłońmi lśniący kamień strażniczy. Corwin skulił się, pochylając jeszcze niżej. Oddychał płytko. Nozdrza wypełnił mu słodki zapach porastających ziemię wiecznopłaczków, dziwnie kojący w tej pełnej napięcia chwili. Nie musiał się przejmować – złoty kompletnie nie zwracał uwagi na otoczenie, najwyraźniej robił to tak często, że zapomniał o jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

Nim dotarł do otworu, Raith dzwignął się ze swej kryjówki, wymówił zaklęcie i śmignął naprzód, gdy tylko tamten runął na ziemię. Podnosząc kamień, wyszeptał kilka słów, ponownie przywołując moc strażniczą, i wsunął kamień na miejsce. Corwin i Dal tymczasem skoczyli ku złotemu, złapali go za ręce i odciągnęli najszybciej i najciszej, jak zdołali.

Po chwili byli już spory kawałek od Bramy Piekieł. Przystanęli, żeby zabrać konie. Kiedy Corwin i Dal opuszczali Norgard, Corwin zabrał ze sobą Tancerkę Ognia, osiodlaną i gotową dla Kate. Dal wziął też Lir, sokolica siedziała teraz na łęku konia w kapturku na głowie. Zrzucili nieprzytomnego złotego na grzbiet Zwiastuna Nocy, po czym skierowali się do obozu. Raith jechał pierwszy.

W odróżnieniu od Bramy Piekieł, obozu dzikunów strzegli wartownicy – trzech niebieskich czuwających w pobliżu kamieni strażniczych. Obóz za magiczną barierą był cichy i spokojny, ludzie zbili się w grupki, siedząc na ziemi, bądź czuwali na stojąco. Na widok Corwina i pozostałych poruszyli się, a wokół nich rozeszła się fala szeptów niczym szmer liści w powiewach wiatru.

Corwin przyjrzał się im i serce aż mu się ścisnęło, gdy dostrzegł, jak wiele kobiet i dzieci towarzyszy mężczyznom. Część najmłodszych nie mogła nawet zostać sama bez opieki, a co dopiero ruszać do bitwy. Kilka kobiet miało ze sobą niemowlęta. Corwin dostrzegł też jedną w zaawansowanej ciąży. *Jak mamy podbić fortecę z tak niewielką grupką? Z pewnością bowiem ciężarnych i dzieci nie można narazić na niebezpieczeństwo walki. Z drugiej strony, przypomniał sobie w duchu Corwin, to była armia Raitha. To magista nią dowodził, nie on.*

Pierwszych kilka minut w obozie potwierdziło to aż nadto wyraźnie. Raith wydawał rozkazy, wybrał kilku z mężczyzn, by pomogli w przesłuchaniu więźnia, a resztę odesłał tak daleko, jak tylko pozwalała na to bariera. Corwin natychmiast zrozumiał kierujące nim powody: nie ma niczego przyjemnego w zmuszaniu kogoś do wyznania sekretów. Ułożyli złotego na ziemi pośrodku kępy drzew, mających stłumić krzyki.

Corwin cofnął się tak daleko, jak tylko zdołał, oparł o pień i słuchał. To Raith głównie przesłuchiwał więźnia, używając zaklęć do wywoływania bólu zamkniętych w magicznych kamieniach. Dzikun, niejaki Francis, przytrzymał złotego, wykręcając mu ręce na plecach. Ku uldze Corwina nie trwało to długo: magia Raitha okazała się bardzo potężna.

W najgorszym momencie zamknął oczy. Krzyki złotego brzmiały ostro niczym trzask bata. W końcu jednak jeniec zaczął mówić i Corwin przysunął się bliżej.

– Tak, dzikuni są wewnątrz – rzekł zdyszany. – Przynajmniej część.

Za jego plecami Francis powoli opuścił złotego na ziemię i cofnął się o krok, wycierając masywnym przedramieniem pot kapiący z czoła. Mimo to w blasku pobliskich pochodni jego twarz lśniła.

– Kto? – Raith przykucnął przed złotym, który ledwie trzymał się na nogach.

– Kate Brighton i rusznikarz Bonner. To wszyscy.

Stojący naprzeciw Corwina Dal postąpił krok naprzód, zaciskając pięści.

– A co z Signe?

Złoty zerknął na niego i raz jeden kiwnął głową.

– Eshianka też tam jest.

Francis pochylił się ku złotemu, a tamten skulił się i cofnął.

– A pozostali aresztowani podczas nalotu na „Święty Miecz”?

Złoty ukrył twarz w dłoniach, spod których dobiegły niewyraźne słowa.

– Byli tu, ale już ich nie ma.

– Dokąd odeszli? – Francis oplótł potężną ręką ramiona mężczyzny tuż u podstawy czaszki i ścisnął.

– Są na statku płynącym z Penlocke do Sevy.

Na tę wiadomość Corwin zeszytniał. Podeszedł bliżej złotego.

– Dlaczego do Sevy?

Złoty uniósł twarz. Białka oczu miał przekrwione po tym, co zrobił mu Raith.

– Są bronią dla armii króla boga.

– Armia dzikunów. – Raith podniósł się. Zerknął na Corwina, na jego twarzy odbił się strach.

Corwin poczuł w sobie to samo przerażenie. Nie wiedział, czego się spodziewał, ale z pewnością nie tego. Złoci służyli Magnarowi Fane’owi? Mimo niedowierzania, bez problemów uwierzył w udział Sevy w spisku. Król bóg był jeszcze młodym człowiekiem, gdy wiele lat temu wysłał swą armię, by najechała Rime. Wówczas pierwszy raz zakosztował przegranej, porażki, z którą nigdy się nie pogodził. To tylko kwestia czasu, zanim znów spróbuje, a teraz dzięki złotym będzie miał też magię.

– Ataki dziennych gadźców – rzekł głośno, kojarząc kolejne fakty. Obrócił się do Raitha. – Do większości z nich dochodziło niedaleko rzek i cieków wodnych zapewniających łatwy transport do Sevy.

Wcześniej tego nie dostrzegł, ale teraz wydawało się to oczywiste.

– To wyjaśnia, czemu zaatakowały Thornewall – wtrącił Dal. – Jaskinie szmuglerów wiodą prosto do rzeki, z pomocą magii dzikunów łatwo znów je otworzyć.

– Ma też Signe i Bonnera – dodał Corwin. – Wszystko, co trzeba, by podarować Sevie rewolwery. – I znów miał wrażenie, że kawałek układanki wskakuje na swoje miejsce, wiedział więc już wszystko prócz najważniejszego. Ukląkł obok złotego, tak jak wcześniej Raith. – Kto wami dowodzi? Czy to wielki mistrz Storr?

Tamten roześmiał się, rozchylone wargi ukazywały zakrwawione zęby.

– Storr to tylko pionek w rozgrywce boga.

Francis znów chwycił mężczyznę za szyję.

– Daruj sobie zagadki.

– Kto zatem? – Corwin wpatrywał się w oczy złotego, rozpaczliwie pragnąc usłyszeć odpowiedź.

– Służę Lordowi Wznosicielowi. To bóg w ludzkim ciele.

– Nawet bogowie mają imiona. – Corwin przestraszył się, że wpędzili złotego w obłąd. – Jak brzmi jego?

– Kiedyś był Bezimiennym – odparł złoty, po czym znów prychnął śmiechem. – Ale ma wiele imion, zbyt wiele, by je zliczyć.

Corwina zalała fala elektryzującego strachu. Bezimienny.

– Jedyne człowiek noszący ten przydomek od dawna nie żyje. Zmarł wiele lat temu. Złoty pokręcił głową z zaciętą twarzą.

– On żyje. Żyje wiecznie. Bóg w ludzkim ciele.

Z pełnym niesmaku sapnięciem Francis złapał go za ramiona i dźwignął w powietrze.

– Jak brzmi teraz jego imię? – Zaczął ścisnąć, zupełnie jakby chciał zmiażdżyć jeńca gołymi rękami. Złoty krzyknął, odchylając głowę.

– Rendborne – wykrztusił. – Minister Rendborne.

Wypuszczony przez Francisa, runął ciężko na ziemię. Dzikun odwrócił się do Raitha i Corwina.

– Sądzicie, że mówi prawdę?

Milczeli. Corwin nie potrafił przyjąć prawdy. Nie umiał pogodzić Rendborne'a, którego znał jako ministra handlu – uroczego, szczerego, życzliwego – z osobą zdrajcy odpowiedzialnego za ataki dziennych gadźców i wysyłanie dzikunów do Sevy. Nagle jednak przypomniał sobie, jak Rendborne powiedział mu, że Bezimienny zabił własny uror. Twierdził, że o tym czytał, ale co, jeśli...?

Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Uror to czysta magia, mówił Rendborne. Co spotkało człowieka, który go zabił? Czy magia została uwolniona? Czy mogła w jakiś sposób zostać uwięziona, tak jak magiści zamykają zaklęcia w kamieniach? Chciał spytać Raitha, ale nie odważył się w obecności tak wielu osób. Nie kiedy w zamkowej stajni przebywał żywy uror.

– Mam powód w to wierzyć – rzekł i skinął na Dala. – Wiemy, że Rendborne'a łączą też bliskie więzy z maestrą Vikas, byliśmy z Dalem świadkami ich skrywanego romansu.

– Doskonale. – W głosie Raitha dźwięczały zdumienie i rezygnacja. – Znamy już tożsamość naszego wroga. Ale potrzebujemy więcej.

Corwin cofnął się, pozwalając magiście podjąć przesłuchanie. Wciąż rozmyślał o Rendborne. Prawda nie przyniosła ze sobą satysfakcji – nie mógł zrozumieć, dlaczego. Jeśli Rendborne był Bezimiennym, bratem Morwena, synem Rowana, to należał do rodu Thormane i do przodków Corwina. Czemu miałby zdradzić Rime Sevie? I jakim cudem wciąż żył? Chyba że naprawdę stał się bogiem. Ale w to Corwin nie chciał uwierzyć.

Świadom, że dziś nie pozna odpowiedzi, skupił uwagę na przesłuchaniu. Raith naciskał na złotego, próbując poznać szczegóły dotyczące twierdzy, wejść i wyjść, tego, gdzie trzymają Kate i pozostałych i gdzie najpewniej znajdą Rendborne'a.

– Co z nim teraz zrobimy? – spytał Dal, gdy wycisnęli z niego wszystko do ostatniej kropli.

– Zabierzemy do Norgardu jako naszego więźnia – odrzekł Raith. – Stanowi dowód zdrady złotych i Rendborne’a.

Corwin już miał się na to zgodzić, nie zdążył jednak, bo stojący naprzeciwko Francis chwycił wiszący u pasa miecz i wbił go prosto w serce złotego. Tamten wydał tylko gulgoczący jęk i runął na ziemię. Corwin wpatrywał się w dzikuna, wstrząśnięty takim pokazem zimnej przemocy.

– Nie wracamy do Norgardu. – Francis popatrzył wyzywająco na Raitha. – Powstanie skończyło z czekaniem i trwaniem w ukryciu. Nie potrzebujemy dowodów. Jesteśmy tu, by walczyć, by skończyć z tym zagrożeniem.

– To jest arcyksiążę. – Raith wskazał Corwina energicznym skinieniem głowy. – Może skończyć z inkwizycją metodami dyplomatycznymi, bez konieczności walki i dalszych ofiar. To już trwa zbyt długo.

– Zbłąkany Książę nigdy nie zostanie królem, zwłaszcza teraz, gdy dołączył do nas. – Francis podparł się pod boki. – Musimy sami zaprowadzić zmiany. Czas stanąć do walki.

Nie dołączyłem do was, pomyślał Corwin, jeszcze nie. Ale wściekłość mężczyzny coś w nim poruszyła. Trawiąca go nienawiść różniła się od nienawiści Edwina, była efektem cierpienia i poniżenia.

Raith westchnął z rezygnacją.

– Najpierw musimy uratować Kate, Bonnera i Signe, nim Rendborne zdoła ich wykorzystać, by uzbroić siebie i Sevę. Chwilowo to największe niebezpieczeństwo. Gdy znajdą się już z nami, zdecydujemy, co robić dalej.

Corwin wstrzymał oddech. Spodziewał się, że Francis zaprotestuje, ale potężny mężczyzna milczał. Mimo wszystko zdawało się, że powietrze między nim a Raithem aż wibruje od napięcia. Corwin domyślił się, że nie jest to ich pierwsze starcie.

Chwilę później magista poprosił Corwina o słówko na osobności. Wycofali się w miejsce, gdzie uwiązali konie, bo tylko tam nikt nie mógł ich podsłuchać.

– Pomożesz mi w tym, Wasza Wysokość? – spytał Raith.

– W czym? Jeśli masz na myśli Powstanie, to...

– Nie, nie w tym. – Raith uciszył go szybkim gestem. – Nie mam pojęcia, jak jutro dostać się do twierdzy i wyjść z niej cało. A jak widzisz, trzeba chronić wiele osób. – Machnął ręką, wskazując cały obóz, w którym zrobiło

się gwarniej: ludzie szeptali o tym, co się wydarzyło, rozkładając legowiska, podając sobie butelki wina, chleb i solone mięso.

Corwin pogładził palcem bliznę na brodzie. Poczuł ucisk w brzuchu.

– Chcesz, żebym wami dowodził?

Raith przytaknął.

– Nadajesz się do tego lepiej ode mnie. Znasz się na strategii. Moją siłą jest obrona, nie atak.

– Ale przecież słyszałeś Francisa. Widzą we mnie tylko Zbłąkanego Księcia.

Raith przyspilił go ostrym spojrzeniem.

– Zatem musisz im pokazać, że jesteś kimś więcej.

– Jak? – Corwin czuł, że dłużej nie usiedzi w miejscu. Podszedł do Zwiastuna Nocy, odnajdując otuchę w obecności konia, jedynym pewnym punkcie w nieustannie zmieniającym się świecie.

– Pokazując, że ich słuchasz, Wasza Wysokość. To jedyny sposób, by dowodzić. – Raith westchnął. Corwin spojrzał na niego i zobaczył, że magista przygląda się własnym poczerniałym koniuszkom palców. Raith uniósł wzrok, twarz miał mroczną, wyraźnie trawiły go emocje. – Nie możesz pozwolić, by inni określali, kim masz być. To lekcja, którą odrabiam od urodzenia. – Wskazał piętno Cieniorodzonego na swej twarzy. – Gdy ludzie to widzą, widzą coś, co budzi w nich lęk. Moi rodzice wierzyli w przesady tak głęboko, że gdy byłem zaledwie małym dzieckiem, zabrali mnie poza mury miejskie i porzucili w śniegu na śmierć. Omal nie umarłem. – Pokiwał palcami i Corwin pojął, że to ślady odmrożeń.

Przełknął głośno z gardłem ściśniętym litością i żalem.

– I co się stało?

– Znalazł mnie pewien magista. To był mistrz uzdrowiciel, tylko dzięki niemu nie straciłem wszystkich palców u rąk i nóg. – Raith uśmiechnął się, w jego oczach zalśniło coś jakby łzy. – Zielony zabrał mnie do tamtejszego sierocińca, przyjęli mnie, ale tylko dlatego, że był magistą i nalegał. Odtąd co roku sprawdzał, czy sprawiedliwie mnie traktują.

Oczywiście nie traktowali. Ale zielony powtarzał mi raz po raz, że jedyny sposób na to, bym stał się kimś, na kogo wybrali mnie bogowie, to pozostać wiernym temu, czym jestem, wykuć sobie własny los, samodzielnie podejmując decyzje. I oto jestem tu. – Skinął głową w stronę obozu. – Magista pomagający dzikunom. Dlatego właśnie położyłem na szalę

wszystko, co mam, by poprawić życie tych ludzi. Dzikuni mogą stać się więcej niż tylko mocą, z którą przychodzą na świat. Jeśli zechcemy wysłuchać ich słów, ujrzymy ich prawdziwe oblicza, dostrzeżemy, co robią, a nie co mogą zrobić. A ty, książę Corwinie, możesz stać się kimś większym niż twój tytuł. Musisz jedynie sam tego pragnąć. Poprowadź nas.

W głowie Corwina natychmiast pojawiły się wszystkie powody, dla których powinien odmówić.

Ujrzał twarze towarzyszy z Jastrzębi Tarczy, usłyszał ich imiona szeptane do ucha, znów zobaczył sevańskiego chłopca-żołnierza i po raz pierwszy przypomniał go sobie dokładnie, bez zasnuwającej oczy mgły uczuć. Może Dal miał rację, może chłopak ich nie zdradził, może w żaden sposób nie zdołałby uniknąć tego, co się zdarzyło owej nocy. Nauczyciele, nawet jego własny ojciec, często powtarzali tę lekcję: w bitwie można tylko walczyć i zwyciężyć, albo walczyć i przegrać. To ryzyko, które podejmuje się za każdym razem, wkraczając do działania.

– Naprawdę sądzisz, że za mną pójdą? – spytał Corwin.

– Jeśli pokazesz im, że ich rozumiesz, i postawisz pierwszy krok, oni postawią drugi – odparł Raith. – Jutro zobaczą, jak narazasz życie, by ratować dzikunów, i w ich oczach staniesz się kimś więcej niż tylko Zbłąkanym Księciem. Staniesz się naszym księciem, a pewnego dnia zostaniesz naszym królem. Rime nie zaleczy ran, póki będzie podzielone: dzikuni przeciw magistom. Ale ty możesz nas połączyć.

Corwin usłyszał niewypowiedziane słowa: zostań królem, który uwolni dzikunów, który zakończy ich cierpienia. Który znów zjednoczy i uleczy Rime.

Zerknął na mrowiącą dłoń oznaczoną wyraźnym piętnem uroru. Opuścił ją i chwycił rękojeść rewolweru u pasa.

– Będziemy musieli działać szybko – oznajmił. – Atakujemy o świcie.

Rendborne dotrzymał słowa. Gdy Kate wydobyła z umysłu Signe tajemnicę przepisu na czarny proch, uleczył większość jej ran – to jest te, które dały się uleczyć. Kate nie musiała pytać, wiedziała, że Signe zawsze już będzie nosić bliznę na twarzy, a żadna magia nie zdoła poskładać zmiażdżonych kości stopy.

Podczas gdy Rendborne pracował nad Signe, złoci odprowadzili Kate i Bonnera do ich klatek. Żadne z nich się nie odzywało. Bonner wyglądał, jakby odjęło mu mowę. Choć Kate znów miała na szyi obrozę i nie słyszała jego myśli, wciąż czuła, że wraz ze śmiercią ojca coś ważnego w nim pękło. Wyglądał, jakby miał ochotę położyć się i odejść. Kate doskonale to rozumiała. Przez nią zginął jego ojciec, to jej opór sprawił, że przyjaciel tak wiele utracił.

Walczyła z przygnębieniem. To nie może być koniec wszystkiego. Póki może oddychać, myśleć, działać, istnieje szansa, że przeżyje. Słaby płomyk nadziei tłący się wewnątrz zawdzięczała Signe. Gdy wtargnęła do umysłu przyjaciółki, ta przyjęła ją chętnie, w jasnym blasku jej jaźni, hipnotyzującym mimo potwornego bólu. Z początku ból Signe oszołomił Kate, potem jednak zdołała go znieść i wkrótce odkryła, że się nim dzieli. Bolało, ale ulga, jaką wyczuła w Signe, dała jej dość sił, by to znieść.

Tak mi przykro, pomyślała, posyłając słowa wprost do umysłu przyjaciółki. *Niepotrzebnie*, padła odpowiedź. No tak, musimy być silne. Musimy walczyć. Niezłomność Signe, nawet po tym wszystkim, co wycierpiała, dała też siłę Kate.

Lecz siła ta szybko słabła – jeszcze szybciej, gdy pojawili się dwaj złoci dźwigający Signe. Stopę zabandażowano jej tak grubo, że wydawała się dwa razy większa niż zwykle. Dziewczyna chyba znów zemdląła, bo głowa zwisała jej bezwładnie na piersi. Złoci wcisnęli ją do pustej klatki obok Kate, rzucając na ziemię niczym worek zboża. Kate zacisnęła zęby, żeby na nich nie wrzasnąć.

Kiedy odeszli, podsunęła się na brzeg klatki.

– Signe, nic ci nie jest?

Przyjaciółka nie odpowiedziała.

Kate przycisnęła twarz do prętów, metal kasał jej skórę niczym zimne, tępe zęby.

– Signe, proszę, niech nic ci nie będzie.

– Nie jest dobrze – odparła bełkotliwie Signe. – Ale będzie, kiedy stąd uciekniemy.

Jak? Kate zagryzła wargę, by nie powiedzieć tego głośno, bała się, że przyjaciółka usłyszy w jej głosie rozpacz.

– To może nam pomóc. – Signe podpełzła do niej i podała jej klucz do obroży. Kate zachłysnęła się, oszołomiona.

– Skąd go wzięłaś?

– Rendborne to arogancki głupiec. Powinien był mi połamać rękę, a nie stopę.

I wtedy Kate zrozumiała.

– Ukradłaś go teraz złotemu?

– To łatwiejsze niż zonglerka nożem.

– Signe, mogłabym cię ucałować.

– Później, najpierw musimy się stąd wydostać.

Roztrzęsionymi dłońmi Kate odebrała klucz od przyjaciółki i zaczęła macać swoją obrożę, aż znalazła zamek. Klucz wsunął się, stawiając lekki opór, ale gdy go przekreśliła, usłyszała szcęk zwalnianego mechanizmu, a okalająca jej gardło obroża otworzyła się i byłaby spadła. Na szczęście Kate złapała ją i przytrzymała na miejscu, bo właśnie jeden ze złotych przechodził obok klatki. Kiedy zniknął, zdjęła obrożę, napawając się nagłą swobodą. Znów czuła swoją magię, choć o tak późnej porze pozostawała ona uśpiona. Rankiem jednak zdoła się nią posłużyć.

Odurzona radością ponownie zamknęła obrożę, aby nikt przechodzący obok niczego nie zauważył. Następnie przesunęła się na drugi koniec klatki i zawołała Bonnera. Kowal leżał na ziemi odwrócony tyłem do niej, ukrywając twarz w dłoniach.

Nie odpowiedział, zawołała więc ponownie łamiącym się głosem:

– Bonner, Signe ukradła klucz do obroży. Możemy uciec, ale potrzebna nam twoja pomoc.

Brak odpowiedzi.

– Proszę, bez ciebie nie damy rady. Proszę.

Bonner odetchnął głęboko i powoli usiadł.

– Co mam zrobić?

Kate wzdrygnęła się, słysząc jego głos. Nie przypominał wiecznie pełnego nadziei optymisty, raczej mroczne, samotne stworzenie, obce i nieznanym. Nie zważając na ból rozsadzający jej serce, podała mu klucz. Przez sekundę obawiała się, że go nie weźmie, w końcu jednak wyciągnął rękę i chwycił go szorstkimi palcami. W chwilę później zdjął z szyi obrozę.

– Czy rano zdołasz wygiąć pręty?

– Tak, ale musimy to przemyśleć. Nie przebijemy się w walce przez tak wielu złotych, a Signe sama stąd nie wyjdzie.

Kate usiadła, a myśli wirowały jej w głowie. Bonner miał rację, nigdy nie przebiją się w walce i nie będą mogli poruszać się zbyt szybko, bo jedno z nich będzie musiało dźwigać Signe. Potrzebowali czegoś, co odwróci uwagę złotych. Gdyby tylko Vianne tu była, mogłaby podpalić to miejsce, ale z pewnością zdążyli już odjechać z Kiranem bardzo daleko.

Kate wypuściła powietrze i rozejrzała się po sali, próbując wymyślić rozwiązanie. I wtedy jej wzrok padł na czarne gadźce drzemące w klatkach i poczuła nowy przypływ nadziei.

– Gadźce – starała się nie podnosić głosu.

– Co z nimi? – spytał Bonner oparty o bok klatki, oczy miał zamknięte.

– Jeśli zdołasz otworzyć ich klatki, mogę je zmusić, żeby zaatakowały złotych. – Uniósł lekko powieki i zobaczyła w jego oczach czerwień.

– Jesteś pewna?

– Tak, będzie jak w Thornewall. – Nie wątpiła w swoje słowa.

– Zgoda – rzekł i powieki znów mu opadły. – Rano ruszamy i nigdy tu nie wrócimy.

Kate skrzywiła się. Co by dała, żeby jakoś złagodzić jego ból.

– Powinniśmy spróbować się przespać, póki jeszcze możemy.

Bonner wymamrotał coś potwierdzająco i umilkł. Kate prześliznęła się na tył klatki i położyła. Mimo zmęczenia sen długo nie przychodził. Jej umysł wciąż odtwarzał wydarzenia tego dnia. Widziała, jak ojciec Bonnera pada zabity bez chwili nawet zawahania się mordercy. Widziała fioletową krew własnego ojca na szyi Rendborne'a i słyszała drwiące słowa Vikas, która wspominała, jak wysączyła z niego życie i szczyciła się, że to ona zastawiła pułapkę w umyśle króla Orwina. W sercu Kate płonęła nienawiść. Dopiero po długim czasie jej rozbudzony umysł uspokoił się dostatecznie, by osunęła

się w otchłań nieświadomości.

Z upływem godzin sen stawał się coraz głębszy, nagle jednak wyrwał ją z niego gwałtowny wybuch, niczym piorun uderzający o urwisko. Ściany klatki zatrzęśły się, ze sklepienia posypały się odłamki kamieni i kurz. Kate usiadła.

– Co się dzieje?

Kate podpełzła na przód klatki. Z boku usłyszała śmiech Signe.

– Przypuszczam, że Rendborne właśnie wypróbował swój czarny proch. Jeśli nie pomyliłam się w obliczeniach, nie poszło mu najlepiej.

Kate uniosła brwi.

– Skłamałaś co do mieszanki?

Signe przesunęła się bliżej i Kate ujrzała jej opuchniętą, okaleczoną twarz.

– Już mówiłam, że prędzej umrę, nim ujawnię ten sekret komukolwiek. Taka jest moc Seerah. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym chyba właśnie mamy coś, co odwróciło ich uwagę.

Oszołomiona Kate gapiła się na nią z podziwem.

– Ruszajmy. – Bonner sięgał już do obroży, wsuwając klucz. Kilku złotych przebiegło obok, pędząc w stronę wybuchu.

Uwolnwszy się z obroży, Bonner z pomocą swej magii rozerwał kajdany na przegubach i stopach. Kolejnym ruchem dłoni wygiął pręty klatki, tworząc otwór. Przecisnął się przez niego, potem to samo zrobił z klatką Kate i uwolnił ją z kajdan i obroży. Przepelzła przez wygięte pręty i natychmiast odwróciła się, by pomóc Bonnerowi z Signe.

– Musimy zarzucić mi ją na plecy – oznajmił kowal, delikatnie przesuwając dziewczynę ku Kate, która wyciągnęła ręce, by ją podtrzymać.

Signe wsparła się na niej ciężko, a Bonner odwrócił się do nich plecami i przykucnął. Kate podprowadziła Signe, każdemu krokowi dziewczyny towarzyszył ból. Pomogła jej wdrapać się na plecy Bonnera, popychając i podsadzając ją ze wszystkich sił.

– Na pewno ją tam utrzymasz? – spytała. Obrażenia nie pozbawiły Signe hartu ducha, ale fizycznej siły owszem.

– Dam radę. – Bonner dźwignął ją wyżej, obejmując posiniaczonymi rękami jej nogi. – Trzymaj się tak mocno, jak tylko zdołasz, Sig.

Przytaknęła, krzywiąc się z bólu, ale zacisnęła uchwyt na jego ramionach. Pochylony do przodu Bonner unióśł rękę ku najbliższym klatkom dziennych gadźców.

Zagrzmiał kolejny wybuch i odruchowo uskoczyli, tym razem jednak dźwięk pochodził spoza budynku. Po nim nastąpiły kolejne, posyłając im na głowy świeży deszcz kamyków.

– Wynośmy się stąd! – zawołała Signe, która nie mogła się osłaniać, bo ręce miała zajęte.

Pobiegli w stronę najbliższego wyjścia, zapominając o gadźcach. Nie musieli już odwracać uwagi złotych, skoro coś atakowało fortecę. To wystarczyło aż nadto. Magiści pędzili już do wyjścia, krzycząc coś o napaści.

Następny wybuch nastąpił, gdy dotarli do drzwi wiodących na korytarz, był bliższy i znacznie głośniejszy. Część sklepienia za ich plecami zapadła się, wzbijając w powietrze chmurę kurzu i rozwalając rząd klatek. Zamknięte w nich gadźce wrzasnęły, szybko jednak uciszył je spadający gruz.

Bonner przyspieszył, teraz biegł już truchtem. Signe jęczała z bólu przy każdym kroku, ale wciąż się trzymała, a Kate podążała za nimi. Nie wiedziała, jak zdołają wyjść, skoro tak wielu złotych zmierzało do jedynych drzwi. Na korytarzu przekonała się jednak, że w zewnętrznym murze ziele co najmniej pół tuzina olbrzymich dziur. Zbyt wiele, by złoci zdołali je zablokować. Na ten widok poczuła nadzieję, tylko magia dzikunów mogła dokonać czegoś takiego.

– Bonner! – zawołała. – Tędy!

Wskazała największy z otworów, wystarczająco duży, by zdołali przez niego przejść. Do środka z zewnątrz wpadało jasne światło poranka. Bonner, pochylony nisko, by Signe też się zmieściła, pierwszy wydostał się na dwór. Kate pospieszyła za nimi, wciągając w płuca rześkie, świeże powietrze.

Znaleźli się na dziedzińcu. Wokół był straszny hałas i waliły się mury. Przed Bramą Piekieł toczyła się bitwa złotych z dzikunami. Przybyło Powstanie.

I Corwin.

Serce Kate podeszło do gardła, gdy zobaczyła go w samym środku zamętu. *Przyszedł po mnie.* I walczył wraz z Powstaniem, ramię w ramię z dzikunami. W jednej dłoni trzymał miecz, w drugiej tarczę, niewielką, okrągłą, jarzącą się magią magistów. Patrzyła, jak z jej pomocą odbija zakłęcie, potem odwrócił się do napastnika i powalił go jednym cięciem.

Obok niego Raith zaatakował złotego czarem, za nim hydrystka posyłała ku przeciwnikom potężne strugi wody.

Inni dzikuni ciskali kulami ognia i błyskawicami, jeszcze inni walczyli

wiatrem czy samą ziemią. To właśnie ci ostatni powodowali wybuchy, wyrывая z ziemi olbrzymie skały i ciskając nimi w mury. Złoci walczyli, rzucając zaklęcia bądź atakując wręcz – maczugi przeciw mieczom i włóczniom.

Patrząc, jak walczą, Kate po raz kolejny przekonała się, że to, co Raith mówił kiedyś na temat magii dzikunów i magistów niwelującej się nawzajem, to prawda. Za każdym razem, gdy błyskawica, poryw wiatru bądź ogień spotykały się z zaklęciem magisty, dwie moce rozplýwały się, pozostawiając nicość. Tylko pośrednie ataki mogłyby być skuteczne. Tymczasem jednak większość uczestników bitwy zaczęła walczyć wręcz.

– Kate! – krzyknął Corwin, zauważywszy ją w końcu. Ruszył ku niej, Dal zrobił to samo moment później, wbijając wzrok w Signe.

Jakiś złoty skoczył ku Corwinowi, unosząc maczugę. Kate, która zorientowała się, że Corwin go nie widzi, uniosła rękę i sięgnęła mocą zwodzenia, przechwytyjąc umysł tamtego. *Śpij*, pomyślała. Runął na ziemię jak martwy.

Dotarłszy do niej, Corwin odwrócił się i krzykiem nakazał odwrót. Pozostali dzikuni usłyszeli go, przekazując rozkaz dalej. Wstrząśnięta Kate zorientowała się, że wielu z nich to ludzie bardzo młodzi, niemal dzieci. Starła się nie patrzeć na tych, którzy polegli. Nie tylko złoci zginęli przy Bramie Piekieł.

Dal odebrał Signe Bonnerowi, tuląc ją w ramionach, tymczasem kowal, Kate i Corwin utworzyli krąg wokół nich.

Razem zaczęli powoli wycofywać się w stronę murów, za którymi Kate ujrzała czekające konie. Prawie dotarli na miejsce, ale złoci starali się ich otoczyć, a było ich naprawdę wielu, za to dzikunów tylko kilku. *Nigdy nam się nie uda.*

Nagle jej umysł wypełniło poczucie, że coś jest nie tak, ostrzeżenie. Dienne gadźce. Gdy tylko sprecyzowała tę myśl, przez dziurę wybitą w murze fortecy wysypało się całe stado, pędząc ku nim. Przez moment strach ją ogłuszył, potem odzyskała rozsądek i sięgnęła ku najbliższemu swojej mocą. Przekazana wiadomość była prosta – atakujcie wszystko, co złote i co się rusza. Gadźce posłuchały, chwilę później magiści przestali napierać na dzikunów, zmuszeni walczyć z nowym zagrożeniem.

Kate zatrzymała się i podniosła upuszczony przez kogoś miecz; podobnie jak tarcza Corwina lśnił magią magistów.

Uniosła go, gotowa odbić każdy atak. Obejrzała się na złotych, skupiona na osłanianiu Dala i Signe. Tamci, choć zajęci, zdecydowanie zbyt szybko pokonywali gadźce, wyglądało na to, że mają specjalne zaklęcia pozwalające im powalać te bestie.

Szybciej, pomyślała Kate. Tak bardzo chciała puścić się biegiem, nagle jednak pragnienie ucieczki przygasło, bo dostrzegła maistrę Vikas walczącą z gadźcem parę kroków dalej. Na jej szyi wisiał kryształ z krwią ojca. Kate przestała myśleć rozsądnie, zapomniała o obawach i lęku o przyjaciół, czuła tylko ślepą nienawiść, czerwoną jak zawartość kryształu.

– Kate! – krzyknął za jej plecami Corwin. – Co ty robisz?

Słyszała jego słowa, ale były jak cień wspomnienia, nic nie mogło równać się z tym, co teraz czuła. Wbijając wzrok w Vikas, skoczyła naprzód. Vikas zobaczyła ją i uniosła maczugę. Posłała zaklęcie, Kate odbiła je mieczem, zaklęcie zasyczało i zgasło trafione klingą. Jednocześnie zgasła część magii ostrza. Kate wiedziała, że nie zdoła się bronić zbyt długo. Sięgnęła ku umysłowi najbliższego dziennego gadźca. Dotyk owych śliskich, chorych myśli wzbudził w niej mdłości.

Wezwała go do siebie. Posłuchał, wraz ze wszystkimi pozostałymi przy życiu. Niemal tuzin bestii wyroił się przed nią niczym sfora świetnie wyszkolonych psów strażniczych.

Odchylona na bok, ledwie widziała, co się dzieje ponad ramionami stworzeń. Wyraz twarzy Vikas zmienił się, magistka na moment straciła zimną pewność siebie. *Tak, bój się*, pomyślała Kate, *idę po ciebie*. Ponownie dotykając umysłów gadźców, rozkazała im zabić maistrę.

Posłuchały, pędząc naprzód, ich skowyty rozdzierały powietrze niczym błyskawice.

– Złoci do mnie! – wrzasnęła Vikas, przeszywając zaklęciem najbliższego. Magiści zebrali się dookoła przywódczyni, zabijając kolejne gadźce.

Kate wyczuła za sobą pozostałych idących z pomocą. Złoci obrócili się, by stawić czoło nowemu zagrożeniu, tymczasem Kate nadal zbliżała się do Vikas. *Oddał mi wszystko co do kropli, nim kat pozbawił go głowy*. Usłyszała w głowie jej słowa, przypomniała sobie, z jaką satysfakcją i dumą mówiła to maestra. *Twojego ukochanego Lorda Wznosiciela tu nie ma, już ci nie pomoże*, pomyślała. Nigdzie nie widziała Rendborne'a, przypuszczała, że bóg nie zawraca sobie głowy takimi drobiazgami jak bitwa. A może został ranny w wybuchu. Oby.

Vikas rzuciła kolejne zaklęcie i ponownie Kate odbiła je mieczem. Klinga już całkiem zgasła, ale nie miało to znaczenia, jeszcze krok i znajdzie się w zasięgu ciosu. Wszystkie godziny poświęcone szkoleniu podczas służby w poczcie, lata trenowania ciała powróciły. Wszystko zmierzało ku tej jednej walce. Teraz zemści się na kobiecie, która torturowała jej ojca, która zastawiła na niego pułapkę, pozbawiła go krwi i zniewoliła nawet po śmierci.

Kate znalazła się na tyle blisko, by Vikas nie miała już miejsca na magię i musiała zacząć używać maczugi jak prawdziwej broni. Kate uniosła miecz i dźgnęła, celując w brzuch mastry. Ta odbiła cios, potem odpowiedziała uderzeniem w górę. Kate zablokowała je, tnąc w dół, w deszczu iskier, gdy metal zderzył się z metalem. Nigdy nie walczyła z przeciwnikiem uzbrojonym w maczugę, ale nie miało to znaczenia. Cel pozostawał ten sam – zabić albo zginać. Pchnęła ponownie, wyżej i czubek ostrza skaleczył Vikas w ramię, nim ta zdążyła odparować. Kobieta z wrzaskiem odskoczyła poza zasięg miecza. Na złotej szacie rozkwitła czerwona plama.

Kate śmignęła naprzód, tym razem cięła od lewej, ale była to tylko finta i gdy Vikas spróbowała zablokować cios, Kate zamierzyła się z prawej i przebiła bok mastry, która z wrzaskiem poleciała na bok. Odpowiedziała jednak ciosem, trafiając Kate w ramię główką maczugi. Ból na moment oślepił Kate, o mało nie upuściła miecza, gdy instynktownie chciała chwycić zranioną rękę. Wtedy jednak zobaczyła kryształ na szyi Vikas i nowa fala wściekłości zagłuszyła ból.

Ponownie uniosła miecz i cięła niezdarnie, ale mocno. Vikas odtoczyła się, po czym dźwignęła z ziemi, przyciskając rękę do krwawiącego boku. Kate zamachnęła się ponownie, najpierw z lewej, potem z prawej, z dołu, z góry. Niestrudzenie ścigała mastrę, a nienawiść dodawała jej sił i sprytu. Vikas walczyła, jasne włosy lepiły się jej do spoconej twarzy, policzki płonęły czerwienią. Stopniowo jednak słabła, rany ramienia i boku wciąż krwawiły, mięśnie męczyły się. Kate wiedziała, że powinna czuć to samo, a jednak miała wrażenie, że jest silniejsza niż wcześniej, jak gdyby każdy cios odnawiał jej zasoby energii. Mogła to robić wiecznie. Ile tylko trzeba.

Z okrzykiem furii znów cięła, wkładając w to całą siłę. Cios trafił Vikas w przegub tuż nad dłonią dzierżącą maczugę. Klinga przecięła skórę i kość, odrąbując ostatecznie dłoń mastry. Vikas runęła na kolana, zaciskając drugą rękę wokół kikuta.

Kate pochyliła się ku maestrze i chwyciła ramię, na którym wisiał

krwawy kryształ. Szarpnęła, zrywając go, a potem bez namysłu, sama nie wiedząc, co zamierza, zanurkowała w umysł Vikas. Otoczyła ją panika, ból i groza. Przez sekundę omal się w nich nie zatraciła, zaczęła walczyć z uczuciami, a przy okazji wychwytywać wspomnienia, obrazy z życia kobiety. Żądza wiedzy towarzyszyła Vikas od początku, popychając ją do nieludzkich postępów. Najpierw torturowała zwierzęta, zarówno zwykłe stworzenia, jak i nocne gadźce, badała moc ukrytą w ich krwi. Potem skupiła się na ludziach, eksperymentując na dzikunach. Cały ten czas usprawiedliwiała swoje czyny bogactwem wiedzy, którą zdobywała. Na długo przed Rendbornem Vikas przekroczyła granice, za które nie śmiał zapuszczać się żaden moralny człowiek.

Przez sekundę Kate miała ochotę wycofać się z niesmakiem, potem jednak zmusiła się, by wniknąć głębiej, czerpiąc siłę ze strachu mastry. Krańcowo podsyciła swoją magią te uczucia. Vikas zaczęła dygotać, ogłuszona atakiem, patrzyła ślepo przed siebie, bezgłośnie otwierając usta.

Uzyskawszy pełnię władzy, Kate zaczęła szukać centrum jaźni mastry, owego jaśniejącego, pełnego życia płomienia, esencji tego, czym była, jej siły życiowej. Gdy je znalazła, pochwyciła magią. *To za Signe i Bonnera. Za wszystkich, których kiedykolwiek skrzywdziłaś. To za mojego ojca.* Posłała te słowa wprost do umysłu Vikas, by ta zrozumiała, zabierając ze sobą osąd poza granice śmierci. A potem całą swą mocą zgasiła blask Vikas, jakby zdmuchnęła świecę.

Maestra wydała jeden dźwięk, jęk zdumienia, a potem runęła na twarz i pozostała na ziemi, milcząca i nieruchoma. Kate wstała powoli, roztrzęsiona. Szok po tym, co zrobiła, nie pozwalał jej myśleć, w jej ciele wciąż pulsowała moc.

Czuła się jak burza, jak siła natury gotowa zniszczyć wszystko, co ośmieli się stanąć jej na drodze.

W powietrzu za nią zadźwięczał krzyk furii. Odwróciła się w porę, by ujrzeć pędzącego ku niej Rendborne'a. Gniew wykrzywił mu rysy, złote oczy błyskały w promieniach słońca. Tak jak wcześniej, Kate poczuła nagle, że jego obecność ją fascynuje, hipnotyzuje, straciła własne poczucie mocy i celu. Nic nie mogła poradzić, musiała poddać się temu człowiekowi, temu bogu w ludzkim ciele. Bezradnie osunęła się na kolana.

Jak przez mgłę zorientowała się, że walka ustała. Wraz z przybyciem swego pana złoci wycofali się. Corwin, Bonner, Raith i inni pozostali przy

życiu dzikuni stłoczyli się wokół Kate, jakby zamierzali jej bronić przed tym człowiekiem.

Na ich widok Rendborne uniósł prawą rękę i machnął w prawo, potem w lewo. Z jego palców wystrzeliła magia, której siła powaliła wszystkich wciąż trzymających się jeszcze na nogach. Kątem oka Kate zobaczyła, jak Corwin leci do tyłu i z jękiem bólu ląduje ciężko na plecach.

– Coś ty zrobiła?!

Rendborne dotarł do Kate. Dostrzegła oparzenia na jego dłoniach i twarzy, pozostałości podstępny Signe. Widok ten jednak nie sprawił jej satysfakcji.

Rendborne wpatrywał się w martwą twarz Vikas, w jego oczach błysnęło coś jakby żal. Najwyraźniej potwór był jednak zdolny do miłości, cokolwiek ona dla niego znaczyła. Kate ucieszyło to, ucieszyła świadomość, że zadała mu ból. Człowiekowi odpowiedzialnemu za tak wiele śmierci i cierpienia. Wiszący na jego szyi krwawy kryształ zdawał się z niej drwić, lecz nic nie mogła na to poradzić. Wiedziała, że Rendborne'a nie da się zatrzymać.

Jakby na dowód tego, kiedy dzikuni stojący najdalej zaczęli go atakować, on każdą próbę odparowywał prostym skinieniem ręki, zupełnie jakby opędzał się od much. A potem sam odpowiadał magią. Pirystę, który odważył się zaatakować go ogniem, podpalił. Hydrystkę, próbującą wyciągnąć wodę z jego krwi, utopił w strumieniu wody tryskającej z jego dłoni. Aerysta udusił się w wirze wiatru.

A potem Rendborne odwrócił się do Kate.

– Teraz widzę, dlaczego przyjaciele cię kochają, Kate Brighton. Są gotowi za ciebie umrzeć – oznajmił. – I umrą.

Wszyscy.

Cofnął się o kilka kroków, by mieć w zasięgu wszystkie ofiary. Powoli uniósł ręce, składając je razem. Kate ujrzała blask przenikający między palcami, magię narastającą wokół znaku uror. A potem podniósł dłoń i wypuścił pełną siłę swojej mocy. Prosto w nią. Prosto w nich wszystkich.

CORWIN

Corwin leżący na ziemi uniósł głowę, wbijając wzrok w stojącego niedaleko mężczyznę. Wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom. Rendborne. Jeden z Thormane'ów. A przecież, gdy tak się teraz przyglądał, dostrzegł coś znajomego w jego rysach, pewne podobieństwo. To jest Bezimienny. Bóg w ludzkim ciele. Przez moment Corwin niemal w to uwierzył. Nigdy wcześniej nie widział podobnej mocy. Jednym ruchem dłoni ten człowiek był w stanie powalić armię. Zdawało się, że nic go nie powstrzyma. Corwin mógł więc jedynie leżeć i czekać, aż nadejdzie koniec.

Nie. Jedno spojrzenie na Kate wystarczyło, by zrozumiał, że nie potrafi tak postąpić. Nie mógł na to pozwolić.

Podniósł się nieco, widząc magię nabierającą mocy w złożonych dłoniach Rendborne'a. Na prawej dłoni widniał znak uroru. Corwin go nie widział, ale czuł, czuł w pieczeniu własnej dłoni, jakby piętna przyzywały się nawzajem.

Rendborne uniósł prawą rękę. Corwin skoczył na równe nogi i wyciągnął ramię, jakby zamierzał przechwycić zakłęcie niczym ciśniętą włócznię. Magia, biała i jasna jak słońce, wystrzeliła z dłoni Rendborne'a, z płonącego znaku uroru. Kierując się instynktem, który do niego nie należał, Corwin sięgnął ku niej i chwycił we własną dłoń, własny znak.

Jego ciało, umysł, duszę, przeszły błyskawica agonii. Czuł, jak magia płonie w każdej cząstce jego istnienia, potężna siła próbująca go rozszarpać. Krzyknął, lecz magia pochłonęła ów dźwięk. Przez umysł przemknęły mu obrazy, miejsca, których nigdy nie odwiedzał, twarze, których nie znał. Wspomnienie nienależące do niego. Zobaczył Rendborne'a jako młodego mężczyznę, młodego księcia i dziedzica. Widział znak uroru, wielkiego orła o czarnych i białych piórach. Czuł nienawiść Rendborne'a, jego strach przed tym stworzeniem i wszystkim, co sobą symbolizowało, co mogło znaczyć.

Wątpił w siebie, nie znosił tego okropnego uczucia, jakie wywoływał w nim znak. Nade wszystko pragnął uciec i uznał, że zabicie orła to jedyny sposób. Nie wiedział jednak, co się wydarzy. Nie wiedział, jak zareaguje magia – że wniknie w niego, anektując go jako nowe naczynie, a jej sama

natura się zmieni.

Początkowo zepsucie magii następowało powoli, niczym przewlekła choroba. Najwyższa kapłanka wygnała go za zdradę i brata ogłosiła dziedzicem. Wymazali jego imię ze wszystkich ksiąg. Włóczył się bez celu, zagubiony, samotny, a magia stopniowo go pochłaniała, aż w końcu rozdarła na dwoje. Umarł, lecz magia nie odpuszczała. Potrzebowała naczynia.

Złożyła go z powrotem, złamanego, zepsutego, a jednak potężniejszego niż jakikolwiek człowiek.

Nauczył się znów żyć, ale zło owej siły, podtrzymując go, jednocześnie go pochłaniało, rok za rokiem. Jego moc zamiast słabnąć, rosła, a nienawiść wraz z nią, aż w końcu pragnął już tylko ujrzeć upadek Rime i jego mieszkańców, widzieć, jak cierpią i są niewoleni, a on w końcu będzie mógł nad nimi zapanować. Tak jak mu to było pisane.

Pracował latami, snując własne plany, tymczasem na tron wstąpił kolejny Thormane, a potem następny. Zepsucie jednak nauczyło go cierpliwości, aż w końcu zawiązał niezbędne sojusze z Magmarem Fane'em, królem bogiem, maestrą Vikas i im podobnymi. Przyciągał do siebie każdego, kogo potrzebował. Magia bardzo mu to ułatwiała. Kiedy pojawił się nowy uror, Rendborne zrozumiał, że nadszedł czas. Próbował zabić żrebaka, ale nie mógł. Nieważne, co robił, nie zdołał go nawet dotknąć, coś chroniło przed nim magiczne zwierzę. Książęta także pozostawali poza jego zasięgiem, nawetienne gadźce nie zdołały ich zabić. Ale magia chroniąca obu braci nie będzie przecież trwała wiecznie. Tylko on trwał wiecznie. Przeżyje ich wszystkich, nic go nie powstrzyma. Nic.

Nie, pomyślał Corwin, ja cię powstrzymam. Nie wygrasz.

Jego uszy wypełnił krzyk. Dopiero po chwili zrozumiał, że to nie z jego ust się wydobywa, lecz z ust Rendborne'a.

Magia odbiła się, odepchnięta mocą znaku uroru Corwina. Piętno jaśniało, płonęło oślepiająco, pulsując mocą. Mrugając poprzez mgiełkę bólu, Corwin zobaczył, jak Rendborne kuca skulony, przyciskając prawą dłoń do brzucha. Jego palce zamieniły się w poczerńiałe kikuty niczym gałązki strawione ogniem. Z krzykiem minister odwrócił się i uciekł, wzywając złotych, by poszli za nim i go chronili.

Powoli, dygocząc, Corwin opuścił rękę. Blask jego dłoni już przygasał. To koniec. A on jakimś cudem wciąż żył.

Podobnie pozostali. Podniósł się i wyciągnął rękę do Kate. Pomógł jej

wstać. Dal ponownie dźwignął Signe, a Bonner mu pomagał.

– Chodźmy – rzekł Corwin – zanim wróci.

Nie sądził, by zdołał drugi raz stawić czoło Rendborne'owi. Nie teraz.

Obejmując ramiona Kate i czując jej rękę wokół pasa, pokuśtykał w stronę bramy. Nim dotarli do wyjścia, przez bramę do środka wpadli konni – norgardzka kawaleria z Edwinem na czele. Tuż za nim jechali wielki mistrz Storr i kapitan Jaol. Zatrzymali się, Edwin szybko zmierzył wzrokiem całą scenę, martwych dzikunów i złotych, gadźce i ruiny Bramy Piekieł.

W końcu zwrócił spojrzenie ku Corwinowi.

– Zdrajca.

Corwin wzdrygnął się, słysząc nienawiść w głosie brata, widząc potępienie w jego oczach.

– Edwinie, posłuchaj. Rendborne wysyłał dzikunów do Sevy, do króla boga. Udało mu się uciec, ale jeśli...

– Ja cię wypuszczam, a ty robisz coś takiego. – Edwin wskazał gestem okalającą ich rzeź. – Dołączasz do swoich przyjaciół dzikunów.

– Dlaczego mnie nie słuchasz? – Corwin wypuścił Kate, przesuwając ją za siebie, by osłonić przed tym, czego mógłby dopuścić się brat.

– Rozprawimy się z Rendbornem – oznajmił wielki mistrz Storr. Przynajmniej jeden z nich słuchał. – Nie dopuszczę do dalszego zepsucia w łonie inkwizycji.

– Tak – zgodził się Edwin. – A teraz odejdz na bok, Corwinie, a my zajmiemy się dzikunami.

Kapitan Jaol uniósł ręce, żołnierze dobyli rewolwerów.

Corwin wpatrywał się w broń w ich rękach; każda mogła wystrzelić sześć pocisków i w odróżnieniu od bitwy pomiędzy magistami i dzikunami, nic nie pozbawi ich niszczącej mocy.

– Edwinie, posłuchaj. To, co robisz, jest złe. Dzikuni nie są naszymi wrogami, potrzebujemy...

– Dzikuni to zagrożenie. Zawsze nim byli i nic nigdy tego nie zmieni. – Edwin odwrócił się do żołnierzy. – Jeśli musicie, strzelajcie obok mojego brata.

– Czekaście. – Corwin uniósł ręce i postąpił krok bliżej. – Jestem waszym księciem i każę wam odłożyć broń.

Żołnierze zawahali się, rozdarci pomiędzy dwoma dziedzicami.

– Nie słuchajcie go! – Edwin z krzykiem szarpnął wodze, zawracając

gniadosza. – To zdrajca. Zabijcie dzikunów!

I znów żołnierze zawahali się, nawet kapitan Jaol nie był pewien. Rozwścieczony Edwin wyszarpnął z kabury na biodrze rewolwer i wycelował we Francisa, najbliższego dzikuna. Francis patrzył na niego z rękami po bokach i hardo zadartym podbródkiem. Księżę uniósł broń, nacisnął spust.

Rewolwer pękł na dwoje.

Edwin wzdygnął się, patrząc, jak kawałki metalu spadają na ziemię.

– Nigdy nie miały służyć do zabijania ludzi – oznajmił Bonner, wyciągając przed siebie rękę. Machnął nią i pozostałe rewolwery także pękły. Corwin odetchnął z ulgą. Zerknął na kowala i dostrzegł znużenie na jego twarzy. Ile jeszcze magii mu zostało? Za mało, nie na aż tyle mieczy. Wszystkich dzikunów wykończyła bitwa, nie byli gotowi do kolejnej walki.

– To twoja ostatnia szansa – wycedził przez zaciśnięte zęby Edwin. Na jego czole pulsowała żyłka, policzki zarumieniły się od gniewu. – Musisz dokonać wyboru: dzikuni, którzy zabili ci matkę, albo twoja rodzina, Norgard, twoje dziedzictwo.

Corwin miał wrażenie, że czas nagle zwolnił. W myślach rozważał ów wybór, czując jego brzemię i ostateczność.

Obejrzał się na Kate i pozostałych, potem zerknął na piętno na swej dłoni, przypominając sobie, jak jaśniało i płonęło jeszcze chwilę wcześniej, pulsując magią, obietnicą. I w tym momencie zrozumiał – Edwin nie zdoła mu tego odebrać. Może ogłosić go zdrajcą, twierdzić, co tylko zechce, rozsiewać dowolne kłamstwa – ale nie sprzeciwi się urorowi. Trzecia próba czekała ich obu i żadna moc, prócz boskiej, tego nie powstrzyma.

Powoli sięgnął za siebie, szukając Kate, chwilę później poczuł jej dłoń w swojej.

– Wybieram ich, Edwinie. Wybieram setki ludzi, którzy dość długo żyli w cieniu inkwizycji. Są obywatelami Rime tak samo jak ty czy ja. A ja jestem również ich księciem.

Edwin dobył miecza, jego żołnierze uczynili to samo. Ich wcześniejsze wahanie minęło. Miecze oznaczały uczciwą walkę, honorową śmierć zamiast rzezi. *Niechaj i tak będzie*, pomyślał Corwin, sięgając po broń.

Coś jednak spłoszyło konie; nagle wszystkie zaczęły wierzgać i zawracać, zrzucając jeźdźców, którzy nie mogli utrzymać się w siodłach, bo ręce mieli zajęte bronią. Edwin i Storr polecili na ziemię, koń Jaola poniósł go w las;

kapitan kurczowo wczepił się w grzywę wierzchowca. Pozostałe odbiegły za nim.

Edwin szybko odzyskał równowagę, ponownie uniósł miecz.

– Do ataku! – krzyknął.

Pozostali żołnierze ruszyli naprzód, jeden krok, dwa.

– Stać!

Krzyk dobiegł zza pleców Corwina, który wyczuł w owym głosie moc, nacisk na umysły. Jedno słowo unieruchomiło go, odebrało władzę nad ciałem, mógł tylko słuchać. Patrzył, jak Kate występuje naprzód, stając naprzeciw Edwina i żołnierzy – zastygłych w miejscu niczym żywe posągi. To ona to zrobiła, tak samo jak chwilę wcześniej spłoszyła konie. Panowała nad nimi swą magią.

Na widok wyrazu jej twarzy po plecach przebiegł mu dreszcz. Oczy dziewczyny lśniły morderczo, drapieżnie wygięte wargi odsłaniały zęby.

– Kate – wyszeptał Corwin, przypominając sobie, jak poraziła magią Vikas. Tylko to tłumaczyło nagłą śmierć kobiety zgaszonej niczym świeca zdmuchnięta przez wiatr. – Nie...

Nie zabijaj ich, pomyślał, choć nie mógł rzec tego głośno. Świadomość, że mogłaby to zrobić, sprawiła, że zadrżał. Ale rzecz nie w tym, co mogła, ale na co była gotowa. Liczył się wybór, którego jeszcze nie dokonała. *Oszczędź ich, Kate*, pomyślał. *Okaz litość*.

Mijały sekundy, w lesie panowały cisza i bezruch, napięcie iskrzyło w powietrzu. Wszyscy byli świadomi, że ich życie balansuje na ostrzu noża, że śmierć jest ledwie o jedną myśl dalej.

W końcu Kate machnęła ręką.

– Śpijcie – poleciła i żołnierze natychmiast runęli na ziemię. Wielki mistrz Storr i Edwin także. Ten ostatni padł na kolana, do ostatniej chwili patrząc na nich wyzywająco.

Po wszystkim Kate odwróciła się, a jej twarz dziwnie jaśniała, oczy spoglądały w dal.

– Chodźmy – rzekła. – Nie wiem, jak długo będą w takim stanie.

Wyciągnęła rękę do Corwina.

Zawahał się sekundę, po czym ją ujął. Szli razem, mijając uspiionych żołnierzy. Tylko raz zerknął na Edwina. Żal ścisnął mu pierś, ale nie mógł już nic zrobić dla brata. Dokonał wyboru.

Uciekli na zachód, w głąb Nefrytowego Lasu, posuwając się najdalej i najszybciej, jak na to pozwalały konie i obrażenia. Kate jechała bez słowa. W końcu, gdy zapadła noc, rozbili obóz w jarze u podnóża Gór Kobaltowych. Wąskie przejście, szerokie na zaledwie dwa konie, prowadziło do wąwozu, dzięki czemu z łatwością zdołaliby się obronić, gdyby odnalazły ich oddziały złotych bądź wojska Edwina. Kate jednak poważnie w to wątpiła. Mimo własnych wcześniejszych słów, nie sądziła, by żołnierze zbyt szybko się zbudzili. Na samą myśl o tym zrobiło jej się zimno w środku. Przypomniała sobie, jak bliska była zabicia ich wszystkich, tak jak to uczyniła z maistrą Vikas.

To takie łatwe. Moc boga. Nic dziwnego, że Rendborne tak bardzo jej pragnie, pomyślała, przypominając sobie zazdrość, którą w nim wyczuła. Bogowie okazali miłosierdzie, odmawiając mu mocy zwodzenia. Gdyby ją zdobył, byłby jeszcze bardziej niepowstrzymany. Czym to zatem czyni mnie?

Potworem, wyszeptał w jej umyśle cichy głos, powtarzając to słowo raz po raz. Użyła magii, by zabić, a upajające poczucie władzy, jakie ją wtedy ogarnęło, sprawiało, że miała ochotę znów to zrobić. Teraz, kiedy pokusa minęła, nie miało znaczenia, że Vikas zasłużyła na śmierć. Nie miało znaczenia, że była to sprawiedliwa zemsta. Sam czyn sprawiał, że Kate czuła się pusta w środku – i odmieniona na zawsze. Zastanawiała się, czy inni wyczuwają w niej tę zmianę. Podczas jazdy nie potrafiła spojrzeć na nikogo z nich. Zwłaszcza na Corwina; widziała, jak się zawahał, z jakim lękiem jej dotknął.

Rozbili obóz w wąwozie pod skałą. Piaszczysta ziemia zapewniała miękkie legowisko, a mimo płynącego tuż obok strumienia, było sucho i ciepło. Raith i dwaj błękitni pośpiesznie postawili bariery z kamieni strażniczych, reszta tymczasem zbierała drwa i zajmowała się rannymi.

Mimo wyczerpania Kate rzuciła się w wir pracy – lepsze to niż rozmowa z Corwinem, Signe czy Bonnerem. Lepsze niż stawienie czoła samej sobie. Oporządziła konie, zdjęła siodła, sprawdziła kopyta i kolejno powycierała

grzbiety. Najdłużej krzątała się przy Tancerce Ognia, napawając się rozkosznym dotykiem końskiego umysłu. Fakt, iż Corwin przyprowadził klacz z Norgardu, nieco złagodził jej strach. Zależało mu na niej, tyle wiedziała. Ale jak długo to potrwa, teraz, gdy wie już, do czego jest zdolna? Gdy oboje to wiedzą?

On też ma własną magię, pomyślała, przypominając sobie, jak ochronił ich znakiem uroru. Nie rozumiała, jak to działa, co dokładnie uczynił, ale i tak czuła wdzięczność. Był tarczą, która osłoniła ich wszystkich. Jego moc czyni wyłącznie dobro.

Tak, a ty wybrałaś dobro, nalegał głos w jej umyśle. To przecież to samo.

Corwin także krzątał się nieustannie, asystując magistom starającym się pomóc jak największej grupie rannych, nim zmierzch pozbawi ich magii uzdrawiającej, a także budując dodatkowe schronienia dla słabszych i dzieci. Większość z nich uniknęła walki, starsi rozkazali im zająć się końmi w czasie bitwy. Większość, ale nie wszystkie. Jeden z chłopców stracił oko w starciu, Kate odnalazła go, leżał na posłaniu przy ognisku, głowę miał owiniętą oddartym pasem tkaniny. Potrzebowali świeżych zapasów i lepszego schronienia. Ale gdzie? Teraz wszyscy byli banitami.

Zakończywszy pracę przy koniach, zaczęła wędrować po obozie, szukając innych miejsc, gdzie mogłaby się przydać. Czuła na sobie spojrzenia ludzi i znów ogarnęły ją wyrzuty sumienia. To jej wina, że znaleźli się tutaj. Tyle że im dłużej patrzyła im w twarze, tym bardziej poczucie winy zamieniało się w gniew. Owszem, przyczyniła się do tego, że złoci odkryli kwaterę główną Powstania. Ale nie to uczyniło z tych ludzi cele. *Nieważne, co zrobiliśmy, ścigają nas z powodu tego, czym jesteśmy.*

I wtedy powzięła postanowienie. To musi się skończyć. Nienawiść, podejrzania – dzikuni zbyt długo na nie pozwalali. *Pozwalaliśmy im, ukrywając się.* Żyjąc w sekrecie, zgadzali się, by świat postrzegał ich tak, jak tego chciał, a nie takimi, jakimi byli naprawdę. Powstanie, które winiła za prześladowania dotyczące osób takich jak ona, właściwie nie istniało. Było tylko podstępem wymyślonym, by budzić lęk u mieszkańców Rime – także dzikunów.

Skończyłam z ukrywaniem się, pomyślała Kate. Nieważne, co myślą inni. Tego przynajmniej mogła być pewna.

Uświadomiwszy sobie, że nie ma już nic do zrobienia, ruszyła do strumienia, by się obmyć. Zmoczyła dłonie, szorując pokrywający je brud,

potem obmyła twarz, rozpuściła warkocz, przeczesła palcami włosy i znów zaplotła ciasno.

W końcu wstała, przyglądając dłońmi ubranie. Poczowała coś w kieszeni, sięgnęła i wyciągnęła krwawy kryształ. Kilka minut oglądała go uważnie, niepewna, co ma z nim zrobić. W końcu powiesiła go sobie na szyi. Kryształ rozgrzał się na jej piersi – dziwnie się czuła, niemal perwersyjnie, wiedząc, że w środku kryje się krew ojca. A przecież jednocześnie wydało jej się to słuszne: oto on chroni ją jak zawsze. *Dam kryształ Kiranowi*, przysięgła sobie w duchu. *Kiedy tylko go znajdę.*

Podeszła do Signe. Przyjaciółka leżała na pościeli, zranioną stopę oparła o siodło. Kate usiadła obok, a Signe natychmiast ujęła jej dłoń, ściskając palce.

– Dobrze się spisałaś – rzekła. – Pod koniec uratowałaś nas wszystkich.

Kate zagryzła wargę, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na tyle znała życie, że nawet nie próbowała zaprzeczać, nie przed Signe. Nie chciała też jednak bez słowa przyjmować pochwał.

– A co z tobą? Wydobrzejesz?

Signe przytaknęła, bez wahania patrząc jej w oczy. Uniosła dłoń do blizny na twarzy.

– Czy dzięki niej wyglądam jak groźna wojowniczką? Kate uśmiechnęła się.

– Najgroźniejsza.

– To dobrze, miło, że powłoka zewnętrzna wreszcie pasuje do tego, co kryje się w środku. Teraz, gdy będę opowiadać ludziom o tym, jak zabijałam olbrzymów i dręczyłam hobgoblina, zrozumieją, że to prawda.

– Już to wiedzieliśmy, Sig. Nikt nie mógłby wątpić.

Kate objęła jej ramiona i przytuliła mocno.

– Tylko ostrożnie. – Dal podszedł do nich i usiadł po drugiej stronie Signe.
– Bo zrobię się zazdrosny.

Szczerząc zęby w uśmiechu, uniósł rękę i wyciągnął z ucha magiczny kamień. Lewa strona jego twarzy przez moment rozmyła się, gdy zaklęcie przestało działać. A potem Kate ujrzała blizny biegnące od brwi aż po brodę. Dal bez słowa cisnął kamień do strumienia.

Wkrótce dołączył do nich Bonner i przycupnął obok Kate. Siedział blisko, napierając na nią ramieniem. Oparła się o nie, czerpiąc otuchę z jego bliskości i milczącej akceptacji.

Stopniowo dosiadali się też inni, tworząc szeroki krąg wokół ognia. Ku zdumieniu Kate kilkoro dzikunów podziękowało jej za to, co zrobiła, za to, że uśpiła Edwina i żołnierzy. Przyjęła ich podziękowania jednym skinieniem głowy, zaciskając wargi.

Zaczęła szukać wzrokiem Corwina i w końcu wypatrzyła go po drugiej stronie obozu – naradzał się na osobności z Raithem i Francisem. Po krótkiej chwili przestali rozmawiać i ruszyli w stronę ognia. Wszystkie oczy zwróciły się ku nim, zupełnie jakby całe obozowisko wstrzymało oddech.

Raith podniósł ręce, prosząc o ciszę, choć nie musiał tego robić. Następnie odchrząknął.

– Jutro wyruszymy do Carden, by dołączyć do tamtejszych oddziałów dzikunów. Przed wyjazdem z Norgardu wysłałem listy do naszych kontaktów we wszystkich dwunastu miastach. Nastał w końcu czas, by Powstanie zaczęło działać.

Słowa te zostały powitane oklaskami. Kate zerknęła na Corwina, wstrząśnięta, że zgodził się na podobne działania.

Książę wbijał wzrok w ziemię, ręce splótł na piersi.

– Ale nie jest to walka, którą zaplanowaliśmy – podjął Raith, gdy oklaski i wiwaty ucichły. – Bo choć inkwizycja i jej zwolennicy pozostają naszymi wrogami, największe zagrożenie kryje się w Sevie. Bóg Król Magnar Fane z pomocą Rendborne’a – Bezimiennego – uwięził naszych przyjaciół i najbliższych. Musimy ich uwolnić. Książę Corwin zgodził się na ochotnika poprowadzić oddział ratunkowy do Sevy i dowiedzieć się, gdzie trzymają dzikunów. Wyruszy, gdy tylko będzie mógł.

Kate wpatrywała się w Corwina. Ciekawe, co nim kierowało? Król bóg posiadający dzikunów to niewątpliwe zagrożenie, ale Dal opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło, gdy tkwiła uwięziona w Bramie Piekieł. A więc Corwin wiedział o Kiranie. Teraz wie o mnie wszystko.

Tymczasem książę podszedł do Raitha, omiół wzrokiem tłum, przyglądając się uważnie każdej twarzy, nawet Kate. Jego spojrzenie zatrzymało się na niej dłużej niż na pozostałych, a kiedy ruszyło dalej, poczuła, jak serce bije jej mocniej w piersi.

– Przysięgam na mój tytuł, na krew i honor, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by uwolnić dzikunów i pokonać Bezimiennego. Co więcej, przysięgam też, że odzyskamy Rime jako kraj zarówno dla dzikunów, magistów, jak i wszystkich pozostałych. My wszyscy, razem: oto, co czyni

Rime wielkim. Kiedy skończymy, będziemy żyć w spokoju, bez masek, ukrycia i strachu.

Zasłuchaną Kate zapiekły oczy. Gdy pozostali zaczęli klaskać, dołączyła do nich, zaciskając wargi, by nie wypuścić kłębiących się w jej głowie uczuć.

Raith znów podniósł ręce, by ich uciszyć, tym razem nie bez powodu.

– Książę Corwin potrzebuje pomocy. Wyprawa do Sevy wiąże się z niebezpieczeństwem, i to na każdym kroku, dlatego najlepsi z nas muszą mu towarzyszyć.

– Ja pojadę – oświadczył natychmiast Dal i przyszpilił Corwina wzrokiem, groźniejszym z powodu blizny na twarzy. – Nie wierzę, że jeszcze mi nie powiedziałaś.

Corwin wzruszył ramionami, na jego wargach zatańczył uśmiezek.

– Dobrze wiem, że nie mogę mówić za ciebie, przyjacielu.

– Ja też pojadę. – Bonner dźwignął się z ziemi.

Kate zerknęła na niego. Bała się o przyjaciela. Nie urodził się, by walczyć, miał tworzyć, a nie niszczyć. Ale teraz wyczuwała w nim twardość, której wcześniej brakowało – może wystarczy, aby to przetrwał.

Stała obok niego.

– I ja. Pojadę.

Nie miała wątpliwości. Już wcześniej zamierzała to zrobić, odnaleźć Kirana i Vianne.

Popatrzyła na Corwina i ich spojrzenia się spotkały. Jak zawsze coś przemknęło między nimi, moc, niczym piorun i błyskawica.

* * *

Corwin podszedł do Kate, bez słowa wziął ją za rękę i odprowadził do niewielkiej kępki drzew z boku jaru. Było to jedyne miejsce w obozie oferujące prywatność.

Zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Przepraszam za wszystko, czego nie zrobiłem, Kate – zaczął. Otworzyła usta w proteście, ale uciszył ją, delikatnie kładąc na nich palec. – Proszę, pozwól mi skończyć, potem będziesz mogła krzyczeć do woli, a ja zostanę tu, rozkoszując się każdą minutą, każdym wyzwiskiem.

Czując na policzkach gorący rumieniec, zacisnęła wargi.

– Miałaś rację. Powinienem był zrobić wszystko, co w mojej mocy, by

odesłać twego ojca na wygnanie. Powinienem był ci uwierzyć, gdy mówiłaś, że jest niewinny. Zaślepiła mnie idea, że rolą króla jest posłuszeństwo, że prawo to coś niezmiennego, świętego, ustalonego raz na zawsze, nieodrzucałnego w swej mądrości. Ale to nieprawda. Świat się zmienia, koło obraca i my także musimy się zmieniać. To właśnie oznacza przywództwo – znalezienie w sobie mądrości, by dokonać zmian, kiedy trzeba, i nie dopuszczać do nich, gdy nie są konieczne. Dziękuję, że pomogłaś mi ujrzeć tę prawdę.

Świat jest czarny, biały i we wszystkich odcieniach szarości, pomyślała Kate. Wstrzymała oddech, a jego słowa otuliły ją, zupełnie jakby weszła do ciepłego stawu, gościnnego i kojącego. Przypomniła sobie, jak błagał, by nie zabijała swoją mocą Edwina i pozostałych, jak blisko tego się znalazła. Ale mimo wątpliwości i obaw powstrzymał ją, pozwolił wznieść się ponad to. *A może wznosimy się nawzajem?*

– Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Corwin wyrwał ją z zamyślenia.

– Jakie pytanie? – spytała zdyszana.

– Czy mnie zechcesz? – Podszedł bliżej, ich ciała niemal się zetknęły. – Kocham cię, Kate Brighton. Zawsze cię kochałem. Jestem twój, taki, jakim mnie zechcesz. Księżę czy żebrak, mąż czy kochanek. Wybór należy do ciebie i tylko do ciebie.

Kate wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Wiedziała, że mówi poważnie i że jego słowa kryją w sobie głębsze znaczenie. Wyczuwała je równie wyraźnie, jakby wymówił je głośno – że akceptuje ją w ten sam sposób, taką, jaką jest, bez wahania, zdrajczynię, dzikunkę, kobietę.

Kate. Po prostu Kate.

Niezdolna wykrztusić choćby słowo, odpowiedziała w jedyny sposób, jaki przyszedł jej do głowy. Pocałunkiem.

Pierwszym z wielu. Tyłu, na ile pozwoli niebezpieczna przyszłość.

PODZIĘKOWANIA

To najtrudniejsza książka, jaką dotąd napisałam, i jestem tak bardzo wdzięczna za pomoc tylu osobom, że same słowa tego nie wyrażą. Mimo wszystko spróbuję. Po pierwsze, dziękuję mojemu redaktorowi, Jordanowi Brownowi, za to, że zdecydował się podjąć ryzyko, mimo że książka była wtedy gotowa zaledwie w połowie. Twoja wiara w tę historię i we mnie wszystko zmieniła. Podobnie błyskotliwe uwagi.

Cudownej ekipie z Balzer + Bray dziękuję za to, że znów miałam zaszczyt nazwać to miejsce moim wydawnictwem i za to, że uwierzyli w dziewczynę zwaną Kate, zbrojną w magię i pas księżycowy. Oto oni: Alessandra Balzer, Donna Bray, Tiara Kittrell, Renee Cafiero, Caroline Sun, Bess Brasswell i Tyler Breitfeller. Dodatkowe superpodziękowania należą się czarodziejom, którzy stworzyli przepiękną okładkę: dyrektor artystycznej Alison Donalty, projektantowi Davidowi Curtisowi i grafikowi Santiemu Zoraidezowi. To dzięki wam Kate i Corwin tak świetnie wyglądają.

Jak zawsze chcę podziękować mojej agentce, Suzie Townsend, mojej pierwszej i największej obrończyni. I reszcie zespołu z New Leaf – to wy pomogliście znaleźć dla tej historii miejsce pod słońcem: Sarah Stricker, Joanna Volpe, Kathleen Ortiz, Mia Roman, Veronca Grijalva, Pouya Shahbazian i Jaida Temperly.

Dziękuję pierwszym czytelnikom i kibicom. Oto oni: Sarah Goldberg, Amanda i Jay Sharritt, Susan Dennard, Natalie D. Richards, Lorie Langdon, Liz Coley, Kristina McBride, Maria Pilar Albarran Ruiz i Erin Rupert.

Szczególnie dziękuję mojej partnerce krytycznej, Lori M. Lee. Dzięki, że wraz ze mną znosiłaś wydawnicze burze. Dziękuję Kristen Simmons za to, że powstrzymała mnie przed skokiem w przepaść i wyciągała z otchłani rozpacz.

Mojej trenerce jazdy konnej, Lori Miller, w głębi serca prawdziwej dzikunce, dziękuję za końskie rady i wskazówki.

Dziękuję reszcie rodziny, której jeszcze nie wymieniłam: Adamowi, Inarze, Tannerowi, Betty, Philowi. Debrze, Krystal i Vicki. Dziękuję też Bogu, bez którego nic nie byłoby możliwe.

I wreszcie dziękuję tobie, droga czytelniczko, drogi czytelniku. Mam nadzieję, że podobała ci się ta przejażdżka.